UMBERTO ECO

BAUDOLINO

NOIR SUR BLANC

UMBERTO ECO

BAUDOLINO

Przełożył

Adam Szymanowski

NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta redakcyjna

Motto
1. Baudolino chwyta za pióro
2. Baudolino poznaje Niketasa Choniatesa
3. Baudolino wyjaśnia Niketasowi, o czym pisał w dzieciństwie
4. Baudolino rozmawia z cesarzem i zakochuje się w cesarzowej
5. Baudolino udziela mądrych rad Fryderykowi
6. Baudolino wyprawia się do Paryża
7. Baudolino nakłania Poetę do napisania listu miłosnego i poematu dla Beatrycze
8. Baudolino w ziemskim raju
9. Baudolino strofuje cesarza i uwodzi cesarzową
10. Baudolino odnajduje królów magów i kanonizuje Karola Wielkiego
11. Baudolino buduje księdzu Janowi pałac
12. Baudolino pisze list od księdza Jana
13. Baudolino patrzy na narodziny miasta
14. Baudolino ratuje Aleksandrię dzięki krowie swego ojca
15. Baudolino w bitwie pod Legnano
16. Baudolino wyprowadzony w pole przez Zosimę
17. Baudolino odkrywa, że ksiądz Jan pisze do zbyt wielu osób
18. Baudolino i Colandrina
19. Baudolino zmienia nazwę swego miasta
20. Baudolino odnajduje Zosimę

21. Baudolino i rozkosze Bizancjum
22. Baudolino traci ojca i odnajduje Gradalis
23. Baudolino uczestniczy w trzeciej wyprawie krzyżowej
24. Baudolino w zamku Ardzrouniego
25. Baudolino dwakroć patrzy na śmierć Fryderyka
26. Baudolino podróżuje w towarzystwie magów
27. Baudolino w mrokach Abkazji
28. Baudolino pokonuje Sambation
29. Baudolino dociera do Pndapetzim
30. Baudolino poznaje diakona Jana
31. Baudolino czeka na chwilę, kiedy wyruszą do królestwa księdza Jana
32. Baudolino spotyka damę z jednorożcem
33. Baudolino poznaje Hypatię
34. Baudolino odkrywa prawdziwą miłość
35. Baudolino staje przeciwko Białym Hunom
36. Baudolino i Ptaki-Rok
37. Baudolino wzbogaca skarbiec bizantyjski
38. Baudolino zdaje rachunki
39. Baudolino stylita
40. Baudolina nie masz już

Tytuł oryginału: BAUDOLINO

Opracowanie redakcyjne: TERESA JEKIEL
Współpraca redakcyjna: MIROSŁAW GRABOWSKI
Korekta: AGATA BOŁDOK, MACIEJ KORBASIŃSKI, JOLANTA ROSOSIŃSKA
Na okładce wykorzystano fragment obrazu Fra Angelica *Męczeństwo świętych Kosmy i Damiana*, ok. 1438, Muzeum Luwru, Paryż

Copyright © R.C.S. Libri S.p.A. – Milan, Bompiani 2000
All rights reserved
For the Polish edition Copyright © 2001, Noir sur Blanc, Warszawa
All rights reserved

Wydanie I elektroniczne

ISBN 978-83-7392-457-4

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.
ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa
e-mail: nsb@wl.net.pl
Księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Dla Emanuele

1

Baudolino chwyta za pióro

Ratispona Anno ~~Dommini~~ Domini mense decembri mclv kronica Baudolini cognomentum de Aulario

ia Baudolino syn Galiauda z Aulario o głowie gdyby lew alleluia składam Panu dank y oby mi przepuścił

~~ia to dokonałem~~ habeo facto złodzieistwo nawięcsze w mym żywocie to iest z puzdra biskupa Otona przywziąłem sobie siła kart wedle podoby de ~~kancel~~ cancellaria imperiale y wyskrobałem malem wszytkie krom tych z których zleźć nie chciało y ninie mam tyle Pergamenae k pisaniu tego co mi się żąda a to iest moią chronikę lubo pisać łatiną nie wydolę

acz obaczą iże nie masz kart owych kto wie iakie piekło się zrobi y pomyszlą że to iakowyś Śpieg rzymskich biskupow które źle życzą cesarzowi fryderykowi

leć może być y tako iże nikto nie będzie na to baczył in cancellaria piszą wszytko nawet bezpotrzebnie y kto obaczy [te karty] ~~rzecz będzie miał w cale kamoś~~ ruszy jeno ramionami

ncipit prologus de duabus civitatibus historiae AD mclxiii conscript

saepe multumque vosvendo mecum de rerum temporalium motu ancipitq

iste linea były drzewie y na nic się zdało ich skrobanie musiałem ie tedy przeskiknącz

a ieszli k temu najdą one Karty kiedy je zapiszę kanclerz nic z nich nie wyrozumie iżci tym językiem gadają ludzie z Fraskety atoli żadny nim nie pisał

lecz ieszli nikto nie wyrozumie zgadną zrazu iże to ia bo wszyscy gadają że we fraskecie używają niekrześcijańskiego języka trzeba mi tedy dobrze one przytaić

do kaduka co za utrapienie z tym pisaniem bolą mnie wszytkie palce

ociec moi Galiaudo wżdy mi powtarzał iże to ani chybi dar od Świętej maryy z Roboreto że iuże ako pacholik ledwom usłyszał ~~pięńć piąć~~ V słów zaraz odrzekałem tąż mową czy to z Terdony czy z Gavi czy nawet z Mediolanum gdzie do gadania używają Ydioma gorszego niźli psi y kiedym pierwszy raz w życiu uźrzałem alamanów gdyżci oblegali Terdonę wszyscy Tusche *y gburni y mówili* rausz y min got *nim minęło pół dnia też gadałem raus y Maingot takoż oni zasię rzekli* kint *wyszperuj nam piękną* Froume *byśmy uczynili z nią co trza mniejsza czy się godzi dość rzec nam kamo iest sami iuż się zajmiemy resztą*

ale co to Froume *spytałem y odparli białogłowa dama niewiasta* du verstan *y pokazywali rękami wielgie piersi bo w tym obleganiu feminae to rzadkość te z Terdony są w środku y kiedy tam wejdziemy będziemy wiedzieli co robić lecz teraz te spoza murów zgoła się nie pokazują y bluźnili że nawet ia dostawałem kapłonowej skórki*

cni zasrani szwabi chyba nie myślicie że powiem gdzie są Froume *nie iestem śpiegiem a walcie se kunia*

o matuchno moia wżdy czasem biją

biją czy zabiją czy necabant nie piszę po łatinie choć rozumiem łatinę bo naumiałem się czyść z jednej łatińskiej librum y kiedy mówią do mnie po łatinie poimuię ale nie wiem iak pisać verba

o Boże nigdy nie wiem czy ma być equus czy equum y mylę się raz po raz bo u nas kuń to zawsze będzie śkapa y nie mylę się nigdy bo nikto nie pisze cuń a nawet nie pisze nic bo nie umie

ale tym razem poszło dobrze y niemce ani mnie tknęli bo wtedy właśnie przyszli milites y jęli krzyczeć dalej idziem do szturmu y była straszna konfuzyja y nie rozumiałem iuż tych accidens z tarczowniki które szli tędy y infanteryja która szła owędy y zewsząd trąby y wszędy drewne baśty śmigłe iak drzewa w Burmii y na nich niby na wozach balistarze y procarze y insze z drabinami y pierszyło na nich bełtów iako grad y ci co ciskali kamienie jakby srogą Warzechą y chełściły mi nad głową wszytkie osęki które tortończycy miotali z murów, co za battualia!

a ia całe dwie godziny siedziałem utaiony pod kierzką szepleniąc panienko przenajświętsza przypomagai potem wszytko ucichło y biegali obok ci co władają mową z Papii y krzyczeli że zgładzili tylu tortończyków iże wyglądało jak tanaro Krwi byli kontenci jak na kalenda maia bo Tortona wie iuż iże ma przydzierżywać się mediolanenses

później wrócili takoż alamani od Frome *owa trochę mniej niźli przódy bo tortończycy też nie dawali sobie w kaszę dmuchać rzekłżem se lepiej uderzać w nogi*

wróciłem zatem do domu prawie iuż rano y opowiedziałem wszytko Galiaudo oćcu moiemu a on rzekł wybornie właź w sam śrzodek Oblegania aże dostaniesz glicą w rzyć wiedz atoli że to pańskie zbytki niech panięta patrzą swego nosa a nam trzeba baczyć na nasze krowy y iesteśmy ludzie stateczne nie jak Frederikus bo ten przybywa uchodzi wraca y nie knujemy forteli

ale Terdona nie padła bo przez rok wzięli jeno podzamcze lecz kastelu nie wzięli y oblegali jeszcze kiedy moia chronika się kończyła y odjęli im wodę y miast pić swą urynę powiedzieli Fryderykowi że są mu wierni Fryderyk pozwolił im wyjść ale naprzód spalił miasto y potem ich posiekał to iest zrobili to ci z Papii bo maią na pieńku z tortończykami u nas nie iest iako u alamanów którzy życzą jedno drugim dobrze y są zawsze iak palce jednej ręki u nas zasię kiedy ktoś z Gamondio zobaczy kogoś z Bergolio zaraz kce mu ukręcić mądy

lecz teraz wracam do chroniki bo kiedy idę przez lasy Fraschety a iuż osobliwie kiedy iest skrutna Mgła że człek nie widzi czubka swego nosa y rzeczy pojawiają się nagle chocia przedtem ich nie widziałem to mam zwidy iak kiedy obaczyłem jednorożca y innym razem kiedy obaczyłem Świętego Baudolina któren zagadał do mnie y rzekł kurwisynu pódziesz do piekieł bo rzecz o jednorożcu była taka iże dobrze wiadomo że kto chce ułowić jednorożca musi przyprowadzić nietkniętą dziewkę pod drzewo y bestia poczuje woń dziewicy a wtedy położy jej łeb na łonie wziąłem więc Nenę z ~~b~~Bergolio która przyszła ze swoim ocem kupić krowę od moiego occa y rzekłem jej chodź moia nadobna do lasu ułowimy jednorożca y usadziłem ją pod Drzewem bo byłem pewny że iest dziewicą y rzekłem siedź piękna tak y rozczepierz jeno nogi żeby zrobić miejsce gdzie bestia złoży łeb y ona rzekła rozczepierz gdzie y ia rzekłem tu rozczepierz dobrze y dotknąłem tam y ona jęła się ruszać jako koza kiedy się omładza y prawie gadam nic już nie widziałem zstąpiła na mnie jakby apokalypsin y potem nie była już czysta jako lilia y rzekła boże święty y matko bosko iako zwabimy teraz jednorożca y wtedy usłyszałem głos z Nieba który rzekł że lioncornus qui tollit peccata mundis to ia y jąłem skakać przez krze y krzyczeć hip hiii frr frr bo byłem barziej kon tent niźli prawy jednorożec któren dziewicy wsunął róg do brzucha y przez to Sancto Baudolino rzekł synu y et coetera ale potem mi przebaczył y widziałem go jeszcze nieraz zmierzchem ale ieno

kiedy iest dużo mgły albo przynajmniej sporzo a nie kiedy słońce gorejentat od matutina do wieczerzyna.

ale kiedy opowiedziałem Galiaudo ońcu moiemu że obaczyłem Świętego Baudolina wymierzył mi trzydzieści kijów na rzyć powiadając Boże czemu to ia musiałem spłodzić syna któren ma wizje y nie umie nawet doić krowy lubo mu rozłupię łeb tym kijem lubo oddam takiemu co chodzi po frymarkach y jarmarkach przygrywając do tańca małpie zafryki a moia święta matuchna krzyczała darmochlebie co teżżem uczyniła panu naszemu żeby wydać na ten świat syna któren widzi świętych a Galiaudo ociec rzekł łżesz nie obaczyłeś świętych to gorszy kłamca niż judasz y gadasz byle co żeby tylko siedzieć se z założonymi rękami

piszę tę Chronikę bo kto inako poimie iak było owego wieczora że mgłę kroić by nożem y pomyśleć że był już kwiecień lecz tu mgła iest nawet w sierpniu y kiedy ktoś nie iest stąd może zabłądzić między Burmią y Fraschetą y osobliwie kiedy nie ma świętego by go dzierżył za monsztuk y ia zdążałem do domu y uźrzałem przed sobą barona na kuniu całkiem z zielaza

baron nie zaś kouń był cały z zielaza y miał miecz podobny iako król Ragony

y zaraz pomyślałem o matuchno obacz jeno to prawdziwy Święty Baudolino y zabierze mnie do piekieł ale on rzekł Kleine Sint Bitte *y pojąłem zrazu że to alamańskie paniątko któren przez mgłę zgubił się w lesie y nie umie znaleźć swych druhów y prawie iuż noc y podsunął mi pod ślepia Monetę a nigdy nie widziałem Monety y potem był kontenty żem mu odpowiedział w iego mowie* Dutsch *iak będziesz tak iechał to skończysz w bagnie nadobnym niby słońce*

choć nie powinienem mówić nadobne niby słońce przy takiej mgle którą można kroić nożem aleć on takoż y wyrozumiał

potem zasię rzekłem że wiem iże niemce przybyli z kraju wiecznej wiosny y może kwitną tam cytryny z Libanu ale u nas w Palèa iest mgła y w tej mgle krążą bastardy oćczyców arabów z którymi wadził się karloman y to niepoczciwi ludzie bo jak obaczą kogo na Peregrynacyi nic nie baczą ino chlusną w zęby y zaraz umkną nawet włosy z głowy więc ieśli pójdzie do chaty Galiauda ośca moiego dostanie czaszułkę warzy y najdzie wiązkę słomy aby przespać noc w stajni a rano przy świetle pokażę mu Drogę a osobliwie jeśli ma ową monetę dzięki y błożenie my ludzie biedni lecz poczciwi

zaprowadziłem go więc do ~~Gaiauda~~ Galiauda ośca mego a ten iął wrzeszczeć kpie jeden co ty masz w głowie żeby wyjawić moie imię człekowi któren przybył z tymi ludźmi nie wiesz nawet azali iest wasalem markiza Monferatu któren zażąda potem jeszcze dziesięciny z fruktów y siana y ogrodniny albo narzaz albo poradlne albo ogonowe y nuże za kijaszek

ia mu na to rzeknę że paniątko jest alamanem y nie z Mon Feratu on zasię żeby niósł nogę noc nie noc lecz posledź rzekłem mu o Monecie y uśmierzył swą złość bo ci z Marengo mają łeb twardy jak wołek ale y chutki jak koń wyrozumiał że może coś z tego mieć y rzekł skoro takiś wartki w gadaniu rzeknij to

item żeśmy ludzie biedni ale poczciwi

to iuż mu rzekłem

y co z tego nie wadzi powtórzyć item dzięki za solda ale iest y Siano dla kunia item do ciepłej strawy przyczynię sera y chleba y czban tego lepszego item dopuszczę ci spać gdzie ~~szpisz~~ śpisz tuż przy kominie ty zasię na noc pódziesz do stajni item okaż mi Monetę bo żądno mi solda genueńskiego y fiat jak w rodzinie bo u nas coś-my z Marengo gość iest święty

paniątko rzekł ieno haha fy z Marincum iesteście szczwane lisy ale targ to targ y dam ci dwie takie monety a ty nie spytasz czy to genueński sold bo za genueńskiego solda mogę kaufić od czebie dom y fszytek tfói skot lecz

feźmiesz y będziesz siedział cicho bo to y tak dopry przyrobek ociec siedział cicho y wziął dwie monety które paniątko kinął na stół bo ludzie z Marengo maią łby twarde ale chutkie y obiedował iako wilk (paniątko) a nawet dwa (wilki) potem ociec y mać ułożyli się spać bo dzionek cały znoili w czoła Pocie kiedy ia ceklowatem per frasketa herre *rzekł dopre wino wypiję jeszcze mało co tu przy ogniu powiedaj* sint *powiedaj skąd tak doprze mówisz moim językiem*

ad petitionem tuam frater Ysingrine carissime primos libros chronicae meae missur

ne fiumane gravitate

tu takoż na nic zdało się skrobanie

imam się przeto od nowa moiei chroniki od tamtego wieczora z alamańskim paniątkiem któren pytał skąd mówię iego językiem a ia odrzekę że to dar języków iako dla apostołów y dar Widzenia iako magdaleny bo idę przez silva y widzę świętego Baudolina iak dosiada jednorożca maści mleka y z Rogiem zatoczystym tam gdzie kunie mają to co wedle nas iest Nosem

ale kuń nie ma nosa bo inaczej miałby niżej wąsy iak ci od paniątka które miało piękną brodę maści iako miedzna rynka kdy inni alamani których obaczyłem mieli włosy żółte nawet w uszach

on zasię rzekł no doprze zoczyłeś to co mianujesz jednorożcem y może myszlisz Monokeros skąd wszelako wiesz iże są na tym świecie jednorożce a ia odrzekę żem przeczetł to w księdze u heremity z Fraskety a on zrobił ślipia oble jak sowa y pyta skąd umiesz czyść

do kaduka odrzekłem teraz opowiem Istorię

było tak iże koło Lasu żył święty heremita któremu ludziska co y raz nosili kurczynę lubo zajączka y on moglil się z zapisanej księgi y kiedy przyszedł

iaki człek bił się w pierś Kamieniem ale ia powiadam że to gruda id est tuta terra y przez co boli mniej no więc tego dnia zanieszliszmy dwa iaice y gdy on czetł rzekłem sobie iedno dla mnie jedno dla cię iak przystoi dobrym krześcijanom dość żeby nie obaczył ale on nie wiem iako bo przecie cztał zjimał mnie za krczycę a ia mu rzekłem diviserunt vestimenta mea on zasię iął się śmiać y powiada snać żeś bystry puerculus przyjdź to każdodziennie bym zuczył cię czyść

y tak zuczył mnie Karakterów pisanych podle Kukłania po łbie tyle że pośledź była iuż miedzy nami konfidencyja y jął gadać żem młodzik kształten y mocen że mam gładkie lico iako Lew pokaż no azaliż ramiona masz silnomocne y co z piersią ruszmy tu gdzie poczynają się Nogi obaczym czyżeś zdrów y wtedy wyrozumiałem do czego się rychtuje y kopnąłem go w iaice czyli w Testykuły on zasię zgiął się we dwoje y powiada boże kłamny pójdę y rzekę tym z Marengo że masz w sobie diabła y zgorzejesz w ogniu a rzekaj odparłem ale napirwej ia rzekę żem obaczył nocką jakeś wczyniał w Dup strzydze vel mierzienicy a obaczym kogo wezmą za obsesa wonczas on rzekł pożdaj gadałem tak dla śmichu bom chciał czuć azali lękasz się pana przepomnimy wszytko przydź zjutra bym zuczył cię pisać boć czyść to nic statczy pozdrzeć y ruchać ustami lecz ieśli piszesz w księdze trzebne ci karty y Enkawst y calamus aby alba pratalia arabat et nigrum semen seminabat bo wszytko gadał łatiną

A ia mu na to że statczy czyść bo y tak dobadam się tego czego dotąd nie wiem gdy zaś pisze piszę to ieno co iuż wiem radniej więc by ostało iako iest y bym nie umiał pisać a rzyć to zawszeć rzyć

Kiedym to opowiadał alamański pan śmiał się iak zapamiętały y prawił doprze rycerzyku heremici to allesamt Sodomiten *gadajże atoli coś jeszcze obaczyl w lesie ia zasię pomyślałem że to ktoś z komitywy Federicusa Imperatora któren chce wziąć Terdonę y rzekłem sobie lepiej mu się przypodobać a może da mi jeszcze iedną monetę powiedziałem więc że dwie noce przedtem pokazał mi się święty Baudolino y wyjawił mi iże*

cesarz weźmie wielkie zwycięstwo pod Terdoną ciem Fridericus to pan iedyny y isty w całej Longobardii wraz z Frasketą

y wtedy paniątko rzekło ty Jüngt *iesteś posłannikiem Nieba pójdziesz do taboru cesarskiego y powtórzysz co ci rzekł Święty Baudolino a ia że ieszli kce powiem też iże San Baudolino rzekł mi że do oblęgierzy zdążają iuż święci pieter z pawłem by poprowadzić cesarskich on zasię* Ach wie Wunderbar *mnie dość byłoby samego Pietra*

Jüngt *chodź ze mną a twa fortuna est facta*

illico to iest prawie illico to iest rankiem to paniątko rzekło ocu że mnie zabiera ze sobą tam gdzie naumiem się czyść y pisać y może dobędę się jakiego dygnitarstwa

Galiaudo ociec mói nie wiedział co to wszystko waży wyrozumiał atoli że zbędzie z domu jednego darmochleba y nie musi się iuż frasować że ma syna kuropłocha ale pomyszlał że paniątko iest może z tych co chadzają po jarmarkach y frymarkach z małpą y zechce się do mnie może przybierać to zaś wcale mu się nie widziało ale paniątko rzekło że iest wielkim comes palatinus y śród alamanów nie masz Sodomiten

co to za jedni ci Sodomiten *zagadnął ociec a ten odparł że to samołożnicy figuruj sobie rzekł samołożnicy są wszędy ale ociec obaczył że paniątko dobywa jeszcze pięciu Monet poza onymi dwiema z zeszłego wieczoru y nigdy tylu nie widział rzekł więc synu mói idź bo czeka cię fortuna może też nas a przecie ci alamani cięgiem się w naszych stronach kręcą więc co czas iaki nas nawiedzisz ia zaś rzekłem obiecawam y insze rzeczy ale szczyptę mi zbierało na Ślozy bo obaczyłem że matuchna słży iakbym szedł na śmierć*

tak owo opuściłem dom y paniątko rzekło bym prowadził tam gdzie stoi Castrum cesarskich snadnie odparłem dość zdążać za słońcem czyli iść tam gdzie ono

y kiedy dały się iuż widzieć tabory nadjechała komitywa kawalkatorów okrytych zbroją którzy iak nas obaczyli padli na kolana opuścili kopie y chorągwie y podnieśli miecze co się dzieje pomyślałem oni zasię zakrzyknęli Kaisar *jedni y* Kaiser *drudzy y* Sanctissimus Rex *y ięli całować ręce tego paniątka a ia prawie nadwinąłem sobie żuchawicę bom rozwarł usta niby wierzeje wyrozumiawszy że to paniątko z ryżą brodą to sam cesarz Fridericus w własnej osobie ia zasię opowiadałem mu cały wieczór bajędy jakby był pirwszy lepszy Kiep*

teraz każe uciąć mi głowę pomyszlałem a przecież wyłożył na mnie VII monet y ieśliby kciał moiei głowy uciąłby mi wczoraj wieczorem gratys y dobry boże nie pomoże

a on rzekł nie troskajcie się wszytko doprze mam wielkie wieści od Objawienia puer powiedzże wszytkim coś obaczyl w lesie a ja dostałem trzepiotania jakbym chorzał na kaduka y iąłem wywracać ślepiami y puszczać z ust plunę y wrzeszczałem baczę baczę y opowiedziałem istorię o świętym Baudolinie któren poufał mi proroctwo y wszytcy chwalili ~~panaboga~~ Pana Boga y wołali Czudo nad czudami gottstehmirbei

byli też posłannicy z Terdony owi nie postanowili jeszcze poddać się acz nie ale kiedy mnie usłyszeli padli na ziemię y rzekli że skoro nawet święci na nich nastają radniej dać się bo nie strzymają długo

a potem baczyłem iak wszytcy terdończycy wychodzą z Miasta mężowie białogłowy młodzionki y vetuli y leją ślozy alamani zaś wyprowadzali ich jako owieczki lubo jagnięta z powszechnej owczarni a pawijczycy nuże naprzód biegli iako szaleni do Turtony z chrustem wekierami y oskardami bo myszl o zrównaniu owego grodu z ziemią nagrzewała ich iako niewiesta

y pod wieczór obaczyłem na całej wyżce srogi dym y nie było iuż prawie Terdony czli też Derthony po wojnie iako powiada Galiaudo ociec mói wojna to niegodziwa Bestyja

radniej atoli że oni nie my

z wieczora zasię cesarz idzie barzo kontenty do Tabernakuli y obłapia mnie za policzek iak ociec y przywołuje iedno paniątko a był to zacny kanonik Rahewinus y rzecze kcę byś nauczył go czyść pisać y abakusa takoż gramatyki która nie wiedziałem naonczas czym iest a teraz powoli się dowiaduję a Galiaudo oćcu memu nawet by to do głowy nie przyszło

iak nadobnie być mądrym kto by coś takiego powiedział

gratia agamus ~~domini dominus~~ chciałem rzec dziękuję Bogu

lecz przez pisanie chroniki gorąc uderza do głowy nawet zimą y przychodzi strach bo przygasa kaganek y iako ktoś iuż rzekł boli mnie kciuk

2

Baudolino poznaje Niketasa Choniatesa

– Co to takiego? – Niketas najpierw obracał na wszystkie strony pergamin, a potem z trudem odczytał kilka linijek.

– Pierwsza próba pisania – odparł Baudolino. – Miałem wtedy jakieś czternaście lat i byłem małym dzikusem. Nosiłem ten pergamin przy sobie jak amulet. Potem zapisałem jeszcze wiele pergaminowych kart, czasem zasiadałem do pisania dzień po dniu. Miałem uczucie, jakbym istniał tylko dzięki temu, że wieczorem mogłem opowiedzieć to, co przydarzyło mi się od rana. Potem zadowalałem się zapiskami miesięcznymi, wystarczyło kilka linijek, żeby utrwalić najważniejsze zdarzenia. I w miarę jak posuwałem się w latach, mówiłem sobie, że kiedyś z tych notatek powstaną *Gesta Baudolini*, jakby powiedziało się dzisiaj. Tak zatem zabierałem w podróże dzieje mojego życia. Ale podczas ucieczki z królestwa księdza Jana...

– Księdza Jana? Nigdy o nim nie słyszałem.

– Usłyszysz, może nawet za dużo. Mówiłem: uciekając, straciłem te karty. I było to tak, jakbym stracił samo życie.

– Opowiesz to, co zapamiętałeś. Docierają do mnie pojedyncze fakty, strzępy wydarzeń, ja zaś układam je w opowieść utkaną na opatrznościowej osnowie. Ratując mnie, dałeś mi odrobinę przyszłości, a ja odpłacę się, przywracając ci przeszłość, która przepadła.

– Może moja historia jest niedorzeczna...

– Nie ma historii niedorzecznych. Ja zaś należę do ludzi, którzy umieją wypatrzyć sens tam, gdzie inni go nie widzą. Potem historia stanie się księgą żywych i będzie niby przeraźliwy dźwięk trąby nakazujący powstać z grobów tym, którzy obrócili się już w pył stuleci... Ale wymaga to czasu, trzeba wszak rozważyć wszystko, co się przydarzyło, powiązać między sobą wypadki, odnaleźć łączące je ogniwa, także te najmniej widoczne. Nie mamy przecież nic lepszego do roboty, twoi genueńczycy powiadają, że musimy czekać, aż uśmierzy się wściekłość tych psów.

Niketas Choniates, nadworny krasomówca, najwyższy sędzia cesarstwa, sędzia Zasłony, logoteta tajemnic, czyli – jak powiedziano by w świecie łacińskim – kanclerz bazyleusa Bizancjum, a ponadto historyk wielu Komnenów i Angelosów, z ciekawością przyglądał się stojącemu przed nim mężczyźnie. Baudolino powiedział mu, że spotkali się w Gallipolis za czasów cesarza Fryderyka, ale mimo że Baudolino się tam znajdował, trudno go było wypatrzyć w tłumie *ministeriales*, natomiast Niketas, który prowadził rokowania w imieniu samego bazyleusa, bardziej rzucał się w oczy. Kłamie? Tak czy inaczej, on to przecież uratował go przed furią najeźdźców, zaprowadził w bezpieczne miejsce, przywrócił rodzinie i obiecywał, że wyprowadzi z Konstantynopola...

Niketas przypatrywał się swemu zbawcy, który bardziej przypominał Saracena niż chrześcijanina. Ogorzała od słońca twarz, biegnąca przez cały policzek blada szrama, diadem ciągle jeszcze ryżych włosów nadawały mu lwi wygląd. Niketas byłby zdumiony, gdyby powiedziano mu, że ten człowiek skończył już sześćdziesiąty rok życia. Miał duże dłonie i kiedy trzymał je splecione na kolanach, od razu widać było zgrubienia kłykci. Oto dłonie wieśniaka, stworzone do rydla, a nie miecza.

Mówił jednak potoczystą greką, nie prychał przy każdym słowie śliną, jak czynią zwykle cudzoziemcy, i Niketas prawie nie słyszał, jak Baudolino zwraca się do najeźdźców w ich grubiańskim języku, którym mówił szybko i oschłym tonem jak ktoś, kto umie posłużyć się swą mową do tego, by

znieważać innych. Skądinąd wszakże powiedział poprzedniego wieczoru, że ma pewien dar, a mianowicie wystarczy mu usłyszeć, jak ktoś odzywa się w jakimś języku, by już wkrótce także się nim posługiwać. Niketas mniemał, że tym szczególnym darem byli obdarzeni tylko apostołowie.

Życie na dworze, i to przecież nie byle jakim, nauczyło Niketasa oceniać ludzi spokojnie i nieufnie. U Baudolina uderzało to, że cokolwiek mówił, zerkał ukradkiem na swego rozmówcę, jakby chciał ostrzec, że nie należy traktować go poważnie. Nawyk, który można wybaczyć każdemu, od kogo nie oczekuje się świadectwa prawdziwego, przydatnego dla Historii. Ale z drugiej strony Niketas był człowiekiem z natury ciekawym. Lubił słuchać opowieści, i to nie tylko takich, których przedtem nie słyszał. Kiedy ktoś mówił mu o rzeczach, które już znał, wydawało mu się, że patrzy na nie z innego punktu widzenia, jakby znalazł się na szczycie góry z jakiejś ikony i widział kamienie, tak jak widzieli je apostołowie na górze, nie zaś wierni stojący gdzieś w dole. Poza tym lubił wypytywać o wszystko ludzi z cesarstwa łacińskiego, a zwłaszcza o te ich nowe, tak różniące się między sobą języki.

Niketas i Baudolino siedzieli naprzeciwko siebie w malej wieży, w izdebce z wychodzącymi na trzy strony biforiami. Jedno wychodziło na Złoty Róg i położoną na przeciwległym brzegu dzielnicę Pera z wieżą Galaty, która wznosiła się pośród świty przedmieść i chat; z drugiego rozciągał się widok na kanał portowy uchodzący do Ramienia Świętego Jerzego; a wreszcie trzecie spoglądało na zachód i powinno się z niego widzieć cały Konstantynopol. Lecz tego ranka delikatną barwę nieba przyćmił gęsty dym wznoszący się z płonących pałaców i bazylik.

Był to w ciągu dziewięciu ostatnich miesięcy trzeci już pożar miasta; pierwszy strawił magazyny i składy należące do dworu, od pałacu Blachernos aż po Mur Konstantyna, drugi pochłonął wszystkie weneckie, amalfickie, pizańskie i żydowskie sukiennice od Peramy prawie po samo

wybrzeże, oszczędzając tylko leżącą niemal u stóp Akropolu dzielnicę genueńską, trzeci zaś gorzał wszędzie po trochu.

W dole kłębiło się morze płomieni, waliły się portyki, obracały w perzynę pałace, pękały kolumny; ogniste kule, które wzlatywały ze środka pożogi, podpalały odległe domy, potem płomienie rozdmuchiwane przez kapryśne i piekielne wiatry wracały, by pożreć to, co oszczędziły przedtem. Wysoko wzbijały się gęste chmury, czerwonawe na dole od błysków ognia, ale wyżej zabarwione najrozmaiciej wskutek złudy tworzonej czy to przez wstające słońce, czy też ze względu na naturę drewna i innych palnych materiałów, z których powstawały – nie wiadomo. Poza tym, zależnie od kierunku wiatru, z różnych punktów miasta dochodziły wonie gałki muszkatołowej, wanilii, pieprzu i szafranu, gorczycy albo imbiru – tak że najpiękniejsze miasto świata wprawdzie płonęło, lecz na podobieństwo stosu wonności.

Baudolino obrócił się plecami do trzeciego biforium i wyglądał teraz jak mroczny cień w dwoistej aureoli blasku dnia i pożogi. Niketas słuchał go jednym uchem, wracał bowiem myślami do wydarzeń z poprzednich dni.

Tamtego środowego ranka czternastego dnia kwietnia roku pańskiego 1204, czyli 6712 od początku świata, jak zwykło się rachować lata w Bizancjum, barbarzyńcy od dwóch dni panowali nieodwołalnie nad Konstantynopolem. Armia bizantyjska, tak lśniąca zbrojami, tarczami i hełmami podczas parad, i cesarska gwardia uzbrojonych w straszliwe obosieczne topory angielskich i duńskich najemników jeszcze w piątek walczyły, z odwagą stawiając czoło nieprzyjacielowi, ale w poniedziałek, kiedy wróg dokonał wyłomu w murach, uległy. Było to zwycięstwo tak nagłe, że pod wieczór sami zwycięzcy zatrzymali się lękliwie, oczekując kontrataku, i chcąc trzymać jak najdalej obrońców, znowu podpalili miasto. We wtorkowy ranek ludzie zdali sobie jednak sprawę, że uzurpator Aleksy Dukas Murzuflos uciekł pod osłoną nocy w głąb kraju. Osieroceni

i pokonani mieszczanie przeklęli owego przywłaszczyciela tronów, któremu jeszcze poprzedniego wieczoru oddawali cześć, podobnie jak schlebiali mu, kiedy udusił swojego poprzednika, i nie wiedząc, co mają teraz czynić (tchórze, tchórze, tchórze, co za hańba – żalił się Niketas, patrząc na tę klęskę), stanęli wielkim orszakiem z patriarchą i wszelkiej rasy kapłanami w obrzędowych szatach, mnichami, którzy zachwalali swą pobożność, gotowi sprzedać się nowym mocarzom, jak sprzedawali się zawsze dawnym, krzyże i wizerunki naszego Pana wznosząc przynajmniej tak wysoko jak swe krzyki i płacze, i wyszli naprzeciwko zdobywcom z nadzieją na uśmierzenie ich gniewu.

Jakimż szaleństwem było oczekiwać litości od tych barbarzyńców, którzy nie potrzebowali zgoła kapitulacji wroga, by uczynić to, o czym marzyli od miesięcy, to jest zrównać z ziemią najrozleglejsze, najludniejsze, najbogatsze, najszlachetniejsze miasto na świecie i podzielić się jego szczątkami. Ogromny orszak płaczących znalazł się przed frontem barbarzyńców, którzy marszczyli gniewnie brwi, zaciskali nadal w dłoniach czerwone od krwi miecze, dosiadali grzebiących niecierpliwie kopytami koni. Zaczęło się plądrowanie – jakby nie było żadnego orszaku.

Chryste i Panie, jakże wielka była nasza bieda i nasze cierpienia! Czemuż to huk morza, przesłonięcie albo zaćmienie Słońca, czerwona aureola wokół Księżyca, ruchy gwiazd nie zapowiedziały nam tej ostatecznej niedoli? Tak żalił się Niketas we wtorkowy wieczór, błądząc po tym, co było stolicą ostatnich Rzymian, z jednej strony starając się uniknąć spotkania z hordami barbarzyńców, a z drugiej natrafiając na coraz to nowe zapory płomieni i rozpaczając, gdyż nie mógł dotrzeć do domu, pełen obaw, że te łotry mogą skrzywdzić jego rodzinę.

Nadciągała noc i ponieważ nie miał odwagi ruszyć przez ogrody i otwarte przestrzenie między Hagia Sofia i Hipodromem, pobiegł w stronę świątyni, zobaczył bowiem, że jej drzwi są otwarte, a nie przyszło mu do

głowy, iż złość barbarzyńców jest dość wielka, by zbezcześcić również to święte miejsce.

Kiedy jednak wszedł do środka, zbladł ze zgrozy. Całe ogromne wnętrze było pełne trupów; wśród których błądzili pijani do nieprzytomności nieprzyjacielscy rycerze. Motłoch uderzeniami młota wyłupywał srebrną, obrzeżoną złotem furtę z mównicy. Przepiękną kazalnicę obwiązano sznurami i poganiając zaprzęg mułów, próbowano ją wyrwać i odciągnąć. Zgraja barbarzyńców klęła i dźgała kijami zwierzęta, ale kopyta ślizgały się na wypolerowanej posadzce, zbrojni najpierw kłuli, a potem jęli ciąć mieczami nieszczęsne muły, które z przerażenia wypróżniały się obficie. Niektóre padały na posadzkę, łamiąc sobie nogi, tak że cała przestrzeń wokół kazalnicy pokryta była breją z krwi i łajna.

Inne gromady tej przedniej straży Antychrysta za cel obrały sobie ołtarze i Niketas patrzył, jak otwierają szeroko tabernakulum, chwytają kielichy, wyrzucają na ziemię święte postacie, wydłubują czubkami sztyletów zdobiące puchary kamienie, ukrywają je w szatach i rzucają ogołocone kielichy na wspólny stos przeznaczony do stopienia. Inni przedtem, śmiejąc się szyderczo, odczepiali przytroczoną do końskiego siodła flaszkę wina, napełniali święte naczynie i upijali parę łyków, małpując gesty celebransów. Jeszcze gorsze było to, że na ogołoconym już głównym ołtarzu jakaś rozchełstana nierządnica, wyraźnie podniecona napitkami, tańczyła boso po eucharystycznym stole, parodiując święte obrządki, mężczyźni zaś wśród wybuchów śmiechu zachęcali ją do zrzucenia resztki sukni; nierządnica, stopniowo się obnażając, zaczęła tańczyć przed ołtarzem starożytny i grzeszny taniec *cordax*, a na koniec, czkając ze zmęczenia, rzuciła się na fotel patriarchy.

Niketas, płacząc na ten widok, pospieszył w głąb świątyni, gdzie wznosiła się kolumna zwana przez lud Kolumną Potu, z której rzeczywiście przy dotknięciu spływał mistyczny i bezustanny pot, lecz Niketas dążył tam z powodów niemających z mistyką nic wspólnego. W połowie drogi ujrzał

przed sobą dwóch potężnych najeźdźców – wydali się mu olbrzymami – którzy wrzeszczeli coś rozkazującym tonem. Nie trzeba było znać ich języka, by zrozumieć, że zobaczywszy jego dworskie szaty, uznali, iż ma w bród złota i powie, gdzie je ukrył. I Niketas poczuł się zgubiony, jako że po szaleńczym biegu ulicami zdobytego miasta wiedział już, że nie dość pokazać garść monet albo zaprzeczyć, iżby się miało jaki skarb: zhańbionych ludzi szlachetnych rodów, płaczących starców, wyzutych ze wszystkiego posiadaczy zamęczono na śmierć, żeby wyjawili, gdzie schowali swoje dobra, i zabijano ich, jeżeli nic już nie mając, niczego nie mogli wskazać, jeżeli zaś wskazali, obalano ich na ziemię. I tak umierali po tych wszystkich torturach, a prześladowcy unosili kamień, burzyli fałszywą ścianę, zrywali poszycie powały i chwytali w grabieżcze łapy kosztowne naczynia, obmacywali jedwabie i aksamity, gładzili futra, przebierając paluchami po drogich kamieniach i koliach, obwąchując wazy i woreczki z rzadkimi lekarstwami.

Tak zatem Niketas widział już przed sobą śmierć, zapłakał nad utraconą rodziną i poprosił Boga Wszechmogącego o odpuszczenie grzechów. I wtedy właśnie do świątyni Bożej Mądrości wkroczył Baudolino.

Był piękny jak Saladyn, dosiadał okrytego czaprakiem konia, na piersi miał wielki czerwony krzyż, miecz obnażony i zakrzyknął: „Na rany boskie, na Matkę Boską, na mękę naszego Pana, wy odrażający bluźniercy, świętokupne wieprze, czy tak należy obchodzić się z rzeczami, które są własnością Pana naszego?!”, i nuże płazować tych bezbożników, którzy jak i on nosili krzyż na piersi, tyle że on nie był pijany, lecz wściekły. Dotarł do wszetecznicy rozwalonej niedbale na fotelu patriarchy, nachylił się, chwycił ją za włosy i powlókł prosto w łajno mułów, wykrzykując przy tym straszne rzeczy o matce, która wydała ją na świat. Ale ci wszyscy dokoła, których jak się mu zdawało, ukarał, byli tak zamroczeni napitkami albo tak

zaprzątnięci wyrywaniem kamieni z wszystkiego, w czym były osadzone, że nie widzieli zgoła, co czyni Baudolino.

Wreszcie stanął przed dwoma olbrzymami, którzy brali się już do zadawania Niketasowi mąk, obrzucił spojrzeniem błagającego o zmiłowanie nieszczęśnika, puścił włosy kurtyzany i kiedy ta, okaleczona teraz, padła na ziemię, rzekł płynną greką:

– Na wszystkich dwunastu królów magów, wszak to dostojny Niketas, minister bazyleusa! Cóż mogę dla ciebie uczynić?

– Bracie w Chrystusie, kimkolwiek jesteś – zakrzyknął Niketas – uwolnij mnie od tych łacińskich barbarzyńców, którzy chcą mej śmierci, ocal moje ciało, a ocalisz swą duszę!

Dwaj łacińscy pielgrzymi niewiele pojęli z tych wschodnich wokaliz i od Baudolina, który wyglądał na jednego z nich i przemawiał po prowansalsku, zażądali dania racji. A Baudolino krzyknął płynnym prowansalskim, że ten człowiek jest jeńcem, bo tak chciał hrabia Baldwin z Flandrii, który mu rozkazał go szukać, a także przez *arcana imperii* niepojęte dla takich marnych piechurów jak oni dwaj. Tamci patrzyli chwilę z otwartymi szeroko ustami, ale zaraz uznali, że nie warto tracić czasu na spory, skoro mogą znaleźć skarby bez większego trudu, i oddalili się, zdążając w stronę ołtarza.

Niketas nie pokłonił się, żeby pocałować stopy swego wybawcy – także dlatego, że i tak leżał na ziemi – ale był zbyt oszołomiony, by zachować się z godnością, jakiej wymagało jego dostojeństwo.

– O dobry panie, dziękuję ci za pomoc, widzę, że nie wszyscy łacinnicy są okrutnymi bestiami o obliczach wykrzywionych od nienawiści. Nawet Saraceni nie postępowali tak po odzyskaniu Jerozolimy, bo przecież Saladyn zadowolił się zaledwie garścią monet i darował życie mieszkańcom. Co za hańba dla całego chrześcijaństwa, zbrojni bracia przeciwko braciom, pielgrzymi, którzy mieli odzyskać Święty Grób, zatrzymali się tu z chciwości i zawiści i zniszczyli rzymskie cesarstwo!

O Konstantynopolu, Konstantynopolu, matko kościołów, księżniczko wiary, przewodniczko doskonałości poglądów, karmicielko wszelkich nauk, spoczynku wszelkiego piękna, wypiłaś oto z ręki Boga kielich złości i sparzyłaś się od ognia znacznie większego niźli ten, który strawił Pentapolis! Jakież zawistne i bezlitosne demony zesłały na ciebie nieumiarkowane ich odurzenia, jacyż szaleni i ohydni zalotnicy zapalili ci weselną pochodnię niby Penelopie? O matko strojna niegdyś w złoto i cesarską purpurę, teraz zbrukana, wycieńczona i ograbiona ze swych synów, jesteśmy jak ptaki w klatce i nie znajdujemy już drogi ucieczki z naszego ongiś miasta ni hartu, by w nim pozostać, lecz w niewoli naszych mnogich grzechów krążymy jako błędne gwiazdy!

– Niketasie – rzekł Baudolino – powiadano mi, że wy, Grecy, mówicie za dużo i o byle czym, ale nie spodziewałem się, że aż do tego stopnia. Jest, jak jest, pytanie tylko, jak wynieść stąd swój tyłek. Mogę ukryć cię w bezpiecznym miejscu w dzielnicy genueńczyków; ale ty musisz mi wskazać najszybszą i najpewniejszą drogę do Neorionu, albowiem krzyż, który mam na piersi, chroni mnie, lecz nie ciebie: wszędzie wokół nas ludzie stracili światło rozumu, jeśli zobaczą mnie z greckim jeńcem, pomyślą, że musi być coś wart, i zaraz mi go zabiorą.

– Znam dobrą drogę – zapewnił Niketas – ale nie ulicami. I będziesz musiał zostawić konia.

– Zostawimy go zatem – odrzekł Baudolino tak niedbale, że Niketas zdumiał się, choć nie wiedział jeszcze, ile wierzchowiec kosztował jego zbawcę.

Niketas poprosił, by Baudolino pomógł mu się dźwignąć, ujął go za dłoń i poprowadził ukradkiem do Kolumny Potu. Rozejrzał się dokoła: w całej ogromnej świątyni pielgrzymi, którzy z daleka wyglądali jak mrówki, byli zajęci swą niszczycielską działalnością i na nich dwóch zgoła nie zwracali uwagi. Niketas przyklęknął za kolumną, wsunął palec w szparę, która powstała wskutek maleńkiego przesunięcia jednej z płyt posadzki.

– Pomóż mi – rzekł, zwracając się do Baudolina – może we dwóch damy radę. – Rzeczywiście, udało się im unieść płytę i ujrzeli mroczny otwór. – Są tu schody. Ja pójdę pierwszy, gdyż wiem, gdzie stawiać stopy. Ty zasuniesz za sobą płytę.

– Co dalej? – spytał Baudolino.

– Zejdziemy, znajdziemy po omacku niszę, w której są łuczywa i krzesiwo.

– Konstantynopol to wielkie i piękne miasto. I nie brak tu niespodzianek – rzucił Baudolino, idąc w dół po krętych schodach. – Szkoda, że te wieprze nie zostawią kamienia na kamieniu.

– Wieprze? – spytał Niketas. – Czyż to nie twoi?

– Moi? – zdumiał się Baudolino. – Skądże! Jeśli masz na myśli ten strój, wypożyczyłem go tylko. Kiedy oni weszli do miasta, ja już w nim byłem. Gdzież te łuczywa?

– Cierpliwości, jeszcze kilka stopni. Kim jesteś, jak się zwiesz?

– Baudolino z Aleksandrii, lecz nie tej w Egipcie, która nazywa się dzisiaj Cezareą, a może nie nazywa się wcale, bo ktoś ją spalił tak samo jak Konstantynopol. Moja leży między górami na północy i morzem, nieopodal Mediolanu. Wiesz, gdzie to jest?

– Wiem o Mediolanie. Jego mury zostały kiedyś zburzone przez alemańskich królów. Później nasz bazyleus dał pieniądze na ich odbudowę.

– I właśnie ja byłem przy cesarzu Alemanów, póki żył. Poznałeś go, kiedy płynął przez Propontydę. Prawie piętnaście lat temu.

– Fryderyk Rudobrody. Wielki i szlachetny książę, dobrotliwy i miłosierny. Nigdy by nie uczynił czegoś takiego jak ci...

– Także on nie okazywał miękkości serca, kiedy zdobył jakie miasto.

Wreszcie stanęli u stóp schodów. Niketas znalazł łuczywa i trzymając je wysoko nad głowami, szli długim korytarzem, aż Baudolino ujrzał sam brzuch Konstantynopola, miejsce, gdzie prawie dokładnie pod największym

kościołem na świecie rozciągała się inna, niewidoczna z powierzchni ziemi bazylika, las wyrastających z wody kolumn, które niknęły w mroku niby drzewa jakiego nawodnego lasu. Bazylika czy kościół opacki całkiem do góry nogami, jako że nawet światło, które ledwie muskało rozpływające się wśród cieni wysokich sklepień kapitele, nie padało z rozet czy witraży, lecz z wodnej posadzki odbijającej ruchome błyski pochodni.

– Pod całym miastem są cysterny – oznajmił Niketas. – Ogrody Konstantynopola nie są darem natury, lecz dziełem ogrodniczej sztuki. Lecz spójrz, woda sięga nam do pół łydki, gdyż prawie do końca zużyto ją do gaszenia pożarów. Jeżeli zdobywcy zniszczą także akwedukty, wszyscy umrą z pragnienia. Zwykle nie da się tędy przejść, potrzebna jest łódź.

– To prowadzi aż do portu?

– Nie, znacznie bliżej, lecz znam przejścia i schody łączące to miejsce z innymi cysternami i tunelami, także jeśli nie do Neorionu, możemy dotrzeć pod ziemią przynajmniej do Prosforionu. Ale ja nie mogę iść z tobą – dodał zatrwożonym głosem, jakby przypomniał sobie nagle, że czekają go jakieś inne sprawy. – Pokażę ci drogę, a potem zawrócę. Muszę zaprowadzić w bezpieczne miejsce moją rodzinę, która ukrywa się w małym domu na tyłach kościoła Hagia Eirene. Chodzi o to – ciągnął prawie przepraszającym tonem – że mój pałac spłonął podczas drugiego pożaru, sierpniowego...

– Panie Niketasie, jesteś szalony. Po pierwsze, przyprowadziłeś mnie tutaj i kazałeś porzucić konia, chociaż bez ciebie mogłem dotrzeć do Neorionu po prostu ulicami. Po drugie, czy naprawdę myślisz, że zdążysz odnaleźć swą rodzinę, nim zatrzymają cię dwaj inni piechurzy podobni do tamtych, z którymi cię ujrzałem? Prędzej czy później ktoś was wykurzy z ukrycia, a jeśli zamierzasz stamtąd zabrać bliskich, powiedz mi, dokąd się udasz?

– Mam przyjaciół w Selymbrii – odparł z pewnym zakłopotaniem Niketas.

– Nie wiem, gdzie jest owa Selymbria, ale przedtem będziesz musiał wyjść z miasta, to pewne. Zechciej posłuchać. Nic swojej rodzinie nie pomożesz. Tam zaś, dokąd cię prowadzę, spotkamy genueńskich przyjaciół, którzy w tym mieście przeżyli dobre i złe czasy, nawykli do układania się z Saracenami, Żydami, mnichami, gwardią cesarską, perskimi kupcami, a teraz także z łacińskimi pielgrzymami. To ludzie przebiegli, powiesz im, gdzie jest twoja rodzina, a jutro ci ją przyprowadzą. Nie wiem, jak to uczynią, ale uczynią. Uczyniliby to w każdym razie dla mnie, bom z nimi od dawna w przyjaźni, a też przez miłość do Boga, ale genueńczyk to zawsze genueńczyk, i jeśli dostanie od ciebie jaki dar, tym lepiej. Potem zostaniemy u nich, póki wszystko się nie uspokoi, zwykle plądrowanie miasta nie trwa dłużej niż kilka dni, możesz mi wierzyć, bom niejedno już widział. Kiedy będzie po wszystkim, udasz się do Selymbrii czy gdzie zechcesz.

Przekonało to Niketasa. Podziękował i ruszyli dalej. Zapytał, co Baudolino robi w mieście, skoro nie jest pielgrzymem spod znaku krzyża.

– Przybyłem tu, kiedy łacinnicy zeszli już na ląd po drugiej stronie... razem z innymi, których nie masz między nami. Przybyliśmy z bardzo daleka.

– Czemu nie opuściłeś miasta, kiedy był jeszcze na to czas?

Baudolino zawahał się, ale po chwili odpowiedział:

– Gdyż... gdyż musiałem zostać, by coś zrozumieć.

– I zrozumiałeś?

– Niestety tak, ale dopiero dzisiaj.

– Jeszcze jedno pytanie. Dlaczego zadajesz sobie tyle trudu z mojego powodu?

– Cóż innego powinien uczynić dobry chrześcijanin? Ale właściwie masz rację. Mogłem uwolnić cię od tamtych dwóch, a później zostawić, byś sam sobie radził, ja jednak przywarłem do ciebie niby pijawka. Widzisz, panie

Niketasie, wiem, żeś pisarzem historii, podobnie jak był nim biskup Otton z Freisingu. Ale kiedy znałem biskupa Ottona, i zanim umarł, byłem pacholęciem i nie miałem swojej historii, chciałem znać tylko historie innych. Teraz zaś mogę mieć własną, straciłem jednak wszystko, co napisałem o mojej przeszłości, a ponadto, kiedy ją sobie przypominam, myśli mi się plączą. Sedno sprawy nie w tym, że nie pamiętam faktów, lecz że nie umiem obdarzyć ich sensem. Po tym wszystkim, co mi się przydarzyło dzisiaj, muszę z kimś porozmawiać, bo inaczej oszaleję.

– A cóż to przydarzyło ci się dzisiaj? – spytał Niketas, brnąc z wysiłkiem w wodzie. Był młodszy od Baudolina, ale księgi i życie dworskie sprawiły, że się roztył, zgnuśniał i ubyło mu sił.

– Zabiłem człowieka. Tego, który prawie piętnaście lat temu zamordował mojego przybranego ojca, najlepszego z królów, cesarza Fryderyka.

– Ależ Fryderyk utonął w Cylicji!

– Tak wszyscy mniemali. Został jednak zamordowany. Panie Niketasie, widziałeś dzisiaj w Hagia Sofia, jak z wściekłością wywijam mieczem, aliści wiedz, że przez całe życie nie przelałem niczyjej krwi. Jestem człowiekiem pokoju. Tym razem musiałem zabić, bo tylko ja mogłem wymierzyć sprawiedliwość.

– Opowiesz mi o tym. Wyjaśnij mi jednak, jak to się stało, żeś w tak opatrznościowy sposób znalazł się w Hagia Sofia, by ocalić mi życie.

– Kiedy pielgrzymi zaczęli plądrować miasto, schowałem się w jakimś ciemnym kącie. Wyszedłem, kiedy zapadł zmrok, jakąś godzinę temu, i trafiłem w okolice Hipodromu. Omal nie stratował mnie tłum uciekających z wyciem Greków. Schowałem się w sieni jakiegoś półspalonego domu, żeby przepuścić uciekających, a kiedy przebiegli obok mnie, ujrzałem ścigających ich pielgrzymów. Pojąłem, co się dzieje, i w jednej chwili w mojej głowie rozbłysła ta oto piękna prawda: owszem, jestem łacinnikiem, nie zaś Grekiem, nim jednak ci rozjuszeni łacinnicy to spostrzegą, zniknie wszelka różnica między mną i martwym Grekiem. To

przecież niemożliwe, mówiłem sobie jednak, nie zechcą zburzyć największego miasta świata chrześcijańskiego. Teraz, kiedy je zdobyli... Potem zdałem sobie sprawę, że kiedy ich przodkowie weszli do Jerozolimy w czasach Godfryda z Bouillon, choć mieli w rękach miasto, zabili wszystkich, kobiety, dzieci, zwierzęta domowe, łaska boska, że nie spalili przy tej sposobności Świętego Grobu. To prawda, byli chrześcijanami i weszli do miasta niewiernych, ale podczas mojej podróży widziałem, jak chrześcijanie potrafią obdzierać się wzajemnie ze skóry z powodu byle słówka, a wiadomo wszak, że nasi i wasi księża od lat wadzą się o kwestię *filioque*. A poza tym, co tu gadać, kiedy żołnierz wkracza do miasta, o żadną wiarę nie dba.

– Cóż więc zrobiłeś?

– Opuściłem sień i przemykając pod murami, dotarłem do Hipodromu. I tam ujrzałem, jak piękno więdnie i zmienia się w ciężką materię. Musisz wiedzieć, że odkąd jestem w mieście, chodziłem tam przyglądać się posągowi dziewczynki, tej o zgrabnych stopach, ramionach białych jak śnieg i czerwonych ustach, która ma uśmiech i piersi, i szaty, i włosy tańczące na wietrze. Kiedy patrzyło się na nią z daleka, aż nie można było uwierzyć, że jest z brązu, wydawało się, że to żywe ciało...

– To posąg Heleny Trojańskiej. Co tam jednak zaszło?

– Zobaczyłem, jak w ciągu paru sekund kolumna, na której stała, pochyliła się niby podcięte tuż przy ziemi drzewo i padła na ziemię w obłoku kurzu. Ciało rozpadło się na kawałki, głowę zobaczyłem parę kroków ode mnie i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, jak duży był to posąg. Tej głowy nie mógłbym objąć ramionami i patrzyła na mnie z ukosa, jak patrzy ktoś leżący, nos poziomo, wargi pionowo i, wybacz, ale wyglądały jak te, które niewiasty mają między nogami, z oczu wyskoczyły źrenice i nagle miałem uczucie, że ta głowa jest ślepa, Jezu Przenajświętszy, jak ta tutaj!

Odskoczył do tyłu, rozpryskując na wszystkie strony wodę, gdyż światło pochodni wydobyło nagle z mroku kamienną głowę, która znajdowała się przedtem na kolumnie, wielką jak dziesięć głów ludzkich: usta jeszcze bardziej przypominające niewieści srom, półotwarte, węże zamiast loków, śmiertelna bladość jakby starej kości słoniowej.

Niketas uśmiechnął się.

– Spoczywa tu od stuleci. To głowy Meduzy, nie wiadomo, skąd się wzięły, budowniczowie wykorzystali je zamiast cokołów. Byle co cię przestraszyło...

– Wcale się nie przestraszyłem. Po prostu już tę twarz widziałem. Gdzie indziej.

Widząc, że Baudolino się zmieszał, Niketas zmienił temat.

– Opowiadałeś, że obalili posąg Heleny...

– Gdybyż ten jeden! Wszystkie, wszystkie między Hipodromem i Forum, w każdym razie wszystkie z metalu. Włazili na górę, zakładali na szyję sznury albo łańcuchy i ciągnęli, zaprzęgając dwie, trzy pary wołów. Widziałem, jak padają wszystkie posągi woźniców, jeden sfinks, egipski hipopotam i krokodyl, wielka wilczyca karmiąca Romulusa i Remusa, także posąg Herkulesa. Ten też, odkryłem, był tak duży, że kciuk miał jak klatka piersiowa normalnego człowieka... I jeszcze ten spiżowy obelisk z płaskorzeźbami, ten z małą kobietką na szczycie, która obraca się wedle wiatru...

– Towarzyszka Wiatru. Co za ruina! Niektóre wyszły spod dłuta starożytnych pogańskich rzeźbiarzy i były starsze niż Rzymianie. Ale po co, po co?

– Żeby je przetopić. Podczas plądrowania miasta pierwsze, co się robi, to przetapia wszystko, co nie nadaje się do transportu. Wszędzie widać tygle i tylko pomyśl, tyle płonących domów, czyż potrzeba lepszych pieców? A potem widziałem tych w kościele, nie mogą chodzić wszędzie

i pokazywać, że zabrali z tabernakulów cyboria i pateny. Tylko przetopić, i to jak najszybciej. Plądrowanie – tłumaczył Baudolino jak ktoś, kto dobrze zna się na tym rzemiośle – jest jak winobranie, trzeba podzielić się zadaniami, jedni zrywają winne grona, inni przelewają moszcz do kadzi, jeszcze inni przygotowują strawę dla zbierających, ten idzie po dobre wino z poprzedniego roku... Plądrowanie to poważna praca... w każdym razie, jeśli chcesz, żeby z miasta nie pozostał kamień na kamieniu. Tak właśnie było w moich czasach z Mediolanem. Ale do tego potrzebni są pawijczycy, ci bowiem wiedzą, jak zrównać miasto z ziemią. Ci tutaj niejednego muszą się jeszcze nauczyć, obalają jakiś posąg, potem siadają na nim i zaczynają pić, jeszcze potem któryś przychodzi, ciągnąc za włosy dziewczynę i wrzeszcząc, że to dziewica, wszyscy więc wtykają jej palec, żeby sprawdzić, czy rzecz jest warta zachodu... Kiedy robi się to należycie, trzeba oczyszczać teren, dom po domu, a zabawa potem, w przeciwnym bowiem razie najbardziej szczwani wezmą wszystko, co najlepsze. W sumie jednak mój kłopot polegał na tym, że z takimi ludźmi zawsze jest za mało czasu, by wyjaśnić, że ja też urodziłem się nieopodal marchii monferrackiej. Była na to tylko jedna rada. Przyczaiłem się za rogiem i czekałam, aż w zaułku pojawił się rycerz, który wypił tyle, że nie wiedział, na jakim świecie żyje, i pozwalał, by niósł go sam koń. Wystarczyło pociągnąć go za nogę. Kiedy runął na ziemię, zdjąłem mu hełm i upuściłem kamień na głowę...

– Zabiłeś go?

– Nie, ten kamień to była właściwie gruda ziemi, ledwie wystarczył, żeby mój rycerz stracił przytomność. Zebrałem się na odwagę, bo zaczął wymiotować czymś przypominającym z zabarwienia lewkonie, zdjąłem mu kolczugę i kaftan, hełm, broń, zabrałem konia i dalej przez miasto, aż do bram Hagia Sofia. Widziałem, jak wprowadzają do środka muły, obok mnie przeszła gromada żołdaków wynoszących srebrne kandelabry z grubymi jak ramię łańcuchami. Mówili jak Lombardczycy. Kiedy usłyszałem ten zgiełk,

kiedy ujrzałem tę hańbę, te godne pogardy targi, straciłem głowę, gdyż ci, którzy dokonywali tego dzieła zniszczenia, pochodzili w końcu z mojej ziemi, byli oddanymi synami rzymskiego papieża...

Tak rozprawiając, akurat kiedy łuczywa zaczęły już przygasać, wyszli z cysterny w całkowite już teraz ciemności i pustymi uliczkami dotarli do wieżyczki geneuńczyków.

Zastukali do drzwi, ktoś zszedł, powitano ich i nakarmiono z szorstką serdecznością. Baudolino robił wrażenie człowieka, który czuje się wśród tych ludzi jak u siebie, zaraz też polecił im Niketasa.

Jeden z genueńczyków powiedział:

– To łatwe, zajmiemy się wszystkim, możesz spokojnie zasnąć.

W jego głosie było tyle pewności siebie, że nie tylko Baudolino, ale również Niketas spali całą noc spokojnie jak dzieci.

3

Baudolino wyjaśnia Niketasowi, o czym pisał w dzieciństwie

Następnego ranka Baudolino przywołał najbystrzejszych spośród genueńczyków: Peverego, Boiamonda, Grilla i Taraburla. Gdy Niketas im wyjawił, gdzie znajdą jego rodzinę, wyruszyli na miasto, raz jeszcze zapewniając go, że może być o wszystko spokojny. Niketas poprosił wówczas o wino i napełnił kielich Baudolina.

– Czy smakuje ci to wino o zapachu żywicy? Wielu łacinników uważa, że jest okropne, i mówi, że trąci pleśnią.

Kiedy Baudolino zapewnił, że ten grecki nektar jest jego ulubionym napojem, Niketas przygotował się do wysłuchania opowieści.

Baudolino robił wrażenie człowieka, który pragnie rozmowy, jakby zależało mu na tym, żeby uwolnić się od czegoś, co bardzo długo zachowywał tylko dla siebie.

– A więc tak, panie Niketasie – powiedział, otwierając skórzany sączek, który miał zawieszony na szyi, i podając Niketasowi pergamin. – Oto początek mojej opowieści.

Niketas, choć umiał czytać łacińskie pismo, wpatrywał się bacznie w pergamin, ale nic nie zrozumiał.

– Co to takiego? – spytał. – To znaczy, co za język?

– Co za język, nie wiem. Zacznijmy tak, panie Niketasie. Masz wyobrażenie o tym, gdzie są Ianua, czyli Genua, i Mediolan, czyli

Mayland, jak mówią Teutoni, czyli Germanie, czyli Alamanoi, jak powiada się u was. Oto w połowie drogi między tymi miastami płyną dwie rzeki, Tanaro i Bormida, a między nimi rozciąga się równina, na której albo jest skwar, że można ugotować jajko, położywszy je na kamieniu, albo wszystko tonie we mgle, kiedy zaś nie ma mgły, pada śnieg, kiedy zaś nie pada śnieg, wszystko ścina mróz, kiedy zaś mróz ustępuje, i tak jest zimno. Tam się urodziłem, na równi, która zwie się Frascheta Marincana, jako że między rzekami są też wspaniałe moczary. Nie przypomina to za bardzo brzegów Propontydy...

– Tak mniemam.

– Mnie się jednak tam podobało. Wszędzie towarzyszy ci przestrzeń. Dużo podróżowałem, panie Niketasie, może nawet do Indii Większych...

– Nie jesteś pewny?

– Nie, nie wiem dokładnie, dokąd zawędrowałem, ale z pewnością tam, gdzie żyją ludzie rogaci i inni, którzy mają usta na brzuchu. Całe tygodnie spędzałem na niekończącej się pustyni, na stepach, które ciągną się jak okiem sięgnąć, i bez ustanku czułem się więźniem czegoś, co przerastało możliwości mojej wyobraźni. Natomiast w moich stronach, kiedy idziesz lasem we mgle, masz uczucie, że jesteś nadal w brzuchu swej matki, niczego się nie boisz i czujesz się wolny. A kiedy nawet nie ma mgły, a ty idziesz i czujesz pragnienie, odrywasz sopel od drzewa i potem dmuchasz sobie w palce, bo robią się odzięblіny...

– Czym są owe... zięby?

– Nie, nie żadne zięby! U was nie ma nawet słowa, musiałem więc użyć swojego. To rany, które tworzą się na palcach i kłykciach, kiedy jest bardzo zimno, i swędzą, a jeśli je drapiesz, bolą...

– Mówisz tak, jakbyś to dobrze wspominał...

– Chłód jest piękną rzeczą.

– Każdy kocha miejsce, gdzie przyszedł na świat. Mów dalej.

– No dobrze, tam właśnie żyli Rzymianie, ci z Rzymu, mówiący łaciną, nie zaś ci, którymi mienicie się dzisiaj wy, mówiący greką, a których my nazywamy, wybacz mi, proszę, *romaei*, czyli pielgrzymami do Rzymu, albo Greczynami. Potem imperium tamtych Rzymian zniknęło i w Rzymie został tylko papież, a w Italii pojawili się ludzie rozmaici i rozmaitymi językami mówiący. Ludzie z Fraschety mówią jednym językiem, a już ci z Terdony innym. Podróżując z Fryderykiem po Italii, słyszałem języki pełne słodyczy, lecz w porównaniu z nimi język z Fraschety nie jest nawet językiem, lecz ujadaniem psa, i nikt w tym języku nie pisze, bo pisze się jeszcze po łacinie. Kiedy więc gryzmoliłem na tym pergaminie, pewnie jako pierwszy próbowałem pisać tak, jak mówimy. Później nauczyłem się sztuki pisania i używałem łaciny.

– Ale co znaczą słowa, któreś zapisał?

– Jak widzisz, żyłem wśród ludzi uczonych i wiedziałem, który mamy rok. Pisałem w grudniu Anno Domini 1155. Nie wiedziałem, ile mam lat, ojciec mówił, że dwanaście, matka uważała, że trzynaście, może dlatego, iż chciała wychować mnie w bojaźni bożej i przez to wydawało się jej, że minęło więcej czasu. Kiedy pisałem, z pewnością zbliżałem się do czternastego roku życia. Między kwietniem i grudniem nauczyłem się pisać. Cesarz zabrał mnie ze sobą i wziąłem się z zapałem do nauki, korzystając z każdej sposobności, w obozie, pod namiotem, oparłszy się o ścianę zburzonego domu. Przeważnie na tabliczkach, rzadko na pergaminie. Przyzwyczajałem się już do życia, jakie prowadził Fryderyk, który nigdy nie przebywał w jednym miejscu dłużej niż kilka miesięcy, a i tak tylko zimą, resztę zaś roku był ciągle w drodze i spał każdej nocy gdzie indziej.

– No tak, ale o czym tu opowiadasz?

– Na początku tamtego roku mieszkałem jeszcze z rodzicami, było kilka krów i ogród. Pewien tamtejszy eremita nauczył mnie czytać. Włóczyłem

się po lasach i moczarach, nie brakowało mi wyobraźni, widywałem jednorożce i (mówiłem) objawiał mi się we mgle święty Baudolino...

– Nigdy nie słyszałem o tym świętym mężu. Naprawdę ci się ukazywał?

– To święty z naszych stron, był biskupem Villa del Foro. Czy go widziałem, to inna sprawa. Panie Niketasie, największym moim utrapieniem było zawsze to, że myliłem rzeczy, które widziałem, z tymi, które chciałem widzieć...

– Niejednemu się to przytrafia...

– Racja, ale ze mną było zawsze tak, że ledwie powiedziałem: widziałem to czy tamto albo znalazłem ten list, który mówi to a to (sam go zaś napisałem), inni jakby tylko na to czekali. Wiedz, panie Niketasie, że kiedy mówisz rzecz, którąś sobie wyobraził, inni zaś powiadają, iż tak właśnie jest, w końcu sam zaczynasz w ową rzecz wierzyć. Błąkałem się więc po Fraschecie i widywałem w lesie świętych i jednorożce, a gdy spotkałem cesarza, nie wiedząc, kto zacz, i przemówiłem w jego języku, rzekłem, że święty Baudolino wyjawił mi, że on, cesarz, zdobędzie Terdonę. Powiedziałem tak, żeby sprawić mu przyjemność, ale dla niego dobrze byłoby, bym powiedział tę rzecz wszystkim, a zwłaszcza tym z Terdony, bo wtedy zobaczą, że mają przeciw sobie nawet świętych. Oto czemu kupił mnie od mego ojca, nie tyle za parę soldów, które mu dał, ile za to, że uwolnił go od jednej gęby do wykarmienia. I tak zmieniło się moje życie.

– Stałeś się jego sługą?

– Nie, synem. W tamtych czasach Fryderyk nie był jeszcze ojcem, chyba się do mnie przywiązał, gdyż mówiłem mu rzeczy, które inni z szacunku przemilczali. Traktował mnie jak własne dziecko, chwalił za moje gryzmoły, za pierwsze próby rachowania na palcach, za to, czego uczyłem się o jego ojcu i ojcu jego ojca... Czasem zwierzał mi się, być może sądząc, że go nie pojmuję.

– Kochałeś go bardziej niż ojca cielesnego, czy byłeś jeno urzeczony jego majestatem?

– Panie Niketasie, przedtem nigdy się nie zastanawiałem, czy kocham mojego ojca, Gagliauda. Baczyłem tylko, żeby unikać jego kopniaków i kijów, i wydawało mi się, że z synem tak już musi być. Że go miłowałem, pojąłem dopiero, kiedy zmarł. Chyba nigdy przedtem go nie uściskałem. Wypłakiwałem się na łonie mojej matki, ale musiała dbać o tyle zwierząt gospodarskich, że nie dostawało jej czasu na pocieszanie swego syna. Fryderyk miał piękną postawę, twarz białą i różową, nie zaś barwy wyprawionej skóry jak moi ziomkowie, włosy na głowie i brodzie jak płomienie, dłonie długie, palce delikatne, paznokcie zadbane, był pewny siebie i dawał poczucie bezpieczeństwa, był wesoły i zdecydowany i przekazywał innym wesołość i zdecydowanie, był odważny i pobudzał odwagę innych... Ja byłem lwiątkiem, on lwem. Potrafił być okrutny, lecz osobom, które kochał, okazywał wiele łagodności. Kochałem go. On pierwszy i jedyny słuchał tego, co mówiłem.

– Byłeś dlań głosem ludu... Dobrym jest panem, kto słucha nie tylko dworaków, lecz stara się zrozumieć, co myślą jego poddani.

– Masz rację, ale ja nie wiedziałem już, kim jestem i gdzie. Odkąd spotkałem cesarza, od kwietnia do września armia cesarska dwakroć przemierzyła Italię, raz z Lombardii do Rzymu, a raz w przeciwną stronę, przemieszczając się wężowym ruchem od Spoleto po Ankonę, stamtąd do Apulii, potem do Romanii i do Werony, Trydentu i Bauzano, a na koniec pokonała góry i wróciła do Germanii. Po dwunastu latach spędzonych między dwiema rzekami zostałem rzucony w sam środek świata.

– Tak ci się wydawało.

– Wiem, panie Niketasie, że to wy jesteście środkiem świata, lecz świat jest rozleglejszy niźli wasze cesarstwo, jest Ultima Thule i kraina Hiperborejów. Bez wątpienia, w porównaniu z Konstantynopolem Rzym to kupa gruzów, a Paryż tonąca w błocie mieścina, ale także tam coś się co

jakiś czas dzieje, na ogromnych obszarach świata nie mówi się po grecku i są nawet ludzie, którzy powiedzą *oc*, jeśli się z czymś zgadzają.

– *Oc?*

– *Oc.*

– Dziwne. Mów jednak dalej.

– A zatem dalej. Zobaczyłem całą Italię, nowe miejsca i twarze, szaty, jakich nigdy nie widziałem, adamaszki, ozdoby, płaszcze przetykane złotem, miecze, zbroje, słyszałem głosy, które nie szczędząc wysiłku, naśladowałem dzień po dniu. Niezbyt wyraźnie pamiętam, jak Fryderyk otrzymywał w Pawii żelazną koronę króla Italii, a potem był pochód w stronę Italii zwanej *citeriore*, przemarsz przez Via Francigena, spotkanie cesarza z papieżem Hadrianem w Sutri, koronacja w Rzymie...

– Jak to w końcu było, ten twój bazyleus czy cesarz, jak powiadacie, był koronowany w Pawii czy w Rzymie? I dlaczego w Italii, skoro był bazyleusem Alamanoi?

– Wszystko po kolei, Niketasie, u nas, łacinników, nie jest tak prosto jak u was, *romaei*. U was ktoś wyłupia oczy bazyleusowi i sam zostaje bazyleusem, wszyscy są zgodni, nawet patriarcha Konstantynopola robi, co mu bazyleus każe, bo inaczej bazyleus wyłupi oczy także jemu...

– Przesadziłeś.

– Doprawdy? Kiedy tu przybyłem, wyjaśniono mi zaraz, że bazyleus Aleksy III zasiadł na tronie, gdyż oślepił prawowitego bazyleusa, swojego brata Izaaka.

– A u was żaden król nie usuwa poprzednika, żeby przywłaszczyć sobie tron?

– Bywa tak, ale zabija go w bitwie albo trucizną, albo sztyletem.

– Sam widzisz, jesteście barbarzyńcami, nie wynaleźliście mniej okrutnego sposobu nadawania biegu sprawom związanym z rządzeniem. Zresztą Izaak był bratem Aleksego, a nikt nie zabija brata.

– Pojmuję, był to więc akt życzliwości. U nas jest inaczej. Cesarz łacinników, sam od czasów Karola Wielkiego niełacinnik, jest sukcesorem cesarzy rzymskich, to znaczy cesarzy Rzymu, nie zaś Konstantynopola. Ale żeby zyskać pewność, że nim jest, musi przyjąć koronę od papieża, albowiem prawo Chrystusa unieważniło prawo cesarzy fałszywych i kłamliwych. Żeby jednak dostać koronę od papieża, cesarz musi być uznany także przez italskie miasta, z których prawie każde rządzi się po swojemu, a następnie być ukoronowany na króla Italii. Naturalnie pod warunkiem, że uprzednio wybrali go teutońscy książęta. Pojmujesz?

Niketas wiedział od dawna, że łacinnicy, choć barbarzyńcy, miłują wszelkie komplikacje. Są bezradni w obliczu subtelności i odróżnień w kwestiach teologicznych, kiedy jednak szło o prawo, potrafili dzielić każdy włos na czworo. I przez wszystkie te stulecia, które bizantyjscy *romaei* spędzili na owocnych naradach prowadzących do zdefiniowania natury naszego Pana, nigdy nie kwestionując jednak władzy pochodzącej w prostej linii od Konstantyna, chrześcijanie zachodni pozostawiali teologię rzymskim księżom, a swój czas wypełniali podawaniem sobie nawzajem trucizny i rąbaniem się dla odmiany toporami, żeby ustalić, czy jest jeszcze jakiś cesarz i kto by nim był, i osiągnęli wspaniały rezultat, ten mianowicie, iż nie mieli już żadnego cesarza.

– Tak więc Fryderyk potrzebował koronacji w Rzymie. Musiało się to odbyć bardzo uroczyście...

– W pewnej mierze. Po pierwsze dlatego, że rzymski Święty Piotr to lepianka w porównaniu z Hagia Sofia, w dodatku lepianka zaniedbana. Po drugie, sytuacja w Rzymie była zupełnie niejasna: w tamtych dniach papież zajął pozycję w pobliżu Świętego Piotra i swojego zamku, natomiast po drugiej stronie rzeki panami miasta byli Rzymianie. Po trzecie, nie wiedziano zbyt dokładnie, czy papież robi na złość cesarzowi, czy też cesarz papieżowi.

– Jak to rozumiesz?

– Tak, że wedle tego, co usłyszałem, książęta i biskupi z cesarskiego dworu byli wściekli, widzieli bowiem, jak papież potraktował cesarza. Koronacja powinna odbyć się w niedzielę, a urządzono ją w sobotę, cesarz powinien być namaszczony przy głównym ołtarzu, a namaszczono go przy bocznym i nie namaszczono mu, jak czyniono niegdyś, głowy, lecz pomazano go tylko między łopatkami i ramionami, nie krzyżmem, lecz olejem katechumenów. Być może nie pojmujesz różnicy, a i ja jej wtedy nie pojmowałem, ale na dworze wszyscy chodzili z mrocznymi twarzami. Myślałem, że także Fryderyk będzie ciskał się z gniewu jak pantera, lecz on, przeciwnie, zachowywał się wobec papieża niezwykle dwornie i to raczej papież miał mroczną twarz. Jakby zrobił marny interes. Spytałem więc Fryderyka prosto z mostu, czemu baronowie szemrzą, on zaś nie, a Fryderyk odparł, że muszę zrozumieć wartość liturgicznych symboli, bo w tej sprawie wystarczy byle błahostka, żeby wszystko odmienić. Potrzebował koronacji z rąk papieża, ale nie mogła się ona odbyć nazbyt uroczyście, bo inaczej znaczyłoby to, iż cesarzem został tylko z łaski papieża, a przecież on i tak już nim jest z woli germańskich książąt. Powiedziałem, że człek z niego przebiegły jak kuna, jest bowiem tak, jakby rzekł: spójrz, papieżu, jesteś jeno rejentem, bo pakty podpisałem już z Ojcem Wiekuistym. Fryderyk wybuchnął śmiechem i lekko klepnął mnie w tył głowy, mówiąc: świetnie, świetnie, zawsze znajdujesz trafny sposób wyrażenia kwestii. Potem spytał, co robiłem w ciągu tych dni w Rzymie, bo był tak zajęty ceremoniami, że stracił mnie z oczu. Widziałem, co to były za ceremonie, odrzekłem. Sedno sprawy w tym, że Rzymianom (mam na myśli tych z Rzymu, nie zaś was) ani trochę nie podobała się ta koronacja u Świętego Piotra, gdyż rzymski senat, który chciał być ważniejszy od najwyższego kapłana, pragnął ukoronować Fryderyka w Campidoglio. Cesarz odmówił, gdyby bowiem wyznał potem, że ukoronował go lud, wówczas nie tylko germańscy książęta, lecz również królowie Francji i Anglii powiedzieliby, co za piękne namaszczenie z rąk świętego plebsu,

jeżeli natomiast powie, że namaścił go papież, wszyscy podejdą do tego poważnie. Sprawa była jednak bardziej skomplikowana i zrozumiałem to dopiero później. Książęta germańscy zaczęli niedawno mówić o *translatio imperii*, jakby dawali do zrozumienia, że to na nich przeszła spuścizna cesarzy Rzymu. Jeśli więc Fryderyk otrzymał koronę z rąk papieża, to tak, jakby mówił, że jego prawo uznał także wikariusz Chrystusa na ziemi i że nic by się nie zmieniło, jeżeliby mieszkał na przykład w Edessie czy Ratyzbonie. Gdyby jednak pozwolił, by ukoronował go senat i rzymski *populusque*, to jakby powiedział, że cesarstwo jest nadal tu i nie nastąpiło żadne *translatio*. Sprytny jak kos, powiadał mój ojciec Gagliaudo. Cesarz nie trzymał się oczywiście kurczowo tego punktu. Właśnie dlatego podczas wielkiej uczty koronacyjnej rozwścieczeni Rzymianie przeszli na drugą stronę Tybru i zabili nie tylko paru księży, co zdarza się codziennie, ale również dwóch czy trzech cesarskich. Fryderykowi zaczęły latać czerwone plamy przed oczami, przerwał ucztę, chciał śmierci ich wszystkich, tak że w Tybrze było potem więcej trupów niż ryb i Rzymianie zrozumieli, kto tu jest panem, ale z drugiej strony feta nie za bardzo się udała. Stąd gniewny stosunek Fryderyka do gmin w *Italia citeriore* i dlatego pod koniec lipca znalazł się pod Spoleto, zażądał gościny, spoletańczycy zaczęli kręcić, Fryderyk wpadł w jeszcze większy gniew niż w Rzymie i dopuścił się rzezi, przy której rzeź Konstantynopola to zwykła zabawa... Winieneś zrozumieć, panie Niketasie, że cesarz musi postępować, jak cesarzowi przystało, i nie może folgować uczuciom... W ciągu tych miesięcy nauczyłem się mnóstwa rzeczy: po Spoleto doszło w Ankonie do spotkania z posłami bizantyjskimi, a potem powrót do Italii po drugiej stronie, aż do stóp Alp, które Otton nazywał Pirenejami, i wtedy po raz pierwszy widziałem okryte śniegiem szczyty. Przez cały ten czas kanonik Rahewin wtajemniczał mnie dzień po dniu w sztukę pisania.

– Wielki to wysiłek dla chłopca...

– Nie, nie tak wielki. Prawda, jeśli czegoś nie rozumiałem, kanonik Rahewin bił mnie po głowie, ale po tych wszystkich cięgach, jakie zbierałem od ojca, niewiele to dla mnie znaczyło, a przecież poza tym wszyscy byli wpatrzeni w moje usta. Cesarz sprowadził mnie jako tego, który widzi świętych, jeśli więc zdarzyło mi się powiedzieć, że widziałem w morzu syrenę, wszyscy mi wierzyli i mówili: brawo, brawo...

– To nauczyło cię ważyć starannie słowa.

– Przeciwnie, to w istocie rzeczy nauczyło mnie ważyć je lekce. Widać, tak myślałem, cokolwiek powiem, jest prawdą, gdyż ja to powiedziałem... Podczas pochodu do Rzymu pewien ksiądz o imieniu Konrad opowiedział mi o cudach tego grodu, o siedmiu mechanicznych postaciach na Campidoglio, które przedstawiają dni tygodnia, przy czym każda wieści dzwonkiem rozruchy w którejś prowincji imperium, czy o posągach z brązu, które same się poruszają, czy pałacu z zaczarowanymi zwierciadłami... Wreszcie dotarliśmy do Rzymu i tego dnia, kiedy wszyscy rwali się do bitki nad Tybrem, ja wymknąłem się i błądziłem po mieście. I tak sobie to tu, to tam chodząc, widziałem tylko stada owiec wśród starożytnych ruin i pod portykami lud mówiący językiem Żydów i handlujący rybami, ale ni śladu mirabiliów, poza konnym posągiem na Lateranie, ale ten nie zrobił na mnie zbyt dużego wrażenia. Gdy opuściłem Rzym i wszyscy pytali, co widziałem, czyż mogłem wyznać, że w Rzymie są jedynie owce wśród ruin i ruiny wśród owiec? Nie uwierzyliby. Opowiadałem więc o mirabiliach, o których mi opowiadano, i dorzucałem to i owo, na przykład, że w pałacu laterańskim widziałem złoty relikwiarz ozdobiony diamentami i kryjący w swym wnętrzu pępek i napletek naszego Pana. Wszyscy zawiśli wzrokiem na moich ustach i mówili: szkoda, że tamtego dnia musieliśmy zabijać Rzymian i nie ujrzeliśmy tych mirabiliów. Przez całe lata nasłuchałem się bajek o cudach rzymskiego grodu, w Germanii i Burgundii, a nawet tutaj, a to tylko dzięki temu, że sam je opowiadałem.

Wrócili przebrani za mnichów genueńczycy, krocząc wśród dźwięku dzwonków przed gromadą ludzi, którzy okryli się brudnymi, białymi niegdyś płachtami, zasłaniając sobie także twarze. Była to brzemienna żona Niketasa z niemowlęciem na ręku oraz inne dzieci, synowie i młodziutkie, pełne gracji córki, a także paru krewnych i garść sług. Genueńczycy prowadzili ich przez miasto jako grupę trędowatych i na ich widok nawet pielgrzymi odsuwali się jak najdalej.

– Jakże mogli wziąć to wszystko poważnie? – spytał ze śmiechem Baudolino. – Trędowaci jak trędowaci, ale wy nawet w tym przebraniu nie wyglądacie na mnichów!

– Z całym szacunkiem trzeba rzec, że pielgrzymi to banda zakutych łbów – oznajmił Taraburlo. – A zresztą, mieszkając tutaj, poznaliśmy tyle greki, ile było nam potrzeba. Powtarzaliśmy chórem, lecz z cicha *kyrieleison pighe pighe*, jakby to była litania, i tamci odstępowali, ten robił znak krzyża, tamten pokazywał rogi, inny dotykał swych jąder.

Jeden ze sług przyniósł szkatułkę i Niketas poszedł w głąb izby, żeby ją otworzyć. Wrócił z kilkoma złotymi monetami dla gospodarzy, którzy zaczęli rozpływać się w błogosławieństwach i zapewniać, że dopóki Niketas jest w ich domu, będzie tu panem. Liczną rodzinę rozmieszczono w sąsiedztwie, po niezbyt czystych wąskich zaułkach, gdzie żaden łacinnik nie zapuści się w poszukiwaniu łupu, bo nawet nie przyjdzie mu to do głowy.

Zadowolony wreszcie Niketas wezwał Peverego, cieszącego się, jak można mniemać, największym poważaniem wśród gospodarzy, i oznajmił, że wprawdzie musi się ukrywać, ale to jeszcze nie powód, żeby wyrzekać się przyjemności, do których przywykł. Miasto płonęło, lecz do portu nadal przybijają statki kupieckie i barki rybackie, które muszą zarzucić kotwicę w Złotym Rogu, a nie mogą wyładować towarów w składach. Kto ma więc pieniądze, może tanio kupić wszystko, co niezbędne do wygodnego życia.

Jeśli chodzi o należytą strawę, wśród ocalonych dopiero co krewnych jest jego szwagier Teofil, doskonały kucharz; wystarczy, by powiedział, jakich ingrediencji potrzebuje. Dzięki temu już po południu Niketas mógł zaprosić swego gospodarza na posiłek godny logotety. Podano tłuste koźlę nafaszerowane czosnkiem, cebulą i porami, oblane sosem z marynowanych ryb.

– Ponad dwieście lat temu – rzekł Niketas – jako poseł waszego króla Ottona przybył do Konstantynopola biskup Liutprand, którego gościł bazyleus Nikefor. Nie było to udane spotkanie i dowiedzieliśmy się później, że Liutprand sporządził ze swej podróży relację, w której opisał nas, Rzymian, jako ludzi skąpych, nieokrzesanych, nieuprzejmych, odzianych w zniszczone szaty. Nie potrafił się nawet pogodzić z koniecznością picia żywicznego wina i wydawało mu się, że wszystkie nasze potrawy pływają wprost w oliwie. Ale o jednej rzeczy opowiadał z zapałem, właśnie o tym daniu.

Baudolino także uznał, że koźlę jest wyborne, i dalej odpowiadał na pytania Niketasa.

– Tak zatem nauczyłeś się pisać, prowadząc życie wśród żołnierzy. Ale czytać już umiałeś.

– To prawda, lecz pisanie to większy znój. W dodatku po łacinie. Kiedy bowiem cesarz wysyłał do Italii żołnierzy, mówił im to w języku Alemanów, kiedy jednak pisał do papieża albo do kuzyna Jasormigotta, musiał robić to po łacinie, podobnie jak sporządzane były wszystkie dokumenty jego kancelarii. Kreśliłem mozolnie pierwsze litery, przepisywałem słowa i zdania, których sensu nie pojmowałem, ale w sumie pod koniec tamtego roku umiałem już pisać. Lecz Rahewin nie zdążył jeszcze nauczyć mnie gramatyki. Umiałem przepisywać, lecz wyrażać własnych myśli nie umiałem. Dlatego właśnie pisałem językiem z Fraschety. Czy jednak był to naprawdę język z Fraschety? Mieszałem ze

sobą wspomnienia różnych dialektów, którymi posługiwano się wokół mnie, astyjczyków, pawijczyków, mediolańczyków, genueńczyków, ludzi, którzy, bywało, nie rozumieli się nawzajem. Potem zbudowaliśmy w tamtych stronach miasto zamieszkane przez ludzi z różnych miejsc, którzy przybyli, żeby zbudować wieżę, i wszyscy mówili tak samo. Mniemam, że ten wspólny sposób mówienia wymyśliłem ja. Przynajmniej po części.

– Stałeś się nomotetą – oznajmił Niketas.

– Nie wiem, co znaczy to słowo, ale może to prawda. Tak czy inaczej, dalsze karty zapisałem całkiem niezłą łaciną. Było to już w Ratyzbonie, w cichym klasztorze, pod opieką biskupa Ottona, i w tym pełnym spokoju miejscu miałem do przejrzenia mnóstwo kart... Uczyłem się. Spostrzeżesz wśród innych rzeczy i to, że pergamin jest źle wyskrobany i przezierają partie poprzedniego tekstu. Byłem zaiste nicponiem, okradałem swoich panów, przez dwie noce skrobałem to, co uznawałem za starodawne pisma, żeby mieć na czym pisać. W następnych dniach biskup Otton rozpaczał, gdyż nie mógł odnaleźć pierwszej wersji swojej *Chronica sive Historia de duabus civitatibus*, którą pisał od ponad dziesięciu lat, i oskarżał biednego Rahewina, że zgubił ją w którejś z podróży. Dwa lata później uznał, że musi napisać ją na nowo, a ja służyłem mu jako pisarz, ale nigdy nie śmiałem wyznać, że to ja wyskrobałem pierwszą wersję *Chronica*. Jak widzisz, sprawiedliwości stało się zadość, gdyż ja też straciłem moją kronikę, tyle że mnie nie dostaje już odwagi, by napisać ją raz jeszcze. Wiem jednak, że przy drugim pisaniu Otton zmieniał to i owo...

– W jaki sposób?

– Kiedy czytasz *Chronica*, która jest historią świata, widzisz, że Otton, jak by to rzec, nie miał najlepszej opinii o świecie i ludziach. Na początku wszystko było dobrze, lecz potem świat zmieniał się coraz bardziej na gorsze, w sumie *mundus senescit*, świat się starzeje, koniec jest coraz bliższy... Ale właśnie w owym roku, kiedy Otton przystąpił do powtórnego

spisywania swojej *Chronica*, cesarz rozkazał mu utrwalić także własne czyny i Otto zaczął pisać *Gesta Friderici*, których nie ukończył, gdyż zmarł nieco ponad rok później, i do pracy nad dziełem przystąpił Rahewin. A nie można opisać *Gesta* swojego władcy, jeśli nie jest się przekonanym, że kiedy wstąpił na tron, zaczął się nowy wiek, że w gruncie rzeczy chodzi o *historia iucunda*...

– Można napisać historię swoich cesarzy, nie wyrzekając się przy tym surowości sądów, objaśniając, jak i dlaczego zdążali do swej klęski...

– Być może ty tak piszesz, panie Niketasie, ale poczciwy Otton nie, a ja mówię ci tylko, jak sprawy wyglądały. Tak więc ten święty człowiek z jednej strony pisał na nowo swoją *Chronica*, w której świat schodził na psy, a z drugiej *Gesta*, w których wszystko musiało iść ku lepszemu. Powiesz, że sam sobie przeczył. Gdybyż to tylko! Sedno sprawy w tym, że, podejrzewam, w pierwszej wersji *Chronica* świat bardziej schodził na psy, ale nie chcąc zbytnio sam sobie zaprzeczać, Otton w miarę pisania drugiej wersji kroniki okazywał nam, nieszczęsnym ludziom, coraz więcej pobłażliwości. A przyczyną tego byłem ja, bo przecież wyskrobałem pierwszą wersję. Może, gdyby się zachowała, Otton nie zdobyłby się na pisanie *Gesta*, a ponieważ właśnie dzięki *Gesta* będzie się jutro wiedziało, co Fryderyk uczynił, a czego nie, gdybym nie wyskrobał pierwszej *Chronica*, okazałoby się, iż Fryderyk nie uczynił tego wszystkiego, co, powiadamy, uczynił.

– Jesteś jak kłamliwy Kreteńczyk – rzekł Niketas – mówisz, żeś patentowanym łgarzem, lecz chcesz, bym ci wierzył. Wmawiasz mi, że łgałeś wszystkim, tylko nie mnie. W ciągu lat spędzonych na dworze cesarzy nauczyłem się unikać pułapek, jakie zastawiali sprytniejsi od ciebie mistrzowie kłamstwa... Z twoich wyznań wynika, że nie wiesz już, kim jesteś, lecz przyczyna jest być może ta, iż opowiadałeś za dużo łgarstw, także samemu sobie. I żądasz ode mnie, bym zbudował ci historię, która tobie się wymyka. Ja jednak nie należę do plemienia łgarzy takich jak ty.

Prawdę dobywam z życia i z opowieści innych ludzi. Może oczekujesz ode mnie historii, która rozgrzeszy cię z tego, że zabiłeś człowieka, chcąc pomścić śmierć Fryderyka. Krok po kroku budujesz historię swojej miłości do cesarza, by potem w sposób naturalny wyjaśnić, dlaczego twoim obowiązkiem było go pomścić. Przyjmuję, że go zabito i że dokonał tego ten, któregoś ty potem zabił.

Potem Niketas wyjrzał na zewnątrz.

– Ogień dochodzi do Akropolu.

– Przynoszę miastom nieszczęście.

– Myślisz, żeś wszechmocny. To grzech pychy.

– Nie, to raczej umartwienie. Przez całe moje życie było tak, że gdy tylko zbliżyłem się do jakiegoś miasta, ulegało ono zniszczeniu. Urodziłem się na ziemi usianej miasteczkami i paroma skromnymi zamkami i słuchałem tam, jak wędrowny kupiec opiewa uroki urbis Mediolani, ale nie wiedziałem, czym jest prawdziwe miasto, nie dotarłem nigdy choćby do Terdony, widziałem tylko z daleka jej wieże, co się zaś tyczy Asti czy Pawii, myślałem, że leżą gdzieś na granicach ziemskiego raju. Później jednak wszystkie miasta, które widziałem, miały lec w gruzach albo już strawił je ogień: Terdona, Spoleto, Crema, Mediolan, Lodi, Ikonium, potem zaś Pndapetzim. Tak też będzie z tym miastem. Może mam złe spojrzenie i jestem, jak powiedzielibyście wy, Grecy, polioklastą.

– Przestań sam siebie karać.

– Słusznie. Chociaż raz zdarzyło się, że dzięki łgarstwu uratowałem miasto, i było to moje miasto. Uważasz, że taki jeden raz wystarczy, żeby wykluczyć złe spojrzenie?

– To oznacza, że nie ma przeznaczenia.

Baudolino zamilkł. Po chwili obrócił się i powiódł wzrokiem po tym, co było niegdyś Konstantynopolem.

– Mimo to czuję się winny. Czynią to wenecjanie, ludzie z Flandrii, a zwłaszcza rycerze z Szampanii, Blois, Troyes, Orleanu, Soissons, nie mówiąc już o moich monferratczykach. Wolałbym, żeby to miasto zniszczyli Turcy.

– Turcy nigdy by tego nie zrobili – odparł Niketas. – Nasze stosunki z nimi są doskonałe. Strzec się musimy chrześcijan. Ale może jesteście ramieniem Boga, który zesłał was, by ukarać nas za grzechy.

– *Gesta Dei per Francos* – rzekł Baudolino.

4

Baudolino rozmawia z cesarzem i zakochuje się w cesarzowej

Po południu Baudolino przyspieszył tok opowieści i Niketas postanowił więcej mu nie przerywać. Chciał, by mówił bardziej wartko i szybciej dotarł, do czego zmierzał. Nie pojmował, że owego „czegoś” Baudolino, opowiadając, sam jeszcze nie znał i po to właśnie opowiada, by je poznać.

Fryderyk oddał Baudolina w pieczę biskupowi Ottonowi i jego asystentowi, kanonikowi Rahewinowi. Otton wywodził się z wysokiego rodu Babenbergów i był wujem cesarza, choć miał od niego ledwie dziesięć lat więcej. Ten nadzwyczajnie uczony mąż studiował w Paryżu u wielkiego Abelarda, a potem został cysterskim mnichem. Jako bardzo młody człowiek został wyniesiony do godności biskupa Freisingu. Nie oznacza to zgoła, że poświęcał wiele sił temu szlachetnemu miastu, ale w zachodnim świecie chrześcijańskim – tłumaczył Baudolino Niketasowi – potomków szlachetnych rodów mianowano biskupami tego czy innego miasta, lecz nawet nie musieli się tam udawać, wystarczyło, iż napływały związane z godnością dochody.

Otton nie miał jeszcze pięćdziesięciu lat, ale wyglądał, jakby miał sto, ciągle pokasływał, jednego dnia słabował z powodu bólu w biodrze, innego w ramieniu, cierpiał bowiem na kamień, oczy miał kaprawe, gdyż dużo czytał i pisał zarówno przy świetle słońca, jak i świecy. Łacno wpadał

w rozdrażnienie, jak to bywa z chorymi na podagrę, i kiedy pierwszy raz rozmawiał z Baudolinem, powiedział mu, prawie warcząc:

– Zdobyłeś serce cesarza, opowiadając mu same blagi, nieprawdaż?

– Nie, przysięgam, panie – zaprotestował Baudolino.

– Otóż to, łgarz, który zaprzecza, potwierdza. Chodź ze mną. Nauczę cię tego, co wiem – odrzekł Otton.

To dowodzi, że w ostatecznym rozrachunku Otton był człowiekiem z gruntu dobrym i od razu upodobał sobie Baudolina, uznał bowiem, że jest pojętny i umie zapamiętać wszystko, co słyszy. Zdał sobie jednak sprawę, że Baudolino wyjawiał na cały głos nie tylko to, czego się nauczył, lecz także to, co zmyślił.

– Baudolinie – powtarzał cesarz – jesteś urodzonym łgarzem.

– Czemu mówisz taką rzecz, panie?

– Bo jest wedle prawdy. Nie myśl jednak, że ci to wyrzucam. Jeśli chcesz zostać człowiekiem pióra i pisać kiedyś Historie, musisz także kłamać i wymyślać opowieści, inaczej twoja Historia byłaby nudna. Trzeba jednak zachować umiar. Świat potępia łgarzy którzy ciągle łżą, nawet w rzeczach błahych, nagradza zaś poetów, którzy łżą tylko w sprawach największej wagi.

Baudolino brał sobie do serca te nauki swego pana i jak bardzo stał się kłamcą także i on, pojmował krok po kroku, widząc, jak można sobie samemu zaprzeczać, przechodząc od *Chronica sive Historia de duabus civitatibus* do *Gesta Friderici*. Uznał więc, że jeśli chce zostać kłamcą doskonałym, musi słuchać także tego, co mówią inni, by zobaczyć, jak ludzie nabierają kolejno przekonania w tej czy innej kwestii. Był na przykład obecny przy rozmaitych rozmowach cesarza i Ottona o miastach lombardzkich.

– Jakże mogą być takimi barbarzyńcami? Nie bez przyczyny ich królowie nosili niegdyś koronę z żelaza! – oburzał się Fryderyk. – Nikt im

nie powiedział, że cesarzowi należy się szacunek? Coś takiego, Baudolinie, tylko pomyśl! Do nich należą *regalia*!

– A co to takiego owe regaliole, mój dobry ojcze?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a najgłośniej Otton, znał bowiem jeszcze łacinę z minionych czasów, tę dobrą, i wiedział, że *regaliolus* to ptaszę.

– *Regalia, regalia*, *iura regalia*, Baudolinie, ty drewniana głowo! – wykrzyknął Fryderyk. – To prawa, które przysługują mnie, jak mianowanie rajców, pobieranie podatków na drogach publicznych, targowiskach i rzekach spławnych, a także prawo bicia monety i jeszcze, jeszcze... i co jeszcze, Reginaldzie?

– ...oraz zyski z grzywien i wyroków wskutek przejęcia spadku, jeśli nie jest się prawowitym dziedzicem, i wskutek konfiskat za przestępcze czyny, i od kazirodczych małżeństw, i od przychodów z kopalń, żup solnych i rybołówstwa, procenty od skarbów wykopanych w miejscach publicznych – ciągnął Reginald z Dassel, który rychło już miał zostać mianowany kanclerzem, a zatem drugą osobą w cesarstwie.

– Właśnie. A te miasta przywłaszczyły sobie wszystkie moje prawa. Przecież ci ludzie nie mają poczucia tego, co sprawiedliwe i dobre, jakiż demon tak ich opętał?

– Siostrzeńcze mój i cesarzu – zabrał głos Otton – myślisz o Mediolanie, Pawii i Genui, jakby to był Ulm lub Augusta. Miasta Germanii zrodziły się z woli księcia i z księciem się od samego początku utożsamiają. Lecz z tymi miastami jest inaczej. Pojawiły się, kiedy germańscy cesarze trudzili się innymi sprawami, i wzrastały, korzystając z nieobecności swoich książąt. Kiedy mówisz mieszkańcom o tym, że chcesz nadać im podestę, oni widzą w tej *potestatis insolentiam* coś w rodzaju nieznośnego jarzma i żyją pod rządami konsulów, których sami sobie wybierają.

– I nie chcą czuć nad sobą pieczy księcia ani uczestniczyć w godności i chwale cesarstwa?

– Bardzo chcą i za nic w świecie nie wyrzekliby się takiej korzyści, bo inaczej padliby łupem jakiegoś innego monarchy, cesarza Bizancjum albo nawet sułtana Egiptu. Byleby tylko książę przebywał daleko. Żyjesz w otoczeniu szlachetnych panów i może nie wiesz, że w tych miastach stosunki są całkiem inne. Nie uznają one wielkich wasalnych włodarzy pól i lasów, gdyż pola i lasy należą do miast, być może poza marchią Monferratu i nielicznymi innymi. Zważ, że w miastach młodzi, którzy praktykują rozmaite rzemiosła i nigdy nie mogliby stawić się na twoim dworze, rządzą, skazują i bywają wybierani do godności rycerskiej...

– Świat idzie ku zgubie! – wykrzyknął cesarz.

– Mój dobry ojcze – odezwał się wówczas Baudolino, unosząc palec – wszak traktujesz mnie, jakbym należał do twojej rodziny, choć wczoraj jeszcze spałem na słomie. Jak to więc jest?

– Tak, że jeśli zechcę, jeśli ja zechcę, zrobię z ciebie nawet diuka, gdyż jestem cesarzem i każdego mogę moim zarządzeniem podnieść do stanu szlacheckiego. Ale nie oznacza to zgoła, że każdy może nobilitować się na własną rękę! Czyż ci ludzie nie pojmują, że jeśli świat pójdzie ku zgubie, to ich także czeka marny koniec?

– Otóż zdaje się, Fryderyku, że nie pojmują – zabrał głos Otton. – Te miasta ze swoim sposobem rządzenia stały się miejscem, przez które przechodzi wszelkie bogactwo, kupcy zbiegają się tam ze wszystkich stron, a mury tych miast są piękniejsze i potężniejsze niż mury wielu zamków.

– Po czyjej jesteś stronie, wuju?! – wrzasnął cesarz.

– Po twojej, mój siostrzeńcze i cesarzu, ale właśnie dlatego moim obowiązkiem jest wskazywać ci, jak wielką siłę mają twoi nieprzyjaciele. Jeżeli nadal będziesz z takim uporem zabiegał, żeby te miasta dały ci to, czego dać nie chcą, resztę życia strwonisz na ich obleganiu, zdobywaniu

i patrzeniu, jak po kilku miesiącach odradzają się jeszcze wspanialsze niż przedtem, na przeprawach przez Alpy, żeby znowu je sobie podporządkować, choć przecież twoje cesarskie przeznaczenie jest zupełnie gdzie indziej.

– A gdzież to?

– Fryderyku, w mojej *Chronica*, która zniknęła w niewyjaśniony sposób i którą będę musiał spisywać na nowo, oby Bóg pokarał kanonika Rahewina, on bowiem z pewnością ponosi winę za tę stratę, otóż w mojej *Chronica* napisałem, że w czasach, kiedy najwyższym kapłanem był Eugeniusz III, złożył mu wizytę syryjski biskup Gabali wraz z ormiańskim poselstwem. Opowiedział, że na Dalekim Wschodzie, w krajach nieodległych od raju ziemskiego, rozkwita królestwo pewnego *Rex Sacerdos*, prezbitera Johannesa, króla niewątpliwie chrześcijańskiego, aczkolwiek zwolennika herezji Nestoriusza. Jego przodkami byli owi magowie, również królowie i kapłani, ale i powiernicy bardzo starej mądrości, ci sami, którzy przybyli do Dzieciątka Jezus.

– A co ja, cesarz świętego rzymskiego cesarstwa, mogę mieć wspólnego z tym księdzem Janem, niechaj Pan zachowa go jak najdłużej królem i kapłanem pośród swoich Maurów, tam gdzie diabeł mówi dobranoc.

– Widzisz, mój sławny siostrzeńcze, powiadasz „Maurowie” i myślisz jak inni chrześcijańscy królowie, którzy tracą siły, broniąc Jerozolimy, co jest, przyznaję, rzeczą nader pobożną. Zostawmy ją jednak królom Francji, którzy dowodzą w Jerozolimie Frankami. Przeznaczeniem chrześcijaństwa i każdego cesarstwa uważającego się za święte i rzymskie nie są zgoła Maurowie. Istnieje chrześcijańskie królestwo położone gdzie indziej niźli Jerozolima i ziemie należące do niewiernych. Cesarz, który zdołałby połączyć te dwa królestwa, zmieniłby królestwo niewiernych i samo cesarstwo bizantyjskie w dwie porzucone przez wszystkich wyspy, zagubione we wspaniałym morzu jego chwały!

– To zwykłe rojenia, mój drogi wuju. Stójmy raczej obiema nogami na ziemi. Jeśli pozwolisz. I wróćmy do tych italskich miast. Skoro ich położenie jest tak godne pozazdroszczenia, wyjaśnij mi, najdroższy wuju, dlaczego jedne z nich sprzymierzają się ze mną przeciwko innym, zamiast podjąć wspólnie walkę przeciwko mnie.

– W każdym razie jak dotąd – rzucił ostrożną uwagę Reginald.

– Powtarzam – tłumaczył Otton – te miasta wcale nie chcą przeczyć temu, że podlegają cesarstwu. I dlatego proszą cię o pomoc, kiedy inne miasto je uciska, jak Mediolan Lodi.

– Skoro jednak być miastem to najlepsze z wszystkich możliwych wyjść, czemu każde stara się uciskać miasto sąsiednie, jakby chciało pochłonąć jego terytorium i przeobrazić się w królestwo?

W tym momencie Baudolino uznał, że powinien sięgnąć do swej mądrości człowieka stamtąd i zabrać głos.

– Ojcze mój, kłopot z tym, że nie tylko miasta, ale i małe mieściny po drugiej stronie Alp czerpią wielką przyjemność z podejmowania... aj!... (Otton stosował także ten środek dydaktyczny, jakim jest szczypanie ucznia)... to znaczy jedno upokarza drugie. Tak już u nas jest. Nienawidzi się obcego, ale jeszcze bardziej sąsiada. A jeśli obcy pomaga zaszkodzić sąsiadowi, jest mile widziany.

– Ale dlaczego?

– Dlatego, że ludzie są źli, powiadał mój ojciec, ale ci z Asti są gorsi niż Barbarossa.

– A kimże jest ów Barbarossa?! – wykrzyknął z wściekłością Fryderyk, cesarz.

– Ty, mój ojcze, nazywają cię tam Rudobrodym, a właściwie nie widzę w tym nic złego, gdyż naprawdę masz rudą brodę i bardzo ci z nią do twarzy. A gdyby chcieli powiedzieć, że jest barwy miedzi, podobałoby ci się, gdyby nazwali cię Miedzianobrodym? Ja kochałbym cię i czcił, nawet

gdybyś miał brodę czarną, ale skoro masz rudą, nie wiem, po co przejmować się tak tym, że nazywają cię Rudobrodym. Chciałem ci jednak powiedzieć (jeśli nie gniewasz się z powodu brody), że winieneś zachować spokój, gdyż moim zdaniem nigdy nie wystąpią razem przeciwko tobie. Boją się, że jeśliby zwyciężyli, jedno z nich stałoby się silniejsze od innych. Pod warunkiem że nie każesz im za dużo płacić.

– Nie zważaj na to, co mówi ci Baudolino. – Otton się uśmiechnął. – Ten chłopak jest kłamcą z przyrodzenia.

– Nie, panie mój – odparł Fryderyk – w sprawach Italii mówi zwykle rzeczy słuszne. Oto teraz, na przykład, uświadamia nam, że naszą jedyną szansą jest skłócać italskie miasta najbardziej, jak to możliwe. Ale sedno sprawy w tym, że nigdy się nie wie, kto jest z tobą, a kto przeciwko tobie!

– Jeżeli nasz Baudolino ma rację – uśmiechnął się szyderczo Reginald z Dassel – to, po czyjej stronie staną, nie zależy od ciebie, lecz od tego, któremu z miast pragną w danej chwili zaszkodzić.

Baudolino frasował się trochę tym, że wielki, gruby i potężny Fryderyk nie potrafi pogodzić się ze sposobem myślenia poddanych. Pomyśleć tylko, że więcej czasu spędza na italskim półwyspie niż na swoich ziemiach. Chce dobra naszych ludzi – rozmyślał Baudolino – i nie pojmuje, dlaczego ci go zdradzają. Może dlatego zabija niby zazdrosny mąż.

W ciągu kilku miesięcy po powrocie Baudolino miał niewiele sposobności, by zobaczyć Fryderyka, który przygotowywał sejm w Ratyzbonie, a potem drugi, w Worms. Musiał zabiegać o spokój ze strony dwóch bardzo groźnych krewnych, Henryka Lwa, któremu dał w końcu Księstwo Bawarskie, i Henryka Jasormigotta, dla którego po prostu wymyślił Księstwo Austrii. Na przedwiośniu następnego roku Otton zapowiedział Baudolinowi, że w czerwcu udadzą się wszyscy do Herbipolis, gdzie Fryderyk zostanie szczęśliwym małżonkiem. Cesarz ma już małżonkę, ale od kilku lat żyje z nią w separacji, teraz zaś zamierza pojąć za żonę Beatrycze z Burgundii, która wniesie mu w wianie swe

hrabstwo sięgające aż po Prowansję. Z powodu tego wiana Otton i Rahewin myśleli, że chodzi o małżeństwo z rozsądku, i w takim samym duchu również Baudolino, przystrojony w nowe szaty, jak wymagała tego szczęśliwa okoliczność, gotował się na spotkanie z przybranym ojcem u boku burgundzkiej starej panny, bardziej pociągającej przez odziedziczone po przodkach dobra niźli przez swą urodę.

– Wyznaję, byłem zazdrosny – powiedział Baudolino Niketasowi. – Dopiero co znalazłem sobie drugiego ojca, a już zabiera mi go, przynajmniej częściowo, nowa macocha.

W tym miejscu Baudolino zrobił przerwę, okazał, że jest nieco zakłopotany, przemknął palcem po bliźnie, a potem wyjawił straszliwą prawdę: dotarł na miejsce zaślubin i zobaczył, że Beatrycze z Burgundii to dwudziestoletnie dziewczę niezwykłej urody – a w każdym razie taką jawiła się jemu, który ledwie ją ujrzał, znieruchomiał jak głaz i wpatrywał się tylko w nią wytrzeszczonymi oczami. Włosy miała lśniące niczym złoto, twarz przepiękną, usta małe i czerwone jak dojrzały owoc, zęby śnieżnobiałe i równe, postać prostą, spojrzenie pełne skromności, oczy jasne. Przemawiała obyczajnie, lecz zniewalająco, miała delikatne ciało i wydawało się, że blaskiem swego wdzięku panuje nad wszystkimi, którzy ją otaczają. Umiała okazać (a to największa cnota przyszłej królowej), że jest posłuszna małżonkowi i że lęka się go jako swego pana, lecz była też jego panią, nie kryjąc swojej woli jako małżonki, a wszystko to czyniła z taką gracją, iż każda jej prośba od razu stawała się rozkazem. Jeśliby trzeba było dorzucić jeszcze jakąś pochwałę, można by dodać, że była biegła w sztukach, zręczna w muzyce i pełna słodyczy w śpiewie. Tak że – oznajmił na zakończenie Baudolino – nie darmo zwała się Beatrycze, była bowiem zaiste *beata*, błogosławiona.

Niketas nie potrzebował długich wywodów, by się domyślić, że młodzik zakochał się od pierwszego wejrzenia w macosze, tyle że nie wiedział, co

się z nim dzieje, albowiem coś podobnego nigdy mu się jeszcze nie zdarzyło. Już pierwsza miłość wiejskiego chłopaka do krostowatej wieśniaczki byłaby czymś porażającym i nie do zniesienia, a wyobraźmy sobie dopiero, co dla takiego wieśniaka oznacza zakochać się po raz pierwszy w dwudziestoletniej cesarzowej o mlecznej cerze!

Baudolino zaraz zrozumiał, że to, co czuje, jest jakimś oszukaństwem wobec ojca, i wmawiał sobie, że ponieważ macocha jest młoda, widzi w niej jakby siostrzyczkę. Później jednak, choć niewiele czasu poświęcił na studiowanie teologii moralnej, zdał sobie sprawę, że nie wolno mu kochać nawet siostrzyczki – w każdym razie nie z takimi dreszczami i taką siłą namiętności, jakie budził w nim widok Beatrycze. Zarumienił się więc i spuścił głowę właśnie w chwili, kiedy Beatrycze, której Fryderyk przedstawił małego Baudolina (dziwnego i umiłowanego swawolnika z równiny padańskiej, jak to określił), z czułością wyciągnęła dłoń i pogłaskała go najpierw po policzku, potem zaś po czuprynie.

Baudolino już tracił zmysły, ujrzał, jak wokół niego światło traci blask, a w uszach dzwonią mu jakby wielkanocne dzwony. Obudziła go ciężka dłoń Ottona, który walnął go w kark i syknął przez zęby: „Na kolana, bydlaku!” Przypomniał więc sobie, że znalazł się przed obliczem świętej rzymskiej cesarzowej, a ponadto królowej Italii, padł na kolana i od tej chwili zachowywał się jak przystało doświadczonemu dworakowi – poza tym, że nocami nie mógł zasnąć i zamiast radować się, iż w niewytłumaczony sposób znalazł się na swojej drodze do Damaszku, płakał wskutek nieznośnego żaru tej nierozpoznanej namiętności.

Niketas przyglądał się swemu rozmówcy o lwiej głowie, podziwiał jego subtelność wysławiania się, retoryczną treść prawie literackiej greki i zadawał sobie pytanie, co za człowieka ma przed sobą, który umie użyć języka prostaków, kiedy mówi o wieśniakach, i języka królów, kiedy mówi o monarchach. Czy człek, który potrafi tak naginać swą opowieść i wyrażać

rozmaitość ducha rzeczy, sam ma duszę? – rozmyślał. – A jeśli ma wiele dusz, to która z nich może wyrzec słowo prawdy?

5

Baudolino udziela mądrych rad Fryderykowi

Następnego ranka miasto było nadal spowite chmurą dymu. Niketas zjadł trochę owoców, przez chwilę krążył niespokojnie po izbie, a potem spytał Baudolina, czy można by posłać któregoś z genueńczyków po niejakiego Architę, który oczyściłby mu twarz.

Coś takiego – powiedział sobie Baudolino – miasto pójdzie z dymem, na ulicach podrzynają ludziom gardła, ledwie dwa dni temu ten człek mógł stracić całą rodzinę, a dzisiaj zachciało mu się kogoś, kto oczyściłby mu twarz. Widać, że w tym znieprawionym mieście ludzie z pałacu przywykli do takich rzeczy – Fryderyk kogoś takiego kazałby wyrzucić przez okno.

Po jakimś czasie przybył Archita, dźwigając kosz pełen srebrnych narzędzi i naczynek z rzadko spotykanymi wonnościami. Ten artysta najpierw rozpulchniał twarz rozgrzanymi płótnami, potem przystępował do pokrywania jej zmiękczającymi kremami, następnie wygładzał ją, usuwał wszelkie nieczystości, a na koniec nakładał na zmarszczki kosmetyki, podmalowywał lekko oczy bistrem, usta różem i depilował wnętrze uszu, nie mówiąc już o tym, co wyczyniał z brodą i włosami. Niketas siedział z zamkniętymi oczami, pieściły go biegłe dłonie, kołysał głos Baudolina, który ciągnął swoją opowieść. Baudolino zaś milkł co jakiś czas, żeby przyjrzeć się, co takiego robi ów mistrz urody, kiedy, na przykład, wydobywa z naczynka jaszczurkę, ucina jej łeb i ogon, sieka ją prawie na miazgę i podgrzewa w garnuszku z oliwą. Cóż za pytanie? Przyrządza dekokt, żeby zachować resztkę włosów, które Niketas miał na głowie,

i nadać im połysk i zapach. A ta fiolka? Ależ to esencje z gałki muszkatołowej albo kardamonu, a to woda różana, a każda z tych rzeczy przywraca wigor jakiejś części twarzy; ta miodowa masa wzmacnia wargi, a ta, której sekretu nie mogę wyjawić, dodaje jędrności dziąsłom.

Po tym wszystkim Niketas wyglądał olśniewająco, jak przystało sędziemu Zasłony i logotecie tajemnic, i jakby odrodzony jaśniał własnym blaskiem w świetle tego bladego przedpołudnia, na gniewnym tle okrytego dymami agonii Bizancjum. I Baudolino z pewnym zakłopotaniem opowiadał mu o swoim życiu młodzika w zimnym i niegościnnym klasztorze łacinników, gdzie stan zdrowia Ottona zmuszał go do dzielenia z nim posiłków składających się z gotowanych jarzyn i cienkiego rosołu.

Tego roku Baudolino miał spędzić niewiele czasu na dworze (a gdy się tam znalazł, krążył z lękiem i zarazem nadzieją w sercu, że spotka Beatrycze, i była to jedna udręka). Fryderyk musiał najpierw porachować się z Polakami *(Polanos de Polunia* – pisał Otton – *gens quasi barbara ad pugnandum promptissima)*, na marzec zwołał nowy sejm w Worms, by przygotować kolejną wyprawę do Italii, gdzie jak zawsze Mediolan ze swoimi satelitami coraz bardziej się buntował, potem sejm w Herbipolis na wrzesień, w Besançon na październik, jednym słowem wydawało się, że gna go jakiś diabeł. Baudolino zaś przeważnie przebywał w opactwie Morimond z Ottonem, poświęcał się studiom z Rahewinem i był kopistą biskupa, który coraz bardziej zapadał na zdrowiu.

Kiedy doszli do tej księgi *Chronica*, w której mówi się o prezbiterze Johannesie, Baudolino zapytał, co to znaczy być chrześcijaninem *sed Nestorianus*. Czy ci nestorianie byli trochę chrześcijanami, a trochę nie?

– Synu mój, mówiąc krótko, Nestoriusz był heretykiem, lecz wiele mu zawdzięczamy. Wiedz, że w Indiach po tym, jak Ewangelię głosił tam apostoł Tomasz, właśnie nestorianie szerzyli wiarę chrześcijańską aż po granice tych dalekich krajów, z których pochodzi jedwab. Nestoriusz

popełnił tylko jeden, ale bardzo poważny błąd w sprawie Jezusa Chrystusa naszego Pana i Jego Przenajświętszej Matki. Widzisz, my wierzymy mocno, że jest jedna jedyna natura boska i że mimo to Trójca Święta składa się w jedności tej natury z trzech oddzielnych osób, Ojca, Syna i Ducha Świętego. Lecz wierzymy również, że w Chrystusie jest tylko jedna osoba, mianowicie boska, i dwie natury, ludzka i boska. Natomiast Nestoriusz utrzymywał, że w Chrystusie są wprawdzie dwie natury, ludzka i boska, lecz także dwie osoby. Tak zatem Maryja wydała na świat tylko osobę ludzką i nie można jej nazywać Matką Boską, ale tylko matką Chrystusa człowieka, nie *Theotòkos*, czyli Bogurodzicą, tą, która urodziła Boga, lecz co najwyżej *Christotòkos.*

– Czy to wielki błąd, jeśli ktoś tak myśli?

– I tak, i nie... – niecierpliwił się Otton. – Można miłować Najświętszą Pannę, myśląc o niej jak Nestoriusz, to pewne jednak, że oddajesz Jej wówczas mniejszą cześć. A zresztą osoba to indywidualna substancja rozumnej istoty i jeżeli w Chrystusie były dwie osoby, czyżby były również dwie substancje indywidualne dwóch istot rozumnych? Dokąd w ten sposób zajdziemy? Do twierdzenia, że Jezus jednego dnia rozumował w taki, a taki sposób, a drugiego w inny? To rzekłszy, nie chcę wcale utrzymywać, że prezbiter Johannes jest wiarołomnym heretykiem, lecz byłoby bardzo dobrze, gdyby zechciał spotkać się z chrześcijańskim cesarzem, dzięki któremu mógłby docenić prawdziwą wiarę, a ponieważ z pewnością jest człowiekiem prawym, musiałby się nawrócić. Nie ulega jednak wątpliwości, że póki nie przyłożysz się choć trochę do studiów teologicznych, nigdy tych spraw nie pojmiesz. Rozbudziłeś już umysł, Rahewin jest wybornym mistrzem, jeśli chodzi o czytanie, pisanie, proste rachunki i jedną, drugą regułę gramatyczną, atoli *trivium* i *quadrivium* to rzecz inna, a jeśli chcesz dojść do teologii, musisz studiować dialektykę, tego zaś tutaj, w Morimond, nie możesz się nauczyć. Musisz udać się do jakiego *studium*, do jednej ze szkół, jakie są w wielkich miastach.

– Ale ja nie chcę iść do *studium*, bo nie wiem nawet, co to takiego.

– Kiedy się dowiesz, będziesz zadowolony, żeś tam poszedł. Widzisz, synu mój, wszyscy zwykli powtarzać, że podstawą rodzaju ludzkiego są trzy siły, rycerze, mnisi i wieśniacy, i może aż do wczoraj było to prawdą. Lecz żyjemy w nowych czasach, w których równie ważny będzie człek uczony, niekoniecznie mnich, a za to znający prawo, filozofię, niejedno o ciałach niebieskich i wielu innych rzeczach, z których nie zawsze zdaje sprawę swemu biskupowi czy królowi. A te *studia*, które pojawiają się powoli w Bolonii czy Paryżu, to miejsca, w których uprawia się i przekazuje wiedzę, wiedza zaś jest formą władzy. Ja byłem uczniem wielkiego Abelarda, oby Bóg miał w swej opiece tego człowieka, który dużo nagrzeszył, ale też dużo cierpiał i pokutował. Kiedy spotkało go nieszczęście i z zemsty pozbawiono go męskości, został mnichem i opatem i żył z dala od świata. Ale u szczytu chwały był mistrzem w Paryżu, uwielbianym przez studentów i szanowanym przez możnych właśnie ze względu na swoją wiedzę.

Baudolino obiecywał sobie, że nigdy nie opuści Ottona, od którego nadal uczył się mnóstwa rzeczy. Ale nim drzewa zakwitły po raz czwarty, odkąd poznał Ottona, malaryczne gorączki, bóle wszystkich stawów, fluksje piersiowe i oczywiście choroba kamienia sprawiły, że jego żywot dobiegał już końca. Liczni medycy, a wśród nich kilku Arabów i Żydów, czyli wszystko najlepsze, co chrześcijański cesarz mógł dać biskupowi, umęczyli jego wątłe teraz ciało, przystawiając niezliczone pijawki; lecz z powodów, których nie umiała objaśnić skarbnica wiedzy, gdy do cna prawie wytoczyli z niego krew, było z nim gorzej, niż gdyby zostawili go w spokoju.

Otton wezwał najpierw do wezgłowia Rahewina, by powierzyć mu dalszy ciąg swej historii czynów Fryderyka, i oznajmił, że sprawa nie jest trudna: trzeba opowiedzieć o wydarzeniach i włożyć w usta cesarza słowa wyjęte z pism starożytnych. Potem wezwał Baudolina.

– *Puer dilectissimus* – rzekł – odchodzę. Można by też powiedzieć, że wracam, a nie jestem pewien, które z tych wyrażeń jest trafniejsze, podobnie jak nie mam pewności, czy właściwa jest moja opowieść o dwóch miastach albo ta o czynach Fryderyka... (Zrozum, panie Niketasie, dodał Baudolino, na życiu chłopca może odcisnąć piętno spowiedź umierającego mistrza, który nie umie już dokonać rozróżnienia między dwiema prawdami). Nie jestem zgoła zadowolony, że odchodzę czy wracam, ale tak chce nasz Pan, a gdybym zaczął podawać w wątpliwość jego rozporządzenia, mógłby jeszcze w tej samej chwili razić mnie gromem, lepiej więc, bym wykorzystał tę odrobinę czasu, jaką mi zostawił. Wysłuchaj mnie przeto. Jak wiesz, pragnąłem, by cesarz zrozumiał racje miast po drugiej stronie Alp. Cesarz chciał podporządkować je cesarstwu, inaczej nie mógł postąpić, ale są różne sposoby uznawania czyjejś władzy i może dałoby się znaleźć taki, który nie uciekałby się do oblężeń i rzezi. Tak zatem ty, którego cesarz wysłuchuje i który nade wszystko jesteś synem tamtej ziemi, staraj się uczynić co w twej mocy, by pogodzić wymagania naszego pana z wymaganiami twoich miast, ażeby jak najmniej ludzi rozstało się z życiem i wszyscy w końcu byli zadowoleni. By tego dokonać, musisz nauczyć się myśleć, jak Bóg przykazał, poprosiłem więc cesarza, żeby wysłał cię do Paryża, tam bowiem najlepiej możesz studiować. Nie do Bolonii, bo tam zajmują się tylko prawem, a taki nicpoń jak ty nie powinien wtykać nosa w pandekta, albowiem w prawie nie ma miejsca na łgarstwo. W Paryżu będziesz studiował retorykę i czytał poetów: retoryka to sztuka dobrego mówienia tego, o czym nie wiesz na pewno, czy jest prawdą, a poeci mają obowiązek zmyślania pięknych kłamstw. Dobrze też będzie, jeżeli zajmiesz się choć trochę teologią, nie zmierzając jednak do tego, by zostać teologiem, albowiem w sprawach Boga Wszechmogącego nie można żartować. Studiuj na tyle, by potem pięknie prezentować się na dworze, z pewnością będziesz jakimś urzędnikiem, a to najwięcej, co może osiągnąć syn wieśniaków, będziesz żył jak rycerz na równej stopie z wieloma ludźmi

szlachetnego rodu i będziesz mógł służyć wiernie swemu przybranemu ojcu. Tak czyń na moją pamiątkę i niechaj Jezus mi wybaczy, żem mimo woli użył Jego słów.

Potem zarzęził, opadł na poduszki i znieruchomiał. Baudolino już miał zamknąć mu oczy, uznając, że Otton wydał ostatnie tchnienie, ale ten otworzył nagle usta i wykorzystując ten ostatni dech, szepnął:

– Baudolino, pamiętaj o królestwie prezbitera Johannesa. Tylko w poszukiwaniu tych ziem można zanieść chorągwie chrześcijaństwa dalej, niż leży Bizancjum i Jerozolima. Słyszałem, jak wymyślałeś rozmaite historie, w które cesarz zechciał wierzyć. Jeśli więc nie masz innych wiadomości o tym królestwie, zmyślaj je. Bacz, że nie żądam, byś dawał świadectwo temu, co uważasz za fałsz, byłby to bowiem grzech, lecz byś dawał fałszywe świadectwo temu, co uważasz za prawdę, to zaś jest czynem cnotliwym jako rada na brak czegoś, co z pewnością istnieje albo się wydarzyło. Proszę cię zatem: z pewnością jakiś Johannes żyje dalej niż ziemie Persów i Ormian, dalej niż Bakta, Ekbatana, Persepolis, Susa i Arbela i jest potomkiem magów... Pchnij Fryderyka na wschód, tam bowiem jest światło, które oświetli go jako największego z wszystkich królów... Wyprowadź cesarza z tego błota, które rozciąga się między Mediolanem i Rzymem... Pozostanie nim oblepiony do samej śmierci. Niech trzyma się jak najdalej od królestwa, w którym rządzi papież. Będzie bowiem cesarzem tylko w połowie. Pamiętaj, Baudolino... Prezbiter Johannes... Droga na Wschód...

– Czemu jednak mówisz to mnie, mistrzu, nie zaś Rahewinowi?

– Bo Rahewin nie ma wyobraźni, potrafi opowiadać tylko o tym, co sam widział, a czasem nawet i o tym nie, gdyż nie pojmuje, co zobaczył. A ty umiesz wyobrazić sobie rzeczy, których nie widziałeś. Och, skąd ta ciemność?

Baudolino, który był wszak łgarzem, powiedział, by się tym nie gnębił, bo nadciąga noc. Dokładnie z wybiciem południa Otton wydał z głębi

gardła ochrypłe syknięcie i jego otwarte oczy zastygły wpatrzone w jeden punkt, jakby w księdza Jana zasiadającego na tronie. Baudolino zamknął mu powieki i zalał się szczerymi łzami.

Zasmucony śmiercią Ottona, Baudolino na kilka miesięcy znalazł się u boku Fryderyka. Najpierw pocieszał się myślą, że widząc cesarza, zobaczy także cesarzową. I zobaczył, ale tylko jeszcze bardziej się zasmucił. Nie zapominajmy, że zbliżał się już do szesnastego roku życia i choć przedtem jego miłość mogła uchodzić za dziecięcy zamęt w głowie, z którego niewiele pojmował, teraz zmieniała się w świadome pożądanie i prawdziwą udrękę.

By nie pogrążać się w smutku na dworze, zawsze trzymał się Fryderyka w polu i był świadkiem rzeczy, które niezbyt się mu spodobały. Mediolańczycy po raz drugi zburzyli Lodi, a właściwie za pierwszym razem splądrowali to miasto, uprowadzając zwierzęta, zabierając z każdego domu plony i sprzęty, potem zaś wypędzili poza mury samych lodijczyków, zapowiadając, że jeśli nie pójdą wszyscy stąd do diabła, wytną ich mieczem – także kobiety, starców i dzieci, nawet te w kołysce. Lodijczycy pozostawili w mieście tylko psy i w deszczu ruszyli pieszo przez pola, również panowie, którym zabrano konie, niewiasty z dziećmi na ręku, i bywało, padali na drodze albo staczali się niebezpiecznie do rowów. Schronili się między rzekami Adda i Serio, gdzie z trudem znaleźli rudery, w których spali jedni na drugich.

To jednak nie uśmierzyło gniewu mediolańczyków, którzy wrócili do Lodi, pojmali tych nielicznych, co nie chcieli stąd odejść, wycięli winorośle i rośliny uprawne i podłożyli ogień pod domy, niosąc zagładę wielkiej liczbie psów.

Czegoś takiego cesarz nie może darować, tak więc Fryderyk raz jeszcze ruszył do Italii z wielką armią złożoną z Burgundów, Lotaryńczyków, Czechów, Węgrów, Szwabów, Franków i kogo tam jeszcze. Przede

wszystkim ufundował w Montegezzone nowe Lodi, a potem rozbił obóz pod Mediolanem wraz z pełnymi zapału pomocnikami, a to pawijczykami, kremończykami, pisańczykami, lukkijczykami, florentyńczykami, sieneńczykami, vicentynczykami, trewizyjczykami, padewczykami, ferraryjczykami, rawennijczykami, modeńczykami i tak dalej, którzy sprzymierzyli się z cesarstwem, żeby upokorzyć Mediolan.

I dopięli swego. Pod koniec lata miasto uległo i żeby je ocalić, mediolańczycy poddali się obrzędowi, który upokorzył nawet Baudolina, choć jego z mediolańczykami nic nie łączyło. Pokonani przeszli smutną procesją przed swoim panem, jak błagający o przebaczenie – wszyscy boso i ubrani w pokutne worki, nawet biskup, żołnierze zaś z mieczami zawieszonymi na szyi. Wtedy Fryderyk okazał wspaniałomyślność i wymienił z upokorzonymi pocałunek pokoju.

Czy warto było – powiedział sobie Baudolino – postępować tak despotycznie z lodijczykami, a potem tak stchórzyć? Czy warto żyć na tej ziemi, gdzie jest tak, jakby wszyscy ślubowali popełnić samobójstwo i jedni pomagają drugim zabijać samych siebie? Chcę znaleźć się stąd jak najdalej. W gruncie rzeczy chciał też znaleźć się jak najdalej od Beatrycze, gdyż w końcu wyczytał gdzieś, że czasem oddalenie może wyleczyć z miłosnej choroby (a nie przeczytał jeszcze innych ksiąg, w których powiada się coś przeciwnego, to jest, iż oddalenie podsyca płomień namiętności). Poszedł więc do Fryderyka, żeby przypomnieć mu o radzie Ottona i poprosić o wysłanie do Paryża.

Zastał cesarza smutnego i gniewnego. Fryderyk krążył po komnacie, a w kącie siedział Reginald z Dassel i czekał, by jego pan się uspokoił. W pewnym momencie Fryderyk przystanął, spojrzał w oczy Baudolina i rzekł:

– Jesteś świadkiem, chłopcze, że trudzę się, żeby nadać miastom Italii jedno prawo, ale za każdym razem muszę zaczynać od nowa. Może moje

prawo jest złe? Kto powiedział, że moje prawo jest sprawiedliwe?

Na to Baudolino, prawie bez zastanowienia:

– Panie, jeżeli zaczniesz myśleć w ten sposób, nie skończysz nigdy, a przecież cesarz jest właśnie po to, to znaczy nie dlatego jest cesarzem, że przychodzą mu do głowy myśli słuszne, ale myśli są słuszne dlatego, że przychodzą do głowy właśnie jemu, koniec, kropka.

Fryderyk mu się przyjrzał, a potem, zwracając się do Reginalda, rzekł:

– Ten chłopak potrafi ująć rzecz trafniej niż wy wszyscy! Gdyby te słowa przełożyć na dobrą łacinę, byłyby wprost wspaniałe!

– *Quod principi plaquit legis habet vigorem*, co podoba się księciu, ma moc prawa – powiedział Reginald. – Tak, to brzmi bardzo roztropnie i rozstrzygająco. Ale musiałoby być zapisane w Ewangelii, jakże bowiem inaczej przekonać wszystkich, żeby pogodzili się z tą piękną zasadą?

– Widzieliśmy, co stało się w Rzymie – ciągnął Fryderyk. – Jeśli każę się namaścić papieżowi, przyznam *ipso facto*, że jego władza jest nad moją, jeśli wezmę papieża za kołnierz i cisnę do Tybru, będę biczem bożym, jakim nawet świętej pamięci Attyla... Gdzie, do diaska, znajdę kogoś, kto określi moje prawa, nie próbując przy tym wynieść siebie ponad mnie? Nie masz nikogo takiego na tym świecie.

– Może nie ma takiej władzy – odezwał się Baudolino – ale jest wiedza.

– Co masz na myśli?

– Kiedy biskup Otton opowiadał mi, czym jest *studium*, rzekł, że te wspólnoty mistrzów i uczniów są samodzielne: uczniowie przybywają z całego świata i nikt nie pyta, kto jest ich władcą, opłacają mistrzów, którzy wskutek tego od nich tylko zależą. Tak jest z mistrzami prawa w Bolonii i tak się zaczyna to układać także w Paryżu, gdzie mistrzowie nauczali w szkole katedralnej, a zatem zależeli od biskupa, a potem zaczęli nauczać na Górze Świętej Genowefy i starają się dojść do prawdy, nie dając posłuchu ani biskupowi, ani królowi.

– Gdybym był ich królem, raz-dwa zobaczyliby, jak się dochodzi do prawdy. A jeśli nawet tak jest?

– Będzie tak, jeśli ogłosisz prawo, w którym przyznasz, że mistrzowie z Bolonii są naprawdę niezawiśli od wszelkiej władzy, od ciebie, papieża czy innego suwerena, i służą jedynie Prawu. Gdy tylko zyskają tę jedyną na świecie godność, obwieszczą, że zgodnie z prawym rozumem, światłem przyrodzonym i tradycją jedynym prawem jest prawo rzymskie, a jedynym, który je reprezentuje, święty cesarz rzymski, i że naturalnie, jak ujął to nader trafnie Reginald, *quo principia plaquit legis habet vigorem.*

– A czemu mieliby coś takiego powiedzieć?

– Bo ty w zamian dasz im prawo do powiedzenia właśnie tego, a to wcale niemało. W ten sposób ty będziesz zadowolony, oni też, i jak powiadał mój ojciec Gagliaudo, ni ciebie, ni ich nikt nie śmie tknąć palcem.

– Nigdy się na to nie zgodzą – wymamrotał Reginald.

– Ależ tak – twarz Fryderyka pojaśniała – zapewniam cię, że się zgodzą. Tyle że najpierw będą musieli złożyć to oświadczenie, a potem ja dam im niezawisłość, inaczej bowiem wszyscy pomyślą, że złożyli je z wdzięczności za mój dar.

– Jeśli ktoś zechce powiedzieć, że umówiliście się w tej sprawie, to i tak powie, nie pomoże dobry Boże – zauważył sceptycznie Baudolino. – Ale kiedy już sam cesarz zechce pokornie poprosić doktorów z Bolonii o zdanie, chciałbym zobaczyć takiego, który odważy się powiedzieć, że ci uczeni mężowie są nic niewarci. W takiej sytuacji wszystko, co powiedzą, będzie jak Ewangelia.

I właśnie tak się to odbyło jeszcze tego samego roku w Roncaglii, gdzie po raz drugi zwołano wielki sejm. Dla Baudolina było to przede wszystkim wspaniałe widowisko. Jak wyjaśnił mu Rahewin – by nie myślał, że wszystko, co widzi, te rozwiane na wietrze chorągwie, te herby, barwne namioty, ci kupcy i kuglarze, jest tylko cyrkową grą – Fryderyk kazał

zbudować nad Padem typowy rzymski obóz, chciał bowiem przypomnieć w ten sposób, że jego godność ma swe źródło w Rzymie. W samym środku obozu stał niby świątynia namiot cesarski otoczony kręgiem przez namioty feudałów, wasali pierwszego stopnia i dalszych. Po stronie Fryderyka znaleźli się arcybiskup Kolonii, biskup Bambergu, Daniel z Pragi, Konrad z Augusty i inni. Na drugim brzegu rzeki rozbili namioty kardynał legat Stolicy Apostolskiej, patriarcha Akwilei, arcybiskup Mediolanu, biskupi Turynu, Alby, Ivrei, Asti, Novary Vercelli, Terdony, Pawii, Como, Lodi, Cremony, Piacenzy, Reggio, Modeny, Bolonii i któż by spamiętał jacy jeszcze. Zasiadłszy w tym uroczystym, majestatycznym i zaiste powszechnym zgromadzeniu, Fryderyk otworzył dysputę.

Jednym słowem (powiedział Baudolino, żeby nie zanudzać Niketasa arcydziełami cesarskiego, prawniczego i kościelnego krasomówstwa), cesarz poprosił czterech doktorów z Bolonii, najsławniejszych uczniów wielkiego Irneriusza, by przedstawili swoje ostateczne doktrynalne zdanie w sprawie jego władzy, i trzej z nich, Bułgar, Jacopus i Hugon z Porta Ravegnana, wypowiedzieli się zgodnie z życzeniem Fryderyka, to znaczy oznajmili, że władza cesarza wynika z prawa rzymskiego. Odmiennego zdania był tylko Martinus.

– Któremu Fryderyk kazał wyłupić oczy – wtrącił swój komentarz Niketas.

– Otóż nie, panie Niketasie – odparł Baudolino. – Wy, *romaei*, wyłupiacie oczy na prawo i lewo i sami nie wiecie już, gdzie jest prawo, zapominając o waszym wielkim Justynianie. Natychmiast potem Fryderyk ogłosił *Constitutio Habita*, w której uznał niezawisłość bolońskiego *studium*, a skoro *studium* jest niezawisłe, Martinus może mówić, co tylko zechce, i nie spadnie mu za to włos z głowy. Gdyby bowiem spadł, doktorzy nie byliby niezawiśli, a jeśliby nie byli niezawiśli, ich wyrok byłby bezwartościowy i Fryderyk mógłby być poczytany za uzurpatora.

Wybornie – rozmyślał Niketas – pan Baudolino chce dać mi do zrozumienia, że to on jest założycielem cesarstwa i że cokolwiek powiedział, jego moc była tak wielka, że to cokolwiek stawało się prawdą. Słuchajmy dalej.

Przyszli genueńczycy z koszykiem owoców, gdyż zbliżało się południe i Niketas powinien nabrać sił. Oznajmili, że plądrowanie miasta trwa i lepiej siedzieć nadal w domu. Baudolino wrócił do swej opowieści.

Fryderyk uznał, że skoro taki gołowąs, edukowany ponadto przez głupca, jakim jest Rahewin, miewa tak mądre pomysły, kto wie, co się zdarzy, jeśli naprawdę wyśle się go na nauki do Paryża. Uściskał więc Baudolina z miłością, zalecając, by stał się naprawdę mędrcem, zważywszy, że on sam, zaprzątnięty rządzeniem i wyprawami wojennymi, nigdy nie miał dość czasu, by zdobyć należyte wykształcenie. Cesarzowa odprawiła młodzieńca, składając mu pocałunek na czole (łatwo sobie wyobrazić, jaką rozkosz odczuł w tym momencie Baudolino) i mówiąc (ta niezwykła niewiasta, choć przecież wielka dama i królowa, sama umiała czytać i pisać):

– Pisz do mnie, opowiadaj o sobie, o wszystkim, co ci się przytrafia. Życie jest krótkie i monotonne. Twoje listy podtrzymają mnie na duchu.

– Będę pisał, przysięgam – zapewnił Baudolino z zapałem, który powinien wzbudzić podejrzenia obecnych.

Nikt nie powziął jednak podejrzeń (któż zwraca uwagę na podniecenie młodzika, który wyprawia się do Paryża?) poza może samą Beatrycze. Spojrzała nań, jakby widziała go po raz pierwszy, i jej białe lico okryło się nagle rumieńcem. Lecz Baudolino złożył już ukłon, który zmuszał go do wbicia wzroku w ziemię, i opuścił komnatę.

6

Baudolino wyprawia się do Paryża

Baudolino jechał do Paryża nieco za późno, gdyż do owych szkół wstępowało się nawet przed czternastym rokiem życia, on zaś miał dwa lata więcej. Ale tylu rzeczy dowiedział się już od Ottona, że – jak zobaczymy – pozwalał sobie opuszczać wykłady i zajmować się innymi sprawami.

Wyruszył z towarzyszem, synem pewnego rycerza z Kolonii, młodzieńcem, który wolał poświęcić się sztukom wyzwolonym niż wojaczce – ku strapieniu ojca, lecz wspierany przez matkę. Radowały ją talenty młodziutkiego poety, którego prawdziwego imienia Baudolino zapomniał, choć może nigdy go nie poznał. Nazywał go Poetą, podobnie jak inni, którzy poznali go później. Bardzo szybko odkrył, że Poeta nigdy nie napisał żadnego wiersza, lecz tylko głosił, że chce je pisać. Ponieważ recytował zawsze poezje innych, w końcu także ojciec nabrał przeświadczenia, że jego syn musi służyć muzom, i pozwolił mu wyjechać, wyposażając go tak tylko, by starczyło na życie, żywił bowiem całkowicie błędne mniemanie, że to, co wystarczy, by przeżyć w Kolonii, wystarczy, i to z nawiązką, w Paryżu.

Po przybyciu na miejsce Baudolino nie mógł się doczekać chwili, kiedy będzie mógł spełnić życzenie cesarzowej, i zaraz napisał kilka listów. Na początku miał nadzieję, że wykonując jej wolę, ugasi trawiący go ogień, ale bardzo szybko spostrzegł, ile bólu przysparza pisanie, kiedy nie może wyjawić tego, co naprawdę czuje, i układał nieskazitelne i grzeczne listy, w których opisywał Paryż, miasto już wtedy bogate w piękne kościoły.

Oddychało się tam czystym powietrzem, niebo było rozległe i pogodne, chyba że właśnie padało, lecz to zdarzało się nie częściej niż raz albo dwa razy dziennie, i dla kogoś, kto przybywał z krainy prawie wiecznych mgieł, było to miejsce nigdy nieustającej wiosny. Płynęła tam kręta rzeka z dwiema wyspami pośrodku, woda do picia była doskonała, a tuż za murami ciągnęły się obszary, nad którymi unosiły się balsamiczne wonie, jak choćby owa łąka nieopodal opactwa Świętego Germana, gdzie można było spędzać przyjemnie popołudnia, grając w piłkę.

Opisał swoje trudy z pierwszych dni pobytu, musiał bowiem znaleźć sobie jakiś pokój, który będzie dzielił z towarzyszem, bacząc przy tym, by gospodarz nie zdarł z niego skóry. Znaleźli drogą, dość przestronną stancję ze stołem, dwiema ławami, półkami na księgi oraz skrzynią na rzeczy. Było tam wysokie łoże z pierzyną z piór strusich i drugie niskie na kółkach z pierzyną z piór gęsich, wsuwane na dzień pod tamto wysokie. W liście nie było ani słowa o tym, że po krótkiej sprzeczce o przydział łóżek zapadło postanowienie, iż każdego wieczoru dwaj współlokatorzy będą grali w szachy o wygodniejsze – gdyż szachy uważano na dworze za grę niezbyt godną polecenia.

W innym liście była mowa o tym, że przyszło mu wstawać bardzo wcześnie, gdyż wykłady zaczynają się o siódmej i trwają do późnego popołudnia. Trzeba było przygotować sobie solidną porcję chleba i porządny dzban wina; mistrzów słuchało się w pomieszczeniu przypominającym stajnię, siedząc na okrytej cienką warstwą słomy ziemi, przy czym w środku panował większy chłód niż na zewnątrz. Beatrycze wzruszyła się tą wiadomością i poleciła nie oszczędzać na winie, bo inaczej przez cały dzień będzie się czuł ospale, oraz przyjąć służącego – nie tylko po to, by nosił księgi, które są wszak bardzo ciężkie, a noszenie ich przynosi ujmę osobie godnej, ale również, by kupował drewno i rozpalał na czas ogień, ażeby wieczorem panowało w izbie miłe ciepło. I na te

wszystkie wydatki przysłała czterdzieści soldów susańskich, za które można by kupić wołu.

Sługi nie wzięto, drewna nie kupiono, gdyż dwie pierzyny wystarczały w nocy całkowicie, soldy wydano na rzeczy pożyteczniejsze, jako że wieczory spędzało się w oberżach, które były wyśmienicie ogrzewane i pozwalały wrócić do sił po pracowitym dniu poświęconym nauce i obmacywaniu tyłeczków służących. A poza tym w tych miejscach wesołego odpoczynku, jak Srebrna Tarcza, Żelazny Krzyż czy Pod Trzema Kandelabrami, między jednym a drugim dzbanem człowiek pokrzepiał się wieprzowym albo kurzym pasztetem, dwoma gołąbkami albo pieczoną gęsią, jeśli zaś ktoś był biedny – flakami czy baraniną. Baudolino wspierał Poetę, który miał puste kieszenie, bo nie chciał, by ten odżywiał się ciągle flakami. Ale Poeta był przyjacielem kosztownym, gdyż przez wino, które wypijał, ów wół susański marniał w oczach.

Baudolino, nie dbając o tego rodzaju szczegóły, przechodził od razu do opisu swoich mistrzów i owych pięknych rzeczy, których się od nich uczył. Beatrycze była niezwykle zaciekawiona tego rodzaju wieściami, pozwalały bowiem uśmierzyć własne pragnienie wiedzy, i wiele razy czytała listy, w których Baudolino opowiadał jej o gramatyce, dialektyce, retoryce i arytmetyce, o geometrii, muzyce i astronomii. Czuł się jednak coraz podlej, gdyż przemilczał to, co działo się w jego sercu, i wszystko inne, co czynił, a czego nie wyjawia się ani matce, ani siostrze, ani cesarzowej, a już z pewnością umiłowanej niewieście.

Przede wszystkim grywało się, a jakże, w piłkę, ale dochodziło też do bójek z mieszkańcami opactwa Świętego Germana lub między studentami z różnych krajów, na przykład między Pikardyjczykami i Normanami, którzy znieważali się przy tym po łacinie, ażeby każdy mógł zrozumieć, że się go obraża. Wszystko to nie wzbudzało zachwytu wielkiego prewota, który wysyłał swoich łuczników, żeby zatrzymywali najbardziej krewkich.

Nie trzeba dodawać, że wówczas żacy zapominali o dzielących ich różnicach i ramię w ramię ruszali przeciwko łucznikom.

Trudno było znaleźć na całym świecie kogoś bardziej przekupnego niż łucznicy prewota, jeśli więc zatrzymali któregoś z żaków, pozostali musieli sięgnąć do kieszeni, by nakłonić ich do wypuszczenia więźnia. To także podnosiło koszty paryskich przyjemności.

Poza tym żak, który unikał miłosnych przygód, stawał się przedmiotem szyderstw ze strony swych kolegów. Niestety, kobiety były dobrem najtrudniej dostępnym dla zaprzątniętego naukami młodzieńca. Żak rodzaju żeńskiego był rzadkością i ciągle jeszcze krążyły legendy o pięknej Heloizie, za którą kochanek zapłacił utratą męskości, aczkolwiek co innego być żakiem, czyli kimś z definicji cieszącym się złą sławą, a co innego profesorem, jak wielki i nieszczęsny Abelard. Jeśli chodzi o miłość płatną, nie można było zbytnio sobie folgować, okazywała się bowiem kosztowna, pozostawało więc zbliżyć się do jakiejś służki z oberży albo miejscowej dziewczyny z ludu, ale w dzielnicy było zawsze więcej chętnych żaków niż dziewcząt.

Chyba że umiało się krążyć z roztargnioną miną i łajdackim spojrzeniem po wyspie Cité i uwodzić możne damy. Wielkim wzięciem cieszyły się małżonki rzeźników z placu Greve, którzy po latach wykonywania z honorem swego zawodu nie zabijali już zwierząt, lecz rządzili targiem i zachowywali się jak panowie. Małżonki rzemieślników, którzy urodzili się wśród ćwierci wołów i dorobili się na stare lata, były wrażliwe na uroki co dorodniejszych żaków. Ale damy te nosiły zbytkowne stroje i futra oraz pasy zdobne srebrem i klejnotami, tak że trudno było odróżnić je na pierwszy rzut oka od kosztownych nierządnic, które odziewały się tak samo, choć prawo wyraźnie tego zakazywało. Narażało to żaków na zgubne pomyłki, które ściągały potem na ich głowy kpiny kolegów:

Jeśli zaś udało się zdobyć prawdziwą damę albo nawet nieskalaną dziewicę, prędzej czy później o szkodzie dowiadywali się mężowie lub

ojcowie, dochodziło do rękoczynów, a nawet sięgano po broń, wszystko kończyło się śmiercią albo ranami, przy czym ofiarą prawie zawsze padał małżonek lub ojciec, i trzeba było wracać do bijatyk z łucznikami prewota. Baudolino nikogo nie zabił i zwykle trzymał się daleko od burd, ale miał do czynienia z pewnym mężem (i rzeźnikiem). Ponieważ był pełen żaru w miłości, ale ostrożny w wojennej potrzebie, kiedy tylko małżonek wkroczył do izby, wymachując jednym z tych haków, na których wiesza się zwierzęta po dokonaniu uboju, spróbował wyskoczyć przez okno. Właśnie obliczał rozważnie wysokość czekającego go skoku, gdy otrzymał cięcie w policzek, które na zawsze ozdobiło jego oblicze szramą godną wojennego męża.

Z drugiej strony nie codziennie zdarzała się sposobność do przywabienia sobie niewiasty z ludu i wymagało to cierpliwego trwania na obranym stanowisku (z uszczerbkiem dla wykładów) oraz całych dni wpatrywania się w okno, a to stawało się nader nudne. Lepiej więc było porzucić marzenia o podbojach i oblewać wodą przechodniów lub zaczepiać kobiety, strzelając grochem z dmuchawy, albo po prostu wyśmiewać się z przechodzących mistrzów, a jeśli ci wpadali w złość, można było podążać za nimi całą gromadą aż do domu i rzucać kamieniami w okna, boć przecież to żacy ich opłacali, mieli więc chyba jakieś prawa.

W gruncie rzeczy Baudolino mówił Niketasowi to, co przemilczał Beatrycze, że mianowicie był na dobrej drodze, by stać się jednym z tych klerków, którzy studiowali sztuki wyzwolone w Paryżu, prawo w Bolonii, medycynę w Salerno czy magię w Toledo, lecz w żadnym z tych miejsc nie przyswajali sobie dobrych obyczajów. Niketas nie wiedział, czy ma się czuć zgorszony, zdumiony czy rozbawiony. W Bizancjum były tylko prywatne szkoły dla synów zamożnych rodzin, gdzie od najmłodszych lat uczono gramatyki oraz czytano pobożne dzieła i arcydzieła starożytnych; po ukończeniu jedenastego roku życia zapoznawano się z poezją i retoryką,

uczono się układać wiersze według zasad, jakie uznawali starożytni, a im bardziej wyszukanych terminów się używało, im bardziej złożonych konstrukcji syntaktycznych, tym pewniejsza była, jak mniemano, świetlana przyszłość w cesarskiej administracji. Potem jednak zostawało się albo mędrcem w tym czy innym klasztorze, albo studiowało prywatnie u mistrzów materie takie, jak prawo czy astronomia. Studiowano jednak z powagą, w Paryżu zaś żacy robili, jak się zdaje, wszystko, tylko nie przykładali się do nauk.

Baudolino wyprowadził go z błędu:

– W Paryżu ciężko się pracowało. Na przykład po pierwszych paru latach brało się już udział w dysputach, w dysputach zaś można się nauczyć formułowania zastrzeżeń i przechodzenia do definicji, a zatem do ostatecznego rozstrzygnięcia kwestii. Nie myśl zresztą, że wykłady są dla studenta rzeczą najważniejszą ani że oberża jest miejscem, w którym traci się tylko czas. Najpiękniejsze w *studium* jest to, że owszem, uczysz się od mistrzów, lecz jeszcze więcej od kompanów, a zwłaszcza starszych od siebie, opowiadają ci bowiem, co przeczytali, ty zaś widzisz, że świat jest pełen rzeczy cudownych i że jeśli chcesz je poznać, musisz czytać księgi, bo życia by ci nie starczyło na wędrówki po całej ziemi.

Baudolino miał okazję przeczytać wiele ksiąg, kiedy przebywał u boku Ottona, ale nie wyobrażał sobie, że może ich być na świecie tyle, ile zobaczył w Paryżu. Nie wszyscy mieli do nich dostęp, lecz dzięki sprzyjającemu losowi, a może pilnemu uczęszczaniu na wykłady, poznał Abdula.

– Jeśli mam wyjaśnić, co Abdul ma wspólnego z bibliotekami, muszę, panie Niketasie, zrobić krok wstecz. Kiedy więc pewnego ranka słuchałem akurat wykładu, dmuchając sobie jak zwykle w palce, żeby nieco je rozgrzać, ze zlodowaciałym siedzeniem, gdyż słoma marnie zasłaniała posadzkę, zziębnięty jak cały Paryż w tych zimowych dniach, zobaczyłem

nieopodal chłopca, który z cery wydał mi się Saracenem, lecz był rudowłosy, co u Maurów się nie zdarza. Nie wiem, czy słuchał wykładu, czy szedł tropem swoich myśli, ale jego spojrzenie ginęło gdzieś w pustce. Drżał z zimna i co jakiś czas otulał się ciaśniej ubraniem, a potem znów zatapiał wzrok gdzieś w powietrzu i czasem zapisywał coś na tabliczce. Wyciągnąłem szyję i zauważyłem, że raz kreślił te ślady muszej sraczki, jakimi są litery Arabów, raz zaś pisał w jakimś języku przypominającym łacinę, lecz niebędącym łaciną, a nasuwającym na myśl dialekty używane w moich stronach. Kiedy wykład dobiegł końca, spróbowałem do niego zagadać. Chłopak odpowiedział grzecznie, jakby od dawna szukał kogoś, z kim mógłby porozmawiać. Zawiązała się między nami przyjaźń i przechadzaliśmy się nad rzeką, on zaś opowiadał mi swoją historię.

Nazywał się Abdul, właśnie jak Maur, lecz urodził się z matki pochodzącej z Hibernii, co tłumaczyło, skąd te rude włosy, wszyscy bowiem przybywający z tej wyspy na krańcach świata mają takie właśnie włosy oraz sławę dziwaków i marzycieli. Ojciec był Prowansalczykiem i pochodził z rodziny, która ponad pięćdziesiąt lat wcześniej, po zdobyciu Jerozolimy, osiadła w Outremer. Abdul próbował wyjaśnić, że szlachetni Frankowie z królestw ultramarines przejęli obyczaje podbitych ludów, nosili turbany i inne turecczyzny, mówili językiem swoich wrogów i niewiele brakowało, a postępowaliby według zaleceń Alkoranu. Dlatego rudowłosy Hiperborejczyk (w połowie) otrzymał imię Abdul i miał twarz spaloną od słońca ojczystej Syrii, gdzie przyszedł na świat. Myślał po arabsku, a po prowansalsku opowiadał zasłyszane od matki starodawne sagi z lodowatych mórz północnych.

Baudolino od razu zapytał go, czy przybył do Paryża, by stać się na nowo dobrym chrześcijaninem i mówić jak się należy, to znaczy płynną łaciną. Jeśli chodzi o powody przybycia do Paryża, Abdul zachowywał raczej powściągliwość. Mówił o czymś, co mu się przytrafiło; jak się zdaje,

chodziło o jakąś niepokojącą sprawę, o straszliwą próbę, której został poddany jako dziecko, tak że rodzice postanowili wysłać go do Paryża, żeby uchronić przed nie wiadomo czyją zemstą. Kiedy o tym mówił, spochmurniał, zarumienił się, jeśli Maur może się zarumienić, drżały mu ręce, Baudolino postanowił więc zmienić temat.

Chłopak był bystry, po kilku miesiącach pobytu w Paryżu mówił po łacinie i dialektem tutejszego gminu, mieszkał u stryja, kanonika opactwa Świętego Wiktora, jednego z największych sanktuariów wiedzy w tym mieście (i być może w całym chrześcijańskim świecie), które miało bibliotekę bogatszą niż aleksandryjska. Oto wyjaśnienie, w jaki sposób – dzięki Abdulowi – także Baudolino i Poeta zyskali dostęp do tej skarbnicy powszechnej wiedzy.

Baudolino zapytał Abdula, co ten pisał podczas wykładu, a przyjaciel odpowiedział, że notatki po arabsku dotyczyły pewnych spraw poruszonych przez mistrza, a dotyczących dialektyki, arabski jest bowiem z pewnością językiem najbardziej odpowiednim do filozofowania. Inne rzeczy były po prowansalsku. Nie chciał o tym mówić, długo się wymigiwał, ale miał minę jak człowiek, który błaga oczami, by go dalej wypytywać, a w końcu wyjawił swą tajemnicę. Były to wiersze i brzmiały mniej więcej tak: „O ma miłości z tak odległej ziemi / serce mnie boli, gdy myślę o tobie... o kwiecista ma zasłono, moja nieznajoma, moja towarzyszko”.

– Piszesz wiersze? – spytał Baudolino.

– Śpiewam pieśni. Śpiewam to, co czuję. Kocham pewną daleką księżniczkę.

– Księżniczkę? Kimże jest ona?

– Nie wiem. Widziałem ją... właściwie niezupełnie, ale jakbym ją widział... kiedy w Ziemi Świętej byłem więźniem... no tak, kiedy przeżywałem przygodę, o której jeszcze ci nie opowiedziałem. Moje serce ogarnął płomień i przysiągłem tej Damie dozgonną miłość. Postanowiłem poświęcić jej życie. Może któregoś dnia ją odnajdę, boję się jednak

zarazem, że może to nastąpić. Tak pięknie jest tęsknić za miłością, która nie może się spełnić.

Baudolino już miał powiedzieć: przebiegły kos, jak mawiał jego ojciec, lecz zaraz sobie przypomniał, że także on tęsknił za miłością, która nie może się spełnić (chociaż on z pewnością widział Beatrycze i jej obraz nękał go po nocach), i rozczulił się nad losem swojego druha Abdula.

Tak zaczyna się piękna przyjaźń. Tego samego wieczoru Abdul zjawił się w izbie Baudolina i Poety z instrumentem, jakiego Baudolino nigdy dotąd nie widział, w kształcie mandorli i z mnóstwem napiętych strun, a pobłądziwszy po niej chwilę palcami, zaśpiewał:

Gdy strumyk wytryska ze źródła
Przejrzystą wodą, olśniewa
Jak zawsze blaskiem dzika róża,
A słowik śpiewa na gałązce
kanconę zmienną, lecz i ciszą
Pieśń swoją syci, i słodyczą,
Wtedy ma pieśń mu towarzyszy.

O miłości ma z ziem dalekich,
Jakimże bólem serce ranisz,
Jakże inaczej je uleczyć,
Niźli biec za twym wezwaniem
Tam, gdzie ciepło twojej wełny,
O zasłono ma ukwiecona,
Przyjaciółko, o nieznajoma.

Nie wiem, kędy k tobie droga,

I żar pragnienia mnie trawi.
To wiem jeno, z woli Boga,
Że śród chrześcijanek prawych,
Saracenek ni Żydówek
Nie najdę równej piękności.
Któż godzien twojej miłości?

Z wieczora i gdy dzień nadchodzi,
Przyzywam cię, umiłowana;
Rozum od zmysłów odchodzi,
Miłość słońce mi przesłania.
I cierń boleściwy czuję,
Który zdrowia jest zwiastunem,
I łzę, która mnie obmywa.

Melodia była pełna słodyczy, akordy rozbudzały nieznane lub uśpione namiętności i Baudolino myślał w tym momencie o Beatrycze.

– Chryste Panie – rzekł Poeta – czemu nie umiem napisać wierszy tak pięknych?

– Nie chcę być poetą. Śpiewam dla siebie i tyle. Jeśli chcesz, dam ci je – rzekł rozczulony teraz Abdul.

– A kiedy przełożę je z prowansalskiego na niemiecki, zmienią się w gówno – odparł Poeta.

Abdul dołączył na trzeciego do ich kompanii i podczas gdy Baudolino starał się nie myśleć o Beatrycze, ten obdarzony talentem rudowłosy Maur brał do ręki przeklęty instrument i śpiewał kancony, które dręczyły serce Baudolina.

Gdy słowik między listowiem
Miłości pragnie i miłować
Przysięga, i do wtóru śpiewa
Przyjaciółka, której pienia
Łączą się z potoczku szmerem
I łąki cichym weselem,
Radość serce me wypełnia.

Od miłowania topnieje
Dusza ma i o prebendy większe
Ani dba, niźli które przeleje
Miłość i które najprędzej
Rozpalają me serce schorzałe
Pragnienia i tęsknoty żarem,
Zostawiając smak zasmucenia.

Baudolino pomyślał, że nadejdzie dzień, kiedy i on napisze kanconę dla swej dalekiej cesarzowej, lecz nie wiedział, jak to robić, gdyż ani Otton, ani Rahewin nie mówili mu nigdy o poezji – chyba że ucząc jakiejś nabożnej pieśni. Na razie zadowalał się tym, że dzięki Abdulowi miał dostęp do biblioteki u Świętego Wiktora, w której z uszczerbkiem dla wykładów spędzał przedpołudnia, z półotwartymi ustami przetrawiając niezwykłe księgi, nie podręczniki gramatyki, lecz opowieści Pliniusza, romans Aleksandra, geografię Solinusa i etymologie Izydora...

Czytał więc o dalekich ziemiach, gdzie żyją krokodyle, wielkie wodne węże, które płaczą, kiedy zjedzą człowieka, mają ruchomą górną szczękę, a nie mają języka; hipopotamy, pół ludzie, pół konie; leucocroca, bestia o ciele osła, zadzie jelenia, piersi i udach lwa, kopytach konia, rogu widlastym, pysku, który sięga od ucha do ucha i z którego dobywa się

prawie ludzki głos, i z jedną kością zamiast zębów. Czytał o krajach, gdzie żyją ludzie bez stawów kolanowych, inni bez języków albo z olbrzymimi uszami, którymi chronią się przed chłodem, a także jednonodzy, którzy biegają niezwykle szybko na tej swojej jedynej nodze.

Ponieważ nie mógł wysłać Beatrycze nie swoich kancon (a nie śmiałby nawet, gdyby je sam napisał), uznał, że podobnie jak inni ślą ukochanej kwiaty i klejnoty, on złoży jej w darze wszystkie te osobliwości, które sobie przyswajał. Pisał jej więc o krajach, gdzie rosną drzewa z mąki i miodu, o górze Ararat, na której szczycie widać w pogodne dni szczątki arki Noego, a kto tam dotarł, mówi, że dotknął palcem owej dziury, co z niej uciekł diabeł, kiedy Noe odmówił *Benedicite*. Opowiadał jej o Albanii, gdzie ludzie są bielsi niż gdzie indziej i mają włosy rzadkie jak kocie wąsy; o kraju, gdzie człowiek, kiedy obróci się ku wschodowi, rzuca cień po swej prawicy; o innym zamieszkanym przez straszliwie okrutnych ludzi, gdzie nastaje wielka żałoba, kiedy rodzi się dziecko, a radosne święto, kiedy ktoś umiera; o ziemiach, gdzie wznoszą się ogromne złote góry, których strzegą mrówki wielkie jak psy, i gdzie żyją Amazonki, wojownicze niewiasty trzymające mężczyzn na zesłaniu, i kiedy rodzi się chłopczyk, odsyłają go ojcu albo zabijają, kiedy zaś dziewczynka, wypalają jej rozżarzonym żelazem pierś, i jeśli jest wysokiego stanu – pierś lewą, aby mogła nosić tarczę, jeśli natomiast niskiego – prawą, aby mogła strzelać z łuku. A wreszcie opowiadał jej o Nilu, jednej z czterech rzek, które biorą początek na górze w ziemskim raju. Nil płynie przez pustynie Indii, wpływa pod ziemię i wypływa nieopodal góry Atlas, na koniec zaś przepływa przez Egipt i wpada do morza.

Kiedy jednak Baudolino doszedł do Indii, prawie zapomniał o Beatrycze i jego umysł zwrócił się ku innym rojeniom, gdyż wbił sobie do głowy, że jeśli w ogóle istnieje królestwo prezbitera Johannesa, o którym opowiadał mu Otton, tam właśnie musi leżeć. O Johannesie Baudolino ani na chwilę nie przestawał myśleć; przypominał sobie o nim za każdym razem, kiedy

czytał o jakimś nieznanym kraju, a jeszcze więcej o nim myślał, kiedy na pergaminie ukazywały się kolorowe miniatury osobliwych istot w rodzaju rogatych ludzi albo pigmejów, którzy przez całe życie muszą walczyć z żurawiami. Myślał tak dużo, że w myślach rozmawiał z owym księdzem Janem, jakby był to przyjaciel rodziny. Nic dziwnego, że tak bardzo chciał się dowiedzieć, gdzie jest królestwo księdza Jana, a jeśli nie ma go nigdzie, znajdzie przecież Indie, gdzie mógłby je ulokować, czuł się bowiem związany przysięgą (choć nigdy jej nie złożył) z umiłowanym konającym biskupem.

Rozmawiał o księdzu Janie ze swoimi dwoma kompanami, ci zaś zaraz dali się wciągnąć w tę grę i dzielili się z Baudolinem wszelką niejasną i osobliwą wieścią, jaką odnajdowali, wertując kodeksy, w których wywęszyli indyjskie wonie. Abdulowi błysnęła nawet myśl, że jego daleka księżniczka, skoro ma być naprawdę daleka, powinna skrywać swój blask w kraju zaiste najdalszym ze wszystkich.

– Owszem – odparł Baudolino – lecz którędy zdąża się do Indii? Musi to być kraj nieodległy od ziemskiego raju, a zatem na wschodzie wschodu, tam właśnie, gdzie kończy się Ziemia, a zaczyna Ocean...

Nie uczęszczali jeszcze na wykłady z astronomii i mieli niejasne pojęcie o kształcie Ziemi. Poeta był nadal przekonany że jest wydłużoną płaską przestrzenią, na której skraju wody Oceanu spływają w dół, Bóg jeden wie dokąd. Natomiast Baudolinowi Rahewin powiedział – aczkolwiek z pewnym powątpiewaniem – że nie tylko wielcy filozofowie starożytni i Ptolemeusz, ojciec wszystkich astronomów, lecz także sam święty Izydor twierdził, iż Ziemia jest kulą, a Izydor był nawet wedle ludzkiego rozumu prawie pewny, że udało mu się ustalić długość równika na osiemdziesiąt tysięcy stadiów. Atoli, i Rahewin wyciągał do przodu ręce, jest też prawdą, że niektórzy Ojcowie, jak choćby wielki Laktancjusz, przypominali, iż według Biblii Ziemia ma kształt *tabernaculum*, a zatem na niebo i Ziemię razem trzeba patrzeć jak na arkę, na świątynię z piękną kopułą i posadzką,

w sumie jak na szkatułę, nigdy zaś jak na piłkę. Rahewin, jak przystało człowiekowi rozważnemu, trzymał się tego, co rzekł święty Augustyn, a mianowicie, że filozofowie pogańscy mieli rację i Ziemia jest krągła, a Biblia mówi o *tabernaculum* w sposób symboliczny, lecz wiedza o tym, jaka jest, wcale nie pomaga w rozwiązaniu jedynego poważnego problemu każdego chrześcijanina, to jest, jak zbawić swą duszę, *ergo* poświęcić choćby i pół godziny na rozważania o kształcie Ziemi to marnotrawić czas.

– Uważam, że to słuszne – oświadczył Poeta, któremu pilno było do oberży – i nie ma co szukać ziemskiego raju, ponieważ musiał być cudem ogrodów wiszących, jest niezamieszkany od czasów Adama, nikt nie dbał więc o umacnianie tarasów żywopłotami i palisadami, dlatego podczas potopu cały osunął się w głąb Oceanu.

Abdul był jednak pewny, że Ziemia jest kulą. Gdyby była jedną płaską przestrzenią – argumentował niewątpliwie poprawnie – moje spojrzenie, które miłość wyostrzyła jak spojrzenie każdego, kto miłuje, wypatrzyłoby hen w dali jakiś znak obecności mojej ukochanej, lecz zakrzywienie Ziemi wydziera ją memu pożądaniu. I szperając w bibliotece opactwa Świętego Wiktora, znalazł mapę, którą odtworzył z pamięci dla swoich przyjaciół.

– Ziemia znajduje się pośrodku wielkiego pierścienia Oceanu i dzielą ją trzy wielkie wody, Hellespont, Morze Śródziemne i Nil.

– Zaraz, a gdzie jest Orient?

– Ależ tu, na górze, gdzie Azja, a na skraju Orientu, dokładnie tam, gdzie wschodzi słońce, jest ziemski raj. Na lewo od raju mamy Mons Caucasus i tuż obok Mare Caspium. Trzeba wam natomiast wiedzieć, że jest troje Indii, Indie Większe, bardzo upalne, tuż na prawo od raju, Indie Północne, za Mare Caspium, są tu, w górze i na lewo, gdzie jest tak zimno, że woda zmienia się w kryształ, i gdzie mieszkają ludy Goga i Magoga, które Aleksander Wielki uwięził za murami, a wreszcie Indie Umiarkowane, w pobliżu Afryki. Afrykę zaś widzisz tutaj u dołu po prawej stronie ku południu, gdzie płynie Nil i gdzie z Morzem Czerwonym łączą się Zatoka

Arabska i Zatoka Perska, za którymi rozciąga się ziemia pustynna, najbliższa słońcu równikowemu i tak gorąca, że nikt nie może się na nią zapuścić. Na zachód od Afryki, nieopodal Mauretanii, mamy Wyspy Szczęśliwe albo Wyspę Zagubioną, którą wiele wieków temu odkrył pewien święty z mojego kraju. W dole części północnej jest ziemia, na której my żyjemy, Konstantynopol nad Hellespontem, dalej Grecja i Rzym, a na najdalszej północy Germanie i wyspa Hibernia.

– Jakże możesz traktować poważnie taką mapę – zaśmiał się szyderczo Poeta – która przedstawia Ziemię płaską, choć ty utrzymujesz przecież, że jest kulą.

– Cóż to za rozumowanie! – oburzył się Abdul. – Czy umiałbyś przedstawić na kuli wszystko, co na niej jest, i to tak, żeby było to widoczne? Mapa służy do odnajdowania drogi, a kiedy wędrujesz, widzisz wszak Ziemię płaską, nie zaś krągłą. A poza tym chociaż jest kulą, cała dolna część jest niezamieszkana i zajmuje ją Ocean, a gdyby ktoś tam żył, chodziłby głową w dół, a nogami do góry. Tak zatem do przedstawienia części górnej wystarcza krąg taki jak ten. Ale chciałbym przyjrzeć się dokładniej mapie w opactwie także dlatego, że w bibliotece poznałem pewnego klerka, który wie wszystko o ziemskim raju.

– A jakże, był tam, kiedy Ewa podawała Adamowi jabłko – rzekł Poeta.

– Nie trzeba być w jakimś miejscu, żeby wszystko o nim wiedzieć – odpowiedział Abdul – w przeciwnym razie żeglarze byliby mądrzejsi od teologów.

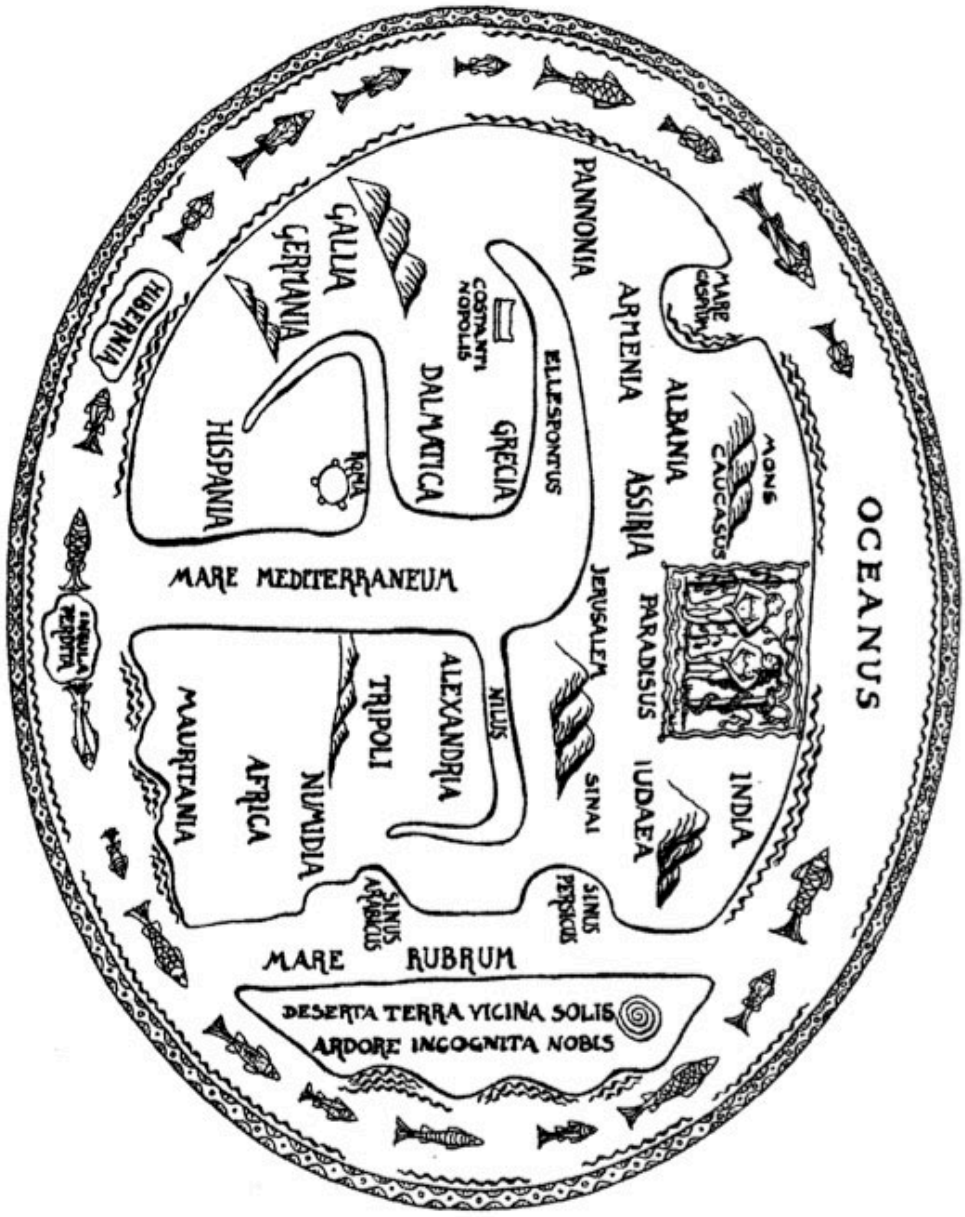

– To wszystko – wyjaśniał Baudolino Niketasowi – ma pokazać, jak to od pierwszych lat w Paryżu nasi przyjaciele, kiedy byli jeszcze prawie gołowąsami, zaczęli zajmować się ową sprawą, która kilka lat później miała poprowadzić ich na kraj świata.

7

Baudolino nakłania Poetę do napisania listu miłosnego i poematu dla Beatrycze

Na wiosnę Baudolino spostrzegł, że jego miłość ciągle wzrasta, jak to bywa z kochankami na tym etapie, i wcale nie umniejszały jej marne przygody z byle jakimi dziewczętami, a nawet wskutek tego olbrzymiała, gdyż Beatrycze poza przewagą gracji, rozumu, królewskiego namaszczenia miała i tę, iż jej przy nim nie było. Zauroczenie nieobecną ukochaną bezustannie wzmagał Abdul, który wieczorami pieścił instrument i śpiewał coraz to inne kancony, aż w końcu Baudolino, chcąc należycie się w nich rozsmakować, nauczył się prowansalskiego.

Gdy w maju dzień dłuższy nastanie,
Luba mi ptaków pieśń odległa,
Bo odkąd trwa me wędrowanie,
Ku mojej miłej myśl w dal biegła.
Z frasunku nie unoszę głowy,
Nie dbam o pieśni, na nic głogi...

Baudolino wpadał w zamyślenie. Abdul nie ma nadziei, że ujrzy kiedyś swą nieznaną księżniczkę – mówił sobie. Jakiż jest szczęśliwy! Gorsza jest moja bieda, bo ja z pewnością prędzej czy później zobaczę moją ukochaną, a nie miałem tego szczęścia, by nigdy jej nie widzieć, lecz właśnie

nieszczęście, wiem bowiem, kim i jaka jest. Skoro jednak Abdul znajduje pociechę w tym, że opowiada nam o swojej biedzie, czemu i ja nie miałbym jej znaleźć, opowiadając o mojej biedzie jemu? Innymi słowy, Baudolino wyczuł, że może zapanować nad drgnieniami serca, przelewając swoje uczucia na pergamin, a jeśli przedmiot jego miłości będzie pozbawiony tych tkliwych skarbów – trudno. Tak więc pewnego późnego wieczoru, kiedy Poeta już zasnął, Baudolino zaczął pisać.

Gwiazda oświetla biegun, księżyc zabarwia noc. Lecz moim przewodnikiem jest jedna tylko gwiazda i jeśli umkną mroki, a wstanie moja gwiazda wschodu, mój umysł zapomni o mrokach cierpienia. Tyś moją gwiazdą niosącą światło, która odpędzi noc, a bez ciebie nocą jest nawet światło, z tobą zaś nawet noc jest pełnym splendoru światłem.

I dalej:

Gdy łaknę, wystarczysz, by mnie nasycić; gdy pragnę, wystarczysz, by mnie napoić. Co ja powiadam? Ty nie sycisz, lecz przywracasz siły. Nigdy nie nasyciłem się tobą i nigdy nie nasycę...

I znowu:

Tyle w tobie słodyczy, twoja stałość jest tak cudowna, brzmienie twego głosu tak niewysłowione, taka uroda i gracja są twoją koroną, że niestosowną byłaby próba ujęcia tego w słowa. Niech wzmaga się ogień, co nas trawi, ciągle podsycany, a im bardziej jest ukryty, tym bardziej spala i na manowce wiedzie zawistnych i podstępnych, i niech zawsze trwa niepewność, które z nas dwojga bardziej miłuje, aby między nami nie ustawała piękna dysputa i byśmy oboje wychodzili z niej zwycięsko...

Były to piękne listy i czytając je, Baudolino drżał i gorzał coraz większą miłością do istoty, która umiała rozbudzić takie zapały. W pewnym momencie nie mógł już pogodzić się z tym, że nie wie, co rzekłaby Beatrycze na tyle słodkiej przemocy, i postanowił doprowadzić do tego, by mu odpowiedziała.

Starając się naśladować jej pismo, napisał do samego siebie:

O miłości, co rwie się z mej piersi, wonna ponad wszystkie wonności świata, ta, która jest twoją ciałem swym i duszą, złaknionym kwiatom twej młodości wróży świeżość wieczystego szczęścia... Tobie, moja radosna nadziei, ofiaruję mą wierność i z całym oddaniem siebie samą aż po kres mego żywota...

O, bądźże mi zdrowa – odpisał bez zwłoki – albowiem w tobie całe me dobro, w tobie ma nadzieja i spoczynek. Ledwie się budzę, serce odnajduje cię pod swoją pieczą...

I ona z żarem:

Od pierwszej chwili, gdyśmy się spotkali, ciebie tylko sobie upodobałam, a upodobawszy, pragnęłam, a pragnąc, szukałam, i szukając, znalazłam, znalazłszy, pokochałam, pokochawszy, pożądałam, pożądając, wyznaczyłam ci w sercu moim miejsce ponad wszystkim innym... i skosztowałam twego miodu... Pozdrawiam cię, me serce, me ciało, moja jedyna radości...

Ta ciągnąca się parę miesięcy wymiana listów najpierw ochłodziła gorejące serce Baudolina, potem zaś dała ogromną radość, a na koniec jakby płomienną dumę, gdyż kochanek nie był przedtem świadom, jak bardzo miłuje go kochanka. Baudolino, jak wszyscy zakochani, stał się próżny, jak wszyscy zakochani pisał, że chciałby strzec zazdrośnie ich wspólnego sekretu, ale jednocześnie pragnął, by cały świat wiedział o jego szczęściu i zdumiewał się niezliczonymi powabami tej, która go miłuje.

W rezultacie pewnego dnia pokazał całą korespondencję swoim przyjaciołom. Mgliście i powściągliwie mówił o tym, jak i kogo dotyczą te listy. Nie kłamał, wyznał nawet, że je pokazuje, gdyż są cząstką jego urojeń. Lecz tamci dwaj uznali, że właśnie w tym jednym jedynym przypadku kłamie, i tym bardziej mu zazdrościli takiego losu. Abdul przypisał w duszy epistoły swojej księżniczce i wpadał w uniesienie, jakby to on je otrzymał. Poeta, który okazywał, że nie przywiązuje wagi do tej literackiej gry (lecz gryzł się, gdyż to nie on napisał tak piękne listy, i marzył o jeszcze piękniejszych odpowiedziach), nie mając nikogo, w kim

mógłby się zakochać, zakochał się w samych listach, co nie powinno zgoła dziwić – skomentował Niketas – gdyż w młodości ma się skłonność do rozmiłowywania się w samym kochaniu.

Abdul, może szukając motywów do nowych kancon, starannie przepisał listy, by rozczytywać się w nich nocami, które spędzał u Świętego Wiktora. Aż pewnego dnia spostrzegł, że ktoś mu je ukradł, i zaczął się lękać, by jakiś rozpustny kanonik nie cisnął ich między tysięczne manuskrypty opactwa – przedtem sylabizując je lubieżnie po nocach. Roztrzęsiony Baudolino zamknął listy w kufrze i odtąd przestał pisać, by nie skompromitować swojej korespondentki.

Ponieważ jednak musiał dać jakieś ujście swym zapałom siedemnastolatka, wziął się do pisania poematów. Jeśli w listach pisał o swojej przeczystej miłości, w tych utworach wziął się za bary z poezją karczemną, w której ówcześni klerkowie sławili swe rozwiązłe i beztroskie życie, aczkolwiek nie bez odcienia melancholii z powodu jego marnotrawienia.

Baudolino, chcąc dać Niketasowi próbkę swojego talentu, wyrecytował kilka hemistychów.

Feror ego veluti – sine nauta navis,
Ut per vias aeris – vaga fertur avis...
Quidquit Venus imperat – labor est suavis,
Quae nunquam in cordibus – habitat ignavis.

Ponieważ spostrzegł, że Niketas niezbyt dobrze rozumie po łacinie, dał mu przybliżony przekład wierszy. „Unosi mnie fala jak okręt bez steru, jak ptaszę błądzę po drogach niebios... Jakiż to jednak miły trud spełniać rozkazy Wenus, i nieznany duszom nikczemnym...”.

Kiedy Baudolino pokazał ten wiersz, wraz z innymi, Poecie, ten rozgorzał zawiścią i wstydem; zapłakał i wyznał, że jego fantazja jest jałowa i oschła, przeklinając przy tym swą bezsiłę i wykrzykując, iż wolałby nie wiedzieć, jak zagłębić się w białogłowę, niźli nie móc wyrazić tego, co czuje w swej duszy – i co właśnie Baudolino wyraził tak zgrabnie, że zadaje sobie pytanie, czy nie czytał w jego sercu. Potem zaś dodał, że jego ojciec byłby niezmiernie dumny, gdyby się dowiedział, iż jego syn układa takie piękne wiersze. A przecież nadejdzie dzień, kiedy będzie musiał jakoś uzasadnić przed rodziną i światem swoje miano Poety, które nadal mu pochlebia, lecz i budzi uczucie, że jest *poeta gloriosus*, samochwałem przywłaszczającym sobie cudzą godność.

Baudolino, ujrzawszy tę rozpacz, wetknął mu w ręce pergamin, oddając w darze swoje poezje, by pokazywał je jako własne. Był to cenny dar, gdyż zdarzyło się tak, że Baudolino, chcąc opowiedzieć coś nowego Beatrycze, wysłał jej te wiersze, przypisał ich autorstwo przyjacielowi. Beatrycze zaś przeczytała je Fryderykowi, usłyszał je też Reginald z Dassel i jako amator literatury, choć ciągle zajęty pałacowymi intrygami, rzekł, że chętnie przyjąłby Poetę na służbę...

Reginald właśnie w owym roku został uhonorowany wysokim stanowiskiem arcybiskupa Kolonii i Poecie myśl o tym, by stać się poetą arcybiskupa, a tym samym, jak powiedział częściowo żartem, a częściowo przez pychę, Arcypoetą, dość się spodobała, także dlatego, że nie miał wielkiej chęci do nauk, pieniądze od ojca na paryskie życie nie wystarczały i wbił sobie do głowy – zbytnio się nie myląc – iż poeta dworski codziennie je i pije do syta i o nic innego nie musi się troszczyć.

Kłopot tylko w tym, że jeśli chce się zostać nadwornym poetą, trzeba pisać wiersze. Baudolino obiecał, że napisze mu co najmniej tuzin, lecz nie wszystkie za jednym razem.

– Widzisz – rzekł – wielcy poeci nie zawsze mają twórczą biegunkę, czasem doskwiera im konstypacja, i to właśnie tym największym. Ty

musisz robić wrażenie człowieka dręczonego przez muzy i zdolnego do wydobycia z siebie jednego dystychu raz na jakiś czas. Dzięki temu, co dostaniesz ode mnie, minie ci jak z płatka kilka dobrych miesięcy, musisz jednak dać mi trochę czasu, bo ja nie cierpię wprawdzie na konstypację, lecz na biegunkę też nie. Odłóż więc wyjazd i wyślij Reginaldowi kilka wierszy, żeby nabrał apetytu. Na razie dobrze będzie, jeśli nie staniesz przed swym dobroczyńcą z pustymi rękami, ale z dedykacją dla niego, z elogium.

Rozmyślał całą noc, a potem dał mu kilka wierszy dla Reginalda.

Presul discretissime – veniam te precor,
Morte bona morior – dulci nece necor,
Meum pectum sauciat – puellarum decor,
Et quas tacto nequeo – saltem chorde mechor.

Czyli: „Wybacz, szlachetny biskupie, gdyż przede mną piękna śmierć i odbiera mi siły nader słodka rana: powab dziewcząt rani moje serce, a te, których nie mogę dotknąć, zdobywam przynajmniej w myślach”.

Niketas zwrócił uwagę, że łacińscy biskupi rozkoszują się niezbyt świętymi pieśniami, lecz Baudolino rzekł na to, że powinien przede wszystkim zrozumieć, kim jest łaciński biskup, od którego wcale się nie żąda, żeby był świętym człowiekiem, zwłaszcza zaś gdy jest kanclerzem cesarstwa, a po drugie, kim jest Reginald, trochę biskupem, ale dużo bardziej kanclerzem, z pewnością miłośnikiem poezji, ale jeszcze bardziej człowiekiem, który chętnie wykorzystałby talenty poety również do swoich celów politycznych, co zresztą później uczyni.

– A zatem Poeta zyskał sławę dzięki twoim wierszom.

– No właśnie. Przez niemal rok Poeta posyłał Reginaldowi listy przepełnione zapewnieniami o oddaniu i wierszami, które stopniowo dla

niego pisałem, aż wreszcie Reginald zapragnął, by ten niezwykły talent poetycki znalazł się za wszelką cenę u jego boku. Poeta wyruszył z solidnym zapasem wierszy, co najmniej na rok, jak przystało na twórcę nękanego konstypacją. Był to prawdziwy tryumf. Nigdy nie udało mi się zrozumieć, jak można być dumnym ze sławy, którą otrzymało się w jałmużnie, ale Poeta był z tej sytuacji zadowolony.

– Nie tylko to dziwi, zastanawiam się bowiem, jaką przyjemność czerpałeś z tego, że twoje utwory przypisywano innemu. Czyż nie jest straszne, że ojciec daje innym w jałmużnie owoc swoich trzewi?

– Przeznaczeniem poezji karczemnej jest krążyć z ust do ust, to szczęście słuchać, jak ją śpiewają, i byłoby egoizmem chełpić się nią po to tylko, by powiększyć swą chwałę.

– Nie wierzę, byś był człowiekiem tak pokornym. Jesteś szczęśliwy, gdyż raz jeszcze stałeś się Księciem Kłamstwa, i to jest twoja chwała, podobnie jak masz nadzieję, że pewnego dnia ktoś odkryje wśród zniszczonych ksiąg u Świętego Wiktora twoje listy miłosne i przypisze je nie wiadomo komu.

– Wcale nie zamierzam okazywać pokory. Podoba mi się, że wszystko ułożyło się tak, a nie inaczej, i że tylko ja wiem, iż są moim dziełem.

– Istota sprawy przez to się nie zmienia, przyjacielu – rzekł Niketas. – Okazując ci pobłażanie, wyraziłem przypuszczenie, że chcesz być Księciem Kłamstwa, ale teraz dowiodłeś, że chciałbyś być samym Panem Bogiem.

8

Baudolino w ziemskim raju

Baudolino studiował w Paryżu, ale docierały do niego wieści o wszystkim, co działo się w Italii i Germanii. Rahewin, wykonując wolę Ottona, pisał dalej *Gesta Friderici*, lecz doszedłszy do końca czwartej księgi, postanowił zaprzestać, uznał bowiem, że przekraczanie liczby Ewangelii byłoby bluźnierstwem. Zadowolony ze spełnionego obowiązku, opuścił dwór i nudził się w bawarskim klasztorze. Baudolino napisał mu, że ma teraz dostęp do biblioteki u Świętego Wiktora, gdzie jest nieskończone mnóstwo ksiąg, i Rahewin poprosił, by podsunął mu tytuł jakiegoś rzadko spotykanego traktatu, aby w ten sposób mógł wzbogacić swą wiedzę.

Baudolino, podzielając opinię Ottona, że biednemu kanonikowi nie dostaje wyobraźni, uznał, iż warto trochę tę wyobraźnię wzbogacić, i najpierw przekazał mu wprawdzie kilka tytułów kodeksów, które widział w bibliotece, ale później przytaczał mu inne, pięknie zmyślone, na przykład: *De optimitate triparum* Bedy Czcigodnego, *Ars honeste petandi*, *De modo cacandi*, *De castramentandis crinibus* i *De patria diabolorum*. Dzieła te wzbudziły zdumienie i zaciekawienie poczciwego kanonika, który czym prędzej poprosił o kopie tych nieznanych skarbów wiedzy. Baudolino jak najchętniej oddałby mu tę przysługę, by tym sposobem uwolnić się od wyrzutów sumienia z powodu owych pergaminów Ottona, które zniszczył, ale nie wiedział, co ma przepisywać, i musiał nałgać, że dzieła te są, a jakże, u Świętego Wiktora, lecz mają posmak herezji i kanonicy nikomu nie pozwalają do nich zajrzeć.

– Dowiedziałem się potem – rzekł Baudolino Niketasowi – że Rahewin napisał do pewnego swego znajomego z Paryża, uczonego, i poprosił, by ten wystarał się o owe manuskrypty u wiktorianów, którzy oczywiście nie znaleźli ani śladu takich ksiąg. Oskarżyli swojego bibliotekarza o niedbałość, choć przysięgał, iż nigdy ich nie widział. Wyobrażam sobie, że wreszcie któryś z kanoników, chcąc zaprowadzić w bibliotece porządek, naprawdę owe księgi napisał, i mam nadzieję, iż przyjdzie dzień, kiedy ktoś je odnajdzie.

Poeta donosił mu przez cały czas o czynach Fryderyka. Italskie gminy nie dotrzymywały wiary własnym przysięgom składanym na sejmie w Roncaglii. Zgodnie z zawartymi paktami buntownicze miasta miały rozebrać mury obronne i zniszczyć wojenne machiny, lecz chociaż mieszczanie udawali, że zasypują fosy wokół miast, fosy wcale nie zniknęły. Fryderyk wysłał legatów do Cremy z żądaniem, by dopełniono zobowiązań, ale kremijczycy zagrozili, że zabiją cesarskich wysłanników, i naprawdę by to zrobili, gdyby ci nie umknęli. Następnie pchnięto do Mediolanu samego Reginalda i pewnego palatyńskiego grafa, aby mianowali podestów, bo przecież mediolańczycy nie mogą głosić, że uznają prawa cesarskie, a potem wybierać sobie sami konsulów. Także w tym przypadku niewiele brakowało, żeby obaj posłowie przypłacili swą wyprawę życiem, choć przecież nie chodziło tu o pierwszego lepszego wysłannika, ale o kanclerza cesarstwa i jednego z grafów cesarskiego pałacu! Niezadowoleni mediolańczycy przystąpili do oblężenia zamku Trezzo i po jakimś czasie zakuli w łańcuchy cały garnizon. W końcu znowu ruszyli na Lodi, a kiedy w grę wchodziło Lodi, cesarzowi zaczynały latać przed oczami czerwone plamy. Chcąc więc dać przykład, zaczął oblegać Cremę.

Oblężenie od początku przebiegało zgodnie z zasadami, jakie obowiązują w wojnie toczonej przez chrześcijan. Wspierani przez mediolańczyków

kremijczycy przeprowadzili kilka udanych wycieczek i schwytali niemało cesarskich jeńców. Kremończycy (z nienawiści do kremijczyków stanęli wtedy po stronie cesarza wraz z pawijczykami i lodijczykami) zbudowali przepotężne machiny oblężnicze – które kosztowały życie większej liczby oblegających niż oblężonych, ale tak to już jest. Dochodziło do wspaniałych potyczek – opowiadał z widocznym upodobaniem Poeta – i wszyscy wspominali, jak to któregoś razu cesarz polecił, by lodijczycy złożyli mu w darze dwieście pustych beczek, a potem napełnili ziemią i wtoczyli do fosy, i kazał przykryć je ziemią i drewnem, które owi lodijczycy przywieźli ponad dwoma tysiącami wozów, dzięki czemu można było przejść z młotami i taranami i przystąpić do rozbijania murów.

Kiedy jednak doszło do szturmu ze wsparciem największej drewnianej wieży, tej zbudowanej przez kremończyków, i oblegani jęli miotać tak gęsto kamienie ze swych katapult, że mogła wskutek tego runąć, cesarz wpadł w wielki gniew i stracił głowę. Kazał przyprowadzić kremijskich i mediolańskich jeńców wojennych i przywiązać ich po bokach i z przodu wieży. Myślał, że oblegani, widząc swych braci, kuzynów, synów i ojców, zaprzestaną działań. Nie wziął pod uwagę tego, jak straszliwy jest również gniew kremijczyków – tych na murach i tych związanych pod murami. Ci ostatni zaczęli krzyczeć do swych braci, by nie myśleli o nich, i ci na murach, oprawcy własnych krewnych, z zaciśniętymi zębami i łzami w oczach dalej miotali kamienie, zabijając dziewięciu swoich.

Przybywający do Paryża mediolańscy żacy przysięgali Baudolinowi, że do wieży przywiązano także dzieci, ale Poeta zapewnił go, iż ta plotka nie jest zgodna z prawdą. Tak czy inaczej, na cesarzu zrobiło to wielkie wrażenie i kazał rozwiązać pozostałych jeńców. Ale kremijczycy i mediolańczycy, rozsierdzeni taką śmiercią towarzyszy, wyprowadzili jeńców alemańskich i lodijskich na stok twierdzy i z zimną krwią zabili na oczach Fryderyka. Kazano więc zawlec pod mury dwóch jeńców kremijskich, odbyto nad nimi sąd, jako nad zbójcami i krzywoprzysięzcami,

i skazano na śmierć. Kremijczycy oświadczyli, że jeśli Fryderyk powiesi ich ludzi, oni powieszą jako zakładników tych jego ludzi, którzy im jeszcze zostali. Fryderyk odparł, że chciałby to zobaczyć, i kazał powiesić dwóch jeńców. W odpowiedzi kremijczycy powiesili *coram populo* wszystkich zakładników. Fryderyk, który stracił już zdolność trzeźwego myślenia, kazał wyprowadzić pozostałych kremijczyków, ustawić pod miastem las szubienic i przystąpił do wieszania. Biskupi i opaci przybiegli na miejsce kaźni, błagając, by on, który winien być źródłem miłosierdzia, nie naśladował niegodziwości swoich wrogów. Fryderyk był poruszony tymi prośbami, nie mógł jednak cofnąć rozkazu, kazał więc osądzić co najmniej dziewięciu spośród nieszczęśników.

Kiedy Baudolino usłyszał o tym, zapłakał. Nie tylko dlatego, że był z natury człowiekiem nastawionym pokojowo, ale i na myśl, że jego umiłowany przybrany ojciec splamił się tyloma zbrodniami; postanowił więc zostać w Paryżu i dalej pobierać nauki. W jakiś niejasny sposób, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, pozbył się też poczucia winy z powodu swej miłości do cesarzowej. Wrócił do pisania coraz bardziej namiętnych listów i odpowiedzi, od których zadrżałoby serce niejednego eremity. Tyle że tym razem nie pokazał ich już przyjaciołom.

Sumienie kazało mu jednak zrobić coś, co przysporzyłoby chwały jego panu. Otton pozostawił mu święte dziedzictwo, przykazanie, by wydobył księdza Jana z mroku pogłosek. Baudolino postanowił więc przystąpić do poszukiwań zapoznanego, lecz – jak poświadczył Otton – z pewnością sławnego księdza.

Ponieważ po latach *trivium* i *quadrivium* Baudolino i Abdul kształcili się w dyspucie, przede wszystkim zadali sobie pytanie: czy ksiądz Jan naprawdę istnieje? Zaczęli się jednak nad tym zastanawiać w okolicznościach, o których Baudolino opowiadał Niketasowi nader powściągliwie.

Po wyjeździe Poety Abdul zamieszkał z Baudolinem. Pewnego wieczoru Baudolino zastał po powrocie Abdula śpiewającego sobie samemu jedną ze swych najpiękniejszych kancon, w której roił o spotkaniu z daleką księżniczką i o tym, jak to nagle, kiedy była już tuż-tuż, wydało mu się, że zaczyna się od niego oddalać. Baudolino nie wiedział, czy sprawiła to muzyka, czy może słowa, lecz kiedy słuchał tej pieśni, stanął mu przed oczami wizerunek Beatrycze, który zaraz zaczął jednak niknąć, rozpływać się pod jego spojrzeniem w nicość. Abdul śpiewał i jeszcze nigdy jego śpiew nie był tak czarowny.

Odśpiewawszy kanconę, Abdul padł z wyczerpania. Baudolino zląkł się, że zemdleje, i pochylił się nad nim, ale Abdul uniósł rękę, jakby chcąc go uspokoić, i zaczął śmiać się cichutko – sam, bez powodu. Śmiał się i drżał na całym ciele. Baudolinowi przyszło do głowy, że przyjaciel dostał febry, Abdul zaś, ciągle się śmiejąc, powiedział, by zostawił go w spokoju, zaraz się uspokoi, dobrze wie, o co chodzi. I w końcu, nękany przez Baudolina pytaniami, zgodził się wyjawić swoją tajemnicę.

– Posłuchaj, przyjacielu. Spożyłem odrobinę zielonego miodu, tylko odrobinę. Wiem, że to diabelska pokusa, ale czasem pomaga mi w śpiewaniu. Posłuchaj i zgań mnie. Od czasów dzieciństwa opowiadano mi w Ziemi Świętej pewną cudowną i straszliwą historię. Bajano, że nieopodal Antiochii żyje plemię Saracenów, które zamieszkuje w górach zamek dostępny tylko orłom. Ich pan nazywa się Aloadyn i budzi straszną trwogę zarówno w książętach saraceńskich, jak i chrześcijańskich. Powiadano, że w środku jego zamku jest ogród pełny owoców i kwiatów wszelkich gatunków i że są tam kanały wypełnione winem, mlekiem, miodem i wodą, a dokoła tańczą i śpiewają niezrównanej urody dziewczęta. W ogrodzie mogli przebywać tylko młodzieńcy, których Aloadyn kazał porwać i których w tym rajskim ogrodzie ćwiczył jedynie w rozkoszach. Użyłem słowa „rozkosze”, gdyż, jak szeptali sobie dorośli, ja zaś wtedy rumieniłem się z zawstydzenia, te dziewczęta były nader szczodre i zawsze

gotowe zaspokajać gości, dając im niewysłowioną i, jak sobie wyobrażam, wyniszczającą siły uciechę. Nic dziwnego, że kiedy ktoś raz tam wszedł, za żadną cenę nie chciał wyjść.

– Niezły ten twój Aloadyn czy jak go zwiesz – Baudolino uśmiechnął się, odgarniając z czoła przyjaciela mokry od potu kosmyk.

– Sądzisz tak, bo nie znasz prawdziwej historii – odparł na to Abdul. – Bywało, że pewnego pięknego ranka jeden z młodzieńców budził się na nędznym, spalonym od słońca podwórcu i spostrzegał, że jest zakuty w łańcuchy. Po paru dniach takiej udręki był prowadzony przed oblicze Aloadyna. Rzucał się mu do stóp, grożąc samobójstwem i błagając, by przywrócono mu rozkosze, bez których nie mógł się już obejść. Aloadyn wyjawiał mu wtedy, że popadł w niełaskę u proroka i że jeśli chce odzyskać jego względy, musi przysiąc, iż gotów jest dokonać wielkiego czynu. Wręczał mu złoty sztylet i nakazywał udać się w podróż, wkraść się na dwór pewnego pana, który jest jego wrogiem, i zabić go. W ten sposób znowu zasłuży na to, czego pragnie, a nawet jeśli sprawa skończy się jego śmiercią, będzie wyniesiony do raju, a przecież raj w niczym nie ustępuje miejscu, z którego go zabrano, a nawet jest w nim lepiej. Oto dlaczego Aloadyn był bardzo potężny i nie było dokoła księcia, Maura czy chrześcijanina, który nie czułby przed nim trwogi: jego wysłannicy byli gotowi na każdą ofiarę.

– W takim razie – zauważył Baudolino – lepsza już któraś z paryskich oberży i tamtejsze dziewczęta, które można mieć, nie dając niczego w zastaw. Ale co to wszystko ma wspólnego z tobą?

– A ma, bo kiedy miałem dziesięć lat, porwali mnie ludzie Aloadyna. I przebywałem tam całe pięć lat.

– I w wieku dziesięciu lat zażywałeś rozkoszy z wszystkimi dziewczętami, o których mi opowiadasz? A potem posłano cię, żebyś kogoś zabił? Co ty też powiadasz, mój Abdulu? – Baudolino spojrzał z troską na przyjaciela.

– Byłem zbyt mały, by posłać mnie od razu między szczęśliwych młodzieńców, zostałem więc oddany na służbę pewnemu zamkowemu eunuchowi, który dbał o ich rozkosze. Posłuchaj jednak, co odkryłem. Przez te pięć lat nie widziałem ogrodów, gdyż młodzieńcy byli zawsze zakuci całą gromadą w łańcuchy na owym spalonym od słońca podwórcu. Każdego ranka eunuch brał z pewnej szafy srebrne wazy z gęstą jak miód, lecz zielonkawą masą, podchodził do każdego z więźniów i karmił go tą substancją. Oni zaś kosztowali jej i zaczynali opowiadać samym sobie i innym o wszystkich rozkoszach, o których mówiła legenda. Posłuchaj, przez cały dzień mieli oczy szeroko otwarte i uśmiechali się ze szczęścia. Pod wieczór ogarniało ich znużenie i zaczynali się śmiać, czasem cicho, czasem bez miary, a potem zasypiali. W końcu, stopniowo dorastając, zrozumiałem, jak Aloadyn ich oszukuje: żyli w łańcuchach, a wierzyli, że są w raju, i nie chcąc tego raju tracić, stawali się narzędziem zemsty swojego pana. Jeśli wracali cało z wypraw, z powrotem zakuwano ich w łańcuchy i znowu widzieli i czuli to, o czym roili po spożyciu zielonego miodu.

– A ty?

– Pewnej nocy, kiedy wszyscy spali, zakradłem się tam, gdzie przechowywano srebrne wazy, i skosztowałem zielonego miodu. Skosztowałem? Zjadłem dwie łyżeczki i natychmiast zobaczyłem rzeczy cudowne...

– Czułeś, że jesteś w ogrodzie?

– Nie, być może tamci śnili o ogrodzie, bo po przybyciu do zamku właśnie o ogrodzie opowiadał im Aloadyn. Sądzę, że dzięki zielonemu miodowi można zobaczyć to, czego pragnie się w głębi serca. Ja znalazłem się na pustyni, a właściwie w oazie, i patrzyłem, jak zbliża się wspaniała karawana: wielbłądy ozdobione pióropuszami i zastęp Maurów w barwnych turbanach, którzy bili w bębny i grali na cymbałach. Za nimi zaś, w lektyce niesionej przez czterech olbrzymów, przybywała Ona, księżniczka. Nie

umiem ci już powiedzieć, jaka była, była taka... jak by to rzec... olśniewająca, że przypominam sobie tylko blask, oślepiający splendor...

– Jaką miała twarz, była piękna?

– Twarzy nie widziałem, nosiła zasłonę.

– W kimże więc się zakochałeś?

– W niej, gdyż jej nie ujrzałem. Widzisz, w serce, tutaj, wniknęła mi ogromna słodycz, tęsknota, która pozostała już na zawsze. Karawana oddaliła się w stronę wydm, zrozumiałem, że wizja nigdy nie wróci, mówiłem sobie, że muszę biec za tą istotą, ale nad ranem zacząłem się śmiać, wtedy myślałem, że z radości, lecz jest to skutek zielonego miodu, kiedy kończy się jego działanie. Słońce było już wysoko, gdy się obudziłem, i niewiele brakowało, a eunuch zaskoczyłby mnie podczas snu. Wówczas powiedziałem sobie, że muszę uciec i odnaleźć daleką księżniczkę.

– Przecież wiedziałeś, że to tylko działanie zielonego miodu...

– To prawda, wizja była ułudą, ale nie było nią to, co czułem w sercu moim, to było prawdziwe pragnienie. A pragnienie, które czujesz, nie jest ułudą, jest i tyle.

– Ale było to pragnienie ułudy.

– Sedno sprawy w tym, że ja nie chciałem tego pragnienia stracić. Wystarczyło go, by poświęcić mu życie.

Krótko mówiąc, Abdulowi udało się znaleźć sposób, by uciec z zamku i powrócić do rodziny, która myślała, że już go straciła. Ojciec lękał się zemsty Aloadyna, odesłał więc syna z Ziemi Świętej do Paryża. Abdul zaś przed ucieczką od Aloadyna przywłaszczył sobie jedno naczynie z zielonym miodem, ale – jak wyjaśnił Baudolinowi – nigdy go nie skosztował, bał się bowiem, że przeklęta substancja przeniesie go do tej samej oazy i będzie przeżywał w nieskończoność swą ekstazę. Nie

wiedział, czy wytrzyma takie wzruszenie. Teraz księżniczka jest z nim i nikt mu jej nie odbierze. Lepiej spoglądać na nią miłośnie jako na cel, niż posiąść ją w nieprawdziwym wspomnieniu.

Po jakimś czasie, chcąc zyskać siłę potrzebną do tworzenia kancon, w których księżniczka miała zaszczytne miejsce i była obecna w swym oddaleniu, zdobywał się czasem na odwagę i kosztował odrobinę miodu na czubku łyżeczki, by poczuć jego smak na języku. Przeżywał krótkie ekstazy jak dzisiejszego wieczoru.

Historia Abdula zaciekawiła Baudolina; kusiło go, żeby przeżyć choćby krótką wizję, w której ujrzałby cesarzową. Abdul nie mógł mu tego odmówić. Baudolino poczuł tylko leciutkie oszołomienie i pragnienie śmiechu. Czuł jednak, że umysł ma pobudzony. Osobliwe, że nie podziałała tak nań Beatrycze, lecz ksiądz Jan, aż sam siebie jął pytać, czy prawdziwym przedmiotem jego pożądania nie jest tamto nieosiągalne królestwo – bardziej niż pani jego serca. I stało się tak, że tego wieczoru Abdul, prawie już uwolniony od działania miodu, Baudolino zaś lekko oszołomiony, zaczęli dyskutować o księdzu, zastanawiając się właśnie nad jego istnieniem. A ponieważ zielony miód miał ten przymiot, że dotykalne stawało się to, czego nigdy się nie widziało, obaj wypowiedzieli się za istnieniem księdza.

Istnieje – zdecydował Baudolino – ponieważ nie ma żadnych racji, które zaprzeczałyby jego istnieniu. Istnieje – zgodził się Abdul – ponieważ słyszałem od pewnego klerka, że za krajami Medów i Persów panują chrześcijańscy królowie, którzy zwalczają tamtejszych pogan.

– Kim jest ten klerk? – spytał Baudolino i zadrżał.

– To Boron – odparł Abdul.

I zaraz następnego dnia zaczęli szukać owego Borona.

Był to klerk z Montbéliard, wagabunda jak inni jemu podobni, i przebywał teraz w Paryżu (odwiedzał bibliotekę u Świętego Wiktora), lecz

jutro będzie nie wiadomo gdzie, gdyż wędrował według planu, o którym nikomu nie opowiadał. Miał wielką głowę zwieńczoną rozczochranymi włosami i oczy zaczerwienione od trudu czytania przy świetle kaganka, lecz robił wrażenie istnej skarbnicy wiedzy. Urzekł ich już przy pierwszym spotkaniu, naturalnie w oberży, przedstawiając wielce subtelne kwestie, nad którymi ich mistrzowie wiedliby wielodniowe dysputy: czy sperma może zamarznąć, czy prostytutka może począć, czy pot bijący z głowy jest bardziej cuchnący niż pot z innych członków, czy uszy czerwienieją, kiedy człowiek się wstydzi, czy większe cierpienie sprawia śmierć, czy wstąpienie kochanki w związek małżeński, czy ludzie szlachetnie urodzeni winni mieć zwisające uszy albo czy stan szaleńców pogarsza się w czasie pełni Księżyca. Najbardziej intrygującą kwestią był problem istnienia próżni i Boron twierdził, że doszedł w tej sprawie do większej wiedzy niż wszyscy inni filozofowie.

– Próżnia – oświadczył Boron, któremu język już się nieco plątał – nie istnieje, albowiem natura ma do niej odrazę. Jest to jasne z powodów filozoficznych, gdyby bowiem istniała, byłaby albo substancją, albo akcydensem. Substancją materialną być nie może, gdyż inaczej byłaby ciałem i zajmowała jakąś przestrzeń, i nie jest też substancją bezcielesną, gdyż wówczas byłaby rozumna jak aniołowie. Nie jest też akcydensem, gdyż akcydensy istnieją jedynie jako atrybuty substancji. Poza tym próżnia nie istnieje z przyczyn fizycznych: weźmy naczynie w kształcie walca...

– Czemu jednak – przerwał mu Baudolino – tak zależy ci na tym, by dowieść, że nie ma próżni? Co cię obchodzi próżnia?

– A obchodzi, i to jeszcze jak! Sedno sprawy w tym, że próżnia może być albo szczelinowa, a więc występować między jednym a drugim ciałem w naszym świecie sublunarnym, albo rozciągać się poza światem, który widzimy, i być zamknięta w wielkim kręgu ciał niebieskich. A jeśli tak, w tej próżni musiałyby istnieć inne światy. Jeżeli jednak dowiedziemy, że

nie istnieje próżnia szczelinowa, tym bardziej nie będzie istnieć próżnia rozciągła.

– Ale co cię obchodzi, czy istnieją inne światy?

– A obchodzi, i to jeszcze jak! Gdyby bowiem istniały, Pan nasz musiałby złożyć siebie w ofierze w każdym z nich i w każdym też konsekrować chleb i wino. Tym samym najwznioślejszy przedmiot, świadectwo i ślad tego cudu, nie byłby czymś jedynym, lecz istniałoby wiele jego kopii. I jakąż wartość miałoby moje życie, gdybym nie wiedział, że jest gdzieś jeszcze przedmiot najwznioślejszy ze wszystkich, który należy odnaleźć?

– I czymże byłby ten najwznioślejszy przedmiot?

W tym miejscu Boron przeciął dyskusję.

– To moje sprawy, kwestie nieodpowiednie dla uszu profanów: Porozmawiajmy jednak o czymś innym: gdyby istniało wiele światów, istniałoby też wielu pierwszych ludzi, wielu Adamów, wiele Ew i wiele grzechów pierworodnych. Byłoby także wiele ziemskich rajów, z których zostali wygnani pierwsi rodzice. Czy możecie sobie wyobrazić, że istnieje wielość dzieł Stwórcy tak wzniosłych jak ziemski raj, niby wielość miast nad rzeką i ze wzgórzem przypominającym Wzgórze Świętej Genowefy? Otóż istnieje tylko jeden raj ziemski, na odległym lądzie, dalej niż królestwa Medów i Persów.

W ten sposób doszli do sprawy, która ich zajmowała, i opowiedzieli Boronowi o swoich spekulacjach na temat księdza Jana. Owszem, Boron słyszał od pewnego mnicha o chrześcijańskich królach na Wschodzie. Czytał też sprawozdanie z wizyty, jaką wiele lat temu złożył papieżowi Kalikstowi II patriarcha Indii. Opowiedziano tam o tym, z jakim trudem porozumiewał się papież z patriarchą, ponieważ posługiwali się zupełnie odmiennymi językami. Patriarcha opisał miasto Hulna, przez które przepływa jedna z rzek biorących początek w ziemskim raju, a mianowicie rzeka Gichon, przez innych zwana Gangesem, i koło którego wznosi się na

wzgórzu świątynia przechowująca szczątki świętego Tomasza. Góra ta jest zwykle niedostępna, gdyż wyrasta pośrodku jeziora, lecz na osiem dni w roku wody jeziora się cofają i tamtejsi dobrzy chrześcijanie mogą udać się do świątyni, by adorować ciało apostoła, które pozostaje nienaruszone, jakby apostoł nadal żył, a nawet, utrzymuje ów tekst, ma twarz pełną blasku jak gwiazda, sięgające ramion długie włosy, brodę i szaty wyglądające tak, jakby dopiero co je uszyto.

– Nic jednak nie świadczy, by ten patriarcha był księdzem Janem – dorzucił ostrożne zastrzeżenie Boron.

– To pewne – rzekł na to Baudolino – ponoć jednak od jakiegoś czasu krąży wieść o odległym królestwie, szczęśliwym i nieznanym. Mój umiłowany biskup Otton opowiedział w swojej *Historia de duabus civitatibus*, że niejaki Hugon z Dżabali uważał, iż Jan, pokonawszy Persów, chciał nieść pomoc chrześcijanom z Ziemi Świętej, ale musiał się zatrzymać, dotarłszy do rzeki Tygrys, nie miał bowiem okrętów, którymi mógłby przeprawić swoich ludzi na drugi brzeg. Zgadzasz się z tym? Najpiękniejsze jest jednak to, że wszyscy powinni byli wiedzieć o Janie, zanim jeszcze wspomniał o nim Hugon. Wczytajmy się w to, co napisał Otton, nie przypadkiem bowiem zajął się tą kwestią. Czemuż to ów Hugon miałby udawać się do papieża i usprawiedliwiać go, wyjaśniając, z jakiego powodu Jan nie mógł pomóc chrześcijanom z Jerozolimy? Gdyż najwyraźniej ktoś w Rzymie miał właśnie taką nadzieję. A kiedy Otton pisze, że Hugon wspomina o Janie, używa słów *sic enim eum nominare solent*, jak zwykli go zwać. Cóż oznacza ta liczba mnoga? Oczywiście to, że nie tylko Hugon, lecz i inni *solent*, zwykli, czyli że w owych czasach właśnie zwykli go tak nazywać. Tenże Otton utrzymuje, że wedle Hugona Jan, tak samo jak magowie, od których się wywodzi, chciał udać się do Jerozolimy, lecz nie twierdzi zgoła, że wedle Hugona nie zdołał tego dokonać, tylko że *fertur*, powiada się, i że inni, i użył tu liczby mnogiej, *asserunt*, twierdzą, iż się mu nie powiodło. Dowiadujemy się od mistrzów

naszych, że nie ma lepszego dowodu prawdy – zakończył swój wywód Baudolino – niźli ciągłość tradycji.

Abdul szepnął Baudolinowi do ucha, że być może także biskup Otton zażywał co jakiś czas zielonego miodu, lecz Baudolino w odpowiedzi wymierzył mu łokciem kuksańca pod żebra.

– Nie pojąłem dotąd, czemu ten ksiądz jest dla was taki ważny – powiedział Boron – jeśli jednak trzeba go szukać, to nie nad rzeką wypływającą z ziemskiego raju, lecz w samym ziemskim raju. A na ten temat niejedno miałbym do powiedzenia...

Baudolino i Abdul próbowali nakłonić Borona do tego, by opowiedział coś więcej o ziemskim raju, ale Boron zbytnio nadużył z zawartości beczek Pod Trzema Kandelabrami i oznajmił, że nic już nie pamięta. Dwaj przyjaciele, jakby przyszła im do głowy ta sama myśl, choć przecież się nie porozumiewali, ujęli Borona pod pachy i zawlekli do swojej stancji. Kiedy znaleźli się na miejscu, Abdul skąpo wprawdzie, lecz dał mu jednak na samym czubku łyżeczki odrobinę zielonego miodu, a i sami zażyli równie znikomej ilości tej substancji. Boron zaś był jeszcze chwilę jakby osłupiały i rozglądał się dokoła jak ktoś, kto nie wie, gdzie się znalazł, a potem nagle dojrzał to i owo z ziemskiego raju.

Zaczął mówić, opowiadając o niejakim Tugdalusie, który rzekomo odwiedził piekło i raj. Jak się przedstawia piekło, nie warto i gadać, lecz raj jest miejscem wypełnionym miłością bliźniego, wszelkimi urokami, radością, prawością, pięknem, świętością, zgodą, jednością i nieskończoną wiecznością, a broni go złoty mur. A kiedy się ów mur pokona, widać mnogość ozdobionych cennymi kamieniami krzeseł, na których zasiadają mężowie i niewiasty, młodzi i starzy, i wszyscy mają na sobie jedwabne stuły, a oblicza ich jaśnieją jak słońce, a włosy ich czyste złoto, i śpiewają chórem alleluja, czytając z księgi iluminowanej złotymi literami.

– Otóż do piekła mogą iść wszyscy, wystarczy chcieć, i bywa, że ktoś stamtąd wraca pod postacią inkuba, sukkuba czy innej przykrej zjawy, by

nam o nim opowiedzieć – ciągnął rozsądnie Boron. – Czy można jednak przedstawić sobie, że ktoś, kto te sprawy oglądał, zostanie przyjęty do królestwa niebieskiego? Gdyby się nawet to zdarzyło, żywy człek nigdy nie byłby dość bezwstydny, by o tym opowiadać, albowiem są tajemnice, które człowiek skromny i prawy powinien zachować dla siebie.

– Oby nie dopuścił Bóg, by pojawiła się na ziemi osoba trawiona taką pychą – dorzucił Baudolino – że okazałaby się niegodną zaufania, jakie okazał jej Pan.

– Chyba słyszeliście historię o Aleksandrze Wielkim, który dotarłszy nad Ganges, znalazł się pod murem ciągnącym się nad rzeką i pozbawionym wszelkich drzwi – snuł swą opowieść Boron. – Po trzech dniach żeglowania ujrzał w murze okienko, z którego wyglądał starzec. Wędrowcy zażądali, by miasto zapłaciło daninę Aleksandrowi, królowi królów, lecz starzec odparł, że jest to miasto zbawionych. To niemożliwe, by Aleksander, wielki wprawdzie król, lecz poganin, dotarł do miasta niebiańskiego, tak zatem i on, i Tugdalus musieli widzieć raj ziemski. To zaś, co widzę w tej chwili...

– Gdzież?

– Tam – odrzekł, wskazując kąt izby. – Widzę miejsce, gdzie ciągną się przyjemne i zieleniejące łąki zdobne kwieciem i wonnymi ziołami i wokół niesie się pełen słodyczy zapach, a kiedy go wdycham, nic mi już po jadle i napojach. Jakaż piękna łąka, i są tu czterej mężowie o czcigodnych obliczach, a na głowach mają złote korony i w dłoniach palmowe gałązki... Słyszę śpiew, czuję balsamiczną woń, Boże mój, w ustach mam pełen słodyczy smak jakby miodu... I widzę kościół cały z kryształu, i pośrodku ołtarz, z którego spływa woda biała niby mleko. Od strony septentrionalnej kościół zda mi się cennym kamieniem, od strony australnej jest barwy krwi, na zachodzie biały jak śnieg, a nad nim błyszczą niezliczone gwiazdy jaśniejsze niż te, które widzimy na naszym niebie. Widzę męża o śnieżnobiałych włosach, pierzastego jak ptak, lecz oczu jego prawie nie mogę wypatrzyć, gdyż zakryte są brwiami, które spływają swą bielą.

Pokazuje mi palcem drzewo, które nigdy się nie starzeje i uzdrawia z wszelkiej choroby każdego, kto usiądzie w jego cieniu, i inne, którego liście mają wszystkie barwy tęczy. Lecz czemu widzę te rzeczy właśnie dzisiejszego wieczoru?

– Może przeczytałeś gdzieś o nich, a wino sprawiło, że wyłoniły się z głębi duszy – rzekł Abdul. – Ów cnotliwy mąż, który żył na mojej wyspie i zwał się święty Brendan, żeglował po morzu aż do ostatnich krańców ziemi i dotarł do wyspy porośniętej dojrzałymi winnymi gronami, a jedne z nich były błękitne, inne fioletowe, jeszcze inne białe, i było tam też siedem cudownych źródeł i siedem kościołów, pierwszy z kryształu, drugi z granatu, trzeci z szafiru, czwarty z topazu, piąty z rubinu, szósty ze szmaragdu, siódmy z koralu, i każdy miał siedem ołtarzy i siedem lamp. A na środku placu przed kościołem wznosiła się kolumna z chalcedonu, która miała na szczycie wirujące koło z dzwoneczkami.

– Nie, nie, u mnie nie ma żadnej wyspy – zaperzył się Boron – lecz bardzo bliski Indiom ląd, na którym widzę ludzi z uszami większymi niż nasze i z podwójnym językiem, tak że mogą rozmawiać jednocześnie z dwiema osobami. Jakież plony, ma się wrażenie, że wszystko samo rośnie...

– A jakżeby inaczej! – dorzucił Baudolino. – Pamiętajmy, że wedle Księgi Wyjścia lud boży otrzymał obietnicę ziemi mlekiem i miodem płynącej.

– Nie mieszajmy różnych rzeczy – zabrał głos Abdul – bo w Księdze Wyjścia chodziło wszak o ziemię obiecaną, obiecaną po upadku, natomiast raj ziemski to ziemia naszych pierwszych rodziców, sprzed upadku.

– Abdulu, to nie *disputatio*. Nie chcemy przecież wskazać ziemi, do której się udamy, lecz zrozumieć, jak ma wyglądać idealne miejsce, w którym każdy chciałby się znaleźć. Nie ulega wątpliwości, że jeśli coś tak cudownego istniało i istnieje nadal nie tylko w ziemskim raju, lecz również na wyspach, na których Adam i Ewa nigdy nie postawili nogi,

królestwo Jana musi być do tych miejsc bardzo podobne. Staramy się zrozumieć, jak wygląda królestwo obfitości i cnoty, gdzie nie ma kłamstwa ni chciwości, ni lubieżności. W innym razie po co byśmy ku niemu zdążali jako ku królestwu chrześcijańskiemu *per excellentiam*?

– Lepiej jednak unikać przesady – zalecał rozsądnie Abdul – w przeciwnym bowiem razie, któż zechce nam uwierzyć? To znaczy nikt nie uwierzy, że możliwa jest wyprawa w tak odległe rejony.

Powiedział „odległe". Jeszcze przed chwilą Baudolino sądził, że wyobrażając sobie ziemski raj, Abdul zapomniał choćby na ten wieczór o swej namiętności, która nigdy nie będzie zaspokojona. Ale nie. Ciągle o niej myślał. Miał przed oczyma raj, szukał w nim jednak swojej księżniczki. I kiedy ustępowały powoli skutki miodu, szeptał: *„langan li jorn son long en mai*, gdy w maju dzień dłuższy nastanie..."

Boron zaczął się z cicha śmiać.

– Tak więc, panie Niketasie – powiedział Baudolino – kiedy nie byłem wydany na pastwę namiętności tego świata, spędzałem noce na wyobrażaniu sobie innych światów. Trochę pomagało mi w tym wino, a trochę zielony miód. Nie ma nic lepszego niż wyobrażać sobie inne światy, kiedy chcemy zapomnieć, ile cierpień przysparza ten, na którym przyszło nam żyć. Tak w każdym razie myślałem w tamtych czasach. Nie pojąłem jeszcze, że kiedy zaczynamy wyobrażać sobie inne światy, w końcu bierzemy się do zmieniania tego.

– Starajmy się na razie zachowywać pogodę ducha na tym, który wyznaczyła nam wola Boga – odrzekł Niketas. – Spójrz, nasi niezrównani genueńczycy przygotowali nam rozkosze podniebienia tutejszej kuchni. Skosztuj tej zupy z rozmaitych ryb słodkowodnych i morskich. Być może także w twoim kraju są smaczne ryby, choć sądzę, że panuje tam zbyt wielki chłód, żeby mogły rosnąć tak wspaniale jak w Propontydzie. Przyprawiamy zupę cebulką przysmażoną na oliwie z oliwek, koprem,

innymi ziołami i dodajemy dwa kieliszki wytrawnego wina. Zalej nią te kromki chleba i możesz dodać *avgolemono*, czyli tego sosu z żółtek i soku cytryny, podgrzanych w odrobinie rosołu. Sądzę, że Adam i Ewa tak właśnie jadali w ziemskim raju. Ale przed popełnieniem grzechu pierworodnego. Potem być może musieli pogodzić się z koniecznością jedzenia flaczków. Jak w Paryżu.

9

Baudolino strofuje cesarza i uwodzi cesarzową

Baudolino spędził już w Paryżu cztery zimy, dzieląc czas między niezbyt pilne pobieranie nauk i rojenia o Edenie. Stęsknił się za Fryderykiem, a jeszcze bardziej za Beatrycze, która w jego pełnym zamętu umyśle utraciła wszelkie cechy ziemskie i na podobieństwo dalekiej księżniczki Abdula stała się mieszkanką owego raju.

Pewnego razu Reginald zażądał, aby Poeta napisał odę do cesarza. Ogarnięty desperacją Poeta chciał zyskać na czasie, mówiąc swemu panu, że musi mieć odpowiednie natchnienie, wysłał zatem do Baudolina list z wezwaniem na ratunek. Baudolino napisał doskonały poemat *Salve mundi domine*, w którym postawił Fryderyka ponad wszystkimi królami i oświadczył, że jego jarzmo jest pełne słodyczy. Nie śmiał jednak powierzyć swego dzieła posłańcowi i postanowił wrócić do Italii, gdzie w tym czasie zdarzyło się mnóstwo rzeczy, które z pewnym trudem wyjaśniał Niketasowi.

– Reginald poświęcił życie tworzeniu wizerunku cesarza jako pana świata, księcia pokoju, kogoś, kto jest źródłem wszelkiego prawa, lecz sam żadnemu nie podlega, Melchizedeka, który jest jednocześnie *rex et sacerdos*, a tym samym zmaga się z papieżem. Teraz, w czasach oblężenia Cremy, nie żył już papież Hadrian, który koronował Fryderyka w Rzymie, i większość kardynałów wybrała kardynała Bandinellego. Nowy papież przybrał imię Aleksandra III. Dla Reginalda było to nieszczęście, gdyż

z Bandinellim układało mu się jak psu z kotem i w kwestii prymatu papieża nie było mowy o ustępstwach. Nie wiem, co knuł Reginald, ale udało mu się doprowadzić do tego, że część kardynałów i członkowie senatu wybrali innego papieża, Wiktora IV, którym kanclerz i cesarz mogli posługiwać się według swej woli. Aleksander III natychmiast ekskomunikował i Fryderyka, i Wiktora i jak rychło się okazało, nie wystarczyło powiedzieć, iż Aleksander nie jest prawdziwym papieżem, a tym samym jego ekskomunika nic nie znaczy, ponieważ z jednej strony królowie Francji i Anglii skłonni byli go uznać, a z drugiej dla miast italskich papież, który mówi, że cesarz jest schizmatykiem i nikt nie musi go słuchać, to prawdziwa manna z nieba. W dodatku zaczęły dochodzić wieści, że Aleksander, chcąc zapewnić sobie potężniejsze wsparcie, knuje coś z waszym bazyleusem Manuelem, rozgląda się bowiem za cesarstwem większym niż cesarstwo Fryderyka. Jeśli Reginald pragnął, by Fryderyk został jedynym spadkobiercą cesarstwa rzymskiego, musiał znaleźć widomy dowód jego pochodzenia. Oto czemu zaprzągł do pracy także Poetę.

Niketas z trudem nadążał za opowieścią Baudolina, układaną kolejno rok po roku. Nie tylko mu się wydawało, że Baudolino myli to, co zdarzyło się wcześniej, z tym, co zdarzyło się później, lecz miał też wrażenie, że wszystkie czyny Fryderyka są jednakowe, i gubił się w tym, kiedy mediolańczycy chwycili znowu za broń, kiedy raz jeszcze zagrozili Lodi i kiedy cesarz ponownie wkroczył do Italii. „Gdyby to była kronika – mówił sobie – wystarczyłoby wziąć na chybił trafił jakąś stronę i zawsze przeczytałoby się o tych samych poczynaniach. To jakby sen, w którym wraca ciągle ta sama historyjka, a człowiek błaga o przebudzenie”.

Rozumiał jednak, jak mniemał, że mediolańczycy znowu czynili jakieś wstręty Fryderykowi, coś tam robili mu na złość, dochodziło do potyczek i następnego roku cesarz, wspierany przez Novarę, Asti, Vercelli, margrabiego Monferratu, margrabiego Malaspiny, hrabiego Biandrate,

Como, Lodi, Bergamo, Cremony, Pawii oraz paru innych, przystąpił do któregoś już oblężenia Mediolanu. Pewnego pięknego wiosennego poranka dwudziestoletni teraz Baudolino, z *Salve mundi domine* oraz miłosną korespondencją, której nie chciał zostawić w Paryżu na łasce i niełasce złodziei, stawił się pod murami miasta.

– Mam nadzieję, że pod Mediolanem Fryderyk zachował się lepiej niż pod Cremą – rzekł Niketas.

– Z tego, co doszło do moich uszu, gdy tam przybyłem, to jeszcze gorzej. Kazał wyłupić oczy sześciu jeńcom z Melzo i Roncate, a jednemu mediolańczykowi wyłupił tylko jedno oko, żeby poprowadził tamtych do Mediolanu, ale za to obciął mu nos. A jeśli schwytał kogoś, kto próbował dostarczyć do Mediolanu prowiant, karał obcięciem rąk.

– Sam widzisz, także on wyłupywał oczy!

– Ale ludziom z pospólstwa, nie zaś panom jak ty. I wrogom, nie zaś krewnym!

– Usprawiedliwiasz go?

– Teraz, bo wtedy nie. Wtedy byłem oburzony. Nie chciałem się z nim nawet spotkać. Potem jednak musiałam złożyć mu pokłon, nie mogłem tego uniknąć.

Kiedy cesarz zobaczył Baudolina po tylu latach, uścisnął go radośnie, lecz Baudolino nie mógł nad sobą zapanować. Zrobił krok do tyłu, zapłakał, powiedział cesarzowi, że jest niegodziwy, że nie może być źródłem sprawiedliwości, skoro postępuje jak człowiek niesprawiedliwy, że wstydzi się być jego synem.

Jeśliby powiedział to ktoś inny, Fryderyk nie tylko kazałby mu wyłupić oczy i uciąć nos, ale nie oszczędziłby też uszu. Ale gniew Baudolina dotknął go do żywego i oto on, cesarz, zaczął się usprawiedliwiać.

– Baudolinie, to bunt, bunt przeciwko prawu, a przecież ty pierwszy powiedziałeś, że prawo to ja. Nie mogę wybaczać, nie mogę być dobry. Moim obowiązkiem jest być bezlitosnym. Myślisz, że mi się to podoba?

– A tak, podoba ci się, mój ojcze; musiałeś dwa lata temu zabić wszystkich tych ludzi pod Cremą i okaleczyć tych z Mediolanu, i to nie w bitwie, lecz na zimno, z zawziętości, zemsty, urazy?

– O, widzę, że śledzisz moje czyny niby Rahewin! Wiedz więc, że nie chodziło o zawziętość, lecz o przykład. To jedyny sposób, żeby ujarzmić tych nieposłusznych synów. Myślisz, że Cezar i August okazywali więcej pobłażliwości? Jest wojna, Baudolinie, czy wiesz, co to takiego? Czy ty, który jesteś wielkim mędrcem w Paryżu, wiesz, że kiedy wrócisz, znajdziesz się na dworze pośród moich dostojników i może nawet zrobię z ciebie rycerza? Myślisz, że będziesz jechał w orszaku świętego cesarza rzymskiego i nie zbrukasz sobie rąk? Brzydzisz się krwią? Tylko powiedz, a uczynię cię mnichem. Lecz wtedy bacz, będziesz musiał dochować czystości, a przecież opowiadano mi niejedno o twoich sprawkach paryskich, które mnichowi nie przystoją. Skąd ta blizna? Dziwię się jeno, że masz ją na twarzy, a nie na rzyci!

– Twoi szpiedzy opowiadali ci różne rzeczy o moim pobycie w Paryżu, ja zaś nie potrzebowałem szpiegów, żeby usłyszeć piękną opowieść o tym, jak poczynałeś sobie pod Adrianopolem. Wolę już moją historię o paryskich mężach niż twoją o bizantyjskich mnichach.

Fryderyk zesztywniał i pobladł. Doskonale rozumiał, co ma na myśli Baudolino (który dowiedział się o wszystkim od Ottona). Kiedy był jeszcze diukiem Szwabii, wziął krzyż i udał się na drugą krucjatę, by ratować chrześcijańskie królestwo Jerozolimy. I kiedy chrześcijańska armia maszerowała z trudem nieopodal Adrianopola, jeden z jego szlachty oddalił się od kolumny, został napadnięty i zabity – być może przez miejscowych bandytów. Między łacinnikami i Bizantyjczykami stosunki były już wówczas napięte, a Fryderyk potraktował incydent jako zniewagę.

Podobnie jak pod Cremą, nie panował nad swoim gniewem, rzucił się do szturmu pobliskiego klasztoru i urządził rzeź wszystkich mnichów.

To wydarzenie pozostawiło plamę na imieniu Fryderyka, wszyscy udawali, że o tym zapomnieli, przemilczał je nawet Otton w *Gesta Friderici*; nie omieszkał za to wspomnieć, jak to – natychmiast potem – młody diuk uratował się niedaleko Konstantynopola z powodzi, co było wszak znakiem, iż niebiosa nadal miały nad nim pieczę. Jedynym, który nie zapomniał o rzezi mnichów, był sam Fryderyk, a to, jak przyjął słowa Baudolina, świadczyło, że rana, jaką pozostawił ten niegodziwy czyn, nigdy się nie zabliźniła. Jego twarz, jeszcze przed chwilą blada, oblała się czerwienią; chwycił świecznik z brązu i rzucił się na Baudolina, jakby chciał go zabić.

Złapał już młodzieńca za kaftan, opanował się jednak, opuścił swój oręż i rzekł przez zaciśnięte zęby:

– Na wszystkie diabły z piekielnej czeluści, nigdy mi o tym nie wspominaj. – Ruszył w stronę wyjścia z namiotu. Na progu obrócił się jeszcze i powiedział: – Idź, pokłoń się cesarzowej, a potem wracaj między owe kobieciątka i swoich paryskich klerków.

„Jeszcze obaczysz, czy moje miejsce jest między kobieciątkami, obaczysz, co potrafię” – rozmyślał Baudolino, opuszczając obóz, choć nie wiedział, co właściwie cesarz miałby obaczyć, tyle że czuł nienawiść do przybranego ojca i pragnął wyrządzić mu coś złego.

Nadal przepełniony wściekłością, dotarł do kwatery Beatrycze. Pocałował jak należy rąbek jej sukni, potem dłoń, cesarzowa zaś zdumiała się blizną na twarzy i zaczęła go z niepokojem o nią wypytywać. Baudolino zbył ją zapewnieniem, że to wynik potyczki z paroma złodziejami, którzy zaczajają się na podróżnych przemierzających drogi świata. Beatrycze popatrzyła na niego z podziwem, a trzeba powiedzieć, że dwudziestolatek o lwich rysach twarzy, jeszcze bardziej męskiej przez tę bliznę, wyrósł na

jednego z tych, których zwykło się określać mianem urodziwych rycerzy. Cesarzowa poprosiła, żeby usiadł i opowiedział o swych najnowszych czynach. Uśmiechnięta, haftowała pod pięknym baldachimem, a on przysiadł u jej stóp i opowiadał, nie wiedząc nawet, co mówi, gdyż chciał po prostu rozładować napięcie w swej duszy. Snując opowieść, zerkał jednak co jakiś czas od dołu na przepiękne oblicze; wracały wszystkie zapały z minionych lat – lecz wszystkie jednocześnie i pomnożone przez sto – aż wreszcie Beatrycze powiedziała z jednym ze swoich najbardziej powabnych uśmiechów:

– Nie pisałeś jednak, ile ci rozkazałam i ile bym pragnęła.

Być może powiedziała to ze zwykłą siostrzaną życzliwością, być może chciała po prostu podtrzymać konwersację, lecz dla Baudolina wszystko, co wyszło z ust Beatrycze, było balsamem i jednocześnie trucizną.

Drżącymi dłońmi wydobył zza pazuchy swoje listy do niej i jej do niego, i podając je, szepnął:

– O nie, pani, pisałem, i to dużo, ty zaś mi odpowiadałaś.

Beatrycze nie pojęła zrazu, co Baudolino ma na myśli, ale wzięła listy i zaczęła czytać je półgłosem, by łatwiej oswoić się z dwoistością kaligrafii. Baudolino siedział dwa kroki od niej, wykręcał palce, obficie się pocił, powtarzał sobie, że chyba oszalał, że Beatrycze wezwie straże i przepędzi go na zawsze, żałował, że nie ma sztyletu, który mógłby zatopić we własnym sercu. Beatrycze czytała dalej, jej jagody były coraz bardziej zarumienione, głos sylabizujący pełne ognia słowa drżał, jakby odprawiała jakąś bluźnierczą mszę; wstała, dwakroć się zachwiała, dwakroć odprawiła Baudolina, który robił krok w jej kierunku, żeby ją podtrzymać, a wreszcie rzekła tylko omdlewającym głosem:

– Och, chłopcze, chłopcze, cóżeś uczynił?

Baudolino znowu się do niej przybliżył, by zabrać te karty z drżącej dłoni, i cesarzowa wyciągnęła rękę, by pogłaskać go po karku, on zaś

odwrócił twarz, bo nie mógł spojrzeć jej w oczy. Przesunęła leciutko opuszkami palców po bliźnie. Chcąc uniknąć również tego dotknięcia, raz jeszcze uchylił głowę, lecz ona była już zbyt blisko i nagle musnęli się nosami. Baudolino założył ręce za plecy, by nie wziąć umiłowanej w ramiona, lecz ich wargi już się zetknęły, a kiedy się zetknęły, same rozchyliły się odrobinę, tak że na chwilę, tylko na króciuteńką chwilę trwania pocałunku, poprzez te półprzymknięte wargi musnęły się też języki.

Kiedy ten błysk wieczności dobiegł końca, Beatrycze cofnęła się z obliczem pobladłym jak u chorej i patrząc Baudolinowi w oczy, rzekła surowym głosem:

– Na wszystkich świętych z raju, nie czyń więcej tego, coś uczynił.

Powiedziała to bez gniewu, głosem prawie bezbarwnym, jakby miała zaraz zemdleć. A potem oczy jej zwilgotniały i dodała ze słodyczą:

– Proszę!

Baudolino padł na kolana i czołem prawie dotknął ziemi, a potem wyszedł, sam nie wiedząc, dokąd zmierza. Po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że w jednej chwili udało mu się popełnić cztery zbrodnie: obraził majestat cesarzowej, splamił się cudzołóstwem, zawiódł zaufanie, jakim darzył go ojciec, i uległ haniebnej pokusie zemsty. „Jakiejż znowu zemsty? – pytał sam siebie. – Gdyby Fryderyk nie dopuścił się tamtej rzezi, gdyby mnie nie znieważył, a ja nie poczułbym w sercu mym nienawiści, czy i tak nie uczyniłbym tego, com uczynił?” I w swych staraniach uniknięcia odpowiedzi na to pytanie zdawał sobie jednak sprawę, że jeśliby odpowiedź była taka, jakiej się lękał, dopuściłby się piątego i najokropniejszego grzechu, a mianowicie zbrukałby raz na zawsze swe bóstwo i po to tylko, by dać upust własnej urazie, przeobraziłby to, co stało się celem jego żywota, w marne narzędzie.

– Panie Niketasie, owo podejrzenie towarzyszyło mi przez wiele lat, choć też nie potrafiłem zapomnieć piękna tej rozdzierającej serce chwili. Byłem

coraz bardziej zakochany, lecz teraz bez żadnej nadziei, choćby i w snach. Jeśli bowiem chciałem jakiegoś przebaczenia, jej wizerunek winien był zniknąć także z moich snów. Właściwie, mówiłem sobie podczas długich bezsennych nocy, miałeś wszystko i niczego więcej żądać już nie możesz.

Konstantynopol ogarniała ciemność i na niebie nie było ani śladu czerwieni. Pożar dogasał i tylko na niektórych wzgórzach miasta widać było, jak migają nie płomienie, lecz błyski rozżarzonych węgli. Niketas kazał przynieść dwa kielichy wina zaprawionego miodem. Baudolino sączył je ze wzrokiem zagubionym w pustce.

– To wino z Thasos. Do dzbana dodaje się ciasto z płaskurki rozczynione miodem. Słodkie, nieprawdaż? – spytał Niketas.

– To prawda, bardzo – odparł Baudolino, który robił w tym momencie wrażenie człowieka myślącego o czymś innym.

Po chwili odstawił kielich.

– Tegoż wieczoru – zakończył opowieść – na zawsze wyrzekłem się osądzania Fryderyka, czułem się bowiem bardziej niż on grzeszny. Co gorsze: uciąć wrogowi nos czy pocałować w usta małżonkę swego dobroczyńcy?

Nazajutrz poszedł prosić swego przybranego ojca o wybaczenie twardych słów, jakie mu powiedział, i zarumienił się, kiedy spostrzegł, że to Fryderyk ma wyrzuty sumienia. Cesarz wziął go w ramiona, przeprosił za swój gniew i oznajmił, że od stu pochlebców, których ma wokół siebie, woli swego przybranego syna, albowiem ten wypomina mu zejście na manowce.

– Nawet memu spowiednikowi nie dostaje odwagi, by mi to rzec – powiedział z uśmiechem. – Tobie jedynemu mogę ufać.

Baudolino zaczął płacić za swój występek, poczuł bowiem, że pali go wstyd.

10

Baudolino odnajduje królów magów i kanonizuje Karola Wielkiego

Baudolino dotarł pod mury Mediolanu w momencie, kiedy mediolańczycy zaczęli się załamywać – między innymi z powodu wewnętrznych sporów. W końcu jęli słać ambasady, by omówić sprawę poddania miasta, przy czym warunki były ustalone jeszcze przez sejm w Roncaglii, co oznaczało, że po czterech latach zabijania i niszczenia wszystko było tak jak przed owymi czterema laty A właściwie kapitulacja była jeszcze gorsza od poprzedniej. Fryderyk gotów byłby znowu przebaczyć, lecz nieznający litości Reginald dbał o podsycanie ognia. Tu potrzeba było lekcji, którą wszyscy zapamiętają, a także satysfakcji dla miast walczących u boku cesarza wcale nie z miłości do niego, lecz z nienawiści do Mediolanu.

– Baudolinie – rzekł cesarz – tym razem nie miej do mnie urazy. Bywa, że cesarz musi czynić to, czego chcą doradcy. – I dodał, zniżając głos: – Ten Reginald budzi we mnie większy lęk niż mediolańczycy.

Rozkazał więc, by Mediolan został starty z powierzchni ziemi i by miasto opuścili wszyscy, mężczyźni i niewiasty.

W obozach wokół miasta zaroiło się od mediolańczyków, którzy kręcili się bez żadnego celu, jedni schronili się w sąsiednich miastach, inni obozowali pod murami z nadzieją w sercu, że cesarz wybaczy im i pozwoli wrócić. Padało, uchodźcy drżeli nocami z chłodu, dzieci się przeziębiały, niewiasty szlochały, mężczyźni byli bezradni, a wszyscy trwali

w przygnębieniu na skraju dróg, wznosząc pięści do nieba, albowiem stosowniej było przeklinać Wszechmogącego niż cesarza, gdyż cesarz miał swoich ludzi, którzy krążyli dokoła i pytali o powód nazbyt głośnych lamentów.

Fryderyk najpierw spróbował zgładzić buntownicze miasto, podpalając je, potem uznał, że lepiej zostawić sprawę samym Italczykom, którzy nienawidzili Mediolanu bardziej niż on sam. Lodijczykom powierzył zniszczenie całej dzielnicy od bramy wschodniej, którą nazywano Renza, kremończykom zburzenie Porta Romana, pawijczykom zadbanie o to, by z Porta Ticinese nie pozostał kamień na kamieniu, nowaryjczykom kazał zrównać z ziemią Porta Vercellina, komijczykom doprowadzić do tego, by zniknęła raz na zawsze Porta Comacina, a tym z Seprio i Martesana zamienić Porta Nuova w kupę gruzów. Zadanie to bardzo przypadło do smaku obywatelom tamtych miast, tak że płacili nawet słono cesarzowi za przywilej własnoręcznego wyrównywania rachunków z pokonanym Mediolanem.

Dzień po tym, jak przystąpiono do burzenia, Baudolino zapuścił się w obręb murów obronnych. W niektórych miejscach nie było widać niczego poza wielkim obłokiem kurzu. Kiedy się już człowiek zagłębił w taki obłok, dostrzegał, że tu jedni obwiązywali grubymi sznurami frontowe ściany domostw i ciągnęli równo, aż ściana się waliła, tam inni, biegli mularze, rozbijali oskardami dach kościoła, aż nic z niego nie zostawało, a potem uderzali w mury wielkimi młotami albo obalali kolumny, wbijając w podstawę kliny.

Baudolino przez kilka dni błądził zburzonymi ulicami i widział, jak wali się dzwonnica największego kościoła, niemająca sobie równych względem piękna i potęgi w całej Italii. Najsumienniej pracowali lodijczycy, którzy wprost dyszeli żądzą zemsty: pierwsi zburzyli swoją część i pobiegli pomagać kremończykom przy równaniu z ziemią Porta Romana. Ale najbieglejsi byli, jak się zdaje, pawijczycy, którzy nie walili młotami na

oślep, lecz panowali nad swym gniewem: kruszyli zaprawę w miejscach złączenia kamieni albo podkopywali podstawę murów, i reszta waliła się sama.

Jednym słowem, jeśli ktoś nie rozumie, co się tam działo, Mediolan robił wrażenie radosnego placu budowy, na którym każdy przykłada się należycie do pracy i chwali Pana. Tyle że było to tak, jakby czas biegł wstecz: można by pomyśleć, że powstaje z nicości nowe miasto, lecz było odwrotnie, gdyż starożytne miasto zmieniało się w proch i nagą ziemię. W dzień Wielkiej Nocy, kiedy cesarz zarządzał powszechne świętowanie w Pawii, Baudolino, dźwigając ciężar tych myśli, spieszył się, by odkryć jak najwięcej z *mirabilia urbis Mediolani*, nim Mediolan zniknie z powierzchni ziemi. Znalazł się więc koło nietkniętej jeszcze olśniewającej bazyliki i widział, jak nieopodal kilku pawijczyków kończy burzyć jakiś pałacyk, okazując przy tym nadzwyczajny zapał, choć było to przecież świętowanie na rozkaz. Dowiedział się od nich, że bazylika jest pod wezwaniem świętego Eustorgiusza i że następnego dnia właśnie nią się zajmą. „Zbyt piękna, by ją oszczędzić, nieprawdaż?” – przekonywał go jeden z burzycieli.

Baudolino wszedł do środka bazyliki, do chłodnej, niemej i pustej nawy. Ktoś zniszczył już ołtarze i kaplice boczne, jakieś przybyłe nie wiadomo skąd psy uznały, że jest to miejsce gościnne, wybrały je sobie za przytułek i obsikiwały podstawy kolumn. Koło głównego ołtarza snuła się rozpaczliwie mleczna krowa. Było to piękne zwierzę i Baudolino miał okazję do rozmyślań nad nienawiścią ożywiającą burzycieli miasta, którzy nie dbali nawet o godny pożądania łup, bo w głowie mieli tylko jak najszybsze jego unicestwienie.

W bocznej kaplicy, przy kamiennym sarkofagu, ujrzał starego księdza, który szlochał rozpaczliwie, a właściwie kwiczał jak zranione zwierzę; twarz miał bielszą niż białko oczu i przy każdym szlochu jego wychudłe

ciało szarpały drgawki. Baudolino chciał jakoś pomóc biedakowi i podsunął mu wodę, którą miał przy sobie we flaszce.

– Dziękuję, zacny chrześcijaninie – powiedział starzec – ale teraz pozostaje mi tylko czekać na śmierć.

– Nie zabiją cię – zapewnił go Baudolino – oblężenie się skończyło, podpisano pokój, tamci na zewnątrz chcą tylko zburzyć twój kościół, nie nastają na twe życie.

– A czymże będzie me życie bez tego kościoła? Ale jest to sprawiedliwa kara niebios, bo ambicja kazała mi przez tyle lat zabiegać o to, by mój kościół był najpiękniejszy i najsławniejszy ze wszystkich, i zgrzeszyłem.

Jakiż grzech popełnił ten biedny ksiądz? Baudolino zapytał go o to.

– Przed laty pewien wędrowiec ze Wschodu chciał sprzedać mi najwspanialsze relikwie świata chrześcijańskiego, nietknięte zębem czasu ciała trzech magów.

– Trzech królów magów? Wszystkich trzech? W całości?

– Trzech, magów i w całości. Wyglądali jak żywi, to znaczy jakby umarli przed chwilą. Wiedziałem, że to niemożliwe, albowiem o magach mówi tylko Ewangelia Mateusza, a i to mało co. Nie mówi, ilu ich było, skąd przybyli, czy byli królami, czy też mędrcami... Mówi tylko, że dotarli do Jerozolimy, podążając za gwiazdą. Żaden chrześcijanin nie wie, skąd pochodzili i dokąd wrócili. Któż mógłby odnaleźć ich grób? Dlatego nigdy nie wyjawiłem mediolańczykom, co kryje ten skarbiec. Bałem się, że z chciwości zechcą sprowadzać tu wiernych z całej Italii, ciągnąc zyski z fałszywej relikwii...

– Wcale więc nie zgrzeszyłeś.

– A zgrzeszyłem, gdyż trzymałem je w ukryciu w tym poświęconym miejscu. Ciągle czekałem znaku z nieba, lecz daremnie. Teraz nie chcę, by znaleźli je ci wandale. Mogliby podzielić się tymi szczątkami, by nadać nadzwyczajną godność owym miastom, które dzisiaj nas niszczą. Błagam,

zatrzyj wszelki ślad po mojej dawnej słabości. Sprowadź sobie pomoc i przyjdź nocą, by przenieść te niepewne relikwie, i spraw, by zniknęły. Niewielki trud, a zasłużysz sobie na raj, to zaś wydaje mi się rzeczą wartą zachodu.

– Widzisz, panie Niketasie, przypomniałem sobie wówczas, że Otton mówił mi o magach w związku z królestwem księdza Jana. Oczywiście, gdyby ów biedny ksiądz pokazał ich ot tak, jakby przybywali znikąd, nikt nie dałby mu wiary. Czy jednak, jeśli relikwia ma być prawdziwa, musi ją coś łączyć ze świętym albo z wydarzeniem, w którym ów święty uczestniczył?

– Z pewnością nie. Wiele relikwii, które przechowuje się tutaj, w Konstantynopolu, ma wątpliwe pochodzenie, lecz całujący je wierny czuje, jak dobywają się z nich nadprzyrodzone wonie. Nie relikwie czynią wiarę prawdziwą, ale wiara w relikwie.

– Otóż to. Ja też pomyślałem, że relikwia ma wartość, jeżeli znajdzie sobie odpowiednie miejsce w prawdziwej historii. Jeśli magowie nie mają nic wspólnego z historią księdza Jana, są być może oszustwem handlarza dywanów, jeśli jednak są cząstką prawdziwej historii owego księdza, stają się niepodważalnym świadectwem. Drzwi nie są drzwiami, póki nie ma wokół nich pałacu, inaczej byłyby tylko otworem, co ja mówię, nawet to nie, gdyż pustka, wokół której nic nie ma, nie jest nawet pustką. Pojąłem wówczas, że oto mam historię, w której magowie mogą coś przecież oznaczać. Pomyślałem, że jeśli mam powiedzieć coś o Janie, by otworzyć przed cesarzem szlaki Orientu, świadectwo magów, którzy wszak pochodzą z Orientu, wzmocni mój dowód. Trzej biedni królowie spali sobie w sarkofagu i pozwalali, by pawijczycy i lodijczycy obracali w perzynę miasto, które udzieliło im gościny, zgoła o tym nie wiedząc. Nic mu nie zawdzięczali, zatrzymali się po drodze jak w zajeździe, nim ruszą dalej, w gruncie rzeczy byli ze swej natury obieżyświatami, czyż nie wyruszyli

nie wiadomo skąd, by podążać za gwiazdą? Moją rzeczą było dać tym trzem ciałom nowe Betlejem.

Baudolino wiedział, że zacna relikwia może odmienić los miasta, uczynić z niego cel nieustającego pielgrzymowania, przeobrazić parafialny kościółek w sanktuarium. Kogo mogą obejść magowie? Przyszedł mu do głowy Reginald: otrzymał arcybiskupstwo Kolonii, lecz musiał się tam jeszcze udać, żeby oficjalnie przyjąć sakrę. Gdyby wkraczając do swej katedry, miał przy sobie magów, z pewnością wszystkich by olśnił. Reginald szuka symboli cesarskiej władzy? Oto ma pod ręką nie jednego króla, lecz trzech, którzy jeszcze do tego byli kapłanami.

Spytał księdza, czy może ich zobaczyć. Starzec poprosił, by mu pomógł, trzeba było bowiem przetoczyć wieko sarkofagu na tyle, ażeby odsłonić relikwiarz, w którym złożono trzy ciała.

Był to nie lada trud, ale warto było go podjąć. Jakiż cudowny widok! Trzej królowie wyglądali jak żywi, choć skóra wyschła i upodobniła się do pergaminu. Dwaj zachowali oblicza barwy prawie mlecznej, jeden miał długą białą brodę, która opadała mu na piersi – nienaruszona, choć zesztywniała i przypominająca trochę watę z cukru; drugi nie miał brody. Trzeci miał skórę hebanową – nie z powodu upływu czasu, lecz dlatego, że taka była i za życia: wyglądał niczym posąg z drewna i przez lewy policzek biegła nawet jakby rysa. Miał krótką brodę i mięsiste wargi, które rozchyliły się nieco, ukazując dwa jedyne zęby – zwierzęce i śnieżnobiałe. Wszyscy trzej wytrzeszczali wielkie zdziwione oczy o źrenicach lśniących jak szkło. Wszyscy byli otuleni w płaszcze, jeden był biały, drugi zielony, trzeci zaś purpurowy, a spod płaszczy wystawały wedle barbarzyńskiej mody trzy pary spodni, lecz z czystego adamaszku haftowanego sznurami pereł.

Baudolino pobiegł czym prędzej do cesarskiego obozu i udał się do Reginalda.

Kanclerz od razu zrozumiał, jaką wartość ma odkrycie Baudolina, i powiedział:

– Trzeba działać w tajemnicy i szybko. Nie da się wynieść całego relikwiarza, zbytnio rzucałby się w oczy. Jeśli ktoś tutaj domyśli się, co znalazłeś, bez wahania spróbuje nam to wydrzeć, by zawieźć do swojego miasta. Każę przygotować troje mar i wyniesiemy ich nocą poza mury, rozpowiadając, że to ciała trzech walecznych przyjaciół, którzy polegli podczas oblężenia. Sprawą zajmiesz się ty, Poeta i mój famulus. Potem zostawimy ich w spokoju, żadnego pośpiechu. Zanim zawiozę ich do Kolonii, trzeba przygotować jakieś godne wiary świadectwa dotyczące pochodzenia relikwii i samych magów. Wyruszysz jutro do Paryża, gdzie przecież znasz uczone osoby, i odnajdziesz wszystko, co ma związek z historią magów.

W nocy trzej królowie zostali przeniesieni do krypty w kościele Świętego Jerzego za Murami. Reginald chciał ich zobaczyć, lecz na widok relikwii wyrzucił z siebie stek złorzeczeń zaiste niegodnych arcybiskupa.

– Portki? I to nakrycie głowy, które wygląda jak czapka wędrownego kuglarza!

– Panie Reginaldzie, widać tak ubierali się ówcześnie mędrcy ze Wschodu. Przed laty oglądałem w Rawennie mozaikę, na której trzej magowie są przedstawieni na sukni cesarzowej Teodory w ten mniej więcej sposób.

– No właśnie, to coś, co może przekonać jakichś *graeculi* z Bizancjum. Ale wyobrażasz sobie, że mogę pokazać w Kolonii magów ubranych jak linoskoczki? Przebierzemy ich.

– A jak? – spytał Poeta.

– Jak? Pozwoliłem, byś jadł i pił niby wielki pan, choć piszesz ledwie dwa albo trzy wiersze na rok, a ty mi mówisz, że nie wiesz, jak ubrać tych, którzy pierwsi złożyli hołd naszemu Panu, Jezusowi Chrystusowi? Ubierz

ich wedle tego, co wyobrażają sobie ludzie, jak biskupa, papieża, archimandrytę! Skąd mam wiedzieć?

– Kościół większy i biskupstwo zostały splądrowane. Może uda się odzyskać choć trochę świętych paramentów. Spróbuję – zapewnił Poeta.

Była to straszna noc. Paramenta znaleziono, a także coś, co wyglądało na trzy tiary, kłopot był jednak z obnażeniem trzech mumii. Twarze były jak żywe, lecz ciała – poza całkowicie zasuszonymi dłońmi – zmieniły się w plecionki z łoziny i słomy i rozpadały się przy każdej próbie dotknięcia szat.

– Nieważne – rzucił Reginald. – Gdy raz znajdą się w Kolonii, nikt nie będzie otwierał relikwiarza. Wypchajcie ich patykami, byleby zachowali sztywność, wiecie chyba, jak to się robi ze strachem na wróble. Z całym należnym szacunkiem.

– Panie Jezu! – żalił się Poeta. – Nawet gdybym się upił do utraty przytomności, nie przyszłoby mi do głowy, że mogę dobierać się od tyłu do królów magów.

– Zamilcz i do roboty – odparł Baudolino. – Pracujemy dla chwały cesarstwa.

Poeta wykrzykiwał przerażające bluźnierstwa, a magowie wyglądali teraz jak kardynałowie świętego Kościoła rzymskiego.

Nazajutrz Baudolino wyruszył w drogę. Kiedy dotarł do Paryża, Abdul, jak mało kto znający się na sprawach tyczących Wschodu, zaprowadził go do pewnego kanonika od Świętego Wiktora, który wiedział jeszcze więcej niż on.

– Magowie, ho, ho! – wykrzyknął kanonik. – Tradycja powołuje się na nich bez ustanku, wspomniało o nich wielu Ojców, lecz trzy Ewangelie przemilczały ich, cytaty zaś z Izajasza i innych proroków nie są wcale przejrzyste: ktoś odczytał je, jakby mówiły o magach, lecz może być i tak,

że mówią o czymś innym. Kim byli, jak się zwali naprawdę? Jeden powiada, że Hormitz z Seleukei, król Persji, Jazdegard, król Saby, i Peroz, król Szeby; drugi twierdzi, że Hor, Basander, Karundas. Lecz według innych godnych wiary autorów nazywają się Melkon, Gaspar i Balthasar albo też Melko, Kaspar i Fadizzarda. A może Magalath, Galgalath i Saracen. A może Appeliusz, Amerus i Damaskus.

– Appeliusz i Damaskus brzmi przepięknie i przywodzi na myśl odległe ziemie – oznajmił Abdul, błądząc wzrokiem gdzieś w dali.

– A czemu Karundas nie? – odparował Baudolino. – Niepotrzebne nam imiona, które podobają się tobie, lecz imiona prawdziwe.

Kanonik zaś ciągnął:

– Ja skłaniałbym się do imion Bithisarea, Melichior i Gataspha, przy czym pierwszy to król Godolii i Saby, drugi Nubii i Arabii, trzeci Tarszisz i wyspy Egriseula. Czy znali się nawzajem, zanim wyruszyli w podróż? Nie, spotkali się w Jerozolimie i rozpoznali w cudowny sposób. Ale inni utrzymują, że byli mędrcami i mieszkali na Mons Victorialis lub górze Vaus, z której wierzchołka wypatrywali znaków na niebie i na którą wrócili po odwiedzeniu Jezusa, później zaś dołączyli do apostoła Tomasza, by ewangelizować Indie, tyle że nie było ich trzech, ale dwunastu.

– Tuzin królów magów? Nie za dużo?

– To samo mówi Jan Złotousty. Wedle innych nazywali się Zhrwndd, Hwrmzd, Awstsp, Arsk, Zrwnd, Ayhw, Arthsyst, Astnbwzn, Mhrwq, Ahsrs, Nsrdyh i Mrwdk. Należy jednak zachować ostrożność, gdyż Orygenes powiada, że było ich trzech jak synów Noego i trzech jak Indie, z których pochodzili.

Choćby magów było i tuzin – pomyślał Baudolino – w Mediolanie znalazło się trzech i na tym trzeba budować całą prawdopodobną historię.

– Powiedzmy, że nazywali się Baltazar, Melchior i Kacper, gdyż moim zdaniem łatwiej wymówić te trzy imiona niźli tamte zadziwiające

kichnięcia, które dopiero co wydał z siebie nasz czcigodny mistrz. Kłopot tylko z tym, w jaki sposób dotarli do Mediolanu.

– Wcale nie sądzę, iżby był z tym kłopot – zaprzeczył kanonik – zważywszy, że tam dotarli. Jestem przekonany, że ich grób na Mons Victorialis odnalazła cesarzowa Helena, matka Konstantyna. Niewiasta, która odnalazła Prawdziwy Krzyż, wiedziała też, jak odnaleźć prawdziwych magów. I Helena sprowadziła ciała do Konstantynopola, do Hagia Sofia.

– Och, nie, przecież cesarz wschodni zapyta, jak mu je zabraliśmy! – wykrzyknął Abdul.

– Nie ma się czego bać – odparł kanonik. – Jeśli znajdowały się w bazylice Świętego Eustorgiusza, bez wątpienia przywiózł je ów święty mąż, który za czasów bazyleusa Maurycjusza, w czasach, kiedy u nas trzeba było jeszcze długo czekać na Karola Wielkiego, opuścił Bizancjum, by objąć biskupią katedrę w Mediolanie. Eustorgiusz nie mógł wykraść magów, a zatem otrzymał ich w darze od bazyleusa cesarstwa wschodniego.

Z taką to zgrabną historią wrócił Baudolino pod koniec roku do Reginalda i przypomniał mu, że według Ottona magowie winni być antenatami księdza Jana, któremu przekazali swą godność i urząd. Stąd wzięła się władza księdza Jana nad wszystkimi trojgiem Indii, a przynajmniej nad jednymi.

Reginald na śmierć zapomniał o tych słowach Ottona, kiedy jednak usłyszał o księdzu, który panuje nad królestwem, a więc o królu mającym godność kapłańską, będącym i papieżem, i monarchą, nabrał przekonania, że Aleksander III znajdzie się teraz w trudnym położeniu: królami i kapłanami byli magowie, królem i kapłanem Jan, cóż to więc za cudowna figura, alegoria, przepowiednia, proroctwo, przewidywanie tej cesarskiej godności, którą krok po kroku przygotowywał dla Fryderyka!

– Baudolinie – zapowiedział bez chwili namysłu – magami zajmę się teraz ja, ty zaś masz myśleć o księdzu Janie. Z tego, coś mi powiedział, na

razie mamy tylko pogłoski, a to za mało. Potrzebujemy dokumentu, który potwierdziłby jego istnienie, wyjaśniłby, kim jest i jak żyje.

– A gdzież znajdę taki dokument?

– Znajdź albo sporządź. Cesarz posłał cię, byś pobierał nauki, i czas już pokazać, co potrafisz. I zasłużyć sobie na pasowanie na rycerza, gdy tylko skończysz nauki, które moim zdaniem trwały już za długo.

– Rozumiesz to, panie Niketasie? – spytał Baudolino. – Od tej chwili ksiądz Jan nie był już dla mnie rodzajem gry, lecz obowiązkiem. I miałem go teraz szukać nie przez pamięć Ottona, lecz wykonując rozkaz Reginalda. Jak powiadał mój ojciec Gagliaudo, byłem chłopak, co wszystko robi na opak. Kiedy każe mi się coś zrobić, zaraz tracę na to ochotę. Posłuchałem Reginalda i pojechałem natychmiast do Paryża, ale dlatego, że nie chciałem spotkać cesarzowej. Abdul znowu układał kancony i spostrzegłem, że naczynie z zielonym miodem jest już w połowie puste. Opowiedziałem mu o sprawie magów, a on brząknął w instrument i zaśpiewał: „Wiedz to: nikogo nie dziwuje, / Że nie obaczy mnie kochana /I jedna w sercu moim rana: / Ta jeno, którą tak miłuję. / Nic mnie już dzisiaj nie raduje, / Czy mi pociecha będzie dana? /Ach, ach”. Ach, ach... Zaprzestałem rozmawiać z nim o moich planach i jeśli chodzi o księdza Jana, przez jakiś rok nie zrobiłem nic.

– A co z królami magami?

– Dwa lata później Reginald zawiózł relikwie do Kolonii, okazał jednak szczodrość. Był kiedyś proboszczem katedry w Hildesheimie i zanim zamknął szczątki królów w kolońskim grobowcu, uciął każdemu po palcu i posłał w darze swemu dawnemu kościołowi. Ale w tym okresie Reginald stanął przed innymi zadaniami, i to nie byle jakimi. Dwa miesiące przed chwilą, kiedy mógł świętować w Kolonii swój tryumf, zmarł antypapież Wiktor. Prawie wszyscy odetchnęli z ulgą, gdyż dzięki temu wszystko wracało na swoje miejsce i nawet Fryderyk zawarł znowu pokój

z Aleksandrem. Lecz zrozum, panie Niketasie, dla Reginalda ta schizma była jak powietrze, przy dwóch papieżach miał większe znaczenie niż przy jednym. Wymyślił więc nowego antypapieża, Paschalisa III, zwołując parodię konklawe, w którym wzięło udział czterech pierwszych lepszych duchownych. Fryderyk nie był zbytnio przekonany. Powiedział mi...

– Wróciłeś do niego?

Baudolino westchnął.

– Tak, na parę dni. W tym samym roku cesarzowa dała Fryderykowi syna.

– Co czułeś?

– Zrozumiałem, że muszę raz na zawsze o niej zapomnieć. Siedem dni pościłem, pijąc tylko wodę, bo wyczytałem gdzieś, że woda oczyszcza umysł i sprowadza po jakimś czasie wizje.

– To prawda?

– A jakże! Ale w tych wizjach pojawiała się ona. Uznałem wówczas, że muszę zobaczyć to dziecko, by wyznaczyć sobie granicę między snem i wizją. Wróciłem na dwór. Od tamtego wspaniałego i strasznego dnia minęły ponad dwa lata i przez cały ten czas nie widzieliśmy się ani razu. Beatrycze była wpatrzona w dziecko i wydawało się, że mój widok zgoła nie zrobił na niej wrażenia. Powiedziałem sobie wtedy, że choć nie umiem pokochać Beatrycze jak matki, pokocham to dziecię jak braciszka. Ale patrzyłem na maleństwo w kołysce i nie mogłem odpędzić myśli, że gdyby wszystko poszło odrobinę tylko inaczej, mogłoby być moim synem. Tak czy owak, groziło mi, że do końca życia będę się czuł kazirodcą.

Fryderyk w tym czasie był zaprzątnięty zupełnie innymi sprawami. Powiedział Reginaldowi, że przekupny papież jest marną gwarancją jego praw, że królowie magowie są wspaniali, ale nie wystarczą, bo przecież to, że znalazł magów, nie oznacza jeszcze, że się od nich wywodzi. Papież jest

szczęśliwy, bo może powoływać się na Piotra, a Piotr był wyznaczony przez samego Jezusa, co może jednak uczynić święty cesarz rzymski? Powołać się na Cezara, który był wszak poganinem?

Baudolino podsunął wtedy pierwszy pomysł, jaki przyszedł mu do głowy, ten mianowicie, że Fryderyk może, jeśli chodzi o swą godność, powołać się na Karola Wielkiego.

– Ale Karol Wielki został namaszczony przez papieża, drepczemy więc w miejscu – zaprotestował Fryderyk.

– Chyba że zrobisz go świętym – odparł Baudolino, a Fryderyk poradził mu, żeby się zastanowił, zanim palnie takie głupstwo. – To wcale nie głupstwo – odpowiedział Baudolino, który nie tyle zdążył się zastanowić, ile ujrzał oczyma duszy scenę, jaką zrodziła jego myśl. – Posłuchaj. Udasz się do Akwizgranu, gdzie spoczywają szczątki Karola Wielkiego, każesz je ekshumować, umieścisz w pięknym relikwiarzu i wystawisz w samym środku kaplicy Palatyńskiej, i w swej obecności, w otoczeniu wiernych biskupów, a wśród nich pana Reginalda, który jako arcybiskup Kolonii jest również metropolitą tej prowincji, mając prawne wsparcie bulli papieża Paschalisa, każesz ogłosić, że Karol Wielki jest świętym. Pojmujesz? Ogłosisz, że świętym jest człowiek, który stworzył święte cesarstwo rzymskie, a jako święty będzie ponad papieżem i ty jako jego prawowity sukcesor jesteś z rodu świętego, tym samym nie podlegasz żadnej władzy, także tej, która chciała cię ekskomunikować.

– Na brodę Karola Wielkiego! – wykrzyknął Fryderyk i włosy na jego własnej brodzie zjeżyły się z podniecenia. – Słyszałeś, Reginaldzie? Ten chłopiec ma, jak zwykle, rację!

I tak się stało, aczkolwiek dopiero pod koniec następnego roku, albowiem są rzeczy, których przygotowanie wymaga dużo czasu.

Niketas zwrócił Baudolinowi uwagę, że ten pomysł był raczej szalony, ale Baudolino odparował, że wszystko poszło dobrze. I patrzył z dumą na

swojego rozmówcę. To zrozumiałe – pomyślał Niketas – jesteś bezmiernie pyszny, uczyniłeś przecież świętym Karola Wielkiego. Po Baudolinie można było się spodziewać wszystkiego.

– I co dalej? – spytał.

– Kiedy Fryderyk i Reginald gotowali się do kanonizacji Karola Wielkiego, ja powoli zaczynałem zdawać sobie sprawę, że nie wystarczy ani Karol, ani magowie. Wszyscy czterej przebywali sobie w raju, w każdym razie z pewnością magowie, a Karol Wielki miejmy nadzieję; aby w Akwizgranie nie doszło do szkaradnego oszustwa, potrzebne było jeszcze coś, co byłoby nadal na tej ziemi i o czym cesarz mógł rzec: oto tu jestem, i to uświęca moje prawo. A jedynym, co cesarz mógł znaleźć na tym padole, było królestwo księdza Jana.

11

Baudolino buduje księdzu Janowi pałac

W piątkowy poranek trzej genueńczycy, Pevere, Boiamondo i Grillo, przybyli, by potwierdzić to, co doskonale było widać z daleka. Pożar dogasł prawie sam, bo nikt nie zadał sobie zbyt wielkiego trudu, by go ujarzmić. Nie oznaczało to jednak, że można się było zapuścić w głąb Konstantynopola. Ponieważ zaczęto swobodniej poruszać się po ulicach i placach, pielgrzymi tym pilniej polowali na majętnych mieszkańców i wśród rozżarzonych jeszcze gruzów burzyli resztki tego, co jeszcze stało, szukając ostatnich skarbów, które zachowały się po pierwszych grabieżach. Niepocieszony Niketas westchnął głęboko i poprosił o wino z Samos. Chciał też, by mu uprażono na odrobinie oliwy garść ziaren sezamu, które można powoli żuć między jednym a drugim łykiem, a potem zażądał też trochę orzeszków pistacjowych, by lepiej skupić się na słowach Baudolina, prosząc tego ostatniego o podjęcie opowieści.

Pewnego dnia Reginald pchnął Poetę z jakimś poselstwem do Paryża i Poeta skorzystał ze sposobności, by w towarzystwie Baudolina i Abdula przypomnieć sobie przyjemności bywania w oberży. Poznał też Borona, choć jego rojenia o raju ziemskim niewiele go, jak się zdaje, obchodziły. Lata dworskiego życia bardzo odmieniły Poetę – zauważył Baudolino. Nabrał twardości, z wigorem przepijał, ale pilnował się, by nie przesadzić, by mieć się zawsze na baczności, jak człek, który się zaczaił i gotów jest w każdej chwili skoczyć na swoją ofiarę.

– Baudolinie – rzekł pewnego dnia – wy tutaj trwonicie tylko czas. To, czego mieliśmy nauczyć się w Paryżu, już umiemy. Przecież wszyscy ci doktorowie sfajdaliby się w portki, gdybym stawił się jutro na dysputę w uroczystym stroju dworskiego urzędnika, ze szpadą u boku. Na dworze nauczyłem się czterech rzeczy: jeśli trzymasz się wielkich ludzi, sam też stajesz się wielki, wielcy ludzie są w istocie bardzo mali, władza jest wszystkim i nie ma powodu, byś pewnego dnia nie wziął jej w swoje ręce, a przynajmniej jej cząstki. Trzeba nauczyć się czekać, to prawda, ale za nic w świecie nie można przepuścić sposobności.

Natychmiast jednak nastawił ucha, kiedy usłyszał, że przyjaciele nadal rozmawiają o księdzu Janie. Zostawił ich w Paryżu, kiedy ta historia była tylko rojeniem bibliotecznych moli, ale słyszał w Mediolanie, jak Baudolino rozmawia o tym z Reginaldem jako o czymś, co może stać się widomym znakiem władzy cesarskiej – przynajmniej w tym stopniu co odnalezienie magów. W tej sytuacji przedsięwzięcie zaczęło go żywo obchodzić: zamierzał wziąć w nim udział, jakby chodziło o budowanie machiny oblężniczej. W miarę jak o tym mówił, sprawiał wrażenie, że ziemia księdza Jana przeobraża się w jego oczach – niby doczesna Jerozolima – z miejsca mistycznej pielgrzymki w ziemię, którą można podbić.

Przypomniał więc swoim towarzyszom, że odkąd wypłynęła sprawa magów; ksiądz stał się znacznie ważniejszy, i trzeba widzieć, że jest to zaiste *rex et sacerdos*. Jako król królów powinien mieć dwór, przy którym dwory władców chrześcijańskich, w tym bazyleusa konstantynopolskich schizmatyków, wyglądają jak wieśniacza chata, a jako kapłan winien mieć świątynię, przy której papieskie kościoły robią wrażenie ruder. Jednym słowem, potrzebował godnego siebie pałacu.

– Wzorzec mamy gotowy – rzekł Boron – i jest nim niebiańska Jerozolima w tym kształcie, w jakim widział ją apostoł Jan w Apokalipsie. Musi być opasany wysokimi murami, mieć dwanaście bram jak dwanaście

pokoleń synów Izraela, od południa trzy bramy i od zachodu trzy bramy, i od wschodu trzy bramy, i od północy trzy bramy...

– Tak, tak – zażartował Poeta – a ksiądz wchodzi jedną i wychodzi drugą, a kiedy nadciąga burza, wszystkie razem trzaskają. Wyobrażasz sobie te przeciągi. Ja w takim pałacu nie chciałbym zostać nawet po śmierci...

– Nie przerywaj. Fundamenty pod murami są z jaspisu, szafiru, chalcedonu, szmaragdu, sardonyksu, krwawnika, chryzolitu, berylu, topazu, chryzoprazu, hiacyntu i ametystu, a dwanaście bram to dwanaście pereł, rynek zaś to czyste złoto jak szkło przezroczyste.

– Nieźle, nieźle – powiedział Abdul – ale uważam, że wzorcem powinna być świątynia jerozolimska według opisu proroka Ezechiela. Przyjdźcie jutro rano do opactwa. Jeden z kanoników, uczony doktor Ryszard od Świętego Wiktora, szuka sposobu odtworzenia planu świątyni, gdyż tekst proroka nie zawsze jest wystarczająco jasny.

– Panie Niketasie – rzekł Baudolino – nie wiem, czyś zajmował się kiedy wymiarami świątyni.

– Jak dotąd nie.

– Nie bierz się więc do tego, bo można dostać pomieszania zmysłów. W Księdze Królewskiej powiedziano, że świątynia była długa na sześćdziesiąt łokci, wysoka na trzydzieści i szeroka na dwadzieścia i że przysionek miał dwadzieścia łokci szerokości i dziesięć głębokości. W Kronikach mówi się natomiast, że przysionek miał sto dwadzieścia łokci wysokości. Otóż przysionek szeroki na dwadzieścia łokci, głęboki na dziesięć i wysoki na sto dwadzieścia nie tylko był cztery razy wyższy od całej świątyni, ale byłby też tak smukły, że przewróciłby go lada podmuch. Lecz największy kłopot pojawi się, kiedy przeczytasz wizję Ezechiela. Żadna miara nie pasuje do innych, i wielu pobożnych chrześcijan doszło do wniosku, że była to właśnie wizja, a to jest tak, jakby powiedzieć, że Ezechiel trochę za dużo wypił i widział wszystko podwójnie. Wcale mnie to

nie gorszy, także biedny Ezechiel miał prawo się zabawić i nic by się nie stało, gdyby nie to, że ów Ryszard od Świętego Wiktora przeprowadził następujące rozumowanie: skoro wszelka rzecz, wszelka liczba, nawet każde źdźbło słomy, o którym mowa w Biblii, ma znaczenie duchowe, musimy również dobrze zrozumieć, jaki ma sens dosłowny, albowiem czym innym, co się tyczy znaczenia duchowego, będzie powiedzieć, że coś ma długość trzy, a czym innym, że dziewięć, zważywszy, iż z tymi dwiema liczbami wiążą się odmienne znaczenia mistyczne. Nie mówię już, jak wyglądał wykład Ryszarda na temat świątyni. Miał Księgę Ezechiela przed oczyma i używał sznurka, żeby dokonać stosownych pomiarów. Zarysował kontur tego, co opisał Ezechiel, a następnie wziął tyczki i listwy z miękkiego drewna i korzystając z pomocy swych akolitów, przycinał je i próbował spoić klejem i ćwiekami... Chciał zbudować świątynię, zmieniając proporcjonalnie miary, to znaczy tam, gdzie Ezechiel mówił o jednym łokciu, on kazał przycinać na jeden palec... Co dwie minuty wszystko się waliło, Ryszard złościł się na pomocników i wykrzykiwał, że trzymają nie dość mocno albo dali za mało kleju, ci zaś usprawiedliwiali się, mówiąc, że to jego wina, bo podał błędne wymiary. Mistrz poprawiał się więc, oznajmiał, że być może napisano *porta*, lecz w tym przypadku słowo to oznacza *porticus*, w przeciwnym bowiem razie okazywało się, że drzwi są prawie tak wielkie jak świątynia, kiedy indziej zaś cofał się i mówił, że skoro dwie miary nie są zgodne, to widać za pierwszym razem Ezechiel miał na myśli miarę całego budynku, a za drugim jego części. Albo że czasem mowa jest o łokciu, ale chodzi o łokieć geometryczny, który wart jest sześć zwykłych. Jednym słowem, przez kilka dni mieliśmy przed południem zabawę, patrząc, jak ów święty mąż wpada w gniew, i wybuchaliśmy śmiechem za każdym razem, kiedy świątynia się waliła. Żeby to ukryć, udawaliśmy, że podnosimy coś, co nam upadło, ale potem pewien kanonik spostrzegł, że ciągle nam coś upada, i przegnał nas precz.

Kilka dni później Abdul powiedział, że skoro Ezechiel należał do synów Izraela, być może któryś z jego współwyznawców mógłby ich nieco oświecić. A ponieważ zgorszeni kompani zwrócili mu uwagę, że nie można czytać Pisma, sięgając po radę żyda, gdyż ci wiarołomni ludzie nagminnie zniekształcają tekst świętych ksiąg, by ukryć wszelką wzmiankę o przyjściu Chrystusa, Abdul ujawnił, że niektórzy z największych paryskich mistrzów korzystali czasem, aczkolwiek w tajemnicy, z wiedzy rabinów, w każdym razie co do ustępów, w których nie było mowy o przyjściu Mesjasza. Przypadek sprawił, że właśnie w tych dniach kanonicy od Świętego Wiktora zaprosili do swego opactwa jednego z nich, młodego jeszcze, lecz cieszącego się wielką sławą Solomona z Gerony.

Solomon nie zatrzymał się oczywiście u Świętego Wiktora; kanonicy znaleźli mu cuchnącą i ciemną izbę przy jednej z najgorszych paryskich ulic. Był to naprawdę młody mężczyzna, choć twarz miał zniszczoną od medytacji i studiów. Posługiwał się poprawną łaciną, ale w sposób niezbyt zrozumiały, odznaczał się bowiem pewną osobliwością: po lewej stronie ust miał wszystkie zęby dolne i górne od środkowego siekacza, ale po prawej – ani jednego. Chociaż był ranek, w izbie było tak ciemno, że musiał czytać przy blasku kaganka, a kiedy zjawili się goście, położył dłonie na zwoju, który miał przed sobą, jakby nie chciał, by inni coś dojrzeli – ostrożność zbyteczna, gdyż zwój był zapisany pismem hebrajskim. Rabin starał się usprawiedliwić, mówiąc, że jest to księga najsłuszniej budząca obrzydzenie chrześcijan, a mianowicie cieszący się jak najgorszą sławą *Toledot Jeszu*, gdzie powiada się, że Jezus był synem nierządnicy i najemnika, niejakiego Pantery. Ale to sami kanonicy od Świętego Wiktora poprosili, by przetłumaczył im kilka stron, gdyż chcieli zobaczyć, jak wielka może być niegodziwość Żydów. Dodał jednak, że chętnie podjął się tej pracy, albowiem on też uważa, iż księga ta jest nazbyt surowa, bo Jezus był z pewnością człowiekiem cnotliwym, choć miał tę słabość, że niesłusznie

uważał się za mesjasza, lecz może oszukał Go Książę Ciemności, a przecież nawet Ewangelie przyznają, że przybył Go kusić.

Padło pytanie o kształt świątyni według Ezechiela i Solomon uśmiechnął się.

– Najpilniejsi komentatorzy świętego tekstu nie zdołali ustalić, jak dokładnie wyglądała świątynia. Nawet wielki rabbi Solomon ben Izaak przyznał, że kiedy człowiek trzyma się ściśle litery, nie pojmuje, gdzie były sale północne zewnętrzne, gdzie zaczynają się po stronie zachodniej, jak daleko się ciągną po wschodniej i tak dalej. Wy, chrześcijanie, nie pojmujecie, że święty tekst zrodził się z Głosu. Kiedy Pan, *ha-kadosz baruch hu*, oby Święty był zawsze błogosławiony, przemawia do swoich proroków, ci słyszą dźwięki, a nie pokazuje im figur, jak to jest z waszymi iluminowanymi kartami. Głos z pewnością kształtuje w sercu proroka obrazy, nie są to jednak obrazy nieruchome, lecz roztapiają się, zmieniają formę zależnie od melodii tego głosu, i jeśli chcecie sprowadzić do obrazów słowa Pana, oby był zawsze Święty błogosławiony, zamrażacie ten głos, jakby był czystą wodą, która zmienia się w lód i nie gasi już pragnienia, lecz usypia członki w chłodzie śmierci. Kanonik Ryszard, chcąc zrozumieć duchowy sens każdej z części świątyni, bierze się do jej budowania niby mistrz mularski, lecz nigdy się mu to nie uda. Wizja jest podobna do snu, w którym jedna rzecz przemienia się w inną, nie zaś do obrazu waszych kościołów, gdzie rzeczy zawsze pozostają takimi, jakimi są.

Potem rabbi Solomon spytał, czemu to jego goście chcą się dowiedzieć, jaka była świątynia, oni zaś opowiedzieli o swoim poszukiwaniu królestwa księdza Jana. Rabin był tym wielce zaciekawiony.

– Być może nie wiecie – rzekł – że także nasze teksty mówią o położonym na najdalszym wschodzie tajemniczym królestwie, w którym żyje nadal dziesięć rozproszonych pokoleń Izraela.

– Słyszałem o tych pokoleniach – powiedział Baudolino – ale bardzo niewiele o nich wiem.

– Wszystko jest zapisane. Po śmierci Salomona doszło do zatargów między dwunastoma pokoleniami, na które dzielił się wówczas Izrael. Dwa tylko, pokolenie Judy i pokolenie Beniamina, dochowały wierności rodowi Dawida, a dziesięć pozostałych wyruszyło na północ, gdzie czekała je klęska i niewola asyryjska. Potem już o nich nie słyszano. Ezdrasz powiada, że udały się do kraju, który nigdy nie był zamieszkany przez ludzi, w okolicy zwanej Arsareth, a inni prorocy przepowiadali, że pewnego dnia zostaną odnalezione i wrócą w tryumfie do Jerozolimy. Otóż nasz brat Eldad z pokolenia Dana dotarł ponad sto lat temu do miasta Kajrawan w Afryce, gdzie żyje wspólnota ludu wybranego, której członkowie twierdzą, że pochodzą z królestwa dziesięciu rozproszonych plemion, i zamieszkują tę błogosławioną przez niebiosa ziemię, a ich pokojowego życia nie zakłócają żadne zbrodnie i w tamtejszych strumykach naprawdę płynie mleko i miód. Ziemia ta pozostaje oddzielona od wszystkich innych krain, gdyż broni jej rzeka Sambation, która jest szeroka na lot strzały z najpotężniejszego łuku, lecz pozbawiona wody. Jej łożyskiem pędzą tylko wściekle piasek i kamienie, czyniąc łoskot tak okropny, że słychać go z odległości pół dnia drogi, a ta martwa materia sunie tak wartko, że każdy, kto spróbowałby przebyć rzekę, zostałby przez ten nurt porwany. Ten kamienny pęd ustaje tylko na początku szabatu i tylko w szabat można przebyć rzekę, lecz żaden syn Izraela nie pogwałciłby wszak szabasowego odpoczynku.

– Lecz chrześcijanin mógłby? – spytał Abdul.

– Nie, gdyż w szabat dostępu do rzeki broni mur ognia.

– Jakże więc ów Eldad znalazł się w Afryce? – spytał Poeta.

– Tego nie wiem, lecz kimże jestem, by rozprawiać o dekretach Pana, oby był Święty zawsze i błogosławiony? Ludzie małej wiary, Eldada mógł przeprowadzić na drugą stronę anioł. Nasi rabini, od Babilonu po

Hiszpanię, zaczęli natychmiast w związku z tą opowieścią dyskutować nad odmiennym zagadnieniem. Jeśli dziesięć rozproszonych plemion żyło zgodnie z prawem bożym, ich prawa winny być takie same jak prawa Izraela, choć z opowieści Eldada wynikało, że były inne.

– Lecz jeśli Eldad mówił o królestwie księdza Jana – rzekł Baudolino – wówczas tamtejsze prawa musiały w istocie być inne niż wasze, a za to podobne do naszych, aczkolwiek lepsze!

– To właśnie różni nas od pogan, którymi jesteście – oznajmił rabbi Solomon. – Wy możecie wedle woli praktykować swoje prawa i zepsuliście je, szukacie więc miejsca, gdzie się ich jeszcze przestrzega. My utrzymaliśmy nasze prawo w stanie niezmienionym, lecz nie mamy swobody w kwestii jego przestrzegania. Wiedz jednak, że także pragnąłbym odnaleźć to królestwo, mogłoby się bowiem okazać, że naszych dziesięć rozproszonych pokoleń i poganie żyją tam w pokoju i harmonii i każdy może praktykować swoje prawo, a samo już istnienie takiego cudownego królestwa byłoby przykładem dla wszystkich synów Najwyższego, oby błogosławiony zawsze Święty był. A poza tym powiadam ci, że chciałbym odnaleźć to królestwo z innego jeszcze powodu. Z tego, co utrzymuje Eldad, wynika, że mówi się tam nadal Językiem Świętym, pierwotnym językiem, który Najwyższy, oby błogosławiony Święty był zawsze, dał Adamowi i który uległ zapomnieniu wskutek budowy wieży Babel.

– Co za szaleństwo! – wykrzyknął Abdul. – Matka zawsze opowiadała mi, że język adamowy odtworzono na jej wyspie i jest to język gaelicki złożony z dziewięciu części dyskursu, tylu więc, z ilu materiałów budowano wieżę Babel, a to gliny i wody, wełny i krwi, drewna i wapna, smoły, lnu i bitumu... Język gaelicki układało siedemdziesięciu dwóch mędrców ze szkoły Fenius, wykorzystując wszystkie siedemdziesiąt dwa narzecza zrodzone po pomieszaniu języków, i dzięki temu gaelicki zawiera w sobie to, co najlepsze w każdym języku, a jako język adamowy ma tę

samą formę co świat stworzony, a zatem każde używane w nim miano wyraża istotę rzeczy, którą nazywa.

Rabbi Solomon uśmiechnął się pobłażliwie.

– Wiele ludów wierzy, że ich język jest adamowy, a zapomina, iż Adam mógł przemawiać jedynie w języku Tory, nie zaś tych ksiąg, które opowiadają o bogach fałszywych i kłamliwych. Siedemdziesiąt dwa języki, które zrodziły się z pomieszania, nie znają podstawowych liter: na przykład poganie nie znają *chet*, a Arabowie nic nie wiedzą o *pe* i dlatego tego rodzaju języki przypominają chrząkanie świni, rzekotanie żab albo dzwonienie żurawia, albowiem używają ich ludy, które zeszły z właściwej drogi życia. Pierwotna zaś Tora, w dniach stworzenia, została w obecności Najwyższego, oby błogosławiony był zawsze Święty, zapisana niby czarny ogień na ogniu białym w porządku, który nie jest porządkiem Tory pisanej, jaką czytamy dzisiaj, ta bowiem objawiła się w tym kształcie dopiero po grzechu Adama. Oto czemu noc po nocy spędzam wiele godzin na sylabizowaniu w wielkim skupieniu liter Tory pisanej, by je przemieszać, by wirowały jak koło młyńskie, by ujawniły pierwotny porządek Tory wiekuistej, która istniała przed stworzeniem świata i została powierzona aniołom Najwyższego, oby był błogosławiony zawsze Święty. Gdybym wiedział, że istnieje odległe królestwo, gdzie przechowuje się pierwotny porządek oraz język, którym Adam rozmawiał ze swoim Stwórcą, nim dopuścił się grzechu, z ochotą poświęciłbym jego odnalezieniu życie całe.

Kiedy Solomon wypowiadał te słowa, jego twarz rozświetliło takie światło, że nasi przyjaciele zaczęli się zastanawiać, czy nie warto dopuścić go w przyszłości do swych narad. Rozstrzygający argument znalazł Poeta: to, że ten żyd chce odnaleźć w królestwie księdza Jana swój język i swoje dziesięć pokoleń, nie powinno im przeszkadzać; ksiądz Jan jest wszak dość potężny, by rządzić także rozproszonymi pokoleniami żydów, a nie widać też powodu, ażeby nie miał mówić językiem adamowym. Najważniejszą

sprawą jest zbudowanie tego królestwa, a do tego żyd może być równie przydatny jak chrześcijanin.

Nie zapadła jednak decyzja co do tego, jak powinien wyglądać pałac księdza. Rozstrzygnęli to zagadnienie kilka wieczorów potem, kiedy rozmawiali w piątkę w izbie Baudolina. Geniusz miejsca sprawił, że Abdul zdecydował się wyjawić nowym przyjaciołom sekret zielonego miodu, mówiąc, że substancja ta nie pomoże wprawdzie myśleć, ale pozwoli zobaczyć bezpośrednio pałac księdza.

Rabbi Solomon oświadczył zaraz, że zna bardziej mistyczne sposoby na to, by mieć wizje, i że wystarczy mu szeptać w nocy mnogie układy liter tajemnego imienia Pana, wprawiając je na języku w ruch wirowy jak zwój, a nie dając im chwili spoczynku, i wówczas rodzi się kipiel myśli i obrazów, aż wreszcie wpada w błogosławioną szczęśliwość.

Z początku Poeta odnosił się do tej metody nieufnie, potem zgodził się ją wypróbować, ale chcąc połączyć przymioty miodu z przymiotami wina, w końcu stracił wszelki umiar i bredził lepiej niż pozostali.

I tak oto, osiągnąwszy odpowiedni stopień upojenia, pomagając sobie paroma niekształtnymi kreskami, które kreślił na stole palcem umoczonym w winie, podsunął myśl, że pałac powinien być taki sam jak ten, co go apostoł Tomasz kazał wznieść dla Gondofora, króla Hindusów: powała i dźwigary z drewna cypryjskiego, dach z hebanu i kopuła zwieńczona dwoma złotymi jabłkami, a na każdym błyszczą dwa karbunkuły, aby złoto dawało blask za dnia, w promieniach słońca, klejnoty zaś nocą, w promieniach księżyca. Potem przestał zawierzać własnej pamięci i autorytetowi Tomasza i zobaczył odrzwia – z sardonyksu z osadzonymi rogami węża o nazwie barasz, które przekraczającemu próg uniemożliwiają wniesienie do środka trucizny – a także okna z kryształu, złote stoły na kolumnach z kości słoniowej, podsycane balsamem płomienie kaganków i łoże księdza całe z szafiru, chroniące czystość, gdyż – kończył relację

Poeta – ów Jan jest, jeśli tak chcecie, królem, ale również księdzem, więc o kobietach ani mowy.

– Wydaje mi się piękny – rzekł Baudolino – lecz chodzi przecież o króla panującego nad niezmiernym obszarem, umieściłbym więc tam również w jakiejś sali owe *automatarii*, które były ponoć w Rzymie i dawały znak, kiedy buntowała się ta czy inna prowincja.

– Nie sądzę, by w królestwie księdza mogło dochodzić do buntów, albowiem panuje tam pokój i harmonia – zwrócił uwagę Abdul. Lecz spodobała mu się myśl o owych *automatarii*, wszyscy bowiem wiedzą, że wielki władca, mauretański czy chrześcijański, wszystko jedno, powinien mieć na swoim dworze takie mechanizmy. Ujrzał je więc i dzięki cudownym hypotypozom ujrzeli je również jego przyjaciele. – Pałac wznosi się na górze, a góra owa jest z onyksu, wierzchołek zaś ma tak wypolerowany, że lśni niby księżyc. Świątynia jest okrągła, ma złotą kopułę, ze złota są też jej mury inkrustowane w dodatku klejnotami błyszczącymi, że aż wytwarzają ciepło w zimie i chłód w lecie. Sufit jest inkrustowany szafirami, które są figurą nieba, i karbunkułami, które są figurą gwiazd. Złocone słońce i księżyc ze srebra, oto rzeczone *automatarii*, przesuwają się po sklepieniu nieba, mechaniczne ptaszęta śpiewają każdego dnia, a w czterech kątach aniołowie z pozłacanego brązu towarzyszą im na trąbach. Pałac zaś wznosi się nad ukrytą studnią, w której zaprzężone parami konie poruszają kamień młyński, by obracał się w zgodzie z odmianami pór roku, tak że pałac staje się wizerunkiem kosmosu. Pod kryształową posadzką pływają ryby i bajeczne stworzenia morskie. Ale słyszałem też o zwierciadłach, w których można ujrzeć wszystkie rzeczy, jakie się dzieją. Byłyby niepomiernie użyteczne dla księdza, bo dzięki nim mógłby mieć oko na najdalsze zakątki swego królestwa...

Poeta, teraz skłaniając się ku sprawom architektury, zaczął rysować zwierciadło, dorzucając stosowne wyjaśnienia.

– Będzie zawieszone bardzo wysoko, aby dochodziło się do niego po stu dwudziestu i pięciu stopniach z porfiru...

– No i z alabastru – podsunął mu Boron, który dotychczas w milczeniu przetrawiał skutki zażycia zielonego miodu.

– Dodajmy więc alabaster. Ale najwyższe stopnie koniecznie z bursztynu i pantery.

– A cóż to takiego pantera, na Boga Ojca? – spytał Baudolino.

– Nie udawaj głupca, pisze o niej Pliniusz, to wielobarwny kamień. Lecz właściwie zwierciadło jest osadzone na jednym pilastrze. Albo nie, ten pilaster podtrzymuje cokół, na którym stoją dwa pilastry, te zaś podtrzymują cokół z czterema pilastrami i tak dalej: coraz więcej pilastrów, aż wreszcie na cokole środkowym jest ich sześćdziesiąt cztery. Te podtrzymują cokół z trzydziestoma dwoma pilastrami, które podtrzymują cokół z szesnastoma i tak dalej: coraz mniej, aż dochodzimy do jednego pilastru ze zwierciadłem.

– Przecież przy tych wszystkich pilastrach zwierciadło runie, gdy tylko ktoś oprze się o podstawę – zaprotestował rabbi Solomon.

– Milcz, boś fałszywy jak serce Judasza. Zgadzasz się, by wasz Ezechiel ujrzał świątynię, a nie wiadomo, jaka ona właściwie jest; kiedy zaś przychodzi chrześcijański mularz i mówi, że tak budowla nie ustoi, powiadasz, że Ezechiel słyszał głosy i nie zważał na kształty, mnie zaś każesz wytwarzać zwierciadła, które w żadnym razie nie runą? A ja dodam jeszcze dwanaście tysięcy zbrojnych, by strzegli zwierciadła, i postawię ich wokół dolnej kolumny, a oni już zadbają, żeby stała prosto. Jesteś zadowolony?

– Dobrze, no dobrze, nie zamierzam zabierać ci tego zwierciadła – odparł pojednawczo rabbi Solomon.

Abdul przysłuchiwał się tym sporom z uśmiechem i wzrokiem zagubionym w pustce, Baudolino zrozumiał więc, że pragnął wypatrzyć

w zwierciadle choćby cień swej dalekiej księżniczki.

– W następnych dniach trzeba było się pospieszyć, gdyż Poeta musiał wyjechać, a nie chciał stracić reszty historii – powiedział Baudolino Niketasowi. – Na szczęście weszliśmy na właściwą drogę.

– Na właściwą drogę? Przecież ten ksiądz był moim zdaniem mniej godny wiary niż magowie przebrani za kardynałów i Karol Wielki wśród zastępów anielskich!...

– Ksiądz będzie godny wiary, jeśli osobiście pokaże, że jest pośród żywych, i napisze list do Fryderyka.

12

Baudolino pisze list od księdza Jana

Myślą napisania listu od księdza Jana natchnęła ich historia, którą rabbi Solomon usłyszał w Hiszpanii od Arabów. Pewien żeglarz, Sindbad, który żył w czasach kalifa Haruna ar-Raszida, został pewnego razu rozbitkiem na wyspie, która znajdowała się na linii ekwinokcjum, tak że dzień i noc trwały tam równo dwanaście godzin. Sindbad powiedział, że widział na tej wyspie mnóstwo Hindusów, a zatem wyspa leżała blisko Indii. Hindusi zaprowadzili go przed oblicze księcia Sarandibu. Książę ten przemieszczał się wszędzie na tronie, który umieszczono na grzbiecie wysokiego na osiem łokci słonia, a po bokach szli podwójnym szeregiem jego wasale i ministrowie. Poprzedzał go herold ze złotym oszczepem, a za nim drugi ze złotą maczugą, na której wierzchołku osadzony był szmaragd. Kiedy zsiadał z tronu, by jechać konno, towarzyszyło mu tysiąc rycerzy okrytych jedwabiem i brokatem i wtedy na przedzie jechał inny herold, który wykrzykiwał, że przybywa król w koronie, jakiej nie miał sam Salomon. Książę udzielił Sindbadowi audiencji i zadawał mnóstwo pytań o królestwo, z którego żeglarz przybył. Na koniec poprosił, by Sindbad przekazał Harunowi ar-Raszidowi list napisany ultramarynowym inkaustem na pergaminie ze skóry jagnięcia i mówiący: „Ja, książę Sarandibu, przed którym stoi tysiąc słoni i w którego pałacu ptaki, a mianowicie kosy, są wykonane z drogocennych kamieni, ślę ci pokojowe pozdrowienie. Uważamy Cię za naszego brata i prosimy o przysłanie odpowiedzi. Prosimy też, byś przyjął ten skromny dar”. Skromnym darem był ogromny puchar

z rubinu, o wnętrzu wysadzanym perłami. Dar i list sprawiły, że imię wielkiego Haruna ar-Raszida otoczono w saraceńskim świecie jeszcze większą czcią.

– Ten twój żeglarz z pewnością dotarł do królestwa księdza Jana – oznajmił Baudolino. – Tyle że po arabsku inaczej je nazywają. Skłamał jednak, mówiąc, że ksiądz wysłał kalifowi listy i dary, albowiem Jan jest chrześcijaninem, a nawet nestorianinem, gdyby więc miał wysyłać jakie listy, wybrałby cesarza Fryderyka.

– Napiszmyż więc ten list – rzucił Poeta.

Łowiąc wszelkie wiadomości, które posłużyłyby do budowania królestwa księdza, nasi przyjaciele poznali Kyota. Był to urodzony w Szampanii młodzieniec, który dopiero co wrócił z podróży do Bretanii i miał nadal wyobraźnię rozpaloną owymi opowieściami o błędnych rycerzach, czarownicach i złych urokach, które mieszkańcy tamtych ziem snują podczas nocnych czuwań, zasiadłszy wokół ognia.

Kiedy Baudolino wspomniał mu o cudach, jakie kryje pałac księdza Jana, Kyot wykrzyknął:

– Ależ słyszałem już w Bretanii o takim albo bardzo podobnym zamku! To w nim przechowuje się Gradalis!

– A co ty wiesz o Gradalisie? – spytał Boron, który stał się nagle podejrzliwy, jakby Kyot wyciągnął rękę po coś, co należało do niego, Borona.

– A co ty wiesz? – spytał równie podejrzliwym tonem Kyot.

– Widzę, że ten gradalis wam obu leży na sercu. Co to takiego? O ile mi wiadomo, *gradalis* to rodzaj miski.

– Miski, miski. – Boron uśmiechnął się pobłażliwie. – Raczej kielicha. – A po chwili zdecydował się wyjawić swój sekret. – Dziwi mnie, że nic o tym nie wiecie. To najcenniejsza relikwia całego chrześcijańskiego świata, puchar, w którym Jezus uświęcił wino podczas ostatniej wieczerzy

i w który Józef z Arymatei zebrał później krew spływającą z boku Ukrzyżowanego. Jedni powiadają, że ten puchar nazywa się Świętym Graalem, inni zwą go Sangrealem, królewską krwią, ten bowiem, kto wejdzie w jego posiadanie, staje się jednym z rodu wybranych rycerzy, jednym z potomstwa Dawida i naszego Pana.

– Gradalis więc czy Graal? – spytał Poeta, który nastawił ucha, słysząc o czymś, co mogło choć trochę dodać władzy.

– Nie wiadomo – odparł Kyot. – Niektórzy mówią nawet Grasal, a inni Graalz. I wcale nie jest powiedziane, że chodzi o kielich. Kto go widział, nie pamięta kształtu, lecz tylko, że jest to rzecz obdarzona nadzwyczajną mocą.

– A kto go widział? – spytał Poeta.

– Z pewnością rycerze, którzy mają go w swej pieczy w Brocelandii. Lecz również po nich przepadł wszelki ślad, tak więc poznałem tylko ludzi, którzy o tym opowiadali.

– Lepiej byłoby, gdyby w tej sprawie mniej było opowieści, a więcej starań, by się czegoś dowiedzieć dokładniej – rzekł Boron. – Ten chłopak jedzie do Bretanii, dowiaduje się czegoś piąte przez dziesiąte i już patrzy na mnie, jakbym chciał zabrać mu to, czego wcale nie ma. Tak jest ze wszystkimi. Jeden, drugi słyszy, jak pada nazwa Gradalis, i myśli, że tylko on go znajdzie. A ja pięć lat spędziłem w Bretanii i na wyspach zamorskich, ale nie snułem opowieści, tylko szukałem...

– I znalazłeś? – spytał Kyot.

– Nie chodzi o to, by znaleźć ów Gradalis, lecz rycerzy, którzy wiedzą, gdzie jest. Krążyłem to tu, to tam, wypytywałem, lecz nigdy do nich nie dotarłem. Może nie należę do wybranych. A teraz jestem tu i szperam w pergaminach z nadzieją w sercu, że dogrzebię się jakiegoś śladu, który umknął mi w owych borach...

– Po co tracimy czas na rozprawianie o owym Gradalisie? – zbuntował się Baudolino. – Skoro jest w Bretanii lub na wyspach, nie obchodzi nas wiele, bo nie ma nic wspólnego z księdzem Janem.

– Nie – zaprzeczył Kyot, gdyż nigdy nie było jasne, gdzie właściwie jest zamek i ukryty w nim kielich, ale dodał, że choć wysłuchał mnóstwa opowieści, była i taka, wedle której jeden z tych rycerzy, Feirefiz, odnalazł go i podarował swemu synowi, księdzu, ponoć późniejszemu królowi Indii.

– Bzdury – rzucił Boron – poświęciłbym więc całe lata na szukanie w niewłaściwym miejscu? Kto ci opowiedział o tym Feirefizu?

– Każda opowieść może być właściwa – wtrącił się Poeta – i śledząc tę Kyota, trafisz być może na trop swojego Gradalisa. Lecz w tej chwili zależy nam nie tyle na jego odnalezieniu, ile na ustaleniu, czy warto powiązać go z księdzem Janem. Mój drogi Boronie, nie szukamy wszak rzeczy, jeno kogoś, kto o niej mówi. – I obróciwszy się w stronę Baudolina: – Co ty na to? Ksiądz Jan ma Gradalis i stąd właśnie wzięła się jego wysoka godność, którą może przelać na Fryderyka, składając mu kielich w darze!

– I mógłby to być ten sam kielich z rubinu, który książę Sarandibu posłał Harunowi ar-Raszidowi – podsunął im myśl Solomon, który z podniecenia poświstywał teraz pozbawioną zębów stroną ust. – Saraceni czczą Jezusa jako wielkiego proroka, mogli więc odnaleźć kielich, który potem Harun podarował księdzu...

– Wspaniale! – wykrzyknął Poeta. – Kielich jako przepowiednia odzyskania tego, co Maurowie nieprawnie posiedli. I nie tylko Jerozolimy!

Postanowili spróbować. Abdulowi udało się wykraść nocą ze *scriptorium* u Świętego Wiktora wielkiej ceny, nigdy nie wyskrobywany pergamin. Brakowało tylko pieczęci, by upodobnić pergamin do królewskiego listu. W izbie przeznaczonej dla dwóch, lecz teraz goszczącej sześć osób zgromadzonych wokół koślawego stołu, Baudolino zamknął jak w natchnieniu oczy i dyktował. Abdul pisał, gdyż jego kaligrafia, której nauczył się w chrześcijańskich królestwach Outremer, mogła przypominać

sposób pisania liter łacińskich przez człowieka Wschodu. Ażeby wszyscy obecni mieli głowy pełne pomysłów i stosowną bystrość myślenia, zanim wziął się do dzieła, zaproponował, by skończyli resztki zielonego miodu, które zostały jeszcze w naczyniu, lecz Baudolino oświadczył, że dzisiejszego wieczoru muszą zachować trzeźwość umysłów.

Od razu stanęła przed nimi kwestia, czy ksiądz nie powinien posługiwać się swoim adamowym językiem lub przynajmniej greką, ale doszli do wniosku, że król taki jak Jan ma zapewne na usługach sekretarzy, którzy znają wszelkie możliwe języki, i przez szacunek dla Fryderyka winien pisać po łacinie. Także dlatego – dodał Baudolino – że list ma zdumieć i przekonać papieża i inne chrześcijańskie książęta, a zatem musi być dla nich zrozumiały. Wzięli się do pracy.

Presbyter Johannes, z woli i mocy Boga i naszego Pana Jezusa Chrystusa pan nad tymi, którzy panują, Fryderykowi, świętemu i rzymskiemu cesarzowi, życzy zdrowia i wiekuistego błogosławieństwa bożego...

Doniesiono naszemu majestatowi, że masz w wielkiej estymie naszą świetność i że doszły do Ciebie wieści o naszej wielkości. Lecz dowiedzieliśmy się od naszych wysłanników, że zapragnąłeś wysłać nam jaką rzecz przyjemną i zabawną, by ucieszyć naszą łaskawość. Z ochotą przyjmujemy dar i ślemy Ci przez naszego posła ten znak, zapragnęliśmy bowiem dowiedzieć się, czy dochowujesz wraz z nami wierności prawdziwej wierze i czy we wszystkim i przez wszystko głosisz wiarę w Pana naszego Jezusa Chrystusa. Prosimy w szlachetnej naszej szczodrości, byś przez naszego wysłańca i dla poświadczenia swego afektu doniósł nam, azali jest rzecz jaka, która może posłużyć Twej przyjemności. Przyjmij w zamian...

– Zaraz, czekaj – przerwał Abdul. – To mogłaby być stosowna chwila, by ksiądz posłał Fryderykowi Gradalis!

– Owszem – odparł Baudolino – ale ci dwaj głupcy, Boron i Kyot, nie umieli dotąd wyjaśnić, o co chodzi.

– Niejedno słyszeli i niejedno widzieli, lecz pewnie nie wszystko spamiętali. Dlatego proponowałem miód: trzeba rozjaśnić im w głowach.

Może i tak. Baudolino, który dyktował, i Abdul, który pisał, mogli poprzestać na winie, lecz świadków, czy raczej źródła wiedzy, warto było zachęcić zielonym miodem. I dlatego kilka chwil później Boron, Kyot (zdumiony nowymi wrażeniami, jakich zaznał) oraz Poeta, który zdążył się już rozsmakować w miodzie, siedzieli na ziemi z tępymi uśmiechami na obliczach i bredzili niby więźniowie Aloadyna.

– O tak – mówił Kyot – jest tu wielka sala i pochodnie, które rzucają blask, jakiego nie sposób sobie wyobrazić. I pojawił się paź, który trzyma włócznię tak białą, że odbijają się od niej płomienie z kominka. Z ostrza włóczni spływa na dłoń pazia kropla krwi... Teraz przybywają inni paziowie, niosąc złote, zdobne w niella kandelabry, a w każdym pali się co najmniej dziesięć świec. Jacy piękni paziowie!... Wchodzi oto dworka i niesie Gradalis, i sala wypełnia się ogromną jasnością... Świece bledną niby księżyc i gwiazdy, gdy wstaje słońce. Gradalis jest wykonany z najczystszego złota, w którym osadzono niezwykle piękne drogocenne kamienie, najcudowniejsze, jakie istnieją w morzach i na lądach... A teraz wchodzi inne dziewczę i niesie srebrną tacę...

– Lecz jak wygląda ten przeklęty Gradalis?! – wykrzyknął Poeta.

– Nie wiem, widzę jeno światło...

– Ty widzisz jeno światło – rzekł wówczas Boron – lecz ja widzę więcej. Salę oświetlają pochodnie, to prawda, a w tej chwili rozlega się grzmot, wszystko się strasznie zatrzęsło, jakby cały pałac zapadał się w otchłań. Zupełny mrok!... Nie, promyk słońca oświetla pałac siedem razy jaśniej niż przedtem. Och, pojawia się święty Gradalis okryty serwetą z białego aksamitu i pałac wypełnia się woniami wszystkich korzeni świata. I kiedy Gradalis wędruje wokół stołu, talerze rycerzy napełniają się potrawami, jakich tylko sobie zażyczą...

– Lecz jaki jest ten diabelny Gradalis? – przerwał mu Poeta.

– Nie bluźnij, to kielich.

– Skąd wiesz, skoro okrywa go aksamitna serweta?

– Wiem, bo wiem – upierał się Boron. – Powiedziano mi.

– Obyś smażył się w piekle i tysiąc diabłów zadawało ci najgorsze męki! Ponoć masz wizję, a opowiadasz nam tutaj, co wiesz od innych, sam zaś nic nie widzisz? Jesteś gorszy niż ten matołek Ezechiel, który nie wiedział, co widzi, bo żydzi nie oglądają miniatur i słuchają tylko głosów!

– Proszę cię, bluźnierco – wtrącił się Solomon – nie o to, byś oszczędził mnie, lecz Biblię, która jest świętą księgą także dla was, odrażający poganie!

– Uspokój się, nie warto – przekonywał go Baudolino. – Ale posłuchaj, Boronie. Przyjmijmy, że Gradalis to kielich, w którym nasz Pan uświęcił wino. W jaki to sposób mógł Józef z Arymatei zebrać w nim krew Ukrzyżowanego, skoro po zdjęciu z krzyża nasz Zbawiciel był martwy, a jak wiesz ze zmarłych krew nie wypływa.

– Jezus nawet po śmierci mógł dokonywać cudów.

– Nie był to kielich – wtrącił się Kyot – bo ten, który opowiadał mi historię Feirefiza, wyjawił również, że był to kamień z nieba, *lapis ex coelis*, a jeśli był to kielich, to dlatego, że wydrążono go w tym niebiańskim kamieniu.

– Czemu zatem nie był to grot włóczni, która przebiła święty bok? – spytał Poeta. – Czyż nie powiedziałeś przedtem, że do sali wszedł paź, który niósł krwawiącą włócznię? Otóż to, i widzę nie jednego, lecz trzech paziów z włócznią, z której płyną strużki krwi... I potem ubranego jak biskup mężczyznę z krzyżem w dłoni, niesionego w lektyce przez czterech aniołów. Stawiają jego fotel przed srebrnym stołem, na którym leży teraz włócznia... Potem para dziewcząt, które niosą tacę z uciętą i skąpaną we krwi głową mężczyzny. Potem biskup, który odprawia nabożeństwo nad włócznią i podnosi hostię, a na niej ukazuje się wizerunek dziecka! Włócznia jest cudowna, to znak władzy, gdyż jest znakiem mocy!

– Nie, z włóczni sączy się krew, lecz krople spadają do kielicha i jest to dowód cudu, o którym mówiłem – powiedział Boron. – To takie proste... – I na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Dajmy temu pokój – rzucił zmartwiony Baudolino. – Zostawmy Gradalis i idźmy dalej.

– Przyjaciele moi – rzekł wówczas rabbi Solomon chłodnym głosem, jaki przystoi człowiekowi, który będąc żydem, niezbyt się przejmuje świętą relikwią – przesadą wydaje mi się, by ksiądz przekazywał od razu w darze przedmiot tak znacznej wagi. A poza tym, jeśliby ktoś przeczytał list, mógłby poprosić Fryderyka o pokazanie tego cudu. Nie możemy jednak wykluczyć, że opowieści, które usłyszeliśmy z ust Kyota i Borona, już gdzieś krążyły, wystarczyłoby więc jakieś napomknienie, by ten, kto chce zrozumieć, zrozumiał. Nie piszcie o Gradalisie, nie piszcie o kielichu, użyjcie jakiegoś mniej ścisłego terminu. Tora o najwznioślejszych sprawach nigdy nie mówi dosłownie, lecz zgodnie z sekretnym sensem, który czytelnik winien odgadywać po trochu i który ma być zrozumiany, bo taka jest wola Najwyższego, oby Święty był błogosławiony, dopiero przy końcu czasów.

– Powiedzmy więc, że wysyła mu szkatułę, skrzynię, arkę, powiedzmy *accipe istam veram arcam*, przyjmij tę prawdziwą szkatułę...

– Całkiem nieźle – przyznał rabbi Solomon. – Te słowa odsłaniają i jednocześnie zasłaniają. I otwierają drogę do całego kłębowiska interpretacji.

Przystąpili z powrotem do pisania.

Jeżeli zechcesz przybyć do naszej dziedziny, oddamy ci największy i najgodniejszy z naszych dworów i będziesz radował się naszymi bogactwami. A jeśli zechcesz wrócić do swego królestwa, obsypiemy Cię nimi, mamy ich bowiem pod dostatkiem. Pamiętaj o Sądzie Ostatecznym, a nigdy nie zgrzesz.

Po tym pobożnym przypomnieniu ksiądz przystąpił do opisu swojej potęgi.

– Żadnej pokory – zalecał Abdul. – Przecież ksiądz został wyniesiony na takie wyżyny, że może pozwolić sobie na gest pełen pychy.

Możemy to sobie wyobrazić. Baudolino nie znał żadnego wędzidła. I dyktował. Ów *dominus dominatium* przewyższał potęgą wszystkich królów na ziemi, a jego bogactwa były nieskończone, siedemdziesięciu dwóch królów płaciło mu trybut, jego rozkazów słuchały siedemdziesiąt dwie prowincje, aczkolwiek nie wszystkie chrześcijańskie – w ten sposób satysfakcję dostał rabbi Solomon, gdyż w królestwie znalazły swe miejsce także rozproszone pokolenia Izraela. Władza księdza rozciągała się na troje Indii, jego terytoria sięgały po najdalsze pustynie, aż po wieżę Babel. Co miesiąc przy stole księdza podawano siedmiu królom, sześćdziesięciu dwóm diukom oraz trzystu sześćdziesięciu pięciu hrabiom, a na co dzień zasiadało do stołu dwunastu arcybiskupów, dziesięciu biskupów, patriarcha od Świętego Tomasza, metropolita Samarkandy i arcykapłan Suzy.

– Czy nie za dużo tego dobrego? – spytał Solomon.

– Nie, nie – zapewnił Poeta. – Chodzi o to, żeby papieża i bazyleusa Bizancjum żółć zalała. I dodaj, że ksiądz ślubował odwiedzić z wielkim wojskiem Święty Grób i zadać klęskę wrogom Chrystusa. Będzie to potwierdzeniem słów Ottona, a poza tym zamknie usta papieżowi, gdyby zechciał wystąpić z zarzutem, że nie udało mu się jednak przekroczyć Gangesu. Jan spróbuje jeszcze raz i dlatego warto zabiegać o odnalezienie go i zawarcie z nim przymierza.

– Podsuńcie mi teraz jakieś pomysły, bo muszę wiedzieć, jakie stworzenia żyją w królestwie Jana – poprosił Baudolino. – Powinny się tam znaleźć słonie, wielbłądy jedno- i dwugarbne, hipopotamy, pantery, onagry, białe i rude lwy, nieme cykady, gryfony, tygrysy, lamy, hieny, wszystko, czego się u nas nigdy nie zobaczy i z czego każdy, kto wyprawi się tam na

polowanie, może mieć drogocenne skóry. A dalej ludzie, jakich nikt nie widział, lecz znani z ksiąg o naturze rzeczy i wszechświata...

– Określani mianem Sagittarius, ludzie rogaci, fauny, satyry, pigmeje, psiogłowi, olbrzymi wysocy na czterdzieści łokci, jednoocy – podpowiedział Kyot.

– Doskonale, doskonale, zapisuj, Abdul, zapisuj! – wykrzykiwał Baudolino.

Jeśli chodzi o całą resztę, wystarczyło wykorzystać to, co wymyślono i powiedziano w poprzednich latach – oczywiście dorzucając stosowne upiększenia. Ziemia księdza Jana płynęła miodem i wszędzie było tam mnóstwo mleka – rabbi Solomon był zachwycony, gdyż odnajdywał echa Exodusu i Deuteronomium – a za to nie żyły na niej ni węże, ni skorpiony, przepływała przez nią rzeka Ydonus, która bierze początek w ziemskim raju, i jej nurt to... Kamienie i piasek – zaproponował Kyot. Nie – odparł rabbi Solomon – to byłby Sambation. A nie powinniśmy umieścić tam także Sambationu? Owszem, lecz nie teraz, Ydonus wypływa z raju ziemskiego, a zatem zamiast wody ma... Szmaragdy, topazy karbunkuły, szafiry, chryzolity, onyksy, beryle, ametysty – starał się wesprzeć ich Kyot, który dopiero co przyszedł i nie pojmował, dlaczego jego przyjaciele wyglądają, jakby mieli zaraz zwymiotować (jeszcze jeden topaz – krzyczał Baudolino – a połknę go i potem wysram za okno), lecz teraz, po zwiedzeniu w toku swych poszukiwań tylu wysp szczęśliwych i rajów, mieli już po dziurki w nosie drogocennych kamieni.

Ponieważ królestwo było położone na Wschodzie, Abdul zaproponował, by wymienili jakieś rzadkie korzenie, i uzgodnili, że najlepszy będzie pieprz. Boron wyjaśnił, że pieprz pochodzi z drzew, na których kłębią się węże, a kiedy dojrzewa, pod owe drzewa podkłada się ogień, węże umykają i chowają się w norach. Wtedy można podejść do takiego drzewa, potrząsnąć nim, by pieprz spadł z gałązek, potem zaś wypala się go, ale nikt nie wie jak.

– Czy pora już na Sambation? – spytał Solomon.

– Dawajmy – rzekł na to Poeta – w ten sposób stanie się czymś zupełnie oczywistym, że dziesięć rozproszonych pokoleń przebywa za rzeką, a nawet wymieńmy je wyraźnie, by Fryderyk mógł je odnaleźć i zyskać jeszcze jeden liść do wieńca swojej chwały.

Abdul zauważył, że Sambation jest potrzebny, gdyż jako przeszkoda nie do pokonania przynosi zawód, pobudza pragnienie, a tym samym zawiść. Ktoś zaproponował, żeby dodać również podziemny potok cennych klejnotów, Baudolino powiedział, że Abdul może zapisać także to, ale on sam nie przystaje na to, boi się bowiem, iż znowu padnie nazwa topazu. Za to, idąc za Pliniuszem i Izydorem, postanowiono umieścić na ziemi Jana salamandry, to jest czteronogie węże, które żyją tylko w płomieniach.

– Jeśli coś jest prawdą, dodajemy bez wahania – oznajmił Baudolino – bo najważniejsze jest to, by nie opowiadać bajek.

W liście położono jednak również niemały nacisk na cnotę rządzącą owymi ziemiami, gdzie każdego pielgrzyma wita się zgodnie z nakazami miłości bliźniego, nie ma biednych ani złodziei, zbójców, skąpców czy cudzołożników. Ksiądz oświadczał tuż poniżej, że jego zdaniem na całym świecie nie ma drugiego monarchy tak bogatego i władającego tyloma poddanymi. By dać dowód tego bogactwa, które zresztą również Sindbad widział u Sarandiba, ksiądz opisał, jak to poprzedzany trzydziestoma krzyżami, przy czym każdy był wysadzany cennymi kamieniami, wyruszał na wojnę, a każdy krzyż wieziono na rydwanie, a za każdym rydwanem – dziesięć tysięcy jezdnych i sto tysięcy piechoty. Kiedy natomiast wybierał się gdzieś konno w czasach pokojowych, przed nim wieziono jeden krzyż drewniany na pamiątkę męki Pana oraz napełnioną ziemią złotą wazę, żeby przypominać wszystkim i sobie samemu, że prochem jesteśmy i w proch się obrócimy. Ażeby jednak nikt nie zapomniał, że przejeżdża król nad królami, zabierano również pełną złota wazę srebrną.

– Jeśli włożysz tam topazy, rozbiję ci ten dzban na głowie – ostrzegł Baudolino i Abdul zrezygnował, przynajmniej tym razem, z topazów.

– Napisz jednak, że nie ma tam cudzołożników i że nikt nie może kłamać, kto zaś skłamie, ginie na miejscu, to znaczy jakby umiera, gdyż zostaje banitą i wszyscy się odeń odwracają.

– Przecież napisałem już, że nie ma tam występków, nie ma złodziei...

– Nic nie szkodzi, warto rzecz tę podkreślić, królestwo księdza Jana musi być miejscem, gdzie chrześcijanie przestrzegają dziesięciorga przykazań, choć papieżowi nie udało się wszak uzyskać niczego podobnego ze swoimi synami, a nawet sam kłamie, i to więcej niż inni. A ponadto im większy nacisk położymy na fakt, że nikt tam nie kłamie, tym bardziej oczywiste będzie dla wszystkich, że to, co pisze Jan, jest szczerą prawdą.

A dalej Jan oznajmił, że co rok odwiedza w towarzystwie wielkiego zastępu wojska grobowiec proroka Daniela w pustynnej Babilonii, że w jego kraju łowi się ryby, z których krwi uzyskuje się purpurę, i że sprawuje władzę nad Amazonkami i Braminami. Bramini wydali się pożyteczni Boronów, gdyż Aleksander Wielki zobaczył ich, kiedy dotarł na wschód dalszy, niż można sobie wyobrazić. Tym samym byli dowodem, że królestwo Jana obejmowało także imperium Aleksandra.

Wobec tego pozostał już tylko opis pałacu i jego czarodziejskiego zwierciadła, a na ten temat wszystko powiedział kilka wieczorów wcześniej Poeta. Teraz przypominał szczegóły, szepcząc prosto do ucha Abdula, żeby Baudolino nie usłyszał o topazach i berylach, a nie ulegało wątpliwości, że w tym wypadku są wręcz konieczne.

– Sądzę, że ktoś, kto przeczyta te słowa – rzekł rabbi Solomon – zacznie się zastanawiać, dlaczego władca tak potężny każe się nazywać po prostu księdzem.

– Słusznie – przyznał Baudolino – i w ten właśnie sposób dojdziemy do zakończenia. Pisz, Abdul...

Pytanie, jak to możliwe, o umiłowany Fryderyku, iże nasza wzniosłość nie pozwala nam na miano godniejsze niźli tytuł Presbyter, przynosi zaiste zaszczyt Twej mądrości. To pewne, że nie brak na naszym dworze urzędników mających stanowiska i tytuły znacznie godniejsze, zwłaszcza jeśli chodzi o hierarchię kościelną... Naszym szafarzem jest prymas i król, król i arcybiskup podczaszym, biskup i król szambelanem, król i archimandryta marszałkiem dworu, król i opat naczelnym kucharzem. Tak zatem nasza wysokość, nie mogąc znieść tego, by określano ją podobnym mianem lub zaliczano do tych stanów, w które obfituje nasz dwór, rozkazała, kierując się pokorą, by zwracano się do niej mianem nie tak wysokim, i przyznała sobie niższą rangę, wystarczy na razie, że będziesz wiedział, iż nasze terytorium rozciąga się w jedną stronę na cztery miesiące drogi, w drugą zaś nikt nie wie, dokąd dociera. Gdybyś umiał zliczyć gwiazdy na niebie i piasek w morzu, wówczas mógłbyś zmierzyć posiadłości nasze i moc naszą.

Kiedy nasi przyjaciele skończyli list, prawie już świtało. Ci, którzy kosztowali miód, przeżywali nadal stan radosnego oszołomienia, którzy zaś pili tylko wino, byli podchmieleni, a Poeta, który znowu nie wyrzekł się żadnej z tych dwóch rzeczy, z trudem trzymał się na nogach. Szli uliczkami i placami, śpiewając i dotykając z czcią pergaminu, gdyż nabrali już przekonania, że dopiero co dotarł do nich z królestwa księdza Jana.

– Wysłałeś go zaraz Reginaldowi? – spytał Niketas.

– Nie. Po wyjeździe Poety przez wiele miesięcy czytaliśmy go i doskonaliliśmy, wielekroć wyskrobując tekst i wpisując go na nowo. Co jakiś czas ktoś proponował jakieś małe uzupełnienie.

– Wyobrażam sobie jednak, że Reginald czekał na list...

– Sedno sprawy w tym, że w owym czasie Fryderyk usunął Reginalda ze stanowiska kanclerza cesarstwa i powierzył je Krystianowi z Buch. Reginald jako arcybiskup Kolonii pozostał wprawdzie również archikanclerzem Italii i nadal był człowiekiem bardzo potężnym, tak że to on przygotowywał uroczystości związane z kanonizacją Karola Wielkiego, lecz ta zmiana oznaczała, w każdym razie w moich oczach, iż Fryderykowi zaczęła ciążyć wszechobecność Reginalda. Jak w tej sytuacji podsunąć cesarzowi list, którego w gruncie rzeczy chciał Reginald? Zapomniałem, iż

w tymże roku, roku kanonizacji, Beatrycze urodziła drugiego syna, i cesarz był zaprzątnięty innymi sprawami, tym bardziej że, według docierających do mnie pogłosek, pierwszy nieustannie chorował. Nic więc dziwnego, że minął ponad rok.

– Reginald nie nalegał?

– Najpierw miał inne sprawy na głowie. Potem zaś umarł. Kiedy Fryderyk był w Rzymie, bo zamyślił właśnie przepędzić Aleksandra III i osadzić na tronie swojego antypapieża, wybuchła zaraza, która, nie czyniąc żadnej różnicy, zabierała z tego świata bogatych i biednych. Wtedy to umarł Reginald. Byłem tym wstrząśnięty, choć nigdy tego człowieka za bardzo nie kochałem. Bywał arogancki i łatwo się obrażał, ale nie brakowało mu odwagi i do samego końca walczył za swojego pana. Niech dusza jego spoczywa w pokoju. Tyle że kiedy go zabrakło, wyłoniło się pytanie, czy list ma jeszcze jakiś sens. Tylko Reginald był dość przebiegły, by umieć wyciągnąć z niego korzyści, rozsyłając do kancelarii całego świata chrześcijańskiego.

Baudolino zamilkł.

– A poza tym była sprawa mojego miasta.

– Jakiego, przecież urodziłeś się wśród bagien?

– To prawda, zbytnio się pospieszyłem. Musimy jeszcze zbudować miasto.

– Wreszcie nie opowiadasz o mieście zburzonym!

– To prawda, pierwszy i jedyny raz w życiu widziałem narodziny, nie zaś śmierć miasta.

13

Baudolino patrzy na narodziny miasta

Minęło już dziesięć lat pobytu Baudolina w Paryżu; przeczytał wszystko, co mógł przeczytać, od pewnej nierządnicy bizantyjskiej nauczył się greki, napisał utwory poetyckie i listy, które miały być przypisane w przyszłości innym, w gruncie rzeczy zbudował królestwo, którego nikt nie znał lepiej niż on i jego przyjaciele, lecz nie dokończył nauk. Pocieszał się tym, że już samo studiowanie w Paryżu było czymś wspaniałym, jeśli pomyśleć, że przyszedł na świat wśród krów, potem przypomniał sobie, iż studiowanie przychodzi łatwiej takim golcom jak on niż pańskim synom, którzy muszą uczyć się sztuki walki, nie zaś czytania i pisania... Jednym słowem, nie czuł się ani trochę kontent.

Pewnego dnia uświadomił sobie, że ma – z dokładnością do miesiąca w jedną albo drugą stronę – dwadzieścia sześć lat, a ponieważ opuścił dom rodzinny w wieku lat trzynastu, od tyluż też lat nie było go w domu. Poczuł coś, co nazwalibyśmy tęsknotą za rodzinnym krajem, tyle że on sam nie wiedział, co to takiego, gdyż taka tęsknota nigdy nie była jego udziałem. Dlatego uznał, że pragnie zobaczyć przybranego ojca, i postanowił pojechać do Bazylei, gdzie cesarz zatrzymał się po kolejnym powrocie z Italii.

Nie widział Fryderyka od narodzin jego pierwszego syna. Kiedy przepisywał ciągle na nowo list od księdza, cesarz robił najrozmaitsze rzeczy, przemykając z północy na południe, jedząc i śpiąc na koniu jak jego barbarzyńscy przodkowie, a dwór był tam, gdzie się w danej chwili

zatrzymał. W tych latach pojawił się w Italii jeszcze dwa razy. Za drugim razem doszło w drodze powrotnej do starcia w Suzie, której mieszkańcy zbuntowali się i wzięli jako zakładniczkę Beatrycze, a sam cesarz musiał umykać w przebraniu. Potem suzańczycy zwolnili ją, nie czyniąc żadnej krzywdy, ale on zdążył już wyobrazić sobie najgorsze i poprzysiąc Suzie zemstę. Wróciwszy zaś zza Alp, nie miał chwili odpoczynku, musiał bowiem doprowadzić do tego, by niemieccy książęta zmienili się w potulnych doradców.

Kiedy w końcu Baudolino ujrzał cesarza, spostrzegł, że ten ma mroczne oblicze. Zrozumiał, że z jednej strony Fryderyk martwi się zdrowiem starszego syna – także noszącego imię Fryderyk – z drugiej tym, co dzieje się w Lombardii.

– Przyznaję – powiedział cesarz – i mówię to tylko tobie: moi podestowie, poborcy podatkowi i plenipotenci ściągali nie tylko to, co mi się należy, lecz siedem razy więcej, od każdej rodziny pobierali co roku trzy soldy w starej monecie i dwadzieścia cztery starodawne denary od każdego młyna na wodach spławnych, rybakom zabierali trzecią część ryb, a jeśli ktoś umierał i nie miał męskich potomków, na ich rzecz przepadał cały spadek. Powinienem był dać posłuch docierającym do mnie skargom, wiem to, lecz miałem inne sprawy na głowie... No i teraz wygląda mi, że lombardzkie gminy utworzyły ligę, ligę antycesarską, tylko pomyśl! I nad czym naradzali się najpierw? Nad odbudową mediolańskich murów!

Miasta italskie były zawsze buntownicze i niewierne, to prawda, ale liga to budowanie innej *res publica*! Jeśli się zważy, jak bardzo w Italii miasta nienawidzą się wzajem, nie do pomyślenia jest, by ta liga okazała się trwała, lecz tak czy owak jest to *vulnus* na cesarskim honorze.

Kto przystąpił do ligi? Krążą pogłoski, że w pewnym położonym niedaleko Mediolanu opactwie zebrali się przedstawiciele Cremony, Mantui i Bergamo, potem zaś podobno Piacenzy i Parmy, ale to już nie było pewne.

Lecz pogłoski szły dalej, mówiło się o Wenecji, Weronie, Padwie, Vincenzy, Treviso, Ferrarze i Bolonii.

– Bolonia! Zdajesz sobie sprawę?! – wykrzykiwał Fryderyk, chodząc przed Baudolinem to w jedną, to w drugą stronę. – Chyba pamiętasz? Dzięki mnie ci przeklęci mistrzowie mogą zarabiać, jak się im podoba, na swoich po dwakroć przeklętych uczniach, nie odpowiadając ani przede mną, ani przed papieżem, a teraz sprzymierzają się z tą ligą? Ani trochę wstydu! Brakuje już tylko Pawii!

– Albo Lodi – dorzucił Baudolino, by rzec coś, co byłoby jak cios obuchem.

– Lodi?! Lodi?! – ryknął Barbarossa i jego oblicze przybrało barwę brody, tak że wyglądał, jakby miał dostać apopleksji. – Jeśli miałbym dać wiarę wieściom, które do mnie dochodzą, Lodi uczestniczy w ich naradach! Wypruwałem sobie żyły, żeby bronić tych durniów, i gdyby nie ja, mediolańczycy nadal z każdą nową porą roku równaliby im miasto z ziemią, a oto knują z własnymi oprawcami i sprzysięgają się przeciwko swemu dobroczyńcy!

– Ależ ojcze mój, co znaczą te wszystkie „podobno” i „zdaje się”? – zapytał Baudolino. – Nie masz już żadnych wieści pewnych?

– Czy wy, którzy pobieracie nauki w Paryżu, do końca straciliście już wyrozumienie, jak to jest na tym świecie? Jeśli jest liga, jest spisek, a jeśli jest spisek, ci, którzy przedtem stali przy tobie, zdradzają i opowiadają ci rzeczy całkiem przeciwne, niż się tam wyprawia, nic więc dziwnego, że właśnie cesarz dowiaduje się o wszystkim ostatni niby mąż o niewierności małżonki, choć poza nim wie o tym cała okolica!

Nie mógł wybrać gorszego przykładu, bo właśnie w tym momencie weszła Beatrycze, która dowiedziała się o przyjeździe drogiego jej sercu Baudolina. Baudolino zaś przyklęknął, żeby pocałować dłoń cesarzowej, nie ważąc się przy tym spojrzeć na jej twarz. Beatrycze zawahała się przez chwilę. Może jej się wydało, że jeśli nie okaże, jaka łączy ich konfidencja

i afekt, zdradzi swe zakłopotanie; położyła mu więc macierzyńskim gestem dłoń na głowie i wzburzyła mu nieco włosy, zapominając, iż niewiasta, która skończyła trzydzieści lat, nie powinna w ten sposób traktować dorosłego już, ledwie od niej młodszego mężczyznę. Fryderykowi wydało się to wszystko naturalne, on był przecież dla Baudolina ojcem, a ona matką – aczkolwiek oboje jako rodzice przybrani. Jedynie Baudolino poczuł, że jest tu nie na miejscu. Owo nieco dwuznaczne dotknięcie, bliskość niewiasty, zapach jej szat, który był jak woń ciała, jej głos – na szczęście klęczał, nie mógł więc zajrzeć jej w oczy, bo wtedy zbladłby jak chusta i padł bez zmysłów na ziemię – sprawiły, że poczuł nieznośną rozkosz, skażoną jednak poczuciem, iż przez ten zwykły hołd dla cesarzowej raz jeszcze zdradza swego ojca.

Nie wiedziałby, jak się oddalić, gdyby sam cesarz nie poprosił go o przysługę – czy może nie rozkazał, co wychodzi wszak na jedno. Chcąc mianowicie lepiej się rozeznać w sprawach Italii, a nie ufając ani oficjalnym posłańcom, ani posłanym oficjelom, postanowił pchnąć na miejsce tych niewielu ludzi, którym ufał, którzy znali kraj, lecz nie byliby natychmiast rozpoznani jako ludzie cesarza, by odetchnęli tamtejszym powietrzem i wrócili z niezafałszowanym sprawozdaniem ze zdrady, do jakiej doszło.

Baudolino chętnie rozstawał się z kłopotliwą sytuacją, w jakiej znajdował się na dworze, lecz zaraz potem pojawiło się jeszcze inne uczucie: niezwykłe wzruszenie na myśl, że zobaczy swoje strony. I wtedy pojął wreszcie, że właśnie z tej przyczyny wyprawił się w podróż.

Odwiedziwszy rozmaite miasta, pewnego dnia Baudolino, patataj, patataj albo raczej kłap, kłap na mule, udawał bowiem kupca wędrującego sobie z targu na targ, dotarł na te wzniesienia, za którymi – po przebyciu sporej połaci równiny – miał przeprawić się na drugi brzeg Tanaro, i jadąc raz terenem kamienistym, raz bagnistym, dotrzeć do ojczystej Fraschety.

Choć w owych czasach, kiedy ktoś opuszczał rodzinny dom, opuszczał go na dobre, nie myśląc zgoła o powrocie, Baudolino poczuł wśród trudów podróży mrowienie w członkach, gdyż nagle ogarnęła go trwoga na myśl, iż rodzice mogli już odejść z tego świata.

Gdybyż tylko to! Co gorsza ni z tego, ni z owego stanęły mu przed oczyma twarze tutejszych chłopaków: Masulu dei Panizza, z którym zastawiał pułapki na dzikie króliki, Porcelli, zwany Ghino (a może Ghini, zwany Porcello?), z którym, gdy tylko się zobaczyli, obrzucali się kamieniami, Aleramo Scaccabarozzi, zwany Ciula, i Cuttica z Quargnento, z którymi łowił ryby w Bormidzie. „Panie – mówił sobie – czyżbym miał zaraz umrzeć, jako że ponoć w chwili śmierci człowiekowi stają przed oczyma rzeczy z dzieciństwa...”

Była wigilia Bożego Narodzenia, ale Baudolino nie wiedział o tym, gdyż w swej wędrówce stracił rachubę dni. Drżał z chłodu na swojej równie zziębniętej mulicy, lecz niebo było przejrzyste w świetle zmierzchu, czyste jak w dni, kiedy czuje się już zapach śniegu. Rozpoznawał miejsca, jakby przejeżdżał tędy zaledwie wczoraj, pamiętał bowiem, jak wyprawił się na te wzgórza ze swoim ojcem, żeby oddać trzy sprzedane muły, dysząc z wysiłku podczas wspinaczki, która mogła nadwątlić siły dzieciaka, a przecież trzeba było jeszcze popędzać zwierzęta niemające najmniejszej chęci do podejmowania takiego znoju. Za to w powrotnej drodze mogli radować oczy widokiem rozciągającej się w dole równiny i zbiegać ku niej bez najmniejszego trudu. Baudolino przypomniał sobie, że blisko już rzeki równina nieco się wypiętrzała, tworząc garb, i z jego wierzchołka ujrzał wówczas, jak z mlecznobiałej mgły wyłaniają się dzwonnice kilku miasteczek nad rzeką: Bergoglio i Roboreto, a trochę dalej Gamondio, Marengo i Palei, czyli ten rejon błot, żwirów i zagajników, na którego obrzeżach wznosi się, być może nadal, chata zacnego Gagliauda.

Tym razem jednak zobaczył z wierzchołka inną panoramę, jakby wszędzie dokoła, na wzgórzach i w dolinach, powietrze osuszyło się i tylko

równina przed jego oczami była usiana kłębami mgły, tymi szarawymi bryłami, które w drodze wychodzą co jakiś czas człowiekowi na spotkanie, otulają go tak szczelnie, że nic już nie widzi, a później przechodzą, jak przyszły – dość, że Baudolino powiedział sobie: miej się na baczności, dokoła może być nawet sierpień, lecz nad Fraschetą władzę sprawują wieczne mgły, podobnie jak śniegi nad Alpami – i wcale nie czuł z tego powodu przykrości, kto bowiem urodził się wśród mgieł, zawsze czuje się w nich jak w domu. W miarę schodzenia ku rzece coraz wyraźniej zdawał sobie jednak sprawę, że te opary to wcale nie mgła, lecz dymy, przez które przezierały rodzące je ogniska. Poprzez ten dym i płomienie Baudolino wypatrzył, że na równinie po drugiej stronie rzeki, wokół dawnego Roboreto, rozciąga się pośród pól miasteczko i że jak grzyby po deszczu wyrosły tam nowe domy, czasem murowane, a czasem z drewna, przy czym wiele było nadal nieukończonych, natomiast dalej na zachód zaczęto wznosić mury obronne, jakich nigdy w tych stronach nie widziano. Nad ogniskami wisiały kociołki, może z wodą, aby nie zamarzła od razu, a trochę dalej inni ludzie wlewali ją do dołów z wapnem czy zaprawą. Baudolino widział w Paryżu początek budowy nowej katedry, którą wznoszono na wyspie pośrodku rzeki, więc wszystkie te machiny i rusztowania używane przez mistrzów mularskich nie były mu zgoła obce; o ile znał się na miastach, właśnie dobiegał końca proces wyłaniania się miasta z nicości i był to widok, jaki człowiek może zobaczyć jeden jedyny raz w całym życiu – jeśli ma szczyptę szczęścia.

„Czyste szaleństwo, dość odwrócić na chwilę głowę, żeby ci zaraz spłatali figla” – powiedział sobie i spiął muła ostrogami, żeby znaleźć się jak najszybciej w dolinie. Pokonał rzekę na tratwie, którą przewożono wszelkich kształtów i wielkości kamienie, zatrzymał się w miejscu, gdzie paru robotników, stojąc na chwiejnych rusztowaniach, budowało mur, inni zaś, na dole, za pomocą kołowrotu dostarczali tamtym kosze wypełnione tłuczniem. Kołowrót był kołowrotem tylko z nazwy, trudno byłoby bowiem

wymyślić coś bardziej prostackiego. Wykonano go nie z mocnych słupów, lecz raczej z żerdzi, chwiał się więc i robotnicy obsługujący go na dole mniej zajęci byli ciągnięciem liny niż podtrzymywaniem chwiejących się masztów. Baudolino zaraz pomyślał: „Widać, że kiedy tutejsi biorą się do czegoś, albo robią to źle, albo jeszcze gorzej, czy to kto słyszał pracować w ten sposób? A ty, gdybyś był nad nimi majstrem, dawno już wziąłbyś jednego z drugim za tyłek i wrzucił do Tanaro”.

Potem jednak zobaczył nieco dalej grupę próbującą z marnie ociosanych kamieni, niewygładzonych belek i filarów wyglądających, jakby ich głowice zaprojektował skończony idiota, zbudować niewielki portyk. Oni także przygotowali sobie coś w rodzaju krążka do wciągania materiałów budowlanych i Baudolino uświadomił sobie, że w porównaniu z nimi tamci od muru byli biegli jak majstrowie z Comacchio. Ale później, kiedy pojechał dalej i zobaczył jeszcze innych, którzy budowali tak, jak czynią to dzieci, kiedy bawią się błotem, i doszli już do końcowych, można by powiedzieć, kopniaków wymierzanych budowli wznoszonej z mułu i niekształtnych kamieni i identycznej jak trzy inne już postawione i okryte strzechą z byle jak związanej słomy – zaprzestał porównań. W ten sposób powstawało coś w rodzaju uliczki z niechlujnie zbudowanymi chatami – jakby robotnicy ścigali się, kto skończy pierwszy, nim nadejdą święta, i nie zważali na żadne zasady, których winien się trzymać rzemieślnik.

Wędrując niebezpiecznym labiryntem tego placu budowy, widział jednak czasem mury wzniesione porządnie pod kątem prostym, fasady o starannie dopasowanych elementach, bastiony, które – choć niedokończone – robiły wrażenie potężnych i zapewniających bezpieczeństwo. Domyślał się więc, że przy budowie miasta pracowali ludzie z różnych stron i różnej biegłości; wielu było z pewnością nowicjuszami w tym rzemiośle, wieśniakami, którzy domy budowali tak, jak przez całe życie wznosili szopy dla zwierząt, ale innym nie brakowało wprawy w mularskiej sztuce.

Próbując zorientować się co nieco w tej rozmaitości wiedzy budowlanej, Baudolino odkrywał również rozmaitość dialektów, które wskazywały, że zbiorowisko ruder wznosili wieśniacy z Solero, ta wykrzywiona wieża była dziełem monferratczyków, tę wstrętną zaprawę przygotowywali pawijczycy, te deski piłowali ludzie dotychczas zajmujący się ścinką drzew w Palei. Kiedy jednak słyszał kogoś wydającego rozkazy lub patrzył na pracującego należycie robotnika, słyszał dialekt genueński.

„Czyżbym trafił na środek placu budowy wieży Babel – zadawał sobie pytanie Baudolino – albo do abdulowej Hibernii, gdzie siedemdziesiąt dwa języki odtworzyły język adamowy, łącząc poszczególne jego gwary zupełnie tak samo, jak miesza się glinę z wodą lub pak z żywicą? Choć jednak ci ludzie tak odmiennych ras, którzy w zwykłych okolicznościach wystrzelaliby się nawzajem z łuków, nie mówią na razie owym językiem adamowym, a niechby i mówili wszyscy naraz siedemdziesięcioma dwoma językami, to przecież wykonują swą marną robotę z miłością i zgodnie!”

Zbliżył się do grupy, która umiejętnie przykrywała jakąś budowlę belkowaniem, jakby miał to być kościół opacki, wykorzystując do tej czynności wielki kierat, poruszany nie siłą ręczną, lecz końską. Koń nie miał na szyi duszącej go pętli, której używało się jeszcze gdzieniegdzie po wsiach, ale mógł pracować sprawnie dzięki wygodnemu chomątu. Robotnicy odzywali się do siebie z pewnością po genueńsku i Baudolino zaraz zagadał w ich dialekcie – aczkolwiek nie posługiwał się nim bezbłędnie, nie ulegało więc wątpliwości, że nie jest z ich stron.

– Jakiż to piękny gmach wznosicie? – spytał, by zacząć jakoś rozmowę.

Jeden z robotników spojrzał nań spode łba i odparł, że budują machinę, która służy do drapania się po kuśce. Wszyscy zaczęli się śmiać i widać było, że śmieją się z niego, Baudolino (w którym krew wrzała, gdyż musiał udawać bezbronnego kupca dosiadającego muła, chociaż w jukach miał miecz pieczołowicie owinięty w belę tkaniny) odpowiedział mu w dialekcie fraschetańskim, który po wszystkich tych latach sam pchał się mu na usta,

wyjaśniając, iż nie potrzebuje żadnych *machinae*, albowiem po kuśce, przez osoby wyższego stanu zwanej ptaszkiem, drapały go ich nierządne matki. Genueńczycy nie pojęli zbyt dokładnie sensu jego słów, lecz wyczuli intencję. Porzucili swoje zajęcia, chwycili ten kamień, ów oskard i stanęli półkręgiem wokół muła. Na szczęście do tego miejsca zbliżały się akurat jeszcze inne osoby, a wśród nich jedna wyglądająca na rycerza, który posługując się rodzajem *lingua franca*, ni to łacińskim, ni to prowansalskim, ni to nie wiadomo już jakim, powiedział genueńczykom, że wędrowiec mówi jak ktoś z tych stron, nie mogą go więc traktować tak, jakby nie miał prawa tędy przejeżdżać. Genueńczycy usprawiedliwiali się, mówiąc, że wędrowiec wypytywał niczym szpieg, rycerz zaś wyjaśnił, że jeśli nawet cesarz wysyła szpiegów, tym lepiej, niechaj dowie się, iż powstaje tu, jemu na złość, miasto.

Następnie zwrócił się do Baudolina:

– Nigdy cię nie widziałem, lecz wyglądasz mi na kogoś, kto wraca do siebie. Zamierzasz do nas dołączyć?

– Panie – odrzekł nader dwornie Baudolino – urodziłem się we Fraschecie, lecz wyjechałem stąd wiele lat temu, nie wiedziałem więc nic o tym, co się tu dzieje. Zwę się Baudolino i jestem synem Gagliauda Aulariego...

Nie skończył mówić, gdyż w grupie nowo przybyłych jakiś białowłosy i białobrody starzec podniósł kij i zaczął wykrzykiwać:

– Kłamco bez serca, oby raził cię grom, jak śmiesz używać imienia mego nieszczęsnego syna Baudolina, syna Gagliauda noszącego przydomek Aulari, tego syna, który tyle lat temu opuścił dom z alamańskim panem, gładkim kiejby królewiątko, a po prawdzie był takim, co uczy małpy tańcować, bo po moim chłopięciu ni widu, ni słychu, i po tylu latach pewnie już pomarł, i teraz ja i moja święta małżonka opłakujemy go od trzydziestu lat, to największa żałość w naszym życiu, które i tak było funta

kłaków warte, lecz stracić syna to przecie bieda, jakiej nie pojmie ten, kto jej nie zaznał!

Na to Baudolino wykrzyknął:

– Ojcze, tyś to! – I głos mu jakby zwątlał, a w oczach pokazały się łzy, które nie zasłoniły jednak wielkiego rozradowania. Potem zaś dodał: – A ponadto nie ma tu żadnych trzydziestu lat żałości, bo opuściłem was ledwie trzynaście lat temu, i winieneś być kontent, albowiem nie zmarnowałem ich i teraz jestem kimś.

Starzec podsunął się do muła, przyjrzał bacznie Baudolinowi i rzekł:

– Przebóg, to przecie ty! Choćby przeszło i trzydzieści lat, nie zmieniłoby się to niepoczciwe spojrzenie, i wiesz, co ci rzekę? Choćbyś i stał się kimś, nie możesz przeczyć własnemu ojcu i jeśli powiedziałem trzydzieści lat, to przez to, że dla mnie było ich trzydzieści i że przez trzydzieści lat mogłeś dać jaki znak życia, nicponiu jeden, zniszczyłeś rodzinę i zejdź no z tego zwierzęcia, któreś pewnie ukradł, a połamię ci na łbie ten kij!

I już chwycił Baudolina za buty, próbując ściągnąć go z muła, ale stanął między nimi ten, który wyglądał tu na najważniejszego.

– Daj pokój, Gagliaudo, widzisz syna po trzydziestu latach...

– Trzynastu – poprawił go Baudolino.

– Zmilczże, bo teraz rozmawiamy my dwaj... Widzisz go po trzydziestu latach, na Boga, żywego, a w takim razie winieneś go uścisnąć i podziękować Bogu! – Baudolino zsiadł więc z muła i miał się rzucić w ramiona Gagliauda, który przelał już pierwszą łzę, lecz oto pan, który wyglądał tu na najważniejszego, znów stanął między nimi i złapał Baudolina za kark. – Lecz jeśli ktoś ma tu z tobą rachunki do wyrównania, to jestem nim ja.

– A kimże ty jesteś? – spytał Baudolino.

– Jam jest Oberto z Foro, ale ty tego nie wiesz, a właściwie nie pamiętasz. Miałem wówczas dziesięć lat i mój ojciec zechciał przyjść do twojego, żeby obejrzeć osły, które zamierzał kupić. Ja byłem ubrany, jak przystoi synowi rycerza, i mój ojciec nie chciał, bym wszedł do stajni, mogłem się bowiem zbrukać. Jąłem więc chodzić wokół domu, a za domem byłeś ty, szpetny i plugawy, jakbyś wylazł z kupy mierzwy. Podszedłeś, spojrzałeś na mnie, spytałeś; czy chcę się pobawić, ja durny odparłem: dobrze, a tyś pchnął mnie tak, że wpadłem w świńskie koryto. Kiedy ojciec ujrzał mnie w tym stanie, dostałem niezłe cięgi za to, że zniszczyłem nowe ubranie.

– Niechby i tak było – odrzekł Baudolino – ale to przecież historia sprzed trzydziestu lat...

– Trzynastu, chwalić Boga, i nie ma dnia, bym sobie o tym nie przypomniał, bo nigdy nie byłem tak upokorzony jak wtedy, i nie ma dnia, bym nie powtarzał sobie, że jeśli spotkam syna Gagliauda, zabiję go bez litości.

– I chcesz mnie zabić w tej chwili?

– Nie, w tej chwili nie, gdyż my tutaj prawie skończyliśmy budować miasto, by walczyć z cesarzem, kiedy postanie tu jego noga, nie mam więc czasu na zabijanie kogoś jak ty. Całe trzydzieści lat...

– Trzynaście.

– Całe trzynaście lat nosiłem ten gniew w sercu, a właśnie teraz musiał mi minąć.

– Jak to się mówi, bywa i tak...

– Tylko nie próbuj wodzić mnie za nos. Dalej, uściskaj ojca. A jeśli potem przeprosisz mnie za tamto, pójdziemy niedaleko, w miejsce, gdzie świętujemy z powodu ukończenia budowli, bo w takich razach trzeba odbić szpunt i jak powiadano niegdyś, nuże, hulaj dusza.

Baudolino znalazł się w małej winiarni. Nie zbudowano jeszcze miasta, lecz pomyślano już o oberży z piękną altaną na dziedzińcu, aczkolwiek o tej porze roku lepiej było zasiąść w środku, w niszy urządzonej w wielkiej beczce, przy jednym z długich stołów zastawionych nęcącymi dzbanami i półmiskami pełnymi kiełbasek z ośliny, które – trzeba je naciąć nożem wzdłuż i podsmażyć na przyprawionej czosnkiem oliwie – wyglądały, kiedy je przed człowiekiem stawiano (tłumaczył Baudolino przerażonemu Niketasowi), jak pękate bukłaki: paluszki lizać. Nic dziwnego, że wszyscy biesiadnicy byli weseli, pachnący czosnkiem i podchmieleni. Oberto z Foro obwieścił powrót syna Gagliauda Aulariego i zaraz ten i ów zerwał się, by poklepać po ramieniu Baudolina, który wytrzeszczał z początku oczy, tak był zaskoczony powitaniem, a potem jął odwzajemniać owe poklepywania i zdawało się, że będą się tak rozpoznawać bez końca.

– Dobry Boże, przecież tyś jest Scaccabarozzi, a ty Cuttica z Quargnento. A ty? Nie, nic nie mów, niech zgadnę, Squarciafichi! A kogóż tu mamy? Jesteś Ghini czy Porcelli?

– Nie, Porcelli to on, ten, któregoś zawsze obrzucał kamieniami! Ja byłem Ghino Ghini i prawdę mówiąc, jestem nim i dzisiaj. Razem chodziliśmy na ślizgawkę.

– Panie Jezu, prawda, ty jesteś Ghini. Czy to nie ty umiałeś sprzedać wszystko, nawet łajno swoich kóz, jak wtedy temu pielgrzymowi, któremu wmówiłeś, że to prochy świętego Baudolina?

– A jakże, no i zostałem kupcem, sam powiedz, czy nie to było mi pisane. Zgadnij teraz, kim jest ten tu...

– Merlo, no przecież! Merlo, co ci ciągle mówiłem?

– Mówiłeś: szczęśliwyś, boś głupi, ale nie bierz sobie tego do serca... I niczego nie wezmę, bo nie mam czym – i pokazał prawą rękę bez dłoni. – Oblężenie Mediolanu, dziesięć lat temu.

– Miałem właśnie na końcu języka, że wedle tego, co wiem, ci z Gamondio, Bergoglio i Marengo zawsze stali przy cesarzu. Jak doszło do tego, że najpierw byliście z nim, a teraz budujecie przeciwko niemu miasto?

Zaczęli tłumaczyć wszyscy naraz i Baudolino zrozumiał tylko, że wokół starego zamku i kościoła Matki Boskiej z Roboreto powstało miasto wzniesione przez ludzi z sąsiednich miasteczek, jak właśnie Gamondio, Bergoglio i Marengo; przybyli tu ze wszystkich stron wraz z całymi rodzinami, z Rivalta Bormida, Bassignana czy Piovera, by zbudować dla siebie domy. Już w maju trzech z nich, Rodolfo Nebia, Aleramo z Marengo i Oberto z Foro, zawieźli do Lodi i wręczyli zgromadzonym tam przedstawicielom gmin zawiadomienie o przyłączeniu się nowego miasta, choć wtedy jeszcze istniało ono bardziej w wyobraźni niż nad Tanaro. Ale przez całe lato i jesień pracowali jak woły robocze i oto miasto było już prawie gotowe, gotowe do tego, by zagrodzić drogę cesarzowi, kiedy ten znowu pofolguje swej złej skłonności i zechce zjawić się w Italii.

– Co tu zagradzać – zapytał nieco sceptycznie Baudolino – może przecież ominąć to miejsce...

– Nie, nie – odparli – nie znasz cesarza (a jakże!), miasto powstające bez jego zgody to zniewaga, którą można zmyć tylko krwią, będzie musiał przystąpić do oblężenia (i tutaj mieli rację, dobrze znali charakter Fryderyka), dlatego mury muszą być mocne, a ulice poprowadzone z myślą o wojnie, i dlatego potrzebowaliśmy genueńczyków, ci bowiem, choć żeglarze, wyprawiają się do dalekich krajów, by budować nowe miasta, i wiedzą, jak się do tego wziąć.

– Genueńczycy nie są jednak z tych, co dadzą coś za nic – zauważył Baudolino. – Kto im płaci? To oni zapłacili, pożyczyli już tysiąc genueńskich soldów, a następnych parę tysięcy obiecali w nadchodzącym roku. A co to znaczy, że ulice są planowane z myślą o wojnie? Niech wyjaśni mu Emmanuele Trotti, bo on wpadł na ten pomysł, gadajże, boś ty Poliorcetą!

– Co to takiego polio coś tam?

– Cisza, Boidi, niech mówi Trotti.

I Trotti (a podobnie jak Oberto wyglądał na *miles*, to jest rycerza, dość godnego, choć hołdowego wasala) przystąpił do wyjaśnień:

– Miasto musi odpierać wroga, by ten nie wtargnął na mury, lecz jeśli zdarzy się nieszczęście i wtargnie, miasto nadal musi stawiać mu czoło i wreszcie wyłoić go porządnie po grzbiecie. Jeżeli wróg trafi od razu za murami na gmatwaninę uliczek, w których znajdzie schronienie, już się go nie dopadnie, rozbiegnie się na wszystkie strony i raz-dwa rozprawi się z obrońcami. Jeżeli natomiast pod murami będzie obszerny plac, pozostanie wystarczająco długo bez osłony, by zza węgłów i z okien posypały się nań strzały i kamienie, i zostanie zdziesiątkowany, nim pokona tę przestrzeń.

(To właśnie powinno się zrobić w Konstantynopolu – wtrącił ze smutkiem Niketas – a pozwolono, by pod samymi murami powstała ta gmatwanina uliczek... Racja – miał ochotę odpowiedzieć Baudolino – ale potrzebni są jeszcze mężczyźni z jajami jak moi ziomkowie, nie zaś tacy, co fajdają ze strachu jak te ciemięgi z twojej gwardii cesarskiej. Przemilczał to jednak, bo nie chciał urazić swego rozmówcy, i powiedział tylko: bądź cicho, nie przerywaj Trottiemu, pozwól mu mówić).

Trotti ciągnął więc:

– A jeżeli wróg pokona otwartą przestrzeń i zapuści się już w ulice, muszą być kręte, by nie dało się strzelać z łuku na wprost, nie można też szukać natchnienia u starożytnych Rzymian, ci bowiem tworzyli z ulic kratkę. Kiedy ulica jest prosta, wróg zawsze wie, co go czeka, musi zatem być mnóstwo załomów czy ostrych skrętów, jak kto woli. Obrońca czai się za rogiem, na ziemi i na dachach, i zawsze wie, co robi nieprzyjaciel, bo na sąsiednim dachu, ciągnącym się pod kątem w stosunku do poprzedniego, ukrył się inny obrońca, który widzi wroga i daje znaki tym, co go jeszcze nie widzą. A wróg nigdy nie widzi, co ma przed sobą, i to spowalnia jego napór. Płynie stąd wniosek, że miasto powinno mieć domy rozstawione

byle jak, niby zęby u staruszki; wydaje się ono szkaradne, lecz właśnie to jest dla niego dobre. A wreszcie przyda się fałszywy podkop!

– Tegoś nam jeszcze nie mówił – przerwał mu Boidi.

– Bo nie mogłem, dopiero co opowiedział mi o tym pewien genueńczyk, który dowiedział się o wszystkim od pewnego Greka, a jest to pomysł Belizariusza, wodza cesarza Justyniana. Jaki cel stawia sobie oblegający? Chce wydrążyć podziemne korytarze, które doprowadzą go do środka miasta. O czym marzy? Że natrafi na gotowy podkop, o którym nie wiedzą oblegani. Drążymy mu więc drogę prowadzącą z zewnątrz murów do miasta i zasłaniamy wejście krzakami, ale nie na tyle dokładnie, by nieprzyjaciel prędzej czy później go nie odkrył. Drugi koniec podkopu, ten wychodzący w obrębie murów, musi być ciasną kiszką, żeby zmieścił się w niej tylko jeden człowiek, najwyżej dwóch, z kratą na końcu, bo wtedy pierwszy z nich będzie mógł powiedzieć, że po jej drugiej stronie widać plac i, bo ja wiem, róg jakiejś kaplicy, widomy znak, iż chodnik doprowadza do miasta. Przy kracie czuwa jednak stale straż i kiedy oddział nieprzyjaciela w końcu przybywa, wychodzą pojedynczo na powierzchnię, tak że można ich powalać jednego po drugim...

– A nieprzyjacielowi brak piątej klepki i wychodzi dalej, bo nie wie, że ci z przodu padają jak dojrzałe figi – zachichotał Baudolino.

– A kto ci powiedział, że nieprzyjaciel ma wszystkie klepki? Spokojnie. Rzecz trzeba jeszcze przemyśleć, ale nie jest to pomysł, który należałoby od razu odrzucić.

Baudolino wziął na stronę Ghiniego, który był teraz kupcem, a więc zapewne człowiekiem rozsądnym, stąpającym mocno po ziemi, nie jak ci rycerze, lennicy wasali, gotowi walczyć o przegraną sprawę, byle zyskać rycerską chwałę.

– Posłuchaj no, Ghinèn, podaj jeszcze wina i coś mi powiedz. Zgadzam się z tym, że Barbarossa musi przystąpić do oblężenia, żeby nie stracić twarzy, i w ten sposób ci z ligi będą mieli czas, by przygotować się do

walki z cesarzem scherlałym po oblężeniu. Ale za wszystko zapłacą mieszkańcy miasta. A ty chcesz mi wmówić, że nasi ludzie porzucili miejsca, gdzie jako tako się im wiodło, i przybyli tutaj, by dać się zabić dla przyjemności pawijczyków? I chcesz mi wmówić, że genueńczycy, którzy nie wyskrobaliby ani solda, by wykupić własną matkę od Saracenów, nie szczędzą wam pieniędzy ni trudu, byście zbudowali miasto pożyteczne co najwyżej dla Mediolanu?

– Baudolinie – odparł mu na to Ghini – sprawa nie jest zgoła taka prosta. Bacz, gdzie jesteśmy. – Umoczył palec w winie i jął kreślić znaki na stole. – Tutaj jest Genua, pojmujesz? A tutaj Terdona, dalej Pawia i jeszcze dalej Mediolan. To bogate miasta, a Genua jest portem. Genua musi mieć wolną drogę, żeby handlować z miastami lombardzkimi, czy nie mam racji? A szlak lądowy prowadzi przez doliny Lemme, Orby, Bormidy i Scrivii. Mówimy tu o czterech rzekach, tak czy nie, i wszystkie one spotykają się tutaj, nad Tanaro. Jeżeli masz więc most nad Tanaro, masz też otwartą drogę dla handlu z marchią Monferratu i z innymi miejscami, kto wie jak odległymi. Pojmujesz? Sedno sprawy w tym, że póki Genua i Pawia rozstrzygały wszystkie sprawy tylko między sobą, najlepiej dla nich było, ażeby te doliny nie miały żadnego pana, a od czasu do czasu zawierały przymierza, na przykład z Gavi albo Marengo, i wszystko szło jak po maśle... Kiedy jednak zjawił się cesarz, Pawia z jednej strony, a Monferrat z drugiej stanęły przy cesarstwie i Genua została odgrodzona od lewicy i od prawicy, a jeśli przejdzie do cesarza, może zapomnieć o handlu z Mediolanem. Trzeba więc utrzymać Terdonę i Novi, dzięki nim bowiem ma się władzę nad dolinami Scrivii i Bormidy. Lecz wiesz, co się stało, cesarz zrównał z ziemią Terdonę, Pawia rozciągnęła władanie nad ziemią tortońską aż po Apeniny, nasze miasteczka stanęły przy cesarzu i chciałem, do diaska, sprawdzić, czy możemy, choć tak mali, postawić na swoim. Co musieliby nam dać genueńczycy, byśmy przeszli na drugą stronę? Coś, o czym się nam nawet nie śniło, to jest miasto z rajcami, żołnierzami,

biskupem i murami, miasto, które pobierałoby myto od ludzi i towarów. Zdajesz sobie sprawę, Baudolinie, że wystarczy most na Tanaro, żeby mieć w bród pieniędzy; siedzisz sobie i żądasz od jednego skromnej monety, od drugiego dwóch pulard, od trzeciego zaś całego wołu, oni zaś szast-prast płacą, bo miasto to kraina obfitości, tylko popatrz, jacy bogaci byli ci z Terdony w porównaniu z nami, z Palei. A miasto, które przynosi pożytek nam, przynosi go też lidze i Genui, jak ci już mówiłem, albowiem choć słabe, przez to samo, że tu jest, może wszystkim pomieszać szyki i daje rękojmię, iż w tej okolicy nie może rządzić się ani Pawia, ani cesarz, ani marchia Monferratu...

– To prawda, ale w pewnym momencie zjawi się Barbarossa i zgniecie was między paznokciami jak gnidę.

– Nie tak szybko! Kto to powiedział? Sedno sprawy w tym, że kiedy tu przyjdzie, zastanie miasto. Sam wiesz, jak to jest, oblężenie kosztuje i trwa, złoży się mu wiernopoddańczą przysięgę, on będzie zadowolony (u takich ludzi honor ponad wszystko) i wyniesie się gdzie pieprz rośnie.

– Przecież ci z ligi i genueńczycy wydali mnóstwo pieniędzy, żeby powstało miasto, a wy powiecie ot tak, żeby pocałowali się gdzieś?

– To zależy, kiedy zjawi się Barbarossa. Wiesz dobrze, że te miasta co trzy miesiące zmieniają przymierza jak gdyby nigdy nic. Poczekamy, zobaczymy. Być może wtedy liga będzie sprzymierzona z cesarzem.

(Panie Niketasie – opowiadał Baudolino – zaklinam się na oczy moje, sześć lat później, kiedy Fryderyk oblegał miasto, wspomagali go genueńscy procarze, pojmujesz, genueńczycy, którzy przyczynili się do wzniesienia tych murów!)

– A jeśli nawet będzie inaczej – ciągnął Ghini – wytrzymamy oblężenie, bo niech to dunder świśnie, na tym świecie nie ma nic za darmo. Zanim jednak porozmawiamy, chodź, zobacz...

Ujął Baudolina za rękę i wyprowadził z oberży. Był już wieczór i zrobiło się chłodniej. Wyszli na placyk, od którego – jak się wydawało – powinny odchodzić co najmniej trzy drogi, ale zbudowano dotąd tylko dwa narożniki: niskie, jednopiętrowe, okryte strzechą domy. Mrok rozpraszało światło padające z okien i od ogni podsycanych przez ostatnich przekupniów, którzy wykrzykiwali: szlachetne damy, oto nadciąga święta noc i nie chcecie chyba, by wasi mężowie zasiedli do pustego stołu. Nieopodal miejsca, gdzie w przyszłości miał powstać trzeci narożnik, zajął stanowisko szlifierz, który polewał wodą koło osełki i dobywał wysokie dźwięki z hecowanych noży. Trochę dalej jakaś niewiasta sprzedawała na ławce papkę z ciecierzycy, suszone figi i chleb świętojański, a jakiś okryty koźlą skórą pasterz szedł z koszem i wykrzykiwał: u mnie, szlachetne damy, najlepszy ser *maschерpone*. W pustej przestrzeni między domami dwaj mężczyźni targowali się o wieprzka. W głębi dwie dziewki stały oparte smętnie o jakieś drzwi, szczękając zębami pod chustami, spod których wyzierały głębokie dekolty, i jedna z nich rzuciła w stronę Baudolina: „Co za piękny otrok! Może byś spędził ze mną święta, a nauczę cię bawić się w ośmionogą bestyję!”

Skręcili za róg i ujrzeli człowieka zgrzeblącego wełnę; mężczyzna krzyczał na całe gardło, że już ostatnia chwila, by kupić sobie materace i maty i spać w cieple, nie trzęsąc się z chłodu jak Dzieciątko Jezus; obok niego zachwalał swój towar nosiwoda; idąc jeszcze niedokładnie wytyczonymi ulicami, widzieliśmy co chwila jakąś sień, w której mimo późnej pory tu pracował strugiem stolarz, tam, wzbijając obłoki iskier, kowal bił zapamiętale młotem w kowadło, jeszcze gdzie indziej piekarz wyjmował chleb z pieca błyskającego niby otchłań piekielna; nie brakowało kupców, którzy przybyli z daleka, by robić interesy na nowym pograniczu, ani ludzi mieszkających zwykle w borach, węglarzy, bartników, wytwórców popiołu na mydło, zbieraczy kory do sporządzania sznurów albo garbowania skór, sprzedawców skórek króliczych, mężczyzn o zakazanych

gębach, co przybywali do nowego miejsca z myślą o możliwych korzyściach, a także bezrękich, ślepców, chromych, cierpiących na skrofuły, wszystkich, którym żebranina na ulicach miasta, a w dodatku podczas świąt, wydawała się bardziej obiecująca niż na pustych drogach polnych.

Spadły pierwsze płatki śniegu, a po chwili padało ich więcej i więcej i już pokrywały po raz pierwszy bielą dachy – nowe, nikt więc nie wiedział, czy wytrzymają ciężar. W pewnym momencie Baudolino, pomny znaleziska, jakiego dokonał w zdobytym Mediolanie, zobaczył niewyraźnie trzech kupców, którzy przejeżdżali właśnie pod arkadą w murze, i wziął ich za magów przybywających ze świtą sług, by złożyć w darze cenne naczynia i tkaniny. I wydało mu się, że za nimi, po drugiej stronie Tanaro, dostrzega stada schodzące stokami srebrzącego się już wzgórza i pasterzy grających na dudach i kobzach, i karawany wschodnich wielbłądów, i Maurów w wielkich turbanach i szatach w wielobarwne pasy. Rozsiane tu i ówdzie na wzgórzu ogniska dogasały w coraz gęściej padającym śniegu, lecz Baudolinowi jedno z nich wydało się wielką gwiazdą z ogonem, która wędruje po niebie ku kwilącemu niby dziecko grodowi.

– Widzisz, czym jest miasto? – pytał Ghini. – A jeśli jest takie, choć jeszcze niedokończone, wyobraźmy tylko sobie, jakie będzie potem: inne życie. Codziennie nowi ludzie, a dla kupców, tylko pomyśl, to jakby niebiańskie Jeruzalem, a co się tyczy rycerzy, cesarz zakazał im sprzedawania ziemi, by nie dzielili lenn, umierali więc na wsi z nudów, teraz zaś dowodzą kompaniami łuczników, biorą udział w konnych paradach, wydają rozkazy, że ma być tak a tak. I to wszystko jest dobre nie tylko dla panów i kupców, bo jest też darem Opatrzności dla ludzi takich jak twój ojciec, który nie ma przecież zbyt wiele ziemi, ale bydła, owszem, trochę ma, kiedy więc jest miasto, przychodzą po to bydło ludzie i płacą, zaczyna je sprzedawać za brzęczącą monetę, nie wymienia już zwierząt na inne dobro, a jeśli nie wiesz, co mam na myśli, to ci rzekę, że jeżeli bierzesz dwie kury za trzy króliki, musisz je zjeść, zanim się zestarzeją, a dwie

monety możesz schować sobie pod materac i są dobre nawet po dziesięciu latach, i będziesz je miał, choćby i przyszli do twojego domu nieprzyjaciele. A poza tym tak oto było i w Mediolanie, i w Lodi, i Pawii, i tak też będzie u nas: ludzie z rodziny Ghini czy Aulari nie muszą już milczeć, bo rozkazują tylko ci z rodzin Guasco lub Trotti, wszyscy mamy udział w decydowaniu, możesz być ważny, choć nie pochodzisz ze szlachty, i to właśnie jest piękne w mieście, a już osobliwie dla kogoś, kto nie jest ze szlachty i nie zawaha się oddać życia, jeśli będzie taka potrzeba (lecz lepiej, by nie było), ażeby jego synowie mogli mówić wszędzie: nazywam się Ghini, a ty możesz nazywać się choćby Trotti, a i tak jesteś kutasiną.

W tym momencie Niketas nie omieszkał zapytać Baudolina, jak nazywało się to szczęśliwe miasto. Otóż (Baudolino popisał się tu nie lada talentem narracyjnym, dotychczas bowiem wstrzymywał się z wyjawieniem miana nowego miasta) jeszcze się nie nazywało, tyle że określano je ogólnikowo jako Civitas Nova, co było nazwą z gatunku *genus*, nie zaś *individuum*. Wybór nazwy związany był z innym kłopotem, i to wcale nie najmniejszym, a mianowicie z uznaniem prawnym. Jak miasto nowe, bez historii i bez *nobilitas*, uzyskuje prawo do istnienia? W najlepszym razie z nadania cesarskiego i jest to podobne do wyniesienia kogoś przez cesarza do rangi rycerza czy barona, lecz tutaj chodzi wszak o miasto, które rodziło się wbrew cesarskiej woli. A zatem? Kiedy Baudolino i Ghini wrócili do oberży, pozostali rozprawiali o tej właśnie sprawie.

– Skoro miasto powstaje poza prawem cesarskim, trzeba dać mu prawowitość podług jakiego innego prawa, tak samo potężnego i starego.

– A gdzie znajdziemy takie prawo?

– W *Constitutum Costantini* przecież, w nadaniu dokonanym przez cesarza Konstantyna na rzecz Kościoła, to jest w prawie do rządzenia ziemiami. Oddamy miasto papieżowi, a ponieważ mamy w tej chwili dwóch papieży, oddamy je temu, który stoi po stronie ligi, a więc

Aleksandrowi III. I jak już powiedzieliśmy kilka miesięcy temu w Lodi, miasto otrzyma nazwę Aleksandrii i będzie papieskim lennem.

– Tylko nie piśnij o tym w Lodi ani słówka, bo żadnej decyzji jeszcze nie podjęliśmy – zabrał głos Boidi – ale nie o to chodzi, nazwa ma być piękna i jest piękna, a w każdym razie nie brzydsza od wielu innych. Coś innego leży mi na sercu. Oto zasiadamy sobie na naradę, potem budujemy miasto, a jeszcze potem oddajemy je papieżowi, który ma i tak mnóstwo miast. Wskutek tego będziemy mu płacili daniny i tak czy owak pozbywali się naszych soldów, równie dobrze możemy je zatem oddawać cesarzowi.

– Boidi, jak zwykle stajesz okoniem – powiedział Cuttica. – Po pierwsze, cesarz nie chce miasta, nawet jeśli mu je podarujemy, a gdyby chciał je przyjąć, nie warto byłoby go budować. Po drugie, jedna rzecz nie płacić daniny cesarzowi, który zwala się na kark, żeby porachować ci wszystkie kości, jak to było z Mediolanem, inna nie płacić papieżowi, który jest tysiąc mil stąd i ma tak wypchaną sakiewkę, że chyba nie wyobrażasz sobie, iż przyśle wojsko, żeby wydusić z nas dwa głupie soldy.

– Po trzecie, jeśli pozwolicie mi wtrącić się do dysputy – zabrał głos Baudolino – pobierałem nauki w Paryżu i mam jakie takie doświadczenie w kwestii listów i dyplomów, wiem więc, że dawać można tak i siak. Sporządzicie dokument, w którym napiszecie, że Aleksandria została założona dla uczczenia papieża Aleksandra i poświęcona, na przykład, świętemu Piotrowi. Ażeby mieć jakiś dowód, na ziemi wolnej od ciężarów lennych zbudujecie katedrę pod wezwaniem świętego Piotra. I to z pieniędzy ofiarowanych przez całą ludność miasta. Potem złożycie ją w darze papieżowi wedle formuł, które wasi rejenci uznają za najwłaściwsze i najbardziej zobowiązujące. Przyprawicie całość zapewnieniami o synowskim przywiązaniu, miłości i tego rodzaju rzeczami i wyślecie pergamin papieżowi, a w zamian nie będzie wam szczędził swoich błogosławieństw. Kiedy ktoś zechce potem dzielić włos na czworo w związku z tym pergaminem, zobaczy, że w istocie daliście papieżowi

tylko katedrę, a reszty miasta nie, ale chciałbym zobaczyć papieża, który przybywa, żeby zabrać swoją katedrę i przenieść ją do Rzymu.

– To wyborna myśl – rzekł Oberto i wszyscy przytaknęli. – Uczynimy, jak powiedział Baudolino, który wydaje mi się człowiekiem bardzo przebiegłym, mam więc nadzieję, iż zostanie z nami i podsunie nam inne dobre rady, tym bardziej że jest też wielkim paryskim doktorem.

W tej sytuacji Baudolino musiał poradzić sobie tak czy inaczej z najkłopotliwszym aspektem tego pięknego dnia, to znaczy wyjawić – i to tak, by nikt nie mógł go skarcić (wszak sami byli do niedawna cesarskimi) – że jest urzędnikiem Fryderykowego dworu, a z cesarzem łączy go też uczucie synowskie. I jął opowiadać o tych zdumiewających trzynastu latach, przy czym Gagliaudo szeptał raz po raz: „Nie uwierzyłbym, gdyby mi kto o tym powiadał” i „To ci dopiero, wyglądał mi na nicponia, i to gorszego niż inni, ale teraz wyrasta naprawdę na kogoś!”

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – rzekł Boidi. – Jeszcze nie zbudowaliśmy Aleksandrii, a już jeden z naszych trafił na cesarski dwór. Drogi Baudolinie, nie powinieneś zdradzać swojego cesarza, zważywszy, że tak go miłujesz, a on ciebie. Ale bądź przy nim i stawaj po naszej stronie za każdym razem, kiedy znajdziemy się w potrzebie. Ta ziemia cię zrodziła i nikt nie będzie miał ci za złe, że jej bronisz. W granicach wierności cesarzowi, to się rozumie.

– Dzisiaj jednak najlepiej uczynisz, jeśli pójdziesz do tej świętej niewiasty, swojej matki, i spędzisz noc we Fraschecie – powiedział Oberto, okazując tym samym wielką subtelność uczuć. – Jutro zaś opuścisz nas, byś nie widział, jak biegną ulice i jak mocne są mury. Jesteśmy pewni, że jeśli którego dnia dowiesz się, że grozi nam wielkie niebezpieczeństwo, przez miłość do naturalnego ojca dasz nam o tym znać. Ale skoro będziesz miał dość serca, by to właśnie uczynić, kto wie, czy pewnego dnia z tychże przyczyn nie ostrzeżesz swego ojca przybranego o jakichś naszych zbyt

bolesnych dlań knowaniach. A zatem im mniej będziesz wiedział, tym lepiej.

– To prawda, synu mój – rzekł wtedy Gagliaudo – niejednej troski mi przysporzyłeś, uczyń więc choć tyle dobrego. Ja muszę tu zostać, bo jak widzisz, rozprawiamy o sprawach poważnych, ty jednak nie zostawiaj twojej matki samej w ten wieczór, kiedy cię bowiem zobaczy, z wielkiej radości niczego więcej nie pojmie i nie spostrzeże, że mnie przy niej nie ma. Idź już i bacz, co mówię, daję ci moje błogosławieństwo, gdyż nie wiadomo, kiedy zobaczymy się znowu.

– Otóż to, w jednym dniu odnajduję miasto i je tracę – odparł Baudolino. – Biada mi, sami bowiem widzicie, że jeśli zechcę zobaczyć ojca mego, będę musiał go tu oblegać.

– Tak to, z grubsza biorąc, było – tłumaczył Baudolino Niketasowi. Lecz z drugiej strony nie mogło być inaczej, a to świadczy, że czasy były naprawdę niełatwe.

– Co dalej? – spytał Niketas.

– Zacząłem szukać mojego domu. Śnieg sięgał mi już do połowy łydki, z nieba sypały się kłęby płatków, że aż oczy wywracało, zawierucha chłostała po twarzy, ognie Nowego Miasta zniknęły, i zagubiony w tej bieli z dołu i z góry nie wiedziałem już, w którą stronę podążać. Wydawało mi się, że przypominam sobie dawne ścieżki, choć w owej chwili nie tylko nie widziałem ścieżek, ale nie wiedziałam już, gdzie jest pewny grunt, a gdzie bagno. Spostrzegłem, że całe zagajniki poszły pod siekierę, bo potrzebowali drewna na domy, i nie odnajdywałem już nawet zarysu drzew, które niegdyś znałem na pamięć. Zabłądziłem, jak Fryderyk tamtego wieczoru, kiedy go poznałem, tylko że teraz była śnieżyca, nie mgła, bo gdyby była mgła, jakoś bym sobie poradził. Ładne rzeczy, Baudolino, powiedziałem sobie, zabłądziłeś w rodzinnych stronach, miała rację moja mama, kiedy powiadała, że ci, co umieją czytać i pisać, są głupsi od reszty; co teraz

zrobię, zatrzymam się i zjem muła, a jutro rano odkopią mnie w końcu i będę jak skórka królicza zostawiona na noc poza domem w porze, kiedy rozbrzmiewa pieśń samiczki kosa?

Skoro Baudolino jest tu i opowiada o tej przygodzie, widać jakoś z niej wybrnął, ale był to prawie cud. Kiedy podążał tak, sam nie widząc w którą stronę, raz jeszcze zobaczył gwiazdę na niebie – bladą, ledwie widoczną, ale dość jasną, by się nią kierować; spostrzegł, że jest w jakiejś małej kotlinie i że światełko było w górze, bo on był w dole. Wspinał się na zbocze i światełko coraz to się powiększało, aż wreszcie zdał sobie sprawę, że pochodzi spod jednej z tych wiat, w których trzyma się zwierzęta, gdy zabraknie miejsca w domu. Pod daszkiem zobaczył krowę i osiołka, który ryczał ze strachu, niewiastę z rękami zanurzonymi gdzieś między zadnimi nogami owcy, i ową owcę, która wydawała na świat beczące wniebogłosy jagnię.

I zatrzymał się na progu, chciał bowiem poczekać, aż całe jagnię wyjdzie na świat, kopnął osiołka, żeby go odpędzić, a potem padł na kolana i oparł głowę o łono niewiasty, wołając: „Matko, błogosławiona matko!”, ona zaś przez chwilę nie rozumiała, co się właściwie dzieje, odciągnęła więc jego głowę i obróciła ją w stronę ognia, a na koniec jęła płakać i gładzić go po głowie, szepcząc między jednym a drugim szlochem: „Panie, o Panie mój, dwa Twoje stworzenia jednego wieczoru, jedno się rodzi, drugie wraca z domu diabła, to jakby Boże Narodzenie i Wielkanoc naraz, za dużo tego na moje biedne serce, trzymajcie mnie, bo odchodzę od zmysłów; a teraz daj już pokój, Baudolinie, nagrzałam oto w kociołku wody, żeby obmyć to biedactwo, nie widzisz, że cały zbrukałeś się krwią, lecz skąd wziąłeś te szaty godne wielkiego pana, czy czasem ich nie ukradłeś, bo przecież łotr jesteś jakich mało?”

A Baudolinowi wydawało się, że słyszy anielskie pienia.

14

Baudolino ratuje Aleksandrię dzięki krowie swego ojca

– Tak zatem, żeby ujrzeć swego ojca, musiałeś go oblegać – powiedział pod wieczór Niketas, racząc swojego gościa deserami z wyrośniętego ciasta, upieczonymi tak, by przypominały kwiaty, rośliny czy jakieś inne przedmioty

– Niezupełnie, gdyż do oblężenia doszło sześć lat później. Zobaczyłem, jak rodzi się miasto, wróciłem do Fryderyka i opowiedziałem mu, co widziałem. Jeszcze nie skończyłem swego sprawozdania, kiedy cesarz wydał z siebie ryk wściekłości. Wrzeszczał, że miasto może powstać jedynie przy cesarskim *beneplacitum*, a jeśli nie, musi być zrównane z ziemią, nim je zbudują, w przeciwnym bowiem razie każdy będzie miał swoje *placitum*, nie oglądając się na cesarskie, i że chodzi tu o *nomen imperii*. Potem się uspokoił, ale ja znałem go dobrze i wiedziałem, że im tego nie wybaczy. Na szczęście przez prawie sześć lat miał inne sprawy na głowie. Posyłał mnie z rozmaitymi poruczeniami, między innymi kazał wybadać zamysły aleksandryjczyków. Byłem więc dwa razy w Aleksandrii, żeby dowiedzieć się, czy moi ziomkowie nie byli skłonni w czymś ustąpić. W gruncie rzeczy gotowi byli na wiele ustępstw, lecz prawda była taka, że Fryderyk chciał wyłącznie jednego: żeby miasto roztopiło się w nicości, z której powstało. Przedstaw sobie tylko, co o tym myśleli aleksandryjczycy, a nie śmiem nawet ci wyjawić, co kazali mi powtórzyć cesarzowi... Zdawałem sobie sprawę, że te podróże to tylko pretekst, żeby

jak najmniej przebywać na dworze, cierpiałem bowiem nieustannie z powodu spotykania cesarzowej, a przy tym tyle wysiłku kosztowało mnie dotrzymywanie tego, com ślubował....

– I czegoś dotrzymał – rzekł Niketas, jakby tego właśnie oczekiwał.

– Czego dotrzymałem, i do końca. Panie Niketasie, choć fałszowałem pergaminy, wiem, czym jest honor. Ona mi w tym pomogła. Macierzyństwo ją odmieniło. A w każdym razie dawała mi to do zrozumienia, tak że nigdy się nie dowiedziałem, co czuła do mnie. Cierpiałem jednak i byłem jej wdzięczny, że w ten sposób pomagała mi zachować godność.

Baudolino przekraczał już trzydziestkę i skłonny był uznać list od księdza Jana za młodzieńczy wybryk, za dobre ćwiczenie w epistolarnej retoryce, za *jocus, ludibrium*. Odnalazł jednak Poetę, który po śmierci Reginalda stracił protektora, a wiadomo, jak to w takich razach wygląda na dworze: przestajesz być cokolwiek wart, a niektórzy zaczynają nawet mówić, że twoja poezja to nic godnego uwagi. Trawiony uczuciem upokorzenia i urażony, spędził kilka lekkomyślnych lat w Pawii, wracając do jedynego zajęcia, które wykonywał należycie, to jest do picia i recytowania wierszy Baudolina (zwłaszcza jednego, proroczego, który mówił *quis Papie demorans castus habeatur*, kto mieszkając w Pawii, może być cnotliwy?). Baudolino sprowadził go z powrotem na dwór i w jego towarzystwie Poeta robił wrażenie, że jest człowiekiem Fryderyka. Umarł mu poza tym ojciec, objął więc spadek i nawet przeciwnicy świętej pamięci Reginalda nie patrzyli już na niego jak na parazyta, ale jak na jednego z *miles*, pijącego wcale nie więcej niż inni.

Wspominali czasy pisania listu, wzajemnie sobie winszując, że dokonali takiego wspaniałego dzieła. Uznać zabawę za zabawę wcale nie oznacza, że trzeba się jej wyrzec. Baudolino nadal rozmyślał tęsknie o królestwie, którego nigdy nie widział, i czasem, kiedy był sam, recytował list na głos, doskonaląc przy okazji jego styl.

– Za dowód, że nie potrafiłem zapomnieć o liście, niechaj posłuży to, że przekonałem Fryderyka, ażeby sprowadził na dwór wszystkich moich paryskich przyjaciół. Powiedziałem mu, że dobrze, by w cesarskiej kancelarii nie zabrakło ludzi znających inne kraje, języki i obyczaje. Prawdę mówiąc, ponieważ Fryderyk coraz częściej wykorzystywał mnie do różnych poruczeń jako zaufanego posłańca, chciałem mieć mój mały osobisty dwór złożony z Poety, Abdula, Borona, Kyota i rabbiego Solomona.

– Tylko nie próbuj mi wmawiać, że cesarz przyjął na swój dwór Żyda!

– A czemu by nie? Nie musiał przecież pokazywać się podczas wielkich uroczystości ani chodzić na mszę z Fryderykiem i jego arcybiskupami. Skoro wszyscy książęta w Europie, i nawet papież, mieli żydowskich medyków, czemu nie miałoby się trzymać pod ręką Żyda znającego obyczaje Maurów hiszpańskich i wiedzącego mnóstwo innych rzeczy o krajach Orientu? A poza tym książęta germańscy byli zawsze bardzo miłosierni dla Żydów, bardziej niż inni chrześcijańscy królowie. Otton opowiadał mi, że kiedy odzyskano Edessę z rąk niewiernych i książęta chrześcijańscy znowu wzięli krzyż i poszli za naukami Bernardusa Clarvallensisa (wtedy wziął też krzyż Fryderyk), pewien mnich o imieniu Radulf nakłaniał pielgrzymów do rzezi wszystkich Żydów w miastach, przez które przechodzili. I była to zaiste rzeź. Lecz Żydzi poprosili o obronę samego cesarza, który pozwolił im schronić się w bezpiecznym miejscu i żyć spokojnie w mieście Norymberdze.

Tak zatem Baudolino połączył się z wszystkimi swoimi dawnymi konfratrami. Nie oznacza to, że mieli oni na dworze dużo zajęć. W każdym mieście, w którym zjawiał się Fryderyk, Solomon szukał, i zawsze znajdował, swoich współwyznawców (istne chwasty – droczył się z nim Poeta); Abdul odkrył, że prowansalski jego wierszy jest lepiej rozumiany w Italii niż w Paryżu, Boron i Kyot nie ustawali w dialektycznych

zmaganiach: Boron przekonywał Kyota, że jeśli chce się dowieść wyjątkowości Gradalisa, trzeba przyjąć, iż próżni nie ma, Kyot zaś wbił sobie do głowy, że Gradalis to kamień, który spadł z nieba, *lapis ex coelis*, a każdy, kto nań spojrzał, przyznawał bez wahania, iż wziął się on z innych światów i musiał pokonać zupełnie puste przestrzenie, aby do nas dotrzeć.

Chociaż żaden z przyjaciół nie był wolny od takiej czy innej słabości, razem zastanawiali się nad listem księdza, i często wierni druhowie pytali Baudolina, czemu nie nakłoni Fryderyka do wyprawy, którą przecież tak dobrze wspólnym wysiłkiem przygotowali. Pewnego dnia, kiedy Baudolino starał się im wytłumaczyć, że w ostatnich latach Fryderyk miał na głowie dość kłopotów w Lombardii i Germanii, Poeta oznajmił, iż może oni sami powinni się tam wyprawić, na własną rękę, nie oglądając się na Fryderyka.

– Cesarz miałby z takiej wyprawy raczej wątpliwe korzyści. Co się stanie, jeżeli przybędzie na ziemię Jana i nie dojdzie do porozumienia z tym monarchą? Wróciłby jak niepyszny i wina spadłaby na nas. Jeśli zaś udamy się tam sami, to bez względu na to, jak potoczą się sprawy, niewątpliwie wrócimy z czymś nadzwyczajnym, bo przecież jest to ziemia obfitująca w bogactwa i rzeczy cudowne.

– Zaprawdę – powiedział Abdul – nie zwlekajmy, ruszajmy, przed nami daleka droga...

– Panie Niketasie, poczułem ogromne zniechęcenie, widząc, czemu wszystkim przypadła do smaku propozycja Poety, i zrozumiałem, skąd ta ochota. Zarówno Boron, jak i Kyot mieli nadzieję odnaleźć ziemię księdza i zawładnąć Gradalisem, który zapewniłby im Bóg jeden wie jaką chwałę i moc w tamtych septentrionalnych krainach, gdzie wszyscy nadal go szukają. Rabbi Solomon odnalazłby dziesięć zaginionych pokoleń i stałby się nie tylko największym i najbardziej czczonym spośród rabinów Hiszpanii, lecz także spośród wszystkich synów Izraela. Jeśli chodzi o Abdula, niewiele jest do powiedzenia: dla niego królestwo Jana było teraz

tym samym co kraina jego księżniczki, tyle że w miarę pomnażania swej mądrości i liczby przeżytych lat oddalenie było dla niego coraz przykrzejsze, i chciałby, oby wybaczył mu to bóg kochanków, dotknąć jej swą ręką. Któż za to może wiedzieć, co podczas pobytu w Pawii działo się w sercu Poety? Fortuna niezbyt mu sprzyjała i wyglądało na to, że królestwa księdza Jana pragnie nie dla cesarza, lecz dla siebie. To wyjaśnia, dlaczego, rozczarowany do całego świata, przez kilka lat ani wspomniałem Fryderykowi o tym królestwie. Jeśli jest to po prostu zabawa, lepiej zostawić je w spokoju, chronić ową krainę przed pożądaniem tych, którzy nie pojmują jej mistycznej wielkości. List stał się czymś w rodzaju mojego osobistego marzenia: nie chciałem, by ktokolwiek jeszcze miał w nim swój udział. Pomagało mi ono zmagać się z cierpieniami, jakich przysparzała nieszczęśliwa miłość. Prędzej czy później, mówiłem sobie, zapomnę o wszystkim, bo wyruszę na wyprawę do ziemi księdza Jana... Wróćmy jednak do spraw lombardzkich.

Kiedy powstawała Aleksandria, Fryderyk powiedział, że tylko tego brakuje, by Pawia przeszła do obozu nieprzyjaciół. I dwa lata później Pawia przyłączyła się do antycesarskiej ligi. Dla cesarza był to cios. Na razie nie przedsięwziął żadnych kroków, ale w następnych latach sytuacja w Italii stała się tak niejasna, że Fryderyk postanowił się tam wyprawić. Nie ulegało wątpliwości, że jego celem będzie właśnie Aleksandria.

– Przepraszam, że przerywam – rzekł Niketas – jeśli się jednak nie mylę, wyruszył do Italii po raz trzeci?

– Nie, czwarty. Nie, zaraz, niech sobie przypomnę... Zdaje się, że piąty. Bywało, że pozostawał tam cztery lata jak w czasach Cremy i Mediolanu. A może wracał w tym okresie do Germanii? Sam już nie wiem, w każdym razie więcej przebywał w Italii niż u siebie. Gdzie jednak był u siebie? Przywykł do podróży i spostrzegłem, że swojsko czuł się tylko nad jakąś rzeką: był dobrym pływakiem, nie bał się chłodu, wysokiej wody ani

wirów. Rzucał się do wody, pływał i widać było, że czuje się w swoim żywiole. Tym razem jednak wyruszył zagniewany i przygotowany do ciężkiej wojaczki. Stały przy nim margrabstwo Monferratu, Alba, Acqui, Pawia i Como...

– Przecież sam powiedziałeś przed chwilą, że Pawia przeszła do ligi...

– Doprawdy? Ach tak, przeszła, ale potem wróciła do cesarza.

– O Boże, nasi cesarze wykłuwają sobie nawzajem oczy, ale przynajmniej póki ma się wzrok, wiadomo, z kim trzymać...

– Nie dostaje wam fantazji. Tak czy inaczej tego samego roku gdzieś we wrześniu Fryderyk ruszył przez Moncenisio w stronę Suzy. Pamiętał dobrze afront sprzed siedmiu lat i niszczył wszystko ogniem i mieczem. Asti natychmiast się poddało, dając mu wolną drogę, rozbił więc obóz we Fraschecie, nad Bormidą. Rozesłał jednak swoich ludzi wszędzie, także na drugą stronę Tanaro. Nadszedł czas rozrachunków z Aleksandrią. Dostałem list od Poety, który wziął udział w wyprawie, i wyglądało na to, że Fryderyk niósł wszędzie ogień i pożogę, że czuł się, jakby był wcieleniem bożej sprawiedliwości.

– Dlaczego nie było cię przy nim?

– Bo był człowiekiem naprawdę dobrym. Wiedział, jakie męki bym przeżywał, patrząc, jak na moich ziomków spada surowa kara, i pod pierwszym lepszym pretekstem namówił mnie, bym trzymał się z dala, póki Roboreto nie zmieni się w kupę popiołu. Zważ, nie używał nazwy *Civitas Nova* ani Aleksandria, gdyż bez jego pozwolenia nie mogło wszak istnieć żadne nowe miasto. Mówił tylko o starym miasteczku Roboreto, jakby po prostu nieco się rozrosło.

Działo się to na początku listopada. Lecz w listopadzie doszło na tamtej równinie do istnego potopu. Padało i padało, tak że nawet pola uprawne zmieniły się w bagna. Margrabia Monferratu zapewnił Fryderyka, że mury miasta są z gliny i że bronią ich maruderzy, którzy robią pod siebie na sam

dźwięk cesarskiego imienia, lecz ci maruderzy okazali się dzielnymi obrońcami, a mury były tak mocne, iż kafary i tarany cesarskie poszczerbiły sobie na nich zęby. Wszystko ślizgało się w błocie, konie i rycerze, a oblegani zmienili w pewnym momencie bieg Bormidy i najlepsza alamańska kawaleria ugrzęzła po szyję.

Aż wreszcie aleksandryjczycy użyli jednej z tych machin znanych już spod Cremy, drewnianego rusztowania przytwierdzonego mocno do stoku twierdzy, i wysunęli z niego długą kładkę, lekko nachylony pomost, z którego górowało się nad wrogiem podchodzącym pod mury. Na ten pomost wtoczyli wypełnione suchym drewnem, nasączone oliwą, smalcem, sadzą i smołą beczki i podpalili. Beczki potoczyły się błyskawicznie i spadły albo prosto na cesarskie machiny, albo na ziemię, po której toczyły się dalej niby kule ognia, póki nie natrafiły na jaką nieco dalszą machinę.

W tym czasie oblegający zajmowali się przede wszystkim przetaczaniem beczek z wodą do gaszenia ognia. Wody nie brakowało, była w rzekach, bagniskach, lała się z nieba, ale kiedy piechurzy byli zaprzątnięci jej dostarczaniem na miejsce, nie było komu zabijać nieprzyjaciół.

Cesarz uznał, że zimę poświęci na zaprowadzanie ładu w swojej armii, bo i tak trudno szturmować mury, kiedy człowiek ślizga się w błocie albo grzęźnie w śniegu. Na nieszczęście pogoda nie sprzyjała także w lutym, wojsko więc było zniechęcone, a cesarz jeszcze bardziej. I oto ten Fryderyk, pogromca Terdony, Cremy i nawet Mediolanu, miast starożytnych i biegłych w wojaczce, nie mógł poradzić sobie z tym zbiorowiskiem ruder, które miastem stało się jakimś cudem i które zamieszkiwali ludzie przybyli Bóg jeden wie skąd i nie wiedzieć czemu przywiązani do tych bastionów – choć przedtem nie były to nawet ich bastiony.

Baudolino, który trzymał się dotąd z daleka, by nie patrzeć na zagładę ziomków, teraz postanowił udać się tam, zląkł się bowiem, że ziomkowie mogą zrobić krzywdę cesarzowi.

I oto miał przed oczami równinę ze wznoszącym się na niej miastem, które widział w powijakach. Mury były najeżone chorągwiami z wielkim czerwonym krzyżem na białym polu, jakby mieszkańcy, ludzie nowi, chcieli dodać sobie odwagi, powiewając emblematami, które miały świadczyć o starożytności ich szlachetnego rodu. Przedpole miasta porastał liszaj kafarów, *manganu*, katapult, a między nimi przesuwały się trzy ciągnięte z przodu przez konie i pchane z tyłu przez ludzi wieże oblężnicze, na których roiło się od wrzeszczących żołnierzy – wymachujących w stronę murów rękami, jakby chcieli powiedzieć: „Teraz nasza kolej!”

Obok wieży dostrzegł Poetę, który harcował na koniu z miną człowieka pilnującego, by wszystko szło należycie.

– Co to za jedni ci opętańcy na wieżach? – spytał Baudolino.

– Kusznicy genueńscy – odparł Poeta – najstraszniejsi z wojsk oblężniczych podczas po bożemu prowadzonego szturmu.

– Genueńczycy? – zdumiał się Baudolino. – Przecież mieli swój udział w zakładaniu miasta!

Poeta wybuchnął śmiechem i wyjaśnił, że w ciągu czterech czy pięciu miesięcy, jakie minęły od jego przybycia tutaj, napatrzył się do syta na miasta zmieniające sztandary, pod którymi walczą. W październiku Terdona stawała razem z gminami, a potem okazało się, że Aleksandria zbyt udatnie opiera się cesarzowi, więc dertończycy zaczęli podejrzewać, że może zbytnio się wzmocnić, i znaczna ich część jęła naciskać, by przeszli na stronę Fryderyka. Cremona w czasach klęski Mediolanu stała przy cesarstwie, w ostatnich latach przeszła na stronę ligi, teraz zaś z jakichś tajemniczych powodów prowadzi rokowania z cesarskimi.

– A jak idzie oblężenie?

– Źle. Albo ci po drugiej stronie murów dobrze się bronią, albo my nie umiemy szturmować. Moim zdaniem Fryderyk przyprowadził tym razem marnych najemników. To ludzie niepewni, czmychają przy pierwszej

trudności, zimą wielu z nich uciekło tylko dlatego, że było zimno, a przecież byli to Flamandczycy, nie przybyli zgoła z *hic sunt leones*. Wreszcie wskutek najrozmaitszych chorób ludzie padają w obozie jak muchy, choć chyba tamci za murami wcale nie mają się lepiej, bo pewnie kończy się im żywność.

Po tej rozmowie Baudolino stanął przed cesarzem.

– Przybyłem, ojcze, bo znam teren i mogę ci się przydać – oznajmił.

– To prawda – odparł Barbarossa – lecz znasz też tutejszych ludzi i nie życzysz im źle.

– A ty znasz mnie i jeśli nie ufasz memu sercu, wiedz, że możesz zaufać memu słowu. Nie skrzywdzę ziomków, lecz nigdy cię nie okłamię.

– Przeciwnie, okłamiesz, lecz nie skrzywdzisz. Okłamiesz, a ja udam, że ci wierzę, gdyż zawsze, kiedy łżesz, masz na widoku dobro.

Był to człowiek szorstki – wyjaśniał Baudolino Niketasowi – ale umiał być błyskotliwy. „Pojmujesz, co czułem? Nie chciałem, żeby zniszczył miasto, ale kochałem go i pragnąłem jego chwały”.

– Wystarczyłoby dojść do przekonania, że jego chwała zabłyśnie jeszcze większym blaskiem, jeśli oszczędzi miasto – rzekł Niketas.

– Niech Bóg cię błogosławi, panie Niketasie, bo mówisz, jakbyś czytał w mym sercu i wiedział, co wtedy czułem. Z tą myślą w głowie biegałem tam i z powrotem między obozem i murami. Ustaliłem z Fryderykiem jako rzecz samą przez się zrozumiałą, że będę kimś w rodzaju posła, nie dla wszystkich było jednak oczywiste, że mogę się poruszać, nie wzbudzając podejrzeń. Na dworze nie brakowało ludzi, którzy zazdrościli mi zażyłości z cesarzem, jak choćby biskup Spiry i niejaki graf Ditpold, którego wszyscy nazywali biskupka, może po prostu dlatego, że miał jasne włosy i twarz różowiutką jak dziewczę. Nie oddawał jednak swego ciała biskupowi, a nawet mówił ciągle o pewnej Tekli, którą zostawił na północy. Kto to może wiedzieć?... Był piękny, ale również głupi. I właśnie ci dwaj nasyłali

na mnie, także w obozie, swoich szpiegów, i donosili cesarzowi, że poprzedniej nocy widziano, jak jechałem konno w stronę murów, żeby rozmawiać z obrońcami miasta. Dzięki Bogu, cesarz odsyłał ich z kwitkiem, bo wiedział, że pod mury jeżdżę za dnia, nie zaś w nocy.

Jednym słowem, Baudolino bywał pod murami, a nawet w ich obrębie. Za pierwszym razem nie było to łatwe, gdyż jadąc truchtem w stronę bramy, usłyszał świst kamienia; widocznie w mieście zaczęto oszczędzać strzał i używano proc, które od czasów Dawida były bronią skuteczną i mało kosztowną. Począł wykrzykiwać coś w nieskazitelnym dialekcie fraschetańskim, wymachując przy tym nieuzbrojonymi rękami, i na szczęście rozpoznał go Trotti.

– Baudolino! – zakrzyknął Trotti z góry. – Chcesz do nas dołączyć?

– Nie udawaj durnia, Trotti, wiesz przecież, że jestem po drugiej stronie. Ale nie mam złych zamiarów. Wpuść mnie, bo chcę pozdrowić mego ojca. Przysięgam na Najświętszą Panienkę, że nie wyjawię nic z tego, co zobaczę.

– Zaufam ci. Otworzyć bramę, ej, wy tam na dole, nie rozumiecie, co się do was mówi, czy może brak wam piątej klepki? To przyjaciel. Właściwie prawie przyjaciel. To znaczy, jeden z nich, ale jest nasz, to znaczy jeden z naszych, ale jest ich. Tak czy owak, otwierajcie tę bramę, bo powybijam wam wszystkie zęby.

– Dobrze, dobrze – odparli nieco osłupiali strażnicy. – Człowiek sam już nie wie, kto jest kim, nie dalej jak wczoraj wyszedł tamten okryty płaszczem, wyglądał na pawijczyka...

– Zamilcźże, głupcze! – wykrzyknął Trotti.

– Ach, więc to tak? – zachichotał Baudolino, wchodząc do miasta. – Wysyłacie szpiegów do naszego obozu... Bądź spokojny, powiedziałem przecież, że niczego nie widzę, niczego nie słyszę...

I tak oto na placyku przy studni Baudolino mógł wyściskać Gagliauda – nadal pełnego wigoru i chudego, jakby wzmocnionego wskutek głodowania; tak oto spotkał się przed kościołem z Ghinim i Scaccabarozzim; tak oto mógł spytać w oberży, gdzie Squarciafichi, a tamci zapłakali i rzekli, że podczas ostatniego szturmu genueński grot przeszył mu gardło, i Baudolino też zapłakał, bo wojna nigdy mu się nie podobała, a teraz jeszcze mniej, i zaczął lękać się o starego ojca; tak oto na głównym placu, pięknym, wielkim i jasnym w marcowym słońcu, mógł ujrzeć dzieci dźwigające na mury kosze z kamieniami i dzbany z wodą dla straży i radować się, że mieszkańcy miasta nie stracili ducha; tak oto mógł zastanowić się, kim są ci ludzie, którzy zbiegli się w Aleksandrii jak na wesele, a przyjaciele odpowiedzieli, że to nieszczęśnicy, którzy napłynęli tu ze strachu przed cesarską armią, i uciekinierzy z okolicznych wiosek, i wskutek tego Aleksandrii nie brakuje rąk do pracy i obrony, ale też brzuchów do napełnienia; tak oto Baudolino mógł podziwiać nową katedrę, może nie największą, ale porządnie zbudowaną, i rzekł: tam u licha, przecież jest tu nawet tympanon z niziołkiem na tronie, a wszyscy dokoła na to: ha, cóż – jakby chcieli powiedzieć: sam widzisz, do czego jesteśmy zdolni – ale to nie jest żaden niziołek, zakuty łbie, lecz nasz Pan, nawet jeśli nie jest zbyt dobrze odrobiony, gdyby zaś Fryderyk przybył tu miesiąc później, zobaczyłby cały Sąd Ostateczny razem ze starcami z Apokalipsy; tak oto Baudolino mógł poprosić o co najmniej kieliszek porządnego wina i wszyscy się mu przypatrywali, jakby dopiero co przyszedł z obozu cesarskiego, bo przecież wina, porządnego czy nie, nie ma tu już ani kropli, to pierwsza rzecz, jaką daje się rannym, by podtrzymać ich siły, i krewnym tych, którzy polegli, by za bardzo się nie zamartwiali; tak oto Baudolino, widząc wokół siebie wynędzniałe twarze, mógł zapytać, jak długo jeszcze wytrwają, oni zaś wznieśli oczy do góry, jakby chcieli powiedzieć, że wszystko w ręku Boga; a wreszcie tak oto Baudolino mógł poznać Anzelma Medyka, który dowodził stu pięćdziesięcioma piechurami z Piacenzy

i przybył, żeby wesprzeć *Civitas Nova*, i Baudolina uradowało to piękne świadectwo solidarności, a przyjaciele, Guasco, Trotti, Boidi i Oberto z Foro, wyjaśnili, że ten Anzelm zna się na wojaczce, ale poza tymi z Piacenzy nie mają nikogo, bo liga zachęciła nas do zbudowania miasta, lecz teraz ma nas w rzyci; italskie gminy – dobre sobie, jeśli wyjdziemy żywi z tego oblężenia, nic nikomu nie będziemy zawdzięczać, niech sami znoszą się z cesarzem, amen.

– Ale co z genueńczykami, jak to możliwe, by stawali przeciw wam, skoro pomagali wam budować miasto, i to nie szczędząc złota?

– Bądź spokojny, genueńczycy umieją zadbać o swoje interesy, teraz są z cesarzem, bo tak im wygodnie, i wiedzą, że miasto, kiedy już jest, nie zniknie nagle z powierzchni ziemi, nawet jeśli się je zburzy, przypomnij sobie Mediolan i Lodi. Zresztą czekają, co będzie potem, a przecież potem to, co zostanie z miasta, wystarczy im, by panować nad drogami handlowymi, i nawet zapłacą za dźwignięcie tego, co teraz pomagają niszczyć, na razie zaś w obiegu jest mnóstwo pieniędzy, a oni tkwią w samym środku tego handlu.

– Baudolino – dodał Ghini – ledwie przybyłeś, nie widziałeś więc szturmów w październiku i w ostatnich tygodniach. Potrafią się bić, i nie tylko genueńscy łucznicy, ale i ci Czesi o prawie białych wąsach, a jeśli tym uda się przystawić drabinę, to trzeba naprawdę zakasać rękawy, by ich z niej zrzucić... To prawda, moim zdaniem zginęło ich więcej niż naszych, a to dlatego, że choć mają żółwie oblężnicze i tarany, niemało spadło im na głowy pocisków ulepionych z gliny i kamieni. Ale w sumie jest ciężko i trzeba zaciskać pasa.

– Doszła nas wiadomość – ciągnął Trotti – że oddziały ligi wyruszyły w pole i chcą zajść cesarza od tyłu. Wiesz coś o tym?

– Mówiło się o tym także u nas i właśnie dlatego Fryderyk chce się przedtem z wami rozprawić. A wy... – i pokazał figę – wy ani myślicie popuścić, a może nie mam racji?

– Sam wiesz. Możesz być pewny, że łatwo się nie damy.

I tak przez kilka tygodni Baudolino udawał się po każdej potyczce do swoich, przede wszystkim po to, by liczyć kolejnych poległych (Panizzia też? Tak, Panizzia też, to był dobry chłopak), potem zaś wracał, by powiedzieć Fryderykowi, że o poddaniu się miasta nie ma co marzyć. Fryderyk nie złorzeczył, mówił tylko: „I co niby mam zrobić?" Bez wątpienia żałował teraz, że zabrnął w to przedsięwzięcie: wojsko się wykruszało, wieśniacy ukrywali zboże i zwierzęta w borach albo co gorsza na bagnach, nie można było zrobić kroku ani na północ, ani na wschód, by nie natknąć się na jakieś przednie straże ligi – jednym słowem może ci prostacy nie byli bitniejsi od kremijczyków, ale jak pech, to pech. Nie mógł jednak odejść, bo straciłby twarz na zawsze.

Jeśli zaś chodzi o ratowanie twarzy, to gdy pewnego dnia cesarz napomknął o pacholęcym proroctwie Baudolina i skłonieniu dertończyków do kapitulacji, ten zdał sobie sprawę, że gdyby udało mu się teraz wykorzystać znak z niebios – jakikolwiek – i obwieścić *urbi et orbi*, iż samo niebo podsuwa myśl o odwrocie, nie przepuściłby takiej okazji...

Pewnego dnia, kiedy Baudolino rozmawiał z obleganymi, Gagliaudo powiedział mu:

– Czy tobie, który jesteś tak bystry i czytałeś księgi, gdzie zapisano wszystko, nie przychodzi do głowy jakiś pomysł, żeby ludzie poszli sobie do domu, bo musieliśmy zabić nasze krowy prócz jednej, a twoja matka dusi się w zamkniętym mieście?

I Baudolino wpadł na wyborny pomysł, i spytał, czy powstało owo tajemne podziemne przejście, o którym mówił Trotti kilka lat temu, to, które miało rzekomo doprowadzić nieprzyjaciela do środka miasta, a w istocie prowadziło go prosto w pułapkę.

– A jakżeby inaczej?! – odparł Trotti. – Chodź, sam zobacz. Patrz, tutaj jest początek korytarza, w tych krzakach dwieście kroków od murów,

dokładnie pod tym słupem, który wygląda, jakby tkwił tam od tysiąca lat, chociaż przenieśliśmy go z Villa del Foro. I kto weń wejdzie, dotrze aż tu, za tę kratę, i będzie widział stamtąd tylko oberżę i nic więcej.

– A kiedy wyjdzie, zatłuczecie go?

– Rzecz w tym, że zwykle oblegający potrzebowaliby wielu dni, by przebyć podkop tak ciasny, wprowadza się więc do niego tylko jeden oddział, który ma dotrzeć do bramy i otworzyć ją. Otóż, pomijając już to, że nie wiemy, jak zawiadomić o podkopie nieprzyjaciela, jakąż korzyść mielibyśmy z zabicia dwudziestu lub trzydziestu nieszczęśników i czy warto było się trudzić przy jego drążeniu? Byłaby to zwykła niegodziwość, ot co ci powiem.

– I owszem, jeśliby chodziło o danie komuś po głowie. Posłuchaj jednak, co widzę, jak mniemam, tymi moimi oczami. Ledwie tamci wyjdą, usłyszą trąby i w świetle dziesięciu pochodni ujrzą, jak zza tego rogu wyłania się okryty białym płaszczem mężczyzna o białej brodzie, dosiadający białego konia i dzierżący w dłoni wielki biały krzyż. I rozlega się jego okrzyk: obywatele, obywatele, zbudźcie się, a wtedy, nim jeszcze napastnicy zdecydują się zrobić choć krok, z okien i dachów przybiegną nasi, tak jak mówiłeś. Kiedy zaś pojmą już cesarskich, rzucą się na kolana i zaczną wołać, że tym mężczyzną jest święty Piotr, który ma pieczę nad tym miastem, i wepchną żołnierzy z powrotem do podziemi, mówiąc: podziękujcie Bogu, że darowaliśmy wam życie, opowiedzcie waszemu Barbarossie, że Nowe Miasto papieża Aleksandra jest w pieczy samego świętego Piotra...

– I Barbarossa uwierzy w takie bajania?

– Nie, bo nie jest głupi, ale ponieważ nie jest głupi, uda, że wierzy, bo bardziej niż wam zależy mu, żeby skończyć z tym oblężeniem.

– Przyjmijmy, że tak jest. A kto sprawi, że znajdą wejście do podkopu?

– Ja.

– A gdzie znajdziesz matołka, który da się na to nabrać?

– Już go znalazłem, jest na tyle matołkiem, że da się nabrać, i na tyle zasrańcem, że na to zasługuje. Tym bardziej że nikogo nie zabijecie. Tak było uzgodnione.

Baudolino pomyślał zaraz o próżnym Ditpoldzie, jeśliby bowiem trzeba było skłonić owego grafa do zrobienia tej czy innej rzeczy, dość będzie dać mu do zrozumienia, że zaszkodzi w ten sposób Baudolinowi. Wystarczy, by graf Ditpold dowiedział się, gdzie jest podkop i że Baudolino nie chce, ażeby ktoś odkrył wejście do niego. Jak tego dokonać? Nic łatwiejszego, jako że Ditpold wysyłał swoich szpiegów, by śledzili Baudolina.

Kiedy po zapadnięciu zmierzchu Baudolino wracał do obozu, przeszedł najpierw przez małą polanę, a potem zagłębił się między drzewa i zaraz się odwrócił – na tyle szybko, że zobaczył w świetle księżyca niewyraźny cień przemykający prawie na czworakach przez otwartą przestrzeń. Człowiek, którego Ditpold posłał, by deptał mu po piętach. Poczekał, aż szpieg prawie na niego wpadł, przyłożył mu miecz do piersi i kiedy tamten zaczął coś ze strachu bełkotać, Baudolino powiedział po flamandzku: „Poznaję cię, jesteś Brabantczykiem. Co robisz z dala od obozu? Mów, jestem z cesarskiego dworu!”

Brabantczyk wykrztusił z siebie jakąś historyjkę o kobietach i powiedział to nawet dość przekonywająco.

– No dobrze – rzekł na to Baudolino – tak czy inaczej, dobrze się stało, że tu jesteś. Chodź ze mną, ktoś powinien stać na straży, kiedy będę robił to, co mam do zrobienia.

Dla tamtego było to jak manna z nieba, bo przecież nie został zdemaskowany, a co więcej, mógł nadal szpiegować, i to ręka w rękę z osobą szpiegowaną. Baudolino zaś niczego nie udawał, gdyż naprawdę musiał się rozejrzeć, żeby odnaleźć słup, ale mruczał przy tym pod nosem, jakby sam do siebie, o czymś, co podszepnął mu jeden z jego donosicieli. Znalazł wreszcie słup, który rzeczywiście wyglądał, jakby wyrósł w tym

miejscu razem z krzakami, pokręcił się chwilę wokół niego, rozgrzebując liście, a na koniec natrafił na kratę. Poprosił Brabantczyka, by pomógł mu ją unieść: zobaczyli trzy schodki.

– Posłuchaj teraz – rzekł Brabantczykowi. – Zejdziesz i pójdziesz do końca wykopanego korytarza. Tam, być może, zobaczysz światła. Przyjrzyj się wszystkiemu i o niczym nie zapomnij. Potem wracaj i wszystko mi powiesz. Ja zostanę tu na straży.

Brabantczyk takie postawienie sprawy uznał za rzecz zrozumiałą samą przez się, aczkolwiek przykrą, iż wielki pan najpierw kazał mu pełnić straż, a potem sam postanowił ją przejąć, jemu zaś zlecił niebezpieczne zadanie. Baudolino wymachiwał jednak mieczem – oczywiście ubezpieczając Brabantczyka, ale z panami przecież nigdy nic nie wiadomo. Tak zatem szpieg przeżegnał się i ruszył w drogę. Kiedy wrócił po dwudziestu minutach, dysząc ciężko, opowiedział to, co Baudolino już wiedział: że na końcu podkopu jest niezbyt trudna do usunięcia krata, a po drugiej stronie widać pusty placyk; stąd płynie wniosek, iż korytarz prowadzi do środka miasta. Baudolino zapytał:

– Szedłeś prosto, czy musiałeś skręcać?

– Prosto.

Na to Baudolino jakby sam do siebie:

– A więc wyjście jest kilkadziesiąt metrów od bramy. Ten sprzedawczyk mówił więc prawdę... – A potem zwrócił się do Brabantczyka: – Chyba zdajesz sobie sprawę, co odkryliśmy. Przy następnym szturmie wtargnie tędy do miasta oddział śmiałków, którzy przebiją się potem do bramy i otworzą ją. Wystarczy, że na zewnątrz inni będą czekali w pogotowiu. Los się do mnie uśmiechnął. Ale ty nie możesz pisnąć słówka o tym, coś tu widział, bo nie chcę, by ktoś inny skorzystał na moim odkryciu.

Zrobił minę człowieka hojnego i wcisnął tamtemu w dłoń monetę, a zapłata była tak śmieszna, że jak przypuszczał, szpieg pobiegł

natychmiast, by wyjawić wszystko Ditpoldowi – jeśli nie z wierności do grafa, to z pragnienia zemsty.

Nietrudno się domyślić, co stało się później. Myśląc, że Baudolino chce ukryć swą wiedzę o podkopie, żeby nie zaszkodzić obleganym przyjaciołom, Ditpold udał się do cesarza i oznajmił, że jego umiłowany syn odkrył przejście do miasta, lecz nie zamierza dzielić się tą wiadomością. Cesarz wzniósł wzrok do nieba, jakby chciał powiedzieć: jeszcze i ten głupiec mi donosi, a potem rzekł Ditpoldowi: no dobrze, czeka cię chwała, o zmierzchu ustawię pod bramą dobry zastęp szturmowy, przyszykuję koło krzaków parę oblężniczych onagrów i żółwi, byś nie rzucając się w oczy, czyli prawie już w nocnych ciemnościach, wszedł do podkopu, dotarł do miasta i otworzył od wewnątrz bramę, a z dnia na dzień staniesz się bohaterem.

Biskup Spiry zażądał natychmiast dowództwa nad żołnierzami czekającymi pod bramą, albowiem Ditpold – rzekł – jest dla niego, proszę sobie wyobrazić, jak syn.

Kiedy więc w Wielki Piątek po południu Trotti ujrzał, iż cesarscy czynią pod bramą jakieś przygotowania i nie ustają po zapadnięciu zmroku, zrozumiał zaraz, że chodzi tu o zamydlenie obleganym oczu i że musi być w tym ręka Baudolina. Omówiwszy więc sytuację tylko z Guaskiem, Boidim i Obertem z Foro, zadbał o wiarygodnego świętego Piotra i wybrał sobie jednego z gminnych konsulów, Rudolfa Nebię, który miał odpowiednie do tej roli oblicze. Stracili jednak pół godziny na rozważania, czy zjawa winna mieć w ręku krzyż, czy też sławetne klucze, aż w końcu stanęło na krzyżu, który jest lepiej widoczny w niepewnym świetle kończącego się dnia.

Baudolino zajął stanowisko nieopodal bramy. Był pewny, że nie dojdzie do bitwy, przedtem bowiem ktoś wybiegnie z podkopu z nowiną o pomocy, jaka nadeszła dla miasta z niebios. I rzeczywiście, ledwie minęły trzy zdrowaśki, zza murów doszedł jakiś zgiełk, z którego wzbił się nadludzki

krzyk: „Do broni, do broni, moi wierni aleksandryjczycy!”, a całkiem doczesne głosy odpowiedziały: „To święty Piotr, ach, cud nad cuda!”

W tym momencie coś jednak poszło niezgodnie z planem. Jak dowiedział się później Baudolino, Ditpold i jego ludzie zostali raz-dwa pojmani i trzymano ich, by zobaczyli, jak ukazuje się święty Piotr. Wszyscy by uwierzyli, gdyby nie Ditpold, który wiedział doskonale, od kogo pochodziły wieści o podkopie, i choć był głupi, nie na tyle jednak, by nie przyszła mu do głowy myśl, że Baudolino z niego zakpił. Wyrwał się swoim strażnikom i pomknął jakąś krętą uliczką, wrzeszcząc wniebogłosy, nikt więc nie rozumiał, jakim językiem się posługuje, i w niepewnym świetle wieczoru wszystkim wydało się, że to swojak. Kiedy jednak wdarł się na mury, nie ulegało już wątpliwości, że zwraca się do oblegających, by ostrzec ich przed pułapką – choć właściwie nie bardzo było wiadomo, o co mu chodzi, bo przecież skoro brama nie będzie otwarta, ci z zewnątrz nie dostaną się do miasta, nic więc im nie grozi. Mniejsza z tym, liczy się tylko to, że owemu Ditpoldowi, jak to bywa z głupcami, nie brakowało odwagi: stał na murach, wymachując mieczem i rzucając wyzwanie wszystkim aleksandryjczykom. Ci zaś – zgodnie z regułami sztuki oblężniczej – nie mogli znieść tego, że nieprzyjaciel wdarł się na mury – choćby i od wewnątrz; a nade wszystko tylko garstka z nich wiedziała o pułapce, inni zaś widzieli ni z tego, ni z owego Alemana, który stanął sobie na murach jak gdyby nigdy nic. Jeden z nich pomyślał, że dobrze będzie wbić mu pikę między łopatki, by w ten sposób pozbyć się go z bastionu.

Biskup Spiry, widząc, że jego umiłowany towarzysz wali się bez życia u stóp twierdzy, i odchodząc z bólu od zmysłów, dał rozkaz do szturmu. W zwykłej sytuacji aleksandryjczycy zachowaliby się jak zawsze i obsypali szturmujących pociskami z góry, ale kiedy ci ostatni podeszli pod bramę, rozeszła się wieść, że ukazał się święty Piotr, który ocalił miasto przed nieprzyjacielskim podstępem, a teraz zamierza poprowadzić zwycięską wycieczkę. Trotti pomyślał, że może wyciągnąć korzyść z tej pomyłki,

i posłał na czoło swojego fałszywego świętego Piotra, by pociągnął za sobą innych.

Jednym słowem, wymyślona przez Baudolina bajka, która miała zaćmić umysły oblegających, zaćmiła je obleganym: ogarnięci mistycznym szałem i bojowym uniesieniem aleksandryjczycy rzucili się niby dzikie zwierzęta na cesarskich, i to w sposób tak chaotyczny i sprzeczny z regułami sztuki wojennej, że biskup Spiry i jego rycerze, zbici z tropu, cofnęli się, wypychając do tyłu tych, którzy wlekli wieże z genueńskimi kusznikami, i cały ten sprzęt oblężniczy został porzucony na skraju fatalnych krzaków. Dla aleksandryjczyków było to jak zaproszenie do tańca: Anzelm Medyk popędził ze swoimi ludźmi do podkopu, który teraz okazał się naprawdę przydatny, i wyłonił się za plecami genueńczyków z grupą śmiałków uzbrojonych w drągi z kulami płonącej smoły na czubku. Ogień ogarnął wieże genueńczyków niczym suche polana. Kusznicy próbowali skakać na ziemię, tam jednak czekali już aleksandryjczycy, by połamać pałki na ich głowach. Jedna z wież pochyliła się, a potem runęła, niosąc płomienie w szeregi biskupie, wskutek czego konie się spłoszyły, wśród cesarskich panował coraz większy zamęt, a kto nie dosiadał konia, jeszcze ten zamęt powiększał, ponieważ biegał między konnym rycerstwem, wrzeszcząc, że nadciąga sam święty Piotr, a może nawet święty Paweł, jeden zaś zobaczył świętego Sebastiana i świętego Tarzycjusza – jednym słowem, cały chrześcijański olimp stanął po stronie znienawidzonego miasta.

Nocą do i tak pogrążonego w żałobie obozu cesarskiego ktoś przyniósł zwłoki biskupa Spiry, który podczas ucieczki zginął od ciosu w plecy. Fryderyk posłał po Baudolina i spytał go, co ma wspólnego z całą tą historią i co o niej wie, i Baudolino najchętniej zapadłby się pod ziemię, gdyż tego wieczoru poległo wielu dzielnych *milites*, w tym Anzelm Medyk z Piacenzy i waleczni miejscy strażnicy i biedni piechurzy, a wszystko przez jego wspaniały plan, który miał przecież zapewnić to, że nikomu włos z głowy nie spadnie. Rzucił się do stóp Fryderyka i wyznał mu całą prawdę:

że chciał jak najlepiej, że pragnął dać mu pretekst do przerwania oblężenia, ale wszystko ułożyło się tak, a nie inaczej.

– Jestem nędznikiem, ojcze – mówił – brzydzę się rozlewem krwi i chciałem mieć czyste ręce, oszczędzić życie wielu ludziom, a doprowadziłem do rzezi, będę miał na sumieniu wszystkich tych poległych.

– Przekleństwo na twoją głowę albo tych, którzy zniweczyli twój plan – odparł Fryderyk z większą żałością niźli gniewem – ten pretekst bowiem (nie mów jednak o tym nikomu) byłby bardzo dla mnie dogodny. Mam wieści z pierwszej ręki, że liga wyruszyła w pole, może już jutro będziemy musieli prowadzić walkę na dwa fronty. Twój święty Piotr przekonałby żołnierzy, lecz poległo zbyt wielu ludzi i moi baronowie żądają odwetu. Powiadają, że pora już dać nauczkę temu miastu, że wystarczyło spojrzeć na nich, kiedy wyszli poza mury: są chudsi od nas i ta wycieczka była ostatnim wysiłkiem, na jaki mogli się zdobyć.

Była Wielka Sobota. Zrobiło się ciepło, pola okryły się wdzięczną kwietną szatą, a drzewa radosną świeżością. I po jednej, i po drugiej stronie murów panował smutek jak na pogrzebie, wśród cesarskich, gdyż wszyscy mówili, że trzeba szturmować, lecz nikt nie miał na to ochoty, wśród aleksandryjczyków, gdyż po wysiłku, jakim była dla nich ostatnia wycieczka, duchem byli w siódmym niebie, ale obwisłe brzuchy chwiały się im koło kolan. I wtedy płodny umysł Baudolina znowu zaczął żwawo pracować.

Pojechał raz jeszcze pod mury i zobaczył zmarszczone brwi Trottiego, Guasca i innych wodzów. Oni także wiedzieli, że liga nadciąga, ale wiedzieli też, że poszczególne gminy były skłócone w kwestii dalszych posunięć i niepewne, czy powinny rzucić się naprawdę do ataku na Fryderyka.

– Ponieważ, a zechciej słuchać bacznie, panie Niketasie, albowiem chodzi o sprawę nader subtelną i być może Bizantyjczycy nie są dość subtelni, by ją zrozumieć, oto ponieważ bronić się, kiedy cesarz nas oblega, to jedno, a wydać mu bitwę z własnej chęci, to drugie. Jeśli ojciec złoi ci skórę paskiem, masz prawo wymachiwać rękami i próbować mu pasek wyrwać, gdyż tylko się bronisz, ale jeśli sam podniesiesz rękę na ojca, będzie to *parricidium*, a kiedy już ostatecznie uchybisz świętemu i rzymskiemu cesarzowi, co podtrzyma przymierze italskich gmin? Zrozum to, panie Niketasie, dopiero co rozbili w puch oddziały Fryderyka, lecz nadal uznawali go za swego jedynego pana, nie chcieli, by plątał się im pod nogami, biada jednak, gdyby go zabrakło: pozabijaliby się nawzajem, nie wiedząc już, dobro czynią czy zło, albowiem w ostatecznym rozrachunku kryterium dobra i zła był cesarz.

– W tej sytuacji najlepiej by było, gdyby Fryderyk odstąpił zaraz od oblegania Aleksandrii – rzekł Guasco – a zapewniam cię, że gminy pozwoliłyby mu przejść i dotrzeć do Pawii.

Co jednak zrobić, by mógł zachować pozory? Znak z nieba już wypróbowano, aleksandryjczycy mieli powody do zadowolenia, ale znaleźli się w punkcie wyjścia. Może pomysł ze świętym Piotrem był zbyt ambitny – zauważył Baudolino – a zresztą wizja czy zjawa, jak kto woli, pokazuje się, a potem już jej nie ma, tak że następnego dnia można jej zaprzeczyć. I właściwie dlaczego mamy zawracać głowę świętym? Przecież ci najemnicy nie wierzą nawet w Ojca niebieskiego, a jedyna ich wiara to pełny brzuch i ptaszek w pozycji bojowej...

– Powiedzmy – rzekł wówczas Gagliaudo, okazując tę mądrość, którą, jak wszyscy wiedzą, Bóg daje tylko ludowi – powiedzmy, że cesarscy chwytają jedną z naszych krów, która będzie miała brzuch tak wypełniony ziarnem, że zaraz pęknie. Wtedy Barbarossa i jego ludzie pomyślą, że mamy jadła w bród i możemy się bronić *in sculasculorum*, a wtedy wielcy

panowie i żołnierze zawołają: odejdźmy stąd, bo utkwimy tu do przyszłej Wielkiej Nocy...

– Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś wpadł na głupszy pomysł – odrzekł Guasco, a Trotti przyznał mu rację, pukając się w dodatku w czoło, jakby dawał do zrozumienia, że stary ma nie po kolei w głowie.

– Gdybyśmy mieli tu jeszcze żywą krowę, dawno zjedlibyśmy ją na surowo – dodał Boidi.

– Myśl wydaje mi się całkiem do rzeczy, i wcale nie dlatego, że podsuwa ją mój ojciec – rzekł na to Baudolino. – Może już zapomnieliście, ale została wam krowa, i jest to Rosina Gagliauda. Kłopot tylko w tym, czy w całym mieście znajdziecie dość paszy, by brzuch jej pękał z obżarcia.

– Kłopot jest w tym, że nie dam ci bydlęcia, bydlaku – rzucił się w jego stronę Gagliaudo – bo jasne chyba, że jeśli cesarscy mają się dowiedzieć, że jest pełna ziarna, muszą wypruć jej flaki, a nie zabiliśmy naszej Rosiny właśnie dlatego, że dla mnie i dla twojej matki jest jak córka dana od Boga, nikt więc jej nie tknie nawet palcem, prędzej poślę do rzeźni ciebie, boś nie był w domu przez trzydzieści lat, ona zaś zawsze była i nigdy nie miała fiubździu w głowie.

Ledwie Gagliaudo stanął okoniem, Gausco i inni, choć przed chwilą uważali, że pomysł godny jest najgorszego durnia, od razu się doń przekonali, uznali za najlepszy z możliwych i zaczęli namawiać starca, by poświęcił krowę, chodzi bowiem o losy całego miasta, i na nic zda się tu Baudolino, bo wyprucie mu flaków nikogo o niczym nie przekona, natomiast wyprucie flaków krowie może skłonić Barbarossę do odstąpienia. Co się zaś tyczy ziarna, nie ma go wprawdzie w nadmiarze, jeśli się jednak poskrobie tu i tam, znajdzie się dość, żeby nasycić Rosinę, i nie ma co rozdzielać w tej kwestii włosa na czworo, nikt nie będzie wiedział, ziarno czy otręby, dość że brzuch jest pełny, i nie warto nawet wybierać piekarnianych karaluchów czy karaczanów, jak kto woli, bo w czas wojenny z nich też wypieka się chleb.

– Daj pokój, Baudolino – rzekł Niketas – nie chcesz mi chyba wmówić, że wzięliście poważnie taką błazenadę.

– Nie tylko my wzięliśmy ją poważnie, ale, jak sam zobaczysz, wziął ją poważnie także cesarz.

Odbyło się to tak. Koło godziny trzeciej w tę Wielką Sobotę wszyscy aleksandryjscy konsulowie i ludzie znaczniejsi zgromadzili się pod portykiem, gdzie spoczywała niewyobrażalnie wynędzniała, wychudzona i wyliniała krowa, której nogi były jak patyki, wymiona jak obwisłe uszy, uszy jak brodawki, spojrzenie omdlałe, rogi zwiotczałe, z reszty zaś pozostała skóra i kości, i bardziej przypominała bydlęcego upiora niźli bydlę, krowa z tańca śmierci, trzymająca się życia pod tkliwą opieką matki Baudolina, która głaskała zwierzę po głowie i mówiła, że właściwie tak będzie lepiej, bo przestanie cierpieć, i to po porządnej wyżerce, więc właściciele mogą jej tylko pozazdrościć.

Ciągle przynoszono worki z ziarnem na mąkę i zasiew; bez różnicy, i Gagliaudo podsypywał tę paszę pod bydlęcy pysk, zachęcając krowinę do jedzenia. Lecz ta patrzyła teraz na świat z jakimś żałosnym chłodem i nie pamiętała nawet, co to takiego przeżuwanie. W końcu więc jedni z ochotników trzymali ją mocno za nogi, inni za łeb, a jeszcze inni otwierali jej na siłę pysk i choć krowa na znak protestu wydawała z siebie słabe muczenia, oni wpychali bydlęciu ziarno do gardła, jakby było gęsią. Potem zaś albo powrócił jej instynkt życia, albo ożywiło ją wspomnienie lepszych czasów i zaczęła mieszać w pysku jęzorem cały ten dar boży i częściowo z własnej woli, a częściowo dzięki pomocy obecnych jęła przełykać.

Nie był to radosny posiłek i nie raz, nie dwa wszyscy myśleli już, że Rosina odda zaraz swą bydlęcą duszę Bogu, żarła bowiem, jakby rodziła: co chwila wydając z siebie żałosne muczenie. Po jakimś czasie siły życiowe wzięły górę, krowina dźwignęła się na nogi i dalej już żarła samodzielnie,

zanurzając pysk prosto w workach, które jej podsuwano. Na koniec wszyscy zobaczyli nader osobliwe stworzenie: wycieńczoną i melancholijną krowinę o kościach grzbietu widocznych i sterczących, jakby chciały przebić skórę, w której były uwięzione, ale o brzuchu obfitym, krągłym, wydętym i napiętym, jakby miała urodzić dziesięć cielątek.

– Nic z tego, nic z tego – potrząsał głową Boidi, patrząc na ten smętny cud. – Pierwszy lepszy głupiec zauważy, że ta krowa wcale nie jest tłusta, że to sama skóra, do której czegoś napchano.

– A nawet gdyby uwierzyli, że jest tłusta – dodał Guasco – czyżby nie zdumiała ich myśl, że właściciel wyprowadza ją na pastwisko, choć grozi mu utrata żywota i własności?

– Przyjaciele – powiedział Baudolino – nie zapominajcie, że ci, którzy ją znajdą, są bardzo głodni i nie będą się przyglądać, gdzie jest gruba, a gdzie chuda.

Miał rację. Kiedy nadchodziła pora nony, Gagliaudo wychynął nieco poza bramę, na łąkę leżącą nie dalej jak pół mili od murów, i zaraz z zagajnika wyszła zgraja Czechów, którzy pewnie wybrali się na ptaki, jakby w tej okolicy pozostała jeszcze żywa jakaś ptaszyna. Zobaczyli krowę i nie mogli uwierzyć własnym wygłodzonym oczom; rzucili się na Gagliauda, który od razu podniósł wysoko ręce, i zawlekli go wraz ze zwierzęciem do obozu. W okamgnieniu zebrała się wokół nich ciżba wojowników o zapadłych policzkach i wytrzeszczonych oczach i Rosina straciła natychmiast życie z ręki pewnego komijczyka, który znał zapewne swój zawód, bo zrobił, co należało, jednym ruchem ręki; i tak to Rosina w jednej chwili była żywa, w następnej zaś już nie. Gagliaudo przelewał najprawdziwsze łzy, nikt więc nie dopatrzył się w całym wydarzeniu niczego podejrzanego.

Kiedy rozpłatali zwierzę i ukazał się ich oczom żołądek, stało się to, co stać się musiało: wszystko, co Rosina zżarła, sypnęło się gwałtownie, jakby

wcale nie przetrawione, i ujrzano, że jest to czyste ziarno. Zdumienie wzięło górę nad apetytem, a w każdym razie głód nie odebrał tym zbrojnym ludziom zdolności do wyciągania prostych wniosków: to, że w oblężonym mieście byle krowa może tak się obżerać, jest sprzeczne z wszelkimi prawami – boskimi i ludzkimi. Wśród żarłocznych żołdaków znalazł się jeden, który potrafił zapanować nad odruchami, i uznał, że o tym cudzie należy zawiadomić przełożonych. Jednym słowem, wiadomość dotarta do cesarza, którego nie odstępował Baudolino – z pozoru obojętny, lecz czekający w napięciu i z drżeniem na to, co się stanie.

Zwłoki Rosiny, płótno, na które zebrano rozsypane ziarno, i Gagliauda w okowach dostarczono przed oblicze Fryderyka. Rozpłatana na dwoje krowa nie wyglądała już ani na tłustą, ani na chudą, i wzrok przykuwało tylko to, co znajdowało się w jej żołądku i poza nim.

Fryderyk nie zlekceważył tego znaku i od razu zapytał wieśniaka:

– Kim jesteś, skąd przybywasz i czyja jest ta krowa?

A Gagliaudo, choć nie zrozumiał ani słowa, odpowiedział czystym dialektem paleańskim, że nie wie, nie było go tam, nie ma z tym nic wspólnego, przechodził przypadkiem i pierwszy raz widzi tę krowę, a nawet nie wiedziałbym, że to krowa, gdybyś mi tego nie powiedział.

Oczywiście Fryderyk też nic nie zrozumiał, zwrócił się więc do Baudolina:

– Powiedz, co on gada, znasz przecież ten język godny bydląt.

Wymiana paru zdań między Baudolinem i Gagliaudem, a potem przekład:

– Mówi, że nie wie nic o krowie, że bogaty mieszkaniec Aleksandrii polecił mu zaprowadzić ją na pastwisko, i to wszystko.

– No tak, ale ta krowa jest wypełniona ziarnem, spytajże więc, jak to możliwe.

– Powiedział, że każda krowa, kiedy się nażre i jeszcze nie strawi, jest pełna tego, co zeżarła.

– Wyjaśnij mu, że lepiej dla niego, by nie udawał matołka, bo gotów jestem powiesić go na najbliższej gałęzi! Czyżby w tej zbójeckiej mieścinie nadal karmili krowy ziarnem?

Na to Gagliaudo:

– *Per mancansa d'fen e per mancansa d'paja, a mantenuma er bestii con dra granja... E d'iarbion.*

Baudolino przetłumaczył:

– Mówi, że nie, że tylko teraz, kiedy nie ma siana przez to oblężenie. A poza tym nie tylko ziarnem, ale także suchymi *arbioni*.

– *Arbioni*?

– *Erbse*, *pisa*, groch.

– A niech to diabli, rzucę go na żer moim sokołom albo psom, by go rozszarpały na strzępy! Co to niby znaczy, że brakuje siana, a jest pod dostatkiem ziarna i grochu?

– Powiada, że w mieście zabito wszystkie krowy z pobliskich wsi, więc polędwicy starczy im do końca świata, ale krowy zeżarły przedtem całe siano, że kiedy ludzie mają mięso, nie chcą jeść chleba, a co dopiero grochu, i dlatego część nagromadzonego ziarna dają krowom, mówi też, że nie mają tak dobrze jak my, muszą radzić sobie, jak się da, bo są biedni i żyją zamknięci za murami. I że dlatego kazano mu wyprowadzić krowę, żeby popasła się trochę trawą, bo samo ziarno jej nie służy i dostaje od niego tasiemca, który nazywają tutaj kręćkiem.

– Powiedz no, Baudolino, wierzysz temu, co gada ten bałwan?

– Ja tłumaczę tylko jego słowa, o ile jednak pamiętam z dzieciństwa, krowy nie przepadają chyba za ziarnem, ale ta była nim wypełniona, nie możemy przeczyć temu, co widzą nasze oczy.

Fryderyk pogładził się po brodzie, zacisnął powieki, a potem przyjrzał się bacznie Gagliaudowi.

– Baudolino – rzekł wreszcie – mam wrażenie, że gdzieś już tego człeka widziałem, ale bardzo, bardzo dawno temu. Znasz go?

– Ojcze mój, ja znam trochę wszystkich tutejszych. Teraz jednak nie czas, by wypytywać mnie, kim jest ten człek, lecz czy prawdą jest, że mają w mieście te wszystkie krowy i całe to ziarno. Jeśli bowiem mam być szczery, być może chcą cię zwieść i nafaszerowali ostatnią krowę ostatnim ziarnem.

– Trafna uwaga, Baudolinie. Nie przyszło mi to do głowy.

– Święty Mości Cesarzu – wtrącił się w tym miejscu graf Monferratu – nie przypisujmy tym wieśniakom nadmiernej przebiegłości. Mamy przed sobą wyraźne, jak mniemam, świadectwo, że miasto jest lepiej zaopatrzone, niż myśleliśmy.

– Tak, och, tak – potwierdzili jednym głosem pozostali panowie, a Baudolino pomyślał, że nigdy nie widział w jednym miejscu tylu ludzi złej wiary, przy czym każdy dostrzegał jasno złą wiarę innych. Tak czy inaczej, nie ulegało wątpliwości, że mieli już dość oblężenia.

– Tak sądzę i ja, jeślibym już miał sądzić – rzekł dyplomatycznie Fryderyk. – Wojska nieprzyjacielskie naciskają od tyłu. Jeśli zdobędziemy to całe Roboreto, nie oznacza to zgoła, że unikniemy starcia z drugą armią. Nie możemy też po zdobyciu miasta zamknąć się w jego murach, są bowiem tak marne, że urągałoby to naszej godności. Dlatego, dostojni panowie, oto nasze postanowienie: pozostawimy tę nędzną mieścinę nędznym pastuchom i przygotujemy się do innej bitwy. Wydajcie, proszę, stosowne rozkazy. – Potem zaś, wychodząc z monarszego namiotu, zwrócił się do Baudolina: – Odeślij tego starca do domu. To z pewnością łgarz jakich mało, gdybym jednak miał powywieszać wszystkich kłamców, ciebie już dawno nie byłoby na tym świecie.

– Zmykaj do domu, ojcze, bo udało ci się – syknął przez zęby Baudolino, uwalniając Gagliauda z okowów – i powiedz Trottiemu, żeby wieczorem czekał na zwykłym miejscu.

Fryderyk przystąpił czym prędzej do działania. Nie trzeba było zwijać obozu, bo została z niego kupa gratów. Ustawił więc ludzi w kolumnę marszową i kazał wszystko podpalić. O północy awangarda armii maszerowała już w stronę pól Marengo. Gdzieś w tle, u stóp wzgórz tortońskich, migotały ognie: tam czekała armia ligi.

Baudolino poprosił cesarza o pozwolenie i oddalił się konno w stronę Sale, by spotkać się na rozstajach dróg z Trottim i dwoma konsulami kremońskimi. Przebyli razem jakąś milę i dotarli do przednich straży ligi. Trotti przedstawił Baudolina dwóm naczelnikom armii gmin, a byli to Ezzelino z Romano i Anzelm z Dovary. Po odbyciu krótkiej narady przypieczętowali ugodę uściskiem dłoni. Baudolino objął ramieniem Trottiego (było wspaniale, dziękuję, nie, to ja dziękuję tobie) i wrócił do Fryderyka, który czekał na skraju polany.

– Wszystko ułożone, ojcze. Nie zaatakują. Nie chcą i nie śmią. Podczas naszego przemarszu pozdrowią cię jako swojego pana.

– Do następnego starcia – burknął Fryderyk. – Ale wojsko jest zmęczone, najpierw więc zakwaterujemy je w Pawii, a potem się zobaczy. Ruszamy.

Były to pierwsze godziny Wielkiej Niedzieli. Gdyby Fryderyk zechciał się odwrócić, ujrzałby w oddali mury Aleksandrii oświetlone wzbijającymi się wysoko płomieniami. Odwrócił się natomiast i ujrzał je Baudolino. Wiedział, że wiele z tych ogni to płonące machiny wojenne i kwatery cesarskich, ale wolał wyobrazić sobie, że aleksandryjczycy tańczą i śpiewają, by uczcić swą wiktorię i nadejście pokoju.

Milę dalej natknęli się na przednie straże ligi. Chorągiew rycerstwa rozwinęła się i utworzyła dwa jakby skrzydła, między którymi przemaszerowali cesarscy. Jak zwykle w takich razach nie było zbyt

dokładnie wiadomo, czy chodzi o oddanie honorów, czy o zrobienie przejścia. Ktoś z ligi podniósł broń, co można było uznać za wojskowe pozdrowienie. A może był to gest bezsiły i groźby. Rozgniewany cesarz udał, że tego nie widzi.

– Bo ja wiem – powiedział – mam uczucie, że uciekam, a oni oddają mi honory. Czy dobrze czynię, Baudolino?

– Dobrze, ojcze. Ustępujesz tyle samo co oni. Nie chcą cię atakować w polu, bo cię szanują. A ty powinieneś być za ten szacunek wdzięczny.

– To ich powinność! – powiedział z uporem Barbarossa.

– Jeżeli uważasz, że są ci go winni, cieszę się, że go okazują. Na co się skarżysz?

– Na nic, na nic, masz jak zwykle rację.

Przed świtem ujrzeli na odległej równinie i na pierwszych wzgórzach główne siły nieprzyjacielskiej armii. Wszystko tonęło w dość rzadkiej mgiełce i znowu nie było wiadomo, czy tamci oddalają się od armii cesarskiej przez ostrożność, czy ją otaczają, czy też groźnie napierają. Ludzie ligi przemieszczali się niewielkimi grupkami, czasem towarzyszyli jakiś czas przemarszowi cesarskich, czasem zajmowali stanowisko na jakimś wzniesieniu i przyglądali się, czasem zaś robili wrażenie, jakby uciekali. Panowała grobowa cisza zakłócana tylko tętentem koni i stukotem żołdackich butów. Od czasu do czasu widać było w bladym porannym świetle wąskie pasemka dymu wzbijające się od wzgórza do wzgórza, jakby jedna grupka dawała drugiej znaki ze szczytu ukrytej wśród zieleni wieży.

Tym razem Fryderyk postanowił zinterpretować ten niebezpieczny przemarsz na swoją korzyść: kazał podnieść sztandary i oriflamy i armia maszerowała, jakby był cesarzem Augustem, który właśnie ujarzmił jakichś barbarzyńców. Tak czy inaczej, był to przemarsz godny ojca wszystkich tych buntowniczych miast, które tej nocy mogły go unicestwić.

Kiedy znaleźli się na drodze do Pawii, wezwał do siebie Baudolina.

– Szelma z ciebie. Jak zawsze – powiedział. – Ale w gruncie rzeczy potrzebowałem jakiegoś pretekstu, żeby wyjść z tego bagna. Wybaczam ci.

– Co mi wybaczasz, ojcze?

– Już ja wiem. Nie myśl jednak, że wybaczyłem temu miastu bez imienia.

– Ma swoje imię.

– Nie ma, gdyż nie ja je nadałem. Prędzej czy później będę musiał je zniszczyć.

– Później.

– Tak, później. I myślę, że nim do tego dojdzie, znowu coś wymyślisz. Powinienem był wiedzieć o tym tego wieczoru, kiedy sprowadziłem pod swój dach łotra. Aha, przypomniałem sobie, gdzie widziałem tamtego wieśniaka od krowy!

W tym momencie koń Baudolina musiał się spłoszyć, bo jeździec ściągnął lejce i został z tyłu. Wskutek tego Fryderyk nie mógł mu wyjawić, co sobie przypomniał.

15

Baudolino w bitwie pod Legnano

Odstąpiwszy od oblężenia, Fryderyk w pierwszej chwili poczuł ulgę i wycofał się do Pawii, ale przemogło wkrótce niezadowolenie. Nie był to dobry rok. W Germanii kłopoty sprawiał mu kuzyn Henryk Lew, włoskie miasta ciągle się buntowały i zachowywały jakby nigdy nic, kiedy oświadczał, że zrówna Aleksandrię z ziemią. Miał teraz mało wojska, posiłki najpierw nie nadciągały, a kiedy wreszcie nadciągnęły, okazało się, że są niewystarczające.

Baudolino czuł się trochę winny w sprawie konceptu z krową. Wprawdzie nie wyprowadził w pole cesarza, który po prostu przystał na grę, ale teraz obaj czuli zakłopotanie, kiedy patrzyli sobie w oczy – jak dwoje dzieci, które zrobiły psikusa, a potem się tego wstydzą. Baudolina rozczulało to prawie dziecięce zakłopotanie Fryderyka, który zaczynał już siwieć; najpierw swój lwi blask straciła jego piękna lwia broda koloru miedzi.

Baudolino coraz bardziej miłował tego ojca, który szedł wytrwale za swoim imperialnym marzeniem, nie zważając na to, że coraz bardziej nabrzmiewa groźba utraty własnych ziem po drugiej stronie Alp – byleby zachować władzę nad wymykającą mu się z rąk to tu, to tam Italią. Pewnego razu przyszło Baudolinowi do głowy, że w obecnym położeniu Fryderyka list od księdza Jana pozwoli mu być może wydobyć się z lombardzkich bagien tak, by nie wyglądało to na rezygnację z czegokolwiek. Krótko mówiąc, list od księdza miał być czymś w rodzaju

krowy Gagliauda. Wspomniał więc o nim, lecz cesarz był akurat w złym humorze i oznajmił, że ma na głowie poważniejsze sprawy niż starcze rojenia świętej pamięci Ottona, swego stryjca. Potem zaś powierzył mu jakąś misję, która wiązała się z wędrowaniem przez okrągły rok to na jedną, to na drugą stronę Alp.

Pod koniec maja roku pańskiego 1176 Baudolino dowiedział się, że Fryderyk przebywa w Como, i chciał do niego w tym mieście dołączyć. Po drodze doszła go wieść, że cesarska armia maszeruje na Pawię, skręcił więc na południe, żeby spotkać się z nią w połowie drogi.

Spotkali się nad Oloną, nieopodal twierdzy Legnano, gdzie kilka godzin wcześniej armie cesarza i ligi natknęły się na siebie przypadkiem, żadna bowiem nie miała zamiaru wydawać bitwy. Doszło jednak do starcia, gdyż w tej sytuacji wymagał tego honor.

Ledwie Baudolino dotarł do granic obozu, zobaczył piechura, który biegł ku niemu z długą piką w ręku. Spiął więc konia ostrogami w nadziei, że uda mu się przestraszyć i powalić żołnierza. Ten rzeczywiście wpadł w przerażenie i runął na wznak, wypuszczając z dłoni swój oręż. Baudolino zsiadł z konia i chwycił pikę; żołnierz wrzasnął, że zaraz go zabije, zerwał się na równe nogi i sięgnął po tkwiący za pasem sztylet. Wrzeszczał jednak w dialekcie lodijskim. Baudolino, który przywykł do tego, że lodijczycy są po stronie cesarskiej, trzymając tamtego na odległość za pomocą piki, pomyślał bowiem, iż ma do czynienia z jakimś opętańcem, zakrzyknął: „Co robisz, szczylu jeden, ja też stoję przy cesarzu!” Na to żołnierz: „I dlatego cię zabiję!” Wtedy Baudolino przypomniał sobie, że Lodi jest teraz po stronie ligi, i sam sobie zadał pytanie: „Co robić, mamli go zabić dzięki temu, że pika jest dłuższa niż sztylet? Przecież nigdy nikogo nie zabiłem!”

Wsunął mu pikę między nogi i szarpnął w bok, wskutek czego tamten runął jak długi, a następnie przyłożył lodijczykowi grot do gardła.

– Nie zabijaj mnie, *dominus*, bo mam siódemkę dzieci i kiedy mnie zbraknie, pomrą jutro z głodu! – zakrzyknął lodijczyk. – Wypuść mnie, bo

nie zaszkodzę wiele twoim, sam przecież widzisz, że nietrudno mnie obezwładnić, jestem niezguła!

– Żeś niezguła, to widać z odległości dnia marszu, ale jeśli pozwolę, byś kręcił się tu z jakimś orężem w dłoni, możesz zrobić co złego. Zrzucaj portki!

– Portki?

– A jakże, daruję ci życie, ale będziesz chodził po świecie, wietrząc sobie jaja. Chciałbym zobaczyć potem, jak stajesz w wojennej potrzebie! Chyba będziesz wolał pobiec co sił w nogach do siódemki głodujących dzieci!

Nieprzyjaciel zrzucił portki i przeskakując murki, umknął przez pola – nie tyle ze wstydu, ile lękając się, że jakiś rycerz z wrogiego obozu ujrzy go od tyłu, pomyśli, że chce okazać mu pogardę, wystawiając na widok pośladki, i każe wbić go na pal, jak czynią Turcy.

Baudolino był zadowolony, że nie musiał nikogo zabijać, ale ni z tego, ni z owego zobaczył galopującego ku niemu jeźdźca, który miał na sobie francuskie szaty, nie mógł więc być Lombardczykiem. Postanowił drogo sprzedać swą skórę i dobył miecza. Jeździec minął go bokiem, wykrzykując: „Co czynisz, szaleńcze, widzisz wszak, że pokazaliśmy dzisiaj wam, cesarskim, gdzie wasze miejsce, lepiej więc wracaj do domu!” I pomknął dalej, nie szukając zwady.

Baudolino dosiadł swego wierzchowca i zaczął rozważać, dokąd ma właściwie się udać, nic bowiem z tej bitwy nie rozumiał, jako że dotąd oglądał tylko oblężenia, a podczas oblężenia widać jak na dłoni, kto jest po której stronie.

Objechał kępę drzew i pośrodku równiny zobaczył coś, czego nie widział nigdy w życiu: ogromny, pomalowany na biało i czerwono odkryty wóz z wysokim, osadzonym pośrodku masztem, a wokół jakby ołtarza – zbrojnych z trąbami długimi jak trąby anielskie, które miały, być może, zachęcać do walki; Baudolino aż wykrzyknął, jak zwykło się wykrzykiwać

w jego rodzinnych stronach: „Och, dość już tego!” W pewnej chwili przyszło mu do głowy, że natknął się na księdza Jana, a przynajmniej na Sarandiba, ten bowiem ruszał ze swoimi do boju wozem ciągniętym przez słonie, lecz do wozu, który miał przed oczami, zaprzęgnięto po prostu woły – aczkolwiek przystrojone po pańsku – a wokół wozu nie było nikogo, kto by walczył. Ci od trąb co jakiś czas wydawali z instrumentów ostry dźwięk, a potem milkli, nie wiedząc, co dalej. Któryś z nich wskazał palcem nad rzekę, gdzie skłębieni ludzie zmagali się między sobą, wrzeszcząc tak, że martwi powstaliby z grobów, ktoś inny próbował poprowadzić w tamtą stronę woły, te jednak, z samej natury wszak niechętne do pracy, ani myślały mieszać się do tego rozgardiaszu.

„Co robić? – zadawał sobie pytanie Baudolino. – Rzucić się między tych wartogłowów, choć póki się nie odezwą, nie będę wiedział, kto po czyjej jest stronie? I żeby jeszcze zabili mnie, kiedy będę czekał, aż który da głos?”

Kiedy tak medytował, zobaczył następnego jeźdźca i rozpoznał w nim cesarskiego dworaka.

Ten też go rozpoznał i zakrzyknął:

– Baudolinie, straciliśmy cesarza!

– Jezu Chryste, co to znaczy, że go straciliście?

– Ktoś widział, jak walczył niby lew w środku zgrai piechurów, którzy pędzili jego konia w stronę tamtego lasku w głębi, aż na koniec wszyscy zniknęli między drzewami. Rzuciliśmy się w tamtą stronę, ale w lasku nie było już nikogo. Chyba próbował uciec, pewne jednak, że nie wrócił do głównych sił naszego rycerstwa...

– A gdzie są główne siły naszego rycerstwa?

– Bieda nie tylko w tym, że cesarz nie dołączył do głównych sił naszego rycerstwa, ale i w tym, że tych sił już nie ma. To była rzeź, co za przeklęty dzień! Na początku Fryderyk rzucił się ze swoimi rycerzami na

nieprzyjaciół, którzy wyglądali jak infanteryja i tłoczyli się wokół tego katafalku. Ale infanteryja broniła się dzielnie i nagle pojawiło się lombardzkie rycerstwo, tak że nasi byli wzięci w dwa ognie.

– Jednym słowem, straciliście cesarza świętego cesarstwa rzymskiego! I mówisz to tak lekko, na rany boskie!

– Wyglądasz, jakbyś dopiero co tu przybył i nie wiedział, co tu przeszliśmy! Ktoś twierdzi nawet, że widział, jak cesarz spada z konia, który pociągnął go, gdyż cesarska noga zaplątała się w strzemię!

– Ale co teraz robią nasi?

– Zmykają, spójrz tam, rozpraszają się między drzewami, rzucają się do rzeki, szerzy się pogłoska o śmierci cesarza i każdy robi, co może, byleby dotrzeć jakoś do Pawii.

– O nędznicy! I nikt nie szuka już naszego pana?

– Zapada mrok, ci, którzy jeszcze walczyli, teraz dają sobie pokój, jak chcesz znaleźć kogoś pośród tego wszystkiego? I Bóg jeden wie, gdzie szukać!

– O nędznicy! – powtórzył Baudolino, który nie był mężem wojennym, ale nie brakowało mu odwagi.

Spiął konia ostrogami i z dobytym mieczem popędził tam, gdzie spoczywało na ziemi najwięcej rycerzy, wzywając głośno swego umiłowanego przybranego ojca. Szukanie poległego na tej pokrytej trupami równinie – gdy w dodatku wywrzaskiwał, by dał znak życia – było przedsięwzięciem nader desperackim, także ostatnie mijane oddziały lombardzkie dawały mu wolną drogę, biorąc go za jakiegoś świętego, który przybył z raju, by ich wesprzeć, i pozdrawiały go radośnie gestem ręki.

W miejscu, gdzie bitwa najbardziej się srożyła, Baudolino zaczął odwracać trupy leżące twarzą do ziemi, ciągle z nadzieją, ale i ze strachem, że w mdłym świetle zmierzchu zobaczy drogie rysy twarzy swego monarchy. Łzy płynęły mu z oczu, szedł więc po omacku, a kiedy wreszcie

wyszedł z jakiegoś zagajnika, wpadł prosto na wielki wóz, który woły wyciągały powolutku z pola bitwy. „Widzieliście cesarza?!” – wykrzyknął przez łzy, tracił już bowiem rozeznanie i wyzbył się przezorności. Tamci wybuchnęli śmiechem i odrzekli: „Pewnie, tam w krzakach, chędożył twoją siostrę”, a jeden z nich dmuchnął w trąbę tak, by dobyło się z niej sprośne burczenie.

Powiedzieli mu byle co, ale Baudolino i tak poszedł rozejrzeć się w krzakach. Zobaczył niewielki stos trupów, trzy leżące twarzami do ziemi, jeden na wznak. Usunął trzy zwrócone do góry plecami i pod spodem zobaczył Fryderyka z czerwoną, lecz od krwi, brodą. Od razu spostrzegł, że cesarz żyje, bo z półprzymkniętych ust dobywało się cichutkie rzężenie. Na górnej wardze była nadal krwawiąca rana, na czole zaś wielki siniak sięgający aż do lewego oka, a w obu dłoniach Fryderyk zaciskał sztylety jak ktoś, kto zanim stracił przytomność, zdołał jeszcze przeszyć nimi trzech nędzników, którzy rzucili się, by go dobić.

Baudolino uniósł mu głowę, otarł twarz i zaczął go przyzywać, a wtedy Fryderyk otworzył oczy i spytał, gdzie jest. Baudolino obmacał go, by sprawdzić, czy ma jeszcze jakieś rany. Kiedy dotknął nogi cesarza, ten dobył z siebie jęk; być może rzeczywiście koń wlókł go jakiś czas po ziemi i skręcił mu kostkę. Fryderyk ciągle dopytywał się, gdzie jest, Baudolino nie przestawał do niego mówić, aż wreszcie cesarz go rozpoznał i zarzucił mu ramiona na szyję.

– Panie mój i ojcze – rzekł Baudolino – wsiądziesz teraz na mego konia, ale staraj się nie męczyć. Choć jest już ciemno, musimy zachować ostrożność, bo wszędzie dokoła są oddziały ligi i cała nasza nadzieja w tym, że hulają teraz w jakiejś wiosce, zważywszy, że, bez niczyjej obrazy, wygląda mi na to, iż zwyciężyli. Ten i ów mógł się jednak zapuścić tutaj w poszukiwaniu swoich poległych. Musimy zdążać lasami i parowami, unikać dróg i dotrzeć do Pawii, gdzie schronili się twoi. Możesz sobie spać na koniu, będę baczył, byś nie spadł.

– A kto będzie baczył, byś ty nie zasnął? – spytał Fryderyk, uśmiechając się z wysiłkiem. – Nie mogę się śmiać, bo sprawia mi to ból.

– Widzę, że już jest z tobą lepiej.

Wędrowali całą noc, potykali się w ciemnościach o korzenie i niskie krzaki, i raz tylko widzieli w oddali ognie, które obeszli wielkim łukiem. Baudolino, żeby nie zasnąć, cały czas mówił, a Fryderyk nie zasypiał, żeby Baudolino nie zasnął.

– To koniec, nie zniosę hańby tej klęski – rzekł w pewnym momencie Fryderyk.

– To zwykła potyczka, ojcze mój. Zresztą wszyscy myślą, że nie żyjesz, a ty pokażesz się znowu niby wskrzeszony Łazarz i wtedy to, co wydawało się klęską, zmieni się w taki cud, że rozlegnie się jedno potężne *Te Deum*.

Prawdę mówiąc, Baudolino chciał po prostu pocieszyć rannego i upokorzonego starca. Tego dnia prestiż cesarstwa, a także *rex et sacerdos*, doznali szwanku. Chyba że Fryderyk wróci na scenę w aureoli nowej chwały. Baudolina musiała w tej sytuacji nawiedzić myśl o wróżbach Ottona i o liście księdza.

– Nie ulega wątpliwości, ojcze mój, że z tych wydarzeń winieneś wyciągnąć jeden wniosek – rzekł.

– O czymże chcesz mnie pouczyć, uczony mężu?

– Nie ja, Boże broń, lecz niebiosa. Winieneś wziąć sobie do serca to, co mówił biskup Otton. W Italii im dalej idziesz, tym bardziej grzęźniesz, nie można być cesarzem tam, gdzie jest już papież, z tymi miastami zawsze będziesz przegrywał, chcesz je bowiem przywołać do porządku, który jest rzeczą sztuczną, one zaś chcą żyć w nieporządku, który jest podług natury, czyli, jak powiedzieliby paryscy filozofowie, jest warunkiem *hyle*, pierwotnego chaosu. Musisz obrócić spojrzenie na wschód, sięgnąć wzrokiem dalej niż do Bizancjum, ponieść sztandary twego cesarstwa do ziem chrześcijańskich, które leżą za królestwami niewiernych, połączyć się

z jedynym i prawdziwym *rex et sacerdos*, który panuje tam od czasu magów. Dopiero kiedy zawrzesz z nim przymierze albo on przysięgnie ci posłuszeństwo, będziesz mógł wrócić do Rzymu i potraktować papieża jak swego najniższego sługę, a królów Francji i Anglii jak swych stajennych. Dopiero wtedy twoi dzisiejsi zwycięzcy poczują przed tobą lęk.

Fryderyk prawie już zapomniał, co wieścił Otton, Baudolino musiał mu więc to przypomnieć.

– Znowu ten ksiądz? – zdziwił się. – Czy aby istnieje? I gdzie przebywa? I jak mam poprowadzić armię na jego poszukiwanie? Stanę się Fryderykiem Szalonym i tak będę zapamiętany na wieki.

– Bynajmniej, pod warunkiem jednak, że w kancelariach wszystkich chrześcijańskich monarchii, także Bizancjum, pojawi się list napisany do ciebie, i tylko do ciebie, przez owego księdza Jana, który uzna cię za równego sobie i zaprosi do połączenia waszych królestw.

I Baudolino, który znał już list księdza Jana prawie na pamięć, zaczął go recytować w ciemności, wyjaśniając, czym jest najcenniejsza na świecie relikwia przysłana w szkatule przez księdza.

– Ale gdzie ten list? Masz jego kopię? A możeś sam go napisał?

– Ja tylko zapisałem go w dobrej łacinie, połączyłem rozproszone człony spraw, które mędrcy znają i głoszą, tyle że nikt ich nie chce słuchać. Lecz wszystko, o czym mówi list, jest prawdziwe jak Ewangelia. Powiedzmy to tak: ja wpisałem jeno adres, jakby ten list wysłano do ciebie.

– I ten ksiądz mógłby dać mi ten, jak go zwiesz, alis, w który zebrano krew naszego Pana? Zaiste, byłoby to ostateczne i doskonałe namaszczenie... – szepnął Fryderyk.

Tak to owej nocy rozstrzygnął się los nie tylko Baudolina, lecz również cesarza – choć żaden z nich nie miał jeszcze pojęcia, co ściąga na swą głowę.

Kiedy nad ranem nadal jeszcze snuli fantazje o odległym królestwie, zobaczyli nieopodal jakiegoś rowu konia, który uciekł z bitewnego wiru i nie umiał znaleźć drogi powrotnej. Mając teraz dwa konie, ruszyli bardziej szparko w stronę Pawii – chociaż wybierali boczne drogi. Spotykali cofające się oddziały cesarskie, które rozpoznawały swego pana i wznosiły na jego widok radosne okrzyki. Wojsko łupiło mijane wioski, miało się więc czym pokrzepić, i pędziło, by zawiadomić o wydarzeniach tych, którzy znaleźli się dalej; kiedy więc dwa dni później poprzedzany radosną wieścią Fryderyk stanął u bram Pawii, ujrzał co znaczniejszych obywateli i swoich zwolenników, którzy czekali już nań w paradnych strojach, choć jednocześnie nie wierzyli jeszcze własnym oczom.

Nie zabrakło też Beatrycze – w żałobnych szatach, gdyż doniesiono jej, że małżonek poległ na polu bitwy. Trzymała za ręce dwóch synów, Fryderyka, który miał już dwanaście lat, ponieważ jednak był od urodzenia chorowity, wyglądał na sześć, i Henryka, który w przeciwieństwie do brata odziedziczył siłę po ojcu, lecz tego dnia płakał, bo czuł się tu obco, i ciągle pytał, co się stało. Beatrycze wypatrzyła z daleka Fryderyka i łkając, pobiegła naprzeciw niego, by rzucić się mu z miłością w ramiona. Kiedy zaś cesarz powiedział, że życie zawdzięcza Baudolinowi, spostrzegła, że ten też tu jest, i najpierw oblała się rumieńcem, potem całkiem zbladła, jeszcze potem zapłakała, a na koniec wyciągnęła tylko rękę i położyła na jego sercu, błagając niebo, by wynagrodziło go za to, co uczynił, i nazywając go synem, przyjacielem, bratem wreszcie.

– Dokładnie w tym momencie, panie Niketasie, pojąłem, że ratując życie memu panu, spłaciłem mój dług. Ale właśnie dlatego nie wolno mi było kochać Beatrycze. Spostrzegłem nawet, że już jej nie kocham. Była jak zabliźniona rana, jej widok obudził miłe sercu wspomnienia, lecz nic we mnie nie drgnęło, czułem, że mogę być przy niej i nie cierpieć, oddalić się od niej i nie czuć bólu. Może w pełni dorosłem i zgasły młodzieńcze zapały.

Nie sprawiło mi to żadnej przykrości, pojawiła się tylko jakaś melancholia. Byłem jak gołębica, która gruchała bez opamiętania, lecz pora miłosna dobiegła końca. Trzeba było ruszyć z miejsca, wyprawić się za morze.

– Przestałeś być gołębicą, a stałeś się jaskółką.

– Albo żurawiem.

16

Baudolino wyprowadzony w pole przez Zosimę

W sobotni ranek przybyli Pevere i Grillo i oznajmili, że w pewnym sensie do Konstantynopola wraca porządek. Nie tyle z tego powodu, że pielgrzymi zaspokoili łaknienie grabieży, ile z tego, że wodzowie spostrzegli, iż owi pielgrzymi zawładnęli licznymi czcigodnymi relikwiami. Można było się pogodzić z utratą jednego, drugiego kielicha czy szaty z adamaszku, ale nie można było dopuścić do rozproszenia relikwii. Dlatego doża Dandolo wydał rozporządzenie, że wszystkie skradzione dotychczas cenne przedmioty należy przynieść do Hagia Sofia, by dokonać sprawiedliwego podziału. Oznaczało to podział przede wszystkim między pielgrzymami i wenecjanami, którzy to, czyli ci ostatni, czekali jeszcze na resztę należnych rzeczy, by załadować wszystko na swoje okręty. Następnie wartość każdego przedmiotu miała być oceniona w grzywnach srebra i rycerze mieli wziąć cztery części, towarzysze konni dwie, towarzysze piesi zaś jedną. Można sobie wyobrazić, co powiedziało na to zwykłe żołnierstwo, któremu nie pozostawiono nic.

Szeptano już, że wysłannicy Dandola zabrali z Hipodromu cztery konie z pozłacanego spiżu, by odesłać je do Wenecji, i nikomu się to nie spodobało. Jedyną odpowiedzią Dandola na szemrania był rozkaz przeszukania zbrojnych, nie zważając na ich stopień, i perkwizytorzy dotarli nawet do ich kwater w Perze. Przy pewnym rycerzu hrabiego de Saint-Pol znaleziono ampułkę. Rycerz twierdził, że to wyschnięte już lekarstwo, kiedy jednak ampułka ogrzała się od dłoni, ujrzano w niej

czerwony płyn, którym była oczywiście krew wytoczona z boku naszego Pana. Rycerz zaklinał się, że kupił tę relikwię od pewnego mnicha, zanim doszło do plądrowania miasta, ale dla przykładu powieszono go na miejscu – z tarczą i herbem na szyi.

– Tam do licha, wyglądał jak dorsz – powiedział Grillo.

Niketas słuchał z wielkim smutkiem tych opowieści, ale Baudolino, nagle zakłopotany, jakby wszystko stało się z jego winy, zmienił temat i od razu spytał, czy można już opuścić miasto.

– Ciągle panuje tu straszny burdel – odrzekł Pevere – i trzeba mieć się na baczności. Dokąd chcesz się udać, panie Niketasie?

– Do Selymbrii, mamy tam zaufanych przyjaciół, którzy udzielą nam gościny.

– Selymbria, to nie takie łatwe – powiedział Pevere. – Miasto leży na zachodzie, niedaleko Długich Murów. Nawet jeśli dostaniemy muły, trzeba liczyć trzy dni drogi, może nawet więcej, bo będziemy mieli ze sobą brzemienną niewiastę. A poza tym tylko pomyśl, taka piękna stadnina mułów oznacza człowieka możnego, więc pielgrzymi rzucą się na ciebie jak muchy.

W tej sytuacji muły muszą czekać w gotowości poza miastem, przez które przyjdzie podążać pieszo. Trzeba pokonać Mur Konstantyna i wyruszyć dalej, nie zbliżając się do wybrzeża, gdzie z pewnością jest więcej ludzi; ominąć kościół Świętego Mocjusza i wyjść bramą Pege poza Mur Teodozjusza.

– Trudno będzie uniknąć zatrzymania na tej drodze – ostrzegł Pevere.

– Ba, w okamgnieniu dobiorą się do rzyci, a przy tych niewiastach pielgrzymom zaraz przyjdą do głowy chutliwe myśli.

Potrwa to jeszcze co najmniej dzień, bo trzeba jakoś przygotować młode kobiety. Na nic zda się udawanie raz jeszcze trędowatych, bo teraz nawet pielgrzymi wiedzą, że trędowaci nie spacerują sobie po mieście. Trzeba

będzie dorobić im na twarzach plamy i strupy, żeby wyglądały na dotknięte świerzbem, wtedy bowiem każdemu odejdzie na nie chętka. A poza tym wszyscy ci ludzie będą przecież musieli przez trzy dni coś jeść, bo pusty worek nie ustoi. Genueńczycy przygotują w koszach porcje chrupiącej i delikatnej *scripilita*, czyli swoich placków z ciecierzycowej mąki, pokrojonych w plastry, które owinie się w duże liście; wystarczy posypać pieprzem i będzie wyśmienite, można by tym nakarmić lwa, lepsze od krwistej polędwicy; i duże podpłomyki z oliwą, szałwią, serem i cebulą.

Niketasowi to barbarzyńskie jadło nie wydało się nęcące, ponieważ jednak trzeba było czekać jeszcze dzień, postanowił poświęcić go kosztowaniu ostatnich smakołyków, które zdąży jeszcze przygotować mu Teofil, i słuchaniu ostatnich opowieści Baudolina, gdyż nie chciałby wyjechać w najpiękniejszym ich momencie, nie wiedząc, jak skończy się historia.

– Moja historia jest jeszcze zbyt długa – rzekł Baudolino. – Zresztą jadę z tobą. Tu, w Konstantynopolu, nic już po mnie, a w dodatku za każdym rogiem czają się złe wspomnienia. Stałeś się, panie Niketasie, moim pergaminem, na którym zapisuję mnóstwo rzeczy, także zapomnianych, i jest to prawie tak, jakby ręka sama kreśliła słowa. Mniemam, że człowiek opowiadający historie zawsze musi mieć kogoś, komu je opowiada, i że tylko tym sposobem może je opowiedzieć sobie samemu. Pamiętasz, jak pisałem do cesarzowej listy, których ona nie mogła przeczytać? Jeśli palnąłem głupstwo, dając je do przeczytania przyjaciołom, to dlatego, że inaczej moje listy nie miałyby sensu. Ale później, kiedy doszło do pocałunku z cesarzową, nie mogłem opowiedzieć o tym nikomu i całe lata nosiłem to wspomnienie w sobie, czasem smakując je, jakby było twoim zaprawionym miodem winem, a czasem czując w ustach smak trucizny. Dopiero dzięki temu, że mogłem opowiedzieć o tym tobie, poczułem się wolny.

– A dlaczego mogłeś opowiedzieć o tym właśnie mnie?

– Bo nie ma już tych wszystkich, którzy mieli coś wspólnego z moją historią. Zostałem tylko ja. Jesteś mi teraz potrzebny jak powietrze, którym oddycham. Będę ci towarzyszył do Selymbrii.

Gdy tylko Fryderyk wyleczył rany spod Legnano, wezwał przed swe oblicze Baudolina i cesarskiego kanclerza, Krystiana z Buch. Skoro ma się potraktować list księdza Jana z całą powagą, najlepiej od razu wziąć się do dzieła. Krystian przeczytał pergamin, który pokazał mu Baudolino, i jak przystało roztropnemu kanclerzowi, zgłosił garść zastrzeżeń. Przede wszystkim wydawało mu się, że pismo jest niegodne kancelarii. Ten list ma dotrzeć na dwór papieski, a także na dwór francuski i angielski, do bazyleusa Bizancjum, trzeba go więc przygotować tak, jak w całym świecie chrześcijańskim przygotowuje się ważne dokumenty. Potem dodał, że sporządzenie pieczęci, które wyglądałyby jak prawdziwe pieczęcie, wymaga czasu. Jeśli robi się coś z całą powagą, trzeba postępować spokojnie.

Jak doprowadzić do tego, żeby inne kancelarie zapoznały się z treścią listu? Jeżeli będzie wysłany przez kancelarię cesarską, wyda się to mało godne wiary. Czy możesz sobie wyobrazić, że ksiądz Jan pisze osobisty list, który pozwoli ci odwiedzić go na nikomu nieznanej ziemi, ty zaś rozpowszechniasz jego treść *lippis et tonsoribus*, by ktoś mógł dotrzeć tam przed tobą? Powinny krążyć pogłoski o liście, to pewne, i nie tylko po to, by uzasadnić przyszłą wyprawę, ale przede wszystkim, by cały świat chrześcijański trwał w osłupieniu – przy czym powinno się to osiągać po trochu, jakby chodziło o niezwykle sekretny sekret.

Baudolino podsunął myśl, że mógłby wykorzystać swoich przyjaciół. Byliby poza wszelkim podejrzeniem jako absolwenci paryskiego *studium* i ludzie niezwiązani z Fryderykiem. Abdul mógłby przemycić list do Ziemi Świętej, Boron do Anglii, Kyot do Francji, a rabbi Solomon mógłby dostarczyć go Żydom zamieszkującym cesarstwo bizantyjskie.

Następne miesiące były wypełnione tymi rozmaitymi pracami, a Baudolino zmienił się w przełożonego *scriptorium*, w którym przystąpili do dzieła wszyscy jego dawni towarzysze. Fryderyk żądał co jakiś czas najświeższych nowin. Przyszło mu do głowy, aby w liście nieco więcej powiedzieć o Gradalisie. Baudolino przedstawił mu powody, które nakazywały pozostawić rzecz niedopowiedzianą, ale spostrzegł, że ten symbol królewskiej i kapłańskiej władzy zafascynował cesarza.

W czasie kiedy prowadzili dysputy nad tymi kwestiami, na Fryderyka spadły nowe troski. Musiał pogodzić się z myślą, że trzeba szukać zgody z papieżem Aleksandrem III. Ponieważ reszta świata nie brała poważnie cesarskich antypapieży, cesarz musiałby złożyć mu hołd i uznać go za jedynego i prawdziwego rzymskiego arcykapłana – a nie było to mało – w zamian zaś papież wyrzekłby się całkowicie popierania lombardzkich gmin – a to było naprawdę dużo. Czy warto – zastanawiali się Fryderyk i Krystian, ostrożnie tkając wątek intrygi – prowokować papieża, raz jeszcze wzywając do jedności *sacerdotium* i *imperium*? Baudolino gryzł wędzidło, gdyż to wszystko powodowało zwłokę w jego planach, ale nie mógł się sprzeciwiać.

W kwietniu 1177 roku Fryderyk oderwał go nawet od zajęć i wysłał z bardzo delikatną misją do Wenecji. Chodziło o to, by ostrożnie przygotować rozmaitych uczestników zaplanowanego na lipiec spotkania papieża z cesarzem. Ceremonię pojednania należało opracować w najdrobniejszych szczegółach, by nie zakłócił jej żaden incydent.

– Troskę Krystiana budziło na przykład to, że wasz bazyleus zechce wywołać jakiś tumult, by spotkanie zakończyło się fiaskiem. Wiedz, że od dawna Manuel Komnenos zabiegał o względy papieża i z pewnością zgoda między Aleksandrem i Fryderykiem niweczyła jego plany.

– I to na zawsze. Od dziesięciu lat Manuel proponował papieżowi ponowne zjednoczenie Kościołów: on uznałby prymat papieża w sprawach

wiary, papież zaś uznałby bazyleusa Bizancjum za jedynego i prawdziwego cesarza rzymskiego, zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie. Lecz na takiej umowie Aleksander nie zyskiwał prawie żadnej władzy w Konstantynopolu i Fryderyk zachowywał swe wpływy w Italii, a w dodatku być może porozumienie wzbudziłoby niepokój innych europejskich władców. Poszukiwał więc przymierza korzystniejszego dla siebie.

– Niemniej bazyleus wysłał do Wenecji swoich szpiegów. Udawali mnichów...

– I zapewne nimi byli. W naszym cesarstwie ludzie Kościoła pracują dla swego bazyleusa, nie zaś przeciw niemu. Ale z tego, co zrozumiałem, a pamiętaj, że nie należałem jeszcze wtedy do dworu, nie zamierzano wywołać żadnego tumultu. Manuel pogodził się z tym, co i tak było nieuniknione. Może chciał po prostu wiedzieć, co się święci.

– Panie Niketasie, byłeś logotetą kto wie ilu arkanów, wiesz więc z pewnością, że kiedy dochodzi do spotkania szpiegów przeciwnych obozów na tym samym polu intryg, w sposób naturalny wytwarzają się między nimi więzi przyjaźni i jedni drugim przekazują tajemnice. Dzięki temu unikają niebezpieczeństw, jakie wiążą się z wykradaniem ich sobie nawzajem, a tym, którzy ich posłali, pokazują się jako ludzie zręczni. Tak też było z nami i owymi mnichami: zaraz wyjawiliśmy sobie, po co tu jesteśmy, my, by szpiegować ich, oni, by szpiegować nas, a potem dni płynęły nam wśród przyjemności.

– Każdy, kto ma doświadczenie w rządzeniu, bierze to pod uwagę, cóż może jednak poradzić? Gdyby zechciał zwrócić się z pytaniami bezpośrednio do obcych szpiegów, których przecież nie zna, ci nic by mu nie powiedzieli. Wysyła więc własnych szpiegów, powierzając im tajemnice, których wyjawienie nie przyniesie wielkiego uszczerbku, i w ten sposób dowiaduje się tego, co powinien wiedzieć i co wszyscy poza nim zazwyczaj już wiedzą.

– Wśród tych mnichów był niejaki Zosima z Chalcedonu. Uderzyła mnie chudość jego twarzy; jego oczy jak węgle obracały się bez znużenia na wszystkie strony, rozświetlając wielką czarną brodę i niezwykłej długości włosy. Kiedy mówił, miało się wrażenie, że prowadzi dialog z Ukrzyżowanym, który spływa krwią dwie piędzi od jego twarzy.

– Znam takich ludzi, nasze monastyry są nimi przepełnione. Umierają bardzo młodo, strawieni żarem...

– Nie ten. Nigdy w życiu nie widziałem takiego żarłoka. Pewnego wieczoru zaprowadziłem go do domu dwóch weneckich kurtyzan, które, jak może wiesz, cieszą się nie lada sławą wśród niewiast parających się tym starym jak świat rzemiosłem. O trzeciej nad ranem byłem pijany i wyszedłem, on zaś został i jakiś czas później jedna z dziewcząt powiedziała mi, że nigdy nie musiała trzymać na wodzy takiego czorta.

– Znam takich ludzi, nasze monastyry są nimi przepełnione. Umierają bardzo młodo, strawieni żarem...

Baudolino i Zosima zostali jeśli nie przyjaciółmi, to przynajmniej kompanami do hulanek. Ich zażyłość zaczęła się w dniu, kiedy po pierwszej, i to szczodrej, wspólnej libacji Zosima rzucił straszliwe bluźnierstwo i oznajmił, że tej nocy wszystkie ofiary rzezi niewiniątek oddałby za dzieweczkę niezbyt cnotliwych obyczajów. Na pytanie, czy tego właśnie uczą w bizantyjskich monasterach, odpowiedział: „Zgodnie z naukami świętego Bazylego istnieją dwa demony, które mogą zmącić umysł, demon nierządu i bluźnierstwa. Drugi jednak włada nami krótko, a pierwszy, jeśli nie zamracza myślenia namiętnością, nie przeszkadza w kontemplowaniu Boga”. Bez dalszej zwłoki poszli okazać posłuszeństwo, lecz bez namiętności, demonowi nierządu i Baudolino spostrzegł, że Zosima miał na każdą okoliczność życia maksymę jakiegoś teologa albo eremity i dzięki temu żył w pokoju z samym sobą.

Innym razem też siedzieli przy kielichu i Zosima sławił cuda Konstantynopola. Baudolino czuł się zawstydzony, gdyż mógł opowiadać tylko o paryskich uliczkach, którymi brnęło się w wyrzucanych przez okna ekskrementach, albo o mętnych wodach Tanaro, niemogących wszak rywalizować ze złocistymi wodami Propontydy. Nie mógł też opowiadać o *mirabilia urbis Mediolani*, ponieważ Fryderyk kazał je wszystkie zburzyć. Nie wiedział, jak zamknąć kompanowi usta, a chcąc go zadziwić, pokazał list księdza Jana, jakby chciał w ten sposób dać mu do zrozumienia, że istnieje gdzieś królestwo, przy którym Bizancjum to porośnięte wrzosem pustkowie.

Ledwie Zosima przeczytał pierwszą linijkę, spytał nieufnie:

– Presbyter Johannes? A kto to taki?

– Czyżbyś nie wiedział?

– Szczęśliwy, kto doszedł do ignorancji, poza którą nie jest nam już dane wyjść.

– Możesz wyjść dalej. Czytaj, czytaj.

– Czytał i oczy mu coraz mocniej płonęły, aż wreszcie odłożył pergamin i rzekł obojętnym tonem:

– Ach, ksiądz Jan! W moim monastyrze przeczytałem oczywiście mnóstwo sprawozdań tych, którzy odwiedzili jego królestwo.

– Przecież zanim przeczytałeś list, nie wiedziałeś nawet, kto zacz!

– Żurawie swym lotem kreślą litery, choć pismo jest im nieznane. Ten list mówi o niejakim księdzu Janie i kłamie, lecz chodzi o prawdziwe królestwo, które w sprawozdaniach jest królestwem pana Indii.

Baudolino gotów byłby przysiąc, że hukaj zgaduje, ale Zosima nie dał mu czasu na rozmyślania o takich wątpliwościach.

– Bóg wymaga od ludzi ochrzczonych trzech rzeczy: od duszy prawej wiary, od języka szczerości, od ciała wstrzemięźliwości. Tego listu nie mógł napisać władca Indii, zbyt wiele tu bowiem rzeczy nieścisłych. Na przykład

wymienia wiele tamtejszych niezwykłych istot, milczy jednak o... zaraz, niech pomyślę... mam, milczy o *methagallinarii*, *thinsiretae* i *camethetern*i.

– A co to za jedni?

– Co za jedni?! Ależ pierwsze, co napotyka przybywający na ziemię księdza Jana, to *thinsireta*, a jeśli nie jest przygotowany do tego, by stawić jej czoło... chap... pożera go jednym kłapnięciem szczęk. Nie można się tam wyprawić ot tak, jakbyś wędrował do Jerozolimy, gdzie w najgorszym razie spotkasz wielbłąda, krokodyla, ze dwa słonie i tak dalej. Poza tym list wydaje mi się podejrzany, gdyż dziwną jest rzeczą, że napisano go do twojego cesarza, nie zaś do naszego bazyleusa, skoro królestwo tego Jana leży bliżej cesarstwa bizantyjskiego niż łacińskiego.

– Mówisz, jakbyś wiedział, gdzie leży.

– Nie wiem dokładnie, lecz wiedziałbym, dokąd się skierować, kto bowiem zna cel, zna też wiodącą doń drogę.

– Czemu więc nie udał się tam żaden z was, Greczynów?

– A kto ci powiedział, że żaden nie próbował? Mogę ci rzec, że bazyleus Manuel po to właśnie wyprawił się na ziemie sułtanatu Ikonium, by otworzyć sobie drogę do dziedziny władcy Indii.

– Mogłeś mi o tym powiedzieć, a jednak nie powiedziałeś.

– Ponieważ nasza okryta chwałą armia dwa lata temu poniosła tam klęskę pod Myriokefalonem. Minie więc jakiś czas, nim nasz bazyleus wyruszy na następną wyprawę. Gdybym jednak ja miał dużo pieniędzy i oddział dobrze uzbrojonych ludzi, którzy potrafiliby stawić czoło tysięcznym trudnościom, zaraz bym tam ruszył, wiem bowiem, jaki kierunek obrać. Po drodze trzeba by dopytywać się, słuchać wskazówek tubylców... Nie zabraknie znaków, bo jeśli będziesz kroczył dobrą drogą, twoim oczom ukażą się drzewa rozkwitające tylko w tamtych stronach i zwierzęta tam tylko żyjące jak choćby owe *methagallinarii*.

– Zdrowie *methagallinarii*! – zakrzyknął Baudolino i uniósł kielich.

Zosima zaproponował toast za królestwo księdza Jana. Potem rzucił wyzwanie: wypijmy za zdrowie Manuela, a Baudolino odparł, że owszem, ale pod warunkiem, że przedtem wypiją zdrowie Fryderyka. Potem wznosili toasty za papieża, Wenecję, dwie kurtyzany, które poznali parę dni temu, aż wreszcie głowa Baudolina opadła na stół, a zasypiając słyszał jeszcze, jak Zosima mruczy pod nosem: „Oto czym jest życie mnicha: nie kierować się ciekawością, nie chadzać z człowiekiem nieprawym, nie wyciągać łapy po...”

Rano Baudolino, który ciągle jeszcze z trudem obracał językiem, rzekł:

– Zosimo, jesteś szubrawcem. Nie masz zielonego pojęcia, gdzie przebywa twój władca Indii. Chcesz podążać na węch, a kiedy ktoś mówi ci, że widział tam methagallinariusa, ty bierzesz to za dobrą monetę, ruszasz w tamtą stronę, docierasz w okamgnieniu do pałacu zbudowanego w całości z drogich kamieni i patrzysz, a tu jakiś człek, mówisz: dzień dobry, księże Janie, jak się miewasz? Takie bajki możesz opowiadać swojemu bazyleusowi, ale nie mnie!

– Będę miał przecież dobrą mapę – odparł Zosima, z trudem otwierając oczy.

Baudolino sprzeciwił się, mówiąc, że nawet jeśli ma się dobrą mapę, wszystko pozostaje dosyć mgliste i nie sposób podjąć decyzji, bo wiadomo, iż mapy nie są dokładne, a już osobliwie, gdy chodzi o te miejsca, do których w najlepszym razie dotarł Aleksander Wielki, a potem już nikt. I naszkicował mu z grubsza mapę, którą sporządził Abdul.

Zosima wybuchnął śmiechem. Skoro Baudolino trwa przy straszliwie heretyckim i nieprawym wyobrażeniu, że Ziemia jest kulą, z pewnością nie uda mu się zrobić ani kroku we właściwym kierunku.

– Albo dajesz wiarę Pismu Świętemu, albo jesteś poganinem i nadal myślisz tak, jak myślano przed Aleksandrem... który nie potrafił zostawić po sobie żadnej mapy, nie wymawiając mu nawet innych rzeczy. Pismo powiada, że nie tylko Ziemia, ale i całe uniwersum jest w kształcie

tabernaculum, czyli że Mojżesz zbudował swoje *tabernaculum* jako wierne odbicie uniwersum, od ziemi po firmament.

– Filozofie starożytni powiadali wszak...

– Filozofowie starożytni, których nie oświeciło jeszcze słowo Pana, wymyślili antypody, lecz w Dziejach Apostolskich mówi się przecież, że Bóg z jednego jedynego człowieka wywiódł rodzaj ludzki, by ten zamieszkiwał całą powierzchnię Ziemi, powierzchnię, nie zaś drugą stronę, bo tej nie ma. A Ewangelia Łukasza mówi, że Pan dał apostołom władzę stąpania po wężach i skorpionach, stąpać znaczy zaś iść po czymś, nie pod czymś. Gdyby na dodatek kulista Ziemia była zawieszona w próżni, nie istniałoby żadne „na” ani „pod”, a przez to wędrówka nie miałaby ni *sensus*, ni *directio*. Któż to wymyślił, że niebiosa są sferą? Chaldejscy grzesznicy, patrzący z wysokości, do jakiej zdołali wznieść wieżę Babel, zwiodło ich bowiem uczucie przerażenia na widok przytłaczającego ich nieba! Jakiż to Pitagoras czy Arystoteles umiał zapowiedzieć wskrzeszenie umarłych? I moglibyż tacy głupcy pojąć, jaki jest kształt Ziemi? Ta Ziemia stworzona w kulistej formie miałaby służyć do zapowiadania wschodu i zachodu słońca albo dnia, w którym przypada Wielka Noc, ale najmarniejsza z istot ludzkich, choć nie posiadła wiedzy filozoficznej ni astronomicznej, wie wszelako doskonale, kiedy słońce zachodzi i kiedy wschodzi zależnie od pory roku, a w rozmaitych krajach umieją obliczyć, kiedy przypada Wielka Noc, i zgoła się nie mylą? Byłabyż potrzebna inna geometria niźli ta, którą zna biegły cieśla, i inna astronomia niźli ta, którą zna wieśniak, gdy sieje i zbiera? A poza tym, o których to filozofach starożytnych mi bajasz? Czy wy, łacinnicy, wiecie co o Ksenofanesie z Kolofonu, który uważał wprawdzie, że Ziemia jest nieskończona, lecz przeczył, jakoby była kulista? Głupiec powie, że jeśli przypisze się uniwersum kształt *tabernaculum*, nie da się wyjaśnić zaćmienia ani ekwinokcjum. Lecz w cesarstwie rzymskim, to jest w naszym, żył przed wiekami wielki mędrzec, Kosmas Indikopleustos, który wyprawił się aż na

krańce ziemi i w sposób niechybny pokazał w swojej *Chrześcijańskiej topografii*, że Ziemia ma naprawdę kształt *tabernaculum* i że tylko dzięki temu kształtowi można wyjaśnić owe najmroczniejsze fenomena. I ty, powiadam oto, chcesz, by najbardziej chrześcijański z królów, Jan, nie trzymał się najbardziej chrześcijańskiej topografii, wziętej nie tylko od Kosmasa, lecz także z Pisma Świętego?

– A ja powiadam, że mój ksiądz Jan nic nie wie o topografii twojego Kosmasa.

– Sam wyznałeś, że ksiądz ów jest nestorianinem. Otóż nestorianie prowadzili zaciekły spór z innymi heretykami, monofizytami. Monofizyci utrzymywali, że Ziemia została stworzona jako sfera, a nestorianie, że jako *tabernaculum*. Wiadomo, że Kosmas był też nestorianinem, a w każdym razie zwolennikiem mistrza Nestoriusza, Teodora z Mopsuestii, i przez całe życie zwalczał monofizycką herezję Jana Filiponosa z Aleksandrii, który szedł za pogańskimi filozofami w rodzaju Arystotelesa. Nestorianin Kosmas i nestorianin ksiądz Jan musieli wierzyć całym sercem, że Ziemia ma kształt *tabernaculum.*

– Powoli. I twój Kosmas, i mój ksiądz są nestorianami, wcale nie przeczę. Skoro jednak nestorianie mylą się, o ile mi wiadomo, w sprawie Jezusa i Jego Matki, mogą mylić się również w kwestii kształtu uniwersum. Mam rację?

– Pora na mój najsubtelniejszy argument! Pokażę ci dowodnie, że jeśli chcesz odnaleźć księdza Jana, wypadnie ci iść za Kosmasem, nie zaś za topografami pogańskimi. Załóżmy na chwilę, że Kosmas napisał nieprawdę. Gdyby nawet tak było, to samo myślą i w to samo wierzą wszystkie ludy Wschodu, które tenże Kosmas odwiedził, bo przecież inaczej by się o tych sprawach nie dowiedział na ziemiach, poza którymi rozciąga się królestwo księdza Jana, i jest pewne, że mieszkańcy tego królestwa mają uniwersum za *tabernaculum*, a zatem wszelkie odległości,

granice, bieg rzek, wielkość mórz, wybrzeża i zatoki, nie mówiąc już o górach, mierzą wedle cudownego zarysu *tabernaculum.*

– I to nie wydaje mi się zbyt dobrym argumentem – upierał się Baudolino. – To, że wierzą, iż mieszkają w *tabernaculum*, nie znaczy wcale, iż naprawdę w nim mieszkają.

– Pozwól, że doprowadzę mój wywód do końca. Gdybyś spytał, jak dotrzeć do Chalcedonu, gdzie przyszedłem na ten świat, umiałbym ci bez trudu wskazać drogę. Być może, dni podróży mierzę inaczej niż ty albo lewą stroną zwę to, co ty zwiesz prawą, a powiedziano mi, że Saraceni kreślą mapy, na których południe jest u góry, północ zaś u dołu, Słońce wstaje więc po lewej stronie tak przedstawionej Ziemi. Jeśli jednak zgodzisz się na mój sposób przedstawiania biegu Słońca i kształtu Ziemi, trzymając się moich wskazówek, z pewnością dotrzesz tam, dokąd zechcę cię doprowadzić, lecz nie zrozumiałbyś ich, gdybym naniósł je na twoje mapy. – Płynie stąd wniosek – zakończył tryumfalnym tonem Zosima – że jeżeli chcesz znaleźć się na ziemi księdza Jana, musisz użyć tej mapy świata, której użyłby ksiądz Jan, a nie twojej, nawet, zważ to bacznie, gdyby twoja była właściwsza niźli jego.

Baudolino poczuł się bezradny wobec przenikliwości tych racji i spytał Zosimę, jak w takim razie widzą uniwersum Kosmas i ksiądz Jan.

– Nie ma tak dobrze! – odparł Zosima. – Wiem, gdzie znaleźć mapę, nie ma jednak powodu, bym miał ją ofiarować tobie i twojemu cesarzowi.

– Chyba że da ci on tyle złota, że będziesz mógł tam wyruszyć z zastępem dobrze uzbrojonych ludzi.

– Otóż to.

Od tej chwili Zosima nie pisnął już ani słowa o mapie Kosmasa, a właściwie napomykał o niej co jakiś czas, kiedy osiągał szczyty upojenia, lecz tylko kreśląc palcem w powietrzu niewyraźne i tajemnicze linie i zaraz

tego zaprzestając, jakby i tak powiedział już za wiele. Baudolino dolewał mu jeszcze wina i zadawał dziwaczne z pozoru pytania.

– Kiedy dotrzemy do Indii i nasze konie opadną z sił, czy przyjdzie nam dosiąść słoni?

– Być może, gdyż w Indiach żyją wszystkie zwierzęta wymienione w twoim liście i mnóstwo innych, tylko nie konie. Sprowadzają je tam jednak z Cynisty.

– A co to za kraj?

– Kraj, dokąd wędrowcy udają się po robaki jedwabiu.

– Robaki jedwabiu? O czym mówisz?

– A o tym, że w owej Cyniście w łono niewiast wkłada się maleńkie jajeczka, by ogrzały się i by wykluły się z nich maleńkie robaczki. Umieszcza się je na liściach morwy, którymi się żywią. Kiedy podrosną, wysnuwają ze swych ciał jedwab i owijają się weń, tak że są jak w grobie. Potem zmieniają się w piękne kolorowe motyle i dziurawią ten oprzęd. Samce dosiadają samiczek *a tergo* i żyją potem wraz z nimi bez pokarmu w cieple swego uścisku, aż wreszcie umierają, z tym że samiczka, umierając, składa jaja.

– Trudno zaiste ufać człowiekowi, który wmawia ci, że jedwab robią robaki – rzekł Baudolino Niketasowi. – Był szpiegiem na służbie swego bazyleusa, ale z ochotą przeszedłby na służbę Fryderykową, gdyby mógł dzięki temu wyruszyć na poszukiwanie władcy Indii. Potem stało się jednak tak, że przepadł jak kamień w wodę. Byłem ciągle jeszcze podniecony wzmianką o mapie Kosmasa. Ta mapa wydała mi się gwiazdą betlejemską, aczkolwiek wskazywała przeciwny kierunek. Powiedziałaby mi, jak pokonać wspak drogę, którą przebyli magowie. Tak więc, sądząc, że jestem od niego przebieglejszy, chciałem, aby przebrał miarę swego nieopanowania, i okazał, że jest większym głupcem i że ma za długi język.

– A tymczasem?

– To on okazał się przebieglejszy. Następnego dnia już go nie zobaczyłem, a jego konfratrzy powiedzieli, że wrócił do Konstantynopola. Zostawił pożegnalny liścik. Oto co napisał: „Jak ryby usypiają bez wody, tak mnisi, którzy zbyt długo przebywają poza celą, osłabiają moc swej jedności z Bogiem. W ostatnich dniach nadmiernie pogrążałem się w grzechu, pozwól więc, że wrócę tam, gdzie bije źródło pełne świeżości”.

– Może to była prawda.

– Bynajmniej. Znalazł jakiś sposób, żeby wyłudzić złoto od swego bazyleusa. I to moim kosztem.

17

Baudolino odkrywa, że ksiądz Jan pisze do zbyt wielu osób

W lipcu następnego roku Fryderyk przybył do Wenecji drogą morską, z Rawenny do Chioggi zaś towarzyszył mu syn doży; następnie udał się do kościoła Świętego Mikołaja na Lido i w niedzielę 24 dnia tegoż miesiąca padł na placu Świętego Marka do stóp Aleksandra. Papież dźwignął go i uściskał, okazując wszem wobec, jak go miłuje, i wszyscy zebrani zaśpiewali *Te Deum*. Był to prawdziwy tryumf, aczkolwiek nie wiadomo dokładnie, dla którego z nich dwóch. Tak czy inaczej, skończyła się trwająca osiemnaście lat wojna i w tychże dniach cesarz podpisał z gminami ligi lombardzkiej zawieszenie broni na siedem lat. Był tak kontent, że postanowił spędzić jeszcze miesiąc w Wenecji.

W sierpniu Krystian z Buch wezwał pewnego ranka Baudolina i jego przyjaciół, poprosił, by poszli z nim do cesarza, a kiedy stanął przed obliczem Fryderyka, wręczył mu teatralnym gestem obwieszony pieczęciami pergamin.

– List?! – wykrzyknął Fryderyk. – Jeszcze go nie wysłaliśmy?

– Właściwie to nie nasz list, ale list od kogoś. Nie do ciebie, lecz do bazyleusa Manuela. Poza tym szczegółem jest bardzo podobny do przygotowanego przez nas.

– Więc ten ksiądz Jan najpierw proponuje przymierze mnie, a potem tym *romaei*! – wściekł się Fryderyk.

Baudolino osłupiał, wiedział bowiem doskonale, że jest tylko jeden list od księdza i że to on sam go napisał. Jeżeli ksiądz istnieje, mógł napisać inny list, aczkolwiek z pewnością nie ten.

Poprosił o dokument, a przebiegłszy go szybko wzrokiem, rzekł:

– Nie jest dokładnie taki sam, widzę tu drobne zmiany. Ojcze mój, jeśli pozwolisz, zbadam go dokładniej.

Oddalił się ze swoimi przyjaciółmi i razem kilkakroć przeczytali list. Przede wszystkim napisano go po łacinie.

– To osobliwe – zauważył rabbi Solomon – bo przecież ksiądz wysłał ten list greckiemu bazyleusowi.

Początek był taki:

Presbyter Johannes, z woli i mocy Boga i naszego Pana Jezusa Chrystusa pan nad panującymi, do Manuela, rządcy ludu *romaei*, życzy zdrowia i wiekuistego radowania się bożym błogosławieństwem.

– Drugie dziwactwo – rzekł Baudolino – nazywa Manuela rządcą ludu *romaei*, nie zaś bazyleusem. Z pewnością nie napisał tego Grek z cesarskiego otoczenia, lecz człowiek, który nie uznaje praw Manuela.

– A zatem prawdziwy ksiądz Jan, który uważa się za *dominus dominantium* – wywnioskował Poeta.

– Idźmy dalej – rzucił Baudolino. – Wskażę wam słowa i zdania, których nie było w naszym liście.

Doniesiono naszemu majestatowi, że masz w wielkiej estymie naszą świetność i że doszły do Ciebie wieści o naszej wielkości. Lecz dowiedzieliśmy się od naszego apocrisariosa, że zapragnąłeś wysłać nam jaką rzecz przyjemną i zabawną, by ucieszyć naszą łaskawość. Jako człowiek z ochotą przyjmuję dar i ślę Ci przez naszego apocrisariosa ten znak, zapragnęliśmy bowiem dowiedzieć się, czy dochowujesz wraz z nami wierności prawdziwej wierze i czy we wszystkim i przez wszystko głosisz wiarę w Pana naszego Jezusa Chrystusa. Ja wiem dobrze, że jestem tylko człowiekiem, ale twoi Greczynowie uznają Cię za boga, choć wiemy doskonale, żeś śmiertelnikiem, który nie

uniknie rozkładu ciała. Prosimy w szlachetnej naszej szczodrości, byś przez naszego apocrisariosa i poświadczając swój afekt dla nas doniósł nam, azali jest rzecz jaka, która może posłużyć Twej przyjemności.

– Zbyt wiele już tych dziwactw – oznajmił rabbi Solomon. – Z jednej strony traktuje bazyleusa wyniośle i pogardliwie, prawie go znieważając, z drugiej zaś używa słów takich jak *apocrisarios*, które robi wrażenie greckiego.

– Oznacza dokładnie posła – wyjaśnił Baudolino. – Posłuchajcie jednak: tam gdzie my powiedzieliśmy, że przy stole księdza zasiadają metropolita Samarkandy i arcykapłan Suzy, tutaj napisano, że są to *protopapaten Sarmagantinum* i *archiprotopapaten de Susis*. A dalej wśród cudów królestwa wymienia się zioło o nazwie *assidios*, które odstrasza złe duchy. Mamy więc trzy następne terminy greckie.

– List napisał więc Grek, który ma jednak bardzo zły stosunek do Greków. Nic nie rozumiem – powiedział Poeta.

Podczas tej wymiany uwag Abdul sięgnął po pergamin.

– Gdybyż tylko to! Tam gdzie my pisaliśmy o zbiorze pieprzu, dorzucono garść szczegółów. A tu dopisano, że w królestwie Jana jest mało koni. Tu zaś, gdzie my wymieniliśmy tylko salamandrę, wspomniano o jakimś rodzaju robaków, co owijają się jakby błonką, na podobieństwo robaków wytwarzających jedwab, a potem niewiasty przebywające w pałacu myją tę błonkę i robi się z niej szaty i sukna królewskie, które można prać tylko w palącym ogniu.

– Co, co takiego? – spytał zaniepokojony nagle Baudolino.

– A na koniec – ciągnął Abdul – w spisie istot zamieszkujących królestwo, wśród rogatych ludzi, faunów, satyrów, pigmejów, psiogłowych wymienia się też *methagallinarii*, *cametheterni* i *thinsiretae*, istoty, o których my nie wspominaliśmy.

– Na Bogurodzicę Dziewicę! – wykrzyknął Baudolino. – Przecież to o robakach opowiadał mi Zosima! I także Zosima powiedział, że według Kosmasa Indikopleustosa w Indii nie ma koni! I Zosima wymienił *methagallinarii* i te inne bestie! O, syn gamratki, naczynie pełne kału, kłamca, złodziej, obłudnik, fałszerz podstępny, zdrajca, cudzołożnik, żarłok, tchórz, lubieżnik, gwałtownik, heretyk, rozpustnik, zabójca i rozbójnik, bluźnierca, sodomita, lichwiarz, świętokupca, wróżbita, szerzyciel waśni, oszust!

– Co ci takiego uczynił?

– Nadal nie pojmujesz? Tamtego wieczoru, kiedy pokazałem mu list, upił mnie i wszystko przepisał! Potem wrócił do tego swojego zafajdanego bazyleusa, ostrzegł go, że Fryderyk zamierza ogłosić się przyjacielem i spadkobiercą księdza Jana, i napisali inny list, zaadresowany do Manuela, a potem puścili go w obieg, zanim my tego dokonaliśmy! Oto czemu jest tu tyle wyniosłości wobec bazyleusa: żeby nie budzić podejrzeń, że list wyszedł z jego kancelarii! Oto czemu tyle w nim terminów greckich: żeby pokazać, że chodzi o łaciński przekład oryginału, który Jan napisał po grecku. Rozesłano jednak wersję łacińską, gdyż ma przecież przekonać kancelarie królów palatyńskich i papieża!

– Naszej uwadze umknął jeszcze jeden szczegół – wtrącił się do rozmowy Kyot. – Czy pamiętacie historię z Gradalisem, który ksiądz rzekomo wysłał do cesarza? Uznaliśmy, że lepiej nie posuwać się za daleko, i tylko napomknęliśmy o *veram arcam*... Czy powiedziałeś o tym Zosimie?

– Nie, o tym zmilczałem – odrzekł Baudolino.

– No i twój Zosima pisze o czymś, co nazywa *yeracam*. Ksiądz wysyła bazyleusowi *yeracam.*

– A co to takiego? – spytał Poeta.

– Tego nie wie sam Zosima – wyjaśnił Baudolino. – Zajrzyjcie do naszego oryginału: w tym miejscu z trudem można odczytać pismo Abdula.

Zosima nie zrozumiał, o co chodzi, pomyślał, że to jakiś dar dziwny i tajemniczy, nam tylko znany, i dlatego użył tego słowa. Co za nędznik! A wszystko przeze mnie, bo mu zaufałem; jak wyznam to cesarzowi?

Nie po raz pierwszy uciekli się do kłamstwa. Wyjaśnili Krystianowi i Fryderykowi, jaki oczywisty powód przemawia za tym, że list napisał ktoś z kancelarii Manuela, chodziło mianowicie o to, by Fryderyk nie mógł puścić w obieg swojego listu, dodali jednak, iż w kancelarii świętego cesarstwa rzymskiego musi być szpieg, który przesłał kopię ich listu do Konstantynopola. Fryderyk przysiągł, że jeśli go odnajdzie, wydrze mu wszystkie wystające części ciała.

Potem zapytał, czy nie powinien obawiać się jakichś posunięć Manuela. A jeśli list napisano po to, żeby uzasadnić wyprawę do Indii? Krystian zwrócił mu roztropnie uwagę, że dwa lata temu Manuel wyruszył we Frygii przeciwko seldżuckiemu sułtanowi Ikonium i poniósł straszliwą klęskę pod Myriokefalonem. To wystarczy, żeby do końca życia trzymał się jak najdalej Indii. Można nawet założyć, że ten list jest dość dziecinnym pomysłem na odzyskanie odrobiny prestiżu, kiedy utraciło się go całe mnóstwo.

Czy jednak w tym stanie rzeczy warto jeszcze puszczać w obieg list do Fryderyka? A może zmienić go, by nie uznano, że jest kopią listu do Manuela?

– Znałeś tę historię, panie Niketasie? – spytał Baudolino.

Ten uśmiechnął się.

– W owych czasach nie miałem jeszcze trzydziestu lat i ściągałem trybuty w Paflagonii. Gdybym był doradcą bazyleusa, powiedziałbym mu, żeby nie wdawał się w tak dziecinne intrygi. Ale Manuel dawał posłuch zbyt wielu dworzanom, cubicularom i eunuchom zatrudnionym w jego komnatach, nawet zwykłym sługom, a czasem ulegał wpływom niektórych mnichów wizjonerów.

– Gryzłem się myślami o tym marnym robaku. Ale marnym robakiem był też papież Aleksander, i to gorszym niż Zosima, gorszym też niż salamandry, a okazało się to we wrześniu, kiedy do cesarskiej kancelarii dotarł dokument, który uprzednio został zapewne przekazany innym chrześcijańskim królom i cesarzowi greckiemu. Była to kopia listu, który Aleksander III napisał do księdza Jana!

Nie ulega wątpliwości, że Aleksander otrzymał kopię listu do Manuela, może nawet wiedział o starodawnym poselstwie Hugona z Dżabali, a może lękał się, że Fryderyk wyciągnie jakieś korzyści z istnienia króla kapłana, choć więc nie do niego zwrócił się Jan, on pierwszy wysłał list prosto do księdza, donosząc, że wysyła natychmiast legata z pełnomocnictwem do prowadzenia rokowań.

List zaczynał się tak:

Aleksander biskup, sługa sług Bożych, umiłowanemu Johannesowi, synowi w Chrystusie, sławnemu i wspaniałemu władcy Indii, śle pozdrowienie i swe apostolskie błogosławieństwo.

Następnie papież przypomniał, że tylko Stolica Apostolska (to znaczy Rzym) otrzymała od Piotra pełnomocnictwo, dzięki któremu jest *caput et magistra* wszystkich wierzących. Oznajmił, że on, papież, usłyszał o wierze i pobożności Jana od swego osobistego medyka, magistra Filipa, ten zaś przewidujący, roztropny i przezorny człowiek usłyszał od osób godnych zaufania, iż Jan pragnie w końcu nawrócić się na prawdziwą, to jest katolicką i rzymską, wiarę. Papież ubolewał, że nie może na razie posłać dygnitarzy wysokiej rangi, także z tej przyczyny, iż nie znają *linguas barbaras et ignotas*, lecz posyła owego Filipa, człeka dyskretnego i bardzo ostrożnego, aby pouczył go, to znaczy Jana, o prawdziwej wierze. Gdy tylko Filip dotrze na miejsce, Jan powinien wysłać list, w którym wyłuszczy swoje zamiary, ale – ostrzega się go – jeżeli nie chce zgrzeszyć,

chełpiąc się swoją potęgą i bogactwem, najlepiej uczyni, gdy powróci na łono świętego Kościoła rzymskiego, jak przystało pełnemu pokory synowi.

Baudolino poczuł się zgorszony, że są na tym świecie fałszerze tak zuchwali.

A rozsierdzony Fryderyk ryknął:

– Diabelski pomiot! Nikt do niego nie pisał, a on odpowiada pierwszy. Na złość! I baczy, ażeby nie nazwać swojego Johannesa prezbiterem, chce bowiem odmówić mu wszelkiej godności kapłańskiej...

– Wie dobrze, iż Jan jest nestorianinem – dodał Baudolino – i jak to papież, proponuje mu, by porzucił swą herezję i podporządkował się Rzymowi...

– Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ten list jest szczytem arogancji – zauważył kanclerz Krystian. – Nazywa go synem, nie raczy wysłać mu choćby biskupa, lecz śle osobistego medyka. Traktuje go jak dziecko, które trzeba przywołać do porządku.

– Trzeba zatrzymać tego Filipa – rzekł na to Fryderyk. – Krystianie, pchnij ludzi, kogo tam chcesz, mogą być najemni mordercy. Niech go dopadną w drodze, uduszą, wyrwą mu język, utopią go w pierwszym lepszym strumieniu! Nie może dotrzeć na miejsce! Nikomu nie oddam księdza Jana!

– Niepotrzebnie się wzburzyłeś, mój ojcze – powiedział Baudolino. – Moim zdaniem ten Filip wcale nie wyruszył i nie wiadomo nawet, czy istnieje. Primo, Aleksander wie doskonale, że list do Manuela sfałszowano. Secundo, nie ma zielonego pojęcia, gdzie przebywa jego Jan. Tertio, list napisał właśnie po to, by wiedziano, że Jan to jego sprawa, i chce, byście obaj, ty i Manuel, zapomnieli raz na zawsze o królu kapłanie. Quarto, jeśli nawet ów Filip istnieje, jeśli wybiera się do księdza i jeśli naprawdę tam dotrze, tylko pomyśl, co się stanie, gdy wróci z nosem na kwintę, bo Jan nie

zechce się nawrócić. Dla Aleksandra będzie to tak, jakby ktoś cisnął mu w twarz garść łajna. Nie może ważyć się na taki hazard.

Tak czy inaczej było już za późno na ogłaszanie listu do Fryderyka i Baudolino czuł się ograbiony. Roił o królestwie księdza od chwili śmierci Ottona, minęło więc już prawie dwadzieścia lat... Dwadzieścia zmarnowanych lat...

Potem zaznał ukojenia: nie, niechaj zginie, przepadnie list od księdza, niechaj roztopi się w rzece innych listów, przyszedł czas, kiedy każdy może wymyślić sobie korespondencję z księdzem, przyszło nam żyć w świecie patentowanych łgarzy, ale to nie oznacza zgoła, że trzeba wyrzec się poszukiwania królestwa księdza Jana. Przecież mapa Kosmasa nadal istnieje, wystarczy odszukać Zosimę, wydrzeć mu ją, a potem ruszyć w nieznane.

Gdzie się jednak podział Zosima? A jeśliby się nawet okazało, że żyje sobie obsypany łaskami w cesarskim pałacu swojego bazyleusa, jakże go tam dopaść, skoro otacza go cała bizantyjska armia? Baudolino zaczął wypytywać podróżników, posłów, kupców, by dowiedzieć się czegokolwiek o zbrodniczym mnichu. I jednocześnie co jakiś czas przypominał Fryderykowi o planie. „Ojcze mój – powiadał – dzisiaj ma on więcej sensu niż wczoraj, gdyż dawniej mogłeś się obawiać, że to królestwo istnieje tylko w mojej wyobraźni, teraz zaś wiesz, że wierzą weń również bazyleus Greków i papież Rzymian, a w Paryżu mówiono mi, iż jeśli nasz umysł zdoła stworzyć rzecz, nad którą nie masz większej, ta rzecz z pewnością będzie istniała. Jestem na tropie kogoś, kto może dać wskazówki, jaką drogą należy podążać, pozwól mi więc wydać na ten cel nieco grosza”. Dostał dość złota, by przekupić wszystkich Greczynów przejeżdżających przez Wenecję, ułatwiono mu kontakt z zaufanymi osobami w Konstantynopolu i czekał tylko na nowiny. Kiedy doń dotrą, pozostanie mu nakłonić Fryderyka do podjęcia decyzji.

– Minęło kilka lat takiego oczekiwania, panie Niketasie, a w tym czasie zmarł wasz Manuel. Choć nie odwiedziłem jeszcze waszego kraju, wiedziałem dość, by zdać sobie sprawę, że po zmianie bazyleusa wszyscy zaufani poprzedniego będą usunięci. Modliłem się do Najświętszej Panny i wszystkich świętych, żeby Zosima uszedł z życiem, ale wystarczyłby mi przecież oślepiony: da mi mapę, a ja już ją odczytam. Upływały kolejne lata i było to dla mnie jak upust krwi.

Niketas poprosił Baudolina, ażeby nie popadał teraz w przygnębienie z powodu uczucia zawodu, jakie było jego udziałem niegdyś. Wezwał swego kucharza i sługę, by ten przeszedł samego siebie, przygotowując ostatni posiłek pod konstantynopolskim słońcem – taki, który nie pozwoli zapomnieć o całej słodyczy morza i ziemi w tym kraju. Chciał stołu zastawionego langustami i skorupiakami o nazwie pustelnik, gotowanymi homarami, smażonymi krabami, soczewicą z ostrygami i małżami, wkamiennikami, a wszystko z dodatkiem utłuczonego bobu i ryżu z miodem, otoczone wieńcem z rybiej ikry i popijane kreteńskim winem. Lecz było to tylko pierwsze danie. Potem szła sztufada, z której dobywała się rozkoszna woń, z rondla zaś biła para z czterech pięknych główek kapusty, twardych i białych niczym śnieg, a następnie podano karpia i ze dwadzieścia małych makreli, filety z solonej ryby, czternaście jaj, trochę wołoskiego owczego sera, wszystko polane funtem oliwy, przyprószone pieprzem i przyprawione mnóstwem czosnku. Lecz do tego dania Niketas zażądał wina z Ganos.

18

Baudolino i Colandrina

Z dziedzińca genueńczyków dochodziły płacze córek Niketasa, które nie pozwalały, by pobrudzono im twarze, przywykły bowiem do szkarłatu swoich barwiczek. „Bądźcie grzeczne – mówił im Grillo – nie trzeba urody, by być białogłową”. I wyjaśniał, że nie jest nawet pewny, czy ta odrobina parchów i dziobów po ospie, którymi pokrywają im twarze, wystarczy, by wzbudzić wstręt lubieżnych pielgrzymów, gdyż ludzi tych rozpalają wszystkie, jakie się nawiną, młode i stare, zdrowe i chore, Greczynki, saracenki i żydówki, albowiem w tych sprawach religia nie ma nic do rzeczy. Jeśli macie budzić wstręt – dodawał – musicie być krostowate jak tarka. Małżonka Niketasa z upodobaniem wzięła udział w ubrzydzaniu swoich córek, dodając to rankę na czole, to wysypkę na nosku, by wyglądał jak zżerany przez wrzody.

Baudolino przyglądał się w wielkim zasmuceniu tej pięknej rodzinie i w pewnym momencie powiedział:

– I tak, kiedy sam już nie wiedziałem, co mam robić, wziąłem sobie w końcu żonę.

Dzieje swojego małżeństwa przedstawiał z niezbyt wesołą miną – jakby wspomnienie rozniecało stary ból.

– W tym czasie życie upływało mi między cesarskim dworem i Aleksandrią. Fryderyk nadal nie mógł przełknąć tego, że miasto żyje, ja zaś próbowałem doprowadzić do nawiązania stosunków między moimi ziomkami i cesarzem. Sytuacja była bardziej sprzyjająca niż dawniej.

Aleksander III zmarł i Aleksandria utraciła protektora. Cesarz coraz częściej układał się z italskimi miastami i Aleksandria nie mogła już być ostoją ligi. Genua przeszła na stronę cesarstwa, Aleksandria zaś miała wszystko do zyskania, stojąc po stronie genueńczyków, a nic, pozostając jedynym miastem wrogim Fryderykowi. Trzeba było znaleźć rozwiązanie honorowe dla wszystkich. I kiedy tak spędzałem dni na rozmowach z ziomkami i wracałem potem na dwór, by uśmierzyć gniew cesarski, spostrzegłem, że jest na świecie ktoś taki jak Colandrina. Była córką Guasca, dorastała powoli na moich oczach i nie wiedzieć kiedy stała się kobietą. Była pełna słodyczy i poruszała się z jakby niezgrabną gracją. Po historii z oblężeniem uchodziliśmy z ojcem za zbawców miasta, a ona wpatrywała się we mnie, jakbym był świętym Jerzym. Kiedy rozmawiałem z Guaskiem, siadała na ziemi przede mną, patrzyła błyszczącymi oczami i piła każde słowo z mych warg. Mógłbym być jej ojcem, gdyż miała zaledwie piętnaście lat, ja zaś trzydzieści osiem. Nie wiem, czy się w niej zakochałem, ale było mi miło, kiedy przebywała w pobliżu, tak że snułem opowieści o niewiarygodnych przygodach, byleby skupić na sobie jej uwagę. Spostrzegł to również Guasco, który był wprawdzie *miles*, a więc kimś więcej niż dworskim urzędnikiem jak ja (w dodatku chłopski syn), lecz jak ci już rzekłem, byłem beniaminkiem miasta, nosiłem u boku miecz, żyłem na dworze... Nie byłoby to złe małżeństwo i wyznał mi to sam Guasco: czemu nie weźmiesz sobie za żonę Colandriny, z którą mam tylko utrapienie, upuszcza naczynia, a kiedy cię nie ma, siedzi cały dzień przy oknie i wygląda, czy nie nadchodzisz. Było to wspaniałe wesele; odbyło się w kościele Świętego Piotra, katedrze, którą aleksandryjczycy podarowali świętej pamięci papieżowi, a o której istnieniu nowy papież nawet nie wiedział. I było to dziwne małżeństwo, gdyż zaraz po nocy poślubnej musiałem wracać do Fryderyka, i tak to trwało dobry rok: widywałem żonę od wielkiego dzwonu, ale za każdym razem, kiedy do niej wracałem, jej radość poruszała me serce.

– Miłowałeś ją?

– Tak mniemałem, lecz przecież po raz pierwszy miałem żonę i poza tym, co mężowie robią z żonami nocą, niezbyt dobrze wiedziałem, jak sobie w tej sytuacji poczynać: kiedy nastawał dzień, nie miałem pojęcia, czy powinienem pieścić ją jak małą dziewczynkę, czy traktować jak damę, skrzyczeć za niezdarność, nadal bowiem potrzebowała ojcowskiej ręki, czy wszystko wybaczać, by w końcu wpoić jej krnąbrność. Aż wreszcie pod koniec pierwszego roku małżeństwa oznajmiła, że spodziewa się dziecka, i wtedy zacząłem patrzeć na nią jak na Najświętszą Panienkę; kiedy wracałem, przepraszałem za nieobecność, prowadziłem ją w niedzielę do kościoła, żeby wszyscy widzieli, że zacna żona Baudolina urodzi mu syna, a jeśli spędzaliśmy wieczór razem, co zdarzało się nieczęsto, opowiadaliśmy sobie, co zrobimy z tym Baudolinkiem Colandrinkiem, którego nosiła w brzuchu, i ona przez czas jakiś myślała, iż Fryderyk da mi księstwo, a i ja gotów byłem w to uwierzyć. Snułem opowieści o królestwie księdza Jana, a ona mówiła, że za całe złoto świata nie puści mnie tam samego, bo kto wie, jak piękne damy tam żyją, i że chce zobaczyć to miejsce piękniejsze i większe niż Aleksandria i Solero razem wzięte. Potem opowiedziałem o Gradalisie, ona zaś otworzyła szeroko oczy: pomyśl, Baudolinie najdroższy, udasz się tam, wrócisz z owym kielichem, z którego pił nasz Pan, i staniesz się najsławniejszym rycerzem w całym świecie chrześcijańskim, zbudujesz w Montecastello świątynię dla tego Gradalisa i będą przybywać aż z Quargnento, by go ujrzeć... Snuliśmy marzenia jak dzieci, a ja mówiłem sobie: biedny Abdulu, myślałeś, iż miłość to niedosięgła księżniczka, a przecież moja miłość jest tak blisko, że mogę podrapać ją leciutko za uchem, a wtedy ona śmieje się i mówi, że ma łaskotki... Nie trwało to jednak długo.

– Czemu?

– Ponieważ w czasie, kiedy ona była brzemienna, aleksandryjczycy zawarli przymierze z Genuą przeciwko ludziom Silvana d'Orba. Było ich

kilku na krzyż, lecz krążyli wokół miasta, by rabować jego obywateli. Tego dnia Colandrina wyszła za mury, by nazbierać kwiatów, wiedziała bowiem, że przybywam. Zatrzymała się koło stada owiec i żartowała z pasterzem, który był człowiekiem jej ojca, aż tu nagle zgraja tych nikczemników rzuciła się, by zabrać stado. Może nie chcieli zrobić jej nic złego, ale potrącili ją, przewrócili i moją Colandrinę stratowały uciekające owce... Pasterz wziął nogi za pas, a ona leżała, dopóki domownicy nie znaleźli jej, z wysoką gorączką, albowiem dopiero późnym wieczorem spostrzegli, że nie wróciła. Guasco posłał po mnie, popędziłem do Aleksandrii, ale dotarłem tam dopiero dwa dni później. Leżała umierająca i kiedy mnie zobaczyła, jęła przepraszać, bo dziecko, powiadała, wyszło z niej przed czasem i już nie żyło, ona zaś gryzła się, gdyż nie potrafiła nawet dać mi syna. Wyglądała jak woskowa figurka Matki Boskiej i trzeba było przystawić ucho do jej warg, by usłyszeć, co mówi. Nie patrz na mnie, Baudolino, gdyż twarz zwiędła mi od płaczu, zobaczysz więc, żem nie tylko złą matką, ale i brzydką żoną... Umarła, prosząc mnie o wybaczenie, a ja prosiłem o wybaczenie ją, bo nie byłem u jej boku w chwili niebezpieczeństwa. Potem poprosiłem, by pokazali mi zmarłe dziecko, lecz nie chcieli. Było... było...

Baudolino zamilkł. Wzniósł twarz do góry, jakby nie chciał, żeby Niketas widział jego oczy.

– Było potworkiem – podjął po chwili – jak te, które zaludniały w naszych rojeniach ziemię księdza Jana. Maleńkie oczka jak dwie skośne szpary, chudziutka pierś i rączyny, które wyglądały jak macki ośmiornicy. A od brzucha do stóp było pokryte białą sierścią jak owca. Nie mogłem długo na nie patrzeć, kazałem je pogrzebać, ale nie wiedziałem nawet, czy powinno się wzywać księdza. Wyszedłem z miasta i krążyłem całą noc po Fraschecie, rozmyślając o tym, że przez całe dotychczasowe życie wymyślałem istoty z innego świata i w mojej wyobraźni były one cudownymi dziwami, które przez swą rozmaitość dawały świadectwo mocy

Pana, potem jednak, kiedy Pan zażądał, bym uczynił to, co czynią wszyscy, spłodziłem nie dziw nad dziwy, ale istotę odrażającą. Mój syn był kłamstwem natury, miał rację Otton, byłem kłamcą, lecz większym, niż on sądził, i tak dalece żyłem w kłamstwie, że nawet z mojego nasienia zrodziło się kłamstwo. Kłamstwo martwe. I wtedy zrozumiałem...

– Uznałeś, że czas odmienić swe życie... – rzucił z wahaniem Niketas.

– Nie, panie Niketasie. Uznałem, że skoro taki już mój los, daremnie bym próbował być jak inni. Moim przeznaczeniem było łgarstwo. Trudno wytłumaczyć to wszystko, co przemykało mi przez głowę. Powiadałem sobie: póki zmyślałeś, zmyślałeś rzeczy, które nie były prawdą, ale się nią stawały. Sprawiłeś, że pojawił się święty Baudolino, stworzyłeś bibliotekę u Świętego Wiktora, kazałeś magom krążyć po świecie, ocaliłeś miasto, tucząc wychudzoną krowinę, jeśli w Bolonii są doktorowie, to także twoja zasługa, dałeś Rzymowi mirabilia, o których rzymianie ani myśleli, szachrowałeś z szachrajstwem owego Hugona z Gabali i stworzyłeś królestwo niezrównanej piękności, aż sam pokochałeś swe urojenie, pisałeś listy, których nikt nie napisał, czytający rozpływali się w zachwycie, nawet ta, za którą je pisałeś, a przecież była cesarzową. A kiedyś zapragnął jeden jedyny raz uczynić coś prawdziwego i z niewiastą najszczerszą, jaka może chodzić po tej ziemi, spotkała cię klęska: stworzyłeś coś nie do wiary, czego nikt by nie chciał. Lepiej więc, byś zamknął się w świecie swoich dziwów, tam bowiem będziesz mógł przynajmniej decydować, jak dalece będą właśnie dziwami.

19

Baudolino zmienia nazwę swego miasta

– O biedny Baudolino! – rzekł Niketas, nie przerywając przygotowań do wyjazdu. – W kwiecie lat na zawsze pozbawiony żony i syna. A i ja mogę już jutro z ręki któregoś z barbarzyńców utracić ciało z mego ciała i moją umiłowaną małżonkę! O Konstantynopolu, królowo miast, tabernakulum Boga Najwyższego, sławo i chwało swych ministrów, rozkoszy cudzoziemców, cesarzowo miast cesarskich, pieśni nad pieśniami, splendorze nad splendorami, najrzadsze widowisko najrzadszych rzeczy, jakie człowiek może ujrzeć, co będzie z nami, którzy opuszczamy cię nadzy, jak nadzy wyszliśmy z łona naszych matek? Kiedyż cię obaczymy, i nie takim, jakim jesteś dzisiaj, padołem łez, zdeptanym przez żołdactwo?

– Zamilczże, panie Niketasie – rzekł na to Baudolino – a nie zapominaj, że być może po raz ostatni rozkoszujesz się tymi smakołykami godnymi Apicjusza. Czymże są te gałki mięsne, które mają woń waszego targu korzennego?

– To *keftedes*, woń zaś nadały im cynamon i szczypta mięty – odparł pocieszony w ten sposób Niketas. – I w ten ostatni dzień udało mi się sprowadzić nieco anyżówki, którą trzeba pić, kiedy rozpuści się w wodzie, tworząc mleczny obłok.

– Dobra, nie mroczy, człowiek czuje jakby rozmarzenie. Gdybym miał ją po śmierci mojej Colandriny, może mógłbym o niej zapomnieć, jak ty zapominasz o niedolach swojego miasta i wyzbywasz się wszelkiego lęku przed tym, co czeka cię jutro. Lecz ja oszałamiałem się winem z moich

rodzinnych stron, ono zaś od razu usypia człowieka, który po przebudzeniu czuje się gorzej niż przedtem.

Baudolino potrzebował roku, żeby uwolnić się od obłędu melancholii, jaka nim zawładnęła, roku, z którego nie pamiętał już nic – poza tym, że urządzał sobie galopady przez lasy i równiny, potem zaś zatrzymywał się gdzie popadło i pił, póki nie zmorzył go długi sen. W tych niespokojnych snach chwytał wreszcie Zosimę i wydzierał mu (wraz z brodą) mapę, dzięki której mógł dotrzeć do królestwa, gdzie wszystkie noworodki były *thinsiretae* i *methagallinarii*. Nie wrócił już do Aleksandrii, bał się bowiem, że rodzice albo Guasco i jego bliscy zechcą rozmawiać z nim o Colandrinie i poronionym dziecku. Często szukał pociechy u po ojcowsku życzliwego i rozumiejącego Fryderyka, który próbował go ukoić, mówiąc o pięknych i dobrych czynach, jakich mógłby dokonać dla cesarstwa. Aż pewnego dnia cesarz oznajmił, że postanowił rozwiązać jakoś sprawę Aleksandrii, że minął mu już gniew i chcąc sprawić przyjemność Baudolinowi, pragnie, by zabliźnił się ów *vulnus*, i to bez konieczności zrównania miasta z ziemią.

To zadanie dodało Baudolinowi nowych sił. Fryderyk sposobił się teraz do podpisania ostatecznego pokoju z lombardzkimi gminami i Baudolino mówił sobie, że właściwie jest to tylko kwestia ambicjonalna. Fryderyk nie mógł znieść myśli, że istnieje jakieś miasto, które wzniesiono bez jego pozwolenia, a na dodatek nosi ono imię jego wroga. No dobrze, jeżeli Fryderyk będzie mógł jeszcze raz założyć miasto, choćby w tym samym miejscu, tyle że pod inną nazwą, podobnie jak założył przecież od nowa Lodi, choć w innym miejscu, ale pod tą samą nazwą, wcale nie będzie musiał chować dud w miech. A czegóż pragną aleksandryjczycy? Mieć swoje miasto i prowadzić handel. Czystym przypadkiem było to, że jego nazwą uczcili Aleksandra III, który już nie żyje, nie może zatem poczuć się znieważony nadaniem miastu innej nazwy. Otóż i cały pomysł! Pewnego pięknego dnia Fryderyk stanie ze swym rycerstwem pod Aleksandrią, wszyscy mieszkańcy wyjdą poza mury, w ich obręb wkroczy orszak

biskupów, którzy dokonają dekonsekracji miasta, jeśli w ogóle można uznać, że było kiedykolwiek konsekrowane, czyli zdejmą z niego chrzest, a potem ochrzczą je nowym mianem Cezarei, miasta Cesarza, aleksandryjczycy zaś przejdą przed cesarzem, składając mu hołd, i wrócą, by objąć w posiadanie miasto nowiutkie i jakby inne, bo założone teraz przez cesarza, a potem będą w nim sobie żyli długo i szczęśliwie.

Jak widzimy, Baudolino dźwigał się ze swej rozpaczy dzięki jeszcze jednemu wspaniałemu błyskowi bujnej wyobraźni.

Fryderykowi ten pomysł przypadł dość do smaku, tyle że w tym okresie miał niejakie kłopoty z powrotem do Italii, ponieważ musiał załatwić ważne kwestie ze swoimi alemańskimi panami feudalnymi. Baudolino wziął zatem na swe barki sprawę rokowań. Wahał się, nim wjechał w mury miasta, ale wyszli mu na spotkanie rodzice i wszyscy troje roztopili się we łzach, które przynoszą ukojenie. Starzy kompani zachowywali się, jakby Baudolino nigdy nie wstąpił w związki małżeńskie, i zanim rozpoczęto rozmowy na temat jego posłannictwa, zaciągnęli go do tej samej co niegdyś oberży i postawili przed nim dzban cierpkiego białego wina z Gavi – za mało, by zasnął, dość, by rozbudzić w nim ducha. I wtedy Baudolino powiedział im o swoim pomyśle.

Pierwszy zabrał głos Gagliaudo.

– Przy nim staję się durny jako on. Ale bacz, ani nam w głowie takie pustoty, najpierw wychodzimy, potem wchodzimy, raz, dwa, wychodzę ja, raz, dwa, trzy, wchodzisz ty, o nie, wielkie dzięki, brakuje tylko tego, byśmy zaczęli do wtóru dud pląsać treskonę na cześć świętego Baudolina!...

– Nie, pomysł jest dobry – rzekł Boidi – ale potem zwać się będziemy nie aleksandryjczykami, jeno cezarejczykami, i wstyd mi, nie przejdzie mi to przez usta, kiedy będę gadał z mieszkańcami Asti.

– Dość tych głupstw, przecież zawsze nas rozpoznają – odparował Oberto z Foro – dla mnie mogą przechrzcić miasto, ale przemaszerować przed nim i złożyć mu hołd to wcale mi nie w smak: w końcu, to my

spraliśmy go po tyłku, nie zaś on nas, nie ma więc powodu, żeby okazywał nam taką wyniosłość.

Cuttica z Quargnento zapewnił, że zmiana nazwy to sprawa błaha, i kto dba o to, czy miasto nazywa się Cezaretta, czy Cezarona, jeśli o niego chodzi, może się również nazywać Cesira, Olivia, Sofronia albo Eutropia, ważne jest to, czy Fryderyk zamierza przysłać nam swojego podestę, czy też zadowoli się tym, że potwierdzi powołanie konsulów, których sami sobie wybiorą.

– Wracaj i zapytaj, jak chce postąpić – rzekł Guasco.

A Baudolino na to:

– No tak, będę wędrował tam i z powrotem przez Alpy, aż dojdziecie do jakiej zgody. O nie, mój panie, dacie pełnomocnictwo dwóm spośród waszych, a oni udadzą się ze mną do cesarza i obgadają rzecz całą tak, żeby wszyscy byli kontenci. Kiedy Fryderyk znowu ujrzy dwóch aleksandryjczyków, zaczną mu latać czerwone plamy przed oczami i zobaczycie, że zgodzi się na układ, byleby się od nich uwolnić.

Tak więc dwaj wysłannicy miasta wyruszyli w drogę z Baudolinem, Anzelm Conzani i Teobald z Guasców. Cesarza zastali w Norymberdze i rychło doszło do zawarcia umowy. Rozstrzygnięta została także od razu sprawa konsulów, chodziło tylko o zachowanie form, wybiorą ich sobie aleksandryjczycy, cesarz zaś będzie mianował.

W sprawie hołdu Baudolino wziął cesarza na stronę i rzekł:

– Ojcze mój, nie możesz się tam udać, poślesz legata. Mnie. W końcu jestem twoim urzędnikiem i jako takiego pasowałeś mnie w swej ogromnej dobroci na rycerza, jestem prawdziwy *Ritter*, jak powiada się tutaj.

– Racja, ale jednak należysz do szlachty z tytułu służby, możesz mieć posiadłości lenne, ale nie możesz ich rozdawać i nie możesz mieć wasali, a także...

– A jakie to ma znaczenie dla moich ziomków, którym wystarczy, że ktoś dosiadł konia, by mógł rozkazywać? Złożą hołd twojemu przedstawicielowi, a więc tobie, lecz tym twoim przedstawicielem będę ja, czyli jeden z nich, i przez to nie będą mieli poczucia, że składają hołd tobie. Potem, jeśli tylko zechcesz, każesz im wszystkie przysięgi i tak dalej złożyć twemu cesarskiemu szambelanowi. Stanie przy mnie, oni zaś nie będą nawet wiedzieć, który z nas dwóch jest ważniejszy. Musisz zrozumieć, jacy są ludzie. Chyba wszystkim wyjdzie na dobre, jeśli uporządkujemy raz na zawsze tę sprawę.

I tak to w połowie marca 1183 roku odbyła się ceremonia. Baudolino oblókł uroczysty strój, w którym wyglądał na kogoś znaczniejszego niż sam graf Monferratu, i rodzice pożerali go wzrokiem: dłoń wspierał na rękojeści miecza, dosiadał białego konia, który ani chwili nie mógł ustać spokojnie. „Wystroił się niby pański pies” – rzekła olśniona matka. Na to, że miał u boku dwóch heroldów z cesarskimi chorągwiami, cesarskiego szambelana Rudolfa i wielu innych szlachciców cesarstwa, a także biskupów, których trudno by zliczyć, w tym momencie nikt ani baczył. Byli tu jednak również przedstawiciele innych miast lombardzkich, by poprzestać na Lanfrancu z Como, Sirze Salimbene z Pawii, Filippie z Casale, Gerardzie z Novary, Pattineriu z Orsony i Malavisce z Brescii.

Baudolino zajął miejsce na wprost bramy miejskiej i oto wszyscy aleksandryjczycy wyszli szeregiem z miasta, niosąc małe dzieci na ręku, prowadząc starców pod rękę, a nie zabrakło chorych na wozie, głupków i chromych ni bohaterów oblężenia – ten bez nogi, tamten bez ręki, inny siedzący gołym zadkiem na desce z kółkami i odpychający się rękami od ziemi. Ponieważ nikt nie wiedział, jak długo pozostaną poza domem, wielu przyniosło posiłek, jeden chleb i kiełbasę, drugi pieczoną kurę, trzeci zabrał koszyk z owocami, tak że wyglądało to na przyjemną wycieczkę za miasto.

Prawdę mówiąc, było jeszcze chłodno, pola okrywał szron, siedzenie na ziemi było więc udręką. Wywłaszczeni dopiero co mieszczanie stali,

przytupywali, chuchali w dłonie, a któryś powiedział: „Skończmy wreszcie ten jarmark, bo zostawiliśmy garnki na ogniu!”

Ludzie cesarza weszli do miasta i nikt nie wiedział, co tam robią, nawet Baudolino, który czekał poza murami na przemarsz powrotny. Wreszcie jeden z biskupów wystąpił i oznajmił, że jest to z łaski świętego i rzymskiego cesarza miasto Cezarea. Stojący za plecami Baudolina cesarscy podnieśli oręż i chorągwie i sławili pieśnią wielkiego Fryderyka. Baudolino podjechał truchtem do najbliższych gromad tymczasowych uchodźców i jako przedstawiciel cesarstwa oświadczył, że Fryderyk właśnie założył to szlachetne miasto wywodzące się z siedmiu miejscowości, to jest Gamondio, Marengo, Bergoglio, Roboreto, Solero, Foro i Oviglio, że obdarzył je nazwą Cezarea i że oddaje oto zebranym tu mieszkańcom rzeczonych osad, zapraszając do przejęcia tego najeżonego wieżami daru.

Szambelan cesarski wymienił niektóre artykuły umowy, ale wszyscy byli zmarznięci i pozwolili, by szybko prześliznął się nad szczegółami dotyczącymi regaliów, *curadia*, myta i wszystkich innych rzeczy, które rozstrzygają o ważności traktatu. „Nuże, Rudolfie – rzekł cesarskiemu szambelanowi Baudolino – to wszystko jest farsą, im prędzej więc z tym skończymy, tym lepiej”.

Wygnańcy ruszyli ku miastu, a byli tu wszyscy poza Obertem z Foro, który nie mógłby znieść hańby, jaką był ten hołd dla kogoś, kto pokonał cesarza, i wysłał w zastępstwie jako swych *nuncii civitatis* Anzelma Conzaniego i Teobalda Guasca.

Przechodząc przed obliczem Baudolina, *nuncii* nowej Cezarei złożyli urzędową przysięgę, choć posługiwali się łaciną tak okropną, że gdyby oświadczyli później, iż przysięgli coś wręcz przeciwnego, nie byłoby sposobu im zaprzeczyć. Inni przechodzili za nimi, opieszale i niedbale składając byle jaki pokłon, przy czym niektórzy mówili: „Czołem, Baudolinie, jak się miewasz, Baudolinie, hejże ha, Baudolinie, jeszcze nie

wybieramy się na tamten świat, pewnie więc się zobaczymy, prawda? Zawsze nas tu zastaniesz”. Gagliaudo, przechodząc, burknął, że to zwykłe wygłupy, ale okazał odrobinę taktu i uniósł kapelusz, a ponieważ uczynił to przed obliczem tego nicponia, swojego syna, jego hołd był więcej wart, niż gdyby lizał stopy Fryderyka.

Po zakończeniu ceremonii zarówno Lombardczycy, jak i Teutoni oddalili się czym prędzej, jakby gnał ich wstyd. Natomiast Baudolino wszedł ze swoimi ziomkami w obręb murów.

Usłyszał wtenczas, jak ten i ów powiada:

– Patrz no, jakie piękne miasto!

– Przyjrzyj się jednak, czyż bowiem nie przypomina poprzedniego, jakże się ono zwało?

– Alemańska technika! Pomyśl tylko, migiem zbudowali takie piękne miasto!

– Spójrz tam, w głębi, zupełnie mój dom, odbudowali go bez żadnej zmiany!

– No, chłopaki! – zakrzyknął Baudolino. – Dziękujcie, żeście wybrnęli z opresji, nie płacąc frycowego!

– A ty nie bądź taki ważny, bo jeszcze w to uwierzysz!

Był to piękny dzień. Baudolino pozbył się wszystkich oznak swojej władzy i poszedł świętować. Na placu katedralnym dziewczęta utworzyły koło i tańczyły z zapałem, Boidi zaś zaprowadził Baudolina do oberży i w sieni pachnącej czosnkiem wszyscy utaczali wino prosto z baryłek, albowiem w takim dniu nie powinno być ni panów, ni sług, a już osobliwie usługujących w karczmie dziewcząt, które ktoś sprowadził wcześniej na górę – ale mężczyzna jest łowcą, to rzecz wiadoma.

– Krew Jezusa Chrystusa – powiedział Gagliaudo, nalewając trochę wina na rękaw, by pokazać, że sukno go nie wchłania, i na rękawie pozostała zwarta kropla o rubinowym połysku, który cechuje naprawdę dobry trunek.

– Teraz przez kilka lat miasto będzie się zwało Cezareą, w każdym razie na opatrzonym pieczęciami pergaminie – szepnął Boidi Baudolinowi do ucha – ale potem znowu będziemy nazywać je po staremu i chciałbym zobaczyć kogoś, kto będzie o to dbał.

– Racja – odparł Baudolino – potem nazwiecie je jak dawniej, bo tak zwała je Colandrina, mój aniołek, który jest w niebie i mógłby się pomylić przy zsyłaniu błogosławieństw.

– Panie Niketasie, poczułem, że prawie pogodziłem się z moimi nieszczęściami, albowiem synowi, którego nigdy nie miałem, i małżonce, którą miałem zbyt krótko, dałem przynajmniej miasto i zadbałem, by nikt go nie gnębił. Być może – dodał Baudolino natchniony anyżówką – pewnego dnia Aleksandria stanie się nowym Konstantynopolem, trzecim Rzymem, pełno w niej będzie wież i bazylik, pełno mirabiliów z całego świata.

– Oby zechciał Bóg – odparł Niketas, wznosząc kielich.

20

Baudolino odnajduje Zosimę

W kwietniu cesarz podpisał w Konstancji ostateczny układ z ligą gmin lombardzkich. W czerwcu dotarły niezbyt jasne wieści z Bizancjum.

Trzy lata temu zmarł Manuel i bazyleusem został jego syn Aleksy, który zaledwie wyrósł z wieku dziecięcego. A było to dziecko źle wychowane, wyjaśnił Niketas, któremu dni mijały na karmieniu się ulotnymi wrażeniami i które nie zaznało jeszcze radości i cierpień, oddawało się łowom i konnym przejażdżkom, zabawom z rówieśnikami, a w tym czasie rozmaici pretendenci starali się zdobyć bazylissę, jego matkę, jedni zlewając się wonnościami jak głupcy i obwieszając koliami jak niewiasty, inni oddając się trwonieniu grosza publicznego, a każdy spełniając własne zachcianki i walcząc z pozostałymi – jakby usunięto kolumnę wspierającą i wszystko zawisło w tymczasowości.

– Spełniła się rzecz, której zapowiedź mieliśmy w chwili śmierci Manuela – rzekł Niketas. – Pewna niewiasta wydała na świat syna ze źle ukształtowanymi i krótkimi członkami i zbyt dużą głową, to zaś zapowiadało wielowładztwo, które jest matką anarchii.

– Od naszych szpiegów dowiedziałem się natychmiast, że jeden z kuzynów, Andronik, trzymając się w cieniu, knuje intrygi.

– Był bratem Manuela, więc stryjcem dla małego Aleksego. Dotychczas przebywał na wygnaniu, gdyż Manuel uważał go za wiarołomnego zdrajcę. Teraz zbliżył się podstępnie do Aleksego, udając, że żałuje swych dawnych błędów i chce zapewnić mu opiekę, i zdobywał powoli coraz większe

wpływy. Krocząc od spisku do trucicielstwa, piął się ku cesarskiemu stolcowi, aż wreszcie, kiedy był już stary i wycieńczony od zawiści i nienawiści, pchnął lud konstantynopolski do buntu i doprowadził do tego, że obwołano go cesarzem. Spożywając błogosławioną hostię, przysiągł, że władzę obejmuje tylko po to, by bronić młodziutkiego bratanka, lecz niedługo potem jego zły duch, Stefan Agiochristoforyta, udusił młodziutkiego Aleksego cięciwą łuku. Kiedy przyniesiono biedne zwłoki Andronikowi, ten rozkazał cisnąć je w głąb morza, lecz przedtem obciąć głowę, którą ukryto potem w miejscu zwanym Katabates. Nie rozumiem dlaczego, chodzi bowiem o ruiny starego monasteru tuż za murami Konstantynopola.

– A ja to wiem. Moi szpiedzy donieśli, że z Agiochristoforytą był arcyuduchowiony mnich, którego Andronik chciał po śmierci Manuela mieć przy sobie jako człeka biegłego w nekromancji. Zważ tylko, zwał się Zosima i był sławny z przyzywania duchów zmarłych do ruin tego monasteru, który obrał sobie za podziemną rezydencję... Tak zatem odnalazłem Zosimę, a w każdym razie wiedziałem, gdzie go znaleźć. Działo się to w listopadzie roku 1184; wtedy też zmarła nagle Beatrycze z Burgundii.

Znowu zapadło milczenie. Baudolino zajął się niespiesznym popijaniem swego trunku.

– Przyjąłem tę śmierć jako karę. Było rzeczą sprawiedliwą, by po drugiej kobiecie mojego życia odeszła także pierwsza. Miałem już ponad czterdzieści lat. Mówiono mi, że w Terdonie jest czy był kościół słynący z tego, iż ludzie w nim ochrzczeni cieszyli się życiem czterdzieści lat. Przekroczyłem już granicę wyznaczoną tym, na których spłynęła ta łaska. Mógłbym spokojnie umrzeć. Nie mogłem patrzeć na Fryderyka: śmierć Beatrycze zwaliła go z nóg, chciał zająć się pierwszym synem, który miał już dwadzieścia lat, ale coraz bardziej zapadał na zdrowiu, i powoli przygotowywał sukcesję dla drugiego syna, Henryka, doprowadzając do

jego koronacji na króla Italii. Coraz bardziej się starzał, biedny mój ojciec, nie Rudobrody teraz, lecz Siwobrody... Wyprawiałem się jeszcze parę razy do Aleksandrii i odkryłem, że starzeją się również moi rodzice cieleśni. Byli siwi, sękaci i słabi jak owe kule białej materii, które widywałem toczące się wiosną po polach, pochyleni jak krzak w wietrzny dzień, całe dni spędzali przy palenisku, kłócąc się o jakąś nieodstawioną na miejsce miskę albo o upuszczone przez jedno z nich jajko. A kiedy ich odwiedzałem, robili mi wyrzuty, że nigdy do nich nie przychodzę. Wtedy to postanowiłem wyrzec się dawnego życia, udać się do Bizancjum, by odnaleźć Zosimę – nawet gdyby mieli mnie potem oślepić i gdyby przyszło mi spędzić resztę życia w lochu.

Wyprawa do Konstantynopola mogła być niebezpieczna, gdyż kilka lat wcześniej mieszkańcy miasta, podbechtani przez Andronika, zanim ten zasiadł na tronie, wystąpili przeciwko miejscowym łacinnikom, zabijając niemałą ich liczbę, plądrując ich domy i zmuszając wielu do schronienia się na Wyspach Książąt. Teraz już wenecjanie, genueńczycy czy pizańczycy mogli, jak się zdaje, znowu poruszać się po mieście, byli bowiem niezbędni dla dobrobytu cesarstwa, lecz właśnie Wilhelm II, król Sycylii, wyruszał przeciwko Bizancjum, a dla Greczynów łacinnikiem był Prowansalczyk, Aleman, Sycylijczyk i Rzymianin – bez różnicy. Postanowili więc wypłynąć z Wenecji i dotrzeć na miejsce drogą morską jako karawana kupców przybywających (był to pomysł Abdula) z Taprobane. Gdzie leży Taprobane, wiedziało niewielu, może nawet nikt, a Bizantyjczycy nie mogli mieć najmniejszego pojęcia, jakim językiem się tam mówi.

Tak zatem Baudolino wystroił się jak perski dygnitarz, rabbi Solomon, który nawet w Jerozolimie rzucałby się w oczy jako Żyd, objął rolę medyka kompanii i przywdział piękną ciemną symarę usianą znakami zodiakalnymi, Poeta wyglądał w błękitnym kaftanie na tureckiego kupca, Kyot mógł uchodzić za Libańczyka, jednego z tych, co to ubierają się

nędznie, ale mają sakiewki pełne złotych monet, Abdul, który ogolił sobie głowę, żeby nie było widać jego rudych włosów, w końcu upodobnił się do wysokiej rangi eunucha, mającego sługę w osobie Borona.

Jeśli chodzi o język, postanowili posługiwać się między sobą złodziejskim żargonem, którego nauczyli się w Paryżu i którym władali doskonale – co niejedno mówi nam o tym, na jakich zajęciach trawili czas podczas tamtych szczęśliwych dni młodości. Język ten, niezrozumiały nawet dla paryżan, w przypadku Bizantyjczyków mógł z powodzeniem uchodzić za język krainy Taprobane.

Wyruszyli z Wenecji na początku lata, a podczas jednego z postojów, w sierpniu, dowiedzieli się, że Sycylijczycy zdobyli Tessalonikę i wyroili się już nawet na północnym wybrzeżu Propontydy; kiedy więc wpłynęli w środku nocy na tę część morza, kapitan wolał nadłożyć drogi i poruszać się wzdłuż przeciwległego brzegu, by dopiero potem wziąć kurs na Konstantynopol – jakby przybywał z Chalcedonu. Chcąc ich pocieszyć, obiecał, że wpłyną do portu w sposób godny bazyleusa, gdyż Konstantynopol – oświadczył – trzeba ujrzeć właśnie tak, w pierwszych promieniach słońca.

Kiedy Baudolino i jego kompania wyszli o świcie na pokład, poczuli zawód, gdyż brzeg był zasnuty gęstą mgłą, lecz kapitan zaraz ich uspokoił: tak właśnie trzeba zbliżać się do miasta, niespiesznie, a to zamglenie, które przenikają zresztą pierwsze światła jutrzenki, stopniowo się rozproszy.

Po następnej godzinie żeglowania kapitan wskazał biały punkt, a był to szczyt kopuły, która wyglądała, jakby przebijała mgłę... Wkrótce w tej bieli zarysowały się na brzegu kolumny pałacowe, potem kształty i kolory paru domów, zabarwione różem dzwonnice, a dalej mury i wznoszące się z nich wieże. Później nagle pojawił się ogromny cień, okryty jeszcze kłębami oparów, które wznosiły się z wyżyny i płynęły przez przestworza, a wreszcie ujrzeli, jak zarysowuje się harmonijna i jaśniejącą w pierwszych

promieniach słońca kopuła Hagia Sofia – jakby wskutek jakiegoś cudu wyłaniająca się z nicości.

I od tej chwili przeżywali nieustające objawienie, patrzyli na kolejne wieże i kopuły pojawiające się na tle nieba, które oczyszczało się stopniowo, odsłaniając tryumf zieleni, złocone kolumny, białe perystyle, różowe marmury i całą chwałę cesarskiego pałacu Bukoleon w otoczeniu cyprysów z wielobarwnego labiryntu wiszących ogrodów. A później wielki łańcuch zagradzający wejście do Złotego Rogu i po prawej stronie białą wieżę Galaty.

Baudolino opowiadał o tym ze wzruszeniem, a Niketas raz po raz powtarzał zasmucony, jaki Konstantynopol był piękny, kiedy był piękny.

– Ach, w tym mieście nie brakowało przeżyć – mówił Baudolino. – Ledwie znaleźliśmy się w Konstantynopolu, mieliśmy już wyobrażenie, co się tu dzieje. Dotarliśmy do Hipodromu, kiedy trwały właśnie przygotowania do kaźni wroga bazyleusa...

– Andronik oszalał. Wasi łacinnicy z Sycylii zniszczyli ogniem i mieczem Tessalonikę, Andronik kazał przeprowadzić pewne prace fortyfikacyjne, a potem przestał się interesować zagrożeniem. Oddawał się rozwiązłemu życiu i powtarzał, że nie warto bać się nieprzyjaciół, skazywał na męki tych, którzy mogliby mu pomóc, wyjeżdżał z miasta w otoczeniu nierządnic i konkubin, krył się jak zwierzę w wąwozach i lasach, a przy nim zawsze były gamratki, jak kury trzymające się koguta, jak bachantki wokół Dionizosa, brakowało mu tylko skóry jelenia na grzbiecie i żółtej jak szafran sukni. W jego otoczeniu byli tylko fleciści i hetery, był niepohamowany jak Sardanapal, lubieżny jak polip, jego rozpasanie było nie do zniesienia; jadał mięso nieczystego zwierzęcia nilowego podobnego do krokodyla, co sprzyjało ponoć ejakulacji... Nie chcę jednak, byś miał go za złego władcę. Dokonywał też wielu dobrych czynów, ograniczył nadzwyczajne podatki, ogłosił edykty, które miały przeszkodzić zatapianiu

w portach okrętów w celach rabunkowych, odbudował stary podziemny akwedukt, kazał odnowić kościół Czterdziestu Świętych Męczenników...

– Był więc właściwie człekiem zacnym...

– Nie wkładaj mi w usta rzeczy, których nie powiedziałem. Sedno sprawy w tym, że bazyleus może wykorzystać władzę, by czynić dobro, ale by zachować władzę, musi czynić zło. Ty też żyłeś u boku człowieka sprawującego władzę, ty też przyznałeś, że ktoś taki może być szlachetny i porywczy, okrutny i dbały o wspólne dobro. Jeśli kto nie chce grzeszyć, to jedyny sposób zamieszkać na szczycie słupa, jak czynili to niegdyś święci ojcowie, dzisiaj jednak po tych słupach zostały sterty gruzów.

– Nie chcę spierać się z tobą o to, jaki sposób rządzenia tym cesarstwem jest najwłaściwszy. To wasze cesarstwo, a przynajmniej było wasze. Wracam do mojej opowieści. Zamieszkaliśmy tutaj, u tych genueńczyków, już wtedy wyczułem bowiem, że to oni są naszymi najwierniejszymi szpiegami. I właśnie Boiamondo odkrył pewnego dnia, że tegoż wieczoru bazyleus zamierza udać się do starej krypty w Katabates, by uczestniczyć w magicznych i wróżbiarskich praktykach. Jeśli chcieliśmy dopaść Zosimę, nastręczała się dobra po temu okazja.

Kiedy przyszedł wieczór, wyruszyli ku Murowi Konstantyna, gdzie nieopodal kościoła Świętych Apostołów wznosił się jakby niewielki pawilon. Boiamondo wyjaśnił, że stąd właśnie można dojść bezpośrednio do krypty, bez przechodzenia przez kościół monasteru. Otworzył jakieś drzwi, kazał im zejść po oślizgłych schodkach i nagle znaleźli się w korytarzu przesiąkniętym wonią stęchlizny i wilgoci.

– Jesteśmy na miejscu – rzekł Boiamondo – przejdziecie kilka kroków prosto przed siebie i znajdziecie się w krypcie.

– A ty?

– Nie pójdę tam, gdzie cokolwiek robi się ze zmarłymi. Jeśli mam coś robić, to wolę z żywymi, i najlepiej odmiennej płci.

Poszli więc sami i minęli salę o niskim sklepieniu, gdzie zobaczyli triklinia, łóżka z pościelą w nieładzie, kilka leżących na ziemi kielichów, brudne talerze z resztkami pozostałymi po hulance. Ten żarłok Zosima najwyraźniej nie ograniczał się tutaj to odprawiania rytuałów ze zmarłymi, ale robił też rzeczy, które nie wzbudziłyby zgoła odrazy Boiamonda. Wyglądało jednak na to, że orgiastyczne wyposażenie upchnięto w pośpiechu po najmroczniejszych kątach, gdyż tego wieczoru Zosima wyznaczył bazyleusowi spotkanie, by ten mógł rozmawiać ze zmarłymi, nie zaś z nierządnicami, wiadomo bowiem – powiedział Baudolino – że ludzie uwierzą we wszystko, byleby tylko mówili im o tym zmarli.

Dalej widać było światła i zaraz dotarli do okrągłej krypty oświetlonej zapalonymi już świecami w dwóch trójnogach. Krypta otoczona była kolumnami, a za nimi widać było wejścia do korytarzy czy tuneli, które prowadziły nie wiadomo dokąd.

Pośrodku stała pełna wody misa, której krawędź tworzyła jakby kanalik biegnący dokoła nad powierzchnią wody i napełniony jakąś oleistą substancją. Obok, na małej kolumnie umieszczono jakiś bliżej nieokreślony przedmiot, na który narzucono czerwoną tkaninę. Baudolino wiedział z zasłyszanych plotek, że Andronik najpierw oddał się w ręce brzuchomówców i astrologów i daremnie szukał w Bizancjum kogoś, kto jak starożytni Grecy umiałby przepowiadać przyszłość z lotu ptaków, a ponieważ nie obdarzył zaufaniem paru nędzników chełpiących się umiejętnością wyjaśniania snów, w końcu zawierzył hydromantom, to jest ludziom w rodzaju Zosimy, którzy umieli wróżyć, zanurzając w wodzie jakąś rzecz należącą do zmarłego.

Weszli do krypty, wychodząc zza ołtarza, a kiedy obrócili głowy, ujrzeli ikonostas, nad którym górował Chrystus Pantokrator przyglądający się im uważnie szeroko otwartymi i pełnymi surowości oczami.

Baudolino zwrócił swoim towarzyszom uwagę, że jeśli wiadomości Boiamonda są ścisłe, z pewnością zaraz ktoś tu przyjdzie, trzeba się więc

ukryć. Wybrali ten fragment kolumnady, na który nie padało światło trójnogów, i tam zajęli stanowiska – w ostatniej chwili, bo dały się już słyszeć czyjeś kroki.

Z lewej strony ikonostasu ukazał się Zosima – okryty symarą z wyglądu bardzo podobną do tej, którą miał na sobie rabbi Solomon. Baudolinowi krew uderzyła do głowy i wydawało się, że zaraz wypadnie zza kolumn, by rzucić się na zdrajcę. Mnich z należytą powagą wiódł za sobą ubranego we wspaniałe szaty mężczyznę, za którym podążały dwie następne osoby. Pełna szacunku postawa tych ostatnich wskazywała, że mężczyzną jest bazyleus Andronik.

Sceneria musiała wywrzeć ogromne wrażenie na monarsze, stanął bowiem jak wryty. Przeżegnał się pobożnie przed ikonostasem.

– Czemu mnie tu sprowadziłeś? – spytał po chwili Zosimę.

– Panie mój – odparł mnich – zaprosiłem cię tu, gdyż prawdziwą hydromancję uprawia się tylko w miejscach konsekrowanych, jedynie tam bowiem można nawiązać stosowne porozumienie z królestwem zmarłych.

– Nie jestem tchórzem – rzekł bazyleus i raz jeszcze zrobił znak krzyża – czy jednak nie lękasz się przyzywać zmarłych?

Zosima zaśmiał się zuchwale.

– Panie, mógłbym podnieść te oto dłonie, a śpiący z dziesięciu tysięcy konstantynopolskich *loculi* padliby pokornie do moich stóp. Nie potrzebuję jednak wzywać tych ciał do żywota. Mam pewną cudowną rzecz, dzięki której szybciej porozumiem się ze światem mroków.

Podpalił od jednego z trójnogów łuczywo i przyłożył je do kanalika wokół krawędzi misy. Olej zapłonął i korona płomieni, przemykając dokoła, rozświetliła powierzchnię wody mieniącymi się błyskami.

– Nic nie widzę – rzekł bazyleus, nachylając się nad misą. – Spytaj tej swojej wody, kto taki gotuje się do tego, by zająć moje miejsce. Zdaję sobie

sprawę, że w mieście panuje ferment, ale chcę wiedzieć, kogo mam obrócić w proch, by niczego się nie lękać.

Zosima podszedł do okrytego czerwoną tkaniną przedmiotu na kolumience, zerwał teatralnym gestem zasłonę i podsunął bazyleusowi prawie krągłą rzecz, którą trzymał w rękach. Nasi przyjaciele nie mogli dostrzec, co to takiego, ale zobaczyli, że bazyleus cofa się, drżąc na całym ciele, jakby chciał znaleźć się jak najdalej od nieznośnie dręczącego widoku.

– Nie, nie – powiedział – tylko nie to! Zażądałeś tej rzeczy, bo była ci potrzebna do obrządków, ale nie wiedziałem, że podsuniesz mi ją pod oczy!

Zosima uniósł swe trofeum i prezentował je wyimaginowanemu zgromadzeniu niby monstrancję, obracając na wszystkie strony pieczary. Była to głowa dziecka, o nie zmienionych jeszcze rysach, jakby przed chwilą odjęto ją od ciała: zamknięte oczy, rozszerzone nozdrza wąskiego nosa, małe, leciutko rozchylone wargi, które okrywały dwa równe rzędy drobnych zębów. W nieruchomości tej twarzy i osobliwej ułudzie życia było tym więcej dostojeństwa, że miała jednolicie złociste zabarwienie i odnieśliśmy wrażenie, iż błyszczy w świetle płomyków, do których zbliżał ją Zosima.

– Aby dopełnić obrzędu, musiałem użyć głowy twojego bratanka Aleksego – powiedział Zosima, zwracając się do bazyleusa. – Aleksego łączyły z tobą więzy krwi i dlatego jego pośrednictwo ułatwi ci dotarcie do świata tych, których nie ma.

I powoli zanurzył w płynie ten mały przerażający przedmiot, opuszczając go na samo dno misy, nad którą Andronik pochylił się na tyle, na ile pozwalała korona płomieni.

– Woda zmętniała – powiedział szeptem lekkim jak tchnienie.

– Zyskała w Aleksym ziemski żywioł, na który czekała, i teraz go bada – wyszeptał Zosima. – Poczekajmy, by mgła się rozproszyła.

Nasi przyjaciele nie mogli widzieć, co dzieje się w wodzie, ale zdali sobie w pewnym momencie sprawę, że stała się z powrotem przejrzysta i że widać na dnie oblicze małego bazyleusa.

– Na moce piekielne, wracają mu dawne kolory – wybełkotał Andronik – i mogę odczytać znaki, które ukazały się na jego czole... Och, cud!... Jota, sigma...

Nie trzeba być hydromantą, by zrozumieć, co się stało. Zosima wyrył na czole Aleksego dwie litery, a potem pokrył twarz złocistą, rozpuszczalną w wodzie substancją. Sztuczna powłoka rozpuściła się i nieszczęsna ofiara przekazywała zleceniodawcy zabójstwa znak, który Zosima, albo ktoś za nim stojący, chciał przekazać.

I rzeczywiście, Andronik sylabizował:

– Jota, sigma, IS... IS... – Wyprostował się, kręcił jakiś czas w palcach kosmyki brody, ciskał, zdawało się, z oczu płomienie, pochylił głowę, jakby się zastanawiał, a wreszcie poderwał ją niby ognisty rumak, który z trudem się hamuje. – Isaac! – ryknął – Wrogiem jest Izaak Komnen! Co on tam knuje na Cyprze? Poślę flotę i unicestwię go, zanim ten nędznik zdoła cokolwiek przedsięwziąć!

Jeden z dwóch towarzyszących mu mężczyzn wyszedł z cienia i Baudolino zauważył, że miał twarz człowieka, który gotów byłby upiec własną matkę, gdyby zabrakło mu na stole mięsiwa.

– Panie – rzekł. – Cypr jest zbyt daleko, a twoja flota musiałaby opuścić Propontydę, przepływając obok miejsca, którym zawładnęły zastępy króla Sycylii. Ale jak ty nie możesz udać się do Izaaka, tak on nie może przybyć do ciebie. Nie o Komnenie myślałbym, lecz o Izaaku Angelosie, który jest tu, w mieście, a wiesz wszak, że zgoła cię nie miłuje.

– Stefanie – zaśmiał się pogardliwie Andronik – chcesz, bym zaprzątał sobie głowę Izaakiem Angelosem? Jak mogłeś choćby pomyśleć, że ten dychawiczny koń, ten impotent, ten człek bez talentów i nieporadny

śmiałby choćby wyobrazić sobie, że mógłby mi zagrozić? Zosimo, Zosimo! – krzyknął ze złością. – Ta woda i głowa mówi mi o kimś, kto albo znajduje się zbyt daleko, albo jest zbyt głupi! Po co ci oczy, skoro nie umiesz niczego wyczytać z tego naczynia napełnionego szczyną?

Zosima zrozumiał, że może stracić oczy, ale na jego szczęście głos zabrał tenże Stefan, który przemówił przed chwilą. Zapowiadał z wyraźną uciechą nowe zbrodnie, Baudolino domyślił się więc, że jest to Stefan Agiochristoforyta, zły duch Andronika, tenże, który udusił młodziutkiego Aleksego i uciął mu głowę.

– Panie, nie waż sobie lekce cudów. Widziałeś wszak, że na twarzy chłopca pojawiły się znaki, których z pewnością za życia na niej nie było. Może Izaak Angelos jest człekiem małym i tchórzliwym, lecz żywi do ciebie nienawiść. Wszak bywało, że inni, mniejsi i tchórzliwsi niż on, podnosili rękę na ludzi wielkich i śmiałych jak ty, jeżeli byli jacyś mogący się z tobą równać... Udziel swej zgody, a jeszcze tej nocy schwycę Angelosa i własnymi rękami wydrę mu oczy, a potem powieszę go na kolumnie we własnym pałacu. Ludowi powie się, że otrzymałeś znak z niebios. Lepiej od razu pozbyć się kogoś, kto na razie ci nie zagraża, niż zostawić go przy życiu, by kiedyś mógł ci zagrozić. Winniśmy uderzyć pierwsi.

– Chcesz wykorzystać mnie, by uśmierzyć jakąś swą urazę – odparł bazyleus – ale może zdarzyć się i tak, że czyniąc zło, sprzyjasz dobru. Usuń Izaaka. Nie podoba mi się tylko... – Spojrzał na Zosimę tak, że ten zaczął drżeć jak osika. – Nie podoba mi się tylko, że skoro Izaak rozstanie się z życiem, nigdy nie dowiem się, czy naprawdę chciał mi zaszkodzić, czy zatem ten mnich wyjawił prawdę. Ale w końcu podsunął mi słuszne podejrzenie, a kiedy myśli się o kimś źle, prawie zawsze ma się rację. Stefanie, musimy okazać mu naszą wdzięczność. Zadbaj, by dostał to, czego zażąda.

Dał ręką znak swoim dworzanom i wyszedł, zostawiając samego Zosimę, który powoli wyzbywał się przerażenia sprawiającego, że stał jak

skamieniały nad swoją misą.

– Agiochristoforyta rzeczywiście nienawidził Izaaka Angelosa i najwyraźniej zmówił się z Zosimą, by ściągnąć na jego głowę niełaskę – rzekł Niketas. – Lecz służąc własnej nienawiści, nie pracował dla dobra swego pana, wiedz bowiem, że ściągnął na niego biedę.

– Wiem – odparł Baudolino – ale tamtego wieczoru nie baczyłem zbytnio na to, by zrozumieć, co się dzieje. Wiedziałem, że mam teraz Zosimę w ręku, i to mi wystarczało.

Ledwie ucichły kroki królewskich gości, Zosima głęboko odetchnął. Właściwie eksperyment skończył się dobrze. Zatarł dłonie i na jego twarzy pojawił się uśmieszek satysfakcji; wyjął głowę chłopca z wody i umieścił z powrotem na kolumience. Potem obrócił się, powiódł wzrokiem po całej krypcie i zaczął śmiać się histerycznie, wznosząc ramiona i wykrzykując: „Mam bazyleusa w garści! Odtąd nie będę się bał nawet nieboszczyków!”

Kiedy tylko zamilkł, nasi przyjaciele wyszli powoli z cienia. Bywa, że ci, którzy dokonują czynów czarnoksięskich, w końcu przekonują się, iż oni wprawdzie nie wierzą w diabła, lecz diabeł w nich – owszem. Na widok zastępu upiorów, które powstawały niby w dzień sądu, Zosima, choć drań, zachował się całkowicie spontanicznie. Miast ukryć, co czuje, stracił czucie, zemdlał.

Wrócił do siebie, kiedy Poeta pokropił go wieszczą wodą. Otworzył oczy i w odległości piędzi od swej twarzy ujrzał twarz Baudolina, co przeraziło go bardziej, niż gdyby ujrzał kogoś, kto wrócił z tamtego świata. I w owej chwili Zosima pojął, że tym, co czeka go niechybnie, nie są płomienie piekielne, których istnienie jest niepewne, lecz zemsta ofiary sprzed lat.

– Służyłem tylko memu panu – zaczął mówić pospiesznie – i chciałem oddać przysługę także tobie, twój list zaczął krążyć lepiej, niż gdybyś ty puścił go w obieg...

Baudolino zaś rzekł:

– Zosimo, nie ze złości, lecz z posłuszeństwa wobec tego, co nakazuje Pan, winienem sprać ci tyłek. Choć wymaga to ode mnie nie lada wysiłku, powstrzymuję się, jak sam widzisz.

I uderzył go na odlew, aż tamtemu głowa obróciła się dwa razy wokół własnej osi.

– Jestem człowiekiem bazyleusa i jeśli spadnie mi choć włos z brody, przysięgam, że...

Poeta chwycił go za włosy i przyciągnął mu twarz do płonących nadal wokół misy płomieni, aż z brody Zosimy zaczął wzbijać się dym.

– Oszaleliście! – wykrzyknął Zosima, próbując się wyrwać Abdulowi i Kyotowi, którzy trzymali go, wykręcając mu do tyłu ramiona.

A Baudolino ujął go za kark, zmuszając do ugaszenia pożaru brody w wodzie wypełniającej misę i nie puszczając, póki nieszczęśnik, nie lękając się już ognia, zaczął obawiać się wody, a im bardziej się jej obawiał, tym więcej jej łykał.

– Z baniek, które puszczałeś, wróżę, że tej nocy umrzesz, i nie od przypalania brody, lecz stóp – rzekł pogodnym głosem Baudolino, ciągnąc go do góry za włosy.

– Baudolino – łkał Zosima, wypluwając wodę – Baudolino, możemy przecież dojść do zgody... Daj mi odkaszlnąć, proszę, nie mogę wszak uciec, co chcecie zrobić, tylu na jednego, obceż jest wam uczucie litości? Posłuchaj, Baudolino, wiem, że nie chcesz mścić się za tę chwilę mej słabości, że pragniesz dotrzeć do ziemi tego twojego księdza Jana, a ja powiedziałem ci, że mam mapę, która wskaże drogę. Kto rzuca popiół na ogień w kominku, tłumi płomień.

– Co to niby znaczy, hultaju? Mam po dziurki w nosie tych twoich sentencji!

– A to, że jeśli mnie zabijesz, nigdy nie zobaczysz mapy. Bywa często, że ryby, igrając, wyskakują ponad wodę i opuszczają granice przyrodzonej

siedziby. Ja potrafię zaprowadzić cię daleko. Zawrzyjmy układ, jak przystoi ludziom poczciwym. Ty mnie puścisz, a ja powiodę cię do miejsca, gdzie znajdziesz mapę Kosmasa Indikopleustosa. Moje życie za królestwo księdza Jana. Nie uważasz, że to uczciwy targ?

– Wolałbym cię zabić – odparł Baudolino – ale póki nie odnajdę mapy, potrzebny mi jesteś żywy.

– A potem?

– Potem zwiążemy cię jak się patrzy i owiniemy w kobierzec, aż znajdziemy okręt, którym odpłyniemy bezpiecznie daleko stąd, i wtedy dopiero rozwiniemy kobierzec, gdybyśmy bowiem rozwiązali cię od razu, nasłałbyś na nas wszystkich łotrów z miasta.

– Rozwiniecie więc go na morzu...

– Dość już tego, nie jesteśmy mordercami. Gdybym chciał cię zabić później, nie obiłbym ci gęby teraz. Pomyśl, robię to, żeby mieć satysfakcję, ponieważ dalej nie zamierzam się posunąć. – I z całym spokojem wymierzył mu najpierw policzek, potem drugi, zmieniając rękę, tak że raz głowa Zosimy obracała się w lewo, raz zaś w prawo, dwa razy zrobił to otwartą dłonią, dwa razy z wyprostowanymi palcami, dwa razy grzbietem dłoni, dwa razy kantem i dwa razy pięścią, póki Zosima nie zrobił się fioletowy, a Baudolino prawie nie wybił sobie nadgarstków. Wówczas rzekł: – Teraz sam sobie sprawiam ból, więc na tym poprzestanę. Idziemy po mapę.

Kyot i Abdul wlekli Zosimę, ująwszy go pod pachy, gdyż sam nie potrafiłby ustać i zdobył się tylko na to, by wskazać kierunek drżącym palcem, szepcząc przy tym:

– Mnich, którym gardzą i który to znosi, jest jak roślinka, którą codziennie zraszają wodą.

Baudolino, zwracając się do Poety, rzekł:

– Nauczał mnie niegdyś Zosima, że gniew bardziej niż inna namiętność wzburza i mąci duszę, lecz czasem jej pomaga. Kiedy bowiem robimy z niego spokojnie użytek przeciwko grzesznikom, by zbawić ich albo zawstydzić, podajemy duszy słodycz, albowiem kroczymy najprostszą drogą ku sprawiedliwości.

A rabbi Solomon dorzucił od siebie:

– Jak powiada Talmud, bywają kary, które zmywają z człowieka wszelką nieczystość.

21

Baudolino i rozkosze Bizancjum

Monaster Katabates był ruiną i wszyscy uważali go już za miejsce opustoszałe, lecz na poziomie gruntu ocalało jeszcze kilka cel, a stara biblioteka, choć już bez ksiąg, zmieniła się w rodzaj refektarza. Właśnie tutaj Zosima mieszkał z dwoma czy trzema akolitami i Bóg jeden wie, na czym polegały ich mnisie praktyki. Kiedy Baudolino i jego kompani wyłonili się na powierzchnię ze swoim jeńcem, akolici spali, lecz następnego ranka stało się oczywiste, że byli wystarczająco otępiali wskutek obżarstwa i opilstwa, by nie stanowić dla nikogo zagrożenia. Kompania uznała zatem, że najlepiej będzie przespać się właśnie w bibliotece. Zosima, śpiąc na ziemi między Kyotem i Abdulem, którzy objęli teraz rolę jego aniołów stróżów, miał niespokojne sny.

Rankiem wszyscy zasiedli wokół stołu i poproszono Zosimę, by przeszedł do sedna sprawy.

– W istocie jest tak – powiedział Zosima – że mapa Kosmasa znajduje się w pałacu Bukoleon, w miejscu, które znam i do którego ja tylko mam dostęp. Pójdziemy tam dzisiaj późnym wieczorem.

– Zosimo – rzekł mu na to Baudolino – gadaj do rzeczy. Na razie powiedz mi, co jest na tej mapie.

– To proste, nieprawdaż? – odparł Zosima, biorąc pergamin i stylus. – Wyjaśniłem ci już, że każdy chrześcijanin, który trzyma się prawdziwej wiary, musi zgodzić się, iż uniwersum świata jest jak *tabernaculum*, o którym powiada Pismo. Baczcie teraz na to, co wam rzekę. W dolnej

części *tabernaculum* znajdował się stół z dwunastoma chlebami i dwunastoma owocami, na każdy miesiąc roku, a wokół stołu wznosił się cokół przedstawiający ocean, wokół zaś cokołu była szeroka na piędź rama, która przedstawiała sobą Ziemię od tamtej strony, z rajem ziemskim na wschodzie. Niebo było przedstawione jako sklepienie całkowicie wsparte na krańcach Ziemi, lecz między sklepieniem i podstawą była rozpięta zasłona firmamentu, a ponad nią znajdował się ów świat niebiański, który dopiero w przyszłości ujrzymy twarzą w twarz. Rzekł bowiem Izajasz, Bóg jest Tym, który zasiada ponad Ziemią, a jej mieszkańcy są jako szarańcza, Tym, który rozpiął niebo niby leciutką zasłonę i rozpostarł je jako tkaninę. A psalmista sławi Tego, który rozpiął niebo niby namiot. Mojżesz zaś ustawił pod zasłoną, na południu, świecznik, który oświetla całą rozciągłość Ziemi, i poniżej siedem lamp oznaczających siedem dni tygodnia i wszystkie gwiazdy na niebie.

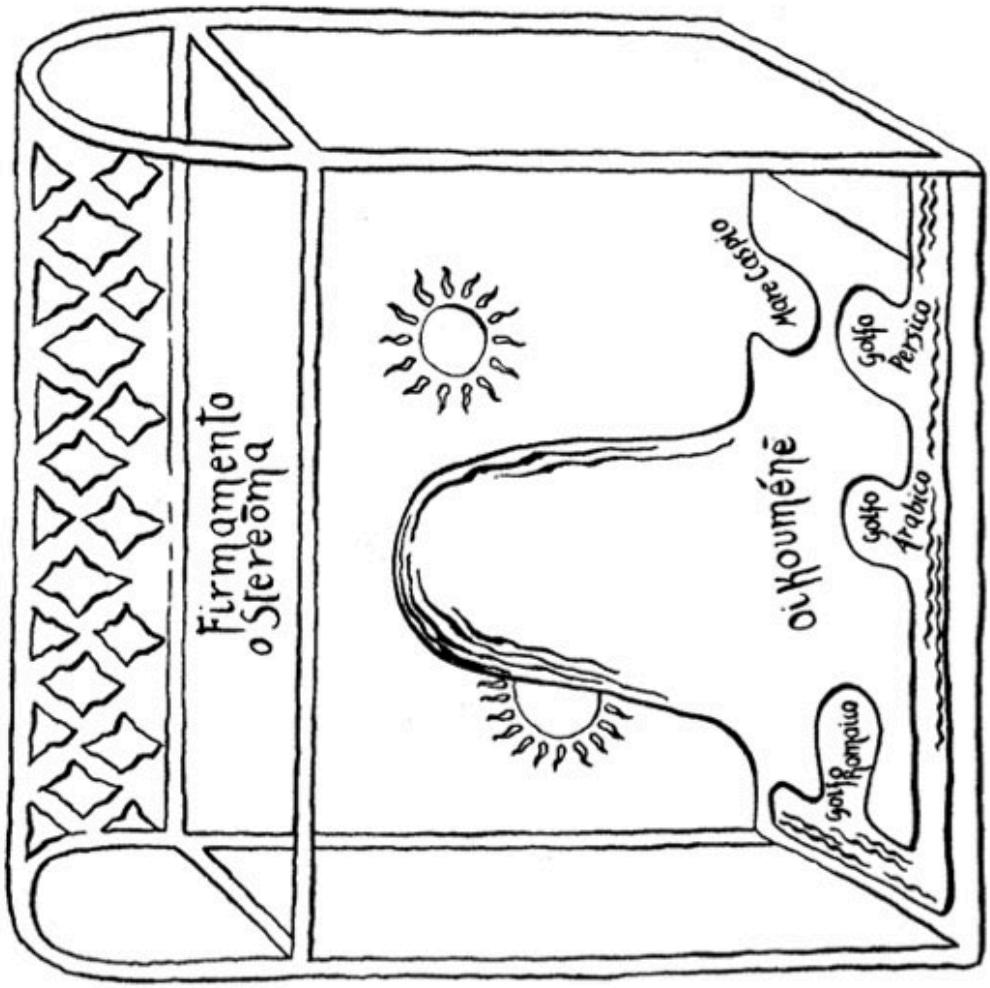

– Opisujesz mi tu *tabernaculum* – powiedział Baudolino – a nie świat.

– Przecież świat jest stworzony na kształt *tabernaculum*, jeśli więc opisuję ci *tabernaculum*, opisuję ci tym samym świat! Jak możesz nie pojmować równie prostej rzeczy? Tylko spójrz...

Naszkicował rysunek.

– Świat na nim był dokładnie w kształcie świątyni, miał zakrzywione sklepienie, którego górna część jest niewidoczna dla naszych oczu, gdyż skryta za zasłoną firmamentu. Poniżej jest ekumene, czyli cała zamieszkana

Ziemia, bynajmniej nie płaska, lecz spoczywająca na Oceanie, który ją otacza, i pnąca się ledwie widocznym, lecz niezmiennym wzniesieniem ku krańcowi północnemu i zachodowi, gdzie wznosi się góra tak wysoka, że nie możemy jej dostrzec, a szczyt jej zlewa się w jedno z chmurami. Słońce i Księżyc, poruszane przez aniołów, którym zawdzięczamy również deszcze, trzęsienia ziemi i wszystkie inne zjawiska atmosferyczne – przemieszczają się rankiem ze wschodu na południe, naprzeciwko owej góry, i oświetlają świat, pod wieczór zaś kierują się z powrotem na zachód i znikają za górą, dając nam wrażenie, że zachodzą. A zatem: kiedy u nas zapada noc, po drugiej stronie góry jest dzień, aczkolwiek nikt tego dnia nie widzi, gdyż druga strona góry jest pustynią i żaden człek nigdy tam nie dotarł.

– I z tym rysunkiem mamy znaleźć ziemię księdza Jana? – zdumiał się Baudolino. – Bacz, Zosimo, bo według umowy ceną za twoje życie jest dobra mapa, a jeżeli mapa będzie zła, przyjdzie nam zmienić umowę.

– Zachowaj spokój, zbytnio się bowiem przejmujesz. Rzecz w tym, że nasze umiejętności, przedstawiając *tabernaculum,* nie potrafią pokazać tego, co zakryte przez jego ściany oraz przez górę. Kosmas narysował inną mapę, która przedstawia Ziemię tak, jakbyśmy spoglądali na nią z góry, czyli jak widzą ją, być może, aniołowie. Mapa ta, przechowywana w pałacu Bukoleon, pokazuje położenie ziem, które znamy, to jest w ramie Oceanu, a po drugiej stronie Oceanu – ziemie zamieszkane przez ludzi przed potopem, gdzie jednak od czasów Noego nikt się już nie wyprawił.

– Powtarzam ci, Zosimo – rzekł Baudolino, okazując mnichowi twarz pełną srogości – jeśli mniemasz, że mówiąc o rzeczach, których nam nie pokazujesz...

– Ależ ja te wszystkie rzeczy widzę, jakbym miał je przed oczami, a rychło zobaczycie je i wy.

Ta twarz wychudła, jeszcze bardziej zbolała wskutek budzących politowanie siniaków i wybroczyn, to oko rozświetlone czymś, co tylko

sam Zosima widział, były przekonywające nawet dla tych, którzy mu nie ufali. To była jego siła – wyjaśniał Baudolino Niketasowi – dzięki niej wodził mnie za nos poprzednio, wodził wówczas i miał wodzić jeszcze kilka lat. Był tak przekonywający, że chciał za pomocą *tabernaculum* Kosmasa wyjaśnić w miarę możności nawet zaćmienia Słońca, tyle że Baudolina żadne zaćmienia nie obchodziły. Przekonywało go zaś to, że mając prawdziwą mapę, będą zapewne mogli wyruszyć na poszukiwanie księdza.

– No dobrze – rzekł – poczekajmy do wieczora.

Zosima rozkazał jednemu ze swoich ludzi podać jarzyny i owoce, a Poecie, który spytał, czy nie ma nic innego, odpowiedział:

– Jadło skąpe, jednostajne i regularne niezawodnie prowadzi mnicha do bezpiecznego portu.

Poeta posłał go do diabła, a potem, widząc, że Zosima zajada z wielkim smakiem, zajrzał pod jego jarzyny i odkrył, iż wspólnicy ukryli pod spodem, i tylko na talerzu mnicha, piękne kawałki tłustej jagnięciny. Bez słowa dokonał zamiany talerzy.

Właśnie gotowali się do spędzenia dnia na wyczekiwaniu, kiedy wszedł z dziwną miną jeden z akolitów i powiedział, co się dzieje. Jeszcze w nocy, zaraz po hydromanckich obrządkach Stefan Agiochristoforyta, wziąwszy ze sobą oddział zbrojnych, udał się do domu Izaaka Angelosa, nieopodal klasztoru Prybleptos, czyli Przesławnej Panny, i zawołał swego wroga wielkim głosem, nakazując mu wyjść, a nawet krzyczał do swoich, by wyłamali drzwi, chwycili Izaaka za brodę i wyciągnęli na zewnątrz głową w dół. Wówczas Izaak, choć opinia publiczna miała go za niepewnego siebie i lękliwego, uznał, że musi podjąć grę o wszystko: dosiadł na dziedzińcu konia i dobywszy miecza, na wpół ubrany, odrobinę śmieszny w dwubarwnym płaszczu, który sięgał mu ledwie do lędźwi, wypadł niespodziewanie na zewnątrz, całkowicie zaskakując wroga. Agiochristoforyta nie zdążył sięgnąć po oręż, gdyż Izaak jednym ciosem

miecza rozpłatał mu głowę na dwoje. Potem obrócił się ku zbirom swego dwugłowego teraz wroga i jednemu odciął ucho, a pozostali uciekli w wielkim popłochu.

Zabicie zaufanego człowieka samego cesarza to wyjątkowa zbrodnia, sytuacja wymagała więc podjęcia wyjątkowych środków. Izaak, okazując doskonałe wyczucie, jeśli chodzi o postępowanie z ludem, popędził do Hagia Sofia, żądając azylu, jakiego tradycja nakazywała udzielać zabójcom, i błagając wielkim głosem przebaczenia za swój czyn. Rwał z siebie resztkę odzienia i włosy z brody, pokazywał zbroczony krwią miecz i prosząc o zmiłowanie, dawał jednocześnie do zrozumienia, że bronił swego życia, i przypominał wszystkim słuchającym o niegodziwości tego, którego pozbawił żywota.

– Ta historia wcale mi się nie podoba – rzekł Zosima, wstrząśnięty nagłą śmiercią swego nieszczęsnego protektora.

A jeszcze mniej zapewne podobały mu się wieści docierające później z godziny na godzinę. Do Izaaka dołączyły w Hagia Sofia znane osobistości, jak choćby Jan Dukas, a sam Izaak nadal przemawiał do rosnących z każdą godziną tłumów; pod wieczór wielka liczba obywateli miasta zabarykadowała się z Izaakiem w świątyni, by go bronić, a ktoś zaczął przebąkiwać, że czas już skończyć z tyranem.

Bez względu na to, czy Izaak przygotowywał już od jakiegoś czasu zamach, jak wynikało z Zosimowej nekromancji, czy udało mu się wykorzystać niezręczne posunięcie swoich wrogów, tron Andronika wyraźnie się zachwiał. Było też rzeczą jasną, że w tej sytuacji szaleństwem byłaby próba przedostania się do pałacu królewskiego, w którym w każdej chwili mogło dojść do rzezi. Wszyscy zgodzili się, że lepiej poczekać w Katabates na dalszy rozwój wydarzeń.

Następnego ranka połowa mieszkańców wyległa na ulice, wznosząc okrzyki żądające uwięzienia Andronika i wyniesienia Izaaka na tron królewski. Lud rzucił się do szturmu na więzienia miejskie i uwolnił wiele

niewinnych, a noszących sławne imiona ofiar tyrana, które natychmiast przyłączyły się do rozruchów. Z tym że rozruchy zmieniły się już w otwarty bunt, przewrót, zamach stanu. Uzbrojeni obywatele krążyli po ulicach, jedni z mieczami i w pancerzach, inni z maczugami albo pałkami. Część, w tym spora liczba dygnitarzy cesarstwa, którzy doszli do wniosku, że najwyższy czas wybrać sobie nowego autokratę, opuściła wiszącą nad głównym ołtarzem świątyni koronę Konstantyna Wielkiego i ukoronowała nią Izaaka.

Rozjuszony tłum wybiegł ze świątyni i zaczął oblegać pałac cesarski, Andronik rozpaczliwie stawiał opór, miotając strzały z najwyższej wieży, zwanej Kentenarion, ale musiał ulec wściekłemu teraz szturmowi swoich poddanych. Powiadano, że zerwał z szyi krucyfiks, zzuł purpurowe trzewiki, włożył spiczastą czapkę, jaką noszą barbarzyńcy, i przez labirynty Bukoleonu dotarł na swój okręt, zabierając ze sobą małżonkę i kurtyzanę Maraptikę, w której był zakochany do szaleństwa. Izaak wkroczył tryumfalnie do pałacu, tłum wziął w posiadanie całe miasto, przystąpił do oblegania mennicy, zwanej Złote Łaźnie, wtargnął do arsenałów i zaczął plądrować pałacowe kościoły, zdzierając ozdoby z najświętszych wizerunków.

Zosima coraz mocniej drżał, słysząc docierające doń pogłoski, opowiadano już bowiem, że kiedy rozpoznawano kogoś z otoczenia Andronika, ginął od miecza. Z drugiej strony także Baudolino i jego ludzie uważali, że mądrzej nie zapuszczać się w takim momencie w korytarze Bukoleonu. I tak to, bez żadnego poza jedzeniem i piciem zajęcia, nasi przyjaciele spędzili jeszcze kilka dni w Katabates.

Aż przyszła wieść, że Izaak przeniósł się z Bukoleonu do Pałacu Blacherneńskiego, który wznosił się przy północnym krańcu miasta. Dzięki temu można było przypuścić, że Bukoleon nie jest już tak pilnie strzeżony (gdyż nie było już tam nic do zagrabienia), a za to opustoszały. Tego samego dnia na wybrzeżu Pontus Euxinus schwytano Andronika i zaprowadzono go przed oblicze Izaaka. Dworacy spoliczkowali go

i skopali, wyrwali mu brodę, wybili zęby, ogolili głowę, odcięli prawą dłoń i po tym wszystkim rzucili go do lochu.

Dowiedziawszy się, że w mieście zaczęły się na każdym rogu ulic radosne tańce i festyny, Baudolino uznał, że przy takim zamieszaniu można wyprawić się do Bukoleonu. Zosima zwrócił mu uwagę, że ktoś może go rozpoznać, ale nasi przyjaciele powiedzieli, żeby się tym nie niepokoił. Wzięli przybory, jakie nawinęły się im pod rękę, i ogolili mu głowę i twarz, nie zważając na łzy Zosimy, który tracąc te oznaki mnisiej czci, poczuł się zhańbiony. Gładki jak jajko Zosima wyglądał, jakby nie miał podbródka, a za to zbyt wydatną górną wargę, uszy spiczaste jak psie, i przypominał raczej – zauważył Baudolino – Cichinisia, głuptaka, który chodził po Aleksandrii, wykrzykując jakieś sprośności do dziewczyn, niż przeklętego ascetę, którego udawał dotychczas. Żeby poprawić ten żałosny skutek swoich zabiegów, przyprószyli go pudrami, tak że w końcu nabrał zniewieściałego wyglądu jak ci, za którymi chłopcy lombardzcy biegną z wrzaskiem, ciskając w ich stronę zgniłymi owocami, lecz których w Konstantynopolu spotykało się na każdym kroku; było to więc – rzekł Baudolino – jakby ktoś chodził po Aleksandrii przebrany za sprzedawcę *sirasso*, inaczej mówiąc, twarogu.

Przeszli przez miasto i zobaczyli, jak przejeżdża przytroczony do sparszywiałego wielbłąda Andronik – bardziej wyliniały od swojego wierzchowca, prawie nagi, z brudną bryłą zakrwawionych szmat na okaleczonym prawym nadgarstku, krwią zakrzepłą na wynędzniałych policzkach, gdyż dopiero co wyłupili mu jedno oko. Wokół niego, niby roje much obsiadających na wiosnę końskie łajno, zbiegała się cała nędza tego miasta, nad którym tak długo był panem samowładnym, masarze, garbarze i szubienicznicy ze wszystkich oberży, i okładali go po głowie pałkami, wciskali mu w nozdrza krowie odchody, wyciskali na nos gąbki nasączone moczem wołów, kłuli go rożnami w nogi, a najłagodniejsi obrzucali kamieniami i nazywali wściekłym psem i synem parzącej się suki. Z okna

burdelu jakaś dziwka oblała go wrzątkiem, a potem zaciekłość tłumu wzrosła jeszcze bardziej, ściągnięto go z wielbłąda i zawieszono za nogi na dwóch kolumienkach, które stały niedaleko rzeźby przedstawiającej wilczycę karmiącą Romulusa i Remusa.

Andronik zachowywał się godniej od swoich oprawców, z jego ust nie dobyła się skarga. Szeptał tylko: „Kyrie elejson, Kyrie elejson”, i pytał, czemu rozrywają zerwane już przecież okowy. Kiedy już wisiał, zdarto z niego resztę odzienia, ktoś odciął mu mieczem genitalia, ktoś inny wetknął w usta włócznię, przeszywając go aż do trzewi, ktoś jeszcze inny nadziewał go na pal od strony odbytu. Nie zabrakło tu łacinników, którzy z bułatami w rękach wykonywali wokół niego rodzaj tańca i cięciami z góry na dół ociosywali go z ciała, a być może jako jedyni mieli prawo do zemsty, jeśli się zważy, co Andronik kilka lat temu zrobił wielu spośród nich. Na koniec nieszczęśnik miał jeszcze dość siły, by podnieść do ust kikut prawej ręki, jakby chciał napić się krwi, by uzupełnić tę, którą strumieniami z niego wytaczano. Zaraz potem zmarł.

Nasi przyjaciele, uciekając od tego widowiska, próbowali dotrzeć do Bukoleonu, ale kiedy znaleźli się już blisko, spostrzegli, że to niemożliwe. Izaak, znudzony ciągłymi grabieżami, obsadził pałac swoją strażą, która rozprawiała się na miejscu z każdym, kto próbował przekroczyć jej linie.

– Ruszaj, Zosimo – rzekł Baudolino. – To łatwe, wejdziesz, weźmiesz mapę i przyniesiesz ją nam.

– A jeśli poderżną mi gardło?

– Jeśli nie pójdziesz, my ci je poderżniemy.

– Moje poświęcenie miałoby sens, gdyby w pałacu była mapa. Lecz prawdę mówiąc, wcale jej tam nie ma.

Baudolino spojrzał nie niego tak, jakby ta bezczelność przekraczała granice jego rozumienia.

– Więc to tak?! – ryknął. – Więc dopiero teraz wyjawiasz nam prawdę? Czemuż to przez cały ten czas kłamałeś?

– Żeby zyskać na czasie. Zyskiwanie na czasie to nie grzech. Dla mnicha doskonałego grzechem jest trwonienie czasu.

– Zabijmy go od razu – rzekł wówczas Poeta. – To najlepsza chwila, pośród tej powszechnej rzezi nikt nie zwróci uwagi na jego śmierć. Zdecydujmy, kto go udusi, i do roboty.

– Chwileczkę! – wykrzyknął Zosima. – Nasz pan poucza, jak powstrzymać się od czynu, którego popełnić się nie godzi. Kłamałem, to prawda, lecz miałem na względzie dobro.

– Jakież to dobro?! – wrzasnął z wściekłością Baudolino.

– Własne – odparł Zosima. – Miałem prawo chronić życie, które wy chcieliście mi odebrać. Mnich musi, podobnie jak cherubiny i serafiny, mieć oczy dokoła głowy, czyli (tak właśnie pojmuję maksymę świętych ojców z pustyni) musi w starciu z wrogiem okazywać roztropność i przebiegłość.

– Ale twoi ojcowie z pustyni mieli na myśli diabła, a nie nas! – wrzasnął znowu Baudolino.

– Różnymi wybiegami posługują się demony. Pojawiają się we śnie, wywołują zwidy, próbują nas zwieść, przeobrażają się w anioły światła i szczędzą cię, byś zyskał fałszywe poczucie pewności siebie. Co uczynilibyście na moim miejscu?

– A co uczyniłbyś ty, odrażający Greczynie, by raz jeszcze ocalić swe życie?

– Powiem wam prawdę, taki jest bowiem mój obyczaj. Mapa Kosmasa niewątpliwie istnieje i widziałem ją na własne oczy. Gdzie jest w tej chwili, nie wiem, przysięgam jednak, że mam ją odciśniętą w mej głowie, o tu... – I klepnął się w ogołocone z włosów czoło. – Mógłbym wskazać ci dzień po dniu drogę do ziemi księdza Jana. Otóż jest rzeczą pewną, że nie mogę

pozostawać w tym mieście i że was nic tu nie trzyma, bo przecież przybyliście, by ująć mnie, i tego dokonaliście, oraz by zdobyć mapę, a jej nie zdobędziecie. Jeśli pozbawicie mnie życia, zostaniecie z pustymi rękami. Jeśli natomiast zabierzecie mnie ze sobą, przysięgam na świętych apostołów, że będę waszym niewolnikiem i poświęcę me dni kreśleniu szlaku, który doprowadzi was prosto do ziemi księdza. Oszczędzając me życie, nic nie stracicie, tyle że będziecie mieli jeszcze jedną gębę do wykarmienia. Ale zabijając mnie, stracicie wszystko. Wybierajcie.

– Tak bezczelnego człeka nie spotkałem w całym mym życiu! – oznajmił Boron, a pozostali skwapliwie się z nim zgodzili.

Zosima czekał w milczeniu. Rabbi Solomon zaczął: „Święty niech zawsze błogosławiony będzie...", lecz Baudolino nie dał mu dokończyć.

– Daj pokój z tymi maksymami, dość ich usłyszeliśmy od tego szczwanego lisa. Jest szczwanym lisem, ale ma rację. Musimy zabrać go ze sobą. Inaczej wrócimy do Fryderyka bez niczego, a wtenczas pomyśli, że za jego pieniądze pławiliśmy się we wschodnich rozkoszach. Wróćmy przynajmniej z jeńcem. Ale ty, Zosimo, przysięgnij, przysięgnij, że nie spłatasz nam kolejnego figla...

– Przysięgam na wszystkich dwunastu świętych apostołów – zapewnił Zosima.

– Na jedenastu, jedenastu, nieszczęsny! – krzyknął Baudolino, chwytając go za kaftan. – Wśród dwunastu jest przecież Judasz!

– Dobrze, niech będzie na jedenastu.

– Tak więc wyglądała twoja pierwsza podróż do Bizancjum – rzekł Niketas. – Nie zdziwiłbym się, gdybyś po tym wszystkim, coś wtedy ujrzał, doszedł do wniosku, że to, co zdarzyło się w tych dniach, było jakby oczyszczającą kąpielą.

– Widzisz, panie Niketasie – odparł Baudolino – mnie nigdy owe, jak powiadasz, kąpiele oczyszczające nie przypadły do smaku. Niechaj będzie i tak, że Aleksandria to marna mieścina, ale u nas, kiedy rządzący się nam nie podoba, mówimy mu do widzenia i wybieramy sobie innego rajcę. A i Fryderyk, choć czasem tak popędliwy, nie trzebił swych kuzynów, gdy dawali mu się we znaki, lecz oddawał im jeszcze jedno księstwo. Nie o tym jednak chcę mówić. Chodzi o to, że dotarłem do granic świata chrześcijańskiego i wystarczyło powędrować dalej na wschód albo na południe, by odnaleźć Indie. Ale pieniądze już się nam skończyły, jeśli więc chciałem dotrzeć na wschód, musiałem udać się na zachód. Miałem czterdzieści trzy lata, tropiłem księdza Jana, odkąd skończyłem szesnaście, a może i mniej, i raz jeszcze musiałem odłożyć swą podróż na później.

22

Baudolino traci ojca i odnajduje Gradalis

Genueńczycy posłali Boiamonda i Teofila, żeby pochodzili po mieście i zorientowali się, czy sytuacja sprzyja ich planom. Wystarczająco – donieśli ci dwaj po powrocie, ponieważ znaczna część pielgrzymów spędza czas w karczmach, a reszta zgromadziła się w Hagia Sofia i patrzy łakomie na bogactwo zgromadzonych tam relikwii.

– To może porazić oczy! – powiedział Boiamondo.

Dodał jednak, że zbieranie łupu zmieniło się w brudną grę. Niektórzy udawali, że oddają zdobycz, rzucali na stos trochę drobiazgów, gdy tymczasem ukradkiem chowali pod kaftanem kość któregoś świętego. Ale ponieważ nikt nie chciał być przyłapany z relikwią, na zewnątrz świątyni powstało coś w rodzaju targu, w którym uczestniczyli nie wyzuci jeszcze ze wszystkiego mieszkańcy i obrotni Ormianie.

– W ten sposób – szydził Boiamondo – Grecy, którym udało się ukryć w jakiejś dziurze parę bizantyjskich soldów, wyciągali je, by kupić piszczel świętego Baciccia, która przecież zawsze była pod kościołem! Ale może odsprzedadzą ją później kościołowi, gdyż Grecy są bardzo przebiegli. Kradną, ile się da, a potem powiadają, że to my, genueńczycy, jesteśmy łasi na mamonę.

– Ale co znoszą do kościoła? – spytał Niketas.

Teofil złożył bardziej szczegółowe sprawozdanie. Widział skrzynię z purpurowym płaszczem Chrystusa, ułamek trzciny używanej przy

biczowaniu, gąbkę, którą podsunięto naszemu konającemu Panu, koronę cierniową, cyborium, w którym przechowywano kawałek chleba konsekrowanego podczas Ostatniej Wieczerzy, podany przez Jezusa Judaszowi. Potem przyniesiono relikwiarz z włosami z brody Ukrzyżowanego, wyrwanymi przez Żydów po zdjęciu z krzyża, przy czym relikwiarz był owinięty w suknie naszego Pana, o które żołnierze grali w kości u stóp krzyża. A dalej nienaruszoną kolumnę, przy której ubiczowano Jezusa.

– Ja widziałem też, jak nieśli kawałek sukni Matki Bożej – dodał Boiamondo.

– Co za strata! – lamentował Niketas. – Skoro widziałeś tylko kawałek, to znak, że już się nią podzielili. Całą suknię przechowywano w Pałacu Blacherneńskim. Dawno temu niejacy Galbiusz i Kandyd udali się na pielgrzymkę do Palestyny i w Kafarnaum dowiedzieli się, że *pallion* dziewicy przechowuje się w domu pewnego Żyda. Zaprzyjaźnili się z nim, spędzili u niego noc, zmierzyli ukradkiem kufer, w którym znajdowała się suknia, a kiedy dotarli do Jerozolimy, zamówili taki sam kufer, wrócili do Kafarnaum, zamienili kufry i ten z suknią przywieźli do Konstantynopola, gdzie specjalnie dla sukni zbudowano kościół Świętych Apostołów Piotra i Marka.

Boiamondo dodał, że ponoć dwaj chrześcijańscy rycerze zabrali, i nie oddali dotąd, dwie głowy świętego Jana Chrzciciela, każdy z nich po jednej, i wszyscy zastanawiają się, która jest prawdziwa. Niketas uśmiechnął się tylko ze zrozumieniem.

– Wiedziałem, że w mieście czci się dwie głowy. Pierwszą sprowadził Teodozjusz Wielki, została ona złożona w kościele Świętego Jana Chrzciciela. Ale później Justynian odnalazł w Emesie drugą głowę. Zdaje się, że podarował ją jednemu z klasztorów, powiadano, że potem wróciła tutaj, ale nikt już nie wiedział, gdzie jest.

– Jakże można zapomnieć o tak cennej relikwii? – zdziwił się Boiamondo.

– Pobożność ludu jest niestała. Latami z zapałem czci jakieś święte szczątki, a potem wpada w uniesienie, bo pojawia się coś jeszcze cudowniejszego, i pierwsza relikwia odchodzi w zapomnienie.

– Ale która głowa jest prawdziwa? – zaciekawił się Boiamondo.

– Do rzeczy świętych nie można przykładać ludzkiej miary. Którąkolwiek z tych relikwii mi przyniesiesz, zapewniam cię, że kiedy się skłonię, by ją pocałować, poczuję bijący od niej zapach mistyczny i będę wiedział, że chodzi o prawdziwą głowę.

W tym momencie przyszedł z miasta również Pevere. Dzieją się rzeczy nadzwyczajne. Pragnąc zapobiec rozgrabieniu przez żołdactwo także skarbów zgromadzonych w Hagia Sofia, doża zarządził pierwszy pobieżny spis zebranych rzeczy, sprowadzono więc paru greckich mnichów, by rozpoznali rozmaite relikwie. I oto teraz, kiedy zmuszono większość pielgrzymów do zwrotu tego, co zabrali, okazało się, że w świątyni są nie tylko dwie głowy Chrzciciela, o których wiedziano przedtem, lecz także dwie gąbki nasączone niegdyś żółcią i octem i dwie korony cierniowe, nie mówiąc o innych rzeczach. To prawdziwy cud, zachichotał Pevere, zezując w stronę Baudolina, najcenniejsze bizantyjskie relikwie rozmnożyły się jak chleb i ryby. Niektórzy pielgrzymi dopatrywali się w tym znaku przychylności niebios i wykrzykiwali, że skoro owych tak rzadkich dóbr jest teraz dostatek, doża mógłby pozwolić, by każdy zabrał do siebie to, co zabrał.

– Ależ to cud na naszą korzyść! – oznajmił Teofil. – Łacinnicy nie będą wiedzieli, która relikwia jest prawdziwa, zostawią więc wszystko tutaj.

– Nie jestem wcale pewny – rzekł Baudolino. – Każdy książę, margrabia czy wasal chętnie zabierze do siebie jakieś święte szczątki, które ściągną tłumy ludzi pobożnych, a takoż donacje. A kiedy dojdzie pogłoska, że tysiąc mil stamtąd mają podobną relikwię, powie się, że jest fałszywa.

Niketas popadł w zamyślenie.

– Nie wierzę w ten cud. Pan nie wprowadza w nasze umysły zamętu relikwiami swoich świętych... Baudolinie, czy w ubiegłych miesiącach, po przybyciu do miasta, nie przygotowałeś jakiejś sztuczki z relikwiami?

– Panie Niketasie! – wykrzyknął Baudolino, robiąc minę wyrażającą oburzenie. Potem wyciągnął obie ręce przed siebie, jakby chciał uspokoić swego rozmówcę. – Właściwie, skoro mam ci opowiedzieć wszystko, wcześniej czy później będziesz musiał poznać historię z relikwiami. Ale wolę odłożyć to na potem. A zresztą sam powiedziałeś dopiero co, że do spraw świętych nie należy przykładać ludzkiej miary. Zbliża się jednak zmrok i myślę, że za godzinę trzeba będzie wyruszyć w drogę. Czekajmy w gotowości.

Niketas, który chciał wyruszyć pokrzepiony, już jakiś czas temu polecił Teofilowi przygotować *monokythron*, potrawę, której dobre przyrządzenie wymaga odpowiednio długiego czasu. Był to garnek pełen mięsiwa wołowego i wieprzowego, kości nie do końca obranych z mięsa i frygijskiej kapusty nasączonej tłuszczem. Ponieważ nie mieli dość czasu na długie posiedzenie za stołem, logoteta wyrzekł się swoich zacnych przyzwyczajeń i sięgał do rondelka nie trzema palcami, lecz całą garścią. Było to tak, jakby spędzał ostatnią miłosną noc z ukochanym miastem – dziewiczym, nierządnym i męczeńskim. Baudolino zaspokoił już głód i sączył tylko żywiczne wino, którego być może nie skosztuje w Selymbrii.

Niketas spytał, czy w tej historii z relikwiami nie ma jakiegoś udziału Zosima, a Baudolino odparł, że woli zachować w swej opowieści porządek.

– Po wszystkich strasznych rzeczach, które widzieliśmy w tym mieście, wróciliśmy drogą lądową, ponieważ nie starczyłoby nam już pieniędzy na drogę morską. Zamęt panujący w owych dniach pozwolił Zosimie wezwać na pomoc jednego z akolitów, których zamierzał opuścić, i sprowadzić nie wiadomo skąd muły. Potem, w drodze, to urządziliśmy łowy w jakimś lesie,

to skorzystaliśmy z gościnności jakiegoś klasztoru, aż w końcu dotarliśmy do Wenecji, a potem zapuściliśmy się na lombardzką równinę...

– Zosima nie próbował uciec?

– Nie mógł. Od tej chwili, także po powrocie i na dworze Fryderyka, i podczas późniejszej podróży do Jerozolimy, przez ponad cztery lata był zakuty w łańcuchy. To znaczy, póki był przy nas, żył na wolnej stopie, ale kiedy miał zostać sam, był przykuwany, zależnie od miejsca, do łoża, słupa czy drzewa, kiedy zaś jechaliśmy konno, przywiązywaliśmy go w ten sposób do wodzy, że gdyby spróbował zsiąść, koń zaraz by się spłoszył. Lękając się, że nawet w tym położeniu zapomni o swoich przysięgach, co wieczór wymierzałem mu przed zaśnięciem policzek. W końcu czekał na to jak na matczyny pocałunek.

W drodze nasi przyjaciele bezustannie naciskali na Zosimę, by odtworzył mapę, on zaś okazywał jak najlepszą wolę i co wieczór przypominał sobie jakiś szczegół, tak że zdołał nawet dokonać obliczenia prawdziwych odległości.

– Z grubsza biorąc – pokazywał, rysując palcem w pyle drogi – z Cynisty, kraju jedwabiu, do Persji mamy sto pięćdziesiąt dni marszu, cała Persja to będzie osiemdziesiąt dni, od granicy perskiej do Seleucji trzynaście, z Seleucji do Rzymu, a potem do kraju Iberów sto pięćdziesiąt dni. Żeby zatem przewędrować z jednego końca świata na drugi, trzeba mniej więcej czterystu dni podróży, pod warunkiem że będzie się pokonywać jakieś trzydzieści mil dziennie. Ziemia jest poza tym dłuższa niż szersza, a nie zapominajmy, że w Księdze Wyjścia powiada się, iż stół w *tabernaculum* winien mieć długości dwa łokcie, a szerokości jeden. Tak więc z północy na południe, czyli do Konstantynopola, można liczyć pięćdziesiąt dni, z Konstantynopola do Aleksandrii znowu pięćdziesiąt, z Aleksandrii do Etiopii nad Zatoką Arabską siedemdziesiąt dni. W sumie mniej więcej dwieście dni. Dlatego jeśli wyruszysz z Konstantynopola

w stronę najdalszych Indii, to uwzględniając fakt, że będziesz wędrował po linii krętej, że przyjdzie ci się zatrzymywać, by odnaleźć właściwy kierunek, i kto wie ile razy zawracać, powiedziałbym, iż do księdza Jana dotrzesz po roku podróży.

Jeśli chodzi o relikwie, Kyot spytał Zosimę, czy słyszał coś o Gradalisie. Słyszał, a jakże, od Galatów zamieszkujących tereny wokół Konstantynopola, a więc od ludzi, którzy dzięki tradycji znają opowieści najbardziej starożytnych kapłanów z najdalszej północy. Kyot zapytał więc, czy słyszał o niejakim Feirefizu, który wręczył Gradalis księdzu Janowi, a Zosima odpowiedział, że i owszem, lecz Baudolino był w tej sprawie sceptyczny.

– Czymże jest więc Gradalis? – spytał.

– To kielich, kielich, w którym Chrystus poświęcił chleb i wino, sami to powiedzieliście.

Chleb w kielichu? Nie, wino, chleb był na talerzu, na patenie, na małej tacce. Czym jest więc Gradalis, talerzem czy kielichem? Obiema tymi rzeczami – próbował targu Zosima. A jeśli dobrze się zastanowić – podsunął mu Poeta, obrzucając go spojrzeniem, które mogło wprawić w przerażenie – była to włócznia, którą Longinus przebił bok Pana. Otóż to, wydało mu się, że to będzie włócznia. W tym miejscu Baudolino wymierzył mu cios na odlew, choć nie nadeszła jeszcze pora snu, ale Zosima czym prędzej się usprawiedliwił: pogłoski są niepewne, zgoda, lecz fakt, że krążą także wśród bizantyjskich Galatów, dowodzi, iż ten Gradalis naprawdę istnieje. Tak więc o Gradalisie wiadomo było ciągle tyle samo, to znaczy raczej niewiele.

– Gdybym mógł dostarczyć Fryderykowi Gradalis zamiast takiego szubienicznika jak ty... – rzekł Baudolino.

– Możesz mu dostarczyć – podpowiedział Zosima. – Wystarczy, że znajdziesz odpowiednie naczynie...

– No tak, teraz mamy naczynie. Wepchnę cię do niego! Nie jestem oszustem jak ty!

Zosima wzruszył ramionami i pogładził się po podbródku, badając, czy podrosła mu broda, ale teraz, podobny do sumika, stał się brzydszy niż przedtem, kiedy był lśniący i gładki jak gałka.

– A poza tym – roztrząsał sprawę Baudolino – nawet wiedząc, że jest naczyniem albo kielichem, jak go rozpoznać, kiedy się już odnajdzie?

– Och, tym się nie trap – wtrącił się do rozmowy Kyot, którego spojrzenie ginęło gdzieś w świecie jego legend. – Ujrzysz światło, poczujesz zapach...

– Miejmy nadzieję – odparł Baudolino.

A rabbi Solomon potrząsnął tylko głową.

– Pewnie chodzi o coś, co wy, poganie, ukradliście ze Świątyni Jerozolimskiej, kiedy ją splądrowaliście, nas zaś rozproszyliście po świecie.

Przybyli akurat na zaślubiny Henryka, drugiego syna Fryderykowego, ukoronowanego już na króla Rzymian, z Konstancją z Altavilli. Cesarz wszystkie swoje nadzieje złożył teraz w młodszym synu. Nie o to chodzi, że los pierwszego nie leżał mu na sercu, mianował go przecież nawet diukiem Szwabii, ale oczywiste było, iż cesarską miłość do niego przenika smutek – jak to bywa w przypadku nieudanych dzieci. Baudolino widywał go – bladego, pokasłującego, mrugającego ciągle lewą powieką, jakby odpędzał natrętną muchę. Nawet podczas monarszych uroczystości często się oddalał i Baudolino zauważył, że krąży po polach, nerwowo bijąc krzaki szpicrutą, jakby chciał uśmierzyć trawiący jego duszę niepokój.

– Z trudem żyje na tym świecie – powiedział mu pewnego wieczoru Fryderyk.

Białobrody starzał się coraz bardziej, poruszał się, jakby cierpiał na przykurcz karku. Nie rezygnował z polowań i kiedy widział przed sobą

rzekę, rzucał się w nią i pływał jak za dawnych czasów. Ale Baudolino bał się, że prędzej czy później zimna woda mu zaszkodzi i trafi go apopleksja, prosił więc, by miał na siebie baczenie.

Na pociechę opowiadał mu o sukcesie wyprawy, o pojmaniu wiarołomnego mnicha, o tym, że rychło będą mieli mapę, która doprowadzi ich do królestwa księdza, o tym, że Gradalis nie jest bajką i że przyjdzie dzień, kiedy złoży go w ręce cesarza. Fryderyk przytakiwał. „Gradalis, ach, Gradalis – szeptał, patrząc gdzieś w dal. – Gdybym go miał, z pewnością mógłbym, mógłbym...” Potem jego uwagę rozpraszała jakaś ważna wiadomość, która właśnie nadchodziła, wzdychał więc i przystępował do swoich obowiązków.

Co jakiś czas brał Baudolina na stronę i mówił, jak bardzo brakuje mu Beatrycze. Chcąc go pocieszyć, Baudolino opowiadał, jak bardzo brakuje mu Colandriny. „O tak, tak – mówił Fryderyk – ty, który kochałeś Colandrinę, rozumiesz, jak ja kochałem Beatrycze. Ale być może nie wiesz, jaka Beatrycze była powabna”. I Baudolino czuł, że otwiera się rana dawnego wyrzutu sumienia.

W lecie cesarz wrócił do Germanii, ale Baudolino nie mógł z nim jechać. Doniesiono mu, że umarła matka. Pojechał czym prędzej do Aleksandrii, a w drodze rozmyślał o kobiecie, która wydała go na świat i której tylko raz okazał prawdziwą czułość: w tamten bożonarodzeniowy wieczór przed laty, gdy doglądała rodzącej owcy (Chryste Panie – mówił sobie – minęło już więcej niż piętnaście zim, Boże drogi, może aż osiemnaście). Przybył już po pogrzebie matki i dowiedział się, że Gagliaudo opuścił miasto i wrócił do starego domu we Fraschecie.

Ojciec leżał, miał obok siebie czarkę z winem, nie dostawało mu sił, z trudem poruszał ręką, żeby odgonić natrętne muchy, które obsiadały jego twarz.

– Baudolino – powiedział zaraz – dziesięć razy dziennie złościłem się na tę biedną niewiastę, prosząc niebo, by ją piorun ugodził. A teraz, kiedy niebo to uczyniło, nie wiem, co ze sobą robić. Niczego nie mogę już znaleźć, ona wszystko odkładała na miejsce. Nie wiem nawet, gdzie są widły do gnoju, a bydlęta mają więcej łajna niż siana. I dlatego postanowiłem też umrzeć, bo tak będzie chyba lepiej.

Protesty syna nie miały dlań najmniejszego znaczenia.

– Wiesz, Baudolino, że my tutaj mamy łby twarde i kiedy coś sobie do nich wbijemy, nikt nas od tego nie odwiedzie. Nie jestem sowizdrzałem jak ty, który dzisiaj jesteś tu, jutro tam i żyjesz sobie jak panowie! Oni wszyscy myślą tylko, jak by kogoś zabić, ale kiedy pewnego dnia trzeba im umrzeć, to robią w portki. Inaczej ja, który żyłem poczciwie u boku świętej niewiasty i nie skrzywdziłem nawet muchy: kiedy postanowię umrzeć, to umrę. Ty zaś pozwolisz mi odejść, tak jak mówię, i jestem z tego rad, bo im dłużej tu pozostaję, tym jest gorzej.

Co jakiś czas wypijał łyczek wina, potem zasypiał, potem otwierał oczy i pytał: „Czy umarłem?” „Nie, ojcze – odpowiadał Baudolino – na szczęście nadal żyjesz”. „Biada mi, jeszcze jeden dzień, ale jutro zemrę, możesz być spokojny”. Za nic w świecie nie chciał tknąć jadła.

Baudolino głaskał go po czole i odpędzał muchy, a po jakimś czasie, nie wiedząc już, jak ma pocieszyć umierającego ojca, i pragnąc pokazać, że jego syn wcale nie jest takim kpem, za jakiego go ma, opowiadał mu o świętej wyprawie, do której gotuje się nie wiedzieć jak długo, i o drogach wiodących do królestwa księdza Jana.

– Wiedz, że odkryję cudowne miejsca. Jest kraina, gdzie mieszka sobie ptak, jakiego nikt nie widział, Feniks, który żyje i fruwa pięćset lat. Kiedy mija pięćset lat, kapłani przygotowują ołtarz, rozsypując na nim korzenie i siarkę, a potem przylatuje ów ptak, ogarniają go płomienie i zmienia się w popiół. Nazajutrz widzą wśród popiołów robaka, drugiego dnia dorosłego ptaka, a trzeciego ten ptak odlatuje. Jest nie większy od orła, ma na łbie

czub jak paw, szyję barwy złocistej, dziób barwy indygo, skrzydła purpurowe, a ogon w żółte, zielone i czerwone prążki. W ten sposób Feniks nigdy nie umiera.

– Wszystko to blaga – odparł Gagliaudo. – Mnie wystarczyłoby, gdybyś sprawił, żeby na nowo narodziła się Rosina. Dostała kolki od tego całego ziarna, które wcale jej nie posłużyło, nie mówiąc nawet o tym, by była szczęśliwa jak ten twój Feliks.

– Przywiozę ci z podróży mannę, którą znajduje się w górach w krainie Hioba. Jest biała i bardzo słodka, tworzy się z rosy, która spada z nieba na trawę i tam krzepnie. Oczyszcza krew i odgania melancholię.

– Oczyszcza moje jajca. To dobre dla paskudnych jaj dworaków, którzy jedzą bekasy i kruche ciasteczka.

– Może zjesz choć trochę chleba?

– Nie mam czasu, muszę umrzeć jutro rano.

A rano Baudolino opowiedział mu, że podaruje cesarzowi Gradalis, kielich, z którego pił nasz Pan.

– Tak? O! A jak wygląda?

– Cały ze złota, bogato zdobiony lapis-lazuli.

– Sam widzisz, jaki z ciebie kiep! Nasz Pan był synem stolarza i trzymał z takimi, co umierali z głodu, jeszcze biedniejszymi niż On. A ksiądz powiedział w kościele, że przez całe życie nosił tę samą suknię bez szwów, by nie zdarła się, nim skończy trzydzieści trzy lata, ty mi zaś gadasz, że ucztował, pijąc z kielicha ze złota i zalispaluli. Bajki mi tu opowiadasz. Dobrze, jeśli miał taką czarkę jak ta, i wydrążył mu ją w korzeniu ojciec, jak ja zrobiłem, to rzecz na całe życie, nie rozbijesz jej młotkiem, a skoro już o tym mowa, daj mi trochę tej krwi Jezusa Chrystusa, bo tylko ona pomaga mi należycie zemrzeć.

Do wszystkich diabłów – powiedział sobie Baudolino – ten biedny starzec ma rację. Gradalis to z pewnością czarka taka jak ta. Prosta i uboga

jak nasz Pan. Dlatego jest tutaj, w zasięgu każdego z nas, i nikt jej nie rozpoznał, gdyż wszyscy szukają przez całe życie czegoś błyszczącego.

Nie znaczy to zgoła, że Baudolino tak dużo czasu poświęcał w tych chwilach na rozmyślania o Gradalisie. Nie chciał widzieć, jak ojciec umiera, rozumiał jednak, że pozwalając mu umrzeć, spełnia się jego wolę. Po kilku dniach stary Gagliaudo wysechł jak kasztan i oddychał z trudem. Nie chciał już nawet wina.

– Ojcze mój – powiedział Baudolino – jeśli naprawdę chcesz zemrzeć, pojednaj się z Panem, a wejdziesz do raju, który jest jak pałac księdza Jana. Pan Bóg zasiada tam na wielkim tronie ustawionym na wieży, i na oparciu tronu są dwa złote jabłka, a w każdym z nich dwa wielkie karbunkuły, które przez całą noc rzucają światło. Oparcia boczne są ze szmaragdów. Siedem stopni prowadzących do tronu jest z onyksu, kryształu, jaspisu, ametystu, sardonyksu, karneolu i chryzolitu. A ponad tronem wzbijają się w górę aniołowie, wznosząc przesłodkie pienia...

– I jeszcze diabły, które przegonią mnie kopniakami w tyłek, bo nikt nie chce, by w takim miejscu kręcił się ktoś taki jak ja, śmierdzący gnojem. Lepiej zamilcz...

Potem otworzył niespodziewanie oczy i próbował się – przy pomocy Baudolina – dźwignąć.

– O Panie, oto umieram naprawdę, widzę bowiem raj. Och, jaki piękny...

– Co widzisz, ojcze mój? – załkał Baudolino.

– Zupełnie jakby nasza obora, ale czyściutko wysprzątana, i jest też Rosina... I twoja matka, ta święta niewiasta, gadajże, niegodziwa, gdzie zapodziałaś moje widły do gnoju...

Gagliaudo czknął, upuścił miskę i opadł z szeroko otwartymi oczami, którymi wpatrywał się w swą niebiańską oborę.

Baudolino przesunął delikatnie dłonią po jego twarzy, gdyż teraz to, co miał widzieć, widział nawet z zamkniętymi oczami, i poszedł powiedzieć

mieszkańcom Aleksandrii, co się stało. Obywatele miasta chcieli uczcić zacnego starca uroczystym pogrzebem, bo przecież on to ocalił niegdyś miasto, i postanowili, że nad portalem katedry umieści się jego figurę.

Baudolino raz jeszcze poszedł do rodzinnego domu, by poszukać wspomnień, postanowił bowiem, że nigdy już tu nie wróci. Zobaczył leżącą na ziemi czarkę ojca i podniósł ją jak cenną relikwię. Umył porządnie naczynie, żeby nie unosił się z niego zapach wina, bo jeśli pewnego dnia powie się, że jest to Gradalis, to od czasu, jaki upłynął od Ostatniej Wieczerzy, nie powinien już pachnieć niczym, może tylko tymi aromatami, które wszyscy, uznając, iż jest to Wielki Kielich, niechybnie poczują. Owinął czarkę w płaszcz i zabrał ze sobą.

23

Baudolino uczestniczy w trzeciej wyprawie krzyżowej

Kiedy ciemności otuliły Konstantynopol, wyruszyli w drogę. Tworzyli zwartą grupę, ale w tych czasach wiele rozmaitych gromad dawnych mieszczan, bezdomnych teraz, krążyło niby potępione dusze po mieście, szukając jakiejś bramy, w której można by spędzić noc. Baudolino zrzucił strój krzyżowca, gdyby bowiem zatrzymano go i zapytano, kto jest jego panem, mógłby popaść w tarapaty. Przodem szli Pevere, Boiamondo, Grillo i Taraburlo, zachowując się tak, jakby okoliczność, że podążają tą samą ulicą, była czystym przypadkiem.

Niedaleko już Hagia Sofia jakiś zuchwalec o niebieskich oczach i długich żółtych wąsach podbiegł do grupy, chwycił za rękę jedną z dziewcząt, nie zważając na to, że wygląda na brzydką i ospowatą, i próbował pociągnąć ją ze sobą. Baudolino powiedział sobie, że nadszedł czas, kiedy trzeba będzie wydać bitwę, i to samo pomyśleli genueńczycy, ale Niketas miał lepszy pomysł. Wypatrzył nadciągającą grupę jezdnych i rzucił się w ich stronę na kolanach, błagając o sprawiedliwość i zmiłowanie, odwołując się do ich honoru. Byli to zapewne ludzie doży; wypłazowali barbarzyńcę i oddali dziewczynę rodzinie.

Za Hipodromem genueńczycy starali się wybierać szlak najbezpieczniejszy: wąskie uliczki z wypalonymi domami albo noszące wyraźne ślady dokładnego plądrowania. Jeśli któryś z pielgrzymów szukał jeszcze jakiegoś łupu, to z pewnością nie tutaj. Była już noc, kiedy minęli

Mur Teodozjusza. Tam czekała na nich z mułami reszta genueńczyków. Uścisnęli się na pożegnanie ze swoimi zbawcami, życząc sobie nawzajem pomyślności, i oddalili się wiejską drogą, podążając pod wiosennym niebem, którego horyzont rozświetlał idący ku pełni księżyc. Od odległego morza wiał leciutki wiaterek. Wszyscy wypoczęli w ciągu dnia i podróż nie męczyła nawet żony Niketasa. Zmęczony był natomiast sam Niketas, który sapał przy każdym potknięciu bydlęcia i co pół godziny prosił współtowarzyszy o chwilę postoju.

– Za dużo zjadłeś, panie Niketasie – powiedział Baudolino.

– Czyżbyś odmawiał wygnańcowi skosztowania ostatnich słodyczy jego umierającej ojczyzny? – zapytał Niketas. Potem rozejrzał się za jakimś głazem albo pniem, na którym mógłby usiąść. – Trawi mnie pragnienie, by poznać dalszy ciąg twoich przygód. Usiądźże, Baudolinie, wsłuchaj się w ciszę, odetchnij dobrym zapachem pól. Odpocznijmy trochę, ty zaś opowiadaj.

Ponieważ przez trzy następne dni wędrowali za dnia, a odpoczywali pod gołym niebem nocami, by uniknąć miejsc zamieszkanych przez nie wiadomo kogo, Baudolino ciągnął swą opowieść pod gwiazdami, w ciszy przerywanej tylko szelestem gałązek i nagłymi odgłosami nocnych zwierząt.

– W tamtych czasach – a był rok 1187 – Saladyn rzucił się do ostatniego szturmu na chrześcijańską Jerozolimę. Zwyciężył. Zachował się wspaniałomyślnie, pozwolił wyjść bez przeszkód wszystkim, którzy mogli zapłacić okup, poprzestał na ścięciu templariuszy pod murami miasta, ponieważ był wprawdzie, jak przyznawali wszyscy, wspaniałomyślny, lecz doborowych oddziałów nieprzyjacielskich nie mógł oszczędzić żaden wódz godny tego miana, a i templariusze wiedzieli dobrze, iż w tym rzemiośle trzeba przystać na regułę: nie bierze się jeńców. Choć więc Saladyn był wielkoduszny, cały świat chrześcijański poczuł się wstrząśnięty upadkiem

zamorskiego królestwa Franków, które przez prawie sto lat stawiało wrogowi opór. Papież wezwał wszystkich europejskich monarchów do trzeciej wyprawy krzyżowej, która wyzwoliłaby Jerozolimę z rąk niewiernych.

Fakt, że cesarz dołączył się do tego przedsięwzięcia, był dla Baudolina gratką, na którą czekał. Marsz do Palestyny oznaczał przesunięcie się na wschód razem z niezwyciężoną armią. Jerozolima zostanie odzyskana w okamgnieniu, a potem wystarczy podjąć wędrówkę w stronę Indii. Ale właśnie wtedy odkrył, do jakiego stopnia Fryderyk czuje się zmęczony i niepewny swego. Zaprowadził porządek w Italii, ale z pewnością czuł obawę, że kiedy się oddali, straci wszystko, co zyskał. A może myśl o nowej wyprawie do Palestyny gnębiła go, gdyż pamiętał o zbrodni, jakiej się dopuścił podczas poprzedniej, kiedy w porywie gniewu zburzył bułgarski monaster? Któż to może wiedzieć? Wahał się. Zastanawiał się, co jest jego obowiązkiem, a kiedy człowiek zaczyna stawiać sobie takie pytanie (pomyślał Baudolino), to znak, że nie ma obowiązku, który by go pociągał.

– Miałem czterdzieści pięć lat, panie Niketasie, i stawką w grze było marzenie mojego życia, a może samo życie, jako że całe je budowałem wokół tego marzenia. Tak więc, zupełnie na zimno, zawierzając mojej szczęśliwej gwieździe, postanowiłem podsunąć memu przybranemu ojcu nadzieję, niebiańskie marzenie o jego misji. Po upadku Jerozolimy na naszych chrześcijańskich ziemiach pojawili się rozbitkowie z tej katastrofy, i na dworze cesarskim przebywało jakiś czas siedmiu rycerzy Świątyni, którzy Bóg jeden wie w jaki sposób uniknęli zemsty Saladyna. Byli wynędzniali, lecz ty nie wiesz może, jacy są templariusze: to pijacy i rozpustnicy, ludzie, którzy sprzedadzą ci własną siostrę, jeśli w zamian pozwolisz im umizgać się do swojej, a ponoć jeszcze lepiej do brata. Jednym słowem można powiedzieć, że ich odkarmiłem, i wszyscy widzieli,

jak włóczyłem się z nimi po karczmach. Dzięki temu bez trudu mogłem oznajmić pewnego dnia Fryderykowi, że ci bezwstydni świętokupcy ukradli w Jerozolimie właśnie Gradalis. Powiedziałem też, że ponieważ mieli puste sakiewki, wziąłem wszystkie pieniądze, jakie miałem, i go od nich odkupiłem. Fryderyk naturalnie w pierwszej chwili się zdumiał. Czyż Gradalis nie znajdował się w pieczy księdza Jana, który właśnie jemu, cesarzowi, chciał złożyć go w darze? I czyż nie zamierzaliśmy wyruszyć na poszukiwanie księdza Jana właśnie po to, by otrzymać w darze tę przenajświętszą pamiątkę? Tak było, ojcze mój, odparłem, ale widać jakiś wiarołomny minister skradł go Janowi i sprzedał oddziałowi templariuszy, nie zdając sobie zgoła sprawy, co to za jedni i że przybyli tam na rabunek. Nieważne jednak jak i kiedy. Święty i rzymski cesarz ma oto przed sobą inną i jeszcze bardziej zadziwiającą okazję: uda się na poszukiwanie księdza Jana, żeby oddać mu utracony Gradalis. Nie wykorzystując tej niezrównanej relikwii do tego, by zyskać moc, ale by spełnić obowiązek, zasłuży sobie na wdzięczność księdza i wieczystą sławę w całym świecie chrześcijańskim. Zamiast zawładnąć Gradalisem, zwrócić go, zamiast uczynić z niego skarb, oddać tam, skąd go skradziono, zamiast mieć, dać, zamiast posiadać (o czym marzą wszyscy), złożyć najwznioślejszą ofiarę, wyzbywając się go – każdy ujrzy, kto jest naprawdę namaszczony, komu przypada chwała należna jedynemu i prawdziwemu *rex et sacerdos*. Fryderyk stanie się nowym Józefem z Arymatei!

– Okłamałeś swego ojca.

– Pracowałem dla jego dobra i dla dobra cesarstwa.

– Czy nie pomyślałeś, co by się stało, gdyby Fryderyk naprawdę stanął przed księdzem, wręczył mu kielich, ten zaś wybałuszyłby oczy i jął się zastanawiać, co to za miska, której nigdy w życiu nie widział? Fryderyk stałby się nie chwałą, lecz pośmiewiskiem chrześcijańskiego świata!

– Znasz przecież ludzi, panie Niketasie, i to lepiej niż ja. Wyobraź sobie tylko: jesteś księdzem Janem i oto wielki cesarz Zachodu klęka przed tobą

i wręcza ci tak znamienitą relikwię, powiadając, że jest twoja wedle prawa, a ty zaczynasz szydzić, mówiąc, że nigdy nie widziałeś tej miski z jakiejś karczmy? Daj pokój! Nie twierdzę zgoła, że ksiądz udawałby, iż rzecz rozpoznaje. Twierdzę, że oślepiony blaskiem chwały, jaka na niego spływa, uznałby się za jej kustosza, od razu by ją rozpoznał, uwierzyłby, iż zawsze do niego należała. Tak zatem jako ową rzecz bez ceny zaniosłem Fryderykowi miskę mojego ojca Gagliauda i przysięgam ci: w tym momencie czułem się, jakbym celebrował święty obrządek. Przekazałem dar i pamiątkę po ojcu cielesnym ojcu duchowemu, a ojciec mój cielesny wcale się nie mylił: ta jakże skromna rzecz, z którą obcował przez całe swe grzeszne życie, była naprawdę i pod względem duchowym kielichem ubogiego Chrystusa, który miał pójść na śmierć, by zbawić wszystkich grzeszników. Czyż odprawiając mszę, kapłan nie bierze zwykłego chleba i zwykłego wina, by zmienić je w ciało i krew naszego Pana?

– Ty jednak nie byłeś kapłanem!

– I nie utrzymywałem, że ta rzecz jest krwią Chrystusa, lecz tylko że była nią napełniona. Nie przywłaszczałem sobie mocy sakramentalnej. Dawałem świadectwo.

– Fałszywe.

– Nie. Sam powiedziałeś, że kiedy wierzy się w prawdziwość relikwii, czuje się jej zapach. Myślimy, że to tylko my potrzebujemy Boga, ale bywa i tak, że Bóg potrzebuje nas. Przyszło mi wtedy do głowy, że trzeba Mu pomóc. Ten kielich musiał wszak istnieć, skoro używał go nasz Pan. Jeśli zaginął, stało się to z winy jakiegoś marnego człowieka. Ja oto przywracałem Gradalis chrześcijaństwu. Bóg nie zechce zadać mi kłamu. Najlepszym dowodem jest to, że moi kompani od razu we wszystko uwierzyli. Święte naczynie było tu, mieli je przed oczami, było w rękach Fryderyka, a cesarz jak w uniesieniu wznosił je do nieba, i wtedy Boron przyklęknął, ujrzał bowiem rzecz, o której zawsze bajdurzył, Kyot zaraz oświadczył, że widzi chyba wielkie światło, rabbi Solomon przyznał, że

choć Jezus nie jest prawdziwym mesjaszem oczekiwanym przez jego lud, z tego naczynia bije niechybnie woń kadzidła, Zosima zasłonił swe wizjonerskie oczy i zrobił kilkakroć znak krzyża w odwrotną stronę, jak zwykliście to czynić wy, schizmatycy, Abdul drżał jak osika i mówił, że posiadanie tej świętej pamiątki to tyleż co zdobycie wszystkich zamorskich królestw, i nie ulegało wątpliwości, iż chciałby wręczyć ją jako rękojmię miłości swej dalekiej księżniczce. Mnie też łzy napłynęły do oczu i zadawałem sobie pytanie, jak to możliwe, bym z woli niebios stał się mediatorem tego cudownego wydarzenia. Jeśli chodzi o Poetę, ten obgryzał ze złości paznokcie. Wiedziałem, co sobie myśli: że jestem głupcem, że Fryderyk zestarzał się i nie będzie umiał wyciągnąć korzyści z tego skarbu, lepiej, byśmy zachowali go dla siebie i sami wyruszyli ku ziemiom północnym, gdzie podarowano by nam królestwo. Widząc jawną słabość cesarza, wracał do swoich snów o władzy. Lecz dla mnie było to prawie pociechą, bo pojąłem z jego zachowania, że także on uznał Gradalis za prawdziwy.

Fryderyk, jak nakazywała pobożność, zamknął czarkę w szkatule i klucz od niej zawiesił sobie na szyi, a Baudolino pomyślał, że jest to uzasadniona ostrożność, ponieważ miał uczucie, iż nie tylko Poeta, ale i wszyscy pozostali przyjaciele byliby gotowi ukraść ten przedmiot, by posłużyć się nim w swych osobistych przedsięwzięciach.

Potem cesarz oświadczył, że trzeba będzie wyruszyć na wyprawę. Wyprawa zdobywców wymaga starannych przygotowań. W następnym roku Fryderyk wysłał posłów do Saladyna i zażądał spotkania z wysłannikami żupana Serbów Stefana Nemanii, bizantyjskiego bazyleusa i seldżuckiego sułtana Ikonium, by przygotować przemarsz przez ich terytoria.

Kiedy królowie Anglii i Francji postanowili przeprawić się drogą morską, a Fryderyk wyruszył w maju 1189 roku drogą lądową z Ratyzbony

na czele piętnastu tysięcy rycerzy i tyluż giermków, niektórzy uważali, że na węgierskich równinach dokonał przeglądu sześćdziesięciu tysięcy rycerstwa i stu tysięcy piechoty. Inni mówili nawet o sześciuset tysiącach pielgrzymów i być może wszyscy przesadzali; sam Baudolino nie potrafił powiedzieć, ilu ich naprawdę jest, może wszystkiego dwadzieścia tysięcy, ale w każdym razie była to wielka armia. Chociaż nie dało się ich policzyć jednego po drugim, kiedy widziało się ich z daleka, stanowili wraz z taborami tłum, którego początek można było wskazać, lecz końca – nie.

Chcąc uniknąć rzezi i grabieży, do jakich dochodziło podczas poprzednich wypraw, cesarz nie pozwolił na dołączenie się tych gromad nędzarzy, którzy sto lat wcześniej tyle krwi przelali w Jerozolimie. Wszystko miało odbywać się należycie, wszystkim zajmować się mieli ludzie, którzy wiedzieli, jak się prowadzi wojnę, a nie nędznicy, którzy wyruszali ponoć na podbój raju, a wracali do domu z łupem wydartym jakiemuś Żydowi porzuconemu po drodze z poderżniętym gardłem. Fryderyk zabrał tylko takich, którzy mieli pieniądze na dwuletnie utrzymanie, a żołnierze ubodzy otrzymali po trzy srebrne marki, by mogli podczas marszu kupować sobie zaopatrzenie. Skoro ma wyzwolić Jerozolimę, musi wydać tyle, ile potrzeba.

Do przedsięwzięcia dołączyło wielu Italczyków, byli wśród nich kremończycy z biskupem Sykardem, breszyjczycy, werończycy z kardynałem Adelardem, a nawet garść aleksandryjczyków, wśród których nie zabrakło starych przyjaciół Baudolina, Boidiego, Cuttiki z Quargnento, Porcellego, Alerama Scaccabarozziego, zwanego Ciula, Colandrina, brata Colandriny, a więc jego szwagra, jednego z Trottich, a dalej Pozzich, Ghilinich, Lanzavecchich, Perich, Inviziatich, Gambarinich i Cermellich – a wszyscy wysłani na koszt miasta.

Był to radosny przemarsz wzdłuż Dunaju aż do Wiednia, potem zaś, w czerwcu, Fryderyk spotkał się w Bratysławie z królem Węgier. Aż

wreszcie weszli w bułgarskie bory. W lipcu spotkali się z żupanem Serbii, który chciał zawrzeć przymierze przeciwko Bizancjum.

– Zdaje się, że to spotkanie stało się powodem zgryzoty waszego bazyleusa Izaaka – powiedział Baudolino. – Bał się, że nasza armia zechce zdobyć Konstantynopol.

– I nie omylił się.

– Owszem, omylił się o piętnaście lat. Wtedy Fryderyk naprawdę chciał dotrzeć do Jerozolimy.

– My się jednak niepokoiliśmy.

– Rozumiem. Przez wasze terytorium miała przemaszerować ogromna obca armia, nic więc dziwnego, że budziło to waszą troskę. Z pewnością jednak utrudnialiście nam życie. Kiedy dotarliśmy do Serdyki, nie zastaliśmy obiecanego zaopatrzenia. Pod Filipopolis stanęły przeciwko nam wasze oddziały, które potem wzięły nogi za pas, jak zawsze zresztą bywało w ciągu tych miesięcy.

– Wiedz, że byłem wówczas namiestnikiem Filipopolis. Z dworu napływały sprzeczne wieści. Najpierw bazyleus nakazywał nam zbudować mur obronny i wykopać fosę, by stawić wam opór, a zaraz potem, kiedy już to wykonaliśmy, przychodził rozkaz, żeby wszystko zburzyć, byście nie mieli za tym murem schronienia.

– Zagradzaliście górskie przełęcze, zwalając drzewa. Napadaliście na naszych, kiedy wyruszali w pojedynkę na poszukiwanie jadła.

– Plądrowali nasze ziemie.

– Bo nie dostarczaliście obiecanego prowiantu. Wasi opuszczali z murów miast kosze z prowiantem, ale dodawali do chleba zaprawy wapiennej i innych trujących substancji. Podczas marszu cesarz otrzymał list od byłej królowej Jerozolimy Sybilli, która ostrzegała go, że Saladyn, chcąc powstrzymać pochód chrześcijan, posłał cesarzowi Bizancjum wiele

korców zatrutego ziarna i naczynie z winem tak trującym, iż pewien niewolnik Izaaka padł martwy na miejscu po jego wypiciu.

– Bajki.

– Ale kiedy Fryderyk pchnął swoich posłów do Konstantynopola, wasz bazyleus nawet nie poprosił, żeby usiedli, a potem wtrącił ich do więzienia.

– W końcu jednak odesłał ich Fryderykowi.

– Kiedy wkroczyliśmy do Filipopolis i zastaliśmy miasto opustoszałe, bo wszyscy gdzieś przepadli. Nie było tam także ciebie.

– Moim obowiązkiem było uniknąć niewoli.

– Niechaj będzie i tak. Po naszym wkroczeniu do Filipopolis wasz bazyleus zmienił jednak ton. Rzecz w tym, że spotkaliśmy tam gminę ormiańską.

– Dla Ormian jesteście jak bracia. To schizmatycy jako i wy, nie oddają czci świętym obrazom, używają niekwaszonego chleba.

– Są dobrymi chrześcijanami. Niektórzy z nich od razu zaczęli przemawiać w imieniu swojego księcia, Leona, zapewniając nam wolny przemarsz przez swój kraj i wsparcie. O tym, że sprawy nie wyglądają tak prosto, dowiedzieliśmy się w Adrianopolu, kiedy przybyło poselstwo seldżuckiego sułtana Ikonium, Kilidża Arslana, który ogłosił się panem Turków i Syryjczyków, ale także Ormian. Kto dowodził i gdzie?

– Kilidż próbował przeciwstawić się wszechwładzy Saladyna i chętnie podbiłby chrześcijańskie królestwo Armenii, miał więc nadzieję, że armia Fryderyka mu w tym pomoże. Ormianie zaś ufali, że Fryderyk ukróci dążenia Kilidża. Nasz Izaak, który nosił jeszcze na sobie piętno klęski, jaką zadali nam Seldżucy pod Myriokefalonem, miał nadzieję, że dojdzie do starcia Fryderyka z Kilidżem, ale nie miałby też nic przeciwko paru potyczkom z przysparzającymi niemało kłopotów naszemu cesarstwu Ormianami. Dlatego dowiedziawszy się, że zarówno Ormianie, jak i Seldżucy dają Fryderykowi prawo przemarszu przez swoje ziemie,

zrozumiał, iż nie może powstrzymywać pochodu, lecz powinien zabiegać o jego przyspieszenie, obiecał więc ułatwić przeprawę przez Propontydę. W ten sposób posyłał go przeciwko naszym wrogom i jednocześnie się go pozbywał.

– Mój biedny ojciec! Nie wiem, czy zdawał sobie sprawę, że jest orężem w ręku zgrai skłóconych między sobą wrogów. A może zdawał sobie sprawę, ale myślał, że rozprawi się z nimi wszystkimi. Wiem tylko, że dostrzegając możliwość przymierza z leżącym za Bizancjum chrześcijańskim królestwem Ormian, Fryderyk drżał na myśl o swoim ostatecznym celu. Miał nadzieję (a ja wraz z nim), że Ormianie otworzą mu szlak do królestwa księdza Jana... W każdym razie było tak, jak powiedziałeś, po przybyciu poselstw Seldżuków i Ormian Izaak dał nam okręty. I właśnie w Gallipolis, Kallioupolis, widziałem ciebie, kiedy w imieniu swojego bazyleusa przekazywałeś nam okręty.

– Nie była to dla nas łatwa decyzja – rzekł Niketas. – Bazyleus narażał się na starcie z Saladynem. Pchnął do niego posłów, by wyjaśnili, czemu musiał dać okręty. Saladyn, wielki pan, natychmiast to zrozumiał i nie żywił urazy. Powtarzam: niczego nie musieliśmy się bać ze strony Turków. Kłopoty są zawsze z wami, schizmatykami.

Niketas i Baudolino uznali, że nie warto czynić sobie nawzajem wyrzutów z powodu tego, co było i minęło. Być może Izaak miał rację: każdy chrześcijański pielgrzym, który zatrzymywał się w Bizancjum, czuł pokusę, by dalej nigdzie nie wędrować, gdyż tu, na miejscu, było tyle pięknych rzeczy do zdobycia, że nie musiał już się narażać na niebezpieczeństwa pod murami Jerozolimy. Ale Fryderyk chciał naprawdę wyruszyć w dalszą drogę.

Dotarli do Gallipolis i choć to nie Konstantynopol, cała armia była oczarowana tym pulsującym radością miastem i portem pełnym galer i dromonów, gotowych do przyjęcia na pokład koni, rycerzy i prowiantu.

Przeprawa nie była kwestią kilku dni, więc nasi przyjaciele mogli sobie próżnować. Już na początku wyprawy Baudolino uznał, że wykorzysta Zosimę w jakimś pożytecznym celu, kazał mu więc uczyć greki swoich towarzyszy. „Tam, dokąd się udajemy – powiedział – nikt nie zna łaciny, nie mówiąc już o niemieckim, prowansalskim czy moim języku. Greka daje nadzieję, że można się będzie porozumieć". Dzięki temu czas oczekiwania nie dłużył się im zgoła – mijał na wizytach w burdelu i lekturze ojców Kościoła wschodniego.

Port był ogromnym placem targowym; zachęceni odległym migotaniem świateł i zapachem korzeni, postanowili pewnego dnia tam się zapuścić. Zosima, którego uwolnili, by służył im za przewodnika (ale pod nadzorem niespuszczającego go ani na chwilę z oka Borona), ostrzegł ich: – Wy, łacińscy i alemańscy barbarzyńcy, nie znacie reguł, jakimi rządzi się nasza, rzymska, cywilizacja. Musicie wiedzieć, że w pierwszej chwili nie będziecie chcieli nic kupić, bo zażądają za dużo, a jeśli zapłacicie od razu żądaną sumę, mało tego, że wezmą was za głupców, bo i tak wiedzą, że nimi jesteście, ale poczują się nieswojo, gdyż cała przyjemność z handlu to dobijanie targu. Proponujcie więc dwie monety, kiedy żądają dziesięciu, oni wtedy zejdą do siedmiu, a wy zatrzymacie się na trzech, póki nie ustąpią, płacząc przy tym i przysięgając, iż skończą ze swoją rodziną na bruku. W tym momencie dokonacie jednak zakupu, ale wiedzcie, że towar jest wart jedną monetę.

– Czemu więc mielibyśmy coś kupować? – spytał Poeta.

– Ponieważ oni też mają prawo do życia i trzy monety za rzecz, która jest warta jedną, to uczciwa zapłata. Muszę jednak udzielić wam jeszcze jednego ostrzeżenia: nie tylko kupcy mają prawo do życia, ale również złodzieje, a ponieważ nie mogą okradać się między sobą, spróbują okraść was. Jeśli im przeszkodzicie, tym lepiej dla was, bo takie jest wasze prawo, lecz jeśli się im uda, nie powinniście się skarżyć. Radzę wam więc nosić

w sakiewce niewiele pieniędzy, tyle tylko, ile postanowiliście wydać, i nic więcej.

Tak pouczeni przez biegłego w miejscowych obyczajach przewodnika, nasi przyjaciele zagłębili się w tłum cuchnący, jak wszyscy *romaei*, czosnkiem. Baudolino kupił dwa pięknej roboty arabskie sztylety, które zatyka się za pas po obu stronach, by szybko po nie sięgnąć skrzyżowanymi rękami. Abdul znalazł maleńką szkatułkę z puklem włosów (nie wiadomo czyich, lecz było oczywiste, kogo miał na myśli). Solomon przywołał wielkim głosem pozostałych, kiedy odkrył namiot Persa sprzedającego cudowne napoje. Sprzedawca eliksiru pokazał ampułkę zawierającą wedle jego słów potężnej mocy driakiew, która w małych dawkach pobudzała siły życiowe, ale wypita w całości powodowała rychłą i niechybną śmierć. A potem pokazał podobną ampułkę, zawierającą silniejszą odtrutkę, która niweczyła działanie dowolnego jadu. Solomon, który, jak wszyscy Żydzi, zajmował się dla przyjemności sztuką medyczną, kupił tę odtrutkę. Ponieważ należał do ludu, który znał się na rzeczy znacznie lepiej niż Greczyni, udało mu się zapłacić jedną monetę zamiast dziesięciu żądanych, a i tak trapiła go myśl, że przynajmniej dwakroć przepłacił.

Gdy opuścili namiot aptekarza, Kyot znalazł wspaniałą szarfę, Boron zaś, obejrzawszy najpierw na wszystkie strony każdy towar, potrząsnął tylko głową i mruknął, że jeśli ktoś należy do świty cesarza, który posiada Gradalis, wszystkie skarby świata są mierzwą, a co dopiero te tutaj.

Odnaleźli Boida z Aleksandrii, który dołączył do ich grupy. Zachwycił go pierścień, być może złoty (sprzedawca płakał, odstępując mu ten klejnot, ponieważ należał do jego matki), zawierający w oprawie cudowny kordiał, którego jeden łyk przywracał do życia rannego, a w pewnych przypadkach mógł wskrzesić martwego. Kupił go – wyjaśnił – bo jeśli ma wystawiać skórę na szwank pod murami Jerozolimy, lepiej się zabezpieczyć.

Zosima wpadł w uniesienie na widok pieczęci z dzetą, czyli jego inicjałem, do której dodano pałeczkę laku. Dzeta była tak już wytarta, że

być może nie odcisnęłaby żadnego znaku w lace, ale świadczyło to przecież o niezwykłej starożytności przedmiotu. Ponieważ był jeńcem, nie miał naturalnie pieniędzy, ale Solomonowi serce zmiękło i kupił dla niego tę pieczęć.

Nagle, popychani przez tłum, spostrzegli, że gdzieś się zapodział Poeta, ale wytropili go, jak targował się o miecz, który według słów sprzedającego pamiętał zdobycie Jerozolimy. Kiedy jednak Poeta sięgnął po sakiewkę, zdał sobie sprawę, że Zosima miał rację i że do niego, błękitnookiego zamyślonego Alamana, złodzieje lgnęli jak muchy do lepu. Baudolino poczuł, że serce mu mięknie, i podarował Poecie miecz.

Następnego dnia w ich kwaterze pojawił się w towarzystwie dwojga sług bogato ubrany i zachowujący się z przesądną grzecznością mężczyzna, który powiedział, że chce zobaczyć się z Zosimą. Mnich naradzał się z nim chwilę, a potem wyjaśnił Baudolinowi, że jest to Machitar Ardzrouni, szlachetny dygnitarz ormiański, który przybył z tajnym poselstwem od księcia Leona.

– Ardzrouni? – powtórzył Niketas. – Wiem, kto to taki. Wiele razy pokazywał się w Konstantynopolu jeszcze w czasach Andronika. Domyślam się, że zetknął się z tym twoim Zosimą, gdyż cieszył się sławą jako miłośnik nauk magicznych. Jeden z moich selymbryjskich przyjaciół, Bóg jeden wie jednak, czy go zastaniemy, gościł także w jego zamku Dadżig...

– Dowiesz się, że my też. Na nasze nieszczęście. To, że przyjaźnił się z Zosimą, było dla mnie znakiem niewróżącym niczego dobrego, ale powiedziałem o tym Fryderykowi i ten chciał ujrzeć owego człeka. Ardzrouni był dość powściągliwy, gdy podejmowało się temat jego pełnomocnictw. Leon niby go przysłał, ale właściwie nie przysłał, a jeśli nawet przysłał, to on nie może tego wyjawić. Jest tu, ma służyć wojsku cesarza za przewodnika w drodze przez terytorium tureckie, aż do Armenii.

Ardzrouni rozmawiał z cesarzem całkiem znośną łaciną, ale kiedy wolał nie wyrażać się zbyt ściśle, udawał, że nie znajduje właściwego słowa. Fryderyk powiedział, że to człek niegodny zaufania, jak wszyscy Ormianie, ale przyda się mu ktoś obeznany z terenem, postanowił więc przydzielić go do armii i tylko poprosił, bym miał go na oku. Muszę przyznać, że przez całą drogę zachowywał się bez zarzutu, podając informacje, które zawsze się potwierdzały.

24

Baudolino w zamku Ardzrouniego

W marcu 1190 roku armia wkroczyła do Azji, dotarła do Laodycei i ruszyła w stronę terytoriów należących do Turków seldżuckich. Stary sułtan Ikonium głosił, że jest sprzymierzeńcem Fryderyka, lecz jego synowie zadali temu kłam i zaatakowali armię chrześcijańską. A właściwie być może sam Kilidż zmienił stanowisko, sprawa nigdy nie została do końca wyjaśniona. Raz po raz dochodziło do starć, potyczek i najprawdziwszych bitew, z których Fryderyk zawsze wychodził zwycięsko, ale jego armię dziesiątkował chłód, głód i ataki Turkmenów, którzy pojawiali się nie wiadomo skąd, uderzali na skrzydła armii i bez trudu uciekali, znali bowiem doskonale szlaki i kryjówki.

Z trudem posuwający się przez spalone słońcem pustkowie żołnierze musieli pić własny mocz albo krew koni. Kiedy w końcu dotarli pod Ikonium, pozostało nie więcej niż tysiąc rycerzy.

Było to jednak wspaniałe oblężenie i młodziutki Fryderyk Szwabski, choć trawiła go choroba, walczył dzielnie, osobiście biorąc udział w zdobyciu miasta.

– Wyrażasz się chłodno o młodym Fryderyku.

– Nie lubił mnie. Nikomu nie ufał, był zazdrosny o młodszego brata, który miał mu odebrać cesarską koronę, i bez wątpienia był również zazdrosny o mnie, bo w moich żyłach płynęła obca krew, a jednak jego ojciec okazywał mi uczucie. Może od dzieciństwa nosił zadrę w sercu,

widząc, jak patrzę na jego matkę, a ona na mnie. Był zazdrosny o autorytet, który zyskałem, dając jego ojcu Gradalis, i zawsze odnosił się z niedowierzaniem do całej tej historii. Kiedy mówiło się o wyprawie do Indii, mruczał pod nosem, że wszelkie rozmowy na ten temat trzeba odłożyć do właściwej chwili. Podejrzewał, że wszyscy chcą go z czegoś wyzuć. Właśnie dlatego był taki waleczny pod Ikonium, chociaż akurat tego dnia trawiła go gorączka. Dopiero kiedy ojciec pochwalił go za piękną postawę, i to w obecności wszystkich swych baronów, zobaczyłem, jak oczy mu z radości rozbłysły. Pewnie jeden jedyny raz w ciągu całego życia. Poszedłem złożyć mu hołd i byłem naprawdę szczęśliwy, że tak się wsławił, ale on podziękował mi z roztargnieniem.

– Jesteś, Baudolinie, podobny do mnie. Ja też pisałem, i piszę nadal, kroniki cesarstwa i omawiam w nich drobne zawiści, wrogości i zazdrości, które sieją zamęt w życiu potężnych rodów i w wielkich publicznych przedsięwzięciach. Nawet cesarze są tylko ludźmi i historia to także dzieje ich słabości. Mów jednak dalej.

– Po zdobyciu Ikonium Fryderyk bezzwłocznie pchnął posłów do Leona Armeńskiego z prośbą o ułatwienie przemarszu przez jego terytorium. Zawarliśmy wszak przymierze i to właśnie nam obiecali. Leon, jak dotąd, nie wysłał jednak nikogo na nasze spotkanie. Może bał się, że skończy jak sułtan Ikonium. Maszerowaliśmy więc, nie wiedząc zgoła, czy doczekamy się jakiejś pomocy, a Ardzrouni prowadził nas, zapewniając, że posłowie jego księcia rychło przybędą. Pewnego czerwcowego dnia skręciliśmy na południe, minęliśmy Larandę, pokonaliśmy góry Taurus i w końcu ujrzeliśmy cmentarze z krzyżami. Byliśmy w Cylicji, na ziemi chrześcijańskiej. Natychmiast przyjął nas ormiański pan Sybilli, a dalej, w pobliżu przeklętej rzeki, której miano chętnie wykreśliłbym z pamięci, spotkaliśmy przysłane przez Leona poselstwo. Ledwie je spostrzegliśmy, Ardzrouni oznajmił, że lepiej, by go nie widziano, i gdzieś przepadł. Spotkaliśmy się z dwoma dygnitarzami, Konstantym i Baldwinem

z Camardeis, a nigdy nie widziałem posłów tak niepewnych własnych słów. Jeden zapowiedział rychłe przybycie z całą pompą Leona oraz katolikosa Grzegorza, drugi zaś kręcił, zwracając uwagę na fakt, że pragnąc pomóc cesarzowi, książę armeński nie może pokazać Saladynowi, iż otwiera drogę jego przeciwnikom, musi więc działać nader ostrożnie.

Kiedy poselstwo się oddaliło, pojawił się z powrotem Ardzrouni; wziął na stronę Zosimę, który udał się następnie do Baudolina, potem zaś, razem z Baudolinem, do Fryderyka.

– Ardzrouni mówi, że choć jest jak najdalszy myśli o zdradzeniu swego pana, podejrzewa, iż Leon byłby szczęśliwy, gdybyś zatrzymał się tutaj.

– Co masz na myśli? – spytał Fryderyk. – Chce podsunąć mi wino i dziewczęta, bym zapomniał, że moim celem jest Jerozolima?

– Wino może i tak, ale zatrute. Mówi, byś nie zapominał o liście królowej Sybilli – odparł Zosima.

– Skąd wie o tym liście?

– Pogłoski szybko się rozchodzą. Jeśli Leon powstrzyma twój marsz, będzie to bardzo na rękę Saladynowi, więc Saladyn być może wesprze jego dążenie do objęcia władzy nad sułtanatem Ikonium, tym bardziej że Kilidż i jego synowie ponieśli haniebną klęskę.

– A czemu to Ardzrouni tak bardzo zatroszczył się o moje życie, że zdradził swego pana?

– Jedynie nasz Pan oddał życie z miłości do rodzaju ludzkiego. Zrodzone w grzechu ludzkie plemię jest podobne do plemienia zwierzęcego: nawet krowa da ci mleko tylko wtedy, gdy ty dasz jej siano. I cóż nam mówi ta święta maksyma? Że Ardzrouni nie miałby nic przeciwko zajęciu pewnego dnia miejsca Leona. Cieszy się szacunkiem wielu Ormian, Leon zaś nie. Jeśli zatem zyska sobie wdzięczność świętego i rzymskiego cesarza, pewnego dnia będzie mógł zawierzyć najpotężniejszemu z przyjaciół.

Dlatego proponuje, byśmy udali się do jego zamku Dadżig, który leży nad tą rzeką, i tam czekali na twoich ludzi. Póki nie uda się nam odgadnąć prawdziwych zamysłów Leona, mógłbyś mieszkać u Ardzrouniego, a tam nie groziłaby ci żadna zasadzka. Zaleca też, byś odtąd zachował ostrożność co do jadła i napojów, jakie może ci ofiarować któryś z jego ziomków.

– Do diaska! – ryknął Fryderyk. – Od roku muszę przechodzić z jednego gniazda żmij do drugiego! Moi zacni książęta niemieccy byli zaiste aniołami w porównaniu z tymi, których spotykam tutaj! I wiesz, co ci rzekę? Nawet najbardziej wiarołomni ze wszystkich wiarołomnych, to jest mediolańczycy, którzy tylu cierpień mi przysporzyli, przynajmniej stawali przeciwko mnie w otwartym polu, nie próbowali pchnąć mnie sztyletem podczas snu! Co więc uczynimy?

– Fryderyk, jego syn, doradził, żeby przyjąć zaproszenie. Lepiej strzec się jednego wroga, którego się zna, niż licznych i nieznanych – zauważył.

– Racja, mój ojcze – dodał Baudolino. – Kiedy będziesz przebywał w zamku, ja i moi przyjaciele wzniesiemy dokoła zaporę, aby każdy, kto zechce się do ciebie zbliżyć, w dzień czy w nocy, musiał przejść po naszych trupach. Będziemy kosztować każde jadło przeznaczone dla ciebie. Nic nie mów, nie jestem wcale męczennikiem. Wszyscy dowiedzą się, że będziemy jedli i pili, nim ty weźmiesz cokolwiek do ust, a nikt nie uzna za rzecz rozumną trucie jednego z nas, gdyż wtedy twój gniew spadłby na każdego, kto przebywa w tej twierdzy. Twoi ludzie potrzebują odpoczynku, Cylicję zamieszkują chrześcijanie, sułtan Ikonium nie ma już sił, by przejść góry i znowu cię zaatakować, Saladyn jest jeszcze zbyt daleko, wszędzie mamy tu góry i parowy, jest to więc teren łatwy do obrony i stosowny do tego, by wszyscy odzyskali siły.

Po dniu marszu w kierunku Seleucji weszli w gardziel tak ciasną, że z trudem mogli trzymać się rzeki. W pewnym momencie gardziel rozszerzyła się, dzięki czemu rzeka przepływała na większej przestrzeni po terenie płaskim, by dalej przyspieszyć bieg i runąć w następną gardziel.

Nieopodal brzegu wznosiła się, sterczą̨c z równiny niby ogromny grzyb, wieża o nieregularnym kształcie; w zachodzą̨cym słońcu jej błękitny zarys przyciągał wzrok każdego przybywającego od strony wschodniej, tak że w pierwszej chwili nie sposób było powiedzieć, czy jest dziełem człowieka, czy natury. Dopiero z bliska widać było, że jest to rodzaj skalnego masywu, a na nim stoi twierdza panująca i nad równiną, i nad koroną dookolnych szczytów.

– Oto przybyliśmy – oznajmił Ardzrouni. – Ty, panie, możesz rozkazać swej armii, by rozbiła obóz na równinie, i doradzam ci wybranie tego właśnie miejsca, w samej dolinie rzeki, nie brak tu bowiem przestrzeni na namioty ani wody dla ludzi i zwierząt. Mój zamek nie jest duży, radzę ci więc, byś zamieszkał w nim tylko z grupą zaufanych.

Fryderyk polecił synowi zająć się rozbijaniem obozu i pozostać z wojskiem. Postanowił zabrać ze sobą ledwie dziesiątkę ludzi, a prócz nich tylko Baudolina i grupę jego przyjaciół. Syn próbował protestować, mówiąc, że chce być przy ojcu, nie zaś w odległości mili od niego. Raz jeszcze okazał, że nie ma za dużo zaufania do Baudolina i jego przyjaciół, ale cesarz był nieugięty.

– Spędzę noc w twierdzy – oznajmił. – Rankiem wykąpię się w rzece, a do tego ty mi nie będziesz potrzebny. Przybędę wpław, by życzyć ci pomyślnego dnia.

Syn, choć niechętnie, powiedział, że wola cesarza jest prawem.

Fryderyk odłączył więc od głównych sił i udał się do twierdzy w otoczeniu dziesięciu zbrojnych, Baudolina, Poety, Kyota, Borona, Abdula, Solomona i Boidiego, który wiódł na łańcuchu Zosimę. Wszyscy byli ciekawi, jak dostaną się do zamku, ale po okrążeniu masywu można było wreszcie zauważyć, że od strony zachodniej stromizna łagodnieje – tylko trochę, lecz wystarczająco, by dało się wykuć i wybrukować ścieżynę ze stopniami, którą mogły piąć się obok siebie co najwyżej dwa konie. Jeśli ktoś podążał do zamku w jakichś złych zamiarach, musiał wspinać się

mozolnie po stopniach, tak że wystarczyło umieścić na blankach dwóch łuczników, by zabijali parami kolejnych napastników.

Na końcu ścieżki znajdowała się brama, która prowadziła na dziedziniec. Ale ścieżka, tutaj jeszcze węższa, biegła dalej pod samymi murami nad urwiskiem – do drugiej bramy, tym razem mniejszej, umieszczonej od strony północnej, i tu kończyła się przepaścią.

Wjechali na dziedziniec, z którego przechodziło się do właściwego zamku, budowli o murach podziurawionych otworami strzelniczymi, bronionych z kolei z murów oddzielających dziedziniec od przepaści. Fryderyk rozstawił na murach swoje straże, które miały widok z góry na ścieżkę. Wyglądało na to, że Ardzrouni nie ma swoich ludzi – poza paroma zbójami, którzy strzegli rozmaitych drzwi i korytarzy.

– Nie potrzebuję tu zbrojnych oddziałów. – Ardzrouni uśmiechnął się z dumą. – Nikt nie może nic mi tu zrobić. A poza tym, jak zobaczysz, święty cesarzu, nie jest to miejsce do prowadzenia wojny, lecz schronienie, w którym uprawiam me studia nad powietrzem, ogniem, ziemią i wodą. Chodź, abym pokazał ci miejsca, gdzie znajdziesz godną siebie kwaterę.

Weszli po schodach i za drugim zakrętem znaleźli się w obszernej zbrojowni, której wyposażenie stanowiły ławy i zdobiące ściany panoplie. Ardzrouni otworzył drzwi z masywnego drewna okutego żelazem i wprowadził Fryderyka do urządzonej z przepychem komnaty. Było tam łoże z baldachimem, komoda ze złotymi kielichami i kandelabrami, zwieńczona skrzynią z ciemnego drewna, jakby szkatułą czy tabernakulum, i duży przygotowany do rozpalenia kominek, w którym ułożono polana i bryłki substancji przypominającej węgiel, ale pokryte oleistą substancją, zapewne podsycającą płomień. To wszystko rozmieszczono starannie na suchym chruście i przykryto gałązkami, na których pozostawiono wonne jagody.

– To najlepsza moja komnata – zapewnił Ardzrouni – lecz sprawisz mi zaszczyt, jeśli zechcesz się w niej rozgościć. Radzę ci nie otwierać tego

okna. Wychodzi na wschód i rankiem słońce przeszkodziłoby ci we śnie. Te kolorowe witraże, cud sztuki weneckiej, przepuszczają ładne światło.

– Czy nikt nie może wedrzeć się przez to okno? – spytał Poeta.

Ardzrouni z trudem otworzył zamknięte na rozmaite rygielki okno.

– Sam zobacz, jak jest wysoko. A po drugiej stronie dziedzińca mamy forteczne stoki, na których czuwają cesarscy ludzie.

Rzeczywiście, z okna widać było stoki murów zewnętrznych, krużganki, którymi przechodziły co jakiś czas straże, a dokładnie w zasięgu strzału dwa wielkie kręgi czy jakby mocno wklęsłe talerze z lśniącego metalu, osadzone na wsporniku ustawionym między blankami. Fryderyk spytał, co to takiego.

– To zwierciadła Archimedesa – wyjaśnił Ardzrouni – które wielkiemu mędrcowi czasów starożytnych posłużyły do zniszczenia oblegających Syrakuzy rzymskich okrętów. Każde z nich chwyta i odbija promienie światła, które padają równolegle na jego powierzchnię, i dlatego właśnie ukazuje nam wizerunki rzeczy. Jeśli jednak zwierciadło nie jest płaskie, ale w stosowny sposób, jak każe królowa nauk, geometria, zakrzywione, promienie nie odbijają się równolegle, lecz skupiają w określonym punkcie z przodu zwierciadła, zależnie od jego zakrzywienia. Jeśli zatem ustawisz zwierciadło tak, by chwytało promienie słońca w momencie, kiedy najbardziej piecze, i rzucisz je w jeden odległy punkt, takie skupienie promieni słonecznych powoduje zapłon i możesz tym sposobem podpalić drzewo, poszycie okrętu, machinę oblężniczą albo zarośla wokół swoich nieprzyjaciół. Są tu dwa zwierciadła, jedno bowiem jest tak zakrzywione, by skupiało promienie w punkcie odległym, drugie zaś w bliskim. Tak zatem dzięki tym dwóm bardzo prostym urządzeniom mogę bronić mojej twierdzy lepiej, niż gdybym miał tysiąc łuczników.

Fryderyk powiedział, że Ardzrouni powinien wyjawić mu ten sekret, gdyż wówczas mury Jerozolimy runęłyby szybciej niż mury Jerycha, i nie

od dźwięku trąb, lecz od promieni słonecznych. Ardzrouni odparł, że jest tu po to właśnie, by służyć cesarzowi.

Potem zamknął okno i rzekł:

– Nie wpada tędy powietrze, które przedostaje się przez inne otwory. Ponieważ zaś mury są grube, mimo pory roku będziesz zażywał tej nocy chłodu. Miast rozpalać w kominku, którego dym byłby dokuczliwy, radzę ci okryć się dobrze skórami, które widzisz na łożu. Wybacz, żem tak natrętny, lecz Pan dał nam przecież ciało. Oto za tymi małymi drzwiami znajdziesz komórkę z niezbyt królewskim tronem, lecz wszystko, co twoje ciało zechce z siebie wydalić, spadnie do podziemnego zbiornika, nie zanieczyszczając powietrza tutaj. Do komnaty wchodzi się tylko przez drzwi, które przed chwilą przekroczyliśmy i które zamkniesz od wewnątrz na rygielek, a po drugiej ich stronie będą twoi dworzanie. Przyjdzie im przespać się na tych ławach, lecz dzięki temu tobie nic nie zakłóci odpoczynku.

Na okapie kominka spostrzegli krągły kształt reliefu. Przedstawiał głowę Meduzy o włosach skłębionych jak węże, oczach półzamkniętych i otwartych pulchnych ustach przypominających mroczną jamę, w głąb której wzrok nie docierał. („Jak ta, którą widzieliśmy w cysternie, panie Niketasie”). Fryderyka zaciekawiła ta płaskorzeźba i zapytał, co przedstawia.

Ardzrouni wyjaśnił, że jest to ucho Dionizosa.

– To jedna z moich magicznych sztuk. W Konstantynopolu można nadal znaleźć stare kamienie tego rodzaju, wystarczyło więc głębiej wydrążyć usta. Na dole jest sala, w której stacjonuje zwykle mój mały garnizon, lecz póki ty, cesarzu i panie, będziesz tu przebywał, pozostanie pusta. Wszystko bowiem, co mówi się tam, wydobywa się z tych ust, jakby mówiący znajdował się tuż za tym tondo. Mógłbyś więc, gdybyś zechciał, słyszeć, co sobie opowiadają moi ludzie.

– Gdybym tak mógł wiedzieć, co opowiadają sobie moi kuzyni! – westchnął Fryderyk. – Ardzrouni, jesteś człowiekiem nieocenionym. Jeszcze do tej sprawy wrócimy. Teraz omówmy plany na jutro. Rankiem chcę wykąpać się w rzece.

– Dotrzesz do niej bez trudu, konno albo pieszo – zapewnił Ardzrouni – i to bez potrzeby przechodzenia przez dziedziniec, który przebyliśmy, idąc tutaj. Za drzwiami zbrojowni zaczynają się schody, które wyprowadzają na boczny dziedziniec. Stamtąd łatwo trafić na główną ścieżkę.

– Baudolino – powiedział Fryderyk – każ przygotować na jutrzejszy ranek kilka koni na tym małym podwórcu.

– Ojcze mój – rzekł na to Baudolino – wiem, jak lubisz rzucać się w najbardziej wzburzone wody. Ale teraz jesteś zmęczony po podróży i po wszystkich tych ciężkich próbach, jakie masz za sobą. Nie znam wód tej rzeki, zdaje mi się jednak, że pełno w niej wirów. Czemu chcesz się narażać?

– Dlatego, że nie jestem taki stary, za jakiego mnie masz, synu mój, a i dlatego, że gdyby nie było zbyt późno, poszedłbym nad rzekę zaraz, czuję się bowiem brudny od kurzu. Cesarz nie powinien cuchnąć, chyba że świętymi olejami. Każ więc przygotować konie.

– A nie zmagaj się z prądem rzeki, rzecze Eklezjastyk – wtrącił nieśmiało rabbi Solomon.

– A któż powiedział, że będę się zmagał – zaśmiał się Fryderyk. – Popłynę z prądem!

– Nie należy myć się zbyt często – zabrał głos Ardzrouni – chyba że pod okiem biegłego medyka, lecz ty wszak jesteś panem. Ponieważ jednak jest jeszcze dość wcześnie, sprawisz mi zaszczyt, jeśli zechcesz zwiedzić mój zamek.

Poprowadził ich schodami w dół i na niższym piętrze przeszli przez oświetloną już mnóstwem kandelabrów salę, w której przyjmowano gości.

Potem znaleźli się w komnacie z wieloma zydlami. Na jednej ze ścian znajdowała się rzeźba przedstawiająca dużą odwróconą ślimacznicę, figurę w kształcie zwężającej się w lejek spirali z umieszczonym centralnie wylotem.

– To ta sala, o której ci wspominałem, przeznaczona dla straży – wyjaśnił Ardzrouni. – Jeśli ktoś, mówiąc, zbliża usta do tej dziury, słychać go w twojej komnacie.

– Chętnie dowiedziałbym się, jak to działa – oznajmił Fryderyk. Baudolino powiedział żartem, że kiedy cesarz zaśnie, on przyjdzie tutaj, żeby go pozdrowić. Fryderyk roześmiał się i powiedział: nie, bo chciał, by tej nocy nikt nie zakłócał mu odpoczynku. – Chyba że miałbyś mnie ostrzec, iż przez okap kominka wchodzi sułtan Ikonium – dodał.

Ardzrouni powiódł ich jakimś korytarzem i weszli do sali o szerokich łukach sklepienia, rozświetlonej błyskami i wypełnionej kłębami jakichś oparów. Były tu kotły, w których gotowała się jakaś roztopiona materia, a dalej retorty, alembiki i jeszcze inne osobliwe naczynia. Fryderyk spytał, czy Ardzrouni zajmuje się wytwarzaniem złota. Ardzrouni uśmiechnął się i odparł, że wytwarzanie złota to blaga alchemików. Umie jednak pozłacać metale i sporządzać eliksir, może i nie zapewniający długiego życia, ale przynajmniej przedłużający nieco to jakże krótkie, które jest naszym przeznaczeniem.

Fryderyk odparł, że nie chce kosztować tych eliksirów.

– Bóg wyznacza nam długość żywota i trzeba pogodzić się z jego wolą. Być może umrę jutro, a być może dożyję stu lat. Wszystko w ręku Boga.

Rabbi Solomon zauważył, że te słowa płyną z wielkiej mądrości, i przez jakiś czas cesarz i rabin rozprawiali o zrządzeniach bożych, a był to pierwszy raz, kiedy Baudolino słyszał, by Fryderyk mówił o tych sprawach.

Podczas tej rozmowy Baudolino spostrzegł kątem oka, że Zosima wychodzi małymi drzwiami do przyległego pomieszczenia, a zaraz za nim

podąża z zatroskaną miną Ardzrouni. Lękając się, że Zosima zna jakiejś wyjście pozwalające na ucieczkę, Baudolino poszedł za nimi i znalazł się w izdebce, gdzie był stół ze stolnicą, na której stało na piedestale siedem pozłacanych głów. Wszystkie przedstawiały to samo okolone brodą oblicze. Bez trudu można było rozpoznać w nich relikwiarze, tym bardziej że głowy otwierały się jak szkatułki, aczkolwiek skraj wieczek, na których rysowały się oblicza, był przytwierdzony do części tylnej pieczęcią z ciemnej laki.

– Czego tu szukasz? – pytał właśnie Zosimę Ardzrouni, który nie zauważył jeszcze obecności Baudolina.

Zosima odpowiedział:

– Doszły mnie słuchy, że sporządzasz relikwie i że do tego są ci potrzebne te wszystkie diabelskie sztuczki ze złoceniem metali. To głowy Chrzciciela, hę? Widziałem ich już kilka i teraz wiem, skąd się wzięły.

Grzeczność kazała Baudolinowi chrząknąć. Ardzrouni obrócił się gwałtownie, podniósł ręce do ust i jął wywracać z przerażenia oczami.

– Błagam cię, Baudolino, nie wyjaw tego cesarzowi, bo każe mnie powiesić – powiedział cichym głosem. – Niechże i tak będzie. To relikwiarze z prawdziwą głową świętego Jana Chrzciciela. Każdy zawiera czaszkę, która została zmniejszona dzięki zabiegom odymiania i wskutek tego robi wrażenie bardzo starej. Żyję na tej ziemi bez żadnych przyrodzonych środków do życia, nie mam pól, które mógłbym obsiać, nie mam bydła, a mój majątek jest niewielki. Wytwarzam relikwie, zgoda, i są one bardzo poszukiwane zarówno w Europie, jak i w Azji. Wystarczy sprzedać dwie takie głowy w znacznej odległości jedną od drugiej, na przykład jedną w Antiochii, a drugą w Italii, i nikt nie będzie wiedział, że są dwie.

Uśmiechał się z obleśną pokorą, jakby prosił o wyrozumiałość dla powszedniego w końcu grzeszku.

– Nigdy nie podejrzewałem, żeś człekiem cnotliwym, Ardzrouni! – wykrzyknął ze śmiechem Baudolino. – Zatrzymaj te swoje głowy, ale wyjdźmy stąd czym prędzej, bo inaczej inni, i także cesarz, zaczną coś podejrzewać.

Kiedy wyszli, Fryderyk kończył właśnie wymianę religijnych refleksji z Solomonem.

Cesarz zapytał, jakie inne cudowne rzeczy ma do pokazania ich amfitrion, i Ardzrouni, pragnąc, by wyszli wreszcie z tej komnaty, wyprowadził ich na korytarz. Korytarzem dotarli do zamkniętych dwuskrzydłowych drzwi; obok nich wznosił się jeden z tych ołtarzy, które służą poganom do składania ofiar i których szczątki Baudolino wielekroć widywał w Konstantynopolu. Na ołtarzu ułożono wiązki chrustu i gałązki, Ardzrouni wylał na nie trochę oleistego ciemnego płynu, wziął do ręki łuczywo oświetlające korytarz i podpalił stos. Natychmiast buchnął płomień i po kilku minutach dało się słyszeć ciche podziemne wrzenie, jakieś gnuśne trzaski, a Ardzrouni, wzniósłszy ramiona, jął w barbarzyńskim języku wypowiadać tajemne formuły, zerkając raz po raz na swoich gości, jakby dając do zrozumienia, że wciela się właśnie w hierofanta czy nekromantę. Ku zdumieniu obecnych po jakimś czasie skrzydła drzwi otworzyły się, choć nikt ich nie tknął.

– Oto cuda sztuki hydraulicznej – uśmiechnął się z dumą Ardzrouni – którą uprawiam wedle zasad podanych wiele wieków temu przez aleksandryjskich mędrców mechaników. To proste: pod ołtarzem umieszczono metalowy zbiornik z wodą, którą podgrzewa ogień rozpalony na ołtarzu. Para wodna przez syfon, który nie jest wszak niczym innym jak wygiętą rurką służącą do przelewania wody z jednego miejsca w drugie, dostaje się do wiadra, tam zaś oziębia się i zmienia z powrotem w wodę. Ciężar wody sprawia, że wiadro się opuszcza i dzięki małemu krążkowi, na którym jest zawieszone, uruchamia dwa drewniane walce, a te obracają już bezpośrednio zawiasy. Drzwi się otwierają. To proste, nieprawdaż?

– Proste? – rzekł Fryderyk. – Zdumiewające! Czy naprawdę Grecy znali takie nadzwyczajności?

– Te i inne. Znali je też egipscy kapłani, którzy uciekali się do nich, żeby drzwi świątynne otwierały się na ich rozkaz, a wtedy wierni krzyczeli, że stał się cud – wyjaśnił Ardzrouni.

Poprosił cesarza, by ten zechciał przekroczyć próg. Weszli do sali, na środku której wznosiło się inne nadzwyczajne urządzenie. Była to skórzana kula przytwierdzona do kolistej powierzchni za pomocą dwóch zgiętych pod kątem prostym uchwytów, przy czym sama owa powierzchnia spoczywała na metalowej misie, pod którą przygotowano także stosik drewna. Z kuli wychodziły – jedna w górę, druga w dół – dwie rurki zakończone dziobkami zwróconymi w przeciwnych kierunkach. Przy bliższych oględzinach okazywało się, że także dwa uchwyty kuli są rurkami, które schodzą w głąb misy i przenikają do wnętrza kuli.

– Misa jest wypełniona wodą. Podgrzejmy ją – powiedział Ardzrouni i raz jeszcze rozpalił wielki ogień. Musieli poczekać kilka minut, aż woda się zagotowała, a potem usłyszeli syk, najpierw wątły, potem potężniejący, i kula zaczęła się obracać na swoich uchwytach, wyrzucając z dwóch dziobków kłęby pary. Jakiś czas tak wirowała, a później Ardzrouni pospieszył, żeby zatkać rurki miękką gliną. – Także tutaj zasada jest nader prosta: woda wrze w misie i zmienia się w parę, para zaś przedostaje się do kuli i uciekając gwałtownie w przeciwne strony, nadaje jej ruch obrotowy.

– A co udaje ten cud? – spytał Baudolino.

– Nie udaje niczego, lecz objawia wielką prawdę, która pozwala nam przekonać się namacalnie o istnieniu próżni.

Wyobraźmy sobie, co poczuł w tym momencie Boron. Kiedy tylko padło słowo „próżnia”, stał się podejrzliwy i zapytał, w jakiż to sposób ta hydrauliczna zabawka może dowieść, że istnieje próżnia. To proste – odparł Ardzrouni – woda w misie zmienia się w parę i wypełnia kulę, która zaczyna się obracać wskutek wyrzucania owej pary; kiedy sfera zwalnia,

jest to znak, że nie ma już w niej pary, i zatykamy dziobki. Co zostaje w misie i kuli? Nic, czyli próżnia.

– Chciałbym to zobaczyć – oświadczył Boron.

– Musiałbyś w tym celu otworzyć kulę, a wówczas od razu wtargnęłoby do niej powietrze. Jest jednak miejsce, w którym mógłbyś dostrzec obecność próżni. Ale postrzegałbyś to bardzo krótko, albowiem z braku powietrza rychło byś się udusił.

– A gdzie jest to miejsce?

– To izba nad nami. Pokażę ci teraz, jak mogę wytworzyć w niej próżnię.

Uniósł łuczywo i wskazał inną machinę, która pozostawała dotychczas w półmroku. Była znacznie bardziej złożona od dwóch poprzednich, gdyż miała, jeśli można tak rzec, obnażone własne trzewia. Był to ogromny walec z alabastru i w jego wnętrzu widać było ciemny cień innego walcowatego przedmiotu, który wypełniał połowę wysokości walca zewnętrznego, a drugą swą połową wystawał na zewnątrz i był przytwierdzony sworzniami do ogromnej jakby rękojeści, którą – niby dźwignią – człowiek mógł poruszać dwiema rękami. Ardzrouni poruszył tą dźwignią i wewnętrzny walec najpierw podniósł się, a potem opuścił, nie wypełniając jednak całkowicie walca zewnętrznego. Na górną część walca z alabastru naciągnięto grubą rurę zszytą akuratnie z fragmentów zwierzęcych pęcherzy. Rura niknęła w suficie. W dolnej części, u podstawy, walec miał dziurę.

– Tutaj nie ma więc wody, jest tylko powietrze – wyjaśniał Ardzrouni. – Kiedy walec wewnętrzny posuwa się w dół, ściska powietrze zawarte w walcu alabastrowym i wypycha je przez dolny otwór. Lecz potem dźwignia ciągnie go w górę, walec podnosi wieczko, które zakrywa dolny otwór, tak że powietrze wypchnięte z zewnętrznego walca nie może doń wrócić. Kiedy walec wewnętrzny wznosi się do najwyższego punktu, uruchamia inne wieczko, wpuszczając powietrze docierające rurą z izby,

o której mówiłem. Kiedy walec idzie znowu w dół, wypycha także to powietrze do tej sali, tworząc w izbie na górze próżnię.

– A do tamtej izby nie dostaje się powietrze? – spytał Baudolino.

– Nie. Kiedy tylko uruchamia się tę machinę, sznury przymocowane do dźwigni zamykają wszystkie otwory i szczeliny, przez które mogłoby wnikać do izby powietrze.

– Ależ za pomocą tej machiny mógłbyś zabić człowieka, który znajduje się w izbie – zauważył Fryderyk.

– Mógłbym, ale nigdy tego nie uczyniłem. Wpuściłem tam jednak kurę. Po wykonaniu doświadczenia poszedłem na górę i zobaczyłem, że kura padła.

Boron potrząsnął głową i szepnął do ucha Baudolina:

– Nie ufaj mu, bo kłamie. Gdyby kura padła, znaczyłoby to, że próżnia istnieje. Ponieważ nie istnieje, kura jest nadal cała i zdrowa. Albo padła, lecz ze starości. – Zwracając się w stronę Ardzrouniego, powiedział na głos: – Czyż nie słyszałeś, że zwierzęta zdychają także w głębi pustej studni, gdzie gasną świece? Niektórzy wyciągają stąd wniosek, że nie ma tam powietrza, a więc jest próżnia. Rzecz jednak w tym, że w głębi studni brakuje powietrza czystego, ale jest powietrze gęste i zepsute i ono to dusi i ludzi, i płomień świecy. Może tak się dzieje w tej twojej izbie. Wysysasz z niej powietrze czyste, ale pozostaje to gęste, którym nie sposób oddychać, a to wystarczy, by twoja kura padła.

– Dość tego – uciął Fryderyk. – Wszystkie te sztuczki są nader powabne, ale z wyjątkiem tamtych zwierciadeł nie mogą być użyte podczas oblężenia ani w bitwie. Czemu więc służą? Chodźmy już, jestem głodny. Ardzrouni, obiecałeś mi zacną wieczerzę. Zdaje mi się, że już na nią pora.

Ardzrouni pokłonił się i poprowadził Fryderyka z jego ludźmi do sali biesiadnej, gdzie zasiedli do posiłku, który, prawdę mówiąc, był wspaniały – w każdym razie dla ludzi całymi tygodniami odżywiających się skąpym

prowiantem obozowym. Ardzrouni podał największe przysmaki kuchni ormiańskiej i tureckiej, także nadzwyczajnie słodkie ciasta, które wyglądały zdaniem gości tak, jakby pływały w miodzie. Zgodnie z ustaleniami Baudolino i jego ludzie kosztowali każdego dania, zanim postawiono je przed cesarzem. Wbrew wszelkiej dworskiej etykiecie (kiedy jest się na wojnie, często cierpi na tym właśnie etykieta) wszyscy zasiedli przy jednym stole i Fryderyk jadł i pił w wesołym nastroju, jakby byli mu równi, z zaciekawieniem przysłuchując się sporowi, jaki wszczęli między sobą Boron i Ardzrouni.

Boron powiedział:

– Upierasz się przy próżni, jakby była przestrzenią bez żadnych ciał, nawet lotnych. Lecz przestrzeń bez ciał nie może istnieć, gdyż jest relacją między ciałami. A poza tym próżnia nie może istnieć, gdyż natura ma do niej wstręt, jak nauczają wszyscy wielcy filozofowie. Kiedy wdychasz powietrze z zanurzonej w wodzie trzciny, woda podchodzi, ponieważ nie może być przestrzeni pozbawionej powietrza. Posłuchaj zresztą: wszystkie rzeczy spadają na ziemię, a żelazny posążek szybciej niż kawałek tkaniny, gdyż powietrze z trudem dźwiga ciężar posążka, a łatwiej ciężar tkaniny. Ptaki latają, gdyż wymachując skrzydłami, wzburzają mnóstwo powietrza, które utrzymuje je w górze mimo ich ciężaru. Powietrze unosi ptaki tak samo, jak woda unosi ryby. Gdyby nie powietrze, ptaki runęłyby na ziemię, bacz jednak, że z taką samą prędkością jak wszelakie inne ciało. I dlatego, gdyby w niebie była próżnia, gwiazdy poruszałyby się z prędkością, której nie masz końca, albowiem ich upadku czy też krążenia nie wstrzymywałoby powietrze stawiające opór ich olbrzymiemu ciężarowi.

Odparł na to Ardzrouni:

– A kto twierdzi, że prędkość ciała jest proporcjonalna do jego ciężaru? Zależy to od ruchu, jaki mu nadano, powiada Jan Filoponos. A poza tym wyjaśnij, jak rzeczy mogłyby się przemieszczać, gdyby nie było próżni? Zderzałyby się z powietrzem, które nie pozwoliłoby im na żaden ruch!

– A skądże! Kiedy ciało wypycha powietrze przebywające tam, dokąd się ono przemieszcza, toż powietrze zajmie miejsce, które owo ciało zwolniło! To tak, jakby dwoje ludzi szło wąską uliczką w przeciwnych kierunkach. Każdy wciąga jak najgłębiej brzuch i w miarę jak jeden przesuwa się w tę stronę, drugi przesuwa się w tamtą, aż wreszcie zamieniają się miejscami.

– Owszem, gdyż każdy siłą woli narzuca odpowiedni ruch swemu ciału. Inaczej jest jednak z powietrzem, które żadnej woli nie ma. Przemieszcza się tylko wskutek impetu, jaki nadało mu zderzające się z nim ciało. Lecz impet rodzi ruch, który wymaga czasu. W chwili kiedy rzecz się przemieszcza i nadaje impet powietrzu, które ma przed sobą, owo powietrze jeszcze się nie poruszyło, nie znalazło się więc w miejscu opuszczonym dopiero co przez rzecz. Cóż więc jest tam przez chwilę choćby i króciutką? Próżnia!

Do tej pory Fryderyk bawił się słuchaniem dysputy, ale teraz miał już jej dosyć.

– Koniec! – rzekł. – Jutro możecie dokonać próby i rzucić inną kurę do izby na górze. A teraz, jeśli chodzi o kury, pozwólcie mi spożyć tę oto, a ufam, że ukręcili jej łeb jak Pan Bóg przykazał.

25

Baudolino dwakroć patrzy na śmierć Fryderyka

Wieczerza przeciągnęła się do późna, aż w końcu sam cesarz oznajmił, że pragnie udać się na spoczynek. Baudolino i jego kompani odprowadzili go do komnaty, dokonali jeszcze raz jej gruntownych oględzin w świetle dwóch łuczyw osadzonych w ścianach. Poeta chciał zbadać również okap kominka, ale przewód zwężał się gwałtownie, tak że człowiek nie mógł się w nim zmieścić. „Najwyżej przeciśnie się tędy dym” – powiedział. Zajrzeli też do komórki defekacyjnej i uznali, że nikt nie zdoła wspiąć się tutaj kanałem ściekowym.

Obok łoża postawiono zapalony już kaganek oraz dzban z wodą, której Baudolino zaraz skosztował. Poeta zwrócił też uwagę, że mogli umieścić trującą substancję na jaśku, do którego Fryderyk może przyłożyć we śnie usta. Dobrze byłoby, gdyby cesarz miał zawsze w zasięgu ręki odtrutkę – powiedział – bo nigdy wszak nie wiadomo...

Fryderyk oznajmił, że nie powinni przesadzać z tymi obawami, ale zaraz o głos poprosił z pokorą rabbi Solomon.

– Wiedz, Panie, że choć jestem Żydem, całym sercem oddałem się sprawie, która będzie zwieńczeniem twej chwały. Twoje życie jest mi równie drogie jak własne. Posłuchaj zatem. W Gallipolis kupiłem cudowną odtrutkę. Weź – dodał, wyjmując ampułkę ze swej symary – daję ci ją, albowiem w mym skromnym życiu nieczęsto będą mnie nękać nazbyt możni nieprzyjaciele. Gdybyś której nocy poczuł się źle, wypij natychmiast

zawartość. Jeśli bowiem podsuną ci coś szkodliwego, ten płyn ocali cię niechybnie.

– Dziękuję ci, rabbi Solomonie – odparł wzruszony Fryderyk – a widać, że dobrześmy czynili my, Teutoni, chroniąc ludzi twej rasy, i tak będziemy postępować w następnych wiekach, przysięgam ci to w imieniu mojego ludu. Przyjmuję twój zbawczy płyn i oto, co zrobię. – Wyjął ze swej torby podróżnej szkatułę z Gradalisem, którą wszędy i z wielką pieczołowitością zabierał ze sobą. – Spójrz, nalewam płyn od ciebie, Żyda, do kielicha, do którego zebrano niegdyś krew naszego Pana.

Solomon skłonił się, ale szepnął z niepokojem do ucha Baudolina:

– Żydowski magiczny napój staje się krwią fałszywego mesjasza!... Niechaj Święty, oby zawsze błogosławiony był, zechce mi wybaczyć. Lecz właściwie tę całą historię z mesjaszem wymyśliliście wy, poganie, nie zaś Jehoszua, który był jednym ze sprawiedliwych, nasi rabini zaś powiadają, że studiował Talmud z rabbim Jehoszua ben Perachią. A poza tym czuję sympatię do twojego cesarza. Mniemam, że trzeba słuchać tego, co mówi serce.

Fryderyk ujął w dłonie Gradalis i zamierzał złożyć go z powrotem w szkatule, ale przerwał mu Kyot. Tego wieczoru wszyscy czuli, że mogą odzywać się do cesarza, nawet nie pytani: między wiernymi sługami i ich panem wytworzył się nastrój poufałości, wszyscy bowiem byli zamknięci w miejscu, o którym nie wiedzieli, gościnne jest czy wrogie.

Rzekł więc Kyot:

– Nie pomyśl, panie, że powątpiewam w rabbiego Solomona, lecz nawet on mógł paść ofiarą oszustwa. Pozwól zatem, że skosztuję tego płynu.

– Pozwól, panie, by Kyot to uczynił – wsparł go rabbi Solomon.

Fryderyk skinął głową. Kyot uniósł czarkę jak celebrans podczas mszy, a potem przyłożył jej krawędź do warg, jakby przyjmował Komunię. W tym momencie nawet Baudolino miał wrażenie, że komnatę wypełniło

intensywne światło, lecz być może to płomień łuczywa nabrał mocy, liznąwszy miejsce, gdzie zgromadziło się więcej substancji żywicznej. Kyot trwał chwilę pochylony, poruszając wargami, jakby chciał lepiej wchłonąć tę odrobinę płynu, który wziął do ust. Potem obrócił się z kielichem przy piersi i ostrożnie złożył go do szkatuły. Na koniec zamknął tabernakulum – powolutku, by nie zakłócić żadnym dźwiękiem panującej ciszy.

– Czuję cudowną woń – wyszeptał Boron.

– Widzicie tę jasność? – spytał Abdul.

– Zstąpili na nas wszyscy aniołowie niebiescy – dodał z wielkim przekonaniem Zosima, wykonując znak krzyża w odwrotnym kierunku.

A Poeta szepnął do ucha Baudolina:

– Kyot, ten syn rozwiązłej niewiasty, skorzystał ze sposobności, by odprawić własną świętą mszę z Gradalisem, i kiedy wróci do siebie, będzie się chełpił od Szampanii po Bretanię.

Baudolino, poruszając niemal bezgłośnie wargami, skarcił go: nie bądź niegodziwy, boć przecież Kyot postąpił jak człek, który znalazł się w najwyższych sferach niebios.

– Przed nikim się już nie ugniemy – oznajmił Fryderyk, którego ogarnęło potężne wzruszenie mistyczne. – Jerozolima będzie rychło wolna. A potem w drogę, by zwrócić tę świętą relikwię księdzu Janowi! Baudolinie, dziękuję ci za to, coś mi dał. Zaiste jestem teraz królem i kapłanem...

Uśmiechał się, ale drżał przy tym na całym ciele. Krótka ceremonia była dla niego wstrząsającym przeżyciem.

– Jestem zmęczony – powiedział. – Baudolinie, zamknę się teraz w komnacie na ten skobel. Oby straż nie była zbyt dla was uciążliwa i dziękuję za wasze oddanie. Nie budźcie mnie, póki słońce nie zawędruje wysoko. Potem pójdę się wykąpać. – I dodał: – Jestem strasznie zmęczony, chciałbym spać całe wieki...

– Wystarczy ci długa spokojna noc, ojcze mój – odparł słowami pełnymi miłości Baudolino. – Nie powinieneś się spieszyć. Kiedy słońce wzniesie się wysoko, woda nie będzie taka zimna. Śpij bez trosk.

Wyszli. Fryderyk zamknął skrzydła drzwi i usłyszeli trzask zasuwanego rygla. Zajęli miejsca na ławach pod drzwiami.

– Nie mamy tu cesarskiej komórki defekacyjnej – powiedział Baudolino. – Musimy więc załatwiać szybko nasze potrzeby na dziedzińcu. Pojedynczo, by drzwi komnaty zawsze były strzeżone. Być może ten Ardzrouni jest zacnym człekiem, ale nie mamy prawa ufać nikomu, tylko sobie samym.

Po kilku minutach wszyscy wrócili. Baudolino zgasił kaganek, życzył wszystkim dobrej nocy i próbował zasnąć.

– Czułem, panie Niketasie, jakąś trwogę, choć nie było po temu żadnych powodów. Spałem niespokojnie i budziłem się po krótkim płytkim śnie, jakbym przerywał jakiś urok, który ktoś na mnie rzucił. Stawała mi przed oczami moja biedna Colandrina, która wychylała kielich z czarnego kamienia i padała martwa na ziemię. Godzinę potem usłyszałem jakiś hałas. Także w zbrojowni było okno przepuszczające blade nocne światło: zdaje mi się, że tej nocy przypadała kwadra księżyca. Zobaczyłem, że Poeta wychodzi. Może nie dość opróżnił pęcherz. Później, a nie wiem kiedy, gdyż zasypiałem i budziłem się, i za każdym razem miałem uczucie, że minęło niewiele czasu, lecz może prawda była inna, otóż później wyszedł Boron. Słyszałem też, jak wraca i Kyot szepcze mu, że też jest niespokojny i chce zaczerpnąć powietrza. Lecz właściwie moim obowiązkiem było czuwać nad tym, kto próbuje wejść, nie zaś wyjść, i zdałem sobie sprawę, że dla wszystkich jest to noc pełna napięcia. Co było później, nie pamiętam, nie spostrzegłem, kiedy wrócił Poeta, ale długo przed świtem wszyscy byli pogrążeni w głębokim śnie i w tym stanie ujrzałem ich w pierwszych promieniach słońca, kiedy obudziłem się na dobre.

Zbrojownia była teraz oświetlona zwycięskim porannym blaskiem. Słudzy przynieśli wino i chleb, a także trochę miejscowych owoców; Choć Baudolino prosił, by nie czyniono hałasu, który mógłby obudzić cesarza, wszyscy byli w dobrych humorach i zachowywali się dość głośno. Godzinę później Baudolino uznał, że wprawdzie Fryderyk nie życzył sobie, by go budzić, lecz słońce jest już dostatecznie wysoko. Zapukał do drzwi, ale w komnacie panowała cisza. Zapukał jeszcze raz.

– Śpi kamiennym snem – zaśmiał się Poeta.

– Mam nadzieję, że nic mu nie dolega – rzucił niepewnym głosem Baudolino.

Znowu zaczęli pukać – coraz to mocniej. Fryderyk nie odpowiadał.

– Wyglądał wczoraj na prawdziwie znużonego – rzekł Baudolino. – Może zasłabł. Trzeba wyważyć drzwi.

– Zachowajmy spokój – doradził Poeta. – Wyłamanie drzwi, które chronią sen cesarza, to prawie świętokradztwo!

– Dopuścimy się więc świętokradztwa – odparł Baudolino. – Nie podoba mi się to wszystko.

Bezładnie rzucali się na drzwi, które były bardzo mocne, podobnie jak mocny musiał być zamykający je skobel.

– Jeszcze raz, wszyscy razem, na mój rozkaz jednocześnie! – wykrzyknął Poeta, który zdał już sobie sprawę, że jeśli cesarz nie budzi się, kiedy ktoś wyłamuje drzwi do sypialni, jego sen staje się podejrzany.

Drzwi nadal się opierały. Poeta uwolnił z łańcuchów Zosimę i ustawił wszystkich w dwa szeregi, by jednocześnie zaatakować oba skrzydła. Przy czwartej próbie drzwi ustąpiły.

Na środku komnaty zobaczyli leżącego bez czucia Fryderyka – prawie nagiego, w takim stanie, w jakim wieczorem się położył. Obok leżał pusty Gradalis, który potoczył się po posadzce. W kominku były tylko zwęglone szczapy, jakby rozpalono ogień i pozwolono, by sam zgasł. Okno pozostało

zamknięte. Unosił się tu zapach drewna i węgli. Boron zakasłał i poszedł otworzyć okno, żeby wpuścić trochę powietrza.

Potem Poeta i Boron, sądząc, że ktoś tu wszedł i nadal jest w komnacie, rzucili się z obnażonymi mieczami do oględzin każdego zakątka, a Baudolino przyklęknął przy ciele cesarza, uniósł mu głowę i raz po raz otwartą dłonią uderzał lekko w policzki. Boidi przypomniał sobie o kordiale, który kupił w Gallipolis, otworzył oprawę swego pierścienia, rozchylił na siłę wargi cesarza i wlał w nie płyn. Fryderyk nadal leżał bez czucia. Rabbi Solomon nachylił się i spróbował otworzyć mu oczy, pomacał mu czoło, szyję, nadgarstek i w końcu rzekł drżącym głosem:

– Ten człowiek nie żyje, niechaj Święty, oby błogosławiony był zawsze, zmiłuje się nad jego duszą.

– Chryste przenajświętszy, to niemożliwe! – ryknął Baudolino.

Choć nie był biegły w sztuce medycznej, zdawał sobie sprawę, że Fryderyk, święty i rzymski cesarz, powiernik najświętszego Gradalisa, nadzieja chrześcijaństwa, jedyny i prawowity spadkobierca Cezara, Augusta i Karola Wielkiego, wyzionął ducha. Zaraz też zapłakał i okrywał pocałunkami to blade oblicze, i wykrzykiwał, że jest przecież umiłowanym synem – w nadziei, że cesarz go usłyszy. Lecz wiedział już, że daremnie.

Powstał, krzyknął do przyjaciół, by raz jeszcze przeszukali wszystko, by nie omieszkali zajrzeć nawet pod łóżko, by rozejrzeli się za jakimś tajnym przejściem, opukali każdą ścianę, nie ulegało jednak wątpliwości, że nie tylko nikt się tu nie ukrywa, ale i że nie ukrywał się nigdy. Fryderyk Barbarossa rozstał się z życiem w pomieszczeniu dokładnie zamkniętym od wewnątrz, a z zewnątrz pilnowanym przez swych najbardziej oddanych synów.

– Wezwijcie Ardzrouniego, jest biegły w sztuce medycznej! – krzyknął Baudolino.

– Przecież to ja jestem biegły w sztuce medycznej – skarżył się rabbi Solomon – i wierzaj mi, twój ojciec nie żyje!

– O Boże, Boże – wykrzykiwał jak w malignie Baudolino – mój ojciec nie żyje! Zawiadomcie straże, wezwijcie jego syna! Szukajmy morderców!

– Zaraz, zaraz – powiedział Poeta. – Czy można tu mówić o morderstwie? Przebywał w zamkniętej komnacie i umarł. Sam widzisz, że u jego stóp leży Gradalis, w którym była odtrutka. Może poczuł się źle, zląkł się, że go otruto, i wypił płyn. Poza tym ktoś rozpalił w kominku. A któż mógł to uczynić, jeśli nie on sam? Wiem o takim, który poczuł silny ból w piersi, oblał się lodowatym potem, próbował jakoś się rozgrzać, szczękał zębami i wkrótce umarł. Może dym z kominka przyczynił się do pogorszenia jego stanu.

– Ale co było w Gradalisie?! – ryknął nagle Zosima, wywracając oczami i chwytając rabbiego Solomona.

– Daj pokój, nikczemniku – rzekł na to Baudolino. – Sam widziałeś, że Kyot skosztował płynu.

– Za mało, za mało – upierał się Zosima, targając Solomonem. – Żeby się upić, nie wystarczy łyk wina! Jakimiż głupcami jesteście, że zawierzyliście Żydowi!

– Jesteśmy głupcami, ale dlatego, że zawierzyliśmy takiemu Greczynowi jak ty! – wykrzyknął Poeta, odpychając Zosimę od nieszczęsnego rabbiego, który szczękał już ze strachu zębami.

Jednocześnie Kyot podniósł Gradalis i z czcią złożył go do szkatuły.

– Chcesz, jednym słowem, powiedzieć, że nie został zabity, lecz zmarł z woli naszego Pana? – spytał Baudolino Poetę.

– Snadniej to właśnie uznać, niż wyobrażać sobie, że jakaś powietrzna istota wdarła się przez drzwi, których tak dobrze strzegliśmy.

– Wezwijmy więc syna i straże – poradził Kyot.

– Nie – sprzeciwił się Poeta. – Druhowie najmilsi, idzie tu o nasze głowy! Fryderyk nie żyje, a my wiemy, że nikt nie mógł wtargnąć do tej zamkniętej komnaty. Lecz ni syn, ni baronowie o tym nie wiedzą. Uznają, że wina spada na nasze głowy.

– Co za nikczemna myśl! – powiedział Baudolino, z którego oczu nadal lały się łzy.

Rzekł na to Poeta:

– Posłuchaj, Baudolinie. Syn zgoła cię nie miłuje, nie miłuje też nas. I nigdy nam nie ufał. My pełniliśmy straż, cesarz wyzionął ducha, a więc na nas spada odpowiedzialność. Zanim zdążymy otworzyć usta, syn każe powiesić nas na najbliższym drzewie, a jeśli w tej przeklętej dolinie nie znajdzie się żadne drzewo, zawiśniemy na murach zamku. Wiedz, Baudolinie, że na historię z Gradalisem syn zawsze patrzył jak na spisek, który miał pchnąć ojca tam, dokąd nigdy nie powinien się udawać. A jego baronowie? Na wieść o zabiciu cesarza zaczną oskarżać się wzajemnie, dojdzie do rzezi. Kto uwierzy w świadectwo bastarda, którym, wybacz, jesteś, pijaka, którym jestem ja, Żyda, schizmatyka, trzech wędrownych klerków i Boidiego, który jako aleksandryjczyk miał najwięcej powodów, by żywić urazę do Fryderyka? Już jesteśmy martwi, Baudolinie, tak samo jak twój przybrany ojciec.

– Cóż więc? – spytał Baudolino.

– Jedyne wyjście to przekonać wszystkich, iż Fryderyk nie zmarł tutaj, gdzie robiliśmy co w naszej mocy, by go chronić.

– Przekonać, ale jak?

– Czyż nie obwieścił, że chce udać się nad rzekę? Ubierzemy go jak należy i okryjemy płaszczem. Zejdziemy na mały dziedziniec, gdzie nie ma przecież nikogo, a za to czekają od wczorajszego wieczoru konie. Przywiążemy go do siodła, udamy się nad rzekę i tam uniosą go wody. Jakaż to chwalebna śmierć dla cesarza, który choć stary, stawia czoło siłom

natury! Syn zdecyduje, czy podjąć marsz na Jerozolimę, czy też zawrócić w stronę domu. A my będziemy mogli powiedzieć, że udajemy się do Indii, żeby spełnić ostatnią wolę Fryderyka. Syn nie wierzy, jak się zdaje, w Gradalis. Weźmiemy go więc my i my dokonamy tego, czego chciałby dokonać cesarz.

– To przecież symulowanie śmierci! – krzyknął Baudolino. Jego spojrzenie wskazywało, że jest całkowicie zagubiony.

– Zmarł? Zmarł. Wszyscy nad tym bolejemy, ale zmarł. Czy zamierzamy rozpowiadać, że zmarł, choć żyje? Zmarł i już. Bóg przyjmie go między swoich świętych. Powiemy po prostu, że zmarł na otwartej przestrzeni, że utonął w rzece, a nie w tej komnacie, do której dostępu mieliśmy bronić. Skłamiemy? Częściowo. Nie żyje, jaka to więc różnica, czy zmarł tutaj, czy tam? My go zabiliśmy? Wszyscy wiemy, że nie. Każemy mu umrzeć w takim miejscu, że nawet ludzie najgorzej usposobieni nie będą mogli nas oczerniać. Baudolinie, to jedyny sposób, innego nie ma, jeśli dbasz o własną skórę i chcesz dotrzeć do księdza Jana, by w jego przytomności złożyć najwyższy hołd Fryderykowi.

Choć Baudolino przeklinał oschłość serca Poety, racja była po jego stronie i wszyscy się z tym zgodzili. Ubrali Fryderyka, zanieśli go na mniejszy dziedziniec, przywiązali do siodła, aby trzymał się prosto na koniu, usztywniając mu dodatkowo plecy, podobnie jak Poeta uczynił niegdyś z trzema magami.

– Nad rzekę pojadą z nim tylko Baudolino i Abdul – zarządził Poeta – gdyż większa świta wzbudziłaby czujność straży, które uznałyby, że muszą do niej dołączyć. My zaś pozostaniemy w komnacie, do której nie wejdzie ani Ardzrouni, ani nikt inny, i doprowadzimy ją do porządku. Pójdę nawet na mury pogawędzić z pełniącymi straż, żeby odciągnąć ich uwagę, kiedy będziecie wyjeżdżać.

Wyglądało na to, że już tylko Poeta potrafił podejmować rozumne decyzje. Wszyscy go słuchali. Baudolino i Abdul opuścili dziedziniec

konno – niespiesznie, z Fryderykiem między nimi. Pokonali boczną ścieżkę, znaleźli się na głównej, przebyli schody w dół, a potem ruszyli truchtem przez równię w stronę rzeki. Wydawało się, że ta krótka jazda trwa całą wieczność, ale w końcu dotarli nad rzekę.

Ukryli się za kępą drzew.

– Tutaj nikt nas nie dojrzy – powiedział Baudolino. – Prąd jest wartki i od razu porwie ciało. Rzucimy się na koniach do wody, by nieść mu pomoc, lecz dno jest nierówne i nie zdołamy go dosięgnąć. Ruszymy więc brzegiem, wzywając głośno pomocy... Nurt poniesie cesarza w stronę obozu.

Odwiązali ciało Fryderyka i rozebrali je, zostawiając tylko tyle odzienia, ile zechciałby zachować cesarz, by podczas pływania nie naruszyć zasad wstydliwości. Kiedy rzucili zwłoki na środek rzeki, prąd natychmiast je porwał i poniósł ku dolinie. Wjechali do rzeki, szarpali wędzidła tak, by wyglądało, że konie się płoszą, po jakimś czasie wydostali się na brzeg i wymachując rękami i krzycząc, by ratowano cesarza, ruszyli galopem za biednymi szczątkami doczesnymi, którymi woda ciskała o kamienie.

Paru żołnierzy z obozu spostrzegło znaki, jakie dawali, ale nie rozumieli, o co chodzi. Wiry porwały ciało Fryderyka, które płynęło, kręcąc się jednocześnie w kółko, niknęło pod wodą, by po chwili pojawić się na powierzchni. Z daleka trudno się było domyślić, że ktoś tonie. W końcu widać ten i ów się domyślił, gdyż trzech rycerzy wjechało konno do rzeki, lecz ciało obiło się tylko o kopyta przestraszonych koni i popłynęło dalej. Nieopodal kilku żołnierzy weszło z pikami w ręku do wody i w końcu zdołało zaczepić nimi zwłoki i przyciągnąć je do brzegu.

Kiedy Baudolino i Abdul dotarli na miejsce, ciało Fryderyka było tak poobijane o kamienie, że nikomu nie przyszłoby do głowy, iż cesarz może jeszcze żyć. Rozległy się głośne płacze, zawiadomiono syna, który przybył blady i trawiony większą niż zwykle gorączką i jął lamentować, że jego ojciec raz jeszcze podjął walkę z rzecznymi wodami. Rozgniewał się na

Baudolina i Abdula, lecz oni przypomnieli mu, że nie umieją pływać, podobnie jak prawie wszystkie istoty lądowe, i że jak sam wie najlepiej, kiedy cesarz chciał zażyć kąpieli, nikt nie mógł go powstrzymać.

Trup Fryderyka wyglądał w oczach wszystkich jak wzdęty od wody, choć przecież cesarz nie mógł się jej napić, bo był od kilku godzin martwy. Ale tak już jest, że kiedy wyciągasz trupa z wody, myślisz, że to topielec, i topielca w nim widzisz.

Fryderyk Szwabski i inni baronowie doprowadzali do porządku doczesne szczątki cesarza i z trwogą rozmyślali o tym, co mają teraz robić, Ardzrouni, dowiedziawszy się straszliwej nowiny, schodził właśnie w dolinę, a Baudolino i Abdul wracali w tym czasie do zamku, żeby upewnić się, czy wszystko jest w należytym porządku.

– Zgadnij, panie Niketasie, co się w tym czasie zdarzyło – powiedział Baudolino.

– Nie potrzebuję zgadywać. – Niketas się uśmiechnął. – Zniknął święty kielich, Gradalis.

– Właśnie. Nikt nie umiał powiedzieć, czy stało się to, kiedy zeszliśmy na wewnętrzny dziedziniec, żeby przywiązać Fryderyka do konia, czy później, kiedy moi druhowie starali się doprowadzić komnatę do porządku. Wszyscy byli wzburzeni, krzątali się jak pszczoły w ulu. Poeta poszedł zagadywać strażników, toteż zabrakło jego rozsądku i nadzoru nad resztą. W pewnym momencie, kiedy mieli wyjść z komnaty, która wyglądała już tak, jakby nie zdarzyło się w niej nic dramatycznego, Kyot zajrzał do szkatuły i spostrzegł, że nie ma w niej Gradalisa. W chwili naszego, Abdula i mojego, przybycia wszyscy oskarżali się nawzajem o kradzież albo niedbalstwo, powiadając, że być może my sadzaliśmy właśnie Fryderyka na konia, a do komnaty zakradł się Ardzrouni. Ale nie, zapewniał Kyot, pomogłem wprawdzie znosić cesarza, ale zaraz potem wróciłem, wystarczająco szybko, by wiedzieć, że nikt nie wszedł do komnaty, i zresztą

upłynęło zbyt mało czasu, by Ardzrouni zdążył się tu dostać. Więc wziąłeś go ty, zgrzytnął zębami Boron, chwytając go za szyję. Nie, już prędzej ty, odparował Kyot, odpychając go, kiedy ja wyrzucałem przez okno popiół zmieciony spod kominka. Spokój, spokój, krzyknął Poeta, zastanówmy się lepiej, gdzie był Zosima, kiedy my zeszliśmy na dziedziniec. Byłem z wami i z wami przyszedłem na górę, zaklinał się Zosima, a rabbi Solomon jego słowa potwierdził. Jedno było pewne, ktoś wziął Gradalis, a stąd do uznania, że ten, który go wziął, zabił w jakiś sposób Fryderyka, już tylko krok. Poeta mógł sobie mówić, że Fryderyk po prostu umarł, a któryś z nas skorzystał tylko z tego, żeby zabrać Gradalis, ale nikt już w to nie wierzył. Przyjaciele, studził nasze głowy rabbi Solomon, szaleństwo człowiecze wynalazło zbrodnie nad wyraz okrutne, począwszy od Kainowej, lecz żaden umysł ludzki nie był tak przebiegły, żeby wymyślić, jak popełnić zbrodnię w zamkniętej komnacie. Druhowie, powiadał Boron, kiedy weszliśmy, Gradalis tu był, a teraz zniknął. Ma go więc ktoś z nas. Wszyscy naturalnie wykrzyknęli, że chcą, by obejrzano ich sakwy, ale Poeta wybuchnął tylko śmiechem. Jeśli ktoś zabrał Gradalis, z pewnością ukrył go w jakimś mrocznym zakątku zamku, by wynieść kielich później. Co robić? Jeżeli Fryderyk Szwabski nie będzie stawiał przeszkód, wyruszymy wszyscy razem do królestwa księdza Jana i nikt nie będzie mógł wrócić po Gradalis. Powiedziałem, że stało się coś strasznego, bo wyprawiliśmy się w podróż pełną niebezpieczeństw i każdy powinien liczyć na wsparcie innych, a tymczasem każdy (poza jednym) będzie podejrzewał pozostałych o zabicie Fryderyka. Poeta rzekł na to, że lepsze to niż nic, i miał, przekleństwo na nasze głowy, rację. Czekały nas przygody, jakim żaden poczciwy chrześcijanin nie stawiał dotąd czoła, a nikt nie ufał nikomu.

– I wyruszyliście? – spytał Niketas.

– Nie z dnia na dzień, bo wyglądałoby to na ucieczkę. Cały dwór zbierał się ciągle, by postanowić, co dalej. W wojsku zapanowało rozprzężenie, wielu chciało wrócić do domu drogą morską, jedni wsiąść na okręty do

Antiochii, inni do Trypolisu. Młody Fryderyk wolał drogę lądową. Potem zaczęto się zastanawiać, co zrobić z ciałem Fryderyka, ktoś zaproponował, by usunąć trzewia jako najszybciej podlegające zepsuciu i od razu je pogrzebać, ktoś inny, by dotrzeć najpierw do Tarsu, ojczyzny apostoła Pawła. Ale także reszty ciała nie można było przechowywać wiecznie i prędzej czy później trzeba je będzie wygotować w mieszaninie wody z winem, aby mięso całkiem oddzieliło się od kości, które zaraz się pogrzebie, by pozostałe części ciała złożyć do grobu w Jerozolimie po jej odzyskaniu. Wiedziałem jednak, że zanim przystąpi się do gotowania ciała, należy je poćwiartować. Nie chciałem być świadkiem tych rzeźnickich poczynań.

– Słyszałem, że nikt nie wie, co stało się z kośćmi.

– To słyszałem i ja, biedny mój ojciec. Rychło po przybyciu do Palestyny zmarł także młody Fryderyk, pokonany przez ból i trudy podróży. Zresztą ani Ryszard Lwie Serce, ani Filip August nigdy nie dotarli do Jerozolimy. Wyprawa okazała się zaiste nieszczęśliwa dla wszystkich. Ale o tych wypadkach dowiedziałem się dopiero w tym roku, po powrocie do Konstantynopola. Wtedy, w Cylicji, udało mi się przekonać Fryderyka Szwabskiego, że musimy udać się do Indii, by spełnić wolę jego ojca. Miałem wrażenie, że przyjął to z ulgą. Zapytał tylko, ile chcę koni i ile prowiantu. Ruszaj z Bogiem, Baudolinie, rzekł mi, mniemam, że nigdy się już nie zobaczymy. Może myślał, że przepadnę gdzieś w dalekich krajach, lecz przepadł on, biedny nieszczęśnik. Nie był złym człekiem, choć trawiło go poczucie upokorzenia i zawiści.

Nasi pełni wzajemnej nieufności przyjaciele musieli postanowić, kto weźmie udział w wyprawie. Poeta zauważył, że powinno ich być dwunastu. Jeśli chcą być traktowani z szacunkiem podczas wędrówki do ziemi księdza Jana, najlepiej, by ludzie uznali ich za dwunastu królów magów odbywających właśnie powrotną drogę do ojczyzny. Ponieważ jednak nie

było pewności co do liczby magów, dwunastu czy trzech, żaden z nich nie zdradzi, że są magami, a nawet kiedy ktoś zapyta, odpowie: nie, jak ktoś, kto nie chce wyjawić wielkiej tajemnicy. A ponieważ będą zaprzeczać, uwierzy ten, kto będzie chciał uwierzyć. Wiara zaś innych nada piętno prawdy ich powściągliwości.

A zatem Baudolino, Poeta, Boron, Kyot, Abdul, Solomon i Boidi. Nie obejdzie się bez Zosimy, który nadal się zaklinał, że zna na pamięć mapę Kosmasa, aczkolwiek wszyscy czuli odrazę na myśl, że ten łotr będzie uchodził za jednego z magów; nie mogli być jednak wybredni. Brakowało czterech osób. Baudolino ufał już tylko aleksandryjczykom i wciągnął do swoich planów Cuttikę z Quargnento, czyli brata Colandriny, Colandrina Guaskę, Porcellego i Alerama Scaccabarozziego, którego zwano Ciula, czyli Kpem, ale był człekiem silnym, godnym zaufania i mało wymagającym. Wszyscy czterej zgodzili się, gdyż wiedzieli już, że do Jerozolimy nikt nie dotrze. Młody Fryderyk dał dwanaście koni i siedem mułów oraz prowiant na tydzień. Potem, rzekł, zadba o nich Boża Opatrzność.

Kiedy zajmowali się przygotowaniami do wyprawy, przyszedł Ardzrouni, który zwracał się do nich z taką samą uniżoną grzecznością jak przedtem do cesarza.

– Przyjaciele moi najmilsi – rzekł – wiem, że wyruszacie do odległego królestwa...

– A skąd wiesz o tym, panie Ardzrouni? – spytał wyzywającym tonem Poeta.

– Krążą pogłoski... Słyszałem też o pewnym kielichu...

– Któregoś nigdy nie widział, czy nie tak? – powiedział Baudolino i podszedł do niego tak blisko, że Ardzrouni musiał się cofnąć.

– Nigdy. Lecz słyszałem o nim.

– Skoro wiesz o tylu sprawach, może wiesz także, czy ktoś wszedł do komnaty, kiedy cesarz umierał w nurtach rzeki? – spytał Poeta.

– Naprawdę zginął w rzece? Tak właśnie myśli w tej chwili jego syn.

– Przyjaciele – powiedział Poeta – nie ulega wątpliwości, że ten człowiek nam grozi. Przy tym całym zamieszaniu w obozie i zamku nic łatwiejszego niż pchnąć go sztyletem w plecy i rzucić w jakimś kącie. Najpierw jednak chciałbym się dowiedzieć, czego od nas chce. Jeśli zajdzie potrzeba, poderżnę mu gardło później.

– Panie i przyjacielu – rzekł Ardzrouni – nie pragnę waszego nieszczęścia, chcę tylko uniknąć mojego. Cesarz rozstał się z życiem na mojej ziemi, spożywając moje jadło i pijąc moje wino. Ze strony ludzi cesarza nie mogę już oczekiwać żadnej życzliwości ni ochrony. Dobrze, jeśli nie uczynią mi jakiejś krzywdy. Groźba wisi jednak nad moją głową. Kiedy Fryderyk został moim gościem, książę Leon zdał sobie sprawę, że chcę, by cesarz był po mojej stronie, a przeciwko niemu. Póki żył Fryderyk, Leon nie mógł mi nic zrobić, a to świadczy, jakim nieszczęściem jest dla mnie śmierć tego człowieka. Teraz Leon powie, że z mojej winy on, książę Ormian, nie mógł zatroszczyć się we właściwy sposób o życie swego najsławniejszego sprzymierzeńca. Wspaniała sposobność, by posłać mnie na śmierć. Nie ma od tego ucieczki. Muszę zniknąć na dłuższy czas, a potem zjawić się z czymś, co przywróci mi prestiż i autorytet. Wyruszacie na poszukiwanie ziemi księdza Jana i jeśli się wam uda, zyskacie chwałę. Chcę do was dołączyć. W ten sposób dowiodę wam przede wszystkim, że nie wziąłem kielicha, o którym mówicie, w przeciwnym bowiem razie zostałbym tutaj i wykorzystał kielich jako monetę przetargową. Znam dobrze ziemie na wschodzie i mogę być wam pożyteczny. Wiem, że książę nie dał wam pieniędzy, a ja wziąłbym ze sobą tę odrobinę złota, jaką posiadam. A wreszcie, i Baudolino wie o tym, mam siedem cennych relikwii, siedem głów świętego Jana Chrzciciela, moglibyśmy je więc po drodze stopniowo sprzedawać.

– Jeśli zaś odmówimy – zabrał głos Baudolino – podszepniesz Fryderykowi Szwabskiemu, że na nasze głowy spada odpowiedzialność za śmierć jego ojca.

– Wcale tego nie powiedziałem.

– Posłuchaj, Ardzrouni, nie należysz do ludzi, których chętnie zabrałbym dokądkolwiek, ale teraz wszystko ułożyło się tak, że każdy może zostać czyimś wrogiem. Jeden wróg mniej, jeden więcej, to zaiste nie robi już żadnej różnicy.

– W istocie ten człowiek będzie dla nas ciężarem – oznajmił Poeta. – Jest nas dwunastu, trzynasty przyniesie nieszczęście.

Kiedy tak dyskutowali, Baudolino zastanawiał się nad głowami Chrzciciela. Nie był pewny, czy te głowy można traktować poważnie, lecz jeśli tak, z pewnością były warte fortunę. Zszedł do izby, w której je zobaczył, i wziął do ręki jedną, by bacznie się jej przyjrzeć. Były zręcznie wykonane, rzeźbione oblicze świętego, wielkie otwarte oczy bez źrenic mogły każdego natchnąć świętymi myślami. Pewnie, kiedy widziało się rząd siedmiu głów, krzyczały wprost o fałszerstwie, ale pojedynczo mogły być przekonywające. Odstawił głowę na skrzynię i wrócił na górę.

Trzech zgadzało się na zabranie Ardzrouniego, pozostali nadal się wahali. Boron powiedział, że Ardzrouni zawsze wyglądał na kogoś znacznego, a Zosima, także ze względu na szacunek dla dwunastu czcigodnych osobistości, mógłby uchodzić za ich sługę. Poeta zwrócił mu uwagę, że taki mag albo ma dziesięcioro służby, albo chce pozostać w podróży nierozpoznany, a wtedy jeden sługa na dwunastu budziłby tylko podejrzenie. Jeśli chodzi o głowy, mogą przecież je wziąć, nie zabierając Ardzrouniego. Ardzrouni na te słowa zapłakał i powiedział, że chcą jego śmierci. Jednym słowem, odłożyli decyzję do następnego dnia.

I właśnie nazajutrz, kiedy słońce zawędrowało już wysoko, a oni prawie zakończyli przygotowania do podróży, jeden z nich spostrzegł, że przez całe przedpołudnie nie widział Zosimy. W zamęcie, jaki owładnął nimi

w ostatnich dwóch dniach, nikt nie myślał o pilnowaniu mnicha, tym bardziej że brał on udział w nakładaniu uprzęży na konie i juków na muły, nie założono mu więc łańcuchów. Kyot zauważył, że brakuje jednego muła, a na Baudolina spłynęło nagłe olśnienie.

– Głowy! – wykrzyknął. – Głowy! Poza Ardzrounim i mną tylko Zosima wiedział, gdzie są schowane!

Poprowadził całą kompanię do komórki z głowami i ujrzeli, że pozostało ich już tylko sześć.

Ardzrouni zajrzał pod skrzynię, by sprawdzić, czy jedna z nich czasem nie spadła, i znalazł trzy rzeczy: małą poczerniałą ludzką czaszkę, pieczęć z dzetą i resztki roztopionego laku. Wszystko było teraz aż nadto jasne. W zamieszaniu, jakie panowało tamtego fatalnego ranka, Zosima zabrał Gradalis ze szkatuły, do której Kyot złożył kielich, w okamgnieniu zbiegł tutaj, otworzył jedną z głów, wyjął z niej czaszkę, by ukryć Gradalis, zapieczętował głowę pieczęcią kupioną w Gallipolis, odłożył głowę na miejsce i wrócił z miną aniołka do reszty, by poczekać cierpliwie na stosowny moment. Kiedy zrozumiał, że uczestnicy wyprawy podzielą się głowami, nie mógł już zwlekać.

– Dodam, panie Niketasie, że choć ogarnęła mnie złość, gdyż wyprowadzono mnie w pole, poczułem też ulgę, i sądzę, że reszta patrzyła na to podobnie. Znaleźliśmy winowajcę, łajdaka, który z pewnością dopuścił się łajdactwa, nie musieliśmy więc podejrzewać siebie nawzajem. Łotrowski czyn Zosimy sprawił, że posinieliśmy z gniewu, ale przywrócił nam wzajemne zaufanie. Nie było dowodu na to, że Zosima, który ukradł Gradalis, miał też coś wspólnego ze śmiercią Fryderyka, gdyż owej nocy był przez cały czas przykuty do swego łoża, ale wróciliśmy teraz do wysuniętej przez Poetę hipotezy, że Fryderyk nie został zabity.

Zebrali się na naradę. Przede wszystkim Zosima – jeśli uciekł przed świtem – ma teraz nad nimi dwanaście godzin przewagi. Porcelli

powiedział, że oni mają konie, on zaś jedzie na mule, ale Baudolino zwrócił mu uwagę, że wszędzie dokoła są góry, które ciągną się Bóg wie jak daleko, a po górskich perciach konie poruszają się wolniej niż muły. Nie da się popędzić za nim galopem. Pół dnia przewagi zyskał, pół dnia pozostało. Mogli jedynie domyślić się, w którą stronę pojechał, i ruszyć w tę samą.

Rzekł Poeta:

– Nie mógł pojechać do Konstantynopola, bo po pierwsze, póki na tronie zasiada Izaak Angelos, tamtejsze powietrze nie jest dla niego zbyt zdrowe. A po drugie, musiałby przemierzyć ziemie seldżuckie, które dopiero co opuściliśmy po tak wielu tarapatach, i wie doskonale, że prędzej czy później dobraliby się mu tam do skóry. Ponieważ ma w pamięci mapę, najrozsądniejsza będzie hipoteza, że zechce uczynić to, co chcemy uczynić my: dotrze do ziemi księdza, powie, że jest wysłannikiem Fryderyka czy nie wiadomo kogo innego, odda Gradalis i obsypią go zaszczytami. Jeśli więc chcemy dostać Zosimę w swoje ręce, musimy wyruszyć do królestwa księdza Jana i dopaść go po drodze. Ruszajmy, będziemy po drodze zasięgać języka, tropić mnicha Greczyna, którego stan widać z odległości mili, a potem dacie mi w końcu tę satysfakcję, że chwycę go za gardło, i Gradalis znowu będzie nasz.

– Wyśmienicie – powiedział Boron – ale w którą stronę pojedziemy, skoro on jeden widział mapę?

– Druhowie moi – zabrał głos Baudolino – w tej sytuacji przyda się nam Ardzrouni. Zna tamte strony, a poza tym zostało nas jedenastu i potrzebny nam dwunasty król.

W ten sposób Ardzrouni, ku swej wielkiej uldze, dołączył uroczyście do kompanii śmiałków. Co się tyczy drogi, którą mieli przed sobą, mówił rzeczy rozsądne: skoro królestwo księdza jest na Wschodzie, nieopodal ziemskiego raju, trzeba jechać w stronę wschodzącego słońca. Jeśli jednak ruszą prosto na wschód, mogą znaleźć się na ziemiach należących do niewiernych, on natomiast zna, przynajmniej trochę, szlak prowadzący

przez ziemie wyłącznie chrześcijańskie – a warto brać przy tym pod uwagę głowy Chrzciciela, których nie da się przecież sprzedać Turkom. Zapewniał, że Zosima rozumował podobnie, i wymieniał kraje i miasta, o których nasi przyjaciele nigdy nie słyszeli. Dzięki zręczności swych rąk sporządził rodzaj kukiełki, która dość przypominała Zosimę: długie gęste włosy na głowie, długa gęsta broda z poczernionego sorga, dwa czarne kamyki zamiast oczu. Wizerunek robił wrażenie tak samo opętanego jak człek, którego przedstawiał.

– Będziemy wędrować przez kraje, w których posługują się nieznanymi językami – powiedział Ardzrouni – i jeśli chcemy dowiedzieć się, czy przejeżdżał tamtędy Zosima, będziemy musieli pokazywać ten wizerunek.

Baudolino zapewniał, że z nieznanymi językami nie będzie kłopotu, gdyż wystarczyło mu porozmawiać trochę z barbarzyńcami, by nauczyć się mówić jak oni, ale wizerunek i tak się przyda, bo przecież będą i takie miejsca, gdzie nie zatrzymają się wystarczająco długo, by nauczył się języka.

Przed odjazdem poszli po głowy Chrzciciela. Było ich dwunastu, głów zaś – sześć. Baudolino zdecydował, że Ardzrouni i tak powinien być kontent, Solomon nie zechce wędrować po świecie z chrześcijańską relikwią, a Cuttica, Ciula, Porcelli i Colandrino dołączyli do nich ostatni, głowami podzielą się więc on sam, Poeta, Abdul, Kyot, Boron i Boidi. Poeta już chciał chwycić pierwszą, ale Baudolino zwrócił mu ze śmiechem uwagę, że wszystkie są jednakowe, gdyż jedyną prawdziwą przywłaszczył sobie Zosima. Poeta zarumienił się i szerokim, dwornym gestem zaprosił Abdula do dokonania wyboru. Baudolino zadowolił się ostatnią głową i wszyscy ukryli swoje relikwiarze w sakwach.

– Ot i wszystko – rzekł Baudolino, zwracając się do Niketasa. – Pod koniec lipca roku pańskiego 1190 ruszyliśmy – jak magowie, w dwunastu,

choć ustępowaliśmy im cnotą – w drogę, by dotrzeć wreszcie do ziemi księdza Jana.

26

Baudolino podróżuje w towarzystwie magów

Odtąd Baudolino snuł Niketasowi swą opowieść bez żadnych prawie przerw – nie tylko podczas nocnych postojów, lecz również za dnia, i kiedy niewiasty skarżyły się na upał, i kiedy trzeba było się zatrzymać, żeby dzieci zrobiły siusiu, i kiedy muły zapierały się – od czasu do czasu – ani myśląc ruszyć w dalszą drogę. Była to więc opowieść tocząca się w tym samym rytmie co podróż, a Niketas wyczuwał, gdzie są w niej miejsca puste, przerwy, bezkresne przestrzenie i dłużyzny bez końca. I było to całkiem zrozumiałe, gdyż z opowieści Baudolina wynikało, że wyprawa dwunastu trwała jakieś cztery lata i nie brakowało w niej chwil zagubienia, nudnych postojów i naznaczonych cierpieniami perypetii.

Być może w tej podróży pod prażącym słońcem, wśród wciskających piasek do oczu trąb powietrznych, napotykając ludzi mówiących coraz to innymi dialektami, wędrowcy przeżywali chwile, kiedy czuli się, jakby trawiła ich gorączka, i inne chwile, sennego wyczekiwania. Niezliczone dni minęły im na walce o przetrwanie, na uganianiu się za skorymi do ucieczki zwierzętami, na targowaniu się z dzikimi ludźmi o podpłomyk albo kawał jagnięciny, na odkopywaniu źródełek, które często zanikały w tych krainach, gdzie deszcz padał raz na rok. A poza tym – mówił sobie Niketas – podróżnicy powiadają, że wskutek wędrówki przez pustynie, w rozpalającym głowę słońcu, człowiek widzi ułudne miraże, słyszy głosy odbijające się echem od wydm, a kiedy zobaczy wreszcie byle krzak, mogą skusić go jagody, które nie wypełniają brzucha, a za to sprowadzają omamy.

Nie mówiąc już o tym, że jak dobrze wiedział Niketas, Baudolino z natury nie należał do ludzi prawdomównych, a jeśli trudno wierzyć kłamcy, gdy mówi, dajmy na to, iż był w Ikonium, jak dalece mu wierzyć, gdy opowiada, iż widział istoty, które najbardziej swawolna imaginacja z największym trudem potrafi sobie samej przedstawić, jeżeli w dodatku sam kłamca nie jest wcale pewny, czy je widział.

W jedną jedyną rzecz Niketas postanowił wierzyć, gdyż poświadczeniem prawdy była w tym wypadku pasja, z jaką Baudolino o niej opowiadał, w tę mianowicie, że przez cały ten czas dwunastu magów popychało do wędrówki pragnienie, by dotrzeć do celu. Ten zaś stawał się w coraz większej mierze czymś innym dla każdego z nich. Boron i Kyot chcieli tylko odnaleźć Gradalis, choćby i nie docierając do królestwa księdza Jana; Baudolino pożądał, i w sposób coraz bardziej nieokiełznany, właśnie tego królestwa, a podobnie rabbi Solomon, ponieważ spodziewał się odnaleźć tam zaginione pokolenia Izraela; Ardzrouni myślał tylko o tym, by jak najdalej uciec, Abdul zaś, jak dobrze wiemy, uważał, że im bardziej się oddala, tym bardziej zbliża się do przedmiotu swych przeczystych pożądań.

Tylko grupa aleksandryjczyków, jak się zdaje, stąpała mocno po ziemi: zawarli układ z Baudolinem i tego się trzymali – być może z poczucia solidarności, a być może z przyrodzonego uporu, skoro bowiem ma się odnaleźć niejakiego księdza Jana, trzeba go odnaleźć, gdyż w przeciwnym razie, jak powiadał Aleramo Scaccabarozzi zwany Ciula, ludzie przestaną traktować cię poważnie. Ale może podążali dalej i dalej także dlatego, iż Boidi wbił sobie do głowy, że kiedy dotrą do celu, zaopatrzą się w liczne cudowne (a nie fałszywe, jak głowy Chrzciciela) relikwie, zabiorą je do ojczystej Aleksandrii i dzięki temu przeobrażą niemające jeszcze historii miasto w najbardziej czczone sanktuarium świata chrześcijańskiego.

Ardzrouni, chcąc uniknąć Turków z Ikonium, od razu powiódł ich ścieżynami, na których konie w każdej chwili mogły połamać sobie nogi,

a potem całe sześć dni wędrowali kamienistą pustynią, gdzie leżało mnóstwo długich na dłoń, martwych od słońca jaszczurek. I tak dobrze, że mamy prowiant i nie musimy zjadać tych szkaradnych zwierząt – powiedział z ulgą Boidi, lecz był w błędzie, gdyż rok później chwytali jeszcze szkaradniejsze jaszczurki i piekli je, nawlókłszy na patyk, a ślina ciekła im z ust, kiedy czekali, aż skórka stanie się odpowiednio chrupiąca.

Przejechali potem przez kilka wiosek i w każdej pokazywali kukiełkę Zosimy. Ależ tak – mówił któryś z wieśniaków – ten mnich był w tych stronach, zatrzymał się na miesiąc, a potem uciekł, bo zrobił dziecko mojej córce. Jak mógł zatrzymać się na miesiąc, skoro dopiero od dwóch tygodni jesteśmy w drodze? Kiedy to było? No, jakieś siedem Wielkanocy temu, widzicie, owocem jego grzechu jest to skrofuliczne dziecię. Nie był to więc on, wszyscy oni jednacy ci mnisi, co za wieprze. Albo: ależ tak, chyba, miał właśnie taką brodę, jakieś trzy dni temu, bardzo miły garbus... Skoro jednak chodziło o garbusa, nie mógł to być on, Baudolino, może ty wcale nie znasz ich języka i gadasz, co ci ślina przyniesie na język? Albo też: ależ tak, a jakże, widzieliśmy go, to on, i wskazywali palcem rabbiego Solomona – może z powodu czarnej brody. Krótko mówiąc, niewykluczone, że wypytywali akurat najgłupszych.

Dalej napotkali ludzi mieszkających w okrągłych namiotach, którzy pozdrowili ich słowami *La ellek alla Sila*, *Machimet rores alla*. Odpowiedzieli z taką samą kurtuazją po alamańsku, jako że jeden język wart był drugiego, a potem pokazali kukiełkę Zosimy. Tamci wybuchnęli śmiechem, zaczęli mówić wszyscy naraz, ale z gestykulacji można się było domyślić, że zapamiętali Zosimę: przejeżdżał tędy, chciał sprzedać głowę chrześcijańskiego świętego, oni zaś zagrozili, iż nawloką go na pal. Nasi przyjaciele zrozumieli, że napotkali bractwo Turków impalatorów, zaczęli więc wymachiwać rękami na pożegnanie i odkrywać w szerokich uśmiechach wszystkie zęby, a Poeta złapał Ardzrouniego za włosy, odchylił mu głowę do tyłu i syknął: wybornie, wprost wybornie znasz drogę

i posłałeś nas prosto w paszczę tych antychrystów, a Ardzrouni wycharczał, iż wcale nie pomylił drogi, ale to nomadzi, a nomadzi wędrują to tu, to tam, nigdy nie wiadomo dokąd.

– Dalej będziemy napotykać samych chrześcijan, aczkolwiek będą to nestorianie – zapewniał.

– No dobrze – powiedział Baudolino – skoro są nestorianami, należą do tego gatunku co ksiądz Jan, odtąd jednak, kiedy wejdziemy do jakiejś wioski, nim otworzymy gębę, musimy rozejrzeć się, czy są w niej krzyże i dzwonnice.

– Ani śladu dzwonnic. Widzieli grupy chat z tufu i jeśli był tam nawet kościół, trudno było go rozpoznać, gdyż tym ludziom wystarczyło niewiele, by chwalić Pana.

– Czy jesteś pewny, że Zosima tędy przejeżdżał? – spytał Baudolino.

Ardzrouni odpowiedział, że może się nie obawiać. Pewnego wieczoru Baudolino zobaczył, jak Ardzrouni wpatruje się w zachodzące słońce i, zdać by się mogło, mierzy niebo wyciągniętymi ramionami i skrzyżowanymi palcami obu rąk, tworząc w ten sposób trójkątne okienka, przez które przygląda się chmurom. Baudolino zapytał o to, a on odpowiedział, że próbuje odgadnąć, gdzie jest ogromna góra, pod którą znika co wieczór słońce, kryjąc się pod wielką arkadą *tabernaculum*.

– Przenajświętsza Panienko! – wykrzyknął Baudolino. – Czyżbyś ty też wierzył w tę historię z *tabernaculum* jak Zosima i Kosmas Indikopleustos?

– Jakżeby nie? – odparł Ardzrouni tonem, jakby pytano go, czy wierzy, że woda jest mokra. – Inaczej skąd miałbym pewność, że podążamy tą samą drogą, którą obrał Zosima?

– W takim razie znasz mapę Kosmasa, którą Zosima ciągle nam obiecywał?

– Nie wiem, co wam obiecywał Zosima, ale mapę Kosmasa mam.

Wydobył z sakwy jakiś pergamin i pokazał go naszym przyjaciołom.

– Tylko spójrzcie! Oto rama, jaką tworzy ocean. Poza nią znajdują się ziemie, które Noe zamieszkiwał przed potopem. Na wschodnim krańcu tych ziem, a oddzielają je od oceanu zamieszkane przez potworne istoty tereny, które będziemy musieli pokonać, położony jest ziemski raj. Łatwo zobaczyć, jak Eufrat, Tygrys i Ganges, wypływając z tej szczęśliwej krainy, przepływają pod oceanem i przez regiony, ku którym podążamy, a wreszcie wpadają do Zatoki Perskiej. Natomiast Nil bardziej krętym korytem przepływa przez ziemie przedpotopowe, wpada do oceanu, a dalej płynie przez nizinne regiony południowe, a ściślej przez ziemię egipską, i wpada do Zatoki Romaickiej, czyli do morza, które łacinnicy nazywali najpierw Śródziemnym, a potem Hellespontem. Otóż my musimy posuwać się najpierw na wschód, docierając nad Eufrat, potem nad Tygrys i wreszcie nad Ganges, a potem skręcić ku nizinnym regionom wschodnim.

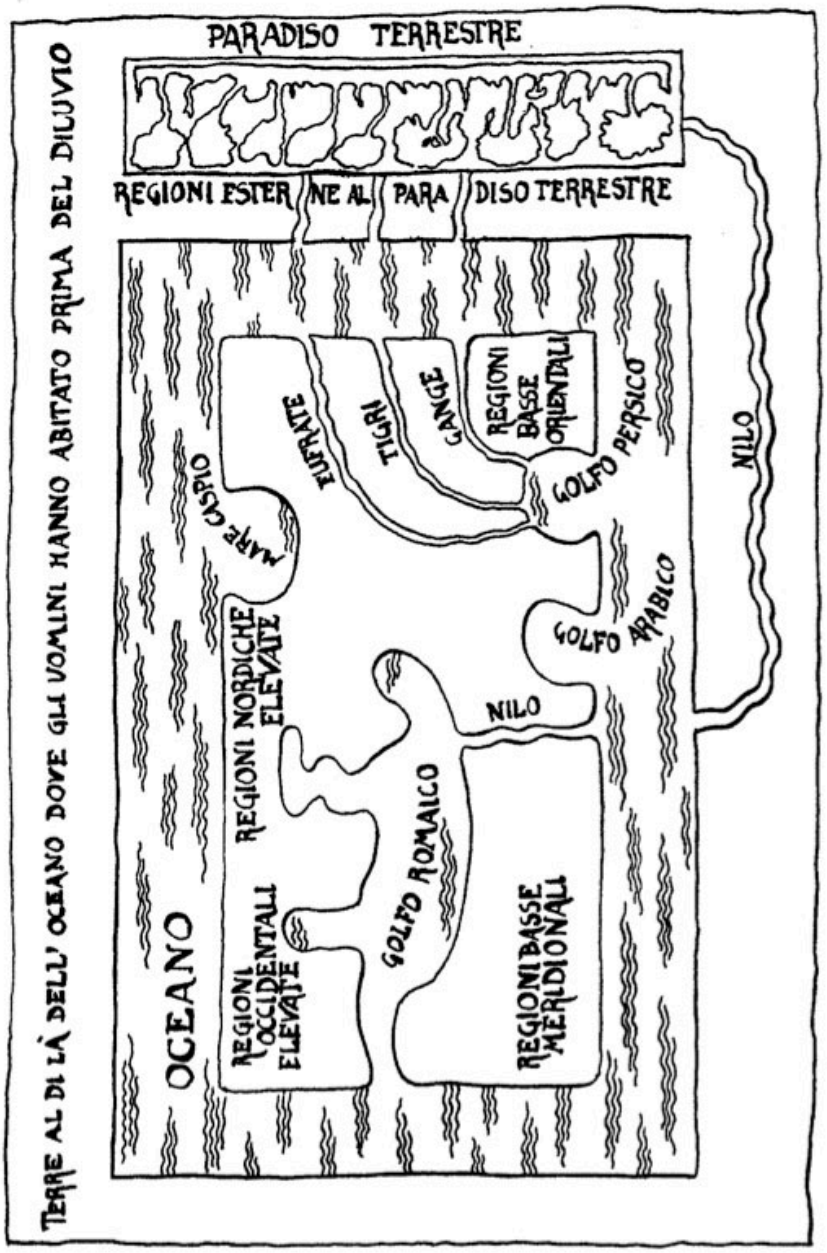

Ziemie po drugiej stronie oceanu, zamieszkane przez ludzi przed potopem.

– Ale ponieważ królestwo księdza Jana sąsiaduje z rajem ziemskim, czy wynika z tego, że przyjdzie nam przepłynąć ocean? – spytał Poeta.

– Sąsiaduje z rajem ziemskim, ale po tej stronie oceanu – odparł Ardzrouni. – Przyjdzie nam więc raczej przekroczyć Sambation...

– Sambation, rzekę kamieni – rzekł Solomon, składając dłonie. – A zatem Eldad nie kłamał, tam właśnie trzeba dotrzeć, by odnaleźć zaginione pokolenia!

– O Sambationie pisaliśmy także my w liście od księdza – uciął Baudolino – nie ulega więc wątpliwości, że gdzieś musi być. Doskonale, Bóg nam pomaga, sprawił bowiem, że straciliśmy Zosimę, a zyskaliśmy Ardzrouniego, który, jak się zdaje, wie więcej niż mnich.

Pewnego dnia dostrzegli w oddali okazałą świątynię z kolumnami i pięknie ozdobionym tympanonem. Kiedy jednak znaleźli się bliżej, zobaczyli, że świątynia ma tylko fasadę, resztę stanowi bowiem skała, a wydrążone w górskiej ścianie wejście znajduje się w górze i żeby się tam dostać, trzeba wspinać się Bóg wie jak wysoko, tam gdzie docierają tylko ptaki w swym locie. Przypatrując się uważniej, można było zauważyć, że w skalnym kręgu, w górnej części stromych wulkanicznych ścian, rysują się inne jeszcze fasady, i czasem trzeba było dobrze wytężyć wzrok, by odróżnić kamień obrobiony ludzką ręką od kamienia ukształtowanego przez naturę. I zobaczyli dalsze rzeźbione kapitele, arkady, łuki i wspaniałe kolumnady. Ludzie mieszkający w dolinie posługiwali się językiem bardzo podobnym do greki. Powiedzieli, że ich miasto nosi nazwę Bakanor, a przed sobą mają kościoły sprzed tysiąca lat, z czasów kiedy panował tutaj Aleksandros, wielki grecki król, który czcił proroka skazanego na śmierć na krzyżu. Zapomnieli już, jak dostać się do świątyni, nie wiedzieli, co jest w jej środku, i woleli czcić bogów (powiedzieli, że właśnie bogów, nie zaś Pana Boga) w ogrodzonej przestrzeni pod gołym niebem, gdzie pośrodku wznosił się na drewnianym palu pozłacany łeb bawołu.

Tego dnia całe miasto brało udział w uroczystym pogrzebie pewnego młodzieńca, który był ulubieńcem wszystkich. Na płaskim terenie u stóp góry ustawiono ławę, a pośrodku kręgu zastawionych już stołów wznosił się ołtarz ze zwłokami zmarłego. Nad nim zataczały obszerne, coraz niższe

koła orty, kanie, kruki i inne drapieżne ptaki – jakby miały być gośćmi na tej uczcie. Ubrany od stóp do głów na biało ojciec podszedł do zwłok, odciął toporem głowę i ustawił ją na złotej tacy. Potem również na biało ubrani marszałkowie dworu pokroili ciało na małe części i zaproszeni podchodzili, by brać po kawałku i rzucać ptakowi, który chwytał go w locie i znikał gdzieś w oddali. Ktoś wyjaśnił Baudolinowi, że ptaki zanoszą zmarłego do raju i że ten obrządek jest znacznie lepszy niż zwyczaje innych ludów, które zakopują ciało w ziemi, by tam zgniło. Potem wszyscy przykucnęli przy stołach i każdy skosztował odrobinę mięsa z głowy, a kiedy została już tylko czysta i błyszcząca jak metal czaszka, użyli jej jako kielicha, z którego wszyscy pili wśród oznak radości, sławiąc zmarłego.

Innym razem brnęli, i to cały tydzień, przez ocean pomarszczonego jak morskie fale piasku i mieli uczucie, że pod ich stopami i końskimi kopytami wszystko faluje. Solomon, który cierpiał już na chorobę morską, kiedy wsiedli na okręt w Gallipolis, czuł przez cały ten czas mdłości, ale nie miał wiele do zwymiotowania, gdyż całej kompanii rzadko przytrafiała się okazja, żeby wziąć coś do ust, i szczęście, że zanim zagłębili się w ten trudny teren, przygotowali odpowiednie zapasy wody. Abdul dostał dreszczy i gorączka towarzyszyła mu już do końca podróży, tak że nie mógł nawet śpiewać swych pieśni, o co przyjaciele prosili go podczas obozowania przy świetle księżyca.

Czasem posuwali się szybko przez porosłe trawą równiny, gdzie nie musieli walczyć z nieprzyjaznymi żywiołami, i wtedy Boron i Ardzrouni wygłaszali niekończące się diatryby na temat, który był ich obsesją, to jest na temat próżni.

Boron wykorzystywał te same argumenty co zawsze, mówiąc, że gdyby istniała w uniwersum próżnia, nie byłoby powodów, by istniały jeszcze inne

światy poza naszym et cetera, et cetera. Ardzrouni zaś zwracał mu uwagę, że myli próżnię powszechną, która może być przedmiotem dyskusji, z próżnią, która wytwarza się w szczelinach między jedną a drugą korpuskułą. A kiedy Boron zapytał go, czymże są owe korpuskuły, oponent przypomniał mu, że według wielu filozofów greckich oraz innych biegłych teologów arabskich, zwolenników kalamu, czyli mutakallimów, nie należy mniemać, że ciała są substancjami gęstymi. Całe uniwersum, wszystko, co w nim jest, także my sami, składa się z niepodzielnych korpuskuł zwanych atomami, które poruszając się bez ustanku, dają początek życiu. Ruchy owych korpuskuł są niezbędnym warunkiem wszelkiego poczynania i wszelkiego rozkładu. Otóż między atomem i atomem jest próżnia – właśnie dlatego mogą się swobodnie poruszać. Gdyby między składającymi się na każde ciało korpuskułami nie było próżni, niczego nie dałoby się pokroić, podzielić czy rozbić, nic nie mogłoby wchłaniać wody ani być przenikane przez zimno albo gorąco. Jak inaczej mogłoby pożywienie rozchodzić się po naszym ciele, jeśli nie przemieszczając się przez puste przestrzenie między korpuskułami, które się nań składają? Wbij igłę w nadmuchany pęcherz – prawił Ardzrouni – a zacznie się tylko dlatego opróżniać, że igła, poruszając się, powiększa otwór, który przedtem zrobiła. Jak to się dzieje, że przez chwilę igła tkwi w pęcherzu pełnym jeszcze powietrza? Gdyż wnika w pustkę między korpuskułami powietrza.

– Twoje korpuskuły to czysta herezja i nikt ich nie widział poza tymi twoimi Arabami kallomotumami, czy jak ich zowiesz – odparł Boron. – Kiedy igła wnika w pęcherz, od razu uchodzi nieco powietrza, by było dość miejsca dla igły.

– Weź więc pustą flaszę i zanurz ją w wodzie szyjką w dół. Woda nie dostaje się do flaszy, gdyż jest w niej powietrze. Wyssij teraz powietrze z flaszy, zamknij ją palcem, by nie dostało się z zewnątrz do środka, i zanurz flaszę w wodzie, a woda wejdzie tam, gdzie uczyniłeś próżnię.

– Woda wejdzie, gdyż natura działa tak, by nie powstała próżnia. Próżnia jest wbrew naturze, a skoro jest wbrew naturze, nie może w tej naturze istnieć.

– Ale kiedy woda wpływa, a nie dzieje się to od razu, co znajduje się w tej części flaszy, która nie jest jeszcze napełniona, skoroś usunął przecież z niej powietrze?

– Kiedy wysysasz powietrze, usuwasz jedynie powietrze zimne, które porusza się powoli, a zostawiasz część powietrza ciepłego, które jest szybkie. Woda wchodzi i wypędza od razu powietrze ciepłe.

– A teraz weź tę flaszę wypełnioną powietrzem, lecz ogrzej ją, by wewnątrz było tylko powietrze ciepłe. Potem zanurz szyjką w dół. Choć będzie w niej tylko ciepłe powietrze, woda i tak nie wejdzie. Tak zatem ciepło powietrza nie ma tu nic do rzeczy.

– Czyżby? Weź więc raz jeszcze flaszę i zrób bliżej dna, w części brzuchatej, otwór. Zanurz ją w wodzie tą stroną z dziurą. Woda nie wchodzi, gdyż jest w niej powietrze. Ale przyłóż wargi do szyjki, która znajduje się przecież ponad wodą, i wyssij całe powietrze. W miarę jak je będziesz wysysał, woda będzie dostawać się do flaszy przez dolny otwór. Wyjmij teraz flaszę z wody, zakrywając otwór w szyjce, by powietrze nie wchodziło. I widzisz oto, że woda pozostaje we flaszy, a nie wypływa przez otwór na dole, albowiem natura czuje wstręt do próżni, jaka by powstała.

– Woda nie wypływa za drugim razem, bo przedtem weszła, a ciało nie może zrobić ruchu przeciwnego do poprzedniego, jeśli nie będzie do tego nakłonione. Posłuchaj teraz tego. Wbij igłę w nadmuchany pęcherz, pozwól, żeby całe powietrze uszło, fiuuu, a potem zatkaj od razu dziurkę po igle. Ujmij teraz palcami pęcherz, jakbyś skubał skórę na wierzchu dłoni. I zobaczysz, że pęcherz się otworzy. Co jest w pęcherzu, którego powłoki rozsunąłeś? Próżnia.

– A kto powiedział, że powłoki pęcherza się rozdzielą?

– Spróbuj.

– Ani myślę, nie jestem mechanikiem, lecz filozofem i wnioski wyciągam z przesłanek rozumowych. A zresztą jeśli nawet powłoki się rozdzielą, to dlatego, że w pęcherzu są pory i kiedy powietrze całkiem z niego ujdzie, odrobinę dostanie się do środka właśnie przez pory.

– Czyżby? Przede wszystkim czymże są pory, jeśli nie pustymi przestrzeniami? I jak powietrze może wejść samo z siebie, skoro nie narzuciłeś mu ruchu? I czemu to pęcherz nie wypełnia się samorzutnie po usunięciu z niego powietrza? A jeśli są owe pory, dlaczego, kiedy pęcherz jest nadęty i dobrze zamknięty, a ty go ugniatasz, nadając ruch powietrzu, pęcherz nie tęchnie? Ponieważ pory to przestrzenie puste wprawdzie, ale mniejsze od korpuskuł powietrza.

– Ugniataj coraz mocniej, a sam zobaczysz. A zresztą pozostaw nadęty pęcherz kilka godzin na słońcu, a sam stęchnie powoli, gdyż ciepło przeobraża powietrze zimne w ciepłe, to zaś uchodzi szybciej.

– Weź więc flaszę...

– Z dziurą na dnie czy bez?

– Bez. Zanurz ją ukośnie w wodzie. W miarę jak woda będzie wchodzić, powietrze będzie uchodzić plum, plum, objawiając tym sposobem swoją obecność. Wyjmij flaszę, opróżnij, wyssij całe powietrze, zatkaj kciukiem otwór, zanurz ją ukośnie w wodzie, cofnij palec. Woda wchodzi, ale nie widać ani nie słychać żadnego plum, plum. A to dlatego, że w środku była próżnia.

W tym miejscu Poeta przerwał im, przypominając, że Ardzrouni nie powinien się rozpraszać, bo od wszystkich tych plum, plum i flasz jeszcze bardziej chce im się pić, a pęcherze mają zupełnie puste, najrozumniej więc byłoby ruszyć ku jakiejś rzece albo przynajmniej ku miejscu wilgotniejszemu niż to, w którym się w tej chwili znajdują.

Co jakiś czas dochodziły ich słuchy o Zosimie. Ktoś go widział, ktoś słyszał o czarnobrodym, który poszukuje królestwa księdza Jana. Nasi przyjaciele pytali wówczas z niepokojem: „I co mu powiedzieliście?”, a tamci prawie niezmiennie odpowiadali, że tutaj wszyscy wiedzą, iż ksiądz Jan ma swą siedzibę na wschodzie, ale żeby tam dotrzeć, potrzeba lat.

Poeta, pieniąc się ze złości, oznajmił, że w manuskryptach z biblioteki u Świętego Wiktora można przeczytać, iż wędrując przez te strony, człowiek ciągle natrafia na wspaniałe miasta ze świątyniami o dachach wysadzanych szmaragdami, pałacami o sklepieniach ze złota, kolumnami o kapitelach z hebanu, posągami, które wyglądają jak żywe, złotymi ołtarzami, do których prowadzi sześćdziesiąt stopni, murami z czystego szafiru, kamieniami tak świetlistymi, że zastępują łuczywa, górami kryształu, rzekami diamentów, ogrodami, w których rosną drzewa wydające balsamiczne wonie, tak że mieszkańcy mogą żywić się samym ich wdychaniem, klasztorami, gdzie hoduje się tylko nadzwyczajnie barwne pawie, których mięso nie ulega zepsuciu, jeśli więc weźmie się je w podróż, przechowuje się trzydzieści albo i więcej dni nawet pod palącym słońcem, a nie wydaje brzydkich zapachów, ze wspaniałymi źródłami, w których woda lśni niby światło błyskawicy, a jeżeli wrzuci się do niej zasoloną suchą rybę, wraca ona do życia i igra sobie w toni, co jest znakiem, że chodzi tu o źródło wiecznej młodości – oni zaś widzieli dotąd tylko pustynie, zarośla, górskie masywy, gdzie nie da się nawet usiąść na kamieniu, bo można sobie poparzyć pośladki, jedyne miasta, jakie napotkali, składają się z nędznych chat i są zamieszkane przez ludzi odrażających, jak Kolandiofonta, gdzie widzieli artabantich, ludzi chodzących na czworaka jak owce, jak Jambut, gdzie mieli nadzieję odpocząć po przebyciu spalonych od słońca równin i gdzie niewiasty, choć niepiękne, nie były też zupełnie brzydkie, ale odkryli, że są bardzo wierne swym mężom i chowają w waginie jadowite węże, by bronić swej czystości – i gdybyż wyznały to od razu, ale nie, jedna z nich udała, że gotowa

byłaby oddać się Poecie, który niewiele brakowało, a musiałby dochować do końca życia czystości, ale na szczęście usłyszał syk i odskoczył. Nieopodal bagien Katarderse widzieli mężczyzn o jądrach zwisających do kolan, a w Nekuweranie nagich jak dzikie bestie ludzi, którzy spółkowali na drodze niby psy, przy czym ojciec łączył się z córką, a syn z matką. W Tanie spotkali antropofagów, którzy, co ciekawe, nie zjadali cudzoziemców, bo się nimi brzydzili, lecz tylko własne dzieci. Nad rzeką Arion natrafili na wioskę, gdzie mieszkańcy tańczą wokół bałwana i zadają sobie ostrymi nożami rany we wszystkie części ciała, a potem stawiają bałwana na wozie i obwożą go wszędzie, przy czym wielu z nich rzuca się radośnie pod koła, które łamią im członki, aż wskutek tego umierają. W Salibucie wędrowali przez las pełen pcheł wielkich jak żaby, w Kariamarii poznali pokrytych sierścią szczekających ludzi i nawet Baudolino nie zdołał zrozumieć ich mowy, a także niewiasty o zębach dzika, włosach do ziemi i krowim ogonie.

Takie to i inne straszliwe rzeczy widzieli, ale wschodnich cudów – nigdy, jakby wszyscy, którzy o nich pisali, byli wielkimi szachrajami.

Ardzrouni zalecał cierpliwość, bo mówił wszak, że przed rajem ziemskim ciągnie się ziemia bardzo dzika, ale Poeta odpowiadał na to, że dzikie ziemie są zamieszkane przez dzikie bestie, a tych na szczęście jeszcze nie widzieli, i jeśli ziemie, przez które podróżowali, nie są dzikie, można sobie wyobrazić, co czeka ich dalej. Abdul, którego trawiła coraz większa gorączka, mówił, że to niemożliwe, by jego księżniczka żyła w miejscu tak przeklętym przez Boga, i że może obrali złą drogę.

– Nie mam jednak siły, żeby zawrócić, druhowie moi – wyznał któregoś razu żałosnym głosem – mniemam więc, że umrę po drodze ku swemu szczęściu.

– Milczże, sam nie wiesz, co prawisz! – krzyknął na to Poeta. – Traciliśmy przez ciebie noce na wysłuchiwaniu pieśni o twojej nieosiągalnej miłości, teraz więc, kiedy widzisz, że nie ma nic bardziej

nieosiągalnego, winieneś być kontent, że dotykasz nieba choćby jednym palcem!

Baudolino szarpnął go za rękaw i szepnął, że Abdul już bredzi i nie trzeba przysparzać mu cierpień.

Po długotrwałej wędrówce dotarli do Salopatany, dość nędznej mieściny, gdzie przyjęto ich ze zdumieniem, przebierając palcami, jakby próbowano ich policzyć. Mieszkańców uderzyło bez wątpienia to, że było ich dwunastu: wszyscy padli na kolana poza jednym, który pobiegł zawiadomić resztę. Wyszedł im naprzeciw jakby archimandryta i zaczął zawodzić monotonnie po grecku, unosząc wysoko drewniany krzyż (nie ze srebra zgoła i nie wysadzany rubinami – mruknął pod nosem Poeta), a potem powiedział Baudolinowi, że od dawna czeka się tutaj na powrót świętych magów, którzy po złożeniu hołdu Dzieciątku w Betlejem w ciągu tysięcy lat przeżyli tysiące przygód. I archimandryta zapytał ich oto, czy wracają do ziemi księdza Jana, z której z pewnością pochodzą, by ulżyć mu w dźwiganiu brzemienia władzy, jaką sprawowali niegdyś nad tamtą błogosławioną ziemią.

Baudolino nie posiadał się z radości. Wypytywali, co czeka ich podczas wędrówki, ale rychło zrozumieli, że także ci ludzie nie wiedzą, gdzie jest królestwo księdza, choć wierzą, że gdzieś z pewnością jest – na wschodzie. A zważywszy, że magowie właśnie ze wschodu pochodzili, dziwowali się, że sami nie mają na ten temat pewnych wiadomości.

– Najświętsi panowie – rzekł zacny archimandryta – z pewnością nie jesteście jak ów bizantyjski mnich, który przejeżdżał tędy jakiś czas temu i szukał królestwa, by zwrócić księdzu jakąś skradzioną mu relikwię. Ten człek nie budził zaufania i bez wątpienia był heretykiem jak wszyscy Grecy z ziem nadmorskich, gdyż ciągle wzywał imienia Najświętszej Panny, Matki Bożej, a Nestoriusz, nasz ojciec i światło prawdy, nauczał, że Maryja była tylko matką Chrystusa jako człowieka. Ale czy można wyobrazić sobie

Boga w pieluszkach, Boga dwumiesięcznego, Boga na krzyżu? Tylko poganie dają swoim bogom matki!

– Prawda, że nie jest godny zaufania ów mnich – przerwał mu Poeta – a wiedz też, że nam to skradł tę relikwię.

– Oby Bóg go pokarał. Pozwoliliśmy mu oddalić się, nie mówiąc zgoła nic o niebezpieczeństwach, jakie go czekają, a przez to nie wiedział nic o Abkazji i oby Bóg skarał go, rzucając w te mroki. Niechybnie natknie się na mantykorę i czarne kamienie Bubuktoru.

– Przyjaciele moi – powiedział półgłosem Poeta – ci ludzie mogą nam wyjawić wiele cennych rzeczy, lecz tylko dlatego, że jesteśmy magami. Skoro jednak jesteśmy magami, uważają, że nie muszą nam ich mówić. Posłuchajcie mojej rady i odejdźmy stąd jak najprędzej, jeśli bowiem porozmawiamy z nimi jeszcze trochę, palniemy jakieś głupstwo, a wtedy zauważą, że nie wiemy tego, co magowie wiedzieć powinni. Nie możemy też sprzedać im głowy Chrzciciela, bo nie wyobrażam sobie magów, którzy trudniliby się świętokupstwem. Uciekajmy co sił w nogach, bo choć może są dobrymi chrześcijanami, nikt nie może zapewnić, czy okażą się pobłażliwi dla tych, którzy chcą ich okpić.

Dlatego pożegnali się, przyjąwszy w darze mnóstwo prowiantu, lecz cały czas zadając sobie pytanie, co to takiego Abkazja, w której mrokach tak łatwo można utonąć.

Bardzo rychło dowiedzieli się za to, czym są czarne kamienie Bubuktoru. Wznosiły się całymi milami wzdłuż rzeki, a nieliczni nomadzi, których trochę wcześniej napotykali, wyjaśnili im, że ten, kto dotknie kamienia, stanie się tak samo czarny jak on. Natomiast Ardzrouni powiedział, że muszą to być kamienie bardzo cenne i że nomadzi sprzedają je na jakimś bardzo odległym targu, a to, co opowiadają, jest tylko bajką, która ma zniechęcić innych do ich zbierania. Popędził, żeby zabrać trochę kamieni na handel, i potem pokazywał przyjaciołom, jak błyszczą i jak doskonale

zostały ukształtowane przez wodę. Ale kiedy o tym mówił, jego twarz, szyja i dłonie zrobiły się natychmiast czarne jak heban; rozpiął koszulę na piersi i zobaczyli, że poczerniała mu także pierś, obnażył więc łydki i stopy, a one też były jak węgiel.

Rzucił się nago do rzeki i obracał się w wodzie na wszystkie strony, szorował sobie skórę żwirem z dna... Na nic się to zdało, pozostał czarny jak noc i widać było tylko białka oczu i czerwone wargi spod zarostu – także zresztą czarnego.

Z początku wszyscy śmiali się jak szaleni, nie zważając, że Ardzrouni przeklina ich matki, ale potem próbowali go pocieszyć. „Chcemy uchodzić za magów? – rzekł Baudolino. – Otóż przynajmniej jeden z nich był czarny, a przysięgam, że czarny jest również jeden z trzech spoczywających w Kolonii. W ten sposób nasza komitywa będzie jeszcze bardziej przekonywająca". Solomon okazał więcej życzliwości i przypomniał sobie, że ktoś mówił o kamieniach zmieniających barwę skóry, ale są przecież różne remedia i Ardzrouni z pewnością znów stanie się bielszy niż przedtem. „Pewnie, a to w tym tygodniu, który ma trzy piątki" – rzucił szyderczym tonem Ciula, i musieli przytrzymać nieszczęsnego Ormianina, bo chciał odgryźć mu ucho.

Pewnego pięknego dnia weszli do lasu, w którym rosło mnóstwo drzew pokrytych bujnym listowiem i wszelkiego rodzaju owocami; trochę dalej ledwie prześwitywała rzeka o wodzie białej jak mleko. W samym zaś lesie otwierały się przed nimi zielone polany porośnięte palmami i winoroślami, z których zwisały wspaniałe winne grona, wielkie jak cydraty. Na jednej z tych polan zobaczyli proste, ale mocno zbudowane, kryte czystą słomą chaty, z których wyszli ludzie nadzy jak święci tureccy, a jeśli któremuś z mężczyzn długa i obfita broda zakrywała pubenda, było to wyłącznie dziełem przypadku. Niewiasty bez wstydu pokazywały piersi i brzuchy, ale miało się wrażenie, że czynią to w sposób nader cnotliwy: patrzyły nowo

przybyłym prosto w oczy, nie rozbudzając jednak przy tym nieobyczajnych myśli.

Ludzie ci posługiwali się greką i podejmując bardzo grzecznie swych gości, oznajmili, że są gimnosofistami, to jest takimi, którzy w swej niewinnej nagości kultywują wiedzę i praktykują wzajemną życzliwość. Naszych podróżników zachęcono do swobodnego poruszania się po ich leśnej wiosce, a wieczorem zaproszono na wieczerzę, na którą podano wyłącznie produkty, jakie rodzi ziemia nietknięta ludzką ręką. Baudolino zadał kilka pytań najstarszemu, do którego wszyscy odnosili się z najwyższym szacunkiem. Spytał otóż, co posiadają, on zaś odpowiedział: „Posiadamy ziemię, drzewa, słońce, księżyc i gwiazdy. Kiedy jesteśmy głodni, jemy owoce z drzew, które same rodzą wedle nakazów słońca i księżyca. Kiedy mamy pragnienie, by je ugasić, idziemy nad rzekę. Każdy ma swoją niewiastę i zapładnia ją zgodnie z cyklem księżycowym, póki nie urodzi mu dwojga dzieci, a jedno dajemy ojcu, drugie matce”.

Baudolino okazał zdumienie, że nie widzi ni świątyni, ni cmentarza, a starzec wyjaśnił:

– Miejsce, gdzie mieszkamy, jest również naszym grobem i tu umieramy, kładąc się do śmiertelnego snu. Ziemia nas rodzi, ziemia nas żywi, pod ziemią śpimy snem wiecznym. Jeśli zaś chodzi o świątynie, wiemy, że gdzie indziej je stawiają, by uczcić tego, którego nazywają Stwórcą wszystkiego, co jest. My jednak wierzymy, że rzeczy zrodziły się przez *charis*, z własnej mocy, podobnie jak same trwają, a motyl zapyla kwiat, który wzrastając, da mu pokarm.

– O ile zrozumiałem, praktykujecie miłość i wzajemny szacunek, nie zabijacie zwierząt ani, tym bardziej, swoich bliźnich. Jakim przykazaniom jesteście posłuszni?

– Postępujemy tak właśnie dlatego, że nie znamy żadnych przykazań. Tylko praktykując i wpajając dobro, możemy pocieszyć naszych bliźnich strapionych brakiem Ojca.

– Nie można obejść się bez Ojca – szepnął Baudolinowi Poeta. – Popatrz, co po śmierci Fryderyka stało się z naszą wspaniałą armią. Oni tutaj bujają w obłokach i nie mają pojęcia o życiu...

Boron natomiast był poruszony tą mądrością i zasypał starca pytaniami.

– Których jest więcej, żywych czy zmarłych?

– Zmarłych, lecz ich nie da się już policzyć. Dlatego tych, których widać, jest więcej od tych, których nie można już zobaczyć.

– Co jest mocniejsze, śmierć czy życie?

– Życie, albowiem słońce, gdy wschodzi, ma promienie świetliste i olśniewające, a gdy zachodzi, wydaje się słabsze.

– Czego jest więcej, ziemi czy morza?

– Ziemi, ponieważ także morze spoczywa na podłożu z ziemi.

– Co było najpierw, noc czy dzień?

– Noc. Wszystko, co się rodzi, nabiera kształtu w ciemności brzucha i dopiero potem wydostaje się na światło.

– Która strona jest lepsza, lewa czy prawa?

– Prawa. Nawet słońce wschodzi po prawej stronie i przebiega swój szlak po niebie w stronę lewą, niewiasta zaś najpierw karmi prawą piersią.

– Które zwierzę jest najokrutniejsze? – zapytał wówczas Poeta.

– Człowiek.

– Czemu?

– Zapytaj samego siebie. Także ty jesteś zwierzem, który ma przy sobie inne zwierzęta i z żądzy władzy chce je wszystkie pozbawić życia.

Rzekł wtedy Poeta:

– Gdyby wszyscy byli jak wy, nikt nie żeglowałby po morzu, nikt nie uprawiał ziemi, nie rodziłyby się wielkie królestwa, które wnoszą ład i wielkość w małość i nieład spraw ziemskich.

Odparł na to starzec:

– Każda z tych rzeczy jest z pewnością szczęściem, lecz zbudowanym na nieszczęściu innych, a my tego nie chcemy.

Abdul spytał, czy wiedzą, gdzie przebywa najpiękniejsza i najodleglejsza ze wszystkich księżniczek. „Szukasz jej?” – spytał starzec, a Abdul odrzekł, że tak. „Czy widziałeś ją?”, a Abdul odrzekł, że nie. „Pragniesz jej?”, a Abdul odrzekł, że nie wie. Wówczas starzec udał się do swojej chaty i wyszedł z metalową tacą tak wygładzoną i lśniącą, że wszystko dokoła odbijało się w niej niby w powierzchni czystej wody. Rzekł: „Dostaliśmy kiedyś to zwierciadło w darze, a nie mogliśmy odmówić przyjęcia, by nie okazać niegrzeczności dającemu. Lecz nikt z nas nie chciałby się w nim przeglądać, gdyż mogłoby to skłonić do próżności albo do brzydzenia się własnym ciałem z powodu jakiejś ułomności, wtedy bowiem żylibyśmy w lęku, że inni nami pogardzają. Być może przyjdzie dzień, kiedy zobaczysz w tym zwierciadle to, czego szukasz”.

Kiedy już zasypiali, Boidi, który miał oczy wilgotne ze wzruszenia, powiedział.

– Pozostańmy tu.

– Pięknie byś wyglądał nagi jak robak – rzucił Poeta.

– Może pragniemy zbyt wielu rzeczy – ozwał się rabbi Solomon – lecz teraz już nie możemy wyzbyć się tego pragnienia.

Następnego ranka wyruszyli w dalszą drogę.

27

Baudolino w mrokach Abkazji

Po rozstaniu się z gimnosofistami długo wędrowali to tu, to tam, zastanawiając się, jak dotrzeć do Sambationu, nie przejeżdżając przez owe straszne miejsca, o których im mówiono. Daremnie. Przemierzali równiny, pokonywali potoki, wdrapywali się na strome piarżyska, patrząc, jak Ardzrouni raz po raz rachuje coś z mapą Kosmasa w ręku, i słuchając, jak oznajmia, że Tygrys albo Eufrat, albo Ganges muszą być już gdzieś tu blisko. Poeta wykrzykiwał, że paskudny czarny człowiek ma wreszcie zamilknąć; Solomon zapewniał Ardzrouniego, że prędzej czy później zbieleje, i tak mijały dni i miesiące – wszystkie podobne do siebie.

Pewnego razu rozbili obóz nad jakimś stawem. Woda w nim nie była wcale przejrzysta, ale nadawała się do picia i zwłaszcza konie piły ją z wielkim zadowoleniem. Gotowali się już do snu, kiedy wstał księżyc i w pierwszych promieniach jego poświaty spostrzegli, że w cieniu coś się złowrogo mrowi. Była to niezliczona gromada skorpionów, które zdążały z wysuniętymi kolcami odwłoku w stronę wody, a za nimi sunęło kłębowisko węży o najrozmaitszym ubarwieniu: jedne miały łuski czerwone, inne czarne i białe, jeszcze inne błyskały złotem. Zewsząd dochodziły straszne syki, a wędrowcami owładnęło wielkie przerażenie. Ustawili się w koło, wysunąwszy miecze na zewnątrz i próbując zabijać wstrętne robactwo, nim zdołałoby dotrzeć do uczynionej przez nich zapory. Ale węże i skorpiony bardziej interesowały się wodą niż nimi i kiedy

zaspokoiły pragnienie, oddalały się stopniowo, niknąc w jakichś zagłębieniach terenu.

O północy, kiedy myśleli, że będą mogli w końcu zapaść w sen, zjawiły się węże grzebieniaste – każdy z dwiema albo trzema łbami. Rozgarniały łuskami ziemię i posuwały się z rozwartymi paszczami, w których wibrowały trzy języki. Na milę czuć było ich smród i miało się uczucie, że z ich iskrzących się w księżycowym świetle ślepi tryska jad, jak to zresztą bywa z bazyliszkami... Walczyli jakąś godzinę, gdyż te zwierzęta były bardziej napastliwe niż poprzednie i, być może, szukały mięsa. Zabili kilka, a pozostałe rzuciły się na ścierwo, by ucztować, nie bacząc na ludzi. Już byli przekonani, że mają to niebezpieczeństwo za sobą, kiedy po wężach pojawiły się pokryte krokodylimi łuskami kraby – a było ich więcej niż setka – które dzięki tej zbroi nie lękały się zgoła mieczy. Dopiero Colandrino wpadł na pomysł, który podsunęła mu desperacja: podbiegł do jednego z krabów i kopnął go z całej siły od dołu, a wtedy krab przewrócił się na grzbiet i wymachiwał tylko jak oszalały szczypcami. Dzięki temu sposobowi zdołali otoczyć kraby, zasypać gałązkami i podpalić. Spostrzegli też, że pozbawione pancerzy kraby są jadalne, mieli więc przez dwa dni pod dostatkiem słodkawego i łykowatego mięsa, w sumie było to niezłe i pożywne.

Innym razem natknęli się na prawdziwego bazyliszka, który był właśnie taki, jakim przedstawiały go od dawna liczne bez wątpienia godne wiary opowieści. Wyszedł z głazu, rozsadzając skałę – zgodnie z tym, co podawał już Pliniusz. Łeb i pazury miał jak kogut, ale zamiast grzebienia – czerwoną narośl, ślepia żółte i wyłupiaste jak u ropuchy i ciało węża. Był szmaragdowozielony ze srebrzystymi refleksami i na pierwszy rzut oka wydawał się piękny, ale wiadomo przecież, że jego oddech może zatruć zwierzę czy ludzką istotę, a poza tym nawet ze znacznej odległości dolatywał odrażający fetor.

– Nie zbliżać się! – krzyknął Solomon. – I za nic na świecie nie patrzeć mu w ślepia, gdyż także z nich promieniuje jadowita moc!

Bazyliszek zaczął skradać się w ich stronę, fetor był coraz trudniejszy do zniesienia, ale Baudolino przypomniał sobie w ostatniej chwili, że jest sposób pozwalający zabić potwora.

– Zwierciadło, zwierciadło! – wrzasnął w stronę Abdula. Abdul podał mu metalowe zwierciadło, które dostał od gimnosofistów. Baudolino wziął zwierciadło w prawicę i wysunął przed siebie jak tarczę zwróconą w stronę bazyliszka, lewicą zaś zasłonił sobie oczy, by uniknąć jego spojrzenia, i szedł, mierząc kroki wedle tego, co widział na ziemi. Nadal zasłonięty zwierciadłem, zatrzymał się przed bestią. Przyciągnięty blaskiem metalu, bazyliszek uniósł łeb i spojrzenie swych ropuszych oczu wbił w błyszczącą powierzchnię, tchnąć jednocześnie swym cuchnącym oddechem. Ale zaraz zadrżał, zamrugał fioletowymi powiekami, wydał z siebie szkaradny krzyk i runął martwy. A wtedy wszyscy przypomnieli już sobie, że zwierciadło odbija w stronę bazyliszka zarówno moc jego własnego spojrzenia, jak i jego dech, i dlatego pada ofiarą własnej cudownej broni.

– Znaleźliśmy się już na ziemi potworów – oznajmił z wielkim ukontentowaniem Poeta. – Królestwo jest coraz bliżej.

A Baudolino sam już nie wiedział, czy mówiąc o królestwie, ma na myśli ziemię księdza Jana, czy swoje przyszłe królestwo.

I tak to, napotykając raz ludożercze hipopotamy, raz większe od gołębi nietoperze, dotarli do wioski wśród gór, u których stóp rozciągała się porośnięta rzadkimi odmianami drzew równina. Z bliska miało się wrażenie, że jest ona otulona lekkim obłokiem mgły, ale potem obłok zaczął gęstnieć, zmieniając się stopniowo w ciemną i nieprzeniknioną chmurę, aż wreszcie stał się jedną czarną jak noc wstęgą, która kontrastowała z czerwonymi wstęgami zmierzchu.

Mieszkańcy wioski byli serdeczni, ale żeby zrozumieć ich złożony z gardłowych dźwięków język, Baudolino potrzebował kilku dni, podczas których podejmowano ich i żywiono mięsem pewnych górskich zajęcy występujących licznie pośród skał. Kiedy mógł ich wreszcie zrozumieć, powiedzieli, że u stóp góry zaczyna się rozległa prowincja o nazwie Abkazja, która odznacza się następującymi cechami: cała jest jednym ogromnym borem, w którym panuje najgłębszy mrok, nie taki jednak jak gdzie indziej w nocy, bo wtedy jest przynajmniej światło wygwieżdżonego nieba, w owym borze zaś panuje ciemność całkowita, jakby człowiek przebywał z zamkniętymi oczami w głębi jakiejś pieczary. Tę prowincję bez światła zamieszkują Abkazi, którzy radzą sobie doskonale – jak ślepcy w znanym od urodzenia miejscu. Zdaje się, że wykorzystują słuch i węch, ale jak wyglądają, nie wie nikt, gdyż nikt nie odważył się nigdy do ich krainy zapuścić.

Spytali, czy są jakieś inne drogi na wschód, i dowiedzieli się, że wystarczy okrążyć Abkazję i jej bór, ale jak wynika ze starych opowieści, trwałoby to ponad dziesięć lat, gdyż ciemny las ciągnie się na przestrzeni stu dwunastu tysięcy salamoków, a nie można było zrozumieć, jak długi jest salamok, ale z pewnością dłuższy niż mila, stadion, parasanga.

Już mieli się poddać, kiedy Porcelli, najbardziej milczący z ich komitywy, przypomniał Baudolinowi, że ludzie z Fraschety przywykli do poruszania się we mgle, którą można kroić nożem, co jest przecież gorsze niż nieprzebrany mrok, bo zmęczone oczy oszukują i ukazują w tej szarości kształty, jakich nie ma na tym świecie, tak że nawet tam, gdzie człowiek powinien iść dalej, musi się zatrzymać, a jeśli ulegnie ułudzie, zmienia drogę i spada z urwiska. „Cóż więc czynisz w naszej mgle? – ciągnął Porcelli. – Idziesz na wyczucie, według instynktu, na oko, na podobieństwo nietoperzy, które są całkiem ślepe, a nie możesz nawet posłużyć się węchem, gdyż mgła wciska się do nosa i czujesz tylko jej woń. A zatem –

dodał na zakończenie – jeżeli przywykłeś do mgły, nieprzebrany mrok to dla ciebie jak jasny dzień”.

Pozostali aleksandryjczycy potwierdzili jego słowa i dlatego Baudolino i jego pięciu ziomków mieli być przewodnikami, pozostali zaś przywiązali się każdy do jednego z ich koni i podążali za nim z nadzieją w sercu na pomyślny wynik wędrówki.

Na początku podróż była przyjemnością, gdyż mieli uczucie, że mgła jest zupełnie taka sama jak w ich stronach, ale po kilku godzinach znaleźli się w nieprzeniknionych ciemnościach. Przewodnicy nastawiali ucha, by usłyszeć trzask gałązek, a kiedy nic już nie słyszeli, uznali, że znaleźli się na polanie. Mieszkańcy wioski powiedzieli im, że na tych ziemiach wieje zawsze bardzo mocno z południa na północ, tak więc Baudolino ślinił co jakiś czas palec, unosił go, wyczuwał, skąd wieje wiatr, i ruszał na wschód.

Wiedzieli, kiedy przyszła noc, bo zapanował chłód, zatrzymali się więc, żeby odpocząć – co było zupełnie niepotrzebne, oznajmił Poeta, gdyż w takim miejscu można przecież doskonale odpoczywać za dnia. Lecz Ardzrouni zwrócił mu uwagę, że kiedy robi się zimno, nie słychać odgłosów zwierząt, a rozlegają się znów, zwłaszcza śpiew ptaków, gdy tylko się ociepla. To znak, że w Abkazji wszyscy mieszkańcy odmierzają dnie wedle następstwa chłodu i ciepła, jakby to były wschody księżyca albo słońca.

Mijały długie dni, a oni nie zauważyli żadnej ludzkiej obecności. Gdy skończył się im prowiant, wyciągali ręce, by dotknąć gałęzi, i obmacywali je po kolei, póki nie natrafili na owoc, który spożywali, ufając, że nie okaże się trujący. Często przenikliwa woń jakiejś cudownej rośliny była dla Baudolina (który miał z nich wszystkich najwrażliwszy węch) wskazówką, czy należy iść dalej prosto, czy też skręcić w lewo lub prawo. W miarę upływu dni ich zmysły bardzo się wyostrzyły. Aleramo Scaccabarozzi, zwany Ciula, nie wypuszczał z rąk napiętego łuku, póki nie usłyszał przed sobą trzepotu skrzydeł jakiegoś ptaka, może powolniejszego, a może gorzej

latającego niż inne – jak nasze kury. Wypuszczał strzałę i przeważnie trafiał, a pozostali, kierując się głosem umierającego ptaka albo szaleńczym trzepotem skrzydeł, chwytali zdobycz, oskubywali z piór i piekli na ogniu rozpalonym z gałęzi. Najbardziej zdumiewające było to, że uderzając w krzesiwo, mogli rozpalić ogień: płomień wznosił się do góry, czerwony jak zwykle, nie oświetlając jednak niczego, nawet tych, którzy siedzieli tuż przy nim, i niknął w miejscu, gdzie trzymali nad nim nadzianego na patyk ptaka.

Nietrudno było o wodę, gdyż często słyszeli bulgotanie źródełka albo strumyka. Posuwali się bardzo wolno i pewnego razu zdarzyło się nawet, że po dwóch dniach wędrówki wrócili do miejsca, w którym już byli: nieopodal potoczku, obmacując ziemię, znaleźli ślady poprzedniego obozowiska.

W końcu zauważyli obecność Abkazów. Najpierw usłyszeli wszędzie dokoła głosy, jakby szepty, a słychać w nich było ekscytację, aczkolwiek była też w nich jakaś żałość i miało się uczucie, że mieszkańcy boru wskazują sobie palcami tych nieoczekiwanych i nigdy niewidzianych, a raczej nigdy niesłyszanych, gości. Poeta wydał z siebie potężny okrzyk i głosy ucichły, a jednocześnie szelest traw i trzask gałązek świadczyły, że Abkazi uciekają z przerażeniem. Później wrócili jednak i znowu zaczęli szeptać – coraz bardziej zdumieni tym najazdem.

W pewnym momencie Poeta poczuł muśnięcie czyjejś ręki, czy też włochatej kończyny, złapał coś nagłym ruchem i wtedy rozległ się krzyk przerażenia. Poeta rozluźnił chwyt i głosy tubylców nieco się oddaliły, jakby stanęli obszerniejszym kręgiem, by zachować bezpieczną odległość.

Przez kilka następnych dni nie wydarzyło się nic szczególnego. Jechali przed siebie i Abkazi im towarzyszyli, a być może byli to już inni niż poprzednio, ale z pewnością zawiadomieni o przybyciu wędrowców. Rzeczywiście, pewnej nocy (czy była to jednak noc?) nasi przyjaciele usłyszeli dochodzący z daleka jakby warkot bębnów albo odgłos uderzania

w wydrążony pień drzewa. Był to dźwięk przytłumiony, ale rozchodził się wszędzie wokół nich, może na wiele mil, i domyślili się wówczas, że w ten sposób Abkazi przekazują sobie na odległość wieści o tym, co dzieje się w ich borze.

W miarę postępów w wędrówce przywykli do tego niewidzialnego towarzystwa. Coraz lepiej przystosowywali się też do ciemności, tak że Abdul, któremu promienie słońca przysparzały szczególnych cierpień, twierdził, iż poczuł się lepiej i prawie przeszła mu gorączka, mógł więc wrócić do swoich kancon. Pewnego wieczoru (czy był to jednak wieczór?), kiedy grzali się przy ognisku, wyjął z juków instrument i zaczął śpiewać jak niegdyś.

Łzy szczęścia i żałości leję, gdy wreszcie kres drogi
I mam nadzieję ujrzeć miłość mą daleką.
Lecz tego przecież nie wiem; gdzie poniosą nogi,
Zawsze umiłowana będzie za daleko.
Przede mną strome percie, wyboiste drogi,
A co mnie na nich czeka, radość czy los srogi,
Pozostawić mi trzeba woli mego Pana.

Lecz wielka radość całe wypełnia me serce
Gdy modlę się do Boga o zajazd daleki.
Jeżeli ona zechce, spocznę tam po męce
U jej boku, choć ciągle tak jej żem daleki.
A śpiew mój wtedy będzie podniosły i błogi,
Bo tyle szczęścia da mi bliskość mojej drogiej,
Że przy pieśni zabliźni się wnet w duszy rana.

Spostrzegli, że Abkazi, którzy dotychczas szeptali wokół nich bez znużenia, teraz ucichli. Słuchali w milczeniu śpiewu Abdula, a później spróbowali odpowiedzieć: sto warg (czy były to jednak wargi?) gwizdało i poświstywało z gracją niby powabne kosy, powtarzając melodię, którą grał Abdul. I w ten to sposób znaleźli sposób porozumiewania się ze swymi amfitrionami, w następne więc noce już z rozmysłem wracali do tego zajęcia, jedni śpiewając, drudzy jakby przygrywając na piszczałkach. Pewnego razu Poeta zaśpiewał chropawym głosem jedną z tych karczemnych piosnek, przy których rumieniły się nawet dziewczęta z obsługi, i Baudolino mu zawtórował. Abkazi nie odpowiedzieli od razu, ale po dłuższym milczeniu jedno czy dwoje z nich wróciło do melodii Abdula, jakby mówiąc, że te, owszem, są piękne i podobają się, tamta zaś nie. Tak to ujawnili, jak zauważył Abdul, subtelność uczuć i zdolność odróżniania dobrej muzyki od złej.

Abdul, jedyny upoważniony do „rozmawiania” z Abkazami, poczuł się jak nowo narodzony. Jesteśmy w królestwie czułości – powiedział – a więc blisko mego celu. Dalej, w drogę! Nie, nie – odparł oczarowany Boidi – czemu nie mielibyśmy zostać tutaj? Czyż może być na świecie miejsce piękniejsze niźli to, w którym, jeśli jest nawet coś brzydkiego, to pozostaje zakryte przed oczami?

Także Baudolino pomyślał, że po obejrzeniu tylu rzeczy w naszym rozległym świecie te długie dni w mrokach pojednały go z samym sobą. Powracał do wspomnień, rozmyślał o swym dzieciństwie, o rodzicach, o pełnej słodyczy i nieszczęśliwej Colandrinie. Pewnego wieczoru (czy był to jednak wieczór? Tak, gdyż Abkazi milczeli, pogrążeni widać w śnie) nie mógł zasnąć i krążył, dotykając palcami gałęzi drzew, jakby czegoś szukając. Nagle jego dłonie natknęły się na jakiś owoc – mięciutki w dotyku i bardzo wonny. Zerwał go, ugryzł i nagle poczuł, że ogarnia go jakaś tęsknica, i nie wiedział już, sen to czy jawa.

I nagle ujrzał, czy raczej wyczuł, lecz tak blisko, jakby widział, Colandrinę.

– Baudolino, Baudolino! – zawołała swym dziewczęcym głosem. – Nie zatrzymuj się, choć wszystko tu wydaje ci się takie piękne. Musisz dotrzeć do królestwa tego księdza, o którym mi opowiadałeś, i wręczyć mu kielich, któż inny bowiem uczyni diukiem naszego Baudolinka Colandrinowego? Ukontentuj mnie, bo choć nie jest tu źle, ale tęsknię za tobą.

– Colandrino, Colandrino! – zakrzyknął Baudolino, lecz może tylko wydawało mu się, że krzyczy. – Zamilcz, jesteś wszak marą, ułudą, owocem tego owocu! Zmarli nigdy nie wracają!

– Zwykle nie – przyznała Colandrina – ale tak bardzo prosiłam! Mówiłam, że dane mi było przeżyć z moim mężczyzną tylko jedną porę roku, tylko ździebełko. Dajcie mi tę świętą przyjemność, jeśli macie choć trochę serca. Jest mi tu dobrze i widuję Najświętszą Dziewicę i wszystkich świętych, lecz nie dostaje mi pieszczot mojego Baudolina, od których czułam w plecach ciarki. Dali mi bardzo mało czasu, tyle jeno, że starczy na jeden całus. Baudolino, nie zatrzymuj się po drodze przy miejscowych niewiastach, miewają bowiem szkaradne choroby, o jakich nawet ja nie mam pojęcia. Bierz nogi za pas i ruszaj ku słońcu.

Baudolino poczuł tylko delikatne muśnięcie policzka i zjawa zniknęła. Otrząsnął się z tego snu na jawie i zasnął w spokoju. Następnego dnia powiedział swoim kompanom, że muszą ruszać w dalszą drogę.

Po wielu kolejnych dniach dostrzegli maleńki błysk, jakąś mleczną jasność. Mrok zmienił się znowu w szarość gęstej mgły bez żadnych luk. Spostrzegli, że towarzyszący im Abkazi zatrzymali się i pozdrawiają ich poświstywaniem. Słyszeli, że stoją na skraju polany, na granicy owego światła, którego z pewnością się lękali, i jakby wymachują rękami, a z miękkości dźwięków poznali, iż żegnają ich uśmiechem.

Przeszli przez obłok, a potem znowu zobaczyli światło słońca. Byli nim oślepieni i Abdulowi wróciły dreszcze. Myśleli, że po abkaskiej próbie weszli na ziemie, do których zmierzali, lecz musieli zmienić zdanie.

Nagle nad ich głowami zatrzepotały skrzydła ptaków o ludzkich obliczach i usłyszeli okrzyki:

– Jak śmiecie deptać tę ziemię? Zawracajcie! Nikt nie ma prawa dokonywać gwałtu na ziemi Błogosławionych! Wracajcie i depczcie ziemię, którą wam dano!

Poeta powiedział, że to jakieś czary, może jeden ze sposobów chronienia ziemi księdza, i przekonał ich, że powinni pojechać dalej.

Po kilku dniach jazdy przez piarżysko bez jednego źdźbła trawy zobaczyli trzy bestie, które wystąpiły im naprzeciw. Jedna była niechybnie kotem i szła z wygiętym grzbietem, nastroszoną sierścią i ślepiami jak dwie płonące głownie. Druga miała łeb ryczącego lwa, tułów kozy i zad smoka, lecz z capiego grzbietu wyrastał drugi łeb – rogaty i beczący. Ogonem był wąż, który wysuwał się z sykiem do przodu, grożąc wszystkim, którzy się w tym miejscu znaleźli. Trzecia miała korpus lwa, ogon skorpiona i prawie ludzką głowę o błękitnych oczach, delikatnie zarysowanym nosie i rozchylonych wargach, zza których sterczały u dołu i u góry trzy półkręgi ostrych jak nóż zębów.

Największe obawy budził zrazu kocur, jak wszyscy wiedzą, szatański posłaniec, którego nie trzymał w domu nikt oprócz nekromantów, także dlatego, że przed każdym potworem można się jakoś bronić, lecz przed nim nie, nim bowiem dobędziesz miecza, skacze ci do twarzy i wyrywa szponami oczy. Solomon mruknął, że niczego dobrego nie można się spodziewać po zwierzęciu, którego imienia nigdy nie wymieniła Księga nad Księgami. Boron rzekł, że drugie zwierzę to z pewnością chimera i jeśli próżnia istnieje, ona tylko potrafi w niej latać, wymachując skrzydłami, a poza tym podsuwa myśli ludzkim istotom. Jeśli chodzi o trzecie zwierzę,

nikt nie miał wątpliwości, Baudolino bowiem od razu rozpoznał mantykorę, czyli nic innego jak bestię *leucocroca*, o której niegdyś (jak dawno?) pisał do Beatrycze.

Trzy potwory szły w ich stronę: kot bezszelestnie na ugiętych nogach, a dwa inne z taką samą determinacją, lecz nieco wolniej, a to wskutek tego, że trójkształtne zwierzę z trudem panuje nad ruchami tak odmiennych części swego ciała.

Pierwszy wystąpił Aleramo Scaccabarozzi, zwany Ciulą, który nie rozstawał się ze swoim łukiem. Wypuścił strzałę prosto w łeb kocura, który zaraz padł bez życia. Na ten widok chimera rzuciła się naprzód. Nieustraszony Cuttica z Quargnento wykrzyknął, że u siebie umiał zmieniać w łagodne baranki byki podczas rui, i popędził, by przeszyć bestię mieczem, ta jednak skoczyła niespodziewanie wprost na niego, wysuwając lwie szpony, lecz na szczęście nadbiegli Poeta, Baudolino i Colandrino i cięli raz po raz bestię, aż puściła swą ofiarę i zwaliła się na ziemię.

Jednocześnie do ataku ruszyła mantykora. Na jej drodze stanęli Boron, Kyot, Boidi i Porcelli, Solomon obrzucił ją kamieniami, mrucząc pod nosem przekleństwa w swym świętym języku, Ardzrouni, jeszcze czarniejszy z przerażenia, wycofał się, Abdul zaś legł zesztywniały na ziemi, wstrząsany straszliwymi dreszczami. Wydawało się, że bestia rozważa swe położenie z ludzką i zarazem zwierzęcą przebiegłością. Nieoczekiwanie żwawo wyminęła tych, którzy wystąpili przeciw niej, i nim ci zdążyli ją choćby zranić, rzuciła się na niezdolnego do żadnej obrony Abdula. Zatopiła trzy rzędy zębów w jego bark, a nie rozwarła paszczy nawet, kiedy reszta nadbiegła kompanowi na ratunek. Wyła rozpaczliwie, kiedy dosięgały ją ciosy mieczów, lecz nie puszczała ciała Abdula, z którego powiększającej się ciągle rany tryskała obficie krew. Potwór nie mógł bez końca trwać przy życiu pod ciosami czterech rozwścieczonych wrogów i wreszcie zarzęził obrzydliwie i zdechł. Wiele trudu kosztowało ich jednak rozwarcie paszczy i uwolnienie Abdula.

W wyniku batalii Cuttica miał zranione ramię, ale Solomon już go opatrywał, smarując ranę jakimś swoim balsamem i zapewniając, że rychło się zabliźni. Abdul natomiast tracił mnóstwo krwi i wydawał z siebie żałosne i słabe jęki.

– Przewiążcie mu ranę – rzekł Baudolino. – I tak był słaby, źle więc, że traci tyle krwi!

Wszyscy rzucili się do tamowania krwi, lecz mantykora wgryzła się głęboko i być może dosięgła serca.

Abdul majaczył. Szeptał, że jego księżniczka musi być gdzieś tu blisko i że on nie może właśnie w takiej chwili umrzeć. Poprosił, by postawili go na nogi, musieli więc cały czas go powstrzymywać, nie ulegało bowiem wątpliwości, że potwór wpuścił Bóg wie jaki jad w jego ciało.

Ardzrouni, jakby wierząc we własne oszustwo, wyjął z sakwy Abdula głowę Jana Chrzciciela, przełamał pieczęć, wyjął z relikwiarza czaszkę i wsunął ją w dłonie rannego.

– Módl się – powiedział. – Módl się o zbawienie duszy.

– Głupcze! – krzyknął z pogardą Poeta – po pierwsze, wcale cię nie słyszy, a po drugie, jest to nie wiadomo czyja głowa, którą zabrałeś z jakiegoś zbezczeszczonego cmentarza!

– Każda relikwia może dodać życia duchowi umierającego – odparł Ardzrouni.

Późnym popołudniem Abdul nic już nie widział i pytał, czy znowu znaleźli się w abkaskim borze. Widząc, że nadchodzi ostatnia chwila, Baudolino zdecydował się – jak zwykle z dobroci serca – na jeszcze jedno kłamstwo.

– Abdulu, twoje pragnienia się spełniły. Dotarłeś do miejsca, do którego wzdychałeś, musiałeś tylko przejść próby z mantykorą. Oto widzisz przed sobą swą panią. Ponieważ wiedziała o twojej nieszczęśliwej miłości,

przybiegła z najdalszych krańców ziemi, którą zamieszkuje, gdyż porwało ją i poruszyło twoje oddanie.

– Nie – rzęził Abdul – to niemożliwe. Ona przychodzi do mnie, a nie ja do niej? Jakże przeżyję taki nadmiar łaski? Powiedzcie jej, by poczekała, i błagam, dźwignijcie mnie, abym mógł podejść i złożyć jej hołd...

– Leż spokojnie, przyjacielu, jeśli taka jest jej wola, winieneś uległość. Otwórz oczy, gdyż pochyla się nad tobą.

I kiedy Abdul unosił powieki, Baudolino podsunął jego zamglonemu teraz spojrzeniu zwierciadło gimnosofistów, w którym umierający dostrzegł być może cień obecności, która nie była mu nieznana.

– Widzę cię, o pani – rzekł nikłym głosem – po raz pierwszy i ostatni. Nie sądziłem, że zasłużę na takie szczęście. Lękam się jednak, że mnie miłujesz, gdyż to mogłoby zaspokoić moją namiętność... Och, nie, księżniczko, to zbyt wiele, czemu składasz na mych wargach pocałunek. – I zbliżył drżące wargi do zwierciadła. – Czego doświadczam? Martwię się, gdyż zakończyłem moje poszukiwanie, czy cieszę z niezasłużonej zdobyczy?

– Miłuję cię, Abdulu, i na tym poprzestań. – Baudolino zdobył się na odwagę, by wyszeptać te słowa do ucha umierającego przyjaciela, i na wargach Abdula pojawił się uśmiech.

– O tak, miłujesz mnie, i na tym trzeba poprzestać. Czyż nie tego zawsze pragnąłem, choć oddalałem tę myśl ze strachu, że tak właśnie się stanie? A może nie pragnąłem, bo lękałem się, że nie będzie tak, jak oczekiwałem? Teraz jednak nie mogę już niczego więcej pragnąć. Jakże jesteś piękna, księżniczko, i jakże purpurowe wargi twe... – Upuścił na ziemię fałszywą czaszkę Jana Chrzciciela, chwycił drżącą dłonią zwierciadło i próbował się dźwignąć, by musnąć wargami zamglone od jego oddechu zwierciadło, lecz daremnie. – Dzisiaj świętujemy śmierć radosną, śmierć mego cierpienia. O, przenajsłodsza pani, stałaś się moim słońcem i moim światłem, którędy przeszłaś, tam nastawała wiosna, a w maju byłaś księżycem, który

zaczarowywał moje noce. – Zaśmiał się krótko i ciągnął, drżąc na całym ciele: – Lecz może to tylko sen?

– Abdulu – szepnął Baudolino, przypominając sobie wiersze, które śpiewał niegdyś przyjaciel. – Czymże jest życie, jeśli nie umykającym cieniem snu?

– Dziękuję ci, umiłowana – rzekł na to Abdul.

Zdobył się na ostatni wysiłek, Baudolino uniósł mu głowę i Abdul trzy razy pocałował zwierciadło. Potem skłonił twarz bez krwi, woskową i rozświetloną światłem słońca zachodzącego nad kamieniskiem.

Aleksandryjczycy wykopali dół. Baudolino, Poeta, Boron i Kyot, płacząc nad druhem, bo dzielili wszystko od lat swej młodości, złożyli biedne szczątki do ziemi, położyli na piersi instrument, który nigdy już nie będzie sławił dalekiej księżniczki, i przykryli mu twarz zwierciadłem od gimnosofistów.

Baudolino podniósł czaszkę i złocistą szkatułę, a potem poszedł po sakwy przyjaciela i znalazł w nich zwój pergaminów z jego kanconami.

Już miał położyć do grobu także czaszkę Jana Chrzciciela, którą zamknął w relikwiarzu, ale rozmyślił się i powiedział:

– Jeśli pójdzie do nieba, a taką mam nadzieję, nie będzie jej potrzebował, gdyż pozna tam Jana Chrzciciela prawdziwego i całego. I tak czy owak, lepiej, żeby nie znaleziono tu relikwii bardziej wszak fałszywej niż jakakolwiek inna. Zabiorę więc ją i jeśli uda mi się ją sprzedać, wydam pieniądze może nie na grobowiec, ale przynajmniej na piękną nagrobną płytę w chrześcijańskim kościele.

Doprowadził do porządku, na ile było to możliwe, pieczęć relikwiarza i schował go wraz ze swoim w sakwie. Przez chwilę miał uczucie, że okrada zmarłego, ale doszedł do wniosku, że właściwie pożycza tylko rzecz, którą zwróci w innej formie. Druhom swym nie powiedział jednak ani słowa. Całą resztę zebrał do sakwy Abdula i poszedł złożyć ją do grobu.

Zasypali dół i zamiast krzyża wbili w ziemię miecz przyjaciela. Baudolino, Poeta, Boron i Kyot przyklękli, by odmówić pacierz, a nieopodal Solomon odmówił szeptem kilka żydowskich modlitw.

Boidi gotował się już do wygłoszenia mowy, ale w końcu powiedział tylko:

– No cóż!

– I pomyśleć, że jeszcze przed chwilą był między nami – zauważył Porcelli.

– Dzisiaj jesteśmy, jutro już nas nie ma – rzekł Aleramo Scaccabarozzi, zwany Ciula.

– Dlaczego właśnie on? – spytał Cuttica.

– Ot, człowiecza dola – dodał na zakończenie Colandrino, który choć młody, odznaczał się już wielką mądrością.

28

Baudolino pokonuje Sambation

– Alleluja! – wykrzyknął po trzech dniach marszu Niketas. – Oto zdobna w trofea Selymbria!

I rzeczywiście ta mieścina o niskich domach i pustych ulicach była ozdobiona trofeami, gdyż – jak się później dowiedzieli – następnego dnia miano obchodzić dzień któregoś ze świętych czy archaniołów. Mieszkańcy ubrali też w girlandy wysoką białą kolumnę, wznoszącą się na polu graniczącym z gęstą zabudową, i Niketas wyjaśnił Baudolinowi, że na szczycie tego słupa żył przed wieloma wiekami pewien eremita, który pozostał na nim, póki nie umarł, i dokonał z góry licznych cudów. W dzisiejszych czasach nie ma już jednak ludzi odznaczających się takim hartem ducha i być może to także było jedną z przyczyn nieszczęść cesarstwa.

Skierowali się od razu do domu zaufanego przyjaciela Niketasa, gdzie ów Teofilat, człowiek w podeszłym już wieku, gościnny i jowialny, przyjął ich z zaiste braterską miłością. Poprosił, by opowiedzieli o swoich tarapatach, zapłakał wraz z nimi nad zniszczonym Konstantynopolem, wskazał im pokoje, w których starczyłoby miejsca dla całej gromady gości, podał natychmiast młode wino i obficie przyprawioną sałatę z dodatkiem oliwek i sera. Nie były to wprawdzie smakołyki, do jakich przywykł Niketas, lecz ten wiejski posiłek był aż nadto wystarczający, by zapomnieć o trudach podróży i dalekim teraz domu.

– Lepiej, żebyście przez kilka dni nigdzie nie wychodzili – zalecił Teofilat. – Jest tu już mnóstwo uchodźców z Konstantynopola, a tutejsi nigdy nie umieli żyć w zgodzie z mieszkańcami stolicy. Oto przyszli prosić o jałmużnę, a przedtem zadzierali nosa, powiada się tutaj. I kawałek chleba sprzedają za tyle złota, ile zaważy. Gdybyż to tylko! Już jakiś czas temu zjawili się tu pielgrzymi. I przedtem zachowywali się arogancko, ale pomyślcie tylko, co się dzieje, kiedy dowiedzieli się, że Konstantynopol wpadł w ich ręce i jeden z ich wodzów zostanie bazyleusem. Chodzą wszędzie ubrani w uroczyste szaty, które zabrali naszym urzędnikom, infuły skradzione z kościołów wkładają na łby swoich koni i śpiewają nasze hymny, posługując się jakąś wymyśloną przez siebie greką, dodając sprośne słowa z własnego języka, gotują sobie posiłki w naszych świętych naczyniach i prowadzają się z nierządnicami przebranymi za wielkie damy. Prędzej czy później to minie, ale na razie pozostańcie u mnie i starajcie się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi.

Tylko tego trzeba było Baudolinowi i Niketasowi. Przez następne dni zasiadali pod drzewami oliwnymi i Baudolino ciągnął swą opowieść. Mieli pod dostatkiem schłodzonego wina i oliwek, a potem znowu oliwek, które przywracały apetyt na wino. Niketas chciał się koniecznie dowiedzieć, czy dotarli wreszcie do królestwa księdza Jana.

– I tak, i nie – odparł Baudolino. Zanim jednak powie, dokąd dotarli, trzeba przekroczyć Sambation. I od razu przystąpił do opowieści o tej przygodzie. Jak tkliwy był i sielankowy, opowiadając o śmierci Abdula, tak epicki i dostojny, opowiadając o pokonywaniu brodu. To znak – pomyślał raz jeszcze Niketas – że Baudolino jest jak to osobliwe zwierzę, o którym on, Niketas, tylko słyszał, lecz które Baudolino być może widział, a które zmienia ubarwienie zależnie od miejsca, w jakim się znalazło, i może przybierać kolory od czerni po delikatną zieleń, a tylko biel, kolor niewinności, jest dlań nieosiągalny.

Zasmuceni po stracie kompana, podróżni ruszyli w dalszą drogę i znowu zobaczyli przed sobą tereny górzyste. Kiedy tak jechali, usłyszeli najpierw jakiś odległy hałas, potem huczenie i wreszcie coraz głośniejszy i wyraźniejszy łoskot, jakby ktoś ciskał mnóstwo kamieni i głazów ze szczytów, i waląca się lawina porywała z sobą ziemię i żwir, i niosła wszystko w dolinę. Później dostrzegli obłok pyłu unoszący się niby mgła czy opar, lecz w odróżnieniu od masy wilgotnej materii, która zasłoniłaby promienie słoneczne, ta odbijała miriady błysków, jakby promienie słoneczne przenikały przelatujące mineralne atomy.

Pierwszy pojął, co to takiego, rabbi Solomon.

– To Sambation! – wykrzyknął. – Jesteśmy już blisko celu!

Rzeczywiście była to rzeka kamieni i przekonali się o tym, kiedy nad nią dotarli – ogłuszeni hukiem, przez który jeden prawie nie słyszał słów drugiego. Był to majestatyczny nurt głazów i ziemi, nieustający pęd wielkich niekształtnych odłamów skalnych, nieregularnych, ostrych jak nóż płyt wielkości kamieni nagrobnych, a między nimi – żwir, skamieliny, iglice, rafy i sterczyny.

Z podobną prędkością, jakby gnane porywistym wichrem, toczyły się jedne po drugich kawały trawertynu i waliły się z ogromnych uskoków, by dalej zmniejszyć pęd i dać się ponieść wezbranym falom ruchomego piarżyska, a otoczaki, wyszlifowane wskutek ścierania między głazami jak przez wodę, podskakiwały i opadały z suchym trzaskiem, porwane przez wiry, które same tworzyły, uderzając jedne o drugie. W tej lawinie kamieni młyńskich i nad nią formowały się grzywacze piasku, kłęby gipsu, opary krystalicznych ziaren, spienione fale pumeksu, potoki błocka.

Tu i ówdzie na brzeg opadała fontanna kredy albo grad węgla i podróżni musieli czasem zasłaniać twarze, by uniknąć ich pokiereszowania.

– Jaki dzień mamy? – spytał Baudolino kompanów.

Solomon, który liczył sumiennie soboty, przypomniał, że tydzień właśnie się zaczął i trzeba czekać co najmniej sześć dni na to, by rzeka wstrzymała swój bieg.

– A kiedy wstrzyma bieg, nie będzie można jej przebyć, gdyż pogwałciłoby się szabat! – wykrzyknął z wielkim wzburzeniem. – Czemuż to Święty, oby był błogosławiony zawsze, nie zechciał w swej mądrości, by rzeka zatrzymywała się w niedzielę, skoro wy, poganie, jesteście wszak niedowiarkami i nic sobie nie robicie ze świątecznego odpoczynku.

– Nie zaprzątaj sobie głowy szabatem – ryknął Baudolino – jeśli bowiem rzeka wstrzyma bieg, będę już wiedział, jak przeprawić cię na drugą stronę, byś nie dopuścił się grzechu. Wystarczy wrzucić cię na muła, kiedy będziesz spał. Kłopot tylko w tym, że jak sam nam powiedziałeś, rzeka zatrzymuje się wprawdzie, lecz wzdłuż jej brzegów wyrasta zapora płomieni, wskutek czego znajdziemy się w punkcie wyjścia. Nie warto więc czekać sześć dni. Ruszamy w stronę jej źródeł, gdyż być może za miejscem, gdzie rodzi się rzeka, znajdziemy jakieś przejście.

– Co, co?! – wykrzykiwali kompani, gdyż nie mogli niczego usłyszeć, ale kiedy zobaczyli, że odjeżdża, ruszyli za nim, odgadując, iż być może wpadł na jakiś dobry pomysł.

Pomysł okazał się jednak marny, gdyż jechali całe sześć dni i patrzyli, jak łożysko staje się coraz węższe i rzeka zmienia się w potok, potem w strumyczek, lecz do źródła dotarli dopiero piątego dnia, kiedy już od trzeciego widzieli, że na horyzoncie wyrasta łańcuch wysokich, niedostępnych gór, które w końcu stały się tak wyniosłe, iż prawie zasłoniły niebo wędrowcom posuwającym się coraz ciaśniejszą ścieżką, bez żadnego wyjścia, i jeno gdzieś wysoko ukazało się ich oczom kłębowisko ledwie rozświetlonych i zasłaniających wierzchołki chmur.

W tym miejscu, z wąskiej prawie jak cięcie miecza szczeliny między dwiema górami, wytryskał Sambation: kipiel piaskowcowa, bulgot rufowy, ciek błotny, hurkot ułomkowy, pomruk ziemnego zamulania, wylew grud,

deszcz gliny przeobrażały się stopniowo w mniej porywisty nurt, który niósł to wszystko ku jakiemuś nieskończonemu oceanowi piasku.

Nasi przyjaciele cały dzień stracili na próby objechania dokoła gór i wyminięcia źródła, lecz daremnie. Co jakiś czas nad ich głowami zawisało nawet nie lada niebezpieczeństwo, gdyż jakaś morena osuwała się pod końskimi kopytami, i musieli obierać bardziej kręty szlak, a wreszcie noc zaskoczyła ich w miejscu, przez które przetaczały się ze szczytu wielkie bryły czystej siarki, dalej zaś gorąco stawało się nie do zniesienia, i pojęli wówczas, że nawet jeśli znajdą gdzieś przejście przez góry, prędzej czy później skończy się im woda, a pośród tej martwej natury nie mogą liczyć na jakąkolwiek wilgoć, postanowili więc zawrócić. Okazało się jednak, że zabłądzili w tym górskim labiryncie i cały następny dzień minął im na szukaniu źródła.

Kiedy znaleźli się na miejscu, sobota według obliczeń Solomona już minęła i jeśli nawet rzeka wstrzymała swój bieg, teraz znowu płynęła i trzeba było znowu odczekać sześć dni. Wykrzykując, że z pewnością niebiosa im nie sprzyjają, postanowili ruszyć z biegiem rzeki w nadziei, iż prędzej czy później dotrą do jej ujścia, delty czy estuarium, gdzie zmienia się ona w nie tak już wzburzoną pustynię.

Minęło kilka poranków i kilka zmierzchów, a oni jechali, oddalając się czasem od rzeki, by znaleźć miejsca bardziej gościnne, i chyba niebo zapomniało o ich zniewagach, trafili bowiem do małej oazy z odrobiną zieleni i krynicą wody – dość skąpą, lecz wystarczającą, by mogli się napić i zaopatrzyć na kilka następnych dni. Potem ruszyli dalej i bez ustanku towarzyszył im ryk rzeki, a nad sobą mieli rozpalone niebo z nielicznymi pasemkami czarnych chmur – wąskich i płaskich jak kamienie z Bubuktoru.

Aż wreszcie po prawie pięciu dniach jazdy i tyluż nocach równie parnych jak dnie spostrzegli, że nieprzerwany łoskot rzeki uległ jakiejś zmianie. Nurt stał się bardziej wartki, zarysowały się w nim jakby oddzielne strumienie, jakby bystrza, które niby słomki unosiły bazaltowe odłamy,

z dala dochodziło jakby grzmienie... Potem coraz szybciej płynący Sambation zaczął dzielić się na miriady strużek, które wciskały się w górskie pochyłości niczym rozczapierzone palce w błotnistą bryłę; czasem fala niknęła w jakiejś pieczarze, a trochę dalej wypadała z rykiem z podskalnego koryta i pędziła gwałtownie ku dolinie. I nagle, gdy zatoczyli już wielkie koło, do czego byli zmuszeni ze względu na niedostępność zraszanych raz po raz piarżystymi ulewami brzegów, znaleźli się na skraju płaskowyżu i ujrzeli, jak u ich stóp Sambation zagłębia się w jakiejś piekielnej gardzieli.

Z dziesiątek ułożonych amfiteatralnie skalnych okapów waliły się olbrzymim końcowym wirem katarakty granitu, kłęby bitumu, jedna kipiel ałunu, bałwany łupku, grzywacze aurypigmentu rozbijające się o brzegi. A na wypluwanej przez gardziel ku niebu materii, lecz w dole dla tego, kto patrzył jakby z wysokości wieży, promienie słoneczne tworzyły w tych krzemowych kropelkach ogromną tęczę, która – ponieważ każde z ciał odbijało promienie z odmiennym splendorem i wedle swej natury – miała o wiele więcej barw niż tęcze, jakie zazwyczaj pokazują się na niebie po burzy, i w odróżnieniu od nich jej przeznaczeniem było – tak się zdawało – lśnić bez końca, nigdy nie gasnąc.

Widzieli tam czerwień hematytów i cynobrów, jakby stalowe błyskawice *atramentum* i lot okruszyn aurypigmentu – od żółci po jaskrawy oranż – i błękit armenium, i białawe błyski wyprażonych muszli, i zielenienie się malachitów, i niknięcie glejty ołowiowej w coraz bledszych szafranach, i kontrastowanie ryzygallum, i czkanie zielonkawego terrume, które bladło w pyle chryzokoli, a potem przenosiło się w odcienie indygo i fioletu, tryumf mozaikowej pozłoty, purpurowienie przypalonej bieli, płomiennienie sandaraki, mienienie się srebrzystej glinki, przejrzystość alabastrów.

W tym huku nie sposób było usłyszeć ludzkiego głosu, a i nasi wędrowcy zgoła nie pragnęli wymieniać uwag. Przyglądali się agonii Sambationu,

który wściekał się, gdyż musiał zniknąć w wątpiach ziemi, i chciał porwać ze sobą wszystko, co znalazło się w pobliżu, zgrzytając kamiennymi zębami, by wyrazić w ten sposób swą bezsiłę.

Ani Baudolino, ani jego kompani nie zdawali sobie sprawy, jak długo podziwiali gniew tego pędu, z którym rzeka tak niechętnie grzebała samą siebie, ale musiało to trwać długo, przyszedł bowiem piątkowy zmierzch, a zaraz potem zaczęła się widać sobota, gdyż nagle rzeka zastygła w trupim zesztywnieniu i zawierucha w głębi otchłani przeobraziła się w łuskowatą i znieruchomiałą dolinę, nad którą unosiła się nagła i przerażająca ogromna cisza.

Poczekali, aż zgodnie z zasłyszaną opowieścią podniesie się wzdłuż brzegów zapora płomieni. Lecz nic się nie zdarzyło. Rzeka milczała, wir unoszących się nad nią cząstek powoli opadł w jej koryto, a nocne niebo wypogodniało, ukazując migotanie zakrytych dotychczas gwiazd.

– Widać stąd, że nie zawsze trzeba dawać wiarę temu, co powiadają – wywnioskował Baudolino. – Żyjemy w świecie, w którym ludzie wymyślają rzeczy najbardziej niepodobne do prawdy. Solomonie, pewnie to wy, żydzi, rozpuściliście tę pogłoskę, by nie przybywali tu chrześcijanie.

Solomon nie myślał otwierać ust, był bowiem człekiem bystrym i pojął w tym momencie, że Baudolino przemyśliwa o tym, jak zmusić go do pokonania rzeki.

– Ani myślę spać – oznajmił nagle.

– Nie kłopocz się – odparł Baudolino – odpocznij, my zaś poszukamy brodu.

Solomon najchętniej by uciekł, ale w szabat nie mógł jechać konno, ani – tym bardziej – podróżować przez strome góry. Siedział więc całą noc, bijąc się pięściami w głowę i przeklinając pogan, a wraz z nimi swój los.

Następnego ranka, kiedy wypatrzyli miejsce, gdzie można się było bezpiecznie przeprawić, Baudolino wrócił do Solomona, uśmiechnął się

doń z czułym zrozumieniem i wymierzył mu cios dokładnie między oczy.

I tak się stało, że rabbi Solomon jako jedyny spośród synów Izraela przeprawił się, choć w stanie uśpienia, przez Sambation.

29

Baudolino dociera do Pndapetzim

Udana przeprawa przez Sambation nie oznaczała jeszcze, że dostali się do królestwa księdza Jana. Opuścili po prostu ziemie, do których dotarli przed nimi najśmielsi podróżnicy. I rzeczywiście, nasi przyjaciele musieli wędrować jeszcze wiele dni po terenach co najmniej tak samo nierównych jak brzegi kamiennej rzeki. Wreszcie znaleźli się na bezkresnej równinie. Tylko gdzieś w oddali rysowały się góry niezbyt wysokie, ale za to postrzępione cienkimi jak palec iglicami, nasuwającymi Baudolinowi na myśl kształty Alp, których wschodnimi stokami jako chłopak wędrował z Italii do Germanii – te jednak były znacznie wyższe i okazalsze.

Te granie rysowały się na najdalszym horyzoncie, w tej chwili natomiast konie z wielkim trudem posuwały się po równinie, gdyż wszędzie porastała ją bujna roślinność, jechali więc jak po bezkresnym polu dojrzałego zboża, z tą atoli różnicą, że chodziło o przewyższające wzrost człowieka zielone i żółte paprocie, przy czym ten żyzny jakby step ciągnął się jak okiem sięgnąć – niby morze rozfalowane od nigdy niezamierającej bryzy.

Jadąc przez jakąś polanę, wyspę na tym morzu, zobaczyli, że w oddali, i w jednym tylko miejscu, powierzchnia nie porusza się w sposób jednostajnie falisty, lecz nieregularnie, jak gdyby jakieś zwierzę, ogromny zając, torowało sobie drogę wśród paproci, jeśli jednak był to zając, poruszał się bardzo krętym szlakiem, nie zaś w linii prostej, i z szybkością większą niż ta, z którą może przemieszczać się zając. Ponieważ nasi łowcy przygód nieraz mieli już do czynienia ze zwierzętami i nie widzieli

powodów, by im zanadto ufać, ściągnęli koniom wędzidła i zaczęli gotować się do nowej bitwy

Serpentyna coraz bardziej się do nich przybliżała i po jakimś czasie usłyszeli szelest paproci. Na skraju polany roślinna zasłona rozstąpiła się i ujrzeli istotę, która rozgarniała paprocie rękami, jakby była to namiotowa płachta.

Ręce istota, która wyszła im na spotkanie, z pewnością miała. Miała też nogę – lecz jedną. Nie chodzi o to, że była kaleką, gdyż noga wyrastała z ciała w sposób naturalny, jakby nigdy nie było miejsca na drugą, i na tej jedynej stopie jedynej nogi istota biegła z wielką zręcznością kogoś, kto od urodzenia przywykł do takiego właśnie sposobu pokonywania przestrzeni. I kiedy tak zbliżała się szybko do nich, nie potrafili powiedzieć, czy posuwa się skokami, czy też, mimo takiego, a nie innego ukształtowania ciała, stawia kroki, gdyż jedyna noga raz była z przodu, raz z tyłu, tak jak kroczymy my, a za każdym takim ruchem istota przemieszczała się do przodu. Szybkość tych poruszeń była tak znaczna, że nie sposób było uchwycić ich okiem pojedynczo – podobnie jest z końmi, człowiek nie potrafi bowiem powiedzieć, czy wszystkie cztery kopyta są czasem w powietrzu, czy też zawsze co najmniej dwa dotykają ziemi.

Kiedy istota zatrzymała się przed nimi, ujrzeli, że jej jedyna stopa jest dwa razy większa od zwyczajnej ludzkiej stopy, lecz przy tym kształtna, z kwadratowymi paznokciami i pięcioma palcami, które wyglądały wszystkie jak paluch, tak były krótkie, grube i mocne.

Jeśli chodzi o ciało, istota była wzrostu dziesięcio- czy dwunastoletniego dziecka, czyli sięgała im mniej więcej do pasa, miała ładną głowę z najeżonymi żółtawymi włosami, parę pełnych tkliwości krowich oczu, mały krąglutki nosek, szerokie, sięgające prawie uszu usta, które w czymś, co miało być bez wątpienia uśmiechem, odkrywały piękne i mocne zęby. Baudolino i jego ludzie od razu rozpoznali to stworzenie, jako że wiele razy

o nim słyszeli i czytali: był to skiapoda – a przecież w dodatku o skiapodach sami pisali w liście od księdza.

Jednonogi znowu się uśmiechnął, na znak powitania uniósł obie ręce i złączył dłonie nad głową, potem zaś, stojąc wyprostowany jak posąg na swojej jedynej nodze, ozwał się w te mniej więcej słowa: *Aleikem sabì, Iani kalà bensor.*

– Nigdym nie słyszał tego języka – zdumiał się Baudolino. I zwrócił się do jednonogiego po grecku: – W jakim to języku przemówiłeś do nas?

A jednonogi odpowiedział osobliwą greką:

– Nie wie, jakim językiem mówił. Pomyślał, że są cudzoziemcami, i mówił językiem wymyślonym jak język cudzoziemców. Ale wy mówi językiem prezbitera Johannesa i jego diakona. Ja pozdrawia was, ja jest Gavagai do usług.

Widząc, że Gavagai jest nieszkodliwy, a nawet życzliwy, Baudolino i jego ludzie zeskoczyli z koni i usiedli na ziemi, zachęcając tamtego, by uczynił to samo, i częstując go tą odrobiną jedzenia, jaka im pozostała.

– Nie – rzekł Gavagai – ja składa dzięki, ale tego ranka jadł bardzo dużo. – I uczynił to, czego wedle wszelkiej zacnej tradycji należało oczekiwać po jednonogim: wyciągnął się najpierw na ziemi, a potem podniósł nogę tak, by znaleźć się w cieniu stopy, wsunął dłonie pod głowę i znowu uśmiechnął się błogo, jakby spoczywał sobie pod parasolką. – Odrobina cienia przyda się po takim biegu. Ale kim jest wy? Szkoda, że nie jest was dwunastu, wtedy jest świętymi magami, którzy wraca, i to nawet z jednym czarnym. Szkoda, że jest jedenastu.

– Tak, szkoda – potwierdził Baudolino. – Ale jest nas jedenastu. A ciebie jedenastu magów nic a nic nie obchodzi, nieprawdaż?

– Jedenastu magów nie obchodzi nikogo. Każdego ranka my modli się w kościele o powrót dwunastu. Skoro wraca jedenastu, widać my modlili się źle.

– Tutaj naprawdę czekają na magów – szepnął Poeta, obracając się do Baudolina. – Trzeba dać im jakoś do zrozumienia, że dwunasty gdzieś jednak jest.

– Ale nie wypowiadając nigdy słowa „magowie” – doradził Baudolino. – Jest nas dwunastu, a resztę już zostawmy im. W innym razie ksiądz Jan odkryje w końcu, kim jesteśmy, i rzuci nas na pożarcie swoim białym lwom albo uczyni z nami coś podobnego.

Potem obrócił się z powrotem w stronę Gavagaia.

– Powiedziałeś, że jesteś sługą prezbitera. Czy więc dotarliśmy do królestwa księdza Jana?

– Ty poczeka. Ty nie może rzec: otom jest w królestwie prezbitera Johannesa, bom przebył kawałek drogi. Inaczej wszyscy przybywa. Wy jest w wielkiej prowincji diakona Johannesa, syna prezbitera, a rządzi całą tą ziemią, przez którą wy, jeśli chce królestwa prezbitera, musi przejść. Wszyscy goście, którzy przybywa, musi poczekać najpierw w Pndapetzim, wielkiej stolicy diakona.

– Ilu gości już tu było?

– Ani jednego. Wy jest pierwsi.

– Naprawdę przed nami nie było tutaj człowieka z czarną brodą? – spytał Baudolino.

– Ja nie widział – odparł Gavagai. – Wyście jest pierwsi.

– Musimy więc zostać w tej prowincji, aż doczekamy się Zosimy – mruknął pod nosem Poeta – który Bóg jeden wie, kiedy przybędzie. Może jest jeszcze w Abkazji i chodzi tam po omacku.

– Gorzej byłoby, gdyby już tu był i oddał tym ludziom Gradalis – zauważył Kyot. – Z czym jednak staniemy przed księdzem, skoro nie mamy Gradalisa?

– Spokojnie, nawet pośpiech wymaga czasu – rzekł z wielką mądrością Boidi. – Najpierw zobaczymy, co tu zastaniemy, a potem coś wymyślimy.

Baudolino powiedział Gavagaiowi, że chętnie zatrzymają się w Pndapetzim w oczekiwaniu na swego dwunastego kompana, który zgubił się podczas burzy piaskowej na pustyni wiele dni drogi przed miejscem, gdzie się dzisiaj znaleźli. Spytał, gdzie mieszka diakon.

– Tam właśnie, w swoim pałacu. Ja was prowadzi. A najpierw powie swoim przyjaciołom, że wy przybywa, a kiedy wy przybędzie, zostanie witany uroczyście. Gość jest darem od Boga.

– Czy wśród tych traw są inni jednonodzy?

– Chyba nie, ale widział niedawno blemia, którego ja zna, i to rzadkość, bo skiapodzi nie jest wielcy przyjaciele blemiów.

Włożył palce do ust i wydał przeciągły, melodyjny gwizd. Po niedługim czasie paprocie rozsunęły się i ukazała się inna istota. Bardzo się różniła od jednonogiego, ale nasi przyjaciele, słysząc słowo „blemia”, byli przygotowani na to, że ujrzą to, co ujrzeli. Istota, bardzo szeroka w barach i przez to bardzo krępa, a przy tym szczupła w talii, miała parę krótkich włochatych nóg, ale nie miała głowy ani zresztą szyi. Natomiast na piersi, w miejscu, gdzie ludzie mają brodawki, znajdowało się dwoje pełnych życia migdałowych oczu, poniżej zaś niewielka wypukłość z parą nozdrzy i okrągły, ale bardzo rozciągliwy otwór, który przy mówieniu przybierał najrozmaitsze kształty zależnie od wydawanych dźwięków. Gavagai odszedł, by się z nim naradzić; kiedy pokazywał mu przybyszów, ten wyraźnie przytakiwał, a czynił to, pochylając ramiona, jakby się kłaniał.

Podszedł do gości i ozwał się mniej więcej w te słowa: *Ouiii*, *ouioioioi*, *aueua!* Na znak przyjaźni wędrowcy dali mu czarkę wody. Blemia z sączka, który miał ze sobą, wyjął jakby słomkę, wsunął ją w otwór poniżej nozdrzy i zaczął zasysać wodę. Potem Baudolino podarował mu wielki kawał sera. Blemia wziął ser do ust, które rozciągnęły się nagle do wielkości kęsa, i cały ser zniknął w tej otchłani. Rzekł blemia: *Euaoi oea!* potem położył dłoń na piersi, to znaczy na czole, jakby coś przysięgał, pozdrowił naszych przyjaciół oboma rękami i oddalił się między paprocie.

– Przybędzie przed nami – powiedział Gavagai. – Blemia nie biegnie jak jednonogi, ale i tak szybciej niż te powolne zwierzęta, na których wy siedzi. Co to za zwierzęta?

– Konie – rzekł Baudolino, który przypomniał sobie w tym momencie, że w królestwie księdza nie ma koni.

– Jakie jest konie? – spytał zaciekawiony jednonogi.

– Jakie jest, każdy widzi – odparł Poeta. – Jako te.

– Ja składa dzięki. Wy ludzie możni, którzy podróżuje ze zwierzętami jak konie.

– Teraz jednak posłuchaj. Przed chwilą powiedziałeś, że jednonodzy nie są przyjaciółmi blemiów. Nie są poddanymi królestwa czy też prowincji?

– Och nie, jak i my są sługami prezbitera, a jak oni takoż i szczudłonodzy, pigmeje, olbrzymi, wielkousi, bezjęzyczni, Nubijczycy, eunuchowie i satyry-niewidki. Wszyscy dobrzy chrześcijanie i wierni słudzy diakona i prezbitera.

– Nie przyjaźnicie się, bo jesteście inni? – spytał Poeta.

– Co ma na myśli, mówiąc „inni”?

– No, w tym samym sensie, w jakim ty jesteś inny niż my i...

– Dlaczego jest inny niż wy?

– Boże przenajświętszy! – wykrzyknął Poeta. – Przede wszystkim masz tylko jedną nogę! My i blemiowie mamy dwie!

– Także wy i blemiowie ma jedną, jeśli uniesie drugą.

– Ale ty nie masz drugiej, by ją opuścić!

– Po co ma opuszczać nogę, skoro jej nie ma? Czy ty musi opuszczać trzecią nogę, skoro jej nie ma?

Do tej wymiany zdań wtrącił się pojednawczym tonem Boidi:

– Posłuchaj, Gavagai, przyznasz chyba, że blemia nie ma głowy.

– Jakże nie ma głowy? Ma oczy, nos, usta, mówi, je. Jak byś to robi, gdybyś nie ma głowy.

– Czy nie zauważyłeś jednak, że nie ma szyi, a nad nią tej okrągłej rzeczy, którą ty też masz na szyi, on zaś nie?

– Co to znaczy „zauważyłeś”?

– Widziałeś, zdałeś sobie sprawę, że wiesz!

– Może ty powiada, że on nie we wszystkim jest taki jak ja, że moja matka nie może pomylić mnie z nim. Ale ty też nie jest taki jak twój przyjaciel, bo on ma znak na policzku, a ty nie. I twój przyjaciel jest inny niż ten czarny jak jeden z magów, a ten inny niż tamten z czarną brodą jak rabin.

– Skąd wiesz, że mam brodę jak rabin? – spytał z nadzieją Solomon, który najwyraźniej myślał w tym momencie o zaginionych pokoleniach i zwrot użyty przez Gavagaia był dlań oczywistym znakiem, że zamieszkały one w tym królestwie. – Widziałeś innych rabinów?

– Ja nie, ale wszyscy w Pndapetzim mówi: broda jak u rabina.

Rzekł Boron:

– Ujmijmy rzecz krótko. Ten jednonogi nie umie dostrzec różnicy między sobą i blemią, jak my nie widzimy jej między Porcellim i Baudolinem. Jeśli się zastanowić, dzieje się tak, kiedy dochodzi do spotkania ludzi obcych. Czy umiecie dostrzec różnicę między dwoma Murzynami?

– Masz rację – powiedział Baudolino – lecz blemia i jednonogi to nie to samo co my i Murzyni, których widzimy tylko wtedy, gdy udamy się do ich kraju. Oni tutaj żyją razem w jednej prowincji i Gavagai odróżnia jednego biernie od drugiego, bo przecież tego, któregośmy dopiero co widzieli, nazywa swoim przyjacielem, innych zaś nie. Posłuchaj uważnie, Gavagaiu: powiedziałeś, że w tej prowincji mieszkają wielkousi. Wiem, kim są wielkousi, to ludzie prawie tacy sami jak my, tyle że mają ogromne uszy,

które sięgają im do kolan, a kiedy robi się zimno, otulają się nimi jak płaszczem. Czy są właśnie tacy?

– Tak, jak my. Ja też ma uszy.

– Lecz nie do kolan! Na Boga żywego!

– Ty też ma uszy znacznie większe niż twój przyjaciel tutaj.

– Lecz nie jak wielkousi, do diaska!

– Każdy ma takie uszy, jakie daje mu matka.

– Dlaczego więc powiadasz, że skiapodzi i blemiowie żyją we wzajemnej nienawiści?

– Przez błędne myślenie.

– Jakie?

– To chrześcijanie, którzy błądzą. Oni *phantasiastoi*. Oni mówi słusznie, jako i my, że Syn nie jest tej samej natury co Ojciec, ponieważ Ojciec istnieje od początku czasów, Syn zaś jest stworzony przez Ojca i nie z potrzeby, ale wedle woli. Tak więc Syn jest przybranym synem Boga, prawda? Blemia mówi: owszem, Syn nie ma tej samej natury co Ojciec, lecz to Słowo nie może zmienić siebie w ciało, choćby tylko jako przybrany syn. Tak zatem Jezus nigdy nie stał się ciałem, a to, co widzą apostołowie, był jeno... jakby rzec... *phantasma*...

– Pozorem.

– No właśnie. Oni mówi, że tylko zjawa Syna ponosi śmierć na krzyżu, że nie rodzi się w Betlejem, nie rodzi się z Maryi, tylko pewnego razu nad rzeką Jordan ukazuje się przed Janem Chrzcicielem i wszyscy mówi: och! Ale jeśli Syn nie jest ciałem, dlaczego mówi: ten chleb jest moim ciałem? No i oni nie przyjmuje komunii z chleba i *burq*.

– Może dlatego, że musieliby ssać wino, czy jak je tam zwiesz, przez słomkę – rzucił Poeta.

– A wielkousi? – spytał Baudolino.

– Och, dla nich nieważne, czym jest Syn, kiedy zstępuje na ziemię. Oni myśli tylko o Duchu Świętym. Posłucha: oni powiada, że chrześcijanie na zachodzie myśli, że Duch Święty jest z Ojca i Syna. Oni przeczy i głosi, że z Syna dodano później i w konstantynopolskim wyznaniu wiary tak się nie mówi. Dla nich Duch Święty jest tylko z Ojca. Myślą przeciwnie niż pigmeje. Pigmeje mówi, że Duch Święty jest tylko z Syna, z Ojca nie. Wielkousi nie cierpi nade wszystko pigmejów.

– Przyjaciele – rzekł Baudolino, obracając się do swoich kompanów. – Zda mi się rzeczą niewątpliwą, że rozmaite żyjące w tej prowincji rasy nie zważają zgoła na różnice cielesne, na kolor ni kształt, jak czynimy to my, którzy nawet widząc karła, uznajemy go za błąd natury. Natomiast, podobnie zresztą jak wielu naszych uczonych mężów, wielką wagę przykładają do odmienności poglądów na naturę Chrystusa czy też Świętej Trójcy, o czym niejedno słyszeliśmy w Paryżu. Taki już mają sposób myślenia. Starajmy się go zrozumieć, inaczej bowiem będziemy się wiecznie wplątywać w niekończące się dysputy. Niechaj tak będzie, udawajmy, że blemiowie są jak skiapodzi, a to, co myślą sobie o naturze naszego Pana, w istocie rzeczy nas nie obchodzi.

– Z tego, co pojąłem, wynika, że skiapodzi wyznają straszną herezję Ariusza – powiedział Boron, który z nich wszystkich najwięcej ksiąg przeczytał.

– I co z tego? – spytał Poeta. – Niech takimi sprawami kłopoczą się Greczyni. My, ludzie północy, bardziej troszczyliśmy się o to, który papież jest prawdziwy, a który jest antypapieżem. I pomyśleć tylko, że wszystko zależało od kaprysu Reginalda, mojego pana. Każdy ma swoje ułomności. Słusznie gada Baudolino, zachowujmy się jak gdyby nigdy nic i poprośmy tego człeka, by zaprowadził nas do swego diakona, który niewiele znaczy, ale przynajmniej nosi imię Jan.

Poprosili więc Gavagaia, by poprowadził ich do Pndapetzim, i jednonogi ruszył umiarkowanymi susami, by konie mogły dotrzymać mu kroku. Po

dwóch godzinach dotarli do skraju morza paproci i znaleźli się wśród gajów oliwnych i sadów; pod drzewami siedziały, przyglądając się im z zaciekawieniem, istoty o prawie człowieczych rysach twarzy, pozdrawiające ich rękami, ale wydające z siebie tylko jakieś niewyraźne dźwięki. Są to – wyjaśnił Gavagai – istoty pozbawione języka, żyjące poza miastem, gdyż są messalianami, wierzą, że do nieba można się dostać tylko dzięki niemej i nieustającej modlitwie, bez przyjmowania sakramentów, bez praktykowania miłosierdzia i innych form umartwiania, bez innych czynności obrzędowych. Dlatego nie pokazują się nigdy w kościołach Pndapetzim. Są przez wszystkich źle widziani, uważają bowiem, że także praca jest dobrym uczynkiem, a przez to czymś zbędnym. Żyją w wielkim ubóstwie, żywią się owocami z tych drzew, które należą do całej wspólnoty i z których oni korzystają bez żadnego umiaru.

– Poza tym są jak wy, nieprawdaż? – droczył się z nim Poeta.

– Jak my, kiedy milczymy.

Góry były coraz bliżej, a im bliżej, tym lepiej wędrowcy widzieli ich naturę. Przy krańcu strefy kamienistej wznosiły się stopniowo miękkie żółtawe pagórki, jakby – podsunął Colandrino – kupki ubitej śmietany, nie, waty cukrowej, skądże, usypane jedne obok drugich kopczyki piachu, tworzące jakby las. Dalej widać było przypominające palce skalne iglice, które byty przykryte jakby czapkami z ciemniejszej skały, czasem w kształcie kaptura, a czasem prawie całkiem płaskiej, wystającej z przodu i z tyłu czaszy. Z bliska ich zarys tracił strzelistość i każda z iglic była podziurawiona niczym ul, aż wreszcie wędrowcy pojęli, że są to kamienne domy czy też zajazdy, w których wydrążono groty, przy czym do każdej docierało się osobnymi schodami z drewna, a poszczególne schody łączyły się z sobą na podestach i wszystkie razem tworzyły na każdej ze skalnych ostróg powietrzny labirynt. Mieszkańcy, z daleka podobni do mrówek, przebiegali nim żwawo to w górę, to w dół.

W środku miasta widać było prawdziwe domy i pałacyki, ale także osadzone w skale, z której wystawały nieliczne fragmenty fasady – zawsze wysoko umieszczone. Nieco dalej rysował się nieregularny kształt większego masywu, także podziurawionego grotami, ale tym razem o rysunku bardziej geometrycznym, pokazującym okna czy drzwi, przy czym tu i ówdzie spośród tych arkad sterczały altany, tarasy, balkoniki. Niektóre z wejść były zasłonięte barwną portierą, inne matami uplecionymi ze słomy. Krótko mówiąc, znaleźli się pośród dość dzikich gór, a jednocześnie w samym środku ludnego i tętniącego życiem miasta, aczkolwiek nie tak świetnego, jak mogliby oczekiwać.

O tym, że miasto tętniło życiem i było ludne, świadczył tłum krzątający się, nie powiemy po ulicach i placach, ale po miejscach między skalnymi iglicami i ostrogami, masywami i naturalnymi wieżami. W tym wielobarwnym tłumie nasi wędrowcy dostrzegli psy, osły i liczne wielbłądy, które widzieli już na początku podróży, lecz nigdy w takiej liczbie i rozmaitości jak tutaj – a to z jednym garbem, a to z dwoma, a to czasem nawet z trzema. Zobaczyli też popisującego się przed gromadą mieszkańców połykacza płomieni, który w dodatku trzymał na smyczy panterę. Najbardziej ze wszystkich zwierząt zdumiały ich bardzo żwawe czworonogi zaprzęgnięte do wózków: miały tułów źrebaka, dość długie nogi z kopytami jak u wołu, były żółte, w duże kasztanowe cętki, a przede wszystkim miały nadzwyczajnie długie szyje zakończone wielbłądzią głową z dwoma różkami. Gavagai wyjaśnił, że zwą się *camelopardus* i bardzo trudno je schwytać, gdyż umykają tak prędko, że tylko skiapodzi potrafią je dogonić, by chwycić na pętlę.

Choć brakowało tu ulic i placów, całe miasto było jednym olbrzymim targowiskiem i w każdym wolnym miejscu ktoś rozstawił namiot, zbudował pawilon, rozwinął na ziemi dywan, ułożył na dwóch kamieniach blat stołu. I wszędzie widzieli stosy owoców, kawały mięsa (ulubionym było, jak się zdaje, mięso camelopardusa), dywany utkane we wszystkie kolory tęczy,

stroje, noże z czarnego obsydianu, kamienne topory, gliniane czarki, naszyjniki z małych kości, czerwone i żółte kamyki, kapelusze najosobliwszych kształtów, chusty, pledy, kasety z rzeźbionego drewna, narzędzia do pracy na roli, szmaciane piłki i lalki dla dzieci, a dalej amfory wypełnione błękitnymi, bursztynowymi, różowymi i cytrynowymi płynami, miseczki z pieprzem.

Jedyne, czego nie widzieli na tym targu, to przedmioty z metalu i kiedy zagadnęli o tę sprawę Gavagaia, okazało się, że nie zna takich słów, jak: żelazo, metal, brąz czy miedź – bez względu na to, w jakich językach wypowiadał te nazwy Baudolino.

Wymijali w tym tłumie zabieganych jednonogich, którzy posuwając się susami, przenosili na głowach wypełnione po brzegi kosze, blemiów, prawie zawsze w odosobnionych grupkach albo za straganami z orzechami kokosowymi, wielkouchych z rozwianymi uszami – poza niewiastami, które przyciskając je ręką do piersi jak chustę, wstydliwie okrywały sobie łono. Nie brakowało też innych, wyglądających, jakby wyszli prosto z jednej z tych książek z mirabiliami na miniaturach, przy których Baudolino wpadał w taki zachwyt, kiedy pisząc listy do Beatrycze, szukał natchnienia.

Spostrzegli istoty, bez wątpienia pigmejów, o bardzo ciemnej skórze, ze słomianą przepaską na biodrach i przewieszonym przez ramię łukiem, którego używali, prowadząc, zgodnie ze swą naturą, odwieczną wojnę z żurawiami, wojnę przynoszącą widać niejedną wiktorię, gdyż wielu z nich proponowało przechodniom swe ofiary – zawieszone na długim kiju niesionym przez czterech z nich, po dwóch z każdego końca. Ponieważ pigmejowie byli mniejsi od żurawia, ptaki zawieszone za nogi wlokłyby się po ziemi, dlatego przywiązywali je za szyje, tak by bruzdę w pyle drogi pozostawiały łapy.

Oto szczudłonodzy, a choć nasi przyjaciele czytali o nich w księgach, przyglądali się teraz z zaciekawieniem tym istotom o prostych nogach

pozbawionych stawów kolanowych, stąpającym sztywno na końskich kopytach. Ale ich uwagę zwróciło przede wszystkim to, że mężczyznom fallus zwisał z piersi, a niewiasty miały w tymże miejscu waginę, której jednak nie było widać, gdyż zakrywały ją związaną na plecach chustą. Zgodnie z tradycją ludzie ci zajmowali się wypasem sześciorogich kóz i, rzeczywiście, przyprowadzili te zwierzęta, by sprzedać je na targu.

– Tak właśnie napisano w księgach – szeptał oczarowany tym wszystkim Boron. Potem dodał już na głos, by usłyszał go Ardzrouni: – I było też napisane, że nie ma próżni. A zatem: skoro istnieją szczudłonodzy, nie istnieje próżnia.

Ardzrouni wzruszył ramionami i całą uwagę skupił na rozglądaniu się, czy w którejś z ampułek nie ma płynu na rozjaśnianie skóry.

W celu uspokojenia gorączkowej krzątaniny wszystkich tych ludzi od czasu do czasu przechodzili mężczyźni czarni jak węgiel, wysocy, obnażeni do pasa, w spodniach wedle mauretańskiej mody i białych turbanach, uzbrojeni tylko w ogromne nabijane guzami maczugi, które od jednego uderzenia mogły powalić wołu. Ponieważ mieszkańcy Pndapetzim gromadzili się, gdy tylko spostrzegli, że przechodzą cudzoziemcy, a przede wszystkim pokazywali sobie palcami konie, których nigdy oczywiście nie widzieli, czarni mężczyźni brali tłum w karby, a wystarczyło im zakręcić maczugami, by dokoła robiło się miejsce.

Uwagi Baudolina nie uszło i to, że kiedy tłum gęstniał, właśnie Gavagai dawał znak czarnym mężczyznom. Z gestykulacji wielu obecnych można się było domyślić, że chętnie służyliby za przewodników tak znamienitym gościom, ale nie ulegało wątpliwości, iż Gavagai postanowił zatrzymać ich dla siebie, puszył się bowiem, jakby chciał powiedzieć: „Moi są, i niech nikt się nie waży ich tknąć!”

Jeśli zaś chodzi o czarnych mężczyzn, byli oni, jak oświadczył Gavagai, nubijską gwardią diakona, który sprowadził ich z głębi Afryki, ale z czasem

przestali być cudzoziemcami, gdyż niejedno pokolenie urodziło się już w okolicach Pndapetzim. Za diakona gotowi byli oddać życie.

A wreszcie ujrzeli wyrastających o wiele szerokości dłoni nad innych, znacznie wyższych nawet od Nubijczyków, olbrzymów, którzy byli nie tylko olbrzymami, lecz także istotami jednookimi. Byli rozczochrani, źle ubrani i zajmowali się – wyjaśnił Gavagai – drążeniem pomieszczeń mieszkalnych w skałach albo wypasem owiec i bydła, a w tym rzemiośle nikt im nie mógł dorównać, gdyż potrafili zmusić do uległości byka, chwytając go za rogi, jeśli zaś jaki baran oddalił się od stada, nie potrzebowali psa do jego zagonienia, wystarczyło im bowiem wyciągnąć ramię, złapać go za sierść i przenieść na właściwe miejsce.

– Czy ich także traktujecie jak wrogów? – spytał Baudolino.

– Tutaj nikt nie jest niczyim wrogiem – zapewnił go Gavagai. – Widzi wszak, wszyscy sprzedaje i kupuje jak przystoi dobrym chrześcijanom. Potem każdy wraca do domu, nie jest razem, kiedy je albo śpi. Każdy myśli, co chce, nawet jeśli jest w błędzie.

– A olbrzymi są w błędzie?...

– I to jakim! W najgorszym z najgorszych! Oni jest artotyryci, wierzy, że podczas Ostatniej Wieczerzy Jezus konsekruje chleb i ser, albowiem, oni powiada, było to zwykłe pożywienie starodawnych patriarchów. Przyjmuje więc bluźnierczą komunię z chleba i sera i uważa za heretyka każdego, kto przyjmuje *burq*. Ale tutaj prawie wszyscy tkwi w błędzie poza jednonogimi.

– Czy nie powiedziałeś, że w tym mieście są też eunuchowie? Czy i oni tkwią w błędzie?

– Lepiej, bym nie mówi o eunuchach, zbyt potężni. Oni nie miesza się między zwykłych ludzi. Ale myśli inaczej niż ja.

– Mniemam, że poza myśleniem niczym się od ciebie nie różnią...

– Czy ja ma coś innego niż oni?

– Diabli nadali z tym kulasem! – strapił się Poeta. – Obcujesz z niewiastami?

– Z niewiastami jednonogi, a jakże, bo one nie tkwi w błędzie.

– A niech to! I swoim jednonóżkom wkładasz w wiadomo co, ale gdzie ty masz ową rzecz?

– Jak wszyscy, tu, za nogą.

– Pominąwszy fakt, że ja nie mam tej rzeczy za nogą i widzieliśmy dopiero co ludków, którzy noszą ją nad pępkiem, chyba to chociaż wiesz, że eunuchowie owej rzeczy nie mają i z niewiastami nie obcują?

– Może eunuchom niewiasty się nie podoba. Może sedno sprawy w tym, żem nigdy nie widzi w Pndapetzim eunuszki. Biedacy, może się podoba, ale nie znajduje eunuszki, a nie może obcować z blemijką albo wielkouszką, bo ta tkwi w błędzie?

– A czy zauważyłeś, że olbrzymi mają tylko jedno oko?

– I ja. Spójrz, zamykam to i zostaje tylko drugie.

– Jednym słowem, blemiowie tkwią w błędzie, olbrzymi tkwią w błędzie, a tylko skiapodzi nie – powiedział Baudolino. – A co myśli ten wasz diakon?

– Diakon nie myśli. On rozkazuje.

Kiedy tak rozprawiali, jeden z Nubijczyków rzucił się przed konia Colandrina, przyklęknął i wyciągając ramiona, a skłaniając głowę, wypowiedział kilka słów w nieznanym języku, z tonu można się było jednak domyślić, że jest to modlitwa człowieka strapionego.

– Czego pragnie? – spytał Colandrino.

A Gavagai odparł, że Nubijczyk zaklina w imię Boże, by uciąć mu głowę tym pięknym mieczem, który Colandrino ma u swego boku.

– Pragnie, bym go zabił? A dlaczego?

Na twarzy Gavagaia pojawił się wyraz świadczący o zakłopotaniu.

– Nubijczycy to bardzo dziwni ludzie. Ty wie, to *circumcelliones*. Dobrzy wojownicy tylko z tej przyczyny, że pragną męczeństwa. Nie ma wojny, to chce od razu męczeństwo. Nubijczyk jest jak dziecko, chce od razu tego, co mu się podoba.

Powiedział coś Nubijczykowi i ten oddalił się ze spuszczoną głową. Kiedy poprosili Gavagaia o więcej informacji na temat *circumcelliones*, ten wyjaśnił, że *circumcelliones* to Nubijczycy. Potem zauważył, że zmierzch już bliski, że targ zamiera i że czas udać się do wieży.

Rzeczywiście, tłum zaczął rzednąć, sprzedający zbierali swoje towary do wielkich koszów; z wielu arkad widocznych w skale to tu, to tam spuszczano liny i wciągano do domów towary. Wszędzie ludzie pięli się po schodach i wkrótce całe miasto opustoszało. Robiło teraz wrażenie wielkiego cmentarza z niezliczonymi *loculi*, ale potem stopniowo w oknach i drzwiach pojawiło się światło – znak, że mieszkańcy Pndapetzim rozniecają ogień w kominkach i zapalają kaganki, przygotowując się do wieczornego życia. Dzięki jakimś niewidocznym otworom dym z tych wszystkich płomieni uchodził z wierzchołków iglic i ostróg i na blednącym już niebie pojawiły się pasma ciemnych pióropuszy, które wyżej niknęły gdzieś wśród chmur.

Przeszli niewielki już odcinek drogi przez Pndapetzim i dotarli na plac, po którego drugiej stronie nie było żadnego widocznego przejścia w górskim murze. Zobaczyli jedyną wykonaną ludzką ręką w całym mieście, aczkolwiek osadzoną do połowy w skale, budowlę. Była to wieża, a właściwie frontowa część wielopoziomowej wieży, szerokiej u podstawy i zwężającej się ku górze, lecz nie tak jak stos coraz mniejszych podpłomyków tworzących kolejne warstwy. Z jednego na drugi poziom prowadziła spiralna galeria, a można się było domyślić, że wchodziła też w skałę, wijąc się od podstawy do szczytu budowli. Cała wieża składała się z wielkich, łukowo sklepionych wejść przylegających do siebie tak, że nie było między nimi żadnej wolnej przestrzeni, lecz tylko oddzielające je

ościeża, i wyglądała jak tysiącoki potwór. Solomon powiedział, że tak musiała wyglądać wieża zbudowana w Babel przez okrutnego Nemroda, który chciał urągać w ten sposób Bogu, zawsze niechaj będzie błogosławiony.

– A ta – oznajmił Gavagai z pewną dumą – ta jest pałacem diakona Johannesa. Teraz wy się zatrzymuje i czeka, bo on wie, że wy przybywa, i przygotował uroczyste powitanie. Ja idzie.

– Dokąd?

– Ja nie może wejść do wieży. Kiedy was przyjmie diakon, ja wraca. Ja wasz przewodnik w Pndapetzim, nigdy nie opuszcza. Uwaga na eunuchów, on jest mężczyzna młody... – wskazał palcem Colandrina – a im młodzi się podobają. *Ave, evcharisto, salam*.

Wyprostowany na swojej nodze, wykonał coś w rodzaju wojskowego ukłonu, odwrócił się i po chwili był już daleko.

30

Baudolino poznaje diakona Jana

Kiedy znaleźli się w odległości pięćdziesięciu kroków od wieży, zobaczyli wychodzący z niej orszak. Przodem szła chorągiew Nubijczyków, ale bardziej wystrojonych niż tamci na targu: od pasa w dół okrywały ich białe przepaski, ciasno spowijające nogi, przesłonięte częściowo spódniczką, która sięgała do połowy ud; torsy mieli obnażone, ale na ramionach czerwone pelerynki, a na szyjach pyszniły się skórzane naszyjniki, w których osadzono kolorowane kamyki, nie klejnoty, lecz kamyki z łożyska rzeki, ułożone jednak w jaskrawą mozaikę. Na głowach – białe kaptury z mnóstwem frędzelków. Na ramionach, nadgarstkach i palcach nosili bransolety i pierścienie z plecionego sznura. Pierwszy szereg grał na piszczałkach i bębnach, drugi opierał na barkach ogromne maczugi, trzeci był uzbrojony tylko w przewieszone przez pierś łuki.

Za nimi szedł niewątpliwie zastęp eunuchów, okrytych obszernymi i miękko opadającymi szatami, umalowanych jak niewiasty, w turbanach wysokich jak katedry. Idący pośrodku niósł tacę z podpłomykami. A na koniec między dwoma Nubijczykami, którzy wymachiwali mu nad głową wachlarzami z pawich piór, kroczył bez wątpienia największy dostojnik z całego tego orszaku: na głowie miał wysoki jak dwie katedry turban, który był splotem wielobarwnych pasm jedwabiu, w uszach wisiorki z barwionych kamyków, na ramionach bransolety z pstrokatych piór. Także on ubrał się w suknię sięgającą ziemi, ale ściśniętą w pasie szeroką na dłoń przepaską z błękitnego jedwabiu, a na piersi zwieszał mu się malowany

krzyż z drewna. Był to człowiek w podeszłym wieku i szminka na wargach oraz bistr na powiekach kontrastowały ze zwiotczałą i pożółkłą skórą, uwydatniając jeszcze bardziej podwójny podbródek, który trząsł się przy każdym kroku. Miał pulchne dłonie i bardzo długie, pokryte różowym lakierem, ostre jak brzytwa paznokcie.

Orszak zatrzymał się przed gośćmi, Nubijczycy ustawili się w dwa rzędy, eunuchowie znikomej rangi przyklęknęli, a ten z nich, który niósł tacę, skłonił się i ofiarował im podpłomyki. Baudolino i jego ludzie, w pierwszej chwili niepewni, co mają czynić, potem zsiedli z koni i przyjęli kawałki podpłomyków; żuli je, jak nakazywała grzeczność, i kłaniali się. Na powitanie wystąpił w końcu najważniejszy eunuch, który padł twarzą na ziemię, a następnie wstał i zwrócił się do nich po grecku:

– Od dnia narodzin naszego Pana Jezusa Chrystusa czekaliśmy na wasz powrót, jeśli w istocie jesteście tymi, za których was bierzemy, i z bólem dowiaduję się, że dwunastego z was, lecz jako i wy pierwszego spośród wszystkich chrześcijan, sprowadziła na manowce okrutna natura. Dam naszym gwardzistom rozkaz, by bez znużenia wpatrywali się w horyzont, czekając na jego przybycie, a na razie życzę wam radosnego pobytu w Pndapetzim – rzekł wysokim głosem. – W imieniu diakona Jana powiadam to ja, Praxeas, najwyższy przełożony eunuchów dworskich, protonotariusz prowincji, jedyny legat diakona przy księdzu, najwyższy kustosz i logoteta tajemnego szlaku.

Powiedział to tak, jakby taka liczba godności miała zrobić wrażenie nawet na magach.

– Starczy już! – mruknął pod nosem Aleramo Scaccabarozzi, zwany Ciula. – To ci dopiero!

Baudolino wiele razy rozmyślał o tym, jak przedstawi się księdzu, ale nigdy – jak przedstawi się przełożonemu eunuchów na służbie diakona owego księdza. Teraz doszedł do wniosku, że najlepiej trzymać się tego, co ustalili poprzednio.

– Panie – rzekł – dowiedz się, że nasze serca przepełnia radość, gdyż dotarliśmy do szlachetnego, bogatego i cudownego miasta Pndapetzim, a podczas całej podróży nigdy nie widzieliśmy miast piękniejszych i bardziej kwitnących od tego. Przybywamy z daleka, by wręczyć księdzu Janowi największą relikwię świata chrześcijańskiego, kielich, z którego Jezus pił wino podczas Ostatniej Wieczerzy. Niestety, zawistny demon rozpętał przeciwko nam moce natury i przez to jeden z naszych braci zabłądził, ten właśnie, który miał pieczę nad darem, a także innymi świadectwami naszego szacunku dla księdza Jana...

– A było to sto sztabek czystego złota, dwieście wielkich małp, korona z tysiąca funtów złota wysadzana szmaragdami, dziesięć sznurów bezcennych pereł, osiemdziesiąt skrzyń kości słoniowej, pięć słoni, trzy oswojone lamparty, trzydzieści psów antropofagów i trzydzieści byków bojowych, trzysta kłów słoniowych, tysiąc panterzych skór i trzy tysiące bloków hebanu – dodał Poeta.

– Słyszeliśmy o tych nieznanych nam bogactwach i substancjach, w które obfitują ziemie po stronie zachodzącego słońca – powiedział Praxeas, któremu rozbłysły oczy – chwała niechaj będzie Bogu, że mogę je zobaczyć, nim opuszczę ten padół łez.

– Nie możesz zamknąć na kłódkę tej swojej przeklętej gęby? – syknął stojący za Poetą Boidi, dając mu kuksańca w plecy. – Co będzie, jeśli Zosima tu dotrze i zobaczą, że jest jeszcze bardziej goły niż my?

– Milcz! – warknął przez zęby, nie poruszając wargami, Poeta. – Rzekliśmy już, że wmieszał się w to demon, a demon pożre wszystko. Poza Gradalisem.

– Lecz w tej chwili potrzebny nam choć jeden dar, jakikolwiek, by pokazać, że nie jesteśmy hołyszami – syknął znowu Boidi.

– Może głowę Chrzciciela – zaproponował szeptem Baudolino.

– Zostało nam wszystkiego pięć – odparł, nadal nie poruszając wargami, Poeta – ale nieważne, póki tu jesteśmy, z pewnością nie możemy chełpić się pozostałymi czterema.

Tylko Baudolino wiedział, że wraz z tą po Abdulu mają jeszcze sześć głów. Wyjął jedną z sakwy i podał Praxeasowi, mówiąc, że na razie – póki nie ma hebanu, lampartów i wszystkich tych innych pięknych rzeczy – chcą wręczyć diakonowi jedyną relikwię, jaka pozostała na ziemi po tym, który udzielił chrztu naszemu Panu.

Praxeas przyjął ze wzruszeniem dar, bezcenny w jego oczach z powodu świecącej szkatuły, i z pewnością uznał, że jest wykonana z owej drogiej żółtej substancji, o której krążyło tyle opowieści. Pragnąc jak najprędzej oddać cześć świętym resztkom, z miną człowieka oglądającego każdy dar składany diakonowi otworzył bez najmniejszego trudu relikwiarz (ten właśnie musiał należeć do Abdula, gdyż pieczęć została już zerwana – pomyślał Baudolino), wziął w ręce brunatną i wysuszoną głowę, wytwór rzemiosła Ardzrouniego, i wykrzyknął urywanym głosem, że nigdy w życiu nie patrzył na równie cenną relikwię.

Potem zapytał, jakich imion ma używać, zwracając się do swoich czcigodnych gości, jako że tradycja przypisała im wiele imion i nikt już nie wie, które są prawdziwe. Baudolino odpowiedział bardzo przezornie, że przynajmniej póki nie staną przed obliczem księdza, pragną, by nazywano ich imionami, pod jakimi byli znani na Zachodzie, i podał prawdziwe imiona. Praxeas docenił wymowność dźwięku imion takich, jak Ardzrouni i Boidi, uznał za podniosłe imiona Baudolino, Colandrino i Scaccabarozzi i pomyślał o egzotycznych krainach, kiedy padły imiona Porcelli i Cuttica. Oznajmił, że szanuje ich powściągliwość w tej sprawie.

– A teraz proszę do środka – rzekł na zakończenie. – Godzina już późna i diakon przyjmie was dopiero jutro. Dzisiejszego wieczoru będziecie moimi gośćmi i zaręczam, że nigdy nie wydano bogatszej i wystawniejszej

uczty, a skosztujecie takich smakołyków, że z pogardą pomyślicie o tych, jakimi raczono was w krajach, nad którymi zachodzi słońce.

– Ale odziani są w takie szmaty – burknął Poeta – że nasze niewiasty wolałyby ukrzyżować męża, niż włożyć na siebie coś podobnego. Wyprawiliśmy się w daleką drogę i wycierpieliśmy to, co wycierpieliśmy, żeby zobaczyć kaskady szmaragdów. Kiedy pisaliśmy list od księdza, ty, Baudolino, wprost womitowałeś topazami, a ci tutaj mają dziesięć kamyków, cztery sznureczki i myślą, że są najbogatsi na całym świecie!

– Milcz, jeszcze zobaczymy – odparł szeptem Baudolino.

Praxeas wprowadził ich do wieży, a potem do pozbawionego okien salonu oświetlonego kagankami na trójnogach, z rozłożonym pośrodku dywanem, na którym ustawiono gliniane kielichy i tace, a dokoła nich rozłożono poduszki, by mogli zasiąść ze skrzyżowanymi nogami. Usługiwali im półnadzy i skropieni wonnymi olejkami młodzieńcy, z pewnością też eunuchowie. Przynieśli napełnione aromatycznymi mieszankami misy, w których eunuchowie maczali palec, by dotknąć nim potem płatków usznych i nozdrzy. Po zroszeniu się w ten sposób wonnościami pogłaskali łagodnie młodzieńców i zachęcili ich do ofiarowania wonności gościom, którzy dostosowali się do miejscowych zwyczajów i tylko Poeta warknął, że gdyby któryś z tych młodzieńców go tknął, pstryknąłby palcami i tamtemu wyleciałyby wszystkie zęby.

Wieczerza była taka: wielkie misy z chlebem, czyli tutejszymi podpłomykami; ogromna ilość gotowanych jarzyn, a wśród nich obfitość kapusty, która nie dawała zbyt mocnych woni, gdyż dodano do niej rozmaite przyprawy; czary pełne gorącego czarniawego sosu zwanego *sorq* do maczania podpłomyków; Porcelli, który pierwszy spróbował tej potrawy, zaczął kasłać, jakby jego gardło ogarnął płomień, tak że reszta przyjaciół nabierała sosu z umiarem (potem przez całą noc paliło ich pragnienie nie do ugaszenia); sucha i chuda rzeczna ryba, którą nazywali *thinsireta* (To ci dopiero! – szeptali nasi przyjaciele), panierowana

grysikiem i dosłownie spalona we wrzącym oleju, zapewne wiele razy już używanym; zupa z siemienia lnianego zwana *marac*, zdaniem Poety o posmaku gówna, a w niej strzępy mięsa drobiowego, lecz tak marnie ugotowanego, że twardego jak podeszwa, a Praxeas wyjaśnił z dumą, że to *methagallinario* (To ci dopiero! – znowu trącali się łokciami nasi przyjaciele); musztarda zwana *cenfelec*, sporządzona z kandyzowanych owoców, ale zawierająca więcej pieprzu niż owocu. Przy każdym kolejnym daniu eunuchowie nabierali sobie zachłannie i żując, mlaskali, żeby pokazać, jakie to wszystko smakowite, i jakby mówiąc gościom: „Smakuje? Niebiańska rozkosz!” Jedzenie brali rękami, również zupę, siorbiąc ją z ułożonej w kształt muszli dłoni i mieszając za każdym razem różne rzeczy, a potem napełniając sobie jednym ruchem usta. Ale posługiwali się wyłącznie prawą ręką, lewą bowiem trzymali na ramieniu chłopca, który baczył, by przez cały czas mieli dość jadła. Odrywali lewą dłoń tylko wtedy, gdy chcieli się napić, a wówczas unosili dzban nad głowę i z wysoka lali sobie strugę wody do ust.

Dopiero po zakończeniu tej godnej nababów biesiady Praxeas dał znak i weszli Nubijczycy, którzy do maleńkich czarek utoczyli białego płynu. Poeta opróżnił swoją czarkę jednym haustem, twarz nabiegła mu krwią, wydał z siebie głos przypominający ryk i padł jak martwy, a wtenczas młodzieńcy spryskali mu twarz wodą. Praxeas wyjaśnił, że u nich nie rośnie drzewo winne i umieją robić jedynie napój alkoholowy *burq*, dokonując fermentacji niezwykle pospolitej tutaj jagody. Cały kłopot w tym, że moc napoju pozwala smakować go jedynie małymi łyczkami, a nawet maczając tylko koniec języka w czarce. To naprawdę nieszczęście, że nie mają owego wina, o którym piszą Ewangelie, gdyż wskutek tego księża z Pndapetzim za każdym razem, kiedy odprawiają mszę, pogrążają się w zupełnie niestosownym upojeniu i z trudem wytrzymują do końca obrządku.

A z drugiej strony, czego można się spodziewać po tych potworach? – powiedział z westchnieniem Praxeas, odciągając na bok Baudolina, podczas

gdy inni eunuchowie, pośród pisków świadczących o wielkim zaciekawieniu, oglądali żelazną broń gości.

– Potworach? – spytał z udawaną prostodusznością Baudolino. – Miałem wrażenie, że nikt tutaj nie widzi zadziwiającego kalectwa u innych.

– Gdybyś tylko usłyszał jednego z nich – rzucił Praxeas z pełnym pogardy uśmiechem. – Żyją tu razem od wieków, przywykli do siebie nawzajem, a nie godząc się na dostrzeganie potworności innych, nie widzą też własnej. To potwory, o tak, podobniejsze do zwierząt niż do ludzi, a rozmnażają się szybciej niż króliki. Takim ludem musimy rządzić, i to bez litości, bo inaczej nawzajem by się wytępili, każdemu bowiem własna herezja zamąciła w głowie. Dlatego właśnie ksiądz zesłał ich przed wiekami tutaj, na pogranicze królestwa, by nie wzburzali swym wstrętnym wyglądem jego poddanych, którzy, zapewniam, panie Baudolinie, są ludźmi przepięknymi. Lecz jest rzeczą naturalną, że natura płodzi też potwory, i trudno nawet wyjaśnić, dlaczego cały rodzaj ludzki nie zmienił się w potwory wskutek popełnienia najstraszliwszej zbrodni, jaką jest ukrzyżowanie Boga Ojca.

Baudolino zaczął się domyślać, że także eunuchowie tkwią w błędzie, i zadał parę pytań gospodarzom.

– Niektórzy spośród potworów – wyjaśnił Praxeas – wierzą, że Syn był tylko przysposobiony przez Ojca, inni trwonią siły na dysputę, kto pochodzi od kogo, i każdy jako potwór popada w potworny błąd, mnożąc hipostazy boskiej Istoty i dochodząc do przekonania, iż Najwyższe Dobro składa się z trzech, a nawet czterech różnych substancji. Poganie! Jest tylko jedna substancja boska, która przejawia się w sprawach ludzkich na różne sposoby, czyli przez różne Osoby. Ta jedyna substancja, jako czynnik poczynający, jest Ojcem, jako poczęty Synem, jako uświęcający Duchem, lecz zawsze chodzi o tę samą naturę boską: reszta jest jak maska, za którą skrywa się Bóg. Jedna substancja i jedna troista Osoba, nie zaś, jak twierdzą niektórzy heretycy, trzy Osoby w jednej substancji. Jeśli jednak tak jest,

jeśli Bóg, zważ to dobrze, Bóg jako całość, nie zaś poprzez swego przybranego potomka, przyjął ciało, to właśnie ten Bóg cierpiał na krzyżu. Ukrzyżować samego Boga! Zdajesz sobie sprawę? Tylko przeklęta rasa mogła zdobyć się na taki gwałt, a obowiązkiem człowieka wierzącego jest pomścić Ojca. Żadnej litości dla przeklętego rodu Adamowego.

Odkąd Baudolino zaczął opowiadać o podróży, Niketas słuchał w milczeniu i nie przerywał. Teraz uczynił to jednak, gdyż spostrzegł, że jego rozmówca nie ma pewności, jak powinien interpretować to, co powiedział.

– Myślisz, że eunuchowie nienawidzili rodzaju ludzkiego, gdyż przezeń cierpiał Ojciec, czy też przyjęli swą herezję, gdyż nienawidzili rodzaju ludzkiego?

– Zadaję sobie to pytanie od tamtego wieczoru, a nie umiem na nie odpowiedzieć.

– Wiem, jak biegną myśli eunuchów. Wielu ich poznałem w pałacu cesarskim. Starają się skupiać w swych rękach jak najwięcej władzy, by dać upust zawiści wobec tych, którym dane jest poczynać. W ciągu wielu lat zdobyłem jednak nie lada doświadczenie i wyczuwałem, że również wielu, którzy eunuchami zgoła nie są, wykorzystuje władzę, żeby wyrazić to, czego inaczej wyrazić by nie umieli. Być może rozkazywanie jest namiętnością gwałtowniejszą niż miłość.

– Mój niepokój wzbudziły także inne rzeczy. Posłuchaj: eunuchowie z Pndapetzim byli kastą, która odtwarzała się drogą wyboru, bo przecież ich natura na inne sposoby nie pozwalała. Praxeas powiedział, że od wielu pokoleń starsi wybierają powabnych młodzieńców i skazują ich na los eunuchów, zyskując sobie w ten sposób najpierw sługi, potem spadkobierców. Ale skąd brali tych pełnych wdzięku i pięknie zbudowanych młodzików, skoro cała prowincja Pndapetzim była zamieszkana wyłącznie przez wybryki natury?

– Bez wątpienia sprowadzali eunuchów z obcych krajów. W wielu armiach i administracjach publicznych zdarza się, że ten, kto ma władzę, nie może należeć do wspólnoty, którą rządzi, lepiej bowiem, by poddani nie budzili w nim tkliwości ani uczucia, że jest jednym z nich. Może tego właśnie chciał ksiądz, by w ten sposób utrzymać w ryzach tych kalekich i skłonnych do buntu ludzi.

– By bez żadnych wyrzutów sumienia posyłać ich na śmierć. Gdyż z tego, co powiedział Praxeas, pojąłem jeszcze dwie rzeczy. Pndapetzim było ostatnią wysuniętą placówką przed królestwem księdza. Dalej była już tylko gardziel między górami, prowadząca na inne terytorium, a na skałach nad ową gardzielą rozmieszczono nubijskie straże, które są gotowe zrzucić lawinę głazów na każdego, kto zapuści się w ten wąwóz. Zaraz za ujściem gardzieli rozciągają się bezkresne moczary, ale to bagnisko jest tak zdradliwe, że ci, którzy spróbują się na nie zapuścić, giną w błocie lub na wiecznie ruchomych piaskach, a kiedy zapadną się choćby do połowy łydki, już się nie wydobędą, aż znikną pod powierzchnią jak w otchłaniach morza. Przez moczary wiedzie tylko jedna bezpieczna droga, ale znają ją wyłącznie eunuchowie, których nauczono rozpoznawać ją po określonych znakach. Tak zatem Pndapetzim to brama, osłona, rygiel, który trzeba sforsować, żeby dostać się do królestwa.

– Skoro byliście pierwszymi od wieków gośćmi, ta osłona nie była chyba zbyt trudna do pokonania.

– Przeciwnie. Praxeas mówił o tym w bardzo niejasnych słowach, jakby imię tych, którzy byli zagrożeniem, zostało objęte interdyktem, ale potem wyjaśnił mi, aczkolwiek półgębkiem, że nad całą prowincją ciąży zmora zagrożenia ze strony wojowniczego ludu Białych Hunów, którzy w każdej chwili mogą dokonać najazdu. Gdyby dotarli do bram Pndapetzim, eunuchowie wysłaliby jednonogich, blemiów i wszystkie inne potwory na pewną śmierć, byleby powstrzymać choć na chwilę zwycięski pochód nieprzyjaciół, potem zaś przeprowadziliby diakona przez gardziel, kazaliby

zrzucić dość głazów, by zagrodzić wszelkie przejście, i wycofaliby się do królestwa. Gdyby to się nie udało i dostaliby się do niewoli, to aby Biali Hunowie nie mogli zmusić torturami któregoś z nich do wskazania jedynej drogi do ziemi księdza, wszystkim im wpojono, że w razie zagrożenia niewolą mają zażyć truciznę, którą zawsze noszą na szyi, ukrytą pod szatami. Okropne jest to, że Praxeas uważał, iż i tak się uratują, gdyż mają przecież ostatnią tarczę, to jest Nubijczyków. To szczęście, powiadał Praxeas, że naszego bezpieczeństwa strzeże korpus *circumcelliones*.

– Słyszałem o tym, ale chodziło o wydarzenia, do jakich doszło wiele wieków temu na wybrzeżach afrykańskich. Mieszkali tam heretycy zwani donatystami, którzy utrzymywali, że Kościół powinien być wspólnotą świętych, ale niestety w tej chwili wszyscy jego kapłani są zdeprawowani. Tak więc ich zdaniem nikt nie może udzielać sakramentów i są w stanie ciągłej wojny z innymi chrześcijanami. Najbardziej rygorystycznymi z donatystów byli właśnie barbarzyńcy czarnej rasy, *circumcelliones*, którzy chodzili po polach i dolinach, szukając sposobności do poświęcenia życia; rzucali się zza skał na wędrowców z okrzykiem *Deo laudes* i grozili im maczugami, zmuszając do tego, by ich zabili, tak bardzo pragnęli zyskać w ten sposób palmę męczeństwa. A ponieważ przerażeni ludzie odmawiali, *circumcelliones* najpierw ograbiali ich z wszelkiego dobra, a potem roztrzaskiwali im głowy. Myślałem jednak, że ci gorliwcy dawno już wymarli.

– Nubijczycy z Pndapetzim byli najwyraźniej ich potomkami. Będą bezcenni podczas wojny, powiedział mi Praxeas ze zwykłą u niego pogardą dla swoich poddanych, gdyż chętnie poniosą śmierć z ręki wroga, a zanim nieprzyjaciele wybiją ich co do jednego, eunuchowie zdążą zagrodzić gardziel. Lecz *circumcelliones* zbyt wiele stuleci czekają na to wydarzenie, nikt bowiem nie najeżdża prowincji, i gryzą wędzidło, bo nie umieją żyć w pokoju. Nie mogą napadać i grabić potworów, gdyż mają rozkaz ich bronić, więc żeby dać upust swym pragnieniom, chwytają gołymi rękami

dzikie zwierzęta. Czasem wyprawiają się na drugi brzeg Sambationu, na piarżyska, gdzie żyją chimery i mantykory, i bywa, że któregoś spotyka taki sam koniec jak Abdula. Tego im jednak za mało. Zdarza się i tak, że najgorliwsi z nich padają ofiarami szaleństwa. Praxeas dowiedział się już, że jeden z nich błagał nas, byśmy go ścięli. Inni, pełniąc straż nad gardzielą, rzucają się ze skał i trudno im przeszkodzić. Eunuchom nie pozostaje nic innego, jak utrzymywać ich stale w stanie gotowości, wmawiając im, że Biali Hunowie są naprawdę u bram, i dlatego Nubijczycy często błądzą po równinie, wytężając wzrok, skacząc z radości na widok każdego odległego obłoczka kurzu, czekając na najeźdźców z nadzieją, którą od stuleci płoną z pokolenia na pokolenie. A ponieważ nie wszyscy są naprawdę skłonni do poświęcenia życia, lecz tylko głoszą donośnie swe pragnienie męczeństwa, by zapewnić sobie dobre odzienie i strawę, na razie trzeba trzymać ich w ryzach, dając smakołyki i mnóstwo *burq*. Zrozumiałem więc, dlaczego zawiść eunuchów wzrasta z dnia na dzień. Muszą przecież rządzić potworami, których nienawidzą, i zawierzać swe życie egzaltowanym obżartuchom i pijakom.

Było już późno i Praxeas kazał gwardii nubijskiej odprowadzić ich do kwater naprzeciwko wieży, w stosunkowo niewielkim skalnym domu, w którym było jednak dość miejsca dla nich wszystkich. Wspięli się powietrznymi schodami i wyczerpani wydarzeniami tego osobliwego dnia spali mocno do rana.

Obudził ich Gavagai, który stawił się chętny do usług. Nubijczycy donieśli mu, że diakon gotów jest powitać swoich gości.

Wrócili więc do wieży i Praxeas poprowadził ich osobiście zewnętrznymi schodami na najwyższe piętro. Tam weszli drzwiami do środka i znaleźli się w kolistym korytarzu z wieloma innymi drzwiami rozmieszczonymi jedne obok drugich niby rząd zębów.

– Dopiero później pojąłem, panie Niketasie, jak zaplanowano to piętro. Trudno to opisać, ale spróbuję. Zechciej wyobrazić sobie, że ten kolisty korytarz jest obrzeżem kręgu, w którego środku jest także kolista komnata. Każde z drzwi korytarza prowadzą do przejścia, jakby promienia, którym dochodzi się do pomieszczenia środkowego. Gdyby jednak korytarze były proste, każdy, kto znalazłby się w korytarzu kolistym, widziałby, co się dzieje w komnacie środkowej, każdy zaś, kto znalazłby się w komnacie, widziałby osoby zapuszczające się w promieniste przejście. Ale każde przejście było z początku proste, a potem skręcało i prowadziło po linii krzywej do komnaty środkowej. Dzięki temu z korytarza obrzeżnego nie było widać komnaty, co zapewniało bezpieczeństwo jej mieszkańcowi...

– Lecz i on mógł dopiero w ostatniej chwili zobaczyć nadchodzących.

– To prawda, i ten szczegół natychmiast mnie uderzył. Zrozum, diakon, pan prowincji, był zabezpieczony przed niedyskretnymi spojrzeniami, ale jednocześnie jego eunuchowie mogli w każdej chwili przybyć z niespodziewaną dlań wizytą. Był więźniem, którego nie mogli szpiegować mający nad nim pieczę, ale i on nie mógł szpiegować ich.

– Ci twoi eunuchowie byli przebieglejsi od naszych. Opowiedz jednak o diakonie.

Weszli. Wielka kolista komnata była pusta, jeśli nie liczyć paru komódek. Wykonany z ciemnego drewna tron z baldachimem stał pośrodku. Na tronie siedziała jakaś postać otulona ciemnymi jak sam tron szatami, w turbanie na głowie, z twarzą okrytą zasłoną. Na stopach miała tak samo ciemne ciżmy i na dłoniach tak samo ciemne rękawiczki, wskutek czego nie było zupełnie widać zarysu samej osoby.

Po obu stronach tronu tkwiły po lewej i prawej ręce diakona dwie inne osłonięte szczelnie postacie. Jedna z nich co jakiś czas podsuwała diakonowi do wdychania czarę, w której płonęły wonności. Diakon wcale nie chciał wąchać kadzidła, ale Praxeas dawał mu znak, który był

błaganiem i zarazem poleceniem, chodziło więc zapewne o jakieś lekarstwo.

– Zatrzymajcie się pięć kroków od tronu, złóżcie pokłon. Nim jednak wypowiecie słowa powitania, zaczekajcie, aż was o to poprosi – szepnął Praxeas.

– Czemu jest osłonięty? – spytał Baudolino.

– Nie zadaje się pytań, tak mu się spodobało i już.

Uczynili, co im powiedziano.

Diakon uniósł dłoń i odezwał się po grecku:

– Od lat chłopięcych przygotowywano mnie na wasze przybycie. Mój logoteta wszystko mi już powtórzył i z radością będę was wspierał i gościł w oczekiwaniu na waszego dostojnego towarzysza. Otrzymałem też wasz niezrównany dar. Nie zasłużyłem nań, tym bardziej że ta święta rzecz pochodzi od darczyńców tak godnych czci.

Mówił głosem niepewnym, jak ktoś cierpiący, a mimo to ten głos brzmiał młodzieńczo. Baudolino nie szczędził słów powitania tak przepojonych szacunkiem, że nikt nie mógłby go potem oskarżyć o to, iż przechwalał się przypisaną mu godnością. Lecz diakon zauważył, że taka pokora jest oczywistym znakiem ich świętości, i nie było na to żadnej rady.

Potem poprosił, by zasiedli na ułożonych w półokrąg w odległości pięciu kroków od tronu jedenastu poduszkach, dał znak, by podano im *burq* wraz ze słodkimi obwarzankami o zatęchłym smaku, i oznajmił, że pragnie dowiedzieć się od nich, którzy odwiedzili bajeczny Zachód, czy naprawdę są tam cuda opisane w wielu księgach, jakie wpadły mu w ręce. Spytał, czy jest tam ziemia zwana Enotrią, gdzie rośnie drzewo, z którego sączy się napój przemieniony przez Jezusa w Jego krew. Czy w istocie tamtejszy chleb nie jest plackiem grubym ledwie na pół palca, lecz każdego ranka pęcznieje w cudowny sposób, kiedy zaśpiewa kogut, i pod złocistą skórką przybiera kształt miękkiego, uginającego się przy dotyku owocu? Czy

naprawdę widuje się tam kościoły, które nie są wydrążone w skale, czy pałac wielkiego rzymskiego kapłana ma stropy i belki z wonnego drewna sprowadzanego z legendarnej wyspy Cypr? Czy ten pałac ma bramy z lazurowego kamienia i rogu rogatego węża, dzięki czemu nikt, kto przez nie przechodzi, nie może wnieść do środka trucizny, i okna z kamienia, który przepuszcza światło. Czy w tamtym mieście jest wielka okrągła budowla, w której teraz chrześcijanie jedzą lwy i na której stropie widać doskonałe rzeczywistej wielkości imitacje słońca i księżyca, przemierzających sklepienie niebios wśród wykonanych ręką człowieka ptaków wyśpiewujących pełne słodyczy pieśni? Czy pod posadzką, także z przezroczystego kamienia, pływają samopływające ryby z jasnego kamienia. Czy prawdą jest, że kiedy wchodzi się do tej budowli, przy jednym z podestów jest otwór, przez który widać wszystkie rzeczy, jakie dzieją się na świecie, wszystkie potwory z głębin morskich, świt i zmierzch, rzesze zamieszkujące Ultima Thule, pajęczynę nici księżycowej barwy pośrodku czarnej piramidy, płatki białej i zimnej substancji spadające na *Africa Perusta* w miesiącu sierpniu, wszystkie pustynie tego świata, każdą literę z każdej karty każdej księgi, różowe zachody słońca nad Sambationem, *tabernaculum* świata umieszczone między dwiema lśniącymi płytami, które odtwarzają się w nieskończoność, obszary wodne, które są jak jeziora bez brzegów; byki, burze, wszelkie mrówki, jakie są na ziemi, kulę, odwzorowującą poruszenia gwiazd, sekretne pulsowanie własnego serca i własnych trzewi, a także odmienione po śmierci oblicze każdego z nas.

„Kto opowiada tym ludziom takie bajdy?” – zastanawiał się zgorszony Poeta, a w tym czasie Baudolino starał się udzielać ostrożnych odpowiedzi, powiadając, że z pewnością liczne są cuda dalekiego Zachodu, aczkolwiek bywa, iż wieść olbrzymieje, przelatując nad górami i dolinami, on zaś może tylko oświadczyć, że nigdy nie widział, by tam, gdzie zachodzi słońce, chrześcijanie zjadali lwy.

Poeta szepnął mu szyderczym tonem:

– A już nigdy w dni postne...

Spostrzegli, że sama ich obecność wystarczyła, by rozpalić wyobraźnię młodziutkiego księcia, który był stale zamknięty w tym okrągłym więzieniu i który żyjąc tam, gdzie wschodzi słońce, nieuchronnie pogrążał się w marzeniach o mirabiliach zza zachodniego horyzontu, zwłaszcza że – szeptał dalej Poeta, na szczęście po teutońsku – przyszło mu żyć w takim zafajdanym miejscu jak Pndapetzim.

Potem diakon zdał sobie sprawę, że także jego goście chcieliby się tego i owego dowiedzieć, i powiedział, że być może po tylu latach nieobecności nie pamiętają już, jak wrócić do królestwa, z którego wedle tradycji się wywodzą, albowiem w ciągu wieków kolejne trzęsienia ziemi i inne fenomena znacznie odmieniły góry i równiny. Wyjaśnił, jak trudno pokonać gardziel i przejść przez moczary, zważywszy, że zaczyna się pora deszczowa i lepiej nie wyprawiać się zbyt pospiesznie w drogę.

– Poza tym moi eunuchowie – oznajmił – muszą pchnąć posłańców do mego ojca, aby opowiedzieli mu o waszym przybyciu, i trzeba poczekać, aż wrócą z jego zgodą na wasze odwiedziny. Czeka was długa droga i to wszystko potrwa rok lub nawet dłużej. Przez ten czas poczekacie na swojego brata. Wiedzcie też, że będziecie tu goszczeni stosownie do swej dostojności.

Wygłosił te słowa prawie mechanicznie, jakby recytował dopiero co wyuczoną lekcję.

Goście zapytali, jakie jest stanowisko i przeznaczenie kogoś takiego jak diakon Jan, on zaś wyjaśnił to tak: być może w waszych czasach sprawy biegły innym tokiem, ale kiedy magowie wyruszyli w drogę, prawa królestwa zostały zmienione. Nie należy mniemać, że ksiądz jest jedyną osobą, która panowała przez tysiąclecia, chodzi tu bowiem raczej o tytuł. Po śmierci każdego księdza na tron wstępuje jego diakon. Zaraz potem dostojnicy królestwa odwiedzają wszystkie rodziny i wybierają, kierując się

pewnymi cudownymi znakami, niemające jeszcze trzech miesięcy dziecię, które będzie dziedzicem tronu i domniemanym synem księdza. Rodzina z radością oddaje dziecię, które przewozi się natychmiast do Pndapetzim, gdzie spędza ono dzieciństwo i lata młodzieńcze, przygotowując się do zastąpienia przybranego ojca i ucząc się lęku przed nim, czci dlań i miłości. Młodzieniec przemawiał głosem zasmuconym, albowiem diakon nie może nigdy zobaczyć swego ojca, ani cielesnego, ani przybranego, i to nawet na marach, jako że od chwili śmierci księdza do chwili, kiedy następca dotrze do stolicy, mija, jak się rzekło, co najmniej rok.

– Ujrzę tylko – wyjaśniał – a modlę się, by jak najpóźniej, wizerunek odciśnięty na całunie, w który owiną go przed pogrzebem, namaściwszy wprzód ciało olejkami i innymi cudownymi substancjami, dzięki czemu jego rysy przeniosą się na płótno. – Po chwili ciągnął: – Zostaniecie tu długo, proszę więc, byście mnie co jakiś czas odwiedzali. Kocham opowieści o cudach Zachodu, a także o tysiącu bitew i oblężeń, które, jak się powiada, nadają życiu blask. Widzę u waszych boków oręż dużo piękniejszy i potężniejszy od tego, który jest w użyciu tutaj, i domyślam się, że jak przystało królom, dowodziliście wojskami w bitwach, u nas zaś od niepamiętnych czasów trwają przygotowania wojenne, lecz nigdy nie miałem przyjemności dowodzenia armią w otwartym polu.

Nie tyle ich zapraszał, ile prawie błagał głosem młodzika, którego wyobraźnię rozpaliły księgi o przygodach i śmiałkach.

– Obyś tylko nadto się nie zmęczył, panie – odezwał się z wielkim szacunkiem Praxeas. – Późno już i jesteś utrudzony. Lepiej będzie, jeśli pożegnasz swoich gości.

Diakon skinął potwierdzająco głową, ale pełen rezygnacji gest, który towarzyszył słowom pożegnania, uświadomił Baudolinowi i jego kompanom, kto naprawdę tu rządzi.

31

Baudolino czeka na chwilę, kiedy wyruszą do królestwa księdza Jana

Baudolino zbyt długo snuł swą opowieść i Niketas zgłodniał. Teofilat zaprosił go do stołu i podał kawior z rozmaitych ryb, a potem zupę z cebulkami i oliwą na talerzu pełnym okruchów chleba, po niej sos z siekanych małży z dodatkiem wina, oliwy, czosnku, cynamonu, oregano i musztardy. Niewiele tego jak na przyzwyczajenia Niketasa, ale i tym zgoła nie pogardził. Kiedy niewiasty, które wieczerzały osobno, gotowały się już do snu, Niketas znowu zaczął wypytywać Baudolina, pragnął się bowiem dowiedzieć, czy ten dotarł w końcu do królestwa księdza.

– Chciałbyś, panie Niketasie, bym posuwał się biegiem, lecz my przebywaliśmy w Pndapetzim dwa długie lata i z początku czas płynął nam jednostajnie. Po Zosimie ni widu, ni słychu, a Praxeas oznajmił nam, że jeśli nie pojawi się dwunasty z nas, jeśli nie będzie zapowiedzianego daru dla księdza, nie ma po co wyprawiać się w drogę. Poza tym każdy tydzień przynosił nowe a niepomyślne wieści: pora deszczowa trwała dłużej, niż należało się spodziewać, i bagno stało się nie do przebycia, nie było żadnych nowin od posłów do księdza, może nie udało się im odnaleźć jedynej ścieżki przez moczary... Potem przyszła pora sucha i rozeszły się pogłoski o najeździe Białych Hunów, jeden z Nubijczyków widział ich na północy, nie można więc było osłabiać obrony, wysyłając ludzi z nami, i tak dalej, i tak dalej. Nie wiedząc, co robić, uczyliśmy się powoli rozmaitych języków używanych w tej krainie i wiedzieliśmy już, że jeśli pigmej

wykrzykuje *Hekinah degul*, wyraża ukontentowanie, i że pozdrawia się go słowami *Lumus kelmin pesso desmar lon emposo*, co znaczy, iż nie ma się zamiaru wszczynać wojny z nim i jego ludem; że jeśli olbrzym odpowiada na jakieś pytanie *Bodh-koom*, to znaczy, że nie zna odpowiedzi, że Nubijczycy nazywają konia *nek*, być może przez podobieństwo do *nekbrafpfar*, to jest wielbłąda, natomiast blemiowie określają konia słowem *houyhmhnm*, i wtedy po raz pierwszy usłyszeliśmy dźwięki bezdźwięczne, co wskazywało, iż wymyślili nigdy nieużywany wyraz oznaczający nigdy niewidziane zwierzę; jednonodzy modlili się, mówiąc *Hat coba*, co u nich znaczy Pater Noster, ogień zaś nazywają *deba*, tęczę *deta*, psa *zita*. Eunuchowie chwalą podczas mszy Boga, śpiewając *Khondinbas Ospamerostas, kamedumas karpanemphas, kapsimunas Kamerostas perisimbas prostamprostamas*. Powoli stawaliśmy się mieszkańcami Pndapetzim i nawet blemiowie i wielkousi nie wydawali się już tak odmienni od nas. Zmieniliśmy się w zastęp wałkoni, Boron i Ardzrouni całymi dniami dyskutowali o próżni, a Ardzrouni przekonał nawet Gavagaia, żeby ten poznał go ze stolarzem szczudłonogim, i obaj łamali sobie głowę, czy można wyłącznie z drewna, bez użycia metalu, zbudować jedną z jego cudownych pomp. Kiedy Ardzrouni trawił czas na tych szaleństwach, Boron wymykał się z Kyotem i obaj galopowali po równinie, fantazjując na temat Gradalisa i wytężając wzrok, by zobaczyć, czy nie zbliża się czasem Zosima. Być może obrał inną drogę – sugerował Boidi – natknął się na Białych Hunów, opowiedział zapewne tym bałwochwalcom nie wiadomo jakie historie i przekonywał ich, by najechali królestwo... Porcelli, Cuttica i Aleramo Scaccabarozzi, zwany Ciula, którzy mieli swój udział w powstawaniu Aleksandrii i poznali jako tako rzemiosło budowlane, wbili sobie do głowy myśl, że należy przekonać mieszkańców tej prowincji, iż cztery porządnie zbudowane ściany to coś lepszego niż ich gołębniki, znaleźli olbrzymów trudniących się wszak drążeniem *loculi* w skale i gotowych zdobyć umiejętność mieszania zaprawy, formowania

z gliny cegieł i suszenia ich na słońcu. Na obrzeżu miasta wyrosło pięć czy sześć chatek, ale pewnego pięknego ranka zajęli je ludzie bez języka, włóczędzy z powołania i darmozjady. Próbowali przepędzić ich, rzucając kamieniami, ale tamci to wytrzymali. Boidi spoglądał co wieczór w stronę gardzieli, by zobaczyć, czy wraca piękna pogoda. Jednym słowem, każdy z nas wynalazł sobie jakiś sposób spędzania czasu, przywykliśmy do paskudnego jadła, a nade wszystko nie mogliśmy się już obejść bez picia *burq*. Pociechą było to, że królestwo rozciągało się dwa kroki stąd, to jest w najlepszym razie rok podróży, ale nie musieliśmy już niczego odkrywać ani szukać drogi, wystarczyło poczekać, aż eunuchowie poprowadzą nas właściwym szlakiem. Byliśmy, jeśli można tak rzec, błogo znużeni i rozkosznie znudzeni. Wszyscy już, poza Colandrinem, mieliśmy swoje lata; ja przekroczyłem pięćdziesiątkę, w tym wieku się umiera, jeśli nie umarło się dotąd; dziękowaliśmy Bogu, i widać tamtejsze powietrze było dobre, gdyż wszyscy jakby odmłodnieliśmy, zdaje się, że wyglądałem na młodszego o dziesięć lat niż w chwili przybycia. Można powiedzieć, że byliśmy mocni ciałem i zmarniali na duchu. Do tego stopnia utożsamiliśmy się z mieszkańcami Pndapetzim, że zaczęliśmy nawet namiętnie śledzić ich dysputy teologiczne.

– Za kim się opowiadaliście?

– Właściwie wszystko wzięło się stąd, że w Poecie burzyła się krew i nie mógł już wytrzymać bez kobiety. A pomyśleć, że nawet Colandrino jakoś sobie z tym radził, ale Colandrino, zupełnie tak samo jak jego biedna siostra, był aniołem na ziemi. Nasze oczy przywykły chyba do tego miejsca i uświadomiłem to sobie, kiedy Poeta zaczął snuć fantazje na temat jakiejś wielkouszki. Pociągały go owe spływające uszy, podniecała biel cery, uznał, że jest gibka i ma ładnie zarysowane wargi. Widział, jak para kłapouchych spółkuje na polu i odgadywał, że było to dla nich rozkoszne przeżycie: otulali się nawzajem uszami i kopulowali jakby w środku konchy albo jakby byli owym siekanym i zawiniętym w liście winorośli

mięsem, którego kosztowaliśmy w Armenii. To musi być wspaniałe, oznajmił. Potem, napotkawszy opór ze strony wielkouszki, do której próbował się zbliżyć, zadurzył się w jednej blemijce. Każdy przyzna, jeśli zapomni o braku głowy, że jest wąska w talii i ma zachęcającą waginę, a poza tym jakże wspaniale byłoby całować kobietę w usta i jednocześnie w brzuch. Zaczął więc szukać towarzystwa tych ludzi. Pewnego wieczoru zaprowadził nas na jakieś ich zebranie. Blemiowie, podobnie jak wszystkie tamtejsze potwory, nie dopuściliby żadnego obcego do swej dysputy o sprawach świętych, ale my byliśmy inni, nie uważano, że my również tkwimy w błędzie, a nawet każdy ich gatunek był przekonany, iż myślimy właśnie jak oni. Jedynym, który mógłby mieć nam za złe spoufalanie się z blemiami, był oczywiście Gavagai, ale wierny skiapoda odnosił się do nas teraz z takim uwielbieniem, że wszystko, co czyniliśmy, musiało być dobre. Trochę przez swą prostoduszność, a trochę z miłości do nas wmówił sobie, że uczestniczymy w obrządkach blemiów, by nauczać ich, iż Jezus jest przybranym synem Boga.

Kościół blemiów był zbudowany na poziomie gruntu: jeden fronton z dwiema kolumnami i tympanonem, a reszta wydrążona w skale. Ich kapłan wzywał wiernych na zgromadzenie, uderzając młoteczkiem w oplecioną sznurami kamienną płytę, dobywając dźwięk jakby pękniętego dzwonu. W środku widać było tylko ołtarz oświetlony kagankami, w których, sądząc z zapachu, palono nie oliwę, lecz masło – być może z koziego mleka. Wewnątrz nie było żadnych krucyfiksów ani innych wizerunków, ponieważ – wyjaśniał blemia służący im za przewodnika – uważają (i jako jedyni nie tkwią w błędzie), że Słowo nie stało się ciałem, a co za tym idzie, nie mogą czcić wizerunku wizerunku. Z tych samych względów nie mogą podchodzić z powagą do Eucharystii, podczas ich mszy nie ma zatem konsekracji. Nie mogą też czytać Ewangelii, gdyż jest opowieścią o oszustwie.

Baudolino spytał w tym momencie, jaki więc rodzaj mszy celebrują, przewodnik zaś odpowiedział, że właściwie zbierają się na modlitwę, a potem rozprawiają o wielkiej tajemnicy fałszywego wcielenia, której nie udało się im dotąd w pełni wyświetlić. Rzeczywiście, najpierw blemiowie klęczeli i przez pół godziny rozlegała się ich dziwna wokaliza, a potem kapłan obwieścił początek tego, co nazwał świętą rozmową.

Jeden z wiernych wstał i przypomniał, że być może Jezus Umęczony nie był urojeniem w całym tego słowa znaczeniu, gdyż dopuściłby się kpiny z apostołów, lecz wyższą mocą wyemanowaną przez Ojca, Eonem, który przyjął ciało pierwszego lepszego cieśli z Galilei. Inny zwrócił uwagę, że być może, jak sugeruje ten i ów, Maryja naprawdę urodziła ludzką istotę, lecz Syn, który nie może stać się ciałem, przeniknął przez nią jak woda przez rurkę albo też wniknął przez ucho. Rozległ się chór protestujących głosów i wielu wykrzykiwało: „Paulicjanin! Bogomił!”, dając do zrozumienia, że ten, który to powiedział, głosi doktrynę heretycką – i rzeczywiście, wypędzono go zaraz ze świątyni. Trzeci wysunął przypuszczenie, że na krzyżu cierpiał Cyrenejczyk, który zastąpił w ostatniej chwili Jezusa, lecz inni uświadomili mu, że jeśli ma się kogoś zastąpić, ten ktoś musi istnieć. Bynajmniej – odparował wierny – bo przecież tym kimś zastąpionym był właśnie Jezus jako zjawa; jako zjawa nie mógł cierpieć, a bez Męki nie masz odkupienia. Rozległ się znowu chór protestujących głosów, albowiem w ten sposób wysuwa się twierdzenie, że ludzkość odkupił ten biedaczyna, Cyrenejczyk. Czwarty przypomniał, że Słowo zstąpiło w ciało Jezusa pod postacią gołębicy w chwili chrztu w Jordanie, lecz bez wątpienia w ten sposób myli się Słowo z Duchem Świętym, a owo przeniknięte ciało nie było zjawą – czemu więc blemiowie byliby, i jakże słusznie, fantazjastami?

Porwany tą dyskusją Poeta zapytał:

– Skoro jednak niewcielony Syn był tylko zjawą, czemuż to w ogrodzie oliwnym wypowiedział słowa pełne rozpaczy i czemuż żalił się na krzyżu?

Co za znaczenie może mieć dla boskiej zjawy fakt, że wbijają jej gwoździe w ciało, które jest czystym pozorem? Odgrywał widowisko, jak komediant?

Powiedział to, gdyż okazując przenikliwość i pragnienie wiedzy, miał nadzieję uwieść blemijkę, która wpadła mu w oko, lecz skutek był wręcz przeciwny. Oto bowiem całe zgromadzenie zaczęło wykrzykiwać: „Klątwa! Klątwa!", i nasi przyjaciele domyślili się, że nadszedł odpowiedni moment, by opuścić ten sanhedryn. Tak zatem Poeta wskutek nadmiaru teologicznej subtelności nie mógł zaspokoić swej pospolitej cielesnej żądzy.

Kiedy Baudolinowi i innym chrześcijanom czas mijał na tego rodzaju doświadczeniach, Solomon wypytywał kolejno wszystkich mieszkańców Pndapetzim, próbując dowiedzieć się czegoś o rozproszonych pokoleniach. To, że już pierwszego dnia Gavagai napomknął o rabinach, wskazywało, że jest na dobrej drodze. Ale bądź z tej przyczyny, że potwory rozmaitych ras nic nie wiedziały, bądź że temat ten był zakazany, Solomon nie osiągnął nic a nic. W końcu jeden z eunuchów powiedział mu, że wedle tradycji przez królestwo księdza Jana przeszły wspólnoty Żydów, a działo się to przed wieloma wiekami, ale później ci ludzie postanowili udać się dalej – może z lęku, że groźba inwazji Białych Hunów postawiłaby ich przed możliwością nowej diaspory, powędrowali więc w inne strony, Bóg jeden wie dokąd. Solomon uznał, że eunuch kłamie, i czekał na moment, kiedy wyruszą do królestwa, gdzie z pewnością spotka swych współwyznawców.

Od czasu do czasu Gavagai próbował wyprowadzić ich na właściwą drogę. Ojciec jest tym, co najdoskonalsze i najodleglejsze od nas w całym świecie, tak czy nie? Jakże więc mógłby począć Syna? Ludzie poczynają dzieci, by poprzez dzieci przedłużyć swoje istnienie, żyć w nich także w czasach, których nie zobaczą, gdyż dopadnie ich śmierć. Lecz Bóg, który czułby potrzebę poczęcia syna, nie byłby już kimś doskonałym od początku czasu. Gdyby zaś Syn istniał zawsze wraz z Ojcem i był tej samej boskiej substancji czy, jeśli ktoś woli, natury (w tym miejscu Gavagai zaplątał się,

cytując greckie terminy jak *ousia*, *hyposthasis*, *physis* i *hyposopon*, których nawet Baudolino nie umiał rozszyfrować), mielibyśmy niewiarygodną sytuację, w której Bóg, z definicji niepoczęty, byłby od początku czasu poczęty. Tak zatem Słowo, które Ojciec poczyna, gdyż troszczy się o odkupienie rodzaju ludzkiego, nie jest z substancji Ojca: jest poczęte później, oczywiście pierwej niż świat i jako wyższe od wszelkiego innego stworzenia, ale poza tym z pewnością niższe od Ojca. Chrystus nie jest mocą Boga – mówił z naciskiem Gavagai – nie jest też jednak pierwszą lepszą mocą jak szarańcza, tylko mocą wielką – pierworodnym, a nie przyrodzonym.

– A zatem dla was Syn był przysposobiony przez Ojca, czyli nie jest Bogiem? – spytał Baudolino.

– Nie jest, lecz przecież jest kimś najświętszym, jak kimś najświętszym jest diakon, syn przysposobiony księdza. Skoro odnosi się do księdza, czemu nie odnosi się do Boga? Ja wie, że Poeta pyta blemiów, dlaczego, skoro Jezus zjawa, boi się w ogrodzie oliwnym i płacze na krzyżu. Blemiowie tkwi w błędzie i nie umie odpowiedzieć. Jezus nie zjawa, lecz Syn przybrany, a Syn przybrany nie wie wszystkiego jak jego Ojciec. Rozumie? Syn nie jest *omoousios*, tej samej substancji co Ojciec, lecz *omoiusios*, podobnej, choć odmiennej substancji. My nie heretycy jak anomejczycy: oni uważa, że Słowo nawet niepodobne Ojcu, całkiem inne. Ale na szczęście w Pndapetzim nie ma anomejczyków. Oni jest w gorszym błędzie niż wszyscy.

Kiedy Baudolino, przytaczając te rozważania, powiedział też, iż nie zaprzestali wypytywać, jaka jest różnica między *omoousios* i *omoiusios* i czy można Pana Boga sprowadzić do tych dwóch słówek, Niketas tylko się uśmiechnął.

– Jest różnica, o tak. Może u was, na Zachodzie, te diatryby poszły w zapomnienie, lecz u nas, Rzymian, trwały jeszcze długo i z powodu

takich odcieni znaczeń na niejednego spadła ekskomunika, wygnanie albo nawet śmierć. Zdumiewa mnie jednak, że te dysputy, u nas od dawna zakazane, nadal toczą się na ziemiach, o których mi prawisz.

Potem pomyślał: nadal podejrzewam, że ten Baudolino opowiada mi blagi, lecz taki półbarbarzyńca jak on, człowiek, któremu żywot upłynął wśród Alamanów i mediolańczyków, a ci przecież z wielkim trudem odróżniają Trójcę Przenajświętszą od świętego Karola Wielkiego, taki ktoś nic nie wiedziałby o tych sprawach, gdyby tam o nich nie usłyszał.

Co jakiś czas Praxeas zapraszał naszych przyjaciół na wstrętne biesiady. Pod koniec jednej z nich, rozochoceni po wypiciu *burq*, musieli powiedzieć rzeczy raczej niestosowne jak na magów, ale skądinąd Praxeas był już z nimi w zażyłych stosunkach.

Jednego wieczoru, kiedy i on, i oni mieli nieźle w czubie, powiedział:

– Panowie i najmilsi goście, długo rozmyślałem nad każdym słowem, jakie padło z waszych ust od dnia przybycia do nas, i spostrzegłem, że nigdy nie utrzymywaliście, iż jesteście magami, na których czekamy. Nadal mniemam, że nimi jesteście, jeślibyście jednak przypadkiem, powtarzam: przypadkiem, nimi nie byli, nie z waszej winy wszyscy by was za nich brali. Tak czy inaczej, pozwólcie, że przemówię do was jak brat do swych braci. Wiecie już, jaką kloaką pełną wszelkiej herezji jest Pndapetzim i jak trudno utrzymać w ryzach cały ten potworny motłoch, z jednej strony strasząc go Białymi Hunami, a z drugiej obejmując rolę interpretatorów woli i słów księdza Jana, którego nigdy nie widzieli. Do czego może być użyteczny nasz młodziutki diakon, zauważyliście także wy. Gdybyśmy my, eunuchowie, mogli liczyć na wsparcie autorytetu magów, umocniłaby się nasza władza. Umocniłaby się i potwierdziła tutaj, ale mogłaby również rozciągnąć się... na inne miejsca.

– Na królestwo księdza? – spytał Poeta.

– Jeśli tam dotrzecie, będą musieli was uznać za prawowitych władców. Wy, żeby tam dotrzeć, potrzebujecie nas, my zaś potrzebujemy was tutaj. Jesteśmy osobliwym rodzajem ludzi, innym niż te potwory, które rozmnażają się według marnych praw ciała. Eunuchem zostajesz dlatego, że inni eunuchowie cię wybierają i czynią eunuchem. W tym położeniu, które wielu uważa za nieszczęście, my czujemy się jak w jednej rodzinie, a my to także wszyscy inni eunuchowie, rządzący gdzie indziej, i wiemy, że są bardzo możni również na odległym Zachodzie, nie mówiąc nawet o wielu królestwach w Indiach i Afryce. Wystarczyłoby, żebyśmy mogli, władając potężnym ośrodkiem, zawrzeć tajne przymierze z naszymi współbraćmi na całej ziemi, a stworzylibyśmy najrozleglejsze z wszystkich cesarstw. Tego cesarstwa nikt nie mógłby podbić ani zniszczyć, gdyż jego siłą nie byłyby wojska i ziemie, lecz pajęczyna porozumienia. Wy zaś bylibyście symbolem i rękojmią naszej władzy.

Następnego dnia Praxeas odwiedził Baudolina i zwierzył się, że ma uczucie, jakby poprzedniego wieczoru mówił rzeczy niegodziwe i niedorzeczne, które nigdy nie przychodziły mu nawet do głowy. Przepraszał, błagał, by zapomnieli jego słów. Przy pożegnaniu powtórzył: „Proszę, byś pamiętał o zapomnieniu”.

– Ksiądz, nie ksiądz – skomentował to wydarzenie jeszcze tego samego dnia Poeta – Praxeas ofiarowuje nam królestwo.

– Chyba oszalałeś – odrzekł Baudolino. – Mamy przed sobą zadanie i przysięgliśmy Fryderykowi, że je wykonamy.

– Fryderyk spoczywa w grobie – odparł oschle Poeta.

Za przyzwoleniem eunuchów Baudolino często odwiedzał diakona. Zaprzyjaźnili się i Baudolino opowiadał mu o zburzeniu Mediolanu, założeniu Aleksandrii, o tym, jak wdzierać się na mury i co robić, by podpalić katapulty i tarany oblegających. Choć twarz młodziutkiego

diakona była zasłonięta, Baudolino gotów byłby przysiąc, że podczas tych opowiadań błyszczą mu oczy.

Potem Baudolino zaczął wypytywać diakona o teologiczne spory rozpalające prowincję i miał wrażenie, że odpowiadając, młodzieniec uśmiechał się z melancholią.

– Królestwo księdza jest bardzo stare – wyjaśnił – i znalazły w nim schronienie wszystkie sekty, które w ciągu wieków usunięto z chrześcijańskiego świata Zachodu. – I nie ulegało wątpliwości, że dla niego nawet Bizancjum, o którym wiedział niewiele, należy do najdalszego Zachodu. – Ksiądz nie chciał żadnemu z tych wygnańców odebrać jego wiary i ich nauki uwiodły rozmaite rasy zamieszkujące królestwo. Lecz cóż właściwie za znaczenie ma to, jaka jest naprawdę Trójca Przenajświętsza? Wystarczy, by ci ludzie trzymali się nakazów Ewangelii, przecież nie pójdą do piekła tylko z tej przyczyny, że według ich mniemania Duch pochodzi jeno od Ojca. To dobrzy ludzie, pewnie to spostrzegłeś, i serce mi się ściska, kiedy pomyślę, że pewnego dnia być może wszyscy będą musieli oddać życie, broniąc królestwa przed nawałą Białych Hunów. Widzisz więc, że póki będzie żył mój ojciec, pozostanę władcą królestwa *morituri*. Ale może wcześniej sam umrę.

– Co też powiadasz, panie? Po głosie i po samej godności dziedzicznego księdza poznaję, że nie jesteś stary.

Diakon potrząsnął głową. Baudolino pomyślał, że trzeba podnieść rozmówcę na duchu, i starał się go rozweselić, opowiadając o swoich i kompanów wyczynach w czasach, kiedy pobierał nauki w Paryżu, ale spostrzegł rychło, iż w ten sposób rozbudza w tym człowieku szaleńcze pragnienia i złość, gdyż nie mógł ich zaspokoić. W tych opowieściach Baudolino pokazywał siebie takim, jakim był naprawdę, zapominając, że jest przecież jednym z magów. Ale także diakon nie zwracał już na to uwagi i dawał do zrozumienia, że nigdy nie wierzył w jedenastu magów i recytował po prostu lekcję, której nauczyli go eunuchowie.

Pewnego dnia Baudolino, widząc jasno przygnębienie diakona, który nie mógł korzystać z radości, jakie daje wszystkim ludziom młodość, spróbował wskazać mu, że można mieć serce pełne miłości do nieosiągalnej ukochanej, i opowiedział o swej namiętności do najszlachetniejszej z dam i o listach do niej. Diakon wypytywał go podnieconym głosem, a potem wybuchnął lamentem zranionego zwierzęcia.

– Wszystko jest mi zakazane, Baudolinie, nawet marzyć o miłości. Gdybyś wiedział, jak bardzo chciałbym galopować na czele wojska, czując zapach wiatru i krwi. Tysiąc razy lepiej polec w bitwie, szepcząc imię ukochanej, niż siedzieć w tej pieczarze i czekać... Na co? Może na nic...

– Przecież ty, o panie – rzekł na to Baudolino – staniesz na czele wielkiego królestwa i, oby Bóg zachował jak najdłużej przy życiu twego ojca, opuścisz pewnego dnia tę jaskinię, a wtedy Pndapetzim będzie jedynie ostatnią i najbardziej zapadłą z twoich prowincji.

– Kiedyś zrobię to czy tamto, kiedyś będę tym czy owym... – szepnął diakon. – Skąd mogę mieć pewność? Widzisz, Baudolinie, moją najgłębszą troską, i niechaj Bóg mi wybaczy, że robak zwątpienia gryzie moje serce, jest myśl, iż nie ma żadnego królestwa. Kto mi o nim mówił? Eunuchowie. Od moich czasów dziecięcych. Od kogo wracają posłańcy, których oni, tak, właśnie oni, wysyłają do mego ojca? Od nich, od eunuchów. Czy jednak ci posłańcy naprawdę wyruszają? Czy naprawdę wracają? Czy naprawdę istnieli? Wszystkiego, co wiem, dowiaduję się od eunuchów. A jeśli owo wszystko, ta prowincja i być może świat cały, jest tylko owocem spisku eunuchów, którzy zadrwili ze mnie zupełnie tak samo jak z ostatniego spośród Nubijczyków i jednonogich? A może Biali Hunowie wcale nie istnieją? Trzeba być człowiekiem głębokiej wiary, by nie zwątpić w Stworzyciela nieba i ziemi i najtrudniejsze do zgłębienia tajemnice naszej świętej religii, choć odstręczają przecież nasz rozum. Lecz wiara w tego niezrozumiałego Boga jest rzeczą nieskończenie łatwiejszą od wiary, której wymaga się ode mnie, od wiary wyłącznie w eunuchów.

– Nie, panie, nie, przyjacielu – pocieszał go Baudolino – królestwo twojego ojca istnieje, gdyż słyszałem o nim nie od eunuchów, lecz od ludzi, którzy w nie wierzą. Dzięki wierze rzeczy stają się prawdą. Moi ziomkowie uwierzyli w nowe miasto, którego przestraszy się potężny cesarz, i miasto powstało dlatego właśnie, że chcieli w nie wierzyć. Królestwo księdza jest prawdziwe, ponieważ ja i moi towarzysze poświęciliśmy dwie trzecie żywota na jego odnalezienie.

– Nawet jeśli istnieje – odparł diakon – kto wie, czy je zobaczę.

– Dość już tego – rzekł pewnego dnia Baudolino. – Lękasz się, że królestwo nie istnieje, i czekając na moment, kiedy je zobaczysz, pogrążasz się w bezgranicznej nudzie, która cię zabije. Właściwie nie masz żadnych zobowiązań wobec eunuchów czy księdza. Oni wybrali cię jeszcze jako oseska, nie mogłeś więc wybrać ich. Pragniesz życia pełnego przygód i chwały? Wyjedź, dosiądź któregoś z naszych koni, pojedź na ziemię Palestyny, gdzie waleczni chrześcijanie zmagają się z Maurami. Zostań bohaterem, skoro tak o tym marzysz, w Ziemi Świętej nie brak zamków, w których przebywa mnóstwo księżniczek gotowych oddać życie za jeden twój uśmiech.

– A czy widziałeś mój uśmiech? – spytał wówczas diakon.

Jednym ruchem zerwał z twarzy zasłonę i Baudolino zobaczył upiorną maskę, czerwone wargi odsłaniające zgniłe dziąsła i zepsute zęby. Skóra na twarzy poszarzała i miejscami całkiem odpadła, ukazując odrażającą czerwień ciała. Oczy przebłyskiwały spod przeżartych od ropy powiek. Czoło było jedną raną. Diakon miał długie włosy, rzadka rozwidlona broda pokrywała to, co zostało z podbródka. Zdjął rękawiczki i ukazały się wychudzone dłonie pokryte ciemnymi guzami.

– To trąd, Baudolinie, trąd, który nie oszczędza ni królów, ni innych możnych tego świata. Odkąd skończyłem dwadzieścia lat, żyję z tą tajemnicą, której nie zna mój lud. Poprosiłem eunuchów, by pchnęli posłańców do mego ojca, aby wiedział, że nie obejmę po nim tronu, i czym

prędzej wychował sobie innego następcę. Powiedzieliby, że umarłem, ukryłbym się w jakiejś kolonii przeznaczonej dla takich jak ja i nikt by więcej o mnie nie słyszał. Ale eunuchowie twierdzą, że ojciec pragnie, bym pozostał. Nie wierzę im. Dla eunuchów słaby diakon jest bardzo wygodny, może nawet umrę, a oni będą trzymać moje zabalsamowane ciało w tej pieczarze i rządzić w imieniu mojego trupa. Może po śmierci księdza jeden z nich zajmie moje miejsce i nikt nie powie, że to nie ja, gdyż nikt nie widział mojej twarzy, a w królestwie widziano mnie jako niemowlę karmione mlekiem matki. Oto czemu godzę się na to, że umieram z nudów, Baudolinie, ja, którego śmierć przeżarła już do szpiku kości. Nigdy nie będę rycerzem, nigdy nie będę kochankiem. Nawet ty zrobiłeś oto bezwiednie trzy kroki w tył. A może zauważyłeś i to, że Praxeas, rozmawiając ze mną, stoi w odległości pięciu kroków. Patrz, jedynymi, którzy ważą się być przy mnie, są ci dwaj osłonięci eunuchowie, młodzi jak ja, dotknięci tą samą chorobą, mogący dotykać sprzętów, które ja miałem w ręku, nie mają bowiem nic do stracenia. Pozwól, że okryję twarz, a może znowu uznasz, że nie jestem niegodny twego towarzystwa, jeśli już nie przyjaźni.

– Szukałem słów pocieszenia, panie Niketasie, lecz nie znajdowałem. Milczałem. A potem powiedziałem mu, że w porównaniu ze wszystkimi rycerzami ruszającymi do szturmu na miasto on jest największym bohaterem, bo przyjmuje swój los w milczeniu i z godnością. Podziękował mi i poprosił, bym już poszedł. Ale ja czułem odtąd afekt do tego nieszczęśnika i odwiedzałem go teraz codziennie. Opowiadałem o niegdysiejszych lekturach, o dysputach, jakie toczyły się na dworze, opisywałem mu miejsca, które widziałem, od Ratyzbony po Paryż, od Wenecji po Bizancjum, a dalej Ikonium, Armenię i ludy napotkane podczas naszej wędrówki. Jego przeznaczeniem było umrzeć i nie zobaczyć niczego poza *loculi* w Pndapetzim, starałem się więc, by przeżył wszystko poprzez

moje opowieści. A być może także zmyślałem, mówiłem o miastach, których nigdy nie odwiedziłem, o bitwach, w których nie brałem udziału, o księżniczkach, których nie posiadłem. Opowiadałem mu o cudach ziem, nad którymi gaśnie słońce. Dzięki mnie rozkoszował się zachodem słońca nad Propontydą, szmaragdowymi błyskami w weneckiej lagunie, pewną doliną w Hibernii, gdzie siedem białych kościołów wznosi się nad milczącym jeziorem pośród stad równie białych owiec, opowiadałem mu o tym, że Alpy są zawsze okryte delikatną białą substancją, która latem rozpuszcza się i tworzy majestatyczne wodospady, a potem ginie w rzekach i potokach spływających po stokach porośniętych kasztanami, opowiadałem o solnych pustyniach na apulijskim wybrzeżu, dygotał z przejęcia, kiedy wspominałem morza, po których nigdy nie żeglowałem, a ponad które wyskakują ryby wielkie jak osioł i tak łagodne, że ludzie mogą ich dosiadać niczym koni, mówiłem o podróżach świętego Brendana na Wyspy Szczęśliwe i o tym, jak pewnego dnia, myśląc, iż przybija do lądu pośrodku mórz, zszedł na grzbiet wieloryba, ryby olbrzymiej niby góra, potrafiącej połknąć cały okręt, lecz musiałem przy tym objaśnić mu, co to takiego okręt, owa drewniana ryba prująca wody pod białymi żaglami, wyliczałem mu cudowne zwierzęta z mojego kraju, jelenia o dwóch wielkich rogach w kształcie krzyża, bociana przelatującego z jednej ziemi do drugiej i sprawującego pieczę nad starzejącymi się rodzicami, których bierze na plecy, by przemierzać z nimi przestwór, biedronkę czerwoną i usianą mlecznobiałymi plamkami, tak że przypomina maleńki grzyb, jaszczurkę, która jest podobna do krokodyla, ale tak mała, że potrafi prześlizgnąć się pod drzwiami, kukułkę, która podrzuca swe jaja do gniazd innych ptaków, sowę, która ma okrągłe i świecące niby lampy oczy i żywi się oliwą z kościelnych lamp, jeża, zwierzę z kolcami na grzbiecie, wysysające mleko z krowich wymion, ostrygę, ową żywą szkatułkę, która wytwarza czasem piękno martwe, lecz nieocenionej wartości, słowika, który spędza noc na czuwaniu i śpiewie i żyje, adorując różę, langustę, opancerzonego

i płomieniście czerwonego potwora, który ucieka tyłem przed ludźmi łasymi na jego mięso, węgorza, przerażającego wodnego węża, tłustego i o wybornym smaku, mewę, która unosi się nad wodami, jakby była aniołem bożym, ale wydaje z siebie przenikliwe krzyki jak diabeł, kosa, czarnego żółtodziobego ptaka, który umie mówić jak ludzie i jest donosicielem, bo powtarza wszystko, z czego zwierzył mu się jego pan, łabędzia, który unosi się majestatycznie na wodach jeziora, a w chwili śmierci śpiewa pieśń pełną słodyczy, gibką niby dzieweczka łasicę, sokoła, który rzuca się z góry na swą ofiarę i przynosi ją rycerzowi, który go ułożył. Wymyślałem splendor klejnotów, których nigdy nie widział – ni zresztą ja – purpurowe i mleczne cętki murryny, liliowe i białe żyłki niektórych kamieni egipskich, biel aurychalconu, przejrzystość kryształu, blask diamentu, a potem sławiłem przepych złota, miękkiego metalu, z którego można robić cieniutkie płatki, mówiłem o syku rozżarzonych ostrzy, kiedy zanurza się je w wodzie dla zahartowania, o tym, jakie niewyobrażalne relikwiarze można zobaczyć w skarbcach wielkich opactw, jakie wysokie i smukłe są wieże naszych kościołów, jakie wyniosłe i proste kolumny konstantynopolskiego Hipodromu, jakie księgi pełne znaków przypominających insekty czytają Żydzi i jakie dźwięki wydają podczas czytania, jak pewien wielki chrześcijański król otrzymał od kalifa żelaznego koguta, który sam śpiewał o wschodzie słońca, czym jest kula, która wiruje, wyrzucając z siebie parę, jak rozniecają płomień zwierciadła Archimedesa, jak przerażający jest nocą widok wiatraka, potem zaś opowiadałem mu o Gradalisie, o nadal szukających go rycerzach z Bretanii, o tym, że my powierzymy to naczynie jego ojcu, gdy tylko odnajdziemy niecnego Zosimę. Widząc, że wszystkie te splendory urzekają go, lecz ich niedostępność zasmuca, pomyślałem, że dobrze będzie, jeśli dowie się o cierpieniach gorszych niż jego, o kaźni Andronika, i to ze szczegółami znacznie gorszymi niż w rzeczywistości, o rzeziach w Cremie, o jeńcach z odciętymi dłońmi, uszami czy nosem, błysnąłem mu przed oczami

niewysłowionymi chorobami, przy których trąd jest zwykłym słabowaniem, opisałem mu jako ohydne i straszne skrofuły, różę, taniec świętego Wita, ognie świętego Antoniego, ukąszenie tarantuli, świerzb, który zmusza człowieka do zdrapywania kolejnych warstw łuszczącej się skóry, skutki jadu kobry, mękę świętej Agaty, której wyrwano piersi, świętej Łucji, której wyłupiono oczy, świętego Sebastiana, którego przeszyto strzałami, świętego Szczepana, któremu rozłupano kamieniami głowę, świętego Wawrzyńca, którego upieczono na wolnym ogniu, i zmyślałem innych świętych i inne okropności, że świętego Ursycyna wbito na pal, aż wyszedł mu ustami, że świętego Sarapiona obłupiono ze skóry, świętego Mopsuestiusza przywiązano za cztery kończyny do czterech rozhukanych koni i w ten sposób poćwiartowano, świętego Drakoniusza zmuszono do picia wrzącej smoły... Miałem wrażenie, że te okropności przynoszą mu ulgę, a potem zląkłem się, że przesadziłem, i znowu zacząłem mu opisywać cuda świata, które często dawały temu więźniowi pokrzepienie, wdzięk paryskich dziewcząt, omdlewający czar weneckich nierządnic, niezrównany urok cesarzowej, dziewczęcy śmiech Colandriny, oczy dalekiej księżniczki. Wpadał w podniecenie, prosił, bym dalej snuł opowieść, pytał, jakie włosy miała Melisanda, hrabina Trypolisu, jakie wargi owe olśniewające piękności, które bardziej niż święty Gradalis oczarowały rycerzy z Brocelandii, i znowu wpadał w podniecenie; niechaj Bóg mi wybaczy, lecz zda mi się, że raz, drugi miał wzwód i zaznał rozkoszy, wylewając nasienie. I dalej starałem się, by uświadomił sobie, jak bardzo świat jest bogaty w pobudzające zmysły wonności, a ponieważ nie miałem ich ze sobą, próbowałem przypomnieć sobie nazwy tych, które poznałem, i tych, z których poznałem tylko owe nazwy, uważałem bowiem, że same nazwy są równie upajające jak zapachy, wyliczyłem mu więc malabatrum, benzoes, kadzidło, nard, licium, sandarakę, cynamon, drzewo sandałowe, szafran, imbir, kardamon, kasję, cytwar, wawrzyn, majeranek, kolendrę, koper, dracenę, jambłusznik goździkowy, sezam, mak, gałkę muszkatołową,

cytronelę, kurkumę i kminek. Diakon słuchał, prawie omdlewając, dotykał twarzy, jakby jego nieszczęsny nos nie mógł znieść wszystkich tych woni, pytał z płaczem, co dotychczas dawali mu do jedzenia przeklęci eunuchowie pod pretekstem jego choroby, kozie mleko i chleb maczany w *burq*, który, jak powiadali, jest dobry na trąd, był więc całymi dniami otępiały, prawie cały czas spał i ciągle miał w ustach ten sam smak, dzień po dniu.

– Przyspieszałeś tylko śmierć, doprowadzając go do najwyższego uniesienia i udręki wszystkich zmysłów. Zaspokajałeś swe upodobanie do snucia bajek, ponosiła cię duma z tego, co wymyślałeś.

– To być może, ale dzięki mnie przeżył szczęśliwie tę resztę dni, jakie mu pozostały. A poza tym opowiadam ci o naszych spotkaniach, jakby odbywały się dzień po dniu, choć w tym czasie także we mnie rozgorzał nowy płomień i żyłem bez przerwy w stanie uniesienia, które próbowałem mu przekazać, dzieląc się z nim, pod postacią zmyślenia, swoim własnym dobrem. Poznałem Hypatię.

32

Baudolino spotyka damę z jednorożcem

– Najpierw była historia z armią potworów, panie Niketasie. Strach przed Białymi Hunami narastał i dręczył nas coraz bardziej, ponieważ jakiś skiapoda dotarł do samych krańców prowincji (te istoty lubiły biec czasem bez końca, jakby ich wolą rządziła ta nigdy nie znużona jedyna noga) i wrócił z wieścią, że ich widział: mieli żółte twarze, bardzo długie wąsy i byli drobnej postury. Dosiadali równie jak oni małych koników, które jednak były bardzo szybkie i wyglądały, jakby tworzyły jedno ciało z jeźdźcami. Na wędrówkę przez pustynie i stepy zabierali poza orężem tylko skórzany bukłak na mleko i mały garnuszek z wypalanej gliny, w którym gotowali jadło, jakie znaleźli po drodze, mogli jednak całymi dniami pędzić przed siebie, nie jedząc i nie pijąc. Napadli na karawanę jednego z kalifów, która rozbiła swe wspaniałe namioty, szli w niej niewolnicy, odaliski, wielbłądy... Wojownicy kalifa ruszyli na Hunów, a wyglądali pięknie i przerażająco: ogromni mężowie pędzący na wielbłądach, zbrojni w swe zakrzywione miecze. Hunowie udali, że cofają się pod impetem tego uderzenia, ale zaraz zamknęli swych wrogów w ruchomym kręgu i wydając przerażające okrzyki, wybili ich co do jednego. Potem rzucili się na obóz i wyrżnęli wszystkich – kobiety, sługi, jednym słowem wszystkich, nawet dzieci – zostawiając jednego jedynego świadka masakry. Podpalili namioty i pomknęli dalej, nie dbając nawet o to, by splądrować obóz, a to znak, że tylko dlatego dokonywali swego niszczycielskiego dzieła, żeby po całym świecie rozeszła się wieść, iż

w miejscu, przez które przejdą, nie rośnie nawet trawa, i żeby strach sparaliżował ich przyszłe ofiary. Być może przed rozpoczęciem opowieści jednonogi wypoczywał dłuższą chwilę przy *burq*, któż jednak mógłby sprawdzić, czy widział to wszystko, czy też bredził? Strach krążył po Pndapetzim, jego obecność wyczuwało się w powietrzu, w ściszonych głosach, jakimi wieści wędrowały z ust do ust – jakby najeźdźcy już teraz mogli je usłyszeć. W tej sytuacji Poeta postanowił potraktować poważnie oferty – aczkolwiek przebrane w szaty pijackiego bełkotu – z którymi wystąpił Praxeas. Powiedział mu: Biali Hunowie będą tu lada chwila, a kogóż wystawisz przeciw nim? Nubijczyków, to oczywiste, wojowników gotowych poświęcić życie, ale co dalej? Poza pigmejami, którzy umieją posługiwać się łukiem i strzelać do żurawi, jednonogich, którzy będą walczyć gołymi rękami, szczudłonogich, którzy ruszą do ataku z członkiem jako ościeniem, bezjęzycznych, których poślesz na rozpoznanie, by opowiedzieli, co zobaczyli? A przecież z tej zbieraniny potworów można, wykorzystując możliwości każdego z nich, sformować groźne w bitwie wojsko. I jest człowiek, który potrafiłby to osiągnąć, mianowicie ja, Poeta.

– Zwycięski wódz może myśleć o cesarskiej koronie. U nas, w Bizancjum, nieraz tak bywało.

– Z pewnością o tym właśnie myślał mój przyjaciel. Eunuchowie wyrazili skwapliwie zgodę. Moim zdaniem, póki był pokój, Poeta ze swoim wojskiem nie stanowił żadnego zagrożenia, a jeśliby doszło do wojny, mógłby przynajmniej opóźnić wtargnięcie tamtych wściekłych wojowników do miasta, dając nam więcej czasu na przeprawę przez góry. A poza tym armia to możliwość utrzymywania poddanych w gotowości i posłuszeństwie, a bez wątpienia tego właśnie zawsze pragnęli eunuchowie.

Baudolino, który nie kochał wojny, poprosił, by zostawiono go w spokoju. Pozostali nie zamierzali przypatrywać się z boku. Poeta

utrzymywał, że pięciu aleksandryjczyków to dobrzy dowódcy, widział wszak oblężenie ich miasta, i to od strony pokonanych. Ufał także Ardzrouniemu, który mógłby nauczyć potwory budowania takiej czy innej machiny wojennej. Nie wzgardził też Solomonem: armia – rzekł – musi mieć człowieka biegłego w sztuce medycznej, bo nie da się przecież usmażyć omletu bez rozbijania jajek. W końcu doszedł do wniosku, że nawet Boron i Kyot, których uważał przedtem za ludzi bujających w obłokach, mogą mieć udział w jego planach, ponieważ jako ludzie wykształceni będą prowadzili księgi armii, dbali o tabory, przygotowywali odpoczynek dla wojowników.

Rozważył pieczołowicie naturę i zalety każdego rodzaju potworów. Jeśli chodzi o Nubijczyków i pigmejów, sprawa była jasna: dość wyznaczyć im pozycje w przyszłej bitwie. Skiapodów można ze względu na ich szybkość użyć jako oddziałów szturmowych, rzecz w tym tylko, by mogli zbliżyć się do nieprzyjaciela, prześlizgując się błyskawicznie wśród paproci i traw, i zaskoczyć owe żółte gęby z długimi wąsami. Wystarczy, zgodnie z sugestiami Ardzrouniego, wyćwiczyć ich w strzelaniu z dmuchawy, czyli fistuły a ten oręż łatwo sporządzić, jako że czego jak czego, ale trzciny jest tu w bród. Być może Solomon wśród obfitości ziół na targu znajdzie jakąś truciznę odpowiednią do zanurzenia w niej strzałek, i niech nie robi min, bo wojna to wojna. Solomon odparł, że w czasach Masady jego lud stanowił dla Rzymian twardy orzech do zgryzienia, bo Żydzi nie należą do tych, których można bezkarnie policzkować, choć tak właśnie mniemają poganie.

Olbrzymi też mogą być dobrze wykorzystani, aczkolwiek nie na odległość, gdyż mają tylko jedno oko, ale w walce z bliska, na przykład wyłaniając się spośród traw natychmiast po ataku skiapodów. Przy swoim wzroście będą tak górowali nad maleńkimi końmi Białych Hunów, że zatrzymają je jednym uderzeniem w pysk, a potem ujmą takiego konika gołymi rękami za grzywę i potrząsną, by strącić z siodła jeźdźca i rozdeptać go stopą, która wielkością dwakroć przewyższa stopę skiapodów.

Mniej oczywisty był sposób wykorzystania blemiów, szczudłonogich i wielkouchych. Ardzrouni zaproponował, by ci ostatni, wyposażeni w rozłożyste uszy, szybowali w powietrzu. Skoro ptaki utrzymują się w górze, bijąc skrzydłami, czemuż wielkousi nie mieliby czynić tego samego uszami – potwierdził Boron – a na szczęście nie muszą bić nimi w próżni. Tak zatem wielkouchych pozostawiono jako rezerwę na wypadek, gdyby doszło do nieszczęścia i Biali Hunowie, przełamawszy pierwsze linie obrony, wtargnęli do miasta. Wielkousi już by na nich czekali w swych skalnych kryjówkach i runęliby im z góry na głowy, by poderżnąć gardła – pod warunkiem że posiądą umiejętność biegłego posługiwania się nożem, choćby i obsydianowym. Blemiów nie można było postawić na czujce, żeby bowiem cokolwiek zobaczyć, musieliby wystawić cały tors, a to w wojennej potrzebie byłoby zwykłym samobójstwem. Rozstawieni na właściwych stanowiskach całkiem niezgorzej nadawali się na zastęp szturmowy, albowiem Biały Hun przywykł (można założyć) do ataku na głowę przeciwnika, kiedy więc zobaczy przeciwnika bez głowy, sam straci przynajmniej na chwilę głowę. I tę chwilę mają wykorzystać blemiowie, by rzucić się z kamiennymi toporami pod końskie brzuchy.

Słabym punktem wojskowego planu Poety byli szczudłonodzy, jak bowiem wysłać na bój ludzi z penisem na piersi, którzy przy pierwszym zwarciu oberwą po jajcach i padną na ziemię, zwijając się z bólu i wzywając matkę? Można ich jednak użyć jako czujki, gdyż dowiedziano się, że penis był dla nich niby owadzie czułki, które przy najmniejszej zmianie wiatru lub ciepłoty powietrza sztywnieją i zaczynają wibrować. Mogli więc z powodzeniem pełnić obowiązki zwiadowców wysłanych w straży przedniej, a jeśli nawet wszyscy polegną pierwsi – rzekł Poeta – trudno, na wojnie jak na wojnie, nie ma miejsca na chrześcijańskie zmiłowanie.

Bezjęzycznych najpierw zamierzano pozostawić sobie samym, ponieważ byli niezdyscyplinowani i mogli przysporzyć dowódcy więcej kłopotów niż

nieprzyjaciel. Potem uznano jednak, że jeśli użyje się bicza, można zagonić ich do pracy na tyłach, by pomagali najmłodszym eunuchom, którzy pod okiem Solomona będą zajmować się rannymi i utrzymywać spokój wśród kobiet i dzieci wszystkich ras, bacząc, by żadne nie wystawiało głowy ze swej kryjówki.

Gavagai, kiedy spotkali się po raz pierwszy, wymienił między innymi satyrów-niewidków i Poeta uznał, że ci mogliby atakować rogami, skacząc niby kozy na swoich rozdwojonych kopytach, ale na wszystkie pytania o ten lud uzyskiwał odpowiedzi wymijające. Mieszkają w górach, po drugiej stronie jeziora (którego?), no i rzecz jasna nikt ich nigdy nie widział. Choć urzędowo rzecz biorąc, byli poddanymi księdza, żyli w istocie własnym życiem, nijak nie obcowali z innymi, wszystko toczyło się więc tak, jakby ich nie było. Zaraz, zaraz – powtarzał Poeta – przede wszystkim mają zapewne rogi wygięte, zakrzywione do środka albo na zewnątrz, żeby więc uderzyć, musieliby ułożyć się brzuchem do góry lub stanąć na czterech nogach, bądźmy poważni, nie prowadzi się na wojnę koziego wojska.

– Owszem, prowadzi – odparował Ardzrouni.

Opowiedział o pewnym wielkim wodzu, który przywiązał kozom do rogów pochodnie i tysiące ich popędził nocą na równinę, którą nadciągali nieprzyjaciele, by pomyśleli, że obrońcy mają ogromną armię. Gdyby miało się pod ręką sześciorogie kozy, skutek byłby zaiste piorunujący.

– Owszem, pod warunkiem jednak, że nieprzyjaciel nadciąga nocą – rzucił sceptycznym tonem Poeta.

Niechaj jednak Ardzrouni przygotuje jak najwięcej kóz i pochodni, bo przecież nigdy nie wiadomo.

Trzymając się tych nieznanych Wegecjuszowi ani Frontynusowi zasad, przystąpiono do ćwiczeń. Równina była pełna skiapodów, którzy szkolili się w wypuszczaniu strzałek z nowiutkich fistuł, a Porcelli klął w żywy kamień za każdym razem, kiedy mylili się co do celu; dobrze przynajmniej,

że wzywał tylko imienia Jezusa, gdyż dla tych heretyków wzywanie nadaremno imienia syna przybranego nie było żadnym grzechem. Colandrino zajął się uczeniem wielkouchych latania, czego nigdy dotąd nie robili, choć wydawało się, że właśnie do tego stworzył ich Pan Bóg. Trudno było chodzić ulicami Pndapetzim, gdyż w momencie, kiedy człowiek najmniej się tego spodziewał, walił się mu na głowę jakiś wielkouchy, wszyscy jednak pogodzili się z koniecznością przygotowań wojennych i nikt się nie skarżył. Najbardziej uszczęśliwieni tym wszystkim byli wielkousi, do tego stopnia bowiem zdumiało ich odkrycie swych niesłychanych możliwości, że nawet ich niewiasty, nawet dzieci chciały uczestniczyć w przedsięwzięciu, i Poeta z przyjemnością na to przystał.

Scaccabarozzi ćwiczył olbrzymów w sztuce chwytania konia, ponieważ jednak nie było tu żadnych koni poza tymi, które należały do magów i które po dwóch czy trzech takich ćwiczeniach mogły wyzionąć ducha, wybór padł na osły. Nawet lepiej, gdyż osły wierzgały i ryczały i trudniej było złapać je za kark niż galopującego konia, ale po jakimś czasie olbrzymi robili to z niezrównaną biegłością. Musieli się poza tym nauczyć biegania w pozycji skulonej wśród paproci, żeby nieprzyjaciel nie od razu ich zobaczył, i niejeden uskarżał się, gdyż po takich ćwiczeniach bolało go w krzyżach.

Boidi szkolił pigmejów, bo Biały Hun to przecież nie to samo co żuraw i trzeba mu mierzyć prosto między oczy. Poeta wpajał wiedzę wojenną Nubijczykom, którym nie trzeba było niczego innego jak śmierci w bitwie, Solomon pracował nad trującymi substancjami i co chwilę nasączał nimi jakieś ostrze, ale tyle osiągnął, że raz udało mu się uśpić na kilka minut królika, a raz spowodował, iż kokosza zaczęła fruwać, wybornie – dodawał mu otuchy Poeta – Biały Hun, który zasypia choćby na jedną zdrowaśkę albo zaczyna trzepotać ramionami, to Hun martwy, idźmy więc dalej.

Cuttica wychodził z siebie, zajmując się blemiami, których uczył, jak wpełznąć pod konia i rozpłatać mu brzuch jednym ciosem topora, ale kiedy

podjął próby z osłami, nie poszło zgoła jak po maśle. Jeśli chodzi o szczudłonogich, którzy byli odkomenderowani do służb kwatermistrzowskich i taborowych, kłopot wzięli na siebie Boron i Kyot.

Baudolino doniósł diakonowi, co się dzieje, i w młodzieńca wstąpił nowy duch. Uzyskawszy pozwolenie eunuchów, kazał się wyprowadzić na zewnętrzne schody i z wysoka przyglądał się ćwiczącym chorągwiom. Oznajmił, że chce się nauczyć dosiadać konia, by poprowadzić do boju swych poddanych, ale zaraz potem zasłabł, być może za bardzo się wzruszywszy, i eunuchowie odprowadzili go na tron, by z powrotem mógł pogrążyć się w swym zasmuceniu.

W tych właśnie dniach Baudolino, trochę z ciekawości, a trochę z nudów, zaczął się zastanawiać, gdzie mogą żyć satyrowie-niewidkowie. Wypytywał wszystkich, nawet któregoś ze szczudłonogich, choć ich języka nigdy nie udało mu się zrozumieć. Ten zaś odparł: *Prug frest frinss sorgdmand strochdt drhds pag brlelang gravot chavygny rusth pkalhdrcg*, a to Baudolinowi niewiele powiedziało. Nawet Gavagai nie wychodził poza ogólniki. Tam – rzekł i wskazał palcem na zachód, na łańcuch błękitnych wzgórz, za którymi rysowały się w oddali góry, ale nikt nigdy tam nie dotarł, gdyż satyrowie nie kochają intruzów. „Jakie poglądy mają satyrowie?” – spytał Baudolino, a Gavagai na to, że tkwią w gorszym błędzie niż inni, utrzymują bowiem, iż nie było żadnego grzechu pierworodnego. Śmiertelność ludzi wcale nie jest skutkiem tego grzechu, byliby śmiertelni nawet, gdyby Adam nie zjadł jabłka. W tej sytuacji odkupienie jest niepotrzebne i każdy może się zbawić, gdyż zależy to tylko od jego dobrej woli. Cała historia Jezusa służy jedynie temu, byśmy mieli przed oczyma przykład życia w cnocie, i tyle. „Prawie jak heretycy od Mahumetha, którzy powiadają, że Jezus był tylko prorokiem”.

Na pytanie, dlaczego nikt nigdy nie wyprawił się do satyrów, Gavagai odparł, że u stóp wzgórz satyrów jest las z jeziorem w środku i że nikomu

nie wolno przebywać w pobliżu, gdyż mieszka tam pewna rasa niegodziwych niewiast, które są pogankami. Eunuchowie powiadają, że dobry chrześcijanin nie zapuszcza się w tamte strony, bo naraziłby się na złe czary, nikt więc nie próbuje wędrówki w stronę wzgórz. Ale milczek Gavagai tak dokładnie opisał szlak, że można by pomyśleć, iż on sam albo jakiś inny jednonogi, biegając, jak to jednonodzy, to tu, to tam, nie omieszkał zajrzeć również w okolice wzgórz.

To wystarczyło, żeby podsycić ciekawość Baudolina. Poczekał na moment, kiedy nikt nie zwracał na niego uwagi, a wtedy dosiadł konia, w niecałe dwie godziny pokonał rozległy porośnięty krzewami teren i znalazł się na skraju lasu. Przywiązał konia do drzewa i zagłębił się w pełne świeżości i zapachów zarośla. Potykając się co krok o jakieś korzenie, ocierając o ogromne grzyby najrozmaitszych barw, dotarł w końcu nad jezioro, po którego drugiej stronie wznosiły się wzgórza satyrów. Nastała już pora zmierzchu, przejrzyste wody jeziora zasnuwał mrok i odbijały się w nich długie cienie nadbrzeżnych cyprysów. Panowała tu zupełna cisza, której nie zakłócał nawet śpiew ptaków.

Kiedy Baudolino medytował nad tym wodnym zwierciadłem, zobaczył nagle, że z lasu wyłania się zwierzę, którego nigdy w życiu nie widział, choć bez trudu je rozpoznawał. Wyglądało jak źrebię, było całe białe i subtelne, i gibkie w swych ruchach. Na pięknie ukształtowanym łbie, tuż nad czołem, wyrastał róg, biały jak całe zwierzę, spiralnie skręcony i zakończony ostrym szpikulcem. Był to jednorożec albo, jak mówił Baudolino w czasach dzieciństwa, lworożec, monoceros z dziecięcych fantazji. Podziwiał go, wstrzymawszy oddech, gdy z zarośli wyłoniła się postać niewieścia.

Uzbrojona we włócznię, otulona długą suknią, pod którą rysowały się powabnie małe jędrne piersi, istota posuwała się leniwym krokiem jak camelopardus, a szatą muskała trawy zdobiące brzegi jeziora, jakby unosiła

się nad ziemią. Miała długie i jedwabiste jasne włosy, które spływały jej do bioder, i przeczysty rysunek twarzy, jakby wyryty w kości słoniowej. I ta leciutko zaróżowiona twarz zwracała się w niemej modlitwie ku jezioru. Koło niej jednorożec grzebał co jakiś czas spokojnie kopytem w ziemi i unosił raz po raz pysk z małymi nozdrzami, prosząc w ten sposób o pieszczotę.

Baudolino patrzył w uniesieniu na to widowisko.

– Mógłbyś pomyśleć, panie Niketasie, że od początku podróży nie widziałem niewiasty godnej tego miana. Nie zrozum mnie źle, proszę: nie czułem zgoła pożądania, lecz raczej potrzebę niewinnej adoracji, nie tylko dla niej, ale także dla owego zwierzęcia, dla pełnego spokoju jeziora, gór, światła chylącego się ku końcowi dnia. Czułem się jak w świątyni.

Baudolino szukał słów, które opisałyby to, na co wówczas patrzył – choć z pewnością było to niemożliwe.

– Widzisz, są takie chwile, kiedy sama doskonałość objawia się nam w czyjejś dłoni lub twarzy, w cieniach na górskim stoku albo na morzu, a wtedy, wobec cudu piękna, zamiera w nas serce... Ta istota wydawała mi się wspaniałym ptakiem wodnym, to czaplą, to łabędziem. Powiedziałem, że miała jasne włosy, ale to nie tak, kiedy bowiem poruszała lekko głową, połyskiwały błękitem, a czasem wydawało się, iż przemyka po nich zwiewny płomień. Widziałem profil piersi, miękki i delikatny jak pierś gołębicy. Byłem już tylko spojrzeniem. Widziałem coś odwiecznego, gdyż zdawałem sobie sprawę, że patrzę nie na piękną istotę, lecz na samo piękno, jakby na świętą myśl Boga. Odkrywałem, że doskonałość, gdy człowiek raz, i tylko raz, ją ujrzy, jest czymś lekkim jak puch i czarującym. Przyglądałem się tej postaci z daleka, czułem jednak, iż jest dla mnie nieuchwytna, jak to bywa, kiedy jest się posuniętym w latach i zdaje się człowiekowi, że widzi wyraźne znaki na pergaminie, lecz wie przecież, że z bliska rozmyją się i nigdy nie odczyta tajemnicy, którą obiecywała karta,

albo kiedy we śnie pojawia się coś, czego pragnie, wyciąga więc rękę, porusza w powietrzu palcami i niczego nie chwyta.

– Zazdroszczę ci tej chwili oczarowania.

– Nie chciałem jej zniweczyć, zmieniłem się więc w posąg.

33

Baudolino poznaje Hypatię

Czar jednak prysł. Dziewczyna była stworzeniem leśnym i wyczuła obecność Baudolina. Obróciła się ku niemu. Ani przez chwilę nie była przerażona, po prostu patrzyła na niego ze zdziwieniem.

Spytała po grecku:

– Kimże jesteś?

Ponieważ zaś milczał, podeszła doń śmiało i przyjrzała się mu z bliska – bez zawstydzenia, ale i bez gniewu – oczyma, które były jak włosy, tak samo się mieniły. Jednorożec zajął miejsce u jej boku i pochylił łeb, jakby chciał orężem pięknego rogu bronić swej pani.

– Nie jesteś z Pndapetzim – ciągnęła – nie jesteś ani eunuchem, ani potworem, a zatem musisz być... człowiekiem! – Najwyraźniej rozpoznała człowieka tak, jak on rozpoznał jednorożca: nigdy go nie widział, ale za to mnóstwo razy o nim słyszał. – Jesteś piękny, człowiek jest piękny, czy mogę cię dotknąć? – Wyciągnęła rękę i delikatnymi palcami pogładziła jego brodę, a potem musnęła szramę na twarzy, jak niegdyś Beatrycze. – To rana, czy należysz do ludzi, którzy parają się wojną? Co to takiego?

– Miecz – odparł Baudolino – lecz używam go do obrony przed dzikimi zwierzętami, nie jestem bowiem człowiekiem wojny. Nazywam się Baudolino i przybywam z ziem, nad którymi zachodzi słońce, stamtąd – wskazał niezbyt dokładnym gestem. Spostrzegł przy tym, że drży mu ręka. – A kim jesteś ty?

– Jestem jedną z hypatii – wyjaśniła tonem kogoś rozbawionego naiwnością pytania i roześmiała się, przez co jej uroda jeszcze bardziej zajaśniała. Potem, jakby przypominając sobie, że rozmawia z cudzoziemcem, dodała: – W lesie za tymi drzewami mieszkamy tylko my, hypatie. Nie boisz się mnie jak mieszkańcy Pndapetzim?

Tym razem uśmiechnął się Baudolino: zląkł się tylko, że hypatia może się przestraszyć.

– Często przychodzisz nad jezioro? – spytał.

– Nie zawsze – odparła hypatia. – Matka nie życzy sobie, byśmy opuszczały samotnie las. Lecz jezioro jest takie piękne, a poza tym strzeże mnie Akacjusz – wskazała jednorożca. W jej oczach pojawił się wyraz zatroskania. – Późno już. Nie powinnam oddalać się na tak długo. Nie powinnam rozmawiać nawet z mieszkańcami Pndapetzim, jeśliby któryś zapuścił się aż tutaj. Ale ty nie jesteś jednym z nich, jesteś człowiekiem, a nikt mi nie powiedział, bym trzymała się z dala od ludzi.

– Wrócę jutro – odważył się powiedzieć Baudolino – ale kiedy słońce będzie wysoko na niebie. Przyjdziesz?

– Nie wiem – odparła zmieszana hypatia – być może.

I zniknęła zwiewnie pośród drzew.

Tej nocy Baudolino nie mógł zasnąć, bo przecież już prześnił swój sen – powiadał sobie – i to sen, który zapamięta do końca życia. Ale następnego dnia w samo południe dosiadł konia i pojechał nad jezioro.

Czekał do wieczora, ale nikogo nie zobaczył. Niepocieszony wrócił do domu i na skraju miasta natknął się na grupę jednonogich, którzy ćwiczyli się w strzelaniu z fistuł. Ujrzał Gavagaia, który powiedział: „Ty patrzy!” Skierował trzcinę do góry, wyrzucił strzałę i przeszył nią ptaka, który spadł nieopodal. „Ja wielki wojownik – oznajmił. – Jeśli przybywa Biały Hun, ja staje w poprzek niego”. Baudolino powiedział: wybornie, wybornie,

i poszedł zaraz spać. Tej nocy śnił o spotkaniu z poprzedniego dnia, a rano pomyślał, że jeden sen to za mało na całe życie.

Znowu pojechał nad jezioro. Siedział na brzegu i słuchał śpiewu ptaków, które sławiły poranek, a potem cykad, gdy zaczął srożyć się demon godzin południowych. Nie było jednak gorąco, drzewa zapewniały rozkoszny chłód, bez przykrości minęło mu więc kilka godzin oczekiwania. Aż wreszcie się pojawiła.

Usiadła obok niego i powiedziała, że przyszła, bo chce dowiedzieć się czegoś więcej o ludziach. Baudolino nie wiedział, od czego zacząć, jął więc opowiadać o miejscu, gdzie przyszedł na świat, o wydarzeniach na dworze Fryderyka, o tym, czym są cesarstwa i królestwa, jak poluje się z sokołem, czym jest miasto i jak się je buduje, jednym słowem to, co opowiadał diakonowi, unikając jednak historii okrutnych i swawolnych. Snując swą opowieść, spostrzegł, że można nakreślić pełen miłości wizerunek rodzaju ludzkiego. Ona słuchała i jej oczy zabarwiały się rozmaitymi błyskami – zależnie od wzruszeń, które stawały się jej udziałem.

– Jak pięknie opowiadasz. Czy wszyscy ludzie opowiadają takie piękne historie?

Nie – wyznał Baudolino – być może on opowiada ich więcej i lepiej niż jego ziomkowie, ale są wśród nich także poeci, którzy umieją opowiadać jeszcze piękniej. I zaczął śpiewać jedną z pieśni Abdula. Hypatia nie rozumiała prowansalskich słów, ale podobnie jak Abkazi była oczarowana melodią. Jej oczy zasnuły się teraz mgłą.

– Powiedz mi – spytała, rumieniąc się odrobinę – czy z mężczyznami są też... ich niewiasty?

Powiedziała to tak, jakby rozumiała, że słowa, które śpiewał Baudolino, odnosiły się do niewiasty. Jakżeby nie – odparł Baudolino – jak jednonodzy łączą się z jednonóżkami, tak mężczyźni łączą się z niewiastami, inaczej nie można płodzić dzieci, tak jest przecież – dodał – na całym świecie.

– Mylisz się! – zaprzeczyła ze śmiechem hypatia. – Hypatie są tylko hypatiami i nie ma, jak by rzec... hypatów!

I znowu zaśmiała się, wyraźnie rozbawiona tą myślą. Baudolino jął się zastanawiać, co winien zrobić, by jeszcze raz skłonić ją do śmiechu, gdyż jej śmiech był najsłodszą muzyką, jaką słyszał w całym swym życiu. Kusiło go, by zapytać, jak rodzą się hypatie, skoro nie ma hypatów, ale bał się zranić jej niewinność. Zdobył się jednak na dość odwagi, by zapytać, kim są hypatie.

– Och – odparła – to długa historia, a ja nie umiem opowiadać tak pięknie jak ty. Musisz wiedzieć, że tysiące tysięcy lat temu w pewnym potężnym i dalekim mieście żyła cnotliwa i pełna mądrości niewiasta o imieniu Hypatia. Prowadziła szkołę filozofii, która jest umiłowaniem mądrości. Ale w tym mieście żyli także ludzie źli, którzy zwali się chrześcijanami, nie lękali się bogów, nienawidzili filozofii, a nade wszystko nie mogli znieść, że prawdę poznała niewiasta. Schwytali pewnego dnia Hypatię i zabili ją, zadając straszliwe męki. Kilka spośród jej najmłodszych uczennic oszczędzono, myślano bowiem, że nic nie wiedzą i są przy Hypatii tylko po to, by jej służyć. Uciekły, ale chrześcijanie byli już wszędzie, i musiały długo wędrować, nim znalazły to pełne spokoju miejsce. I tutaj właśnie starają się zachować to, czego nauczyła ich mistrzyni, ale słyszały owe nauki, kiedy były jeszcze bardzo młode i dalekie od jej mądrości, nie pamiętały zatem wszystkich jej wskazań. Powiedziały więc sobie, że będą żyły we własnym kręgu z dala od świata i starały się odtworzyć to, co naprawdę powiedziała Hypatia. Także dlatego, że Bóg pozostawił cień prawdy w głębi serca każdego z nas i chodzi tylko o to, by wydobyć ten okruch prawdy na powierzchnię, podobnie jak miąższ owocu wydobywa się z łupiny, i dać mu rozbłysnąć w blasku wiedzy.

Bóg, bogowie, którzy nie będąc Bogiem chrześcijan, siłą rzeczy byli bogami fałszywymi... Co też opowiada ta hypatia? – zastanawiał się

Baudolino. Ale niewiele o to dbał, dość mu było słyszeć jej głos i gotów byłby umrzeć za jej prawdę.

– Powiedz mi przynajmniej jedno – przerwał. – Jesteście hypatiami na pamiątkę tamtej Hypatii, i to dobrze pojmuję. Ale jak zwiesz się ty?

– Hypatia.

– Nie, mam na myśli ciebie jako kogoś odmiennego od innych hypatii... To znaczy, jak cię zwą twe towarzyszki?

– Hypatia.

– Lecz przecież dzisiejszego wieczoru wrócisz do miejsca, gdzie żyjesz, i natkniesz się najpierw na jedną jedyną hypatię. Jak ją pozdrowisz?

– Życząc jej miłego wieczoru. Tak się robi.

– No tak, ale kiedy ja wrócę do Pndapetzim i napotkam, powiedzmy, któregoś z eunuchów, on powie: miłego wieczoru, o Baudolinie. Ty powiesz: miłego wieczoru, o... i co dalej?

– Powiem: miłego wieczoru, Hypatio.

– Wszystkie więc nosicie imię Hypatia.

– To zrozumiałe, wszystkie hypatie noszą imię Hypatia, żadna nie różni się od innej, bo w przeciwnym razie nie byłaby hypatią.

– A jeśli któraś hypatia szuka cię właśnie teraz, kiedy cię tam nie ma, i pyta inną hypatię, czy nie widziała tej hypatii, która oddaliła się z jednorożcem o imieniu Akacjusz, co mówi?

– To, co i ty, to jest, czy nie widziała hypatii, która oddaliła się z jednorożcem o imieniu Akacjusz.

Gdyby Baudolino usłyszał taką odpowiedź z ust Gavagaia, poczułby pokusę, żeby trzasnąć go na odlew w pysk. Z Hypatią było jednak zupełnie inaczej i nasz Baudolino pomyślał tylko, jak cudowne jest miejsce, gdzie wszystkie hypatie noszą imię Hypatia.

– Musiało minąć kilka dni, panie Niketasie, zanim zrozumiałem, kim naprawdę są hypatie...

– Ponieważ widywaliście się jeszcze nieraz, jak mniemam.

– Codziennie albo prawie. Że nie mogłem się obejść bez jej widoku i bez dźwięku jej głosu, pewnie cię i nie dziwi, lecz mnie dziwiło i wprawiało w nieskończoną dumę to, że także ona była szczęśliwa, widując i słuchając mnie... Stałem się... stałem się jak niemowlę, które szuka matczynej piersi, a kiedy matki przy nim nie ma, płacze, gdyż lęka się, że matka już nie wróci.

– Tak samo bywa z psami i ich panami. Lecz ta sprawa z hypatiami wielce mnie zaciekawiła. Chodzi o to, że jak zapewne wiesz, a może i nie wiesz, Hypatia żyła naprawdę, choć nie przed tysiącami lat, lecz osiem stuleci temu, i mieszkała w egipskiej Aleksandrii, kiedy cesarstwem władał Teodozjusz, a potem Arkadiusz. Była ponoć naprawdę niewiastą wielkiej mądrości, biegłą w filozofii, matematyce i astronomii, i nawet mężczyźni pili każde słowo z jej ust. Kiedy już nasza święta wiara zatryumfowała na wszystkich obszarach cesarstwa, pozostała garść buntowników, którzy próbowali utrzymać przy życiu myśl filozofów pogańskich, jak choćby boskiego Platona, i nie neguję, że czynili dobrze, przekazując także nam, chrześcijanom, jego wiedzę, inaczej bowiem poszłaby całkiem w zapomnienie. Tyle że jeden z największych chrześcijan owych czasów, późniejszy święty Kościoła, Cyryl, człowiek wielkiej wiary i równie wielkiego nieprzejednania, uznał nauki Hypatii za sprzeczne z Ewangeliami i podburzył przeciwko niej tłum ciemnych i zajadłych chrześcijan, którzy nie wiedzieli zgoła, co Hypatia głosi, ale uznali ją, poświadcza Cyryl i inni, za kłamczynię i rozpustnicę. Być może oczerniono ją niesłusznie, aczkolwiek prawdą jest i to, że niewiasty nie powinny mieszać się do spraw boskich. Krótko mówiąc, zawlekli ją do świątyni, zerwali z niej odzienie, zabili ją i zmasakrowali jej ciało ostrymi skorupami rozbitych naczyń, a w końcu rzucili zwłoki na stos... Powstało mnóstwo legend. Powiadano,

że była piękna, ale złożyła śluby dziewictwa. Pewien młodzieniec, uczeń Hypatii, zakochał się w niej do szaleństwa, ona zaś pokazała mu kawałek płótna ze swoją krwią miesięczną i powiedziała, że to tylko jest przedmiotem jego pożądania, nie zaś piękno samo w sobie... W istocie, nikt nie wie, czego naprawdę nauczała. Zaginęły wszystkie jej pisma, ci, co poznali mądrość Hypatii prosto z jej ust, zostali zabici lub starali się zapomnieć słów, które od niej usłyszeli. Wszystko, co o niej wiemy, przekazali nam święci ojcowie, którzy ją potępili, a uczciwie ci powiadam, jako piszący kroniki i historie, że nie warto dawać zbyt wielkiej wiary słowom, jakie wróg wkłada w usta swego wroga.

Spotykali się nieraz, wiele razy rozmawiali. Hypatia mówiła, a Baudolino pragnął, by jej nauka była jak najobszerniejsza, mógłby bowiem bez końca pić słowa z jej ust. Odpowiadała na wszystkie pytania Baudolina z nieulękłą szczerością, nigdy się nie rumieniąc: nic nie było dla niej przedmiotem obrzydliwego zakazu, wszystko było przejrzyste.

Baudolino zdobył się w końcu na odwagę i zapytał, jak to się dzieje, że hypatie istnieją od tylu już wieków. Odpowiedziała, że w każdej porze roku Matka wybiera kilka z nich, które mają urodzić dziecko, i towarzyszy im do miejsca, gdzie są zapładniane. Hypatia wyrażała się w tej kwestii nader niejasno, nigdy oczywiście nie widziała tych, którzy dokonują dzieła zapłodnienia, lecz nie widziały ich także hypatie wyznaczone do tego obrządku. Prowadzono je nocą w pewne miejsce, gdzie piły odurzający i upajający napój, poddawano je zapłodnieniu, a potem wracały do wspólnoty, przy czym te, które zaszły w ciążę, aż do dnia rozwiązania były pod pieczą towarzyszek: jeżeli owocem ich łona był chłopczyk, oddawano go zapładniającym, by wychowali go na jednego z nich, jeśli zaś dziewczynka, pozostawała we wspólnocie i wyrastała na hypatię.

– Łączenie się cielesne, jak czynią to zwierzęta, które nie mają wszak duszy – wyjaśniała Hypatia – to sposób na to, by powielać błąd, jaki wkradł

się w dzieło stworzenia. Hypatie posyłane do zapłodnienia godzą się na upokorzenie tylko dlatego, że musimy przecież istnieć, by odkupić świat pogrążony w tym błędzie. Która z nas doznała zapłodnienia, nie pamięta, co się z nią działo, a gdyby nie zgodziła się na to w duchu poświęcenia, naruszyłaby naszą apatię...

– A co to takiego?

– To stan, w którym każda hypatia żyje i jest szczęśliwa.

– Z powodu błędu w dziele stworzenia?

– Ależ, Baudolinie – powiedziała hypatia, śmiejąc się z jego naiwnego zdziwienia – czyżbyś uważał, że świat jest doskonały? Spójrz na ten kwiat, spójrz, jaka delikatna łodyga, spójrz na to porowate jakby oko królujące w jego środku, spójrz na wszystkie jednakowe płatki, odrobinę wygięte, by mogły niby w konchę zbierać poranną rosę, spójrz, z jaką radością oddaje się owadowi, który wysysa z niego życiodajne płyny... Czyż to nie piękne?

– Zaiste piękne. Czyż to piękno nie jest rzeczą piękną? Czyż nie jest to cud boży?

– Baudolinie, jutro rano ten kwiat będzie martwy, a za dwa dni zostanie z niego tylko zgnilizna. Chodź ze mną.

Zaprowadziła go w leśne poszycie i pokazała grzyb o czerwonym, usianym złotymi cętkami kapeluszu.

– Czy jest piękny? – spytała.

– Tak, jest.

– Ale trujący. Kto go zje, musi umrzeć. Uważasz, że piękne jest dzieło stworzenia, choć zaczaiła się w nim śmierć? Czy wiesz, że ja też umrę pewnego dnia i ja też obróciłabym się w zgniliznę, gdyby moim przeznaczeniem nie było odkupienie Boga?

– Odkupienie Boga? Wyjaśnij...

– Czyżbyś i ty był chrześcijaninem, Baudolino, jak owe potwory z Pndapetzim? Chrześcijańscy zabójcy Hypatii wierzyli w okrutną boską

istotę, która stworzyła świat, a wraz z nim śmierć i, co gorsza, cierpienia fizyczne i chorobę duszy. Istoty stworzone potrafią nienawidzić, zabijać, zadawać cierpienia bliźnim. Nie wierzysz chyba, że sprawiedliwy Bóg skazał swych synów na takie utrapienia...

– Przecież to wszystko czynią niesprawiedliwi ludzie, Bóg zaś karze ich i zbawia dobrych.

– Czemu więc ów Bóg stworzył nas, narażając na potępienie?

– Albowiem najwyższym dobrem jest wolność czynienia dobra lub zła, a Bóg, obdarzając swych synów tym dobrem, wolnością, musiał pogodzić się z myślą, że ten i ów uczyni z niej zły użytek.

Czemu powiadasz, że wolność jest dobrem?

– Bo jeśli ci ją zabiorą, jeśli zakują w łańcuchy, jeśli nie pozwolą robić tego, co pragniesz, cierpisz, a stąd wniosek, że brak wolności jest złem.

– Czy możesz tak obrócić głowę, by spojrzeć za siebie, ale obrócić naprawdę, zobaczyć własne plecy? Czy możesz wejść do jeziora i pozostać w nim do zmroku, to znaczy pod wodą, ani razu nie wystawiając ponad nią głowy? – spytała i roześmiała się.

– Nie, gdybym bowiem próbował tak obrócić głowę, skręciłbym sobie kark, a gdybym trwał pod wodą, nie mógłbym oddychać. Bóg stworzył mnie właśnie takim, bym nie zrobił sobie czego złego.

– Powiadasz zatem, że odebrał ci jedną lub drugą wolność tylko dla twojego dobra, prawda?

– Abym nie cierpiał.

– Po co więc dał ci wolność wybierania między dobrem i złem, skoro narażasz się w ten sposób na wiekuistą karę?

– Pan Bóg, dając nam wolność, sądził, że użyjemy jej w dobrych celach. Ale bunt aniołów wprowadził zło do świata, a wąż skusił Ewę i wskutek tego wszyscy cierpimy z powodu grzechu pierworodnego. To nie jest wina Boga.

– A kto stworzył zbuntowanych aniołów i węża?

– Bóg, to rzecz oczywista, lecz nim się zbuntowali, byli dobrzy, czyli tacy, jakimi ich stworzył.

– Więc nie oni stworzyli zło?

– Nie, oni tylko je popełnili, lecz istniało przedtem jako możność zbuntowania się przeciw Bogu.

– Czyli to Bóg stworzył zło?

– Hypatio, jesteś bystra, wrażliwa, przenikliwa, umiesz prowadzić *disputatio* znacznie lepiej niż ja, którym przecież odbył studia w Paryżu, nie mów mi jednak takich rzeczy o dobrym Panu Bogu. Bóg nie mógł pragnąć zła!

– Z pewnością, gdyż Bóg, który pragnąłby zła, byłby przeciwieństwem Boga.

– A zatem?

– A zatem Bóg odkrył zło, zgoła go nie pragnąc, jako mroczną cząstkę samego siebie.

– Bóg jest wszak najdoskonalszym z bytów!

– To pewne, Baudolinie, Bóg jest wszystkim najdoskonalszym, co może istnieć, gdybyś jednak wiedział, jakie to męczące być doskonałością! A teraz, Baudolinie, powiem ci, kim Bóg jest, czyli kim nie jest.

Zaiste nie bała się niczego. Powiedziała:

– Bóg jest jedyny i tak doskonały, że niepodobny do żadnej rzeczy, która jest, ani też do żadnej rzeczy, której nie ma. Nie możesz opisać Go słowami, jakie podsuwa ci twoja człowiecza pojętność, niby kogoś, kto gniewa się, gdy czynisz rzeczy złe, albo troszczy się o ciebie z dobroci, kogoś, kto ma usta, uszy, twarz, skrzydła albo kto jest duchem, ojcem lub synem, nawet siebie samego. O Jedynym nie możesz powiedzieć, że jest albo że Go nie ma, wszystko mieści w sobie, lecz nie jest żadną rzeczą. Możesz określić Go tylko poprzez niepodobieństwa, gdyż na nic się zda

zwać Go Dobrocią, Pięknem, Mądrością, Powabem, Mocą, Sprawiedliwością, byłoby to bowiem tym samym, co zwać Go Niedźwiedziem, Panterą, Wężem, Smokiem lub Gryfem, cokolwiek bowiem powiesz, nie zdołasz Go wyrazić. Bóg nie jest ciałem, nie jest postacią, nie jest formą, nie jest ilością, jakością, ciężarem ni lekkością, nie widzi, nie czuje, nie zna nieładu ni zamętu, nie jest duszą, pojętnością, wyobraźnią, poglądem, myślą, słowem, liczbą, porządkiem, wielkością, nie jest równością i nie jest nierównością, nie jest czasem i nie jest wiecznością, jest wolą, która donikąd nie zdąża. Postaraj się to pojąć, Baudolinie, Bóg jest kagankiem bez płomienia, płomieniem niedającym ciepła, ciemnym światłem, niemym grzmotem, ślepą błyskawicą, świetlistą sadzą, promieniem własnego mroku, kręgiem, który rozszerza się, kurcząc ku swemu środkowi, samotną mnogością, jest... jest... – Zawahała się, szukając przykładu, który byłby przekonywający dla nich obojga, dla niej, nauczycielki, i dla niego, ucznia. – Jest przestrzenią, której nie ma, w której ty i ja jesteśmy tym samym, jak teraz, zanurzeni w czasie, który przestał płynąć.

Na policzku drgał jej jakby leciutki płomyk. Zamilkła, przestraszyła się tego niedorzecznego przykładu, lecz jakże można uznać za niedorzeczny jakikolwiek dodatek do spisu niedorzeczności? Baudolino poczuł, że przez pierś przemyka mu ten sam płomień, zląkł się jednak jej zakłopotania, zesztywniał, nie pozwalając, by choć jeden mięsień twarzy zdradził wzburzenie serca ani by w jego głosie pojawiło się drżenie.

– Co w takim razie z dziełem stworzenia? Co ze złem? – spytał z teologiczną stanowczością.

Na twarz Hypatii powróciła różowawa bladość.

– W takim razie Jedyny ze względu na swą doskonałość, ze względu na swą szczodrość skłania się do rozprzestrzeniania samego siebie, do rozszerzania się coraz obszerniejszymi sferami własnej pełni, jest niczym świeca, która pada ofiarą światła, jakie sama daje, im lepiej oświetla, tym

bardziej się rozpuszcza. Otóż to, Bóg roztapia się w cienie samego siebie, staje się całym tłumem bóstw zwiastujących, Eonów, które mają wiele z Jego mocy, ale w osłabionej już postaci. Jest mnóstwo bogów, demonów, Archontów, Tyranów, Sił, Iskier, Gwiazd i tych, których chrześcijanie zwą aniołami i archaniołami... Nie są jednak stworzeni przez Jedynego, są Jego emanacją.

– Emanacją?

– Widzisz tego ptaka? Prędzej czy później spłodzi innego ptaka, składając jajko, podobnie jak hypatia może wydać na świat dziecko ze swego łona. Ale zaraz po urodzeniu istota, zarówno mała hypatia, jak i ptaszek, żyje na własny rachunek i trwa nawet, jeśli zabraknie matki. A teraz pomyśl o ogniu. Ogień nie płodzi ciepła, lecz nim promieniuje, emanuje je. Ciepło jest tym samym co ogień, jeśli bowiem zgasisz ogień, znika też ciepło. Ciepło ognia jest największe tam, gdzie się ogień rodzi, a im bardziej ogień przemienia się w dym, tym bardziej ciepło słabnie. Tak jest i z Bogiem. W miarę jak się rozpościera coraz dalej od swego mrocznego środka, traci w pewnym sensie moc, aż wreszcie staje się lepką i głuchą materią niby bezkształtny wosk, w który roztapia się świeca. Jedyny nie chciałby emanować siebie aż tak daleko, lecz nie może oprzeć się temu roztapianiu do stanu mnogości i bezładu.

– I ten twój Bóg nie może zniszczyć zła, które... które powstaje wokół niego?

– Ależ tak, może. Jedyny bezustannie stara się wchłonąć na powrót ten jakby oddech, który może stać się trujący, i w ciągu siedemdziesiąt razy siedem tysięcy lat udawało mu się bezustannie wciągnąć z powrotem do nicości swoje cząstki. Życie Boga było uregulowanym oddechem, nienastręczającym żadnych trudności. O takim, posłuchaj. – Wciągnęła powietrze przez rozedrgane nozdrza, a potem wypuściła je ustami. – Pewnego dnia nie zdołał jednak zapanować nad jedną ze swych sił pośrednich, którą my nazywamy Demiurgiem i którym jest, być może,

Sabaot albo Ildabaot, fałszywy Bóg chrześcijan. Ta imitacja Boga wskutek błędu, pychy, niewiedzy stworzyła czas tam, gdzie przedtem była tylko wieczność. Czas to wieczność, która się jąka, czy pojmujesz? A wraz z czasem Demiurg stworzył ogień, który daje ciepło, ale może również wszystko spalić, wodę, która gasi pragnienie, ale może też utopić, powietrze, które pozwala nam oddychać, ale może stać się huraganem... Biedny Demiurg wszystko poplątał. Stworzył słońce, które daje światło, ale może też wyjałowić łąki, księżyc, który ledwie przez kilka dni włada nocą, potem zaś staje się cienki i umiera, inne ciała niebieskie, które są zachwycające, lecz mogą wysyłać zgubne influksy, a poza tym istoty, które są obdarzone rozumem, ale niezdolne do przeniknięcia wielkich tajemnic, zwierzęta, które raz są nam wierne, a raz nam zagrażają, rośliny, które nas karmią, ale żyją bardzo krótko, i minerały, które są bez życia, bez duszy, bez rozumu, skazane na wieczne niepojmowanie niczego. Demiurg był jak dziecko, które chce ulepić z błota pięknego jednorożca, ale wychodzi z tego coś, co przypomina mysz!

– Świat jest zatem chorobą Boga?

– Jeśli jesteś doskonały, nie możesz siebie nie emanować, jeśli zaś siebie emanujesz, popadasz w chorobę. A poza tym staraj się zrozumieć Boga w jego pełni, jest także miejscem czy też niemiejscem, gdzie łączą się przeciwieństwa, czyż nie tak?

– Przeciwieństwa?

– O tak, nieobce jest nam wszak ciepło i zimno, światło i ciemność, i mnóstwo innych rzeczy, które są sobie przeciwstawne. Czasem zimno sprawia nam przykrość i wydaje się nam złem w porównaniu z ciepłem, ale czasem czujemy nadmiar ciepła i tęsknimy do chłodu. To my w obliczu przeciwieństw wierzymy, zależnie od kaprysu albo namiętności, że jedno jest dobrem, a drugie złem. Otóż w Bogu przeciwieństwa łączą się i zyskują względem siebie harmonię. Kiedy jednak Bóg zaczyna siebie emanować, nie może już zapanować nad harmonią przeciwieństw, a wskutek tego ich

pary pękają i jedne ich człony walczą z drugimi. Demiurg utracił władzę nad przeciwieństwami i stworzył świat, w którym cisza i hałas, tak i nie, jedno dobro i drugie zmagają się między sobą. To właśnie odczuwamy jako zło.

Zapalając się, poruszała dłońmi jak dziecko, które mówiąc o myszy, kreśli w powietrzu jej kształt, a opowiadając o burzy, kreśli powietrzne wiry.

– Mówisz, Hypatio, o błędzie w dziele stworzenia i o złu, ale tak, jakby ciebie to wszystko nie dotyczyło, i żyjesz w tym lesie tak, jakby wszystko było nie mniej piękne niż ty sama.

– Skoro zło pochodzi od Boga, musi być w nim także coś dobrego. Słuchaj mnie, jesteś bowiem człowiekiem, a ludzie nie przywykli do tego, by we właściwy sposób myśleć o tym wszystkim, co jest.

– No tak, także ja myślę błędnie.

– Nie, ty po prostu myślisz. A myślenie to za mało, nie jest ono właściwym sposobem. Spróbuj wyobrazić sobie źródło, które nie ma początku i rozlewa się tysiącem rzek, nigdy nie wysychając. Źródło jest zawsze pełne spokoju i świeżości, zawsze przejrzyste, natomiast rzeki płyną do różnych miejsc, mętnieją od piachu, wciskają się między skały i krztuszą się zniewolone, a czasem wysychają. Rzeki bardzo cierpią, czy wiedziałeś o tym? A jednak także w rzekach i najbardziej błotnistych strugach płynie woda, która wzięła się z tego samego źródła co to jezioro. Jezioro cierpi mniej niż rzeka, gdyż w swej przejrzystości lepiej zapamiętało źródło, które je zrodziło, a pełen owadów staw cierpi bardziej niż jezioro i struga. Lecz wszyscy na tym świecie cierpią, chcieliby bowiem wrócić tam, skąd przybyli, a zapomnieli już, jak to osiągnąć.

Hypatia ujęła Baudolina za ramię i obróciła go twarzą do lasu. Przy tym ruchu ich twarze się zbliżyły i Baudolino poczuł roślinny zapach jej włosów.

– Spójrz na to drzewo. Od korzeni po najwyższy listek przenika je to samo życie. Lecz korzenie umacniają się w ziemi, pień nabiera sił i potrafi przetrwać zmiany pór roku, natomiast gałęzie mają skłonność do wysychania i pękania, a liście żyją kilka miesięcy i opadają, pąki zaś ledwie kilka tygodni. Wśród gałęzi jest więcej zła niźli w pniu. Drzewo jest jedno, ale cierpi, rozprzestrzeniając się, gdyż staje się wielością, a pomnażając się, słabnie.

– Lecz gałęzie są piękne, i ty korzystasz z ich cienia...

– Sam widzisz, Baudolinie, ty też możesz stać się mędrcem. Gdyby nie te gałązki, nie moglibyśmy usiąść i rozmawiać o Bogu, gdyby nie las, nigdy byśmy się nie spotkali, a to byłoby może najgorszym złem.

Powiedziała to tak, jakby chodziło o nagą i prostą prawdę, ale Baudolino raz jeszcze poczuł, jak coś przeszywa mu pierś, choć nie mógł ani nie chciał okazać wzruszenia.

– Wyjaśnij mi więc, jak to się dzieje, że jest wielu dobrych, przynajmniej w pewnej mierze, choć przecież są chorobą Jedynego?

– Sam widzisz, Baudolinie, ty też możesz stać się mędrcem. Powiedziałeś: w pewnej mierze. Mimo błędu pozostała w nas, istotach rozumnych, cząstka Jedynego, podobnie jak w każdej innej stworzonej istocie, od zwierząt po martwą materię. We wszystkim, co nas otacza, mieszkają bogowie, w roślinach, nasionach, kwiatach, korzeniach, krynicach, każda rzecz cierpi wprawdzie, gdyż jest marną imitacją myśli Boga, ale niczego bardziej nie pragnie, jak połączyć się z Nim na nowo. Musimy odnaleźć harmonię przeciwieństw, musimy pomagać bogom, musimy ożywiać owe iskierki, owe wspomnienia po Jedynym, które spoczywają pogrzebane w naszych duszach i w rzeczach.

Co najmniej dwa razy Hypatii wymknęła się uwaga, że dobrze jest być przy nim. To zachęcało Baudolina do powracania.

Pewnego dnia Hypatia opowiedziała mu, co czynią, żeby ożywić boże iskry w każdej rzeczy, ponieważ owe iskry poprzez fenomen sympatii prowadzą do czegoś doskonalszego niż one same, nie bezpośrednio do Boga, lecz do Jego mniej wycieńczonych emanacji. Powiodła go w pewne miejsce nad jeziorem, gdzie rosły słoneczniki, na wodzie zaś unosiły się kwiaty lotosu.

– Wiesz, co robi słonecznik? Podąża za słońcem, szuka go, modli się do niego i szkoda, że nie umiesz jeszcze wsłuchać się w szmer, jaki płynie przez powietrze, kiedy dokonuje w ciągu dnia tego okrężnego ruchu. Zrozumiałbyś, że wyśpiewuje słońcu swą pieśń. Spójrz teraz na lotos: otwiera się o wschodzie słońca, cały się ofiarowuje, kiedy słońce jest w zenicie, i zamyka swój kwiat o zachodzie. Sławi słońce, otwierając i zamykając pąki, jak my otwieramy i zamykamy usta podczas modlitwy. Te kwiaty żyją w związku sympatii z ciałem niebieskim, zachowują więc cząstkę jego mocy. Kiedy działasz na kwiat, działasz też na słońce, jeśli umiesz działać na słońce, możesz wpływać na to, co ono robi, a poprzez słońce sięgniesz do innej rzeczy, która pozostaje w związku sympatii ze słońcem, lecz jest od niego doskonalsza. Tak dzieje się nie tylko z kwiatami, ale także z kamieniami i zwierzętami. W każdym z nich mieszka jakiś pomniejszy bóg, który pragnie poprzez potężniejszych bogów dotrzeć do wspólnego początku. Od dzieciństwa uczymy się sztuki, która pozwala oddziaływać na możniejszych bogów i na nowo zadzierzgiwać zerwaną więź.

– Co masz na myśli?

– To proste. Uczymy się splatać w jedno, doskonałe i podobne bogom, kamienie, zioła, aromaty, by ukształtować... jakże ci to powiedzieć, naczynia wypełnione sympatią, w których gromadzi się moc wielu żywiołów. Widzisz, kwiat, kamyk, nawet jednorożec mają naturę boską, same jednak nie potrafią przywołać bogów większych. Dzięki sztuce nasze

mikstury, pomnażając moc każdego żywiołu, odtwarzają esencję, którą chcemy wezwać.

– A kiedy już wezwiecie owych bogów większych?

– Ta chwila to dopiero początek. Uczymy się, jak być posłanniczkami między tym, co jest na górze, i tym, co na dole, dowodzimy, że można poruszać się pod prąd, w którym Bóg emanuje siebie, tylko odrobinę co prawda, lecz pokazujemy przecież naturze, iż coś takiego jest możliwe. Najwyższym celem nie jest jednak dokonać na nowo połączenia słonecznika ze słońcem, lecz połączenia nas samych z początkiem. Tak zaczyna się asceza. Najpierw uczymy się postępować w sposób cnotliwy, nie zabijamy istot stworzonych, staramy się rozciągać harmonię na otaczające nas istoty, i choćby przez to możemy rozniecić ukryte zarzewia. Czy widzisz te łodygi roślin? Pożółkły i skłaniają się ku ziemi. Otóż potrafię dotknąć ich i sprawić, by drgnęły, by poczuły to, o czym zapomniały. Spójrz, odzyskują stopniowo świeżość, jakby dopiero co przebiły się na powierzchnię ziemi. Ale to za mało. Żeby ożywić to źdźbło trawy, wystarczy praktykować cnoty naturalne, osiągnąć doskonałość wzroku i słuchu, wigor ciała, pamięć i łatwość przyswajania sobie wiedzy, i subtelność zachowania, a to dzięki częstym ablucjom, obrzędom oczyszczającym, pieśniom i modlitwom. Krok do przodu robi się, kultywując mądrość, moc, umiar i sprawiedliwość, a wreszcie zyskuje się cnoty oczyszczające: próbujemy oddzielić duszę od ciała, uczymy się przywoływać bogów, nie mówić o bogach, jak czynią to inni filozofowie, lecz oddziaływać na nich, sprowadzając deszcz za pomocą magicznej kuli, rozmieszczając amulety przeciwko trzęsieniom ziemi, prowadząc doświadczenia z wieszczymi mocami trójnogów, ożywiając posągi, by usłyszeć z ich ust wyrocznie, wzywając Asklepiosa, by uzdrowił chorych. Uwaga jednak, tak czyniąc, musimy zawsze mieć się na baczności, by nie opętał nas któryś z bogów, wtedy bowiem można popaść w zamęt

i wzburzenie, a przez to oddalić się od Boga. Trzeba nauczyć się robienia tego wszystkiego z absolutnym spokojem.

Hypatia ujęła dłoń Baudolina, który nie poruszył ani trochę ręką, by nie zniknęło to uczucie ciepła.

– Baudolinie, być może wnosisz z moich słów, że dorównuję w ascezie moim starszym siostrom... Wiedz jednak, że daleko mi jeszcze do doskonałości. Jeszcze mieszam się, kiedy zbliżam różę do wyższej mocy, która jest jej przyjazna... A poza tym, cóż, nadal dużo mówię, a to znak, że nie mam mądrości, gdyż do cnoty dochodzi się w milczeniu. Ale mówię, bo ty tu jesteś i należy cię pouczyć, skoro zaś pouczam słoneczniki, czemu nie miałabym pouczać ciebie? Osiągniemy wyższe stadium doskonałości, kiedy będziemy umieli być razem, a nic nie mówić, wystarczy się dotykać, żebyś i tak wszystko rozumiał. Tak jak to jest ze słonecznikiem. – W milczeniu pogładziła słonecznik. A potem, także w milczeniu, pogłaskała dłoń Baudolina i rzekła tylko na koniec: – Czujesz?

Następnego dnia powiedziała mu o milczeniu, jakie zachowują hypatie, ażeby i on – wyjaśniła – mógł się go nauczyć.

– Trzeba wytworzyć w sobie absolutny spokój. Stajemy wówczas w zupełnej samotności w obliczu tego, o czym myślimy, co sobie wyobrażamy i co czujemy. I odnajdujemy uciszenie i spokój. Nie odczuwamy już ni gniewu, ni pragnienia, ni bólu, ni szczęścia. Wychodzimy poza siebie same, wznosimy się do absolutnej samotności i głębokiego ukojenia. Nie patrzymy już na rzeczy piękne i dobre, jesteśmy poza samym pięknem, poza chórem cnót, jesteśmy jak ktoś, kto wszedł do najtajniejszego wnętrza świątyni, zostawiając za sobą posągi bogów, i ma przed oczami wizję już nie wizerunków, lecz samego Boga. Nie musimy wtedy przyzywać mocy pośredniczących, wznosząc się ponad nie, przezwyciężamy ich niedoskonałość, w tym wycofaniu się, w tym niedostępnym i świętym miejscu osiągamy wyżyny znajdujące się ponad

rodem bogów i hierarchią Eonów, wszystko to będzie teraz w nas jakby wspomnieniem czegoś, co uleczyłyśmy z jego własnego bólu istnienia. Taki będzie koniec drogi, wyzwolenie, przecięcie wszystkich więzów, ucieczka ku Samotności tego, który jest teraz samotny. W tym powrocie do absolutnej prostoty nie zobaczymy już nic poza chwałą ciemności. Z opróżnioną duszą i umysłem przekroczymy granice królestwa rozumu, spoczniemy tam przepełnione czcią, jakbyśmy były wschodzącym słońcem, zamkniętymi oczami będziemy patrzeć na słońce światła, staniemy się ogniem, mrocznym ogniem w tym mroku, i drogami ognia dojdziemy do końca naszego szlaku. I wtedy to, po wędrówce pod prąd rzeki, będzie pokazane nie tylko nam, lecz także bogom i Bogu, że można wędrować pod prąd, uleczymy świat, zabijemy zło, sprowadzimy śmierć na śmierć, przetniemy węzeł, w który zaplątały się palce Demiurga. Naszym to, Baudolinie, przeznaczeniem jest uleczyć Boga, nam powierzone Jego odkupienie: poprzez naszą ekstazę doprowadzimy do tego, że całe dzieło stworzenia wróci do jądra Jedynego. To my damy Jedynemu siłę, która pozwoli mu na wielki oddech i wówczas wchłonie w siebie całe zło uwolnione podczas Jego wydechu.

– Wy tego dokonujecie, któraś z was tego dokonała?

– Czekamy na chwilę, kiedy się nam powiedzie, wszystkie przygotowujemy się do niej od stuleci, aż jednej z nas się uda. Od dzieciństwa wiemy, że nie jest konieczne, byśmy wszystkie wzniosły się do tego cudu: wystarczy, ażeby pewnego dnia, być może za następnych tysiąc lat, jedna jedyna z nas, wybranka, osiągnęła chwilę najwyższej doskonałości, a cud się dokona. Wówczas, pokazując, że z mnogości cierpiącego świata można wyjść i wrócić do Jedynego, przywrócimy Bogu stan ukojenia i ufności, siłę pozwalającą odzyskać równowagę we własnym centrum, wigor pozwalający odnaleźć rytm własnego oddechu.

Oczy jej błyszczały, twarz nabrała rumieńców, ręce prawie drżały, w głosie pojawił się ton udręki i wydawało się, że Hypatia błaga Baudolina,

by i on uwierzył w to objawienie. Baudolino zaś pomyślał, że być może Demiurg palnął mnóstwo błędów; lecz przecież istnieje ktoś taki jak ona, a to sprawia, iż świat jest miejscem upajającym i iskrzącym się wszelkimi doskonałościami.

Nie mógł się dłużej opanować: ośmielił się ująć jej dłoń i musnąć ją wargami. Hypatia drgnęła, jakby przeżyła w tym momencie coś nieznanego. Powiedziała najpierw: „Także w tobie mieszka jeden z bogów", a potem zakryła twarz dłońmi i Baudolino usłyszał, jak szepcze zdumiona: „Utraciłam... Utraciłam apatię..."

Odwróciła się i pobiegła w stronę lasu, nie oglądając się za siebie.

– Panie Niketasie, w tym momencie uświadomiłem sobie, że kocham, jak nie kochałem nigdy dotąd, lecz raz jeszcze kocham niewiastę, która nie może być moją. Jedna była dla mnie niedostępna przez swe szlachetne urodzenie, drugą zabrała mi mizeria śmierci, a oto trzecia nie mogła być moją, gdyż poświęciła się zbawianiu Boga. Oddaliłem się, wróciłem do miasta, rozmyślając nad tym, że być może nie powinienem już tu przyjeżdżać. I następnego dnia poczułem coś w rodzaju ulgi, kiedy Praxeas oznajmił mi, że w oczach mieszkańców Pndapetzim mam największy autorytet spośród magów, gdyż cieszę się zaufaniem diakona, on zaś chce, abym to ja objął komendę nad armią, którą tak dobrze szkoli Poeta. Nie mogłem uchylić się od tego zaszczytu, rozłam w grupie magów postawiłby nas w nieznośnym położeniu wobec współmieszkańców, a przecież wszyscy z takim zapałem gotowali się do wojny. Przyjąłem więc propozycję między innymi dlatego, że nie chciałem sprawiać zawodu skiapodom, wielkouchym, blemiom i wszystkim tym zacnym ludziom, do których czułem teraz szczere przywiązanie. A nade wszystko miałem nadzieję, że jeśli poświęcę wszystkie siły nowemu przedsięwzięciu, zapomnę o tym, co przeżyłem w lesie. Przez dwa dni czas wypełniały mi tysiące najróżniejszych zajęć. Gryzłem się jednak mimo tych obowiązków,

przerażała mnie myśl, że Hypatia przyszła nad jezioro i widząc, że nie przybywam, uznała, iż poczułem się urażony jej ucieczką i postanowiłem nigdy już jej nie spotykać. Dręczyłem się myślą, że ona się zamartwia i że nie zechce mnie więcej zobaczyć. Jeśli tak, czy pędząc w ślad za nią konno do miejsca, gdzie żyją hypatie, porywając ją, niszcząc spokój ich wspólnoty, odebrałbym jej niewinność przez to, że zmusiłbym do zrozumienia tego, czego nie powinna rozumieć, czy też ujrzałbym ją skupioną na swym zadaniu, uwolnioną już od króciutkiej chwili ziemskiej namiętności? Czy w ogóle była taka chwila? Na nowo przeżywałem każde jej słowo, każdy gest. Dwakroć, chcąc wyjaśnić, jaki jest Bóg, sięgnęła po przykład naszego spotkania, lecz być może był to tylko dziewczęcy, całkowicie niewinny sposób na to, by jej słowa stały się dla mnie przystępniejsze. Dwakroć dotknęła mnie, ale tak, jakby dotykała słonecznika. Zadrżała, czując moje wargi na swej dłoni, ale to naturalne: nigdy nie musnęły jej ludzkie wargi, było to dla niej coś takiego, jak potknąć się o korzeń i utracić wskutek tego równowagę, którą jej wpojono. Ta chwila minęła i Hypatia zaraz o niej zapomniała... Omawiałem z przyjaciółmi kwestie wojenne, musiałem zdecydować się, jaką pozycję wyznaczyć Nubijczykom, i sam już nie wiedziałem, na jakim świecie żyję. Za wszelką cenę chciałem uwolnić się od tej trwogi, chciałem wiedzieć. Musiałem zawierzyć swoje i jej życie komuś, kto utrzymywałby między nami kontakt. Gavagai nieraz dawał dowody oddania. Odbyłem z nim potajemnie rozmowę, raz po raz kazałem mu przysięgać, że mnie nie zdradzi, i wyjawiłem mu możliwie jak najmniej, tyle jednak, ile trzeba, aby zechciał pospieszyć nad jezioro i czekać. Poczciwy skiapoda był naprawdę człekiem szlachetnym, bystrym i dyskretnym. Nie zadawał zbyt wielu pytań, chyba niejednego się domyślił, przez dwa dni wracał o zmierzchu i mówił, że nikogo nie zobaczył, i był zasmucony, patrząc na moją pobladłą twarz. Trzeciego dnia przybył z ustami rozciągniętymi tym swoim uśmiechem jak sierp księżyca i oznajmił, że kiedy czekał sobie, leżąc

w cieniu swej stopy, ukazała się owa istota. Podeszła z ufnością i życzliwością, jakby spodziewała się kogoś tu zastać. Przyjęła ze wzruszeniem słowa, które kazałem mu przekazać („Ona chyba bardzo chce cię ujrzeć” – rzekł Gavagai z odrobiną złośliwości w głosie), i powiedziała, że codziennie, dzień po dniu, będzie przychodzić nad jezioro („Ona mówi to dwa razy”). Być może, rzucił półgębkiem Gavagai, ona też czeka od dawna na magów. Nazajutrz nie mogłem opuścić Pndapetzim, albowiem do swoich obowiązków wodza przykładałem się z zapałem, który zdumiał Poetę, wiedzącego wszak, że nie czułem pociągu do oręża, i wzbudziłem wielki entuzjazm w mojej armii. Wydawało mi się, że jestem panem świata, bez lęku stawiłbym czoło setce Białych Hunów. Dwa dni później, drżąc ze strachu, udałem się do tamtego miejsca naznaczonego piętnem przeznaczenia.

34

Baudolino odkrywa prawdziwą miłość

W ciągu tych dni wyczekiwania miotały mną, panie Niketasie, sprzeczne uczucia. Płonąłem pragnieniem, by ją ujrzeć, i bałem się, że nigdy już nie będzie mi to dane, wynajdywałem tysiące niebezpieczeństw, na jakie może być narażona, jednym słowem, moim udziałem były wszystkie uczucia właściwe miłowaniu, tyle że nie doświadczałem zazdrości.

– Nie pomyślałeś, że właśnie wtedy Matka mogła posłać ją do zapłodnienia?

– Ani mi to przyszło do głowy. Być może wiedząc, do jakiego stopnia do niej należę, myślałem, że ona tak samo należy do mnie, nie pozwoli więc, by tknął ją inny. Potem zastanawiałem się długo nad tym wszystkim i doszedłem do przekonania, że w miłości doskonałej nie ma miejsca na zazdrość. Zazdrość to podejrzenia, lęk i oszczerstwo, które wkradają się między kochanka i kochankę. A święty Jan powiedział, że miłość doskonała usuwa lęk. Nie doświadczałem zazdrości, lecz minuta po minucie próbowałem wyobrazić sobie jej twarz. Daremnie. Pamiętałem, co czułem, kiedy na nią patrzyłem, ale nie potrafiłem przywołać jej wizerunku. A przecież podczas naszych spotkań bezustannie wpatrywałem się w jej twarz, bezustannie...

– Czytałem, że coś takiego zdarza się tym, którzy kochają miłością przemożną... – rzekł Niketas z zakłopotaniem człowieka, który nigdy nie przeżył zapewne namiętności tak przepotężnej. – Czy nie tak było z Beatrycze i Colandriną?

– Nie, wtedy nie były moim udziałem aż takie cierpienia. Mniemam, że jeśli chodzi o Beatrycze, pielęgnowałem samą ideę miłości, która nie potrzebuje twarzy, a poza tym wywoływanie obrazu spraw cielesnych wydawało mi się jakimś świętokradztwem. Co się zaś tyczy Colandriny, po spotkaniach z Hypatią zdałem sobie sprawę, że nie było w tamtym związku namiętności, ale raczej radość, czułość i miłość, jaką mógłbym czuć, oby Bóg mi wybaczył, do córki lub młodszej siostry. Sądzę, że to właśnie przytrafia się wszystkim, którzy się zakochują, ale wówczas byłem przekonany, że Hypatia była pierwszą niewiastą, jaką naprawdę miłowałem, i to z pewnością prawda, jeszcze dzisiaj i na zawsze. Zrozumiałem potem, że prawdziwa miłość obiera sobie siedzibę w triklinium serca i tam znajduje spokój, skupiona na swych najszlachetniejszych sekretach, rzadko zaś wraca do komnat imaginacji. Dlatego też nie potrafi odtworzyć cielesnego kształtu nieobecnej kochanki. Tylko miłość zmysłowa, która nie przenika do zakamarków serca i żywi się wyłącznie pożądliwymi fantazjami, potrafi wytwarzać takie wizerunki.

Niketas milczał, z trudem tłumiąc uczucie zazdrości.

Ich spotkanie po tej przerwie było naznaczone lękiem i wzruszeniem. Jej oczy lśniły ze szczęścia, ale zaraz spuściła wstydliwie wzrok. Usiedli wśród traw. Akacjusz pasł się spokojnie nieopodal. Kwiaty pachniały mocniej niż zwykle i Baudolino czuł się, jakby ledwie musnął wargami *burq*. Nie śmiał otworzyć ust, uznał jednak, że powinien coś rzec, w przeciwnym bowiem razie intensywność milczenia skłoniłaby go do jakiegoś niestosownego gestu.

Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego słyszał nieraz, że prawdziwi kochankowie podczas pierwszej miłosnej schadzki bledną, drżą i są jak oniemiali. I dlaczego miłość, która bierze we władanie królestwo nie tylko natury, lecz i duszy, przyciąga ku sobie wszystkie ich siły, gdziekolwiek się znajdą. Kiedy więc kochankowie się spotykają, miłość prowadzi do

zaburzenia, prawie do obezwładnienia wszystkich funkcji ciała, zarówno cielesnych, jak i duchowych: dlatego język nie chce mówić, oczy widzieć, uszy słyszeć i wszystkie członki odmawiają spełniania swych powinności. To sprawia, że kiedy miłość zbyt długo się skrywa w głębi serca, pozbawione sił ciało ginie. Ale w pewnym momencie serce, palone żarem niecierpliwości, prawie wyrzuca z siebie namiętność, pozwalając ciału podjąć właściwe mu zadania. I wtedy kochanek zaczyna mówić.

– Tak to więc owe piękne i straszne rzeczy, któreś mi powiadała, to wszystko, co przekazuje innym Hypatia... – rzekł Baudolino, nie wyjaśniając zgoła, co czuje i co sobie w tej chwili uświadamia.

– Och! Wcale nie. Powiedziałam tylko, że matki założycielki naszego rodu uciekły i zapomniały wszystkiego, czego nauczała Hypatia, poza tym przykazaniem, iż wiedza to nasz obowiązek. Drogą kontemplacji odkrywałyśmy coraz więcej prawdy. W ciągu tysięcy lat każda z nas rozmyślała o otaczającym nas świecie i o tym, co czuje w swojej duszy, dlatego nasza wiedza wzbogacała się dzień po dniu, choć dzieło nie jest jeszcze zakończone. Może w tym, co ci mówiłam, są sprawy, których moje towarzyszki dotąd nie pojęły, a które ja pojęłam, starając się wyjaśnić je tobie. Tak właśnie każda z nas zyskuje mądrość, przekazując towarzyszkom to, co czuje, i w ten sposób nauczycielka sama się uczy. A gdyby nie było cię przy mnie, może nie umiałabym zobaczyć jasno niektórych spraw. Baudolino, jesteś moim demonem, moim dobrotliwym archontem.

– Czy wszystkie twoje towarzyszki są jak ty szczere i wymowne, słodka Hypatio?

– Och, jestem ostatnią pośród nich. Czasem żartują sobie ze mnie, bo nie umiem wyrazić tego, co czuję. Widzisz, Baudolinie, muszę ciągle jeszcze wzrastać. Ale w tych dniach byłam dumna, jakbym posiadła sekret, którego one nie znają, i sama nie wiem czemu, wolałam, by ten sekret pozostał sekretem. Nie pojmuję zbyt dokładnie, co się ze mną dzieje, to jakbym...

jakbym wolała mówić o wszystkim tobie raczej niźli im. Jak sądzisz, źle czynię, że sprawiam im taki zawód?

– Ale nie sprawiasz go mnie.

– Z tobą jest mi łatwo. Chyba mogłabym wyznać ci wszystko, co noszę w sercu. Nawet gdybym nie była pewna, czy jest to słuszne. Czy wiesz, co mi się przydarzało w tych dniach, Baudolinie? Śniłeś mi się. Kiedy się budziłam rankiem, myślałam sobie, że dzień wczorajszy był piękny, gdyż gdzieś tam byłeś. Potem przychodziło mi do głowy, że dzień był brzydki, bo cię nie widziałam. To dziwne, śmiejemy się, kiedy jesteśmy zadowolone, płaczemy, kiedy coś nas nęka, a mnie zdarza się teraz płakać i śmiać się w tej samej chwili. Może jestem chora? Lecz byłaby to piękna choroba. Czy to dobrze kochać swą chorobę?

– Tyś nauczycielką, przyjaciółko pełna słodyczy – uśmiechnął się Baudolino – nie powinnaś więc zwracać się z pytaniami do mnie, a to także dlatego, że cierpię, zda mi się, na tę samą chorobę.

Hypatia wyciągnęła rękę i raz jeszcze musnęła końcami palców bliznę na jego policzku.

– Musisz być kimś zacnym, Baudolinie, gdyż czuję przyjemność, kiedy cię dotykam. Podobnie jak niekiedy Akacjusza. Dotknij mnie i ty, może zdołasz rozniecić tę iskrę, która skrywa się gdzieś we mnie, choć ja sama nic o tym nie wiem.

– Nie, ukochana, lękam się bowiem, że mógłbym cię skrzywdzić.

– Dotknij tu, za uchem. O, właśnie tak, jeszcze... Może poprzez ciebie uda mi się przywołać któregoś z bogów. Musisz mieć na sobie jakiś znak, który wiąże cię z czymś, co istnieje poza tobą...

Wsunęła dłonie pod jego kaftan, przebierała palcami po porośniętej włosami piersi. Zaczęła wdychać zapach jego ciała.

– Porasta cię ruń, dobra ruń – powiedziała. I ciągnęła: – Jaki piękny jesteś pod spodem, delikatny jak młode zwierzątko. Czy jesteś młody? Nie

wiem, czym jest wiek mężczyzny. Czy jesteś młody?

– Jestem młody, ukochana, zaczynam się właśnie rodzić.

Gładziła mu włosy, ale było w tej pieszczocie coraz więcej gwałtowności, on zaś ujął obiema dłońmi jej kark i muskał końcem języka jej twarz, jakby był koziołkiem, a potem śmiał się, patrząc z bliska w jej oczy, i mówił, że smakuje solą. Nigdy nie był święty, toteż teraz przyciągnął ją do siebie i szukał wargami jej warg. Wydała z siebie jęk, w którym było uczucie lęku i zaskoczenie, przez chwilę próbowała się oswobodzić, a potem uległa. Jej usta pachniały brzoskwinią, morelą, raz po raz dotykała językiem jego języka, którego smak dopiero poznawała.

Baudolino odsunął się, nie z powodu cnotliwych myśli, lecz by zrzucić z siebie odzienie, i wtedy ona ujrzała jego członek, dotknęła go palcami, poczuła w nim życie i powiedziała, że go pragnie: nie ulegało wątpliwości, iż nie wie, jak i dlaczego go pragnie, ale jakaś moc zrodzona w borach i nad źródłami wskazywała jej, co ma czynić. Baudolino znowu jął okrywać ją pocałunkami, przesunął się wargami w dół szyi, potem na ramiona, a jednocześnie zsuwał z niej powoli suknię, odkrywał piersi, by zanurzyć w nich twarz, rękami odsłaniając biodra, wyczuwając nimi drobny, jędrny brzuch, dotykając pępka i prędzej, niż się spodziewał, docierając do owłosienia, które skrywało jej największy klejnot. Hypatia szeptem przyzywała go różnymi imionami: mój Eonie, mój Tyranie, moja Otchłani, moja Ogdoado, moja Pleromo...

Baudolino wsunął dłonie pod okrywające ją jeszcze szaty i wyczuł, że owłosienie, które zapowiadało, zdać by się mogło, kość łonową, gęstniało, pokrywało górną część nóg, wewnętrzną część ud i ciągnęło się ku pośladkom...

Zdarłem z niej suknię, panie Niketasie, i zobaczyłem. Od brzucha w dół Hypatia miała kształty kozie, a jej nogi kończyły się kopytkami barwy kości słoniowej. Od razu zrozumiałem, dlaczego, osłonięta suknią do ziemi,

szła nie jak ktoś stawiający nogę za nogą, ale przemykała lekko, prawie nie dotykając ziemi. I zrozumiałem, kim są owi zapładniający, to satyry-niewidki, o ludzkiej, choć rogatej głowie i koźlim ciele, satyry od wieków na służbie u hypatii, którym dawały dzieci płci niewieściej, same zaś wychowywały chłopców, o tak samo jak one odrażających fizjonomiach. Dziewczynki zaś miały oblicza będące wspomnieniem powabnej Egipcjanki, pięknej Hypatii, owej starożytnej, oraz jej pierwszych uczennic.

– Co za okropność! – wykrzyknął Niketas.

– Okropność? Bynajmniej. Wcale nie to czułem w owej chwili. Zaskoczenie, owszem, choć tylko chwilowe. Potem podjąłem postanowienie, moje ciało podjęło postanowienie za moją duszę lub moja dusza za ciało, że to, czego dotykam, jest najpiękniejsze na świecie, bo przecież to Hypatia, więc także jej zwierzęca natura stanowi cząstkę jej powabów, a owa kędzierzawa, delikatna sierść była czymś, czego pożądałem bardziej niż czegokolwiek przedtem, pachniała piżmem, ukryte dotąd członki były dziełem prawdziwego artysty i miłowałem, pożądałem tej istoty pachnącej lasem, i miłowałbym Hypatię nawet, gdyby miała rysy chimery, ichneumona, rogatego węża.

Tak więc Hypatia i Baudolino połączyli swe ciała i kiedy o zachodzie słońca ogarnęło ich zmęczenie, padli obok siebie, pieszcząc się wzajemnie i nazywając najczulszymi imionami, niepamiętni wszystkiego, co ich otaczało.

Hypatia powiedziała:

– Moja dusza uleciała jak podmuch ognia... Wydaje mi się, że jest teraz cząstką usianego gwiazdami sklepienia... – Bez znużenia poznawała ciało umiłowanego. – Jaki jesteś piękny, Baudolinie. Ale wy, ludzie, też jesteście potworami – żartowała. – Masz długie i białe, nieokryte sierścią nogi, a stopy jak dwóch jednonogich! Mimo to jesteś piękny, może jeszcze bardziej...

Nic nie mówiąc, całował jej oczy.

– Czy niewiasty człowiecze mają nogi jak twoje? – spytała rozgniewana. – Czy... czy doświadczałeś uniesień z istotami o takich nogach?

– Bo nie wiedziałem jeszcze, że istniejesz ty, umiłowana.

– Nie chcę, byś patrzył jeszcze kiedy na nogi niewiast człowieczych.

Bez słowa całował jej kopytka.

Robiło się coraz ciemniej i musieli się rozstać.

– Chyba nie opowiem niczego moim towarzyszkom – tchnęła prawie bezgłośnie Hypatia, raz jeszcze muskając mu wargi pocałunkiem. – Może niczego by nie pojęły, nie wiedzą przecież, że jest i taki sposób wznoszenia się na wyżyny. Do jutra, umiłowany. Słyszysz? Nazywam cię tak samo, jak ty mnie. Będę czekała.

Tak minęło kilka miesięcy, najsłodszych i najczystszych miesięcy mego życia. Codziennie spotykałem się z nią, a kiedy nie mogłem, wierny Gavagai brał na siebie rolę drużby. Miałem nadzieję, że Hunowie nigdy nie przybędą i to wyczekiwanie w Pndapetzim będzie trwało do mej śmierci i poza jej granicą. Czułem się jednak tak, jakbym pokonał śmierć.

Aż pewnego dnia, po wielu miesiącach, Hypatia oddała się z takim samym jak zawsze żarem Baudolinowi, ale gdy tylko zaspokoili swe pragnienie, powiedziała:

– Coś się ze mną dzieje. Wiem, co to takiego, bo słyszałam zwierzenia moich towarzyszek, które wracały po nocy spędzonej z zapładniającymi. Myślę, że noszę w brzuchu dziecko.

W tym momencie Baudolina ogarnęła po prostu niewysłowiona radość i okrył pocałunkami brzuch pobłogosławiony przez Boga czy archontów – nie dbał o to przez kogo. Potem zasępił się. Hypatia nie zdoła ukryć przed wspólnotą swego stanu, co więc powinna uczynić?

– Wyjawię prawdę Matce – rzekła. – Zrozumie. Ktoś, może coś, pragnął, bym to, co inne czynią z zapładniającymi, ja uczyniła z tobą. Było to właściwe, było to podług dobrej części natury. Nie będzie mnie mogła zganić.

– Ale przez dziewięć miesięcy opiekę nad tobą będzie roztaczać wspólnota, a potem nie ujrzę nigdy istoty, która przyjdzie na świat.

– Jeszcze długo będę tu przychodzić. Musi minąć dużo czasu, zanim brzuch bardzo się zaokrągli i wszystkie to spostrzegą. Nie będziemy się widywać tylko przez ostatnie miesiące, kiedy już wyjawię wszystko Matce. Jeśli zaś chodzi o ową istotę, jeśli będzie płci męskiej, zostanie ci oddana, a jeśli żeńskiej, nie będzie cię obchodziła. Tak chce natura.

– Tak chce ten twój durny Demiurg i owe półkozy, z którymi przestajesz! – wrzasnął Baudolino, który nie posiadał się w tym momencie z wściekłości. – Ta istota należy także do mnie, i bez względu na to, jakiej będzie płci!

– Jaki piękny jesteś, Baudolino, kiedy się gniewasz, choć przecież nie powinieneś – powiedziała i pocałowała go w nos.

– Zdajesz sobie chyba sprawę, że kiedy urodzisz, nie pozwolą ci przychodzić do mnie, wszak twoje towarzyszki nie spotykają się potem z tymi, którzy je zapłodnili. Czyż nie tego wymaga według was natura?

Dopiero teraz zdała sobie sprawę z całej grozy tej sytuacji i zaczęła płakać, pojękując, jak kiedy się kochali – skłoniwszy głowę na pierś swego mężczyzny i objąwszy jego ramiona. Baudolino czuł, jak faluje jej pierś, i pieścił Hypatię, szeptał jej do ucha słowa pełne czułości, a wreszcie złożył jej jedyną propozycję, która wydawała się mu dorzeczna: Hypatia ucieknie razem z nim. Kiedy spojrzała nań z przerażeniem, zapewnił, że wcale nie zdradzi w ten sposób swej wspólnoty. Po prostu dostąpiła innego przywileju, inny więc spoczywa na niej obowiązek. Zawiezie ją do odległego królestwa, a tam ona założy nową kolonię hypatii, zapewni większą płodność zasiewowi ich najdawniejszej matki, zaniesie w inne

miejsce jej orędzie, tyle tylko, że on będzie żył obok i znajdzie nową kolonię zapładniających, w kształcie człowieczym, w jakim zrodzi się zapewne owoc ich trzewi. Uciekając, nie uczynisz nic złego – zapewnił – a nawet będziesz szerzyć dobro...

– Poproszę więc Matkę o pozwolenie.

– Zaraz, poczekaj, nie wiem jeszcze, jaka jest ta twoja Matka. Daj mi pomyśleć, pójdziemy do niej razem, przekonam ją, daj mi tylko kilka dni, bym wymyślił najwłaściwszy sposób.

– Umiłowany, nie chcę, by doszło do tego, że nigdy cię już nie ujrzę – łkała Hypatia. – Uczynię, co zechcesz, będę udawała człowieczą niewiastę, pojadę z tobą do owego nowego miasta, o którym mi opowiadałeś, będę jak chrześcijanka, będę mówić, że Bóg miał syna, który umarł na krzyżu, bo jeśli ma mi ciebie zabraknąć, nie chcę być hypatią.

– Uspokój się, umiłowana. Znajdę rozwiązanie, zobaczysz. Uczyniłem Karola Wielkiego świętym, odnalazłem magów, dokonam i tego, że zachowam mą małżonkę.

– Małżonkę? Co to takiego?

– Wytłumaczę ci potem. Teraz idź już, robi się bowiem późno. Zobaczymy się jutro.

– Nie było żadnego jutra, panie Niketasie. Całe Pndapetzim wybiegło mi naprzeciw, wszyscy szukali mnie od wielu godzin. Nie mogło już być najmniejszych wątpliwości: nadciągali Biali Hunowie, już widać było na horyzoncie obłok kurzu, jaki wzbijały ich konie. O pierwszym brzasku dnia dotrą do skraju równiny paproci. Pozostało więc niewiele godzin na przygotowanie obrony. Natychmiast udałem się do diakona, by zawiadomić go, że obejmuję komendę nad jego poddanymi. Za późno. Miesiące wyczekiwania w napięciu na bitwę, wysiłek, jakim była dla niego pozycja stojąca i uczestniczenie w przygotowaniach wojennych, może także nowa krew, którą wlałem w jego żyły mymi opowieściami, przyspieszyły zgon.

Nie bałem się trwać przy nim, kiedy oddawał ostatnie tchnienie, uścisnąłem mu nawet dłoń, kiedy żegnał mnie i życzył mi wiktorii. Powiedział, że jeśli zwyciężę, dotrę być może do królestwa jego ojca, i błagał mnie o ostatnią przysługę. Gdy tylko skona, dwaj osłonięci akolici spreparują jego zwłoki tak, jakby były zwłokami księdza, namaszczą ciało owymi olejami, dzięki którym jego wizerunek odbije się na całunie. Chce, bym zawiózł księdzu ten portret, i choć będzie na nim bardzo blady, ukaże go przybranemu ojcu mniej zgniłego, niż jest w rzeczywistości. Zaraz potem skonał i dwaj akolici wzięli się do dzieła. Powiedzieli, że minie kilka godzin, nim płótno przyjmie jego rysy, i że potem zwiną je i schowają do szkatuły. Poprosili nieśmiało, bym doniósł eunuchom o śmierci diakona. Postanowiłem jednak tego nie czynić. Diakon powierzył mi komendę, więc tylko nie wiedząc, co się stało, eunuchowie nie zdobędą się na dość śmiałości, by mi się sprzeciwiać. Potrzebne mi było przecież to, by wzięli udział w wojnie, przygotowując w mieście służby opiekujące się rannymi. Gdyby od razu dowiedzieli się o śmierci diakona, w najlepszym razie osłabiliby ducha walki, szerząc fatalną wieść i nakazując walczącym wziąć udział w uroczystościach pogrzebowych. W najgorszym zaś razie zdradzieccy eunuchowie sięgnęliby od razu po najwyższą władzę i przez to także zniweczyli plany obronne opracowane przez Poetę. Ruszamy na wojnę, powiedziałem sobie. Choć zawsze byłem nastawiony pokojowo, teraz musiałem wszak bronić istoty, która miała się narodzić.

35

Baudolino staje przeciwko Białym Hunom

Plan wojenny studiowali w najdrobniejszych szczegółach od wielu miesięcy. Jak Poeta okazał się dobrym wodzem, jeśli chodzi o ćwiczenie wojska, tak Baudolino ujawnił zdolności godne stratega. Tuż za miastem wznosiło się największe z podobnych do kupy ubitej piany wzgórz, które widział, docierając do miasta. Górowało się z niego nad całą okolicą, z jednej strony rozpościerał się widok równiny aż po góry, z drugiej obszar porośnięty paprociami. Z tego miejsca Baudolino i Poeta mieli kierować ruchami swoich wojowników. Obok zajęła stanowisko chorągiew złożona z samych wyborowych i wyszkolonych przez Gavagaia jednonogich, którzy mieli zapewniać sprawną łączność z rozmaitymi oddziałami.

Szczudłonodzy zajęliby stanowiska rozproszone po różnych miejscach równiny i gotowi byliby, dzięki wrażliwym wyrostkom brzusznym, śledzić ruchy nieprzyjaciela, zawiadamiając zaraz o nich za pomocą sygnałów dymnych.

Przed nimi, niemal na skraju równiny paprotnej, mieli czekać dowodzeni przez Porcellego jednonodzy, którzy zaskoczą najeźdźców, ostrzeliwując ich zatrutymi grotami z fistuł. Kiedy po tym pierwszym starciu w nieprzyjacielskie kolumny wkradnie się zamieszanie, zza jednonogich wyłonią się olbrzymi pod komendą Alerama Scaccabarozziego, zwanego Ciula, i dokonają masakry koni. Póki jednak nie dostaną rozkazu, by wkroczyć do akcji – przypominał Poeta – mają poruszać się na czworakach.

Jeśli zdarzy się tak, że część nieprzyjaciół pokona zaporę, jaką stworzą olbrzymi, z dwóch przeciwległych stron równiny przystąpi do działań zastęp pigmejów pod wodzą Boidiego oraz blemiów prowadzonych przez Cuttikę. Hunowie, spychani przez ostrzeliwujących ich z łuków pigmejów, cofną się w stronę blemiów, którzy – nim najeźdźcy wypatrzą ich wśród traw – wślizną się pod końskie brzuchy.

Nikt nie powinien jednak nadmiernie narażać się na niebezpieczeństwo. Mają zadać nieprzyjacielowi jak najcięższe straty, ale własne ograniczać, jak tylko się da. Trzonem całej strategii są bowiem Nubijczycy, którzy staną szykiem na środku równiny. Hunowie z pewnością wyjdą zwycięsko z pierwszych potyczek, lecz przed Nubijczyków dotrą w uszczuplonej liczbie i pokryci ranami, a w dodatku wśród wysokich traw ich konie nie będą poruszały się zbyt rączo. I wtedy staną do boju uzbrojeni w straszliwe maczugi *circumcellionis*, otoczeni sławą wojowników, którzy gardzą niebezpieczeństwem.

– Tak jest, mamy kąsać i umykać – powiedział Boidi – a prawdziwą zaporą nie do pokonania będą dzielni *circumcellionis*.

– Wy zaś musicie po przejściu Hunów uporządkować jak najszybciej szyki i rozstawić je co najmniej półmilowym półokręgiem – zalecał mu Poeta. – Jeśli nieprzyjaciel zechce użyć tej swojej dziecinnej sztuczki i udać, że ucieka, by zaraz zawrócić i okrążyć ścigających, wpadnie wam prosto w ramiona, a wtedy wy zaciśniecie kleszcze. Pamiętajcie, że żaden wróg nie może ujść z życiem. Pokonany nieprzyjaciel zawsze potem szuka sposobności do odwetu. A jeżeli któryś z niedobitków prześlizgnie się między wami i Nubijczykami, by ruszyć na miasto, z góry runą mu na kark wielkousi, a takiemu zaskoczeniu nikt się przecież nie oprze.

Ustalono więc strategię, niczego nie pozostawiono przypadkowi, i oto nocą, w świetle pierwszych gwiazd, zastępy zgromadzone w środku miasta wymaszerowały na równinę, poprzedzane przez swych księży i śpiewające każdy w swym języku Pater Noster, a brzmiało to niezwykle

majestatycznie, także czegoś takiego nikt nie słyszał nawet w Rzymie podczas najbardziej uroczystych procesji.

Mael nio, kui vai o les zeal, aepseno lezai tio mita. Veze lezai tio tsaeleda.

O fat obas, kel binol in süs, paisalidumös nemola. Komömöd monargän ola.

Pat isel, ka bi ni sieloes. Nom al zi bi santed. Klol alzi komi.

O baderus noderus, ki du esso in seluma, fakdade sankadus hanominanda duus, adfenade ha rennanda duus.

Amy Pornio dan chin Orhnio viey, gnayjorhe sai lory, eyfodere sai bagalin, johre dai domion.

Hai coba ggia rild dad, ha babi io sgymta, ha salta io velca…

Ostatni wyszli blemiowie, przy czym Baudolino i Poeta zastanawiali się nad powodami ich opóźnienia. Przechodzili, niosąc na ramieniu przywiązaną pod pachą trzcinową ramę, na której widniała głowa ptaka. Ardzrouni wyjaśnił z dumą, że to jego najnowszy wynalazek. Hunowie ujrzą ten łeb i w niego będą celowali, blemiowie zaś, nie odniósłszy nijakiego uszczerbku, w jednej chwili rzucą się na nich. Baudolino powiedział, że to dobra myśl, ale muszą się spieszyć, gdyż niewiele godzin pozostało już do chwili, kiedy muszą znaleźć się na stanowiskach. Blemiowie nie robili wrażenia zakłopotanych tym, że zyskali głowy, a nawet puszyli się, jakby chodziło o przystrojony piórami szyszak.

Baudolino i Poeta wspięli się wraz z Ardzrounim na wyniosłość, z której mieli kierować batalią, i czekali na brzask. Pchnęli na pierwszą linię Gavagaia, który w każdej chwili gotów był im donieść, co się dzieje. Zacny jednonogi pomknął na swoje stanowisko bojowe z okrzykiem: „Niech żyją przenajświętsi magowie, niech żyje Pndapetzim!”

Góry na wschodzie pojaśniały w blasku pierwszych promieni słońca, kiedy smuga dymu wzbijającego się z posterunku czujnych szczudłonogich ostrzegła ich, że na horyzoncie pojawili się Hunowie.

I rzeczywiście się ukazali: długa przednia linia – z daleka wyglądająca, jakby tkwiła w miejscu i tylko falowała lub podrygiwała przez bardzo długi czas. Zdawano sobie jednak sprawę, że zbliżają się, gdyż wkrótce nie widać już było kopyt końskich, które dla odległego obserwatora niknęły teraz wśród paproci – aż do chwili, kiedy znaleźli się blisko ukrytych pierwszych szeregów skiapodów, i wszyscy czekali, że lada moment pokażą się dzielni monopedzi. Ale czas mijał, Hunowie coraz bardziej zagłębiali się między paprocie, uznano więc, że stało się tam coś bardzo dziwnego.

Hunów widać teraz było jak na dłoni, jednonodzy nadal nie dawali znaku życia, lecz za to nagle pokazali się olbrzymi, którzy powstali wcześniej, niż było przewidziane, miast jednak stawić czoło nieprzyjacielowi, rzucili się w trawy i walczyli z jakimiś istotami, zapewne z jednonogimi. Baudolino i Poeta nie mogli się z tej odległości domyślić, co się właściwie dzieje, ale dzięki Gavagaiowi, który przemykał jak błyskawica z jednej na drugą stronę równiny, mogli odtworzyć sobie kolejne fazy bitwy. Kiedy tylko wstaje słońce, jednonogi kładzie się i zasłania stopą głowę, to bowiem nakazuje mu atawistyczny instynkt. Tak też uczynili wojownicy z ich grupy szturmowej. Olbrzymi, choć niezbyt bystrzy, spostrzegli, że coś jest nie tak jak należy, i zaczęli popędzać skiapodów, ale zgodnie ze swoim heretyckim obyczajem nazywali ich zasranymi *homousiani* i łajnem Ariusza.

– Poczciwy i wierny jednonogi jest odważny, nie zaś tchórz, lecz nie zniesie zniewagi z ust heretyka serojada, ty stara się zrozumieć! – rozpaczał

Gavagai, przekazując te wieści.

Jednym słowem, doszło do zmagań teologicznych, najpierw słownych, a potem w ruch poszły pięści i olbrzymi dość szybko byli górą. Aleramo Scaccabarozzi, zwany Ciula, próbował odwieść swoich monopodów od tej szaleńczej walki, oni jednak wyzbyli się już tego dobra, jakim jest rozum, i odpędzili go, wymierzając ciosy takie, że po każdym leciał dziesięć metrów w powietrzu. Wskutek tego nie zauważyli, że Hunowie już ich dopadli; zaczęła się rzeź. Padali jednonodzy pospołu z olbrzymami, choć ten i ów z tych ostatnich próbował się bronić, chwytając któregoś skiapodę za stopę i wymachując nim jak maczugą – wszystko na nic. Porcelli i Scaccabarozzi rzucili się w bitewny zamęt, próbując przywrócić porządek w szeregach, ale szybko otoczyli ich Hunowie. Bronili się zaciekle, kręcąc nad głową młynka mieczami, rychło jednak przeszyło ich sto nieprzyjacielskich strzał.

Widać teraz było, jak Hunowie, tratując trawy, torują sobie drogę między ofiarami rzezi, której dokonali. Boidi i Cuttica, zajmujący stanowiska na dwóch przeciwległych krańcach równiny, nie mogli pojąć, co się dzieje, i trzeba było pchnąć do nich Gavagaia, żeby przyspieszyli boczne uderzenie pigmejów i blemiów. Hunowie zostali osaczeni z dwóch stron, ale wpadli na wspaniały pomysł: ich straż przednia wysunęła się przed miejsce, gdzie leżeli padli skiapodzi i olbrzymi, straż tylna zaś cofnęła się, wskutek czego pigmeje z jednej strony i blemiowie z drugiej biegli teraz przeciwko sobie. Pigmejów, którzy zobaczyli sterczące ponad trawy ptasie głowy, pomysł Ardzrouniego wprowadził w błąd i jęli wykrzykiwać: „Żurawie, żurawie!”, myśląc, że mają przed sobą odwiecznego wroga, zapominając całkowicie o Hunach i wyrzucając deszcz strzał w stronę oddziału blemiów. Blemiowie bronili się teraz przed pigmejami, a uznając, że ci ostatni zdradzili, wznosili okrzyki: „Śmierć heretykom!” Pigmeje zaś uznali, że to blemiowie zdradzili, i słysząc, iż piętnuje się ich jako heretyków, a wiedząc dobrze, iż są jedynymi powiernikami prawdziwej wiary, wznieśli okrzyk: „Bij, zabij

fantazjastę!” Na kłąb walczących wpadli Hunowie i zabijali jednego po drugim swoich nieprzyjaciół, którzy i tak zabijali się między sobą. Gavagai zameldował, że widział, jak Cuttica próbował własną piersią powstrzymać wrogów. Uległ jednak przeważającej sile i padł wywrócony przez ich konie.

Boidi na widok umierającego przyjaciela uznał, że oba oddziały są już stracone, wskoczył więc na konia i ruszył w stronę Nubijczyków, lecz paprocie wstrzymywały galop konia, podobnie zresztą jak utrudniały ruchy nieprzyjaciołom. W końcu Boidi dotarł z trudem do Nubijczyków, stanął za ich plecami i zachęcał do natarcia zwartym szykiem na Hunów. Ale kiedy tylko zobaczyli pierwszych spragnionych krwi wrogów; przeklęci *circumcellionis* ulegli nakazowi swej natury, czyli skłonności do męczeństwa. Uznali, że nadeszła wzniosła chwila złożenia siebie w ofierze, lepiej więc ją przyspieszyć. Padali po kolei na kolana, prosząc: „Zabij mnie, zabij!” Hunom wydało się to nie do pomyślenia, ale obnażyli swe krótkie, ostre miecze i przystąpili do ścinania *circumcellionis*, którzy tłoczyli się wokół nich, nastawiając szyje i błagając o oczyszczającą kąpiel.

Boidi wzniósł ręce do nieba, a potem umknął w stronę wzgórz. Zaledwie do nich dotarł, cała równina stanęła w płomieniach.

Tymczasem przebywający w mieście Boron i Kyot, dowiedziawszy się o zagrożeniu, postanowili wykorzystać kozy, które Ardzrouni przygotował z myślą o swoim fortelu – nic niewartym w pełnym świetle dnia. Kazali bezjęzycznym wypędzić na równinę setkę zwierząt z płonącymi rogami. Było późne lato, trawy wyschły, nic więc dziwnego, że w jednej chwili ogarnął je płomień. Morze traw zmieniło się w morze płomieni. Boron i Kyot pewnie myśleli, że z płomieni powstanie po prostu zapora albo że zmuszą do odwrotu nieprzyjacielską kawalerię, nie wzięli jednak pod uwagę kierunku wiatru. Ogień wzmagał się, ale przesuwał w stronę miasta. To z pewnością było korzystne dla Hunów, wystarczyło im bowiem poczekać, aż trawy spłoną i popioły ostygną, by stanęła przed nimi otworem droga do ostatecznego ataku. Jednocześnie pożoga opóźniła ich

marsz co najmniej o godzinę. Widzieli jednak doskonale, że nie muszą się spieszyć. Poprzestali więc na tym, iż stanąwszy przed zaporą płomieni, podnieśli łuki i wypuścili w górę tyle strzał, że zasłoniły niebo i spadały po drugiej stronie ognia, mimo że nie wiedzieli, czy nieprzyjaciel jeszcze tam na nich czeka.

Jedna ze strzał, lecąc ze świstem, przeszyła gardło Ardzrouniego, który padł na ziemię, wydając jeden jedyny zduszony jęk, i krew rzuciła się mu ustami. Kiedy podniósł ręce, by wyrwać strzałę z szyi, zobaczył, że zaczynają je pokrywać jasne cętki. Baudolino i Poeta pochylili się nad nim i szepnęli, że to samo dzieje się z jego twarzą.

– Sam widzisz: Solomon miał rację, mówiąc, że istnieje remedium – powiedział Poeta. – Może strzały Hunów są nasączone trucizną, która dla ciebie okazała się zbawiennym lekarstwem, gdyż niweczy działanie tamtych czarnych kamieni.

– Nie dbam o to, czy umrę biały, czy czarny – wyrzęził Ardzrouni i umarł, a jego skóra miała jeszcze w tym momencie dość niepewne zabarwienie.

Strzały padały teraz gęsto i trzeba było opuścić wzgórze. Kiedy uciekali w stronę miasta, zrozpaczony Poeta powiedział:

– To koniec, przegrałem królestwo. Na niewiele zda się opór wielkouchych. Cała nasza nadzieja w tym, że płomienie zapewnią nam nieco czasu. Łapmy nasze rzeczy i bierzmy nogi za pas. Droga na zachód jest jeszcze otwarta.

Baudolino myślał w tym momencie tylko o jednym. Hunowie wkroczą do Pndapetzim, zniszczą miasto, ale ich szaleńczy pochód na tym się nie skończy, ruszą ku jezioru i wtargną do lasu hypatii. Musi być tam przed nimi. Nie może jednak opuścić przyjaciół, musi ich odnaleźć, zebrać rzeczy, zdobyć nieco prowiantu, przygotować się do długiej ucieczki.

– Gavagai, Gavagai! – wykrzyknął i wierny jednonogi natychmiast stanął u jego boku. – Biegnij nad jezioro, odszukaj Hypatię, nie wiem, jak tego dokonasz, ale odszukaj, powiedz, by czekała w gotowości, bo zaraz pędzę jej na ratunek.

– Nie wiem, jak dokona, ale znajdzie – zapewnił jednonogi i ruszył jak strzała.

Baudolino i Poeta wpadli do miasta. Wieść o klęsce już tu dotarta, niewiasty wszystkich ras biegały, z dziećmi na ręku, bez celu po ulicach. Przerażeni wielkousi, myśląc, że umieją latać, rzucali się w przepaście. Ale nauczono ich szybowania w dół, nie zaś wzbijania się ku niebu, nic więc dziwnego, że zaraz spadali na ziemię. Ci, którzy bili rozpaczliwie uszami, by utrzymać się w powietrzu, padali z wyczerpania i roztrzaskiwali się o skały. Nasi przyjaciele odnaleźli Colandrina, który lał łzy nad fiaskiem swego szkolenia, a także Solomona, Borona i Kyota. Ci zaczęli wypytywać o los pozostałych.

– Nie żyją, pokój ich duszom – odparł gniewnie Poeta.

– Nuże do naszych kwater! – zakrzyknął Baudolino. – A potem na zachód!

Pobiegli do kwater i zabrali wszystko, co się dało. Kiedy wybiegali, zobaczyli pod wieżą krzątających się eunuchów, którzy ładowali swe dobra na muły. Praxeas obrócił ku nim posępną twarz.

– Diakon nie żyje, a ty o tym wiedziałeś – powiedział, zwracając się do Baudolina.

– Żyłby czy nie, i tak byś uciekł.

– Wyruszamy. Kiedy znajdziemy się w gardzieli, zrzucimy lawinę i droga do królestwa księdza będzie na zawsze zamknięta. Chcecie do nas dołączyć? Musicie się jednak trzymać naszych umów.

Baudolino nawet nie spytał, o jakie umowy mu chodzi.

– Co mnie obchodzi ten twój przeklęty ksiądz Jan?! – ryknął. – Mam inne sprawy na głowie! Ruszamy, przyjaciele!

Tamci byli jak osłupiali. Potem Boron i Kyot przyznali, że ich prawdziwym celem było zawsze odnalezienie Zosimy i Gradalisa, a Zosima z pewnością nie dotarł, i nigdy już nie dotrze, do królestwa; Colandrino i Boidi oznajmili, że przybyli tu z Baudolinem i z nim stąd odejdą; Solomon zauważył, że jego dziesięć pokoleń może być zarówno po tej, jak i po tamtej stronie gór, dla niego więc każdy kierunek jest dobry. Tylko Poeta milczał; wyglądał, jakby stracił wszelką wolę działania, i ktoś musiał ująć jego konia za uzdę, żeby go stąd odciągnąć.

Kiedy już ruszali, Baudolino zobaczył, że zbliża się do nich jeden z dwóch zasłoniętych akolitów diakona. Niósł szkatułę.

– Oto jego wizerunek – rzekł. – Chciał, byś ty go wziął. Użyj dobrze tego całunu.

– Wy też uciekacie?

Odparł zasłonięty:

– Tu czy tam, jeśli jest jakieś tam, dla nas to wszystko jedno. Czeka nas taki sam los jak naszego pana. Pozostaniemy i zarazimy naszą chorobą Hunów.

Ledwie wyjechali z miasta, oczom Baudolina ukazał się przerażający widok. Po stronie błękitnych wzgórz migotały płomienie. W ten czy inny sposób część Hunów od samego rana okrążała przez kilka godzin pole bitwy i dotarła już nad jezioro.

– Szybko! – krzyknął z rozpaczą Baudolino. – Galopem, tam!

Pozostali nie rozumieli, o co mu chodzi.

– Po co tam, gdzie już dotarli? – zdziwił się Boidi. – Raczej tędy, być może tylko droga na południe stoi nadal otworem!

– Róbcie, co chcecie, ja jadę tam! – wrzasnął rozwścieczony Baudolino.

– Oszalał, jedźmy za nim, bo gotów zrobić sobie krzywdę – rzucił błagalnym tonem Colandrino.

Baudolino znacznie się już jednak oddalił i z imieniem Hypatii na ustach pędził ku niechybnej śmierci.

Zatrzymał się po półgodzinnym wściekłym galopie, dostrzegł bowiem postać, która mknęła mu na spotkanie. Był to Gavagai.

– Ty będzie spokojny – powiedział jednonogi. – Ja ją widział. Teraz jest bezpieczna.

Ta wspaniała wieść rychło miała się przeobrazić w istne źródło rozpaczy, oto bowiem, co rzekł Gavagai: do hypatii wieść o nadciąganiu Hunów dotarła wystarczająco wcześnie, a donieśli im o tym satyrowie, którzy zeszli ze swoich wzgórz i zabrali hypatie. Kiedy Gavagai przybył na miejsce, prowadzili już je na drugą stronę gór, po których tylko oni umieli się wspinać, do miejsca, gdzie Hunowie nigdy nie dotrą. Hypatia zwlekała najdłużej, jak mogła, towarzyszki ciągnęły ją za ręce, ona zaś nie chciała odejść, czekała na wieści o Baudolinie, o tym, jaki los go spotkał. Kiedy usłyszała wieści, które przyniósł Gavagai, uspokoiła się nieco i uśmiechając się przez łzy, błagała, by go ratował; drżąc na całym ciele, prosiła, by doniósł mu, że ucieka, gdyż jej życie jest zagrożone; łkając, przekazała ostatnie słowa przeznaczone dla Baudolina: miłuje go, ale nigdy się już nie zobaczą.

Baudolino powiedział na to, że chyba oszalał, nie powinien był puszczać Hypatii w góry, bo przecież miał zabrać ją ze sobą. Ale Gavagai odparł, że już za późno, że zanim dotrze tam, gdzie poza wszystkim w tej chwili buszują bez przeszkód Hunowie, hypatie będą Bóg wie gdzie. Potem, przezwyciężając uczucie szacunku, jaki winien był jednemu z magów, i kładąc mu rękę na przedramieniu, powtórzył ostatnie słowa Hypatii: Czekałaby na niego, lecz pierwszym jej obowiązkiem jest chronić istotę, którą spłodzili.

– Rzekła: ja na zawsze ma istotę, która przypomina mi Baudolina. – Po chwili zaś, mierząc Baudolina wzrokiem od stóp do głów, spytał: – Ty spłodził istotę z tą osobą?

– Nie twoja sprawa – odparł zmienionym nie do poznania głosem Baudolino i Gavagai nic już nie powiedział.

Baudolino wahał się jeszcze, kiedy dołączyli doń towarzysze. Zdał sobie sprawę, że niczego nie może im mówić, niczego by bowiem nie pojęli. Potem spróbował sam siebie przekonać. To takie rozumne: las jest teraz ziemią podbitą, hypatie na szczęście znalazły się wśród urwisk, które są ich ocaleniem, Hypatia jak najsłuszniej poświęciła miłość do Baudolina dla miłości do tej nienarodzonej jeszcze istoty, którą on jej dał. Wszystko to było nieznośnie rozsądne, a Baudolino nie widział żadnego innego wyjścia.

– A przecież zostałem pouczony, panie Niketasie, że Demiurg stworzył wszystkie rzeczy tylko połowicznie.

36

Baudolino i Ptaki-Rok

– Biedny, nieszczęsny Baudolino! – powiedział Niketas, do tego stopnia poruszony opowieścią, że zapomniał o skosztowaniu ugotowanego z solą, cebulą i czosnkiem świńskiego łba, który Teofilat zakonserwował na całą zimę w małej beczce wypełnionej morską wodą. – I tym razem, jak zawsze, kiedy żywiłeś namiętność do czegoś prawdziwego, los cię pokarał.

– Od tego wieczoru jechaliśmy trzy dni i noce, nigdzie się nie zatrzymując, nie jedząc, nie pijąc. Dowiedziałem się później, że moi druhowie dokonywali cudów przebiegłości, żeby uniknąć Hunów, na których można się było natknąć wszędzie w promieniu wielu mil. Ja pozwoliłem się prowadzić. Jechałem ze wszystkimi, ale myślami byłem przy Hypatii. Słusznie odeszła, powiadałem sobie. Czy naprawdę mógłbym ją ze sobą zabrać? Czy wyrwana z leśnej niewinności, pozbawiona ciepła swojskich obrządków i towarzystwa swych sióstr, naprawdę przywykłaby do nieznanego świata? Czy wyrzekłaby się przekonania, że jest wybranką wezwaną do tego, by odkupić boską istotę? Zamieniłbym ją w niewolnicę, czułaby się nieszczęśliwa. A poza tym nigdy nie pytałem, ile ma lat, ale być może mogłaby być córką mojej córki. Kiedy opuszczałem Pndapetzim, miałem, jak mniemam, pięćdziesiąt i pięć lat. Uznała, że jestem młody i w pełni sił, bo byłem pierwszym mężczyzną, jakiego widziała, ale w istocie starość była już bliska. Mógłbym dać jej niewiele, a zabrać bardzo dużo. Starałem się wmówić sobie, że wszystko ułożyło się tak, jak

powinno. Musiało ułożyć się tak, bym pozostał nieszczęśliwy na zawsze. Jeśli pogodzę się z tym, zyskam być może pokój duszy.

– Nie kusiło cię, żeby zawrócić?

– Po tych trzech dniach zapamiętania – bezustannie. Ale błądziliśmy. Podążaliśmy inną drogą niż ta, którą przybyliśmy, bez końca kręciliśmy się w kółko i trzykroć wspinaliśmy się na te same góry, a może inne, całkiem straciliśmy rozeznanie. Słońce nie wystarczało do tego, by określić kierunek, a nie mieliśmy już ani Ardzrouniego, ani jego mapy. Może okrążyliśmy tę wielką górę, która zajmuje połowę *tabernaculum*, i znaleźliśmy się po drugiej stronie ziemi. Straciliśmy konie. Biedne zwierzęta służyły nam od początku podróży i starzały się wraz z nami. Nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, gdyż w Pndapetzim innych koni nie było, nie mieliśmy więc żadnego porównania. Te trzy dni szaleńczej ucieczki do cna wyczerpały ich siły. Padały jeden po drugim i było to dla nas prawie darem niebios, bo zawsze okazywały wiele roztropności i opuszczały nas w miejscach, gdzie nie było nic do jedzenia, jedliśmy więc tę odrobinę mięsa, jaka pozostała im przy kościach. Szliśmy pieszo, na poranionych nogach, i jedynym, który się nie uskarżał, był Gavagai, nigdy bowiem nie potrzebował konia, a na podeszwie stopy miał skórę grubą na dwa palce. Naprawdę żywiliśmy się szarańczą, lecz w odróżnieniu od świętych Ojców – bez miodu. Potem straciliśmy Colandrina.

– Najmłodszego...

– Najmniej doświadczonego. Szukał czegoś do jedzenia wśród skał, wsunął dłoń w jakieś podejrzane zagłębienie i ukąsił go wąż. Oddechu wystarczyło mu na tyle, żeby pożegnać się ze mną i szepnąć, bym zachował w wiernej pamięci jego siostrę, a moją umiłowaną małżonkę. Zapomniałem o Colandrinie i raz jeszcze poczułem się cudzołożnikiem i zdrajcą obojga, Colandriny i Colandrina.

– Co potem?

– Potem wszystko tonie w mroku, panie Niketasie. Według mojej rachuby opuściłem Pndapetzim latem roku pańskiego 1197. Tutaj, do Konstantynopola, dotarłem w styczniu ubiegłego roku. Między tymi datami jest więc sześć i pół roku pustki, pustki w mej duszy i być może w świecie.

– Sześć lat błądziłeś po pustyni?

– Rok więcej, rok mniej, któż zawracałby sobie głowę rachubą mijającego czasu? Po śmierci Colandrina, może po wielu miesiącach, znaleźliśmy się u stóp jakichś gór i nie wiedzieliśmy, jak się na nie wdrapać. Wyruszyło nas dwunastu, a zostało sześciu, sześciu i jednonogi. Odzienie mieliśmy w strzępach, wychudliśmy, spaliło nas słońce, pozostał nam tylko oręż i sakwy. Pomyśleliśmy, że być może nadszedł kres naszej wędrówki i przyjdzie nam tu umierać. Nagle zobaczyliśmy, że zbliża się do nas oddział konnych. Mieli na sobie wspaniałe szaty, błyszczącą broń u boku, ich ciała były ludzkie, lecz głowy psie.

– *Cynocephali*. Istnieją więc naprawdę!

– Prawdziwi jako Bóg w niebiesiech. Zadawali nam pytania, dobywając z siebie szczekanie, my nic nie rozumieliśmy, ten, który wyglądał na ich wodza, uśmiechnął się, a może warknął, w każdym razie wyszczerzył ostre zęby, rzucił swoim rozkaz, a oni związali nas jednego za drugim. Znaną tylko sobie ścieżką poprowadzili nas gęsiego przez góry i po kilku godzinach marszu zeszliśmy do doliny otaczającej ze wszystkich stron inną bardzo wysoką górę, z potężną skałą, nad którą przelatywały drapieżne ptaki, nawet z daleka robiące wrażenie ogromnych. Przypomniałem sobie dawną opowieść Abdula i rozpoznałem warownię Aloadyna.

Było to tak. Psiogłowi kazali im wspiąć się po wykutych w skale bardzo krętych schodach aż do niezdobytego górskiego gniazda i zaprowadzili do zamku, wielkiego prawie jak miasto, gdzie wśród wież i słupów widać było wiszące ogrody i przejścia zamknięte mocnymi kratami. Tam przekazali ich innym psiogłowym, uzbrojonym w pejcze. Przechodząc jednym

z korytarzy, Baudolino zobaczył przez okno położony w dali rodzaj dziedzińca otoczonego wyniosłymi murami, a na nim wielu marniejących w łańcuchach młodzieńców, i przypomniał sobie wtedy, jak Aloadyn przygotowywał swoich morderców do zbrodni, usidlając ich za pomocą zielonego miodu. Wprowadzono ich do pełnej przepychu sali i zobaczyli siedzącego na haftowanych poduszkach starca, który wyglądał, jakby przeżył sto lat; miał białą brodę, czarne brwi i posępne spojrzenie. Żył i był potężny już prawie pół wieku temu, kiedy ujął Abdula, i nadal tu przebywał, sprawując rządy nad swymi niewolnikami.

Na nich patrzył z pogardą, bo najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że ci nieszczęśnicy nie nadają się do zwerbowania między młodych asasynów. Nawet do nich nie przemówił. Ze znudzoną miną dał ręką znak jednemu ze swoich sług, jakby chciał powiedzieć: róbcie z nimi, co się wam podoba. Zaciekawił się tylko, kiedy zobaczył za ich plecami jednonogiego. Kazał mu się poruszać, zachęcił gestami do podniesienia nogi nad głowę, śmiał się. Sześciu mężczyzn wyprowadzono, a Gavagai został przy starcu.

Tak dla Baudolina, Borona, Kyota, rabbiego Solomona, Boidiego i Poety zaczął się długi pobyt w więzieniu. Zakutych w obciążone kamienną kulą łańcuchy, zatrudniano ich do służebnych prac, jak mycie posadzek i ścian, czasem obracanie kamieni młyńskich, innym zaś razem kazano im nosić ćwierci baranie Ptakom-Rok.

– Były to latające bestie wielkości dziesięciu orłów, miały zakrzywione ostre dzioby, którymi mogły w jednej chwili obrać całkiem z mięsa sporego wołu – wyjaśnił Baudolino Niketasowi. – Łapy miały uzbrojone w szpony, które wyglądały jak dziób okrętu wojennego. Krążyły niespokojnie w ustawionej na szczycie wieży klatce, gotowe rzucić się na każdego poza eunuchem, który mówił, jak się zdaje, ich językiem i obsługiwał je, chodząc między nimi, jakby były kurami w jego kurniku. Tylko on mógł używać ich jako posłańców Aloadyna: wkładał im na szyję i grzbiet mocne rzemienie,

które przeciągał pod skrzydłami, a potem przywiązywał do nich kosz albo jakieś inne brzemię, otwierał kratę, wydawał tak objuczonemu ptakowi rozkaz i wtedy ten tylko wzlatywał nad wieżę i znikał w przestworzach. Widzieliśmy również, jak wracały: eunuch wpuszczał ptaka do klatki i odczepiał mu worek albo metalowy walec – zapewne z jakąś wiadomością dla pana tego miejsca.

Kiedy indziej więźniom mijały całe dni bez żadnych zatrudnień, gdyż nie było nic do zrobienia; czasem kazano im usługiwać eunuchowi, który nosił zielony miód zakutym w łańcuchy młodzieńcom, i wtedy patrzyli ze zgrozą na ich wyniszczone wskutek marzeń sennych twarze. Natomiast naszych więźniów nie marzenia wyniszczały, lecz ciągła nuda, zabijali więc czas, opowiadając sobie bezustannie wydarzenia z przeszłości. Wspominali Paryż, Aleksandrię, radosny zgiełk placu targowego w Gallipolis, spokój podczas pobytu u gimnosofistów. Rozmawiali o liście księdza i Poeta, każdego dnia coraz posępniejszy, zdawał się powtarzać słowa diakona, jakby to on je niegdyś usłyszał: „Robak zwątpienia gryzie moje serce, a jest to myśl, iż nie ma żadnego królestwa. Kto mi o nim mówił tu, w Pndapetzim? Eunuchowie. Od kogo wracają posłańcy, których oni, tak, właśnie oni, wysyłają do księdza? Od nich, od eunuchów. Czy jednak ci posłańcy naprawdę wyruszają? Czy naprawdę wracają? Diakon nigdy nie widział swego ojca. Wszystkiego, co wiemy, dowiedzieliśmy się od eunuchów. Być może wszystko jest tylko owocem spisku eunuchów, którzy zadrwili z diakona i nas zupełnie tak samo jak z ostatniego spośród Nubijczyków i jednonogich? Czasem zastanawiam się nawet, czy istnieli Biali Hunowie...” Baudolino odpowiadał, że powinien przypomnieć sobie poległych w bitwie towarzyszy, ale Poeta potrząsał tylko głową. Zamiast powtarzać sobie, że poniósł klęskę, wolał wierzyć, że padł ofiarą czarów.

Potem wracali do okoliczności śmierci Fryderyka i codziennie wynajdowali inne wyjaśnienie, które nadałoby jakiś sens tej bezsensownej

tragedii. Wszystko było sprawką Zosimy, to oczywiste. Nie, Zosima ukradł Gradalis, ale uczynił to przecież, kiedy już było po wszystkim; wcześniej musiał w tym maczać palce ktoś, kto spodziewał się zdobyć Gradalis. Ardzrouni? Kto może wiedzieć? Jeden z poległych towarzyszy? Co za straszna myśl! Jeden z nich, którzy przeżyli? Czy w tym nieszczęściu – mówił Baudolino – musimy na dodatek cierpieć katusze wzajemnych podejrzeń?

– Póki wędrowaliśmy podnieceni myślą o odkryciu królestwa księdza, nie dręczyły nas takie wątpliwości i jeden pomagał drugiemu w duchu przyjaźni. Dopiero niewola uczyniła z nas ludzi swarliwych i nie mogliśmy już jeden drugiemu spojrzeć w oczy, i lata całe nienawidziliśmy się wzajemnie. Ja zamknąłem się w sobie. Rozmyślałem o Hypatii, lecz nie potrafiłem przypomnieć sobie jej twarzy, pamiętałem tylko radość, jaką mi dawała. Nocą zdarzało mi się dotykać niespokojnymi dłońmi owłosienia na własnym wzgórku łonowym i śnić, że czuję pod palcami pachnącą piżmem sierść. Mogłem się w ten sposób pobudzić, chociaż bowiem duch odrzucał czcze rojenia, ciało odbudowywało się stopniowo po wszystkich skutkach naszych peregrynacji. Karmili nas nieźle, dwa razy dziennie dostawaliśmy obfity posiłek. Może w ten sposób Aloadyn, nie wprowadzając nas wszak w tajemnice swego zielonego miodu, zapewniał sobie z naszej strony spokój. W istocie zaś odzyskiwaliśmy siły, lecz jednocześnie, mimo prac, które musieliśmy wykonywać, nabieraliśmy trochę za dużo ciała. Zerkałem na rosnący brzuszek i powiadałem sobie: pięknie wyglądasz, Baudolinie, czy wszyscy ludzie są równie jak ty piękni? I śmiałem się jak głupi.

Jedyne chwile pociechy zawdzięczali Gavagaiowi. Ich znakomity przyjaciel objął stanowisko błazna Aloadyna, zabawiał go swymi nieoczekiwanymi ruchami, oddawał mu drobne przysługi, mknął po salach i korytarzach z rozkazami władcy, nauczył się saraceńskiego języka, cieszył się dużą swobodą. Przynosił przyjaciołom smakołyki z kuchni swego pana,

opowiadał o sprawach, którymi żyła warownia, o podstępnej walce eunuchów zabiegających o fawory u władcy, o zabójczych misjach, na które wysyłano oszołomionych miodem młodzieńców.

Pewnego dnia przyniósł Baudolinowi ów zielony miód, lecz tylko trochę, bo inaczej popadłby w stan tamtych asasynów – wyjaśnił. Baudolino zjadł miód i przeżył miłosną noc z Hypatią. Lecz pod koniec snu ciało dziewczęcia odmieniło się, zyskało zgrabne, białe i przyjemne nogi, jakie mają niewiasty człowiecze, a za to kozią głowę.

Gavagai doniósł, że ich oręż i sakwy zostały ciśnięte do jakiejś komórki i że odnajdzie je, kiedy podejmą próbę ucieczki.

– Naprawdę sądzisz, Gavagaiu, że pewnego dnia zdołamy uciec? – spytał Baudolino.

– Ja tak sądzi. Ja sądzi, że nie brak dobrych sposobów ucieczki. Ja tylko musi znaleźć najlepszy. Ale ty robi się tłusty jak eunuch, a tłusty ucieka marnie. Musi poruszać ciałem jak ja, podnosi nogę nad głowę i robi się bardzo zręczny.

Podnoszenie nogi nad głowę nie wchodziło w grę, ale Baudolino zrozumiał, że nadzieja ucieczki, choćby i daremna, pomoże mu znieść uwięzienie i uchronić się przed szaleństwem, zaczął więc czynić przygotowania: wymachiwał rękami, robił dziesiątki przysiadów – póki nie padał z wyczerpania na zaokrąglony brzuch. Namówił też do tych ćwiczeń przyjaciół i wykonywał z Poetą ruchy jak podczas walki; czasem całe popołudnie mijało im na próbach rzucenia przeciwnika na ziemię. Z łańcuchem na nogach nie było to łatwe, a w dodatku utracili niegdysiejszą gibkość. Nie tylko z powodu więzienia. Także wiek dawał im się już we znaki. Ale ćwiczenia poprawiały kondycję.

Jedynym, który zapomniał całkiem o swoim ciele, był rabbi Solomon. Jadł bardzo mało, był za słaby do rozmaitych robót i w rezultacie przyjaciele wykonywali prace za niego. Nie miał żadnego zwoju, który mógłby czytać, żadnego narzędzia, którym mógłby pisać. Spędzał całe dni,

powtarzając imię Pana, a za każdym razem z ust jego padały inne dźwięki. Stracił wszystkie zęby, pozostały mu po obu stronach ust tylko nagie dziąsła. Jedząc, mlaskał, mówiąc, poświstywał. Doszedł do przekonania, że dziesięć rozproszonych pokoleń nie mogło znajdować się w królestwie zamieszkanym w połowie przez nestorian, którzy byli jeszcze do zniesienia, ponieważ także dla żydów ta zacna niewiasta, Maryja, nie mogła zrodzić żadnego Boga, ale w drugiej połowie przez bałwochwalców, którzy wedle własnego upodobania dodawali sobie albo ujmowali bóstw. Nie – powtarzał niepocieszony – być może dziesięć pokoleń przewędrowało przez królestwo, lecz potem z pewnością znowu zaczęło się błąkać; my, żydzi, ciągle szukamy ziemi obiecanej, byle była gdzie indziej, nie wiadomo więc, gdzie mogą być dzisiaj, może kilka kroków od tego miejsca, gdzie dożywam swoich dni, porzuciłem jednak wszelką nadzieję, że natrafię na ich ślad. Znośmy próbę, jaką zesłał nam Święty, niechaj będzie błogosławiony zawsze. Hiob nie takie rzeczy przeżył.

– Widać było gołym okiem, że stracił rozum. Stracili go także Kyot i Boron, a to od wiecznego łamania sobie głowy tym, co byłoby, gdyby odnaleźli Gradalis; wręcz uczepili się myśli, że to właśnie oni go odnajdą, i im więcej o tym rozmawiali, tym cudowniejsze stawały się jego i tak cudowne właściwości i tym bardziej pogrążali się we śnie na jawie, wyobrażając sobie, iż już go mają. Poeta powtarzał: niech no tylko dostanę w swe ręce Zosimę, a będę panem świata. Zapomnijcie o Zosimie, mówiłem im, przecież nie dotarł nawet do Pndapetzim, może zabłądził po drodze, jego szkielet zamienia się już w proch gdzieś pośród pyłów, a Gradalis zabrali niewierni nomadzi, którzy do niego szczają. Milcz, zamknijże się, odpowiadał, blednąc, Boron.

– Jak wydostaliście się z tego piekła? – spytał Niketas.

– Pewnego dnia przyszedł Gavagai i oznajmił, że znalazł drogę ucieczki. Biedny Gavagai, także on się postarzał; nigdy nie dowiedziałem się, jak

długo żyje skiapoda, lecz nie wyprzedzał już samego siebie jak błyskawica. Zjawiał się, niczym grzmot, trochę później, a po biegu był zadyszany.

Plan był taki: trzeba z bronią w ręku zaskoczyć eunucha strzegącego Ptaków-Rok, zmusić go do założenia na nie uprzęży, lecz tak, by rzemienie, mocujące zwykle brzemię, tym razem przywiązać do pasów uciekinierów. Potem będzie musiał wydać im rozkaz lotu do Konstantynopola. Gavagai rozmawiał już z eunuchem i dowiedział się, że ten całkiem często wysyła ptaki do tego miasta, do szpiega, który mieszka na wzgórzu nieopodal Pery. Zarówno Gavagai, jak i Baudolino rozumieli język saraceński i mogli dopilnować, by eunuch wydał właściwy rozkaz. Kiedy dotrą na miejsce, ptaki same usiądą na ziemi.

– Jakże mogłem nie pomyśleć o tym przedtem? – pytał Gavagai, bijąc się komicznie po głowie.

– No dobrze – powiedział Baudolino – jak jednak będziemy podróżować z łańcuchami na nogach?

– Ja znajdzie pilnik – odparł Gavagai.

W nocy Gavagai odnalazł ich oręż i sakwy i przyniósł im wszystko do sypialni. Miecze i sztylety pokryły się rdzą, ale przez całe noce czyścili je i ostrzyli, pocierając o kamienie, z których zbudowano mury. Dostali też pilnik. Był niewiele wart, minęły więc tygodnie, zanim ponacinali ogniwa łańcucha tuż przy kostce. W końcu jednak się powiodło, pod ogniwem przewlekli sznur, którym związali łańcuch, tak że wyglądało, iż poruszają się po zamku z takim samym jak zawsze trudem. Gdyby ktoś przyjrzał się uważniej, zauważyłby oszustwo, ale byli tu od tak wielu lat, że nikt nie zwracał na nich uwagi i psiogłowi uważali ich za udomowione zwierzęta.

Pewnego wieczoru dowiedzieli się, że następnego dnia mają zabrać z kuchni i zanieść ptakom worki z mięsem, które się zepsuło. Gavagai powiedział, że jest to okazja, na jaką czekali.

Rankiem, z minami ludzi, którzy robią coś wbrew sobie, poszli po worki, a wracając, wstąpili do dormitorium, po czym ukryli broń wśród mięsa. Kiedy dotarli do klatek, Gavagai był już na miejscu i zabawiał fikaniem koziołków eunucha pełniącego straż. Wszystko poszło nad wyraz łatwo, otworzyli worki, wydobyli sztylety i sześć ostrzy przystawili do szyi strażnika (Solomon przyglądał się tylko, jakby cała ta sprawa zupełnie go nie dotyczyła), a Baudolino wyjaśnił mu, co ma czynić. W pierwszej chwili wydawało się, że nie wystarczy uprzęży, ale Poeta dał eunuchowi do zrozumienia, że nie zawaha się obciąć mu uszu, i ten zaraz okazał gotowość do współpracy, albowiem obcięto mu już dostatecznie dużo. Siedem ptaków przygotowano do dźwignięcia ciężaru siedmiu ludzi, czy może sześciu ludzi i jednonogiego.

– Chcę mieć najmocniejszego ptaka – oznajmił Poeta – abyś ty – obrócił się do eunucha – nie mógł zostać, bo przecież wszcząłbyś alarm lub krzyknął swoim bestiom, by zawróciły. Do mojego pasa przymocuję jeszcze jeden rzemień, na którym będziesz wisiał ty. Tak zatem mój ptak będzie musiał ponieść ciężar dwóch osób.

Baudolino przetłumaczył jego słowa, a eunuch oznajmił, że z całą ochotą będzie im towarzyszył na koniec świata, ale chciał się dowiedzieć, co się potem z nim stanie. Zapewnili go, że kiedy znajdą się w Konstantynopolu, będzie mógł się udać, dokąd tylko zechce.

– Pospieszmy się – rzucił Poeta – bo nie można już znieść smrodu panującego w tej klatce.

Minęła jednak godzina, zanim wszystko zostało przygotowane zgodnie z regułami sztuki. Każdy z nich przywiązał samego siebie do przynależnego mu drapieżnika, Poeta zaś przytroczył do swego pasa rzemień, na którym miał zawisnąć eunuch. Jedynym, który nie zakończył jeszcze przygotowań, był Gavagai, zajęty czuwaniem, czy zza zakrętu korytarza nie wyłoni się ktoś, kto zechciałby pokrzyżować im plany.

I ktoś przybył. Strażników zastanowiło, dlaczego więźniowie, którzy mieli zanieść jadło ptakom, tak długo nie wracają. Wgłębi korytarza pokazała się grupa psiogłowych, którzy szczekali z niepokojem.

– Do mnie, kundle łby! – wrzasnął Gavagai. – Wy zaś zaraz odfruwa!

– Gówno odfruwa! – odkrzyknął Baudolino. – Chodź tu, byśmy zdążyli założyć ci uprząż!

Nie było to dobre wyjście z sytuacji i Gavagai to zrozumiał. Jeśli dołączy do uciekających, psiogłowi dotrą do klatki, zanim eunuch zdąży otworzyć kraty i rozkazać ptakom wzbić się w powietrze. Krzyknął więc swym towarzyszom, by otworzyli klatki i odfrunęli. W worku z mięsiwem ukrył także swoją dmuchawę. Wyjął ją wraz z trzema strzałami, które mu pozostały.

– Jednonogi umrze, lecz dochowa wierności przenajświętszym magom – oznajmił.

Położył się na ziemi, podniósł nogę i odchyliwszy głowę, przytknął dmuchawę do ust, a potem strzelił i pierwszy psiogłowy padł bez życia. Pozostali cofnęli się, Gavagai wystrzelił jeszcze dwa razy, ale potem był już bezbronny. Chcąc jednak powstrzymać atakujących, nie opuszczał dmuchawy, tak jakby miał zamiar znowu w nią dmuchnąć; nie na długo się to jednak zdało. Psiogłowe potwory rzuciły się na jednonogiego i przeszyły go mieczami.

W tym czasie Poeta zagłębił nieco sztylet w szyję eunucha, który utraciwszy parę kropli krwi, pojął, czego się od niego wymaga, i chociaż więzy trochę mu przeszkadzały, otworzył kratę. Kiedy Poeta zobaczył, że Gavagai uległ przeważającym siłom, krzyknął: „To koniec, wynośmy się stąd!” Eunuch wydał ptakom rozkaz, one zaś wymknęły się na zewnątrz i wzbiły w powietrze. Psiogłowi właśnie w tym momencie wbiegali do klatki, ale ich pęd powstrzymały pozostałe ptaki, które rozwścieczone tumultem, jęły walić w nich dziobami.

Cała szóstka znalazła się wysoko w powietrzu.

– Czy wydał właściwy rozkaz i lecimy do Konstantynopola?! – wykrzyknął Poeta w stronę Baudolina, który kiwnął głową, że tak. – W takim razie już go nie potrzebujemy – rzekł Poeta. Jednym ruchem ręki odciął rzemień łączący go z eunuchem i ten runął w dół. – Szybciej polecimy, a i Gavagai jest pomszczony.

– Lecieliśmy więc, panie Niketasie, wysoko nad równinami urozmaiconymi jedynie bliznami wyschłych nie wiadomo od jak dawna rzek, polami uprawnymi, jeziorami, lasami, przywarłszy do ptasich nóg, baliśmy się bowiem, że nasze uprzęże mogą nie wytrzymać ciężaru. Nie potrafię obliczyć, jak długo to trwało, wiem tylko, że dłonie mieliśmy w ranach. Widzieliśmy, jak przemykają pod nami rozległe pustynie, żyzne ziemie, łąki i górskie urwiska. Świeciło słońce, ale my pozostawaliśmy w cieniu długich ptasich skrzydeł, które biły powietrze nad naszymi głowami. Nie wiem, ile czasu tak lecieliśmy, chyba dniem i nocą i na wysokościach niedostępnych z pewnością aniołom. W pewnym momencie zobaczyliśmy na środku pustyni pod nami dziesięć oddziałów, tak się nam wydawało, ludzi (a może były to mrówki?), którzy posuwali się prawie równolegle, choć nie wiadomo dokąd. Rabbi Solomon zaczął krzyczeć, że to dziesięć rozproszonych pokoleń i że chce do nich dołączyć. Próbował zmusić swojego ptaka do przerwania lotu, szarpiąc go za łapy, potem pokierować nim tak, jak czyni się to za pomocą lin mocujących żagiel albo drążka rządzącego sterem, ale ptak wpadł tylko we wściekłość, uwolnił się od uchwytu i próbował złapać w szpony głowę Solomona. Solomonie, żadnych głupstw, krzyknął Boidi, to nie są twoi, tylko jacyś nomadowie, którzy wędrują bez celu! Próżny trud! Ogarnięty mistycznym szaleństwem Solomon miotał się tak straszliwie, że uprząż się rozwiązała i runął w dół, a właściwie leciał z rozpostartymi ramionami przez niebiosa niby anioł Najwyższego, oby zawsze był Święty błogosławiony, lecz anioł

przyciągany przez ziemię obiecaną. Patrzyliśmy, jak staje się coraz mniejszy, aż wreszcie jego obraz zlał się z obrazem mrówek na dole.

Po jakimś czasie Ptaki-Rok, wiernie wypełniając otrzymane rozkazy, doleciały do miejsca, skąd widać już było Konstantynopol i jego lśniące w słońcu kopuły. Usiadły tam, gdzie powinny, i nasi przyjaciele uwolnili się z więzów. Jakiś człowiek, być może szpicel Aloadyna, wyszedł im naprzeciw, zdumiony widokiem tak wielu posłańców. Poeta uśmiechnął się doń, wyjął miecz i uderzył go w głowę płazem.

– *Benedico te in nomine Aloadini* – rzekł z anielskim uśmiechem, kiedy tamten walił się na ziemię niby worek. – Sio, a sio! – wykrzyknął następnie w stronę ptaków, które jakoś zrozumiały ton jego głosu, wzbiły się w powietrze i po chwili znikły za horyzontem.

– Jesteśmy w domu – oznajmił Boidi, choć znajdował się tysiąc mil od swojej rodziny.

– Miejmy nadzieję, że nadal są tu gdzieś nasi genueńscy przyjaciele – powiedział Baudolino. – Poszukajmy ich.

– Zobaczycie, że nasze głowy Chrzciciela okażą się przydatne – rzekł Poeta, który nagle jakby o wiele lat odmłodniał. – Znowu jesteśmy między chrześcijanami. Straciliśmy Pndapetzim, ale możemy przecież zdobyć Konstantynopol.

– Nie wiedział – zauważył ze smutnym uśmiechem Niketas – że inni chrześcijanie wzięli się już do tego dzieła.

37

Baudolino wzbogaca skarbiec bizantyjski

– Ledwie spróbowaliśmy przedostać się przez Złoty Róg do miasta, zrozumieliśmy, że jesteśmy w najdziwniejszej sytuacji, w jakiej zdarzyło się nam znaleźć. Miasto nie było oblegane, ponieważ nieprzyjaciele, choć ich okręty stały na redzie, zajęli kwatery w Perze i wielu z nich krążyło po mieście. Nie było zdobyte, ponieważ obok najeźdźców z krzyżami na piersi widziało się zbrojnych ludzi cesarza. Jednym słowem, krzyżowcy przebywali w Konstantynopolu, ale Konstantynopol nie należał do nich. A kiedy odnaleźliśmy moich genueńskich przyjaciół, tych samych, u których mieszkałeś także ty, oni też nie umieli dokładnie wyjaśnić, co się stało ani do czego to wszystko prowadzi.

– Także nam trudno było to pojąć – przerwał mu z pełnym rezygnacji uśmiechem Niketas. – A przecież prędzej czy później będę musiał napisać historię tego okresu. Po niepowodzeniu wyprawy twojego Fryderyka oraz królów Francji i Anglii, którzy chcieli odzyskać Jerozolimę, ponad dziesięć lat później łacinnicy zapragnęli wrócić pod wodzą wielkich książąt, między innymi Baldwina z Flandrii i Bonifacego z Monferratu. Potrzebna im jednak była flota, zamówili więc ją u wenecjan. Słyszałem, jak szydziłeś ze skąpstwa genueńczyków, ale w porównaniu z wenecjanami mieszkańcy Genui są uosobieniem szczodrości. Łacinnicy dostali okręty, ale nie mieli pieniędzy, by za nie zapłacić, a wenecki doża Dandolo (los chciał, żeby on też był ślepcem pośród mnóstwa innych ślepców w tej historii, lecz w odróżnieniu od tamtych ten widział daleko) zażądał, by zanim wyruszą

do Ziemi Świętej, pomogli mu na poczet długu podporządkować sobie Zarę. Pielgrzymi zgodzili się i była to ich pierwsza zbrodnia, gdyż nie bierze się krzyża po to, by zdobywać miasto dla wenecjan. W tym samym czasie Aleksy, brat tego Izaaka Angelosa, który zrzucił z tronu Andronika, żeby przejąć odeń władzę, kazał brata oślepić, wygnał go nad morze i sam ogłosił się bazyleusem.

– To właśnie opowiedzieli mi od razu genueńczycy. Była to historia bardzo zagmatwana, gdyż brat Izaaka został Aleksym III, ale był jeszcze inny Aleksy, syn Izaaka, i temu udało się uciec, dotrzeć do znajdującej się teraz w rękach weneckich Zary, gdzie zwrócił się do pielgrzymów z prośbą, by pomogli mu powrócić na tron, a wtedy on pomoże im zdobyć Ziemię Świętą.

– Łatwo obiecać coś, czego się nie ma. Aleksy III z drugiej strony powinien był zrozumieć, że jego cesarstwo jest w niebezpieczeństwie. Chociaż miał jeszcze oczy, oślepiała go gnuśność i otaczająca go zewsząd korupcja. Wyobraź sobie tylko: w pewnym momencie chciał zbudować kilka okrętów wojennych, lecz strażnicy lasów cesarskich nie pozwolili na wycinanie drzew. Poza tym Michał Strifinos, dowódca floty, który pragnął napełnić swoje kufry, zdążył już sprzedać ożaglowanie i wanty, a także stery i inne części istniejących okrętów. W tym czasie młody Aleksy przyjął w Zarze hołd ludności i w czerwcu ubiegłego roku łacinnicy stanęli tutaj, pod murami miasta. Sto dziesięć galer i siedemdziesiąt okrętów z tysiącem rycerstwa i trzydziestoma tysiącami żołnierzy, z tarczami na burtach, sztandarami rozwianymi na wietrze i chorągwiami na kasztelach, przepłynęło w paradnym szyku Ramieniem Świętego Jerzego, przy dźwiękach trąb i warkocie bębnów, nasi zaś stali na murach i przyglądali się temu widowisku. Nieliczni zaczęli ciskać kamienie, ale bardziej, żeby narobić zamieszania, niż żeby zadać im straty. Dopiero kiedy łacinnicy przybili koło Pery do nabrzeża, ten głupiec Aleksy III kazał wyprowadzić cesarską armię. To także było jednak zwykłą paradą, w Konstantynopolu

wszyscy śnili na jawie. Wiesz może, iż Złoty Róg był przegrodzony wielkim łańcuchem, który łączył dwa brzegi, ale co z tego, skoro nasi bronili go źle: łacinnicy skruszyli łańcuch, wpłynęli do portu i wysadzili swoje wojsko na ląd dokładnie pod cesarskim pałacem Blacherneńskim. Nasza armia wyszła pod wodzą cesarza za mury, damy przyglądały się ze stoków twierdzy widowisku i mówiły, że nasi wyglądają jak aniołowie, tak pięknie lśniły w słońcu ich zbroje. Że coś jest nie tak, jak należy, zrozumiały dopiero, kiedy cesarz, zamiast wydać rozkaz rozpoczęcia bitwy, wrócił do miasta. A jeszcze lepiej zrozumiały wszystko kilka dni później, kiedy wenecjanie rzucili się do szturmu od strony morza, a garści łacinników udało się wedrzeć na mury i podpalić najbliższe domy. Moi współobywatele pojęli, co się dzieje, po tych pierwszych pożarach. Co uczynił wówczas Aleksy III? Załadował nocą dziesięć tysięcy złotych monet na jeden z okrętów i porzucił miasto.

– A wtedy wrócił Izaak.

– Tak, ale był już stary, na dokładkę ślepy, a łacinnicy przypomnieli mu, że powinien podzielić się cesarstwem z synem, który został Aleksym IV. Łacinnicy zawarli z tym chłopakiem układy, o których nic nie wiedzieliśmy: Cesarstwo Bizantyjskie wróciło do obediencji katolickiej i rzymskiej, bazyleus dał pielgrzymom dwieście tysięcy marek w srebrze, prowiant na rok, dziesięć tysięcy rycerzy, którzy mieli wyruszyć na Jerozolimę, oraz liczący pięć tysięcy rycerzy garnizon w Ziemi Świętej. Izaak spostrzegł, że w skarbcu cesarskim jest za mało pieniędzy i że nie może powiedzieć, ot tak, duchowieństwu i ludowi, iż nagle poddaje się władzy rzymskiego papieża... W ten sposób zaczęła się farsa, która miała potrwać kilka miesięcy. Z jednej strony Izaak i jego syn, chcąc zebrać wystarczającą sumę, plądrowali kościoły, wycinali toporami wizerunki Chrystusa, które ogołacali z ozdób, a potem rzucali do ognia, i przetapiali całe złoto i srebro, jakie zdołali zdobyć. Z drugiej strony łacinnicy, którzy obwarowali się w Perze, przeprawiali się na tę stronę Złotego Rogu,

zasiadali do stołu z Izaakiem, panoszyli się wszędzie i robili, co tylko mogli, żeby opóźnić wymarsz. Powiadali, że czekają, aż zostaną całkowicie spłaceni, przy czym najbardziej ze wszystkich gnębił Konstantynopol doża Dandolo ze swymi wenecjanami, choć prawdę mówiąc, myślę, że znaleźli się w raju i żyli sobie błogo na nasz koszt. Nie zadowalając się łupieniem skóry z chrześcijan, a być może również, by usprawiedliwić opóźnianie starcia z Saracenami pod Jerozolimą, niektórzy z nich wzięli się do rabowania domów żyjących tu spokojnie Saracenów konstantynopolskich i w tym zamieszaniu wywołali drugi pożar, w którym straciłem najpiękniejszy z moich domów.

– A dwaj bazyleusowie nie protestowali u swych sprzymierzeńców?

– Byli już tylko dwoma zakładnikami w rękach łacinników, którzy uczynili z Aleksego IV swą igraszkę: kiedy przebywał pewnego razu w ich obozie i zabawiał się jak pierwszy lepszy rycerz, zerwali mu złocistą czapkę i któryś wcisnął ją sobie na głowę. Nigdy jeszcze bizantyjskiego bazyleusa nie spotkało takie upokorzenie! Co się zaś tyczy Izaaka, ten pogrążał się coraz bardziej w ogłupieniu wśród żarłocznych mnichów, majaczył, że zostanie władcą świata i odzyska wzrok... Aż wreszcie lud powstał i wybrał na bazyleusa Mikołaja Hannapesa. To poczciwiec, ale teraz silnym człowiekiem został Aleksy Dukas Murzuflos, poparty przez dowódców wojskowych. Dzięki temu bez trudu sięgnął po władzę. Izaak zmarł ze zgryzoty, a Murzuflos kazał ściąć Hannapesa, udusić Aleksego IV i został Aleksym V.

– Oto jak doszło do tego, że nikt nie wiedział, kto rozkazuje, Izaak, Hannapes, Murzuflos czy może pielgrzymi, a kiedy ktoś mówił o Aleksym, nie wiadomo było, czy ma na myśli trzeciego, czwartego czy piątego. Odnaleźliśmy genueńczyków, którzy mieszkali tam, gdzie i ty ich zastałeś, natomiast domy wenecjan i pizańczyków strawił drugi pożar, a oni sami przenieśli się do Pery. Poeta doszedł do wniosku, że w tym nieszczęsnym mieście musimy odbudować naszą fortunę.

– Kiedy panuje anarchia – oświadczył Poeta – każdy może stać się królem. Na razie trzeba było postarać się o jakieś pieniądze. Piątka naszych ocalałych była w łachmanach, brudna, pozbawiona środków do życia. Genueńczycy przyjęli ich z otwartymi ramionami, ale powiedzieli też, że gość jest jak ryba i po trzech dniach zaczyna cuchnąć. Poeta obmył się starannie, ostrzygł włosy i brodę, pożyczył od naszych gospodarzy przyzwoite odzienie i pewnego dnia wyprawił się do miasta, żeby zasięgnąć języka.

Wrócił wieczorem i rzekł:

– Od dziś bazyleusem jest Murzuflos, który pozbył się wszystkich konkurentów. Zdaje się, że pragnie pokazać się swym poddanym i w tym celu zamierza sprowokować łacinników, którzy uważają go za uzurpatora, gdyż układy zawierali z biednym Aleksym IV, pokój jego duszy, młodym, lecz wyraźnie noszącym w sobie piętno zguby. Łacinnicy czekają na jakiś fałszywy krok Murzuflosa, a na razie upijają się w oberżach, choć wiedzą dobrze, iż prędzej czy później wymierzą mu kopniaka i będą mogli splądrować miasto. Wiedzą już, jakie złoto jest w jakim kościele, wiedzą też, że w mieście ukryto mnóstwo relikwii, aczkolwiek zdają sobie sprawę, że z relikwiami nie ma żartów i że ich wodzowie chcą zabrać je dla siebie, by wrócić z nimi do swych miast. A ponieważ ci Greczyni wcale nie są od nich lepsi, pielgrzymi gotowi są nadskakiwać każdemu, by zdobyć złoto i jak najtaniej skupować najważniejsze relikwie. Morał: kto chce zbić majątek w tym mieście, sprzedaje relikwie, kto zaś woli go zbić u siebie, kupuje.

– Nadszedł więc moment, by sięgnąć po nasze głowy Jana Chrzciciela! – wykrzyknął z nadzieją w głosie Boidi.

– Ty, Boidi, mielesz ozorem, bo go masz, i tyle – odparł Poeta. – Przede wszystkim w jednym mieście można sprzedać najwyżej jedną głowę, bo pogłoska zaraz się rozejdzie. Poza tym słyszałem, że w Konstantynopolu

jest już jedna głowa Jana Chrzciciela, a może nawet dwie. Powiedzmy, że sprzedano już obie, a my przychodzimy z trzecią. Przecież zaraz poderżną nam gardła! Tak zatem z głów Chrzciciela nic nie będzie. Szukanie relikwii wymaga jednak czasu. Sedno sprawy nie w tym, by je znaleźć, lecz by sporządzić, i to takie same jak istniejące, tyle że przez nikogo jeszcze nieodkryte. Chodząc to tu, to tam, usłyszałem o purpurowym płaszczu Chrystusa, o trzcinie i słupie, przy którym Go biczowano, o nasączonej żółcią i octem gąbce, którą podano naszemu Panu przed śmiercią, tyle że teraz już suchej, o koronie cierniowej, o tabernakulum z okruszyną chleba konsekrowanego podczas Ostatniej Wieczerzy, o włosach z brody Ukrzyżowanego, o tunice bez szwów, o którą żołnierze grali w kości, o sukni Matki Bożej...

– Trzeba by rozważyć, które najłatwiej sporządzić – powiedział w zamyśleniu Baudolino.

– Otóż to – rzekł Poeta. – Trzcinę znajdziesz wszędzie, ale o kolumnie lepiej nie myśleć, bo jak ją sprzedać ukradkiem?

– Po co jednak narażać się, sporządzając imitacje, skoro ktoś może odnaleźć prawdziwą i kupujący zażądają zwrotu pieniędzy? – zauważył rozsądnie Boron. – Pomyślcie tylko, ile może być relikwii. Pomyślcie, na przykład, o dwunastu koszach od rozmnożenia chleba i ryb. Przecież koszy nigdzie nie brakuje, wystarczy nieco je przybrudzić, by wyglądały na stare. Pomyślcie o siekierze, którą Noe posługiwał się przy budowie arki, znajdzie się przynajmniej jedna wyrzucona przez naszych genueńczyków, gdyż ostrze się stępiło.

– To niezła myśl – zabrał głos Boidi. – Pójdziesz sobie na cmentarz i zaraz znajdziesz szczękę świętego Pawła, nie głowę już, lecz lewe ramię świętego Jana Chrzciciela, i tak dalej, szczątki świętej Agaty, świętego Łazarza, proroków Daniela, Samuela i Izajasza, czaszkę świętej Heleny, fragment głowy świętego Filipa apostoła.

– Jeśli już o tym mowa – wtrącił się Pevere, porwany wspaniałymi perspektywami – wystarczy przetrząsnąć dom, a jak nic znajdzie się kawałek żłóbka betlejemskiego, choćby maleńki, który nie wiadomo skąd się wziął.

– Sporządzimy relikwie, których nikt nigdy nie widział – zgodził się Poeta – ale odtworzymy także te, które już są, o nich bowiem się mówi, ich cena rośnie z dnia na dzień.

Dom genueńczyków zmienił się na tydzień w kuźnię, w której wre praca. Boidiemu nogi zaplątały się w trocinach i znalazł gwóźdź z Krzyża Świętego, Boiamondo, po nocy pełnej cierpień, przywiązał sobie dratwę do zepsutego siekacza i wyrwał ząb świętej Anny, Grillo suszył chleb na słońcu i jego okruszki wkładał do wykonanych dopiero co przez Taraburla pudełeczek ze starego drewna. Pevere przekonał ich, żeby zrezygnowali z koszy, w których były ryby i chleb, bo przecież – powiedział – po takim cudzie rzesza z pewnością je rozebrała i nawet Konstantyn nie zdołałby odnaleźć ich wszystkich. Sprzedać tylko jeden to nie robi wrażenia, a poza tym trudno przekazać go ukradkiem z ręki do ręki, gdyż Jezus wykarmił mnóstwo ludzi, nie wchodzi więc w grę koszyk, który da się schować pod płaszczem. Dajmy spokój koszom – oznajmił Poeta – ale siekierę Noego mi znajdziesz. Jakżeby nie – odparł Pevere – masz tu taką, której ostrze jest wyszczerbione jak piła, a trzonek całkiem przysmalony.

Po wykonaniu tych zadań nasi przyjaciele przebrali się za ormiańskich kupców (wobec tego genueńczycy zgłosili gotowość sfinansowania przedsięwzięcia) i zaczęli chodzić ukradkiem od gospody do gospody, a także po obozowiskach pielgrzymich, napomykając półgębkiem o relikwiach, ale również o tym, jak trudna to sprawa, podając wygórowaną cenę, bo przecież narażają życie, i opowiadając inne tego rodzaju rzeczy.

Boidi oznajmił pewnego wieczoru po powrocie, że znalazł monferrackiego rycerza, który gotów byłby kupić siekierę Noego, ale chce

się upewnić, iż jest prawdziwa.

– Świetnie – rzekł Baudolino – chodźmy do Noego, by złożył przysięgę, którą potwierdzi się pieczęcią.

– Czy jednak Noe umiał pisać? – spytał Boron.

– Noe umiał tylko chlać na umór – odparł Boidi. – A kiedy ładował na arkę zwierzęta, musiał być zalany w belę, bo przesadził z komarami, a zapomniał o jednorożcach, dlatego już się ich nie widuje.

– Widuje się, widuje... – mruknął Baudolino, któremu nagle całkiem przeszedł dobry humor.

Pevere powiedział, że podczas swoich podróży nauczył się trochę żydowskiego pisma i potrafi wyryć nożem na trzonku siekiery jeden czy dwa ichnie zawijasy. „Noe był Żydem, tak czy nie?” Żydem, Żydem – potwierdzili przyjaciele. Jakżeby cierpiał biedny Solomon, co za szczęście, że już go nie ma! Tak czy inaczej, Boidiemu udało się sprzedać siekierę.

Zdarzały się dni, w których trudno było znaleźć nabywcę, gdyż w mieście dochodziło do jakiegoś tumultu i pielgrzymów wzywano do stawienia się w obozach pod broń. Rozeszła się na przykład pogłoska, że Murzuflos zaatakował leżącą nad morzem Fileję, i pielgrzymi wystąpili zwartymi oddziałami, doszło do bitwy czy raczej potyczki, w każdym razie wojska Murzuflosa dostały niezłe cięgi, zdobyto ich chorągiew z wizerunkiem Najświętszej Panny. Murzuflos wrócił do Konstantynopola, ale zakazał swoim ludziom rozpowiadać o tej hańbie. Łacinnicy dowiedzieli się rychło o jego powściągliwości w wyjawianiu prawdy i pewnego ranka przepłynęli tuż pod murami jedną ze swoich galer, na której powiewała w widocznym miejscu owa chorągiew, pokazując przy tym Greczynom sprośne gesty, na przykład figę, która oznacza niewieści srom, albo uderzając kantem lewej dłoni w zgięcie łokcia prawej ręki. Murzuflos się zbłaźnił, a *romaei* śpiewali o nim na ulicach szydercze piosenki.

Jednym słowem, od stycznia do marca naszym przyjaciołom czas upływał między pracą nad przygotowywaniem dobrej relikwii a korzystną sprzedażą; raz był to podbródek świętego Eobana, innym razem piszczel świętej Kunegundy, w każdym razie zgromadzili niezłą sumkę, oddali długi genueńczykom i należycie się odżywili.

– Wiesz zatem, panie Niketasie, dlaczego w ubiegłych dniach pojawiło się w twoim mieście tyle podwójnych relikwii, że tylko Bóg jeden wie, która z nich jest prawdziwa. Ale z drugiej strony zechciej postawić się w naszym położeniu, musieliśmy wszak z czegoś żyć wśród rwących się do kradzieży łacinników i twoich Greczynów, to jest, wybacz, twoich Rzymian, chętnych do naciągania łacinników. W końcu oszukiwaliśmy przecież oszustów.

– Cóż, może niejedna z tych relikwii natchnie świętymi myślami barbarzyńskich łacinników, kiedy znajdzie się w ich barbarzyńskim kościele. Święte myśli, święta relikwia. Niepoliczone są drogi Pańskie.

Mogli już dać wszystkiemu pokój i wrócić do domu. Kyot i Boron nie mieli żadnego pomysłu, co dalej, a wyrzekli się myśli o odnalezieniu Gradalisa, a wraz z nim Zosimy; Boidi powiedział, że za te pieniądze kupiłby sobie w Aleksandrii winnicę i żył do końca swych dni jak pan; Baudolino miał najmniej pomysłów: skończyło się poszukiwanie księdza Jana, utracił Hypatię, było mu już obojętne, czy przeżyje, czy też jutro pożegna się z tym światem. Inaczej miała się sprawa z Poetą, opanowała go mania fantazjowania o wszechwładzy, dawał wszak światu rzeczy Boskie, mógłby więc podsunąć to i owo już nie pierwszym lepszym pielgrzymom, ale możnym, którzy są nad nimi, zyskując sobie w ten sposób ich przychylność.

Pewnego dnia opowiedział, że w Konstantynopolu jest mandylion, Oblicze z Edessy, relikwia nieocenionej wartości.

– Ale co to takiego ten mandylion? – spytał Boiamondo.

– Mała chusta do ocierania twarzy z odbiciem oblicza naszego Pana – wyjaśnił Poeta. – Nie z namalowanym obrazem, lecz odbiciem dzięki działaniu naturalnemu. To *acheiropoieton*, nie zaś dzieło rąk ludzkich. Abgar V, król Edessy, był trędowaty i wysłał swego archiwistę Hannana, by ten zaprosił Jezusa, który go uleczy. Jezus nie mógł udać się do Edessy, ale wziął płótno i otarł nim sobie twarz, zostawiając na nim odbicie swych rysów. Kiedy król otrzymał chustę, oczywiście wyzdrowiał i nawrócił się na prawdziwą wiarę. Wieki temu, kiedy Persowie oblegali Edessę, mandylion wywieszono na jej murach i miasto ocalało. Potem płótno kupił cesarz Konstantyn i umieścił je tutaj, najpierw znajdowało się w kościele Blacherneńskim, później w Hagia Sofia, a wreszcie w kaplicy na półwyspie Faros. I ten mandylion jest prawdziwy, choć mówi się, że są jeszcze inne: w kapadockiej Kamulii, w egipskim Memfis i w Anablacie koło Jerozolimy. Nie jest to wcale niemożliwe, bo przecież Jezus mógł w ciągu ziemskiego żywota wiele razy wycierać twarz. Ten jednak jest z pewnością najcudowniejszy ze wszystkich, gdyż w dniu Wielkiej Nocy oblicze zmienia się w zależności od pory dnia i rankiem ma rysy Jezusa nowo narodzonego, o trzeciej Jezusa jako chłopca i tak dalej, aż wreszcie w godzinie nony widać na nim Jezusa dorosłego, jakim był w chwili męki.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytał Boidi.

– Od pewnego mnicha. Oto prawa relikwia! Z czymś takim można stanąć na naszej ziemi i oczekiwać zaszczytów i prebend, wystarczy znaleźć odpowiedniego biskupa, jak Baudolino Reginalda dla swoich trzech magów. Dotychczas sprzedawaliśmy relikwie, teraz nadszedł moment, żeby jedną z nich kupić, ale taką, która zapewni nam pomyślność.

– Od kogóż to zamierzasz kupić ów mandylion? – spytał znużonym głosem Baudolino, którego znudziło już całe to świętokupstwo.

– Został już nabyty od pewnego Syryjczyka, z którym spędziłem wieczór na piciu i który pracuje dla diuka Aten. Powiedział mi jednak, że diuk oddałby mandylion i kto wie co jeszcze, byle mieć w zamian syndon.

– Musisz teraz wyjaśnić, co to takiego ów syndon – ozwał się Boidi.

– Powiada się, że u Świętej Maryi Blacherneńskiej znajduje się Święty Całun, ten z obrazem całego ciała Jezusa. Mówi się o tym na mieście, ponoć widział go tutaj król Jerozolimy Amalryk, kiedy odwiedził Manuela Komnenosa. Inni powiedzieli mi, że oddano go na przechowanie kościołowi Najświętszej Panny w Bukoleonie. Nikt go jednak nie widział i jeśli nawet istniał, znikł bez śladu i nie wiadomo, jak dawno temu.

– Nie pojmuję, do czego zmierzasz – powiedział Baudolino. – Ktoś ma mandylion, no dobrze, i oddałby go w zamian za Całun, lecz ty Całunu przecież nie masz, a byłbym zaskoczony, gdybyś chciał, byśmy sporządzili tu wizerunek naszego Pana. A zatem?

– Ja Całunu nie mam, to prawda – odparł Poeta – lecz ty owszem.

– Ja?

– Pamiętasz, jak pytałem cię, co jest w tej skrzyni, którą powierzyli ci akolici diakona, zanim uciekliśmy z Pndapetzim? Odparłeś, że to wizerunek tamtego nieszczęśnika odbity zaraz po śmierci na śmiertelnym całunie. Pokaż.

– Chyba oszalałeś, to święta spuścizna, diakon powierzył mi ten całun, bym oddał go księdzu Janowi!

– Baudolinie, masz ponad sześćdziesiąt lat i nadal wierzysz w księdza Jana? Namacalnie sprawdziliśmy, że nikogo takiego nie ma. Pokazuj!

Baudolino niechętnie wydobył ze swojej sakwy tuleję, z niej zwój, który rozwinął, a wtedy oczom ich ukazało się bardzo duże płótno. Baudolino dał znak, żeby poodsuwali stoły i krzesła, całkowite rozciągnięcie płótna wymagało bowiem niemało miejsca.

Było to po prostu ogromne prześcieradło, na którym rysowały się ludzkie postaci, jakby owinięte weń ciało odbiło się dwakroć, raz od strony piersi, drugi – od strony pleców. Widać było bardzo wyraźnie twarz, opadające na ramiona włosy, wąsy i brodę, a także zamknięte oczy. Śmierć okazała się

łaskawa dla nieszczęsnego diakona, pozostawił bowiem na płótnie wizerunek twarzy naznaczonej pogodą ducha i zarys mocnego ciała, na którym z trudem dało się wypatrzyć rozmyte ślady po ubytkach, wybroczynach czy ranach – oznaki niszczycielskiego działania trądu.

Baudolina ogarnęło wzruszenie i przyznał, że na tym płótnie zmarły zyskał stygmaty swego żałosnego majestatu.

Po chwili szepnął:

– Nie możemy wizerunku człowieka trędowatego, a na dodatek nestorianina, sprzedawać jako wizerunku naszego Pana.

– Po pierwsze, diuk Aten nic o tym nie wie – odparował Poeta – a przecież przekazujemy całun jemu, nie zaś tobie. Po drugie, wcale go nie sprzedajemy, lecz dokonujemy wymiany, nie ma więc tu żadnego świętokupstwa. Idę do Syryjczyka.

– A on zapyta, dlaczego chcesz wymiany, skoro Całun jest nieporównanie cenniejszy od mandylionu – zauważył Baudolino.

– Lecz trudniej go wywieźć potajemnie z Konstantynopola. I ma zbyt wielką wartość, tak że tylko jakiś król mógłby sobie pozwolić na taki zakup, a na Oblicze znajdziemy nie tak znakomitego nabywcę, za to płacącego co do grosza. I gdybyśmy pokazali Całun chrześcijańskiemu księciu, powiedziałby, że ukradliśmy go tutaj, i kazałby nas powiesić, natomiast Oblicze z Edessy może być Obliczem z Kamulii, Memfis czy Anablaty. Syryjczyk zrozumie moje racje, bo należymy do tej samej rasy ludzi.

– No dobrze – rzekł Baudolino – przekażesz płótno diukowi Aten i nic mnie nie obchodzi, że zabierze do siebie wizerunek, który nie jest zgoła wizerunkiem Chrystusa. Wiesz jednak, że ten wizerunek jest dla mnie cenniejszy niż wizerunek Chrystusa, wiesz, co mi przypomina, i nie możesz handlować pokątnie rzeczą tak godną czci...

– Baudolinie, nie wiem, co zastaniemy po powrocie do domu – przekonywał go Poeta. – Mając Oblicze z Edessy, zyskamy sobie przyjaźń któregoś z arcybiskupów i znowu będziemy żyli dostatnio. A poza tym, Baudolinie, gdybyś nie wywiózł tego całunu z Pndapetzim, w tej chwili Hunowie używaliby go do podcierania tyłka. Ten człowiek był ci drogi, opowiedziałeś mi jego historię, kiedy błądziliśmy po pustyni i siedzieliśmy w więzieniu, i opłakiwałeś jego niepotrzebną i zapomnianą przez wszystkich śmierć. Otóż jego ostatni portret będzie w tym czy innym miejscu czczony jako obraz Chrystusa. Jakiegoż wznioślejszego grobowca mógłbyś pragnąć dla zmarłego, którego miłowałeś? Wcale nie poniżamy pamiątki jego ciała, lecz raczej... jak by to powiedzieć, Boronie?

– Raczej dokonujemy transfiguracji.

– No właśnie.

– Stało się to, panie Niketasie, bądź dlatego, że w owych dniach naznaczonych rozprzężeniem i apatią utraciłem rozeznanie tego, co jest słuszne, a co nie, bądź ze znużenia. Poeta oddalił się wymienić Całun, nasz całun, właściwie mój, a właściwie diakona, na mandylion.

Baudolino wybuchnął śmiechem, a Niketas nie rozumiał, skąd to rozbawienie.

– Wieczorem okazało się, jakiego figla spłatał nam los. Poeta poszedł do znajomej gospody, dokonał haniebnej wymiany, a chcąc upić Syryjczyka, upił się i sam, potem wyszedł, w ślad za nim ruszył ktoś, kto wiedział o jego szachrajstwach (może Syryjczyk, który należał, jak wyznał Poeta, do tego samego co on gatunku ludzi); napadnięto go w jakimś zaułku, pobito i Poeta wrócił bardziej pijany niż Noe, zakrwawiony i potłuczony, ale bez Całunu i mandylionu. Chciałem skopać go na śmierć, lecz był to już człek skończony. Po raz drugi utracił królestwo. W następnych dniach trzeba było karmić go siłą. Mówiłem sobie, że skoro zawiedziona ambicja może doprowadzić człowieka do takiego stanu, ja jestem człowiekiem

szczęśliwym, bo nigdy nie miałem zbyt daleko idących ambicji. Potem przyznawałem, że ja także padałem, i to nieraz, ofiarą niespełnionych pragnień, utraciłem wszak umiłowanego ojca, nie odnalazłem królestwa, o którym marzyłem, opuściła mnie na zawsze ukochana niewiasta... Ja jednak nauczyłem się, że Demiurg uczynił wszystko połowicznie, natomiast Poeta nadal wierzył, że na tym świecie możliwe jest jakieś zwycięstwo.

Na początku kwietnia nasi przyjaciele zdali sobie sprawę, że dni Konstantynopola są policzone. Doszło do dramatycznego sporu między dożą Dandolem, który stał na dziobie swojej galery, i Murzuflosem, który przemawiał doń ostrym tonem z lądu, żądając, by łacinnicy opuścili jego ziemie. Nie ulegało wątpliwości, że Murzuflos oszalał i że łacinnicy, jeśli zechcą, połkną go na przekąskę. Po drugiej stronie Złotego Rogu trwały w obozie łacińskim przygotowania, a na pokładach zakotwiczonych okrętów trwała krzątanina majtków i rycerzy gotujących się do ataku.

Boidi i Baudolino powiedzieli, że pora już opuścić Konstantynopol, póki zostało im jeszcze trochę pieniędzy, bo przecież mieli już pod dostatkiem widoku zdobytych miast. Boron i Kyot zgadzali się z nimi, ale Poeta poprosił o kilka dni zwłoki. Doszedł już do siebie po cięgach, jakie oberwał, i najwyraźniej chciał wykorzystać tę resztę dni, żeby dokonać ostatniego dzieła, choć sam jeszcze nie wiedział jakiego. W jego oczach pojawiało się już szaleństwo, lecz właśnie z szaleńcami nie ma co się spierać. Spełnili jego życzenie, powiadając sobie, że wystarczy mieć na oku okręty, by wiedzieć, kiedy trzeba wyruszyć w głąb lądu.

Poeta zniknął i nie było go już od dwóch dni, gdy w piątek przed Niedzielą Palmową pielgrzymi ruszyli do szturmu od strony morza, między Blachernos i klasztorem Ewergetes, mniej więcej na obszarze zwanym Petrią, na północ od Muru Konstantyna.

Było już za późno na opuszczanie pilnowanych teraz przez obie strony murów. Przeklinając swego kompana włóczęgę, Baudolino i reszta uznali,

że najlepiej będzie zaszyć się z powrotem u genueńczyków, gdyż ich okolica nie była, jak się zdawało, zagrożona. Czekali więc, zapoznając się godzina po godzinie z wieściami, jakie napływały z Petrii.

Okręty pielgrzymów były najeżone machinami oblężniczymi. Murzuflos zajął stanowisko na wzgórzu za murami – wraz z wodzami i dworzanami, sztandarami i trębaczami. Mimo tej całej gali wojsko cesarskie biło się dobrze; łacinnicy próbowali na najrozmaitsze sposoby szturmować, ale wszystkie ataki odpierano ku uciesze Greczynów na murach, którzy pokazywali przegranym obnażone zadki, Murzuflosa zaś ogarnęło uniesienie, jakby wszystko było jego dziełem, i wydał rozkaz, by odtrąbiono zwycięstwo.

Wydawało się już, że Dandolo i inni wodzowie pogodzili się z tym, że nie wezmą miasta szturmem, tak więc sobota i niedziela minęły spokojnie, aczkolwiek wszyscy trwali w napięciu. Baudolino skorzystał z tego okresu wytchnienia, żeby przemierzyć miasto wszerz i wzdłuż w poszukiwaniu Poety, lecz daremnie.

Nadeszła już noc po niedzieli, kiedy ich kompan wreszcie się pokazał. W oczach miał jeszcze większy obłęd niż przedtem, nie odezwał się ani słowem i aż do rana pił w milczeniu.

W poniedziałek o pierwszym brzasku dnia pielgrzymi znowu ruszyli do szturmu, który trwał cały dzień: gdzieniegdzie udało się im z okrętów weneckich zaczepić drabinę o wieżę na murach, i wreszcie krzyżowcy wkroczyli, a właściwie jeden z nich, olbrzym w szyszaku z wieżyczkami; na jego widok obrońcy rzucili się do ucieczki. A może komuś innemu udało się, owszem, zejść na ląd, znaleźć zamurowaną furtkę, rozbić mur oskardami, ale został wyparty, tyle że parę wież wpadło już w ręce oblegających...

Poeta krążył po izbie jak zwierzę w klatce, niecierpliwie czekał, żeby walki dobiegły w ten czy inny sposób końca, spoglądał na Baudolina, jakby chciał mu coś powiedzieć, ale nie, milczał i tylko obserwował chmurnie

ruchy trzech pozostałych towarzyszy. W pewnym momencie przyszła wieść, że Murzuflos uciekł, pozostawiając swoje wojsko, obrońcy stracili resztki odwagi, pielgrzymi przełamali obronę i pokonali mury; nie ważyli się wejść do miasta, gdyż zapadły już ciemności, podpalili tylko pierwsze domy, by wykurzyć obrońców, którzy mogliby się w nich ukryć.

– Trzeci pożar w ostatnich miesiącach – lamentowali genueńczycy – lecz nie ma już miasta, jeno kupa mierzwy, którą lepiej spalić, jeśli tyle tego jest.

– Obyś zdechł – krzyknął Boidi do Poety – bo gdyby nie ty, wydostalibyśmy się z tej gnojówki! A teraz co?

– Teraz masz milczeć, a ja już wiem dlaczego – syknął Poeta.

W nocy ukazały się pierwsze błyski pożarów. O świcie Baudolino, który robił wrażenie, jakby spał, ale miał już oczy otwarte, zobaczył, że Poeta podchodzi najpierw do Boidiego, potem do Borona, a wreszcie do Kyota i każdemu szepcze coś do ucha. Potem zniknął. Trochę później Baudolino ujrzał, jak Kyot i Boron naradzają się, wyciągają coś ze swoich sakw i opuszczają dom, starając się zrobić to jak najciszej, by go nie obudzić.

Zaraz potem podszedł Boidi i potrząsnął go za ramię. Miał zmienioną twarz.

– Baudolinie – powiedział – nie wiem, co się dzieje, ale wszyscy tutaj poszaleli. Przyszedł do mnie Poeta i ozwał się dokładnie w te słowa: znalazłem Zosimę i wiem, gdzie jest Gradalis, nie próbuj żadnych sztuczek, weź głowę Jana Chrzciciela i udaj się do Katabates, na miejsce, gdzie Zosima przyjął wtedy bazyleusa, bądź tam po południu, znasz drogę. Ale co to za Katabates? O jakim bazyleusie mówił? Ciebie nie zawiadomił?

– Nie – odparł Baudolino – a zda mi się nawet, że woli, bym się o niczym nie dowiedział. I tak mu się poplątało, że zapomniał, iż Boron i Kyot byli z nami przed laty w Katabates, kiedy mieliśmy pochwycić Zosimę, lecz ciebie tam nie było. Muszę się w tym wszystkim rozeznać.

Odszukał Boiamonda.

– Posłuchaj – powiedział – czy pamiętasz tamten wieczór przed laty, kiedy zaprowadziłeś nas do krypty pod starym monastyrem w Katabates? Muszę tam iść.

– Wszystko ci wyjaśnię. Musisz dotrzeć do tego pawilonu koło kościoła Świętych Apostołów. Może uda ci się, nie natrafiając na pielgrzymów, którzy pewnie jeszcze tam nie dotarli. Jeśli wrócisz, będzie to znaczyło, że miałem rację.

– Dobrze, ale muszę tam być i nie być. To znaczy nie mogę ci niczego wyjaśnić, ale muszę podążać za albo przed kimś, kto będzie szedł tą samą drogą, a nie chcę, by mnie zobaczył. Pamiętam, że pod ziemią są liczne tunele. Może da się więc dotrzeć tam od drugiej strony?

Boiamondo zaczął się śmiać.

– Jeśli nie boisz się zmarłych... Można wejść do innego pawilonu, który jest przy Hipodromie, i myślę, że nadal można tamtędy przejść. Potem pójdziesz spory kawałek pod ziemią prosto przed siebie, aż znajdziesz się na cmentarzu mnichów z Katabates. Nikt nie wie, że jest taki cmentarz, ale jest. Tunele, mające początek na cmentarzu, dochodzą do samej krypty, ale możesz zatrzymać się wcześniej.

– Zaprowadzisz mnie?

– Baudolinie, przyjaźń to rzecz święta, lecz własna skóra jeszcze świętsza. Wytłumaczę ci co i jak, a ty jesteś przecież chłopcem łebskim i sam znajdziesz drogę. Dobrze?

Boiamondo opisał szlak i dał mu dwa żywiczne bierwiona. Wtedy Baudolino wrócił do Boidiego i zapytał go, czy boi się zmarłych. Wyobraź sobie – odparł Boidi – że boję się tylko żywych.

– Zrobimy tak – rzekł na to Baudolino. – Weźmiesz swoją głowę Jana Chrzciciela, a ja ci będę towarzyszył. Ty udasz się w umówione miejsce, ja zaś ukryję się trochę wcześniej, by zobaczyć, co chodzi po głowie temu szaleńcowi.

– No to w drogę – odparł Boidi.

Kiedy wychodzili, Baudolino zastanowił się chwilę i zawrócił, żeby zabrać także swoją głowę Jana Chrzciciela, którą owinął w szmatę i wsunął pod pachę. Potem pomyślał jeszcze raz i wetknął za pas dwa arabskie sztylety, które kupił niegdyś w Gallipolis.

38

Baudolino zdaje rachunki

Płomienie pożogi ogarniały coraz większe obszary, kiedy Baudolino i Boidi dotarli do okolic Hipodromu, przedzierając się przez tłum przerażonych *romaei*, którzy nie wiedzieli już, w którą stronę uciekać, jedni krzyczeli bowiem, że pielgrzymi nadciągają z tej strony, a drudzy, że z tamtej. Odnaleźli pawilon, zerwali marny łańcuch chroniący drzwi, przedostali się do podziemnego przejścia i ruszyli nim, oświetlając sobie korytarz łuczywami, które dał im Boiamondo.

Była to długa droga, jako że tunel prowadził od Hipodromu aż do Muru Konstantyna. Potem wspięli się po ociekających wilgocią schodach i poczuli woń stęchlizny. Nie była to jednak woń niedawno zmarłych ciał, lecz jeśli można tak rzec, stęchlizna stęchlizny, stęchlizna ciała, które rozłożyło się, a potem jakby wyschło.

Weszli do korytarza (po obu jego stronach widać było wejścia do innych korytarzy), w którego ścianach zobaczyli rozmieszczone gęsto nisze zamieszkane przez podziemny lud niemal żywych zmarłych. Były jednak martwe, i to bez najmniejszej wątpliwości, owe całkowicie odziane istoty, które stały wyprostowane w zagłębieniach, zapewne podtrzymywane od strony pleców jakimiś żelaznymi kolcami. Wydawało się jednak, że czas nie dokończył swego niszczycielskiego dzieła, gdyż zasuszone, zabarwione jak rzemień twarze z pustymi oczodołami, często uśmiechające się szyderczo bezzębnymi ustami, dawały pozór życia. Nie były to szkielety, lecz ciała, tyle że niejako wyssane przez jakąś siłę, która wysuszyła i skruszyła

trzewia, pozostawiając w nienaruszonym stanie nie tylko kości, lecz również skórę i być może część mięśni.

– Panie Niketasie, znaleźliśmy się w labiryncie katakumb, w których od stuleci mnisi z Katabates umieszczali zwłoki swoich konfratrów, nie grzebiąc ich, gdyż cudowne połączenie gleby, powietrza i jakiejś spływającej po ścianach rufowej substancji zachowywało ich ciała prawie bez zmian.

– Zdaje się, że teraz już nie ma pochówków na cmentarzu w Katabates, że poszedł w zapomnienie, co świadczy, iż miasto to kryje jeszcze tajemnice, o których nikt z nas nie ma pojęcia. Słyszałem jednak, że niektórzy dawni mnisi, chcąc wesprzeć dzieło natury, marynowali zwłoki konfratrów przez osiem miesięcy w rufowych płynach, a potem wydobywali je, obmywali octem, poddawali przez kilka dni działaniu powietrza, a na koniec umieszczali w niszy, aby tamtejsze, balsamiczne w pewnym sensie powietrze zapewniło im ową zasuszoną nieśmiertelność.

Defilując przed tym nieruchomym orszakiem zmarłych mnichów, odzianych w szaty liturgiczne, jakby mieli jeszcze odprawiać nabożeństwo i całować ziemistymi wargami roziskrzone ikony, patrzyli na oblicza ozdobione uśmiechem szerokim i ascetycznym, na inne, którym pobożność żywych przykleiła na nowo brody i wąsy, aby przywrócić im dawną hieratyczną powagę, opuściła powieki, aby wyglądali jak uśpieni, a i na takie, których głowy zmieniły się w czaszki, choć z grubymi płatami skóry przywartymi do kości jarzmowych. Niektórzy ulegli w ciągu wieków deformacji i robili wrażenie dziwolągów natury, płodów, które w niewłaściwy sposób wyszły z matczynego łona, odczłowieczonych istot, od których skurczonej postaci odbijały w nienaturalny sposób pokryte esami-floresami ornaty, czasem o wyblakłych już kolorach, dalmatyki niby przecież haftowane, lecz przeżarte wskutek upływu lat i działania jakiegoś

katakumbowego robactwa. Z jeszcze innych zetlałe ze starości odzienie opadło i spod strzępów paramentów wyzierały wychudłe ciałeczka, żebra obciągnięte epidermą napiętą jak błona bębna.

– Jeśli to pobożność przygotowała owo święte widowisko – powiedział Niketasowi Baudolino – bezbożnikami okazali się żywi, gdyż narzucili ludziom pamięć o tych zmarłych jako o wiecznej i nieuniknionej groźbie, która wcale nie miała pogodzić żyjących ze śmiercią. Jakże można modlić się za duszę kogoś, kto przypatruje ci się z tych ścian i mówi: jestem tu i nigdy stąd nie odejdę, jakże zachować nadzieję na zmartwychwstanie ciał i przeobrażenie naszych cielesnych powłok po dniu Sądu Ostatecznego, skoro te ciała są tu nadal, z każdym dniem coraz bardziej przeniknięte złością? Widziałem w mym życiu niemało trupów, niestety, ale mogłem przynajmniej oczekiwać, że rozłożywszy się w ziemi, pewnego dnia rozbłysną niby róża krasą i barwą. Jeśli tam, na wysokościach, powiadałem sobie, mają po końcu czasów przechadzać się ludzie jak ci, lepsze już jest piekło, w którym raz przypiekają, raz ćwiartują, ale wszystko przypomina to, co dzieje się u nas, na ziemi. Boidi, mniej niż ja wrażliwy na kwestię rzeczy ostatecznych, próbował unosić szaty, by zobaczyć, w jakim stanie zachowały się pubenda, skoro jednak musisz oglądać takie okropieństwa, jakże ubolewać nad tym, że komuś przychodzi do głowy zupełnie co innego?

Zanim skończył się labirynt korytarzy, dotarli do kolistego miejsca i zobaczyli, że w sklepieniu przebito otwór, w którym przebłyskuje w górze popołudniowe niebo. Oczywiście na poziomie gruntu była jakby studnia, która doprowadzała tu świeże powietrze. Zgasili łuczywa. Ciała mnichów, oświetlone teraz nie płomieniem, lecz sinym światłem rozpraszającym się po niszach, wydawały się jeszcze bardziej niepokojące. Miało się wrażenie,

że gdyby spłynęło na nich pełne światło dnia, zaczęliby powstawać. Boidi przeżegnał się.

Po jakimś czasie korytarz zakończył się krużgankiem z kolumnami otaczającymi wieńcem kryptę, w której zobaczyli za pierwszym razem Zosimę. Zbliżali się na palcach, ponieważ dostrzegli już światła. Kryptę, podobnie jak tamtej nocy, oświetlały dwa trójnogi. Brakowało tylko okrągłej misy, której Zosima używał do nekromancji. Przed ikonostasem czekali już Boron i Kyot, obaj bardzo niespokojni. Baudolino zaproponował Boidiemu, żeby pokazał się, wychodząc spomiędzy dwóch kolumn obok ikonostasu, jakby przyszedł tą samą drogą co tamci, on sam zaś pozostanie w ukryciu.

Boidi tak właśnie uczynił i ani Boron, ani Kyot nie okazali zdziwienia.

– Widzę, że Poeta także tobie powiedział, jak tu dotrzeć – rzekł Boron. – Zdaje się, że nie powiedział tego Baudolinowi, w przeciwnym razie czemu służyłyby te wszystkie ostrożności? Domyślasz się, po co nas tu sprowadził?

– Mówił coś o Zosimie, o Gradalisie, rzucał jakieś dziwne groźby – wyjaśnił Boidi.

– Jak i nam – zapewnili Boron i Kyot.

Usłyszeli jakiś głos, który, zdać by się mogło, dobył z siebie Pantokrator z ikonostasu. Baudolino spostrzegł, że zamiast oczu Chrystus ma dwie czarne mandorle, znak, że ktoś przygląda się spoza ikony temu, co dzieje się w krypcie. Choć głos był zniekształcony, można go było rozpoznać, i był to głos Poety.

– Witajcie – ozwał się głos. – Wy mnie nie widzicie, lecz ja was widzę. Mam łuk i mógłbym przeszyć was strzałami, nim zdążycie uciec.

– Czemuż to, Poeto, co ci uczyniliśmy? – spytał przestraszony Boidi.

– Sami wiecie i lepiej niż ja. Ale do rzeczy. Pokaż się, nędzny człecze.

Dał się słyszeć stłumiony jęk i zza ikonostasu wyłoniła się stąpająca niepewnie postać.

Chociaż minęło tyle czasu, chociaż ten skurczony i przygięty do ziemi człowiek ledwie powłóczył nogami, chociaż broda i włosy na głowie całkiem mu posiwiały, od razu rozpoznali Zosimę.

– Tak, to Zosima – ozwał się znowu głos Poety. – Natrafiłem na niego wczoraj, zupełnie przypadkowo, kiedy żebrał w jakimś zaułku. Jest ślepy i kaleki, ale to on. Zosimo, opowiedz naszym przyjaciołom, co ci się przydarzyło, odkąd uciekłeś z zamku Ardzrouniego.

I Zosima zaczął żałosnym głosem opowiadać. Ukradł głowę, w której schował Gradalis, rzucił się do ucieczki, ponieważ jednak nie tylko nie miał, ale nigdy nie widział żadnej mapy Kosmasa, nie wiedział, w którą stronę powinien się udać. Jechał, póki nie padł pod nim muł, włóczył się po najmniej gościnnych ziemiach na tym świecie, słońce wypalało mu oczy tak, że mylił wschód z zachodem i północ z południem. Trafił do miasta zamieszkanego przez chrześcijan i ci udzielili mu pomocy. Powiedział, że jest ostatnim z magów, gdyż pozostali spoczywają już w spokoju na łonie Pana, a ich doczesne szczątki leżą w jednym z kościołów na dalekim zachodzie. Wyjawił im tonem pełnym namaszczenia, że w swoim relikwiarzu ma Gradalis, który powinien wręczyć księdzu Janowi. Goszczący go chrześcijanie słyszeli to i owo o Gradalisie i księdzu, padli więc przed Zosimą na twarze, a potem wprowadzili go w uroczystej procesji do swej świątyni, gdzie zasiadł na biskupim tronie, z którego codziennie wygłaszał wyrocznie, dawał rady dotyczące biegu różnych spraw, jedząc i pijąc do syta, otoczony powszechnym szacunkiem.

Krótko mówiąc, jako ostatni ze świętych królów i kustosz świętego Gradalisa stał się najwyższym duchowym autorytetem tamtejszej wspólnoty. Każdego ranka odprawiał mszę i podczas podniesienia poza innymi świętymi *species* pokazywał swój relikwiarz, wierni zaś przyklękali i mówili, że czują niebiańską woń.

Przyprowadzali mu grzesznice, żeby wskazał im prostą drogę. Zosima zapewniał, że nieskończone jest miłosierdzie boże, i wzywał je na wieczór do kościoła, by spędzić z nimi, powiadał, noc na nieustającej modlitwie. Rozeszła się wieść, że wszystkie te nieszczęsne niewiasty zmienił w Magdaleny, które poświęciły się służbie dla niego. Za dnia przygotowywały mu najwyborniejsze posiłki, podawały najwyśmienitsze wino i spryskiwały go wonnymi olejkami; nocami czuwały z nim przed ołtarzem, zapewniał Zosima, a rankiem pokazywał się wszystkim z oczami podkrążonymi od tych pokutnych ćwiczeń. Znalazł w końcu swój raj i postanowił nigdy nie opuszczać tego miejsca szczęśliwości.

Zosima westchnął przeciągle, a potem zakrył dłońmi oczy, jakby w tym mroku raz jeszcze ujrzał bolesną scenę.

– Przyjaciele moi – rzekł – gdy przychodzi wam do głowy jaka myśl, zawsze pytajcie: od przyjaciół się wzięła czy od nieprzyjaciół? Zaniechałem przestrzegania tej świętej maksymy i obiecałem całemu miastu, że na święto Wielkiej Nocy otworzę relikwiarz i pokażę wreszcie święty Gradalis. W Wielki Piątek, kiedy byłem sam, otworzyłem szkatułę i ujrzałem jedną z tych odrażających głów, które umieścił w relikwiarzach Ardzrouni. Przysięgam, że ukryłem Gradalis w pierwszym relikwiarzu z lewej strony i ten zabrałem, uciekając. Ktoś jednak, z pewnością jeden z was, zmienił porządek relikwiarzy i w tym, który wziąłem, nie było Gradalisa. Kiedy ktoś przystępuje do kucia sztaby żelaza, najpierw zastanawia się, co chciałby z niej zrobić, sierp, miecz czy siekierę. Postanowiłem milczeć. Ojciec Agaton żył trzy lata z kamykiem w ustach, aż nauczył się praktykować milczenie. Oznajmiłem więc wszystkim, że nawiedził mnie anioł Boży i powiedział, że w mieście jest jeszcze zbyt wielu grzeszników i dlatego nikt nie jest na razie godny widoku owej świętej rzeczy. Wielkosobotni wieczór spędziłem chyba, jak przystało zacnemu mnichowi, na przekraczających wszelką miarę umartwieniach, bo rano czułem się wyczerpany, jakbym noc spędził, oby Bóg wybaczył mi

samą myśl o tym, na libacji i fornikacji. Odprawiłem nabożeństwo, chwiejąc się na nogach, i w uroczystym momencie, kiedy miałem pokazać wiernym relikwiarz, potknąłem się o najwyższy stopień ołtarza i runąłem na dół. Relikwiarz wymknął mi się z dłoni i upadłszy na ziemię, otworzył się, a wtedy wszyscy zobaczyli, że nie ma w nim żadnego Gradalisa, jest tylko wysuszona czaszka. Przyjaciele moi, nie ma rzeczy mniej sprawiedliwej niźli kara spadająca na sprawiedliwego, który dopuścił się grzechu, albowiem najgorszemu z grzeszników wybacza się ostatni grzech, lecz sprawiedliwemu nawet pierwszego się nie wybacza. Ci pobożni ludzie uznali, że ich oszukałem, a Bóg mi świadkiem, że prócz trzech ostatnich dni działałem w jak najlepszej wierze. Rzucili się na mnie, zerwali mi szaty i bili kijami, aż okaleczyli na zawsze nogi, ręce i grzbiet, a potem zaciągnęli mnie przed swój trybunał, gdzie postanowiono wyłupić mi oczy. A na koniec wypędzili mnie za bramy miasta jak parszywego psa. Nie wiecie, ile wycierpiałem. Wędrowałem jako kaleki ślepiec i ślepy kaleka, a po długich latach błądzenia zabrała mnie karawana saraceńskich kupców, którzy podróżowali do Konstantynopola. Jedynymi, którzy się nade mną ulitowali, byli niewierni, oby Bóg ich wynagrodził, nie karząc tym, na co jako niewierni zasługują. Wróciłem kilka lat temu do mojego miasta, gdzie żyłem z jałmużny, i na szczęście pewnego dnia jakaś dobra dusza wzięła mnie za rękę i przyprowadziła do ruin tego klasztoru, gdzie poznaję miejsca po omacku, i od tego czasu mogę spędzać noce, nie cierpiąc chłodu, skwaru ni deszczu.

– Oto historia Zosimy – ozwał się głos Poety. – Jego stan poświadcza, że raz chociaż był szczery. Tak zatem któryś z nas widział, gdzie Zosima ukrył Gradalis, i odwracając podejrzenia, zmienił porządek głów, aby Zosima mógł podążyć ku własnej zgubie. Lecz ten, który wziął właściwą głowę, zabił też Fryderyka. I wiem, kto nim jest.

– Czemu mówisz to wszystko, Poeto?! – wykrzyknął Kyot. – Czemu wezwałeś tylko nas trzech, a Baudolina nie? Czemu nie powiedziałeś

wszystkiego od razu tam, u genueńczyków?

– Wezwałem was tutaj, gdyż nie mogłem prowadzić ze sobą strzępu człowieka, gdy miasto zajęte jest przez wroga. Czemu nie chciałem mówić przy genueńczykach, a zwłaszcza przy Baudolinie? Baudolino nie ma już nic wspólnego z naszą historią. Jeden z was odda mi Gradalis i będzie to wyłącznie moja sprawa.

– Czemu nie pomyślałeś, że to Baudolino ma Gradalis?

– Baudolino nie mógł zabić Fryderyka. Kochał go. Baudolino nie odniósłby żadnej korzyści z kradzieży Gradalisa, był bowiem między nami jedynym, który naprawdę chciał wręczyć go księdzu w imieniu cesarza. A wreszcie postarajcie się przypomnieć sobie, co stało się z głowami, które zostały po ucieczce Zosimy. Każdy z nas wziął jedną, ja, Boron, Kyot, Boidi, Abdul i Baudolino. Wczoraj, po spotkaniu Zosimy, otworzyłem swoją. Była w niej uwędzona czaszka. Głowę należącą do Abdula otworzył, jak pamiętacie, Ardzrouni, by w chwili śmierci włożyć mu czaszkę do rąk jako amulet czy coś w tym rodzaju, i wraz z nim została w grobie. Baudolino oddał swoją głowę Praxeasowi, otworzył ją na naszych oczach i w środku była czaszka. Pozostały więc trzy relikwiarze, wasze. Wiem, który z was trzech ma Gradalis, wiem też, że on wie. Wiem nawet, że ma go wcale nie przypadkiem, ale dzięki temu, że wszystko przygotował do chwili, kiedy zabił Fryderyka. Chcę jednak, by zdobył się na odwagę i wyznał nam wszystkim, że całe lata wodził nas za nos. Kiedy to wyzna, zabiję go. Decydujcie się więc. Kto ma mówić, niech przemówi. Dotarliśmy do kresu naszej podróży.

– I wtedy zdarzyło się, panie Niketasie, coś dziwnego. Niewidoczny w mej kryjówce, zastanawiałem się, jak to by było znaleźć się w skórze moich przyjaciół. Przyjmijmy, że jeden z nich, nazwijmy go Ego, wie, że ma Gradalis i jest winny jakiegoś czynu. Powiedziałby sobie, że w tym stanie rzeczy trzeba podjąć grę o wszystko, dobyłby miecz lub sztylet,

rzuciłby się w stronę, z której przyszedł, i zmykałby ku cysternie, a potem wypadł na światło dnia. Tego, jak mniemam, spodziewał się Poeta. Wyobraźmy sobie jednak, że Ego nie wie, czy jest na pewno posiadaczem Gradalisa, ponieważ nigdy nie zajrzał do swojego relikwiarza, ale jednocześnie ma coś na sumieniu w związku ze śmiercią Fryderyka. W tej sytuacji powinien poczekać, czy ktoś, kto wie, że ma Gradalis, nie rzuci się jako pierwszy do ucieczki. Czekałby więc bez ruchu. Widziałby też, że dwaj pozostali nie ruszają się z miejsca. To dowód, pomyślałby, że żaden z nich nie ma Gradalisa i żaden nie czuje się w najmniejszym stopniu podejrzanym. Tak zatem, musiałby wysnuć wniosek, tym, o którym myśli Poeta, jestem ja, muszę więc wziąć nogi za pas. Zbity nieco z tropu kładzie dłoń na rękojeści miecza lub sztyletu i już chce zrobić pierwszy krok. Ale w tym momencie widzi, że dwaj pozostali czynią to samo. Znowu więc zastyga bez ruchu, zaczyna bowiem podejrzewać, że dwaj pozostali mają na sumieniu większą niż on winę. I tak właśnie potoczyły się wydarzenia w krypcie. Każdy z trójki, idąc przedstawionym tokiem myśli Ego, najpierw ani drgnął, potem zrobił krok, a potem znowu zastygł bez ruchu. Był to niechybny znak, że żaden nie jest pewny, czy ma Gradalis, lecz również, że wszyscy trzej mają sobie coś do wyrzucenia. Poeta zrozumiał to doskonale i wyłożył tamtym to, co i ja zrozumiałem i co wyłożyłem tobie.

Ozwał się tedy głos Poety:

– Wszyscy trzej jesteście nędznikami. Każdy z was wie, że ciąży na nim wina. Ja zaś wiem, i wiedziałem zawsze, że wszyscy trzej próbowaliście zabić Fryderyka, a być może wszyscy trzej go zabiliście, tak że człowiek ten po trzykroć poniósł śmierć. Tamtej nocy wyszedłem bardzo wcześnie z izby straży, a wróciłem ostatni. Nie mogłem zasnąć, może za dużo wypiłem, trzy razy oddawałem mocz na dziedzińcu, wychodziłem na zewnątrz, by nie zakłócać wam wypoczynku. Kiedy byłem na dziedzińcu, usłyszałem, jak izbę opuszcza Boron. Schodził na niższe piętro, a ja

ruszyłem za nim. Wszedł do sali z machinami, zbliżył się do walca wytwarzającego próżnię i zaczął raz po raz poruszać dźwignią. Nie mogłem pojąć, co chce osiągnąć, i zrozumiałem to dopiero nazajutrz. Albo Ardzrouni przekazał mu jakiś sekret, albo sam się go domyślił, ale oczywiście komnata, w której walec wytwarzał próżnię i w której złożono w ofierze kurę, była tą samą, w której spał Fryderyk i którą Ardzrouni wykorzystywał, by pozbyć się wrogów zwabionych tam jego obłudnym zaproszeniem. Ty, Boronie, poruszałeś dźwignią, aż w komnacie cesarza powstała próżnia, a w każdym razie, nie wierzyłeś wszak w próżnię, owo ciężkie i gęste powietrze, w którym, wiedziałeś dobrze, gasną świece i duszą się zwierzęta. Fryderyk poczuł, że brak mu powietrza; w pierwszej chwili pomyślał o truciźnie i wypił z Gradalisa odtrutkę. Mimo to padł bez tchu na ziemię. Następnego ranka gotów byłeś, korzystając z zamieszania, porwać Gradalis, ale uprzedził cię Zosima. Widziałeś to i widziałeś, gdzie ukrył czarę. Nie miałeś najmniejszych trudności ze zmianą porządku głów i w chwili ucieczki zabrałeś tę właściwą.

Boron spływał potem.

– Poeto – rzekł – wzrok cię nie zawiódł, istotnie byłem w sali z pompą. Dysputa z Ardzrounim podnieciła moją ciekawość. Owszem, spróbowałem, jak działa, ale nie wiedziałem, przysięgam, w której komnacie objawia się jej wpływ. Poza tym byłem przekonany, że pompa nie może działać. Bawiłem się, to prawda, lecz tylko bawiłem, bez żadnych zabójczych zamiarów. A zresztą, gdybym uczynił to, o co mnie oskarżasz, jak wyjaśnisz, że w komnacie Fryderyka wypaliło się całe drewno w kominku? Jeśliby dało się zabić kogoś, wytwarzając próżnię, w próżni zgasłby przecież każdy płomień...

– Nie zaprzątaj sobie głowy kominkiem – powiedział pełen surowości głos Poety – jest bowiem inne wyjaśnienie. Skoro zaś jesteś taki pewny, że nie masz Gradalisa, zechciej otworzyć swój relikwiarz.

Boron, mrucząc pod nosem: niechaj Bóg razi mnie gromem z nieba, jeślim mniemał, że mam Gradalis, wyciągnął sztylet, usunął wściekłym gestem pieczęć, otworzył szkatułę i na ziemię potoczyła się czaszka – najmniejsza z tych, które dotychczas widzieli. Być może Ardzrouni nie cofnął się przed profanacją grobów dzieci.

– No dobrze, nie masz Gradalisa – powiedział głos Poety – ale nie rozgrzesza to cię z czynu, który popełniłeś. Twoja kolej, Kyot. Wyszedłeś zaraz potem z miną człowieka, który musi zaczerpnąć świeżego powietrza. Ale potrzebowałeś go bardzo dużo, skoro poszedłeś aż na mury, do miejsca, gdzie znajdowały się zwierciadła Archimedesa. Widziałem cię, ruszyłem twoim śladem. Dotknąłeś zwierciadeł, zacząłeś manewrować tym, które jak wyjaśnił Ardzrouni, razi na małą odległość, i pochyliłeś je w zgoła nieprzypadkowo wybraną stronę, zadałeś sobie bowiem nie lada trud przy tej czynności. Ustawiłeś zwierciadło tak, by pierwsze promienie słońca skupiły się na oknie komnaty Fryderyka. Tak się też stało i promienie zapaliły ogień w kominku. Minęło już sporo czasu i w miejsce próżni wytworzonej przez Borona wtargnęło nowe powietrze, tak więc ogień mógł zapłonąć. Wiedziałeś, co może zrobić Fryderyk, kiedy obudzi się na pół uduszony dymem z kominka. Uzna, że został otruty, i wypije zawartość Gradalisa. Wiem, że ty też z niego piłeś poprzedniego wieczoru, lecz nie przyglądaliśmy się zbyt uważnie, jak umieszczasz go z powrotem w szkatule. W taki czy inny sposób udało ci się kupić na targu w Gallipolis truciznę, której kilka kropli wpuściłeś do czary. Twój plan był niezawodny. Nie wiedziałeś tylko, co uczyni Boron. Fryderyk napił się twojej trucizny z czary, tyle że nie w chwili, kiedy drewno w kominku się zapaliło, lecz znacznie wcześniej, kiedy Boron usunął powietrze.

– Oszalałeś, Poeto – wykrzyknął blady jak śmierć Kyot – nic nie wiem o Gradalisie, patrz, otwieram głowę... Widzisz, to czaszka!

– No dobrze, nie masz Gradalisa – rozległ się głos Poety – nie zaprzeczysz jednak, że poruszałeś zwierciadłami.

– Poczułem się źle, chciałem odetchnąć nocnym powietrzem. Zabawiałem się zwierciadłami, lecz niechaj Bóg razi mnie na miejscu gromem, jeślim wiedział, że rozniecą one ogień właśnie w tamtej komnacie! Nie myśl, że w ciągu tych długich lat nie myślałem o mej nieostrożności, zastanawiając się, czy to nie przeze mnie rozgorzał ogień i czy nie ma to czegoś wspólnego ze śmiercią cesarza. Lata straszliwej niepewności! W pewnym sensie przyniosłeś mi ulgę, gdyż powiedziałeś, że tak czy owak w tym momencie Fryderyk już nie żył. Ale co się tyczy trucizny, jak możesz twierdzić coś tak haniebnego? Tamtego wieczoru piłem z czary, nie mając złych zamiarów, czułem się, jakby składano mnie w ofierze...

– Wszyscy jesteście niewinni jak baranki, nieprawdaż? Niewinne baranki, które prawie piętnaście lat przeżyły w niepewności, czy nie doprowadziły do śmierci Fryderyka, czyż nie odnosi się to także do ciebie, Boronie? Doszliśmy jednak do naszego Boidiego. Jako jedyny z trójki możesz być posiadaczem Gradalisa. Ty owej nocy nie opuszczałeś izby. Jak wszyscy zobaczyłeś rano, że Fryderyk leży na podłodze w swej komnacie. Nie spodziewałeś się tego, ale w lot schwyciłeś okazję. Myślałeś o czymś takim od dawna. Poza tym ty jeden miałeś powody, by żywić nienawiść do Fryderyka, przez którego tylu twoich towarzyszy straciło życie pod murami Aleksandrii. W Gallipolis powiedziałeś, że kupiłeś pierścień z kordiałem w oprawie. Ale nikt nie widział, byś układał się z przekupniem. Kto może powiedzieć, czy był to na pewno kordiał? Od dawna trzymałeś w gotowości truciznę i natychmiast pojąłeś, że przyszła właściwa chwila. Być może Fryderyk, przyszło ci do głowy, stracił tylko przytomność. Wlałeś mu truciznę do ust, mówiąc, że chcesz przywrócić go do przytomności, a dopiero potem, zważcie, dopiero potem Solomon spostrzegł, że cesarz nie żyje.

– Poeto – rzekł Boidi, padając na kolana – gdybyś tylko wiedział, ile razy w ciągu tych lat zadawałem sobie pytanie, czy mój kordiał nie jest w istocie

trujący. Ale sam powiedziałeś, że Fryderyk już nie żył, zabity, chwała Bogu, przez jednego z tych dwóch, a może przez obu.

– To bez znaczenia – rozległ się znowu głos Poety – liczy się zamiar. Jeśli jednak o mnie chodzi, z zamiarów zdasz sprawę przed Bogiem. Ja chcę tylko, byś oddał Gradalis. Otwórz relikwiarz.

Boidi trzy razy próbował otworzyć drżącymi rękami relikwiarz, ale pieczęć nie puściła. Boron i Kyot odsunęli się od pochylonego nad zgubną kasetą Boidiego, jakby wyznaczony już został na ofiarę. Przy czwartej próbie relikwiarz otworzył się i znowu ukazała się czaszka.

– Niech diabli wezmą wszystkich świętych! – wrzasnął Poeta, wychodząc zza ikonostasu.

– Był w tym momencie istnym wcieleniem wściekłości i obłędu, panie Niketasie, i nie poznawałem już mego dawnego przyjaciela. Ale wówczas przypomniałem sobie ów dzień, kiedy poszedłem przyjrzeć się relikwiarzom, a było to po tym, jak Ardzrouni zaproponował, byśmy wzięli je ze sobą, i jak Zosima bez naszej wiedzy ukrył w jednym z nich Gradalis. Wziąłem wtedy do ręki jedną z głów, o ile pamiętam, pierwszą z lewej, i uważnie się jej przyjrzałem. Potem ją odstawiłem. Mam teraz przed oczyma tę chwilę sprzed piętnastu lat i widzę, jak stawiam tę głowę po prawej stronie, jako ostatnią z siedmiu. Kiedy Zosima zszedł, żeby uciec z Gradalisem, pamiętał, że umieścił go w pierwszej z lewej i tę wziął, czyli wedle pierwotnego porządku drugą. Zanim wyruszyliśmy w drogę, podzieliliśmy się głowami i ja wziąłem moją jako ostatni. Oczywiście była to ta, którą przygotował dla siebie Zosima. Pamiętasz, że zachowałem, nikomu o tym nie mówiąc, także głowę Abdula po jego śmierci. Kiedy zaś później dałem jedną z dwóch głów Praxeasowi, oczywiście dałem mu tę po Abdulu i wiedziałem już wtedy, dlaczego otworzyła się tak łatwo: pieczęć złamał Ardzrouni. Tak więc przez piętnaście lat, nic o tym nie wiedząc, miałem Gradalis przy sobie. Teraz tak już byłem tego pewny, że nie czułem

nawet potrzeby, żeby otworzyć moją głowę. Otworzyłem ją jednak, starając się zrobić to jak najciszej. Choć w tym miejscu za kolumną było ciemno, zobaczyłem, że Gradalis jest w środku, włożony do góry nogami, tak że widać było okrągłe jak czaszka dno.

Poeta szarpał każdego z tamtych trzech za odzienie, obsypując ich obelgami, rycząc, by nie wodzili go za nos – jakby opętał go diabeł. Baudolino zostawił wtedy swój relikwiarz za kolumną i wyszedł z kryjówki.

– To ja mam Gradalis – oświadczył.

Poeta zamarł ze zdumienia. Na jego twarzy pojawił się mocny rumieniec.

– Okłamywałeś nas przez cały ten czas! – wykrzyknął. – A ja miałem cię za najczystszego z nas wszystkich!

– Nikogo nie okłamałem. Aż do dzisiaj o niczym nie wiedziałem. To ty pomyliłeś się w rachubie głów.

Poeta wyciągnął ręce w stronę przyjaciela i tocząc z ust ślinę, zażądał:

– Dawaj!

– Czemuż to właśnie tobie? – spytał Baudolino.

– W tym miejscu kończy się podróż – powtórzył Poeta. – Była to podróż nieszczęśliwa i Gradalis to wszystko, co mi zostało. Dawaj albo cię zabiję!

Baudolino zrobił krok do tyłu i zacisnął dłonie na rękojeściach swoich dwóch arabskich sztyletów.

– Byłbyś zaiste do tego zdolny, skoroś zabił dla tej rzeczy Fryderyka.

– Bzdura. Słyszałeś, co wyznało tych trzech.

– Trzy wyznania to za dużo jak na jedno zabójstwo – rzekł Baudolino. – Mógłbym powiedzieć, że choć każdy z nich zrobił, co zrobił, ty pozwoliłeś im działać. Wystarczyłoby przecież, żebyś przeszkodził Boronowi, kiedy widziałeś, jak porusza dźwignią. Wystarczyłoby, żebyś przed wschodem słońca ostrzegł Fryderyka, kiedy zobaczyłeś, że Kyot porusza

zwierciadłami. Nie uczyniłeś tego. Chciałeś, żeby ktoś zabił Fryderyka, bo wtedy ty mógłbyś na tym skorzystać. Ale ja nie sądzę, by któryś z tych trzech moich biednych przyjaciół winien był śmierci cesarza. Kiedy słuchałem, jak przemawiasz zza ikonostasu, przypomniałem sobie o głowie Meduzy, dzięki której można było w komnacie Fryderyka słyszeć to, co mówiło się nawet szeptem w izbie ze ślimacznicą. Teraz ja ci powiem, co się stało. Już przed wyprawą do Jerozolimy gryzłeś wędzidło i chciałeś pędzić do królestwa księdza. Sam, ale za to z Gradalisem. Czekałeś tylko na sposobność, żeby pozbyć się cesarza. Potem my oczywiście wyruszylibyśmy z tobą, ale najwyraźniej nie zamierzałeś się nami przejmować. A może zamyślałeś uczynić to, co uczynił, uprzedzając cię, Zosima. Tego nie wiem. Od dawna jednak powinienem się był domyślić, że snujesz marzenia na własny rachunek, lecz przyjaźń przytępiła ostrość mego spojrzenia.

– Mów dalej. – Poeta zaśmiał się szyderczo.

– Dobrze, mówię. Pamiętam doskonale, że kiedy Solomon kupił w Gallipolis odtrutkę, sprzedawca podsuwał mu jeszcze jedną podobną ampułkę, która zawierała jednak truciznę. Po opuszczeniu targowiska straciliśmy cię na jakiś czas z oczu. Potem pojawiłeś się, ale nie miałeś pieniędzy i powiedziałeś, że cię okradziono. Było jednak inaczej: kiedy my chodziliśmy po targu, ty wróciłeś i kupiłeś truciznę. Podczas długiej wędrówki przez ziemie sułtana Ikonium bez trudu zamieniłeś ampułkę Solomona na swoją. W wieczór przed śmiercią Fryderyka ty właśnie mu doradziłeś, i to głośno, żeby przygotował sobie odtrutkę. Podsunąłeś w ten sposób pomysł zacnemu Solomonowi, który ofiarował cesarzowi swoją ampułkę, to jest twoją truciznę. Musiałeś przeżyć chwilę strachu, kiedy Kyot ofiarował się, że skosztuje odtrutki, ale może wiedziałeś już, że ten płyn, wypity w znikomej ilości, wcale nie działa i że trzeba wypić go w całości, żeby umrzeć. Sądzę, że maleńki łyk zaszkodził Kyotowi

i właśnie dlatego czuł taką potrzebę świeżego powietrza, lecz tego nie jestem pewny.

– A czego jesteś? – spytał Poeta i znowu zaśmiał się szyderczo.

– Tego, że zanim zobaczyłeś poczynania Borona i Kyota, miałeś w głowie gotowy plan. Poszedłeś do izby ze ślimacznicą, do której trzeba było mówić przez centralny otwór, żeby być słyszanym w komnacie Fryderyka. Pokazałeś zresztą dzisiejszego wieczoru, że ta zabawa bardzo ci się podoba, i kiedy tylko usłyszałem, jak przemawiasz zza ikonostasu, wszystko zaczęło mi się układać w głowie. Podszedłeś do ucha Dionizosa i wykrzyknąłeś imię Fryderyka. Mniemam, że podałeś się za mnie, ufając, że głos, pokonując drogę między piętrami, na miejsce dochodzi odmieniony. Powiedziałeś, że jesteś mną, by twoje słowa były bardziej godne wiary. Oznajmiłeś Fryderykowi, że odkryliśmy, iż ktoś dodał trucizny do jego jadła, może nawet dodałeś, że jeden z nas cierpi straszliwe bóle i że Ardzrouni rozkazał już działać swoim zbirom. Powiedziałeś, by otworzył skrzynkę i natychmiast wypił odtrutkę od Solomona. Mój nieszczęsny ojciec uwierzył ci, wypił truciznę i zmarł.

– Piękna historyjka – przyznał Poeta. – Co jednak z kominkiem?

– Może naprawdę zapalił się od promieni odbitych przez zwierciadło, kiedy Fryderyk był już trupem. Kominek nie miał żadnego znaczenia, nie był częścią twojego planu, ale bez względu na to, kto go zapalił, pomógł ci namieszać nam wszystkim w głowach. Zabiłeś Fryderyka i dopiero dzisiaj to zrozumiałem. Dzięki tobie. Bądź przeklęty! Jakże mogłeś dopuścić się takiej zbrodni, tego ojcobójstwa popełnionego na człowieku, który obdarzał cię dobrami? Tylko z żądzy chwały? Czy nie widziałeś, że raz jeszcze przywłaszczasz sobie chwałę należną komuś innemu, podobnie jak to było z moimi wierszami?

– A to dopiero! – wykrzyknął ze śmiechem Boidi, który wyzbył się już strachu. – Wielki Poeta powierza innym pisanie swoich wierszy!

To poniżenie, wraz ze wszystkimi rozczarowaniami, jakie przeżył w ostatnich dniach, i z rozpaczliwą żądzą posiadania Gradalisa, pchnęło Poetę do ostatniego gwałtu. Obnażył miecz i rzucił się na Baudolina, rycząc: „Zabiję cię, zabiję!”

– Zawsze powtarzałem ci, panie Niketasie, że jestem człekiem nastawionym pokojowo. Byłem zbyt dla siebie pobłażliwy. W istocie bowiem jestem niegodziwcem, Fryderyk miał rację. W tym momencie nienawidziłem Poety całym sercem, pragnąłem jego śmierci, aczkolwiek nie zamierzałem go zabić, chciałem tylko, żeby on mnie nie zabił. Skoczyłem za kolumny, a potem pobiegłem korytarzem, którym tu przybyłem. Uciekałem w ciemnościach i słyszałem za plecami groźby ścigającego mnie Poety. W korytarzu panowała zupełna ciemność, biegnąc po omacku, musiałem, chcąc nie chcąc, dotykać trupów w niszach, a kiedy namacałem pustkę, rzuciłem się w tamtą stronę. Poeta kierował się odgłosem moich kroków. W końcu zobaczyłem światło i znalazłem się pod otwartą studnią, którą mijałem po drodze do krypty. Był już wieczór i tylko prawie cudem widziałem nad głową księżyc, który oświetlał dno studni i rzucał srebrzyste błyski na oblicza zmarłych. Może to oni powiedzieli mi, że nie można oszukać własnej śmierci, kiedy czuje się na plecach jej oddech. Zatrzymałem się. Widziałem, jak nadbiega Poeta: zakrył sobie oczy lewą dłonią, by nie patrzeć na tych nieoczekiwanych nieboszczyków. Chwyciłem którąś z zetlałych szat i mocno szarpnąłem. Jeden z trupów upadł dokładnie między mnie i Poetę, wzbijając obłok pyłu i drobnych strzępków odzienia, które rozpadło się w zetknięciu z ziemią. Głowa nieboszczyka oderwała się od tułowia i potoczyła pod stopy mojego prześladowcy, dokładnie w miejsce oświetlone promieniem księżycowym, i pokazała mu swój ohydny uśmiech. Przerażony Poeta przystanął na chwilę, ale potem kopnął głowę. Chwyciłem dwa inne trupy i ściągnąłem mu je prosto na twarz. Zabieraj tę śmierć ode mnie, wrzasnął Poeta;

zobaczyłem, jak wirują mu wokół głowy łuski zasuszonej skóry. Nie mogłem jednak przeciągać tej gry w nieskończoność, znalazłbym się poza kręgiem światła, w ciemnościach. Wyciągnąłem przed siebie dwa arabskie sztylety ostrzami w jego stronę jak dziób okrętu. Poeta rzucił się na mnie z podniesionym oburącz mieczem, jakby chciał rozłupać mi głowę, ale potknął się o drugi szkielet, który potoczył się przed nim, runął na mnie, ja upadłem, miecz wypadł mu z ręki... Zobaczyłem jego twarz tuż nad moją, jego podbiegłe krwią oczy tuż nad moimi, poczułem woń jego gniewu, cierpki zapach zwierza, który dopadł swej ofiary, poczułem, jak jego dłonie zaciskają mi się na gardle, usłyszałem zgrzytanie zębów... Moja odpowiedź była całkowicie odruchowa, uniosłem przedramiona i wbiłem oba sztylety w jego boki. Usłyszałem odgłos rozdzieranej tkaniny, miałem wrażenie, że ostrza mych sztyletów spotkały się w samym środku jego trzewi. Poeta zaraz zbladł i z ust popłynął mu strumyk krwi. Jego czoło dotknęło mego, krew przywarła do moich warg. Nie pamiętam, jak wydostałem się z tego uchwytu; pozostawiłem sztylety w jego brzuchu i zrzuciłem z siebie to brzemię. Poeta leżał obok mnie z otwartymi oczami, które wpatrywały się w księżyc. Był martwy.

– Pierwszy człowiek, jakiego zabiłeś w swym życiu.

– I ostatni, jeśli Bóg tak postanowi. Był druhem mej młodości, kompanem w wielu przygodach, i to przez ponad czterdzieści lat. Chciało mi się płakać, a potem przypomniałem sobie, co zrobił, i zapragnąłem zabić go raz jeszcze. Wstałem z trudem, gdyż do zabijania wziąłem się w wieku, kiedy utraciłem już gibkość, jaką miałem w swych najlepszych latach. Ciężko dysząc, doszedłem chwiejnym krokiem do końca korytarza i znowu znalazłem się w krypcie, i ujrzałem tamtych trzech, pobladłych i drżących, poczułem się wyniesiony do godności urzędnika dworskiego i przybranego syna Fryderyka. Nie mogłem okazać słabości. Wyprostowany, obrócony plecami do ikonostasu, jakbym był archaniołem wśród archaniołów,

oznajmiłem: sprawiedliwości stało się zadość, zabiłem mordercę świętego cesarza rzymskiego.

Baudolino poszedł po swój relikwiarz, wydobył z niego Gradalis, pokazał go tamtym, jak pokazuje się konsekrowaną hostię.

Rzekł tylko:

– Czy któryś z was rości sobie prawa?

– Baudolinie – odpowiedział Boron, który nadal nie potrafił zapanować nad drżeniem rąk – tego wieczoru doświadczyłem więcej niż w ciągu wszystkich tych lat, jakie przeżyliśmy razem. To z pewnością nie twoja wina, ale coś między nami pękło, między mną i tobą, mną i Kyotem, mną i Boidim. Dopiero co, chwilę temu, każdy z nas pragnął, by winowajcą okazał się ktoś inny, bo wówczas skończyłby się ten koszmar. Nie ma już między nami przyjaźni. Po upadku Pndapetzim łącząca nas więź była czymś przypadkowym. Zespalało nas poszukiwanie przedmiotu, który trzymasz w dłoniach. Poszukiwanie, powtarzam, nie zaś rzecz sama. Teraz wiem, że owa rzecz była zawsze z nami, a i tak wiele razy zmierzaliśmy prosto ku klęsce. Dzisiejszego wieczoru zrozumiałem, że nie mogę mieć Gradalisa ani nikomu go wręczać, powinienem tylko podsycać płomień, pragnienie jego poszukiwania. Zatrzymaj więc tę czarę, która władzę przyciągania ludzi ma tylko wtedy, kiedy nie można jej odnaleźć. Odchodzę. Jeśli uda mi się opuścić miasto, uczynię to najszybciej, jak będę mógł, i przystąpię do pisania o Gradalisie, a owa opowieść będzie mą jedyną siłą. Napiszę o rycerzach lepszych niż my, by kto to przeczyta, pomyślał o czystości, nie zaś o naszej mizerii. Nieraz pięknie było marzyć wraz z wami.

Zniknął w korytarzu, którym tu przyszedł.

– Baudolinie – powiedział Kyot. – Mniemam, że Boron dokonał najlepszego wyboru. Ja nie mam jego talentów, nie wiem, czy udałoby mi się spisać historię Gradalisa, ale z pewnością znajdę takich, którzy zechcą

jej wysłuchać, aby mieli o czym pisać. Ma rację Boron, dochowam wierności mym tyloletnim poszukiwaniom, jeżeli skłonię innych do tego, żeby zapragnęli Gradalisa. Nie będę opowiadał o czarce, którą masz w ręku. Może powiem jak niegdyś, że jest kamieniem, który spadł z nieba. Kamień czy kielich, a może włócznia, jakie to ma znaczenie. Ważne jest tylko to, by nikt go nie znalazł, bo wtedy inni zaniechaliby poszukiwań. Jeśli zechcesz mnie posłuchać, ukryj czarkę: niech nikt nie zabija swego marzenia, kładąc na niej rękę. Co się zaś tyczy reszty, także ja czułbym się między wami nieswojo, zbytnio nękałyby mnie bolesne wspomnienia. Ty, Baudolinie, zmieniłeś się w anioła zemsty. Może musiałeś uczynić to, coś uczynił. Ale ja nie chcę już na ciebie patrzeć. Żegnaj.

Także on opuścił kryptę.

Wtedy zabrał głos Boidi, a po tylu latach znowu przemówił w języku z Fraschety.

– Baudolinie – rzekł – nie chodzę po świecie z głową w chmurach, jak tamci, i nie umiem opowiadać historyjek. To, że ludzie błąkają się po świecie i szukają czegoś, czego nie ma, budzi we mnie śmiech. Liczy się tylko to, co jest, tyle że nie trzeba pokazywać tego wszystkim, bo zazdrość to paskudne zwierzę. Ten Gradalis jest rzeczą świętą, wierzaj mi, ponieważ jest prosty jak wszystkie rzeczy święte. Nie wiem, gdzie zechcesz go umieścić, lecz każde miejsce, poza tym, które podam ci teraz, będzie niewłaściwe. Posłuchaj, co mi przyszło do głowy. Po śmierci twojego biednego taty, świętej pamięci Gagliauda, powiadali, jak pamiętasz, że temu, kto ocalił miasto, trzeba postawić pomnik. A potem sam wiesz, jak to jest: gada się, gada i nic z tego nie wychodzi. Ja jednak, wędrując sobie to tu, to tam i sprzedając zboże, zobaczyłem pewnego razu w kościółku koło Villa del Foro piękny posąg, który nie wiadomo skąd się tam wziął. Przedstawia zgarbionego starca, który unosi obiema rękami nad głowę coś w rodzaju kamienia młyńskiego, budowlanego, a może wielki krąg sera, kto to wie, i wygląda, jakby zginał się we dwoje, bo nie może już tego czegoś

utrzymać w górze. Powiedziałem sobie, że taki wizerunek musi coś oznaczać, choć właściwie nie wiem co, ale sam wiesz, jak to bywa, ty wykonujesz jakąś figurę, inni zaś wymyślają, co ona ma wyrażać, i tak jest dobrze. A to dopiero dziwny traf, powiedziałem sobie wtedy, mógłby to być posąg Gagliauda, wystarczy umieścić go nad drzwiami albo z boku katedry jako kolumienkę, której ten kamień byłby kapitelem, bo to on wykapany, jako ten, co dźwiga cały ciężar oblężenia. Zabrałem posąg do domu i zostawiłem w szopie na sianie. Kiedy powiedziałem o nim innym, uznali, że pomysł jest wyborny. Potem rozeszło się, że każdy dobry chrześcijanin powinien ruszać do Jerozolimy, i ja też wbiłem sobie do głowy, że chodzi o Bóg wie co. Taki już jestem. A teraz wracam do domu i zobaczę, jak po tylu latach powitają mnie ci, którzy są jeszcze na tym świecie, a dla młodszych będę człowiekiem, który poszedł za cesarzem do Jerozolimy, a do opowiadania wieczorami przy ogniu mam więcej niż mag Wergiliusz, może nawet zrobią mnie przed śmiercią konsulem. Wracam więc do domu, idę bez słowa do szopy, odnajduję posąg, robię wgłębienie w tym, co ma nad głową, i umieszczam w nim Gradalis. Potem pokrywam wszystko mułem, dodając okruchy kamienia, żeby nie widać było najmniejszej rysy, i zanoszę posąg do katedry. Ustawiamy go, obmurowując porządnie, i zostaje tam *per omnia saecula saeculorum*, aby nikt nie mógł go ściągnąć ani zobaczyć, co twój ojciec dźwiga nad głową. Jesteśmy młodym miastem i nie mamy zbyt wielu zachcianek, ale błogosławieństwo niebios nikomu nie zaszkodzi. Umrę ja, umrą moi synowie, a Gradalis zawsze tam będzie, zawsze na straży bezpieczeństwa miasta, choć nikt się o tym nie dowie, wystarczy bowiem, że będzie wiedział Pan Bóg. Co ty na to?

– Było to najwłaściwsze miejsce dla czarki, panie Niketasie, także dlatego, że choć przez całe lata udawałem, iż o tym nie pamiętam, wiedziałem jednak, jako jedyny, skąd naprawdę pochodzi. Po tym, co niedawno uczyniłem, zastanawiałem się, po co przyszedłem na ten świat,

skoro nic dobrego z tego nie wynikło. Mając w rękach Gradalis, gotów byłbym ważyć się na nie wiadomo jakie głupstwa. Miał rację zacny Boidi. Chętnie bym z nim wrócił, cóż jednak robiłbym w Aleksandrii, nękany wspomnieniami o Colandrinie, śniący co noc o Hypatii? Podziękowałem Boidiemu za wspaniały pomysł i owinąłem Gradalis w szmatę, w której go woziłem, ale bez relikwiarza. Skoro masz podróżować i spotykać, być może, zbójców, wyjaśniłem, mogą wydrzeć ci rzecz, która wygląda na złotą, lecz nawet nie tkną zwykłej czarki. Ruszaj z Bogiem, Boidi, oby cię wspierał w tym, co zamierzasz uczynić. Zostaw mnie tutaj, chcę zostać sam. Odszedł więc i on. Rozejrzałem się dokoła i przypomniałem sobie Zosimę. Nie było go. Nie wiem, kiedy uciekł, usłyszał, że chcemy się pozabijać, a życie nauczyło go trzymać się jak najdalej od wszelkich awantur. Znał to miejsce na pamięć, wymknął się więc po omacku, kiedy my mieliśmy zupełnie inne sprawy na głowie. Nieźle nabroił w swym życiu, ale spotkała go za to kara. Niech dalej mendykuje po ulicach i oby Bóg się nad nim zmiłował. Tak zatem, panie Niketasie, ruszyłem w drogę powrotną korytarzem zmarłych, przekroczyłem trupa Poety i wyszedłem na światło pożogi koło Hipodromu. Co przydarzyło mi się potem, sam wiesz, gdyż zaraz spotkałem ciebie.

39

Baudolino stylita

Niketas milczał. Milczał też Baudolino, który siedział, trzymając na kolanach otwarte dłonie, jakby chciał powiedzieć: „Ot i wszystko”.

– W twojej opowieści jest coś, co mnie nie przekonuje – odezwał się po jakimś czasie Niketas. – Poeta obrzucił twoich druhów oskarżeniami wziętymi z wyobraźni, jakby każdy z nich zabił Fryderyka, a okazało się to nieprawdą. Ty uważałeś, że odtworzyłeś wszystko, co zdarzyło się tamtej nocy, ale jeśli dobrze pamiętam, Poeta nigdy nie przyznał, że naprawdę tak było.

– Próbował mnie zabić!

– Popadł w obłęd, to oczywiste. Chciał mieć za wszelką cenę Gradalis i wmówił sobie, że ten, kto go ma, jest winowajcą. Jeśli chodzi o ciebie, mógł po prostu uznać, że miałeś go i ukrywałeś, a to mu wystarczyło, by sięgnąć po kielich choćby po twoim trupie. Nie powiedział jednak, że to on zamordował Fryderyka.

– Więc kto?

– Piętnaście lat żyliście z przeświadczeniem, że Fryderyk zginął wskutek wypadku...

– Trwaliśmy przy tym przeświadczeniu, żeby nie obrzucać się wzajemnie podejrzeniami. A zresztą było widmo Zosimy, mieliśmy zatem winowajcę.

– Niech i tak będzie. Lecz wierzaj, w cesarskich pałacach byłem świadkiem niejednej zbrodni. Chociaż naszym cesarzom zawsze sprawiało

przyjemność pokazywanie gościom dziwnych machin i cudownych automatów, nigdy nie widziałem, by ktoś wykorzystywał je do zabijania. Posłuchaj, pamiętasz chyba, że kiedyś po raz pierwszy napomknął o Ardzrounim, powiedziałem ci, iż poznałem go w Konstantynopolu i że jeden z moich przyjaciół z Selymbrii był, może nawet kilkakroć, w jego zamku. Ten człowiek, niejaki Pafnucy, wie niejedno o diabelskich wynalazkach Ardzrouniego, ponieważ sam konstruował podobne do tych z cesarskich pałaców. Dobrze też zna granice owych wynalazków, gdyż pewnego razu, w czasach Andronika, obiecał cesarzowi automat, który wiruje dokoła własnej osi i powiewa sztandarem, kiedy bazyleus klaśnie w dłonie. Wykonał machinę, Andronik pokazał ją podczas uroczystego obiadu cudzoziemskim posłom, klasnął w dłonie, ale automat ani drgnął i Pafnucy stracił oczy. Spytam, czy zechce nas odwiedzić. Właściwie nudzi się tutaj, na wygnaniu w Selymbrii.

Pafnucy przybył w towarzystwie chłopca. Mimo swego nieszczęścia i posuniętego wieku był człowiekiem pełnym życia i bystrym. Porozmawiał z Niketasem, z którym nie spotykał się od dawna, a potem spytał, w czym może być użyteczny Baudolinowi.

Baudolino opowiedział mu w głównych zarysach całą historię od początku, a później bardziej szczegółowo jej część, od targu w Gallipolis do śmierci Fryderyka. Nie mógł pominąć Ardzrouniego, lecz zataił tożsamość swego przybranego ojca, mówiąc tylko, że był to flamandzki książę, którego miłował z całej duszy. Nie wspomniał też o Gradalisie, lecz jedynie o wysadzanym drogimi kamieniami kielichu, do którego zabity książę był bardzo przywiązany i który mógł u niejednego wzbudzić żądzę posiadania. Baudolino opowiadał, a Pafnucy przerywał mu co jakiś czas pytaniami. „Jesteś Frankiem, nieprawdaż?” – pytał i wyjaśniał, że ten sposób wymawiania słów greckich jest typowy dla mieszkańców Prowansji. Albo: „Czemu, mówiąc, dotykasz ciągle blizny na policzku?” I wyjaśniał

Baudolinowi, który uważał teraz Pafnucego za fałszywego ślepca, że jego głos traci czasem dźwięczność, jakby przesuwał dłonią przed ustami. Gdyby dotykał, jak czyni wielu, brody, nie zakrywałby przecież ust. Dotykał więc policzka, a kiedy ktoś dotyka swego policzka, to robi to dlatego, że bolą go zęby albo ma brodawkę czy bliznę. Ponieważ zaś Baudolino jest mężem wojennym, najbardziej podobną do prawdy była hipoteza blizny.

W końcu Baudolino opowiedział wszystko i Pafnucy rzekł:

– Teraz chcesz się dowiedzieć, co naprawdę zaszło za zamkniętymi drzwiami komnaty cesarza Fryderyka.

– Skąd wiesz, że mówiłem o Fryderyku?

– Daj pokój, wszyscy wiedzą, że cesarz utonął w rzece Kalikadnos, kilka kroków od zamku Ardzrouniego, który przepadł potem jak kamień w wodę, ponieważ jego książę Leon chciał mu uciąć głowę, obarczając odpowiedzialnością za to, że nie miał należytego baczenia na tak znamienitego gościa. Zawsze dziwiło mnie, że ten twój cesarz, tak nawykły do pływania w rzece, o czym szeptano dokoła, pozwolił, by wciągnął go prąd rzeczułki, jaką jest Kalikadnos, a teraz dzięki tobie niejednego się dowiedziałem. Postarajmy się w tym wszystkim rozeznać.

Powiedział to bez śladu ironii, jakby naprawdę śledził scenę, która rozgrywała się na jego zgasłych oczach.

– Po pierwsze, trzeba odrzucić podejrzenie, że Fryderyk zmarł z powodu machiny do wytwarzania próżni. Znam tę machinę i wiem, że jej działanie daje się odczuć w maleńkim pokoiku bez okien na najwyższym piętrze, ale z pewnością nie w komnacie cesarza, gdzie jest przecież okap kominka i Bóg jeden wie, ile jeszcze szczelin, przez które powietrze może wchodzić, jak się mu spodoba. Po drugie, sama machina nie była sprawna. Próbowałem. Wewnętrzny walec nie wypełnia w sposób doskonały walca zewnętrznego, tak że powietrze też wciska się tam ze wszystkich stron. Próbowali tego wiele wieków temu mechanicy bieglejsi niż Ardzrouni, ale

bez powodzenia. Co innego zbudować ową wirującą kulę albo drzwi, które otwierają się dzięki ciepłu, to igraszki znane od czasów Herona. Lecz próżnia, drogi przyjacielu, to rzecz zupełnie inna. Ardzrouni był pyszny, lubił zadziwiać swoich gości, i w tym sedno sprawy. Przejdźmy teraz do zwierciadeł. Że Archimedes podpalił rzymskie okręty, mówi legenda, czy było to jednak prawdą, wcale nie wiemy. Miałem do czynienia ze zwierciadłami Ardzrouniego. Były zbyt małe i nie dość wygładzone. Nawet jeśli przyjmiemy, że były doskonałe, trzeba uwzględnić i to, że tylko w samo południe zwierciadło odbija promienie słoneczne wystarczająco mocne, rankiem bowiem są za słabe. Dodaj do tego, że promienie musiałyby przejść przez zabarwione szyby, a uznasz, iż ten twój druh, jeśli nawet nastawił jedno ze zwierciadeł na komnatę cesarza, niczego by tym sposobem nie dokonał. Czy to cię przekonuje?

– Idźmy dalej.

– Trucizny i odtrutki... Wy, łacinnicy, jesteście zaiste naiwni. Czy możecie wyobrazić sobie, że na targu w Gallipolis sprzedaje się substancje tak mocno działające, takie, że sam bazyleus może je mieć tylko dzięki swym zaufanym alchemikom, a i to na wagę złota? Wszystko, co tam się sprzedaje, jest fałszywe i przeznaczone dla barbarzyńców przybywających z Ikonium albo z bułgarskich lasów. W obu ampułkach była zwykła woda i czy Fryderyk wypił ją z ampułki tego twojego Żyda, czy z ampułki druha, którego zwiesz Poetą, na jedno by wyszło. I to samo możemy powiedzieć o cudownym kordiale. Gdyby tego rodzaju kordiał istniał, wykupiliby go wszyscy stratedzy, by przywracać siły rannym żołnierzom i rzucać ich na nowo do boju. Poza tym wyjawiłeś mi, ile zapłaciliście za te cuda. Otóż cena jest tak śmieszna, że ledwie wyrównuje trud nabrania wody ze źródła i napełnienia nią ampułek. Pozwól, że opowiem ci teraz o uchu Dionizosa. Nigdy nie słyszałem, żeby to u Ardzrouniego działało. Tego rodzaju sztuczki mogą się powieść, jeśli odległość między otworem, do którego się mówi, a tym, z którego dobywa się głos, jest bardzo mała, jak wtedy, gdy

zwijasz dłonie w trąbkę, by twój głos niósł się trochę dalej. Lecz w zamku przewód prowadzący z jednego piętra na drugie był powikłany i kręty, przechodził przez grube mury... Czy Ardzrouni próbował z wami swego urządzenia?

– Nie.

– No widzisz. Pokazywał je gościom, pysznił się nim, i to wszystko. Gdyby nawet twój Poeta spróbował rozmawiać z Fryderykiem, a Fryderyk akurat nie spał, usłyszałby co najwyżej niewyraźny szmer dobywający się z ust Meduzy. Być może Ardzrouni użył kilka razy tego ucha, by przestraszyć kogoś, kto tam spał, i przekonać go w ten sposób, że w komnacie pojawiają się upiory, ale na tym koniec. Twój druh, Poeta, nie mógł niczego przekazać Fryderykowi.

– A pusta czara na posadzce, ogień w kominku...

– Sam mi wyjawiłeś, że tego wieczoru Fryderyk nie czuł się dobrze. Jechał cały dzień konno w tamtejszym słońcu, które pali i szkodzi każdemu, kto do niego nie przywykł, i miał za sobą wiele dni wędrówki i bitew... Z pewnością był zmęczony, osłabiony, może dopadła go zimnica. Co robisz, jeśli czujesz w nocy dreszcze gorączki? Starasz się okryć jak najszczelniej, ale przy zimnicy dreszcze nie ustają także pod przykryciem. Twój cesarz rozpalił ogień w kominku. Potem poczuł się jeszcze gorzej, zląkł się, że go otruto, i wypił niczemu niesłużącą odtrutkę.

– Czemu jednak poczuł się gorzej?

– W tej sprawie nie mam żadnej pewności, jeśli się jednak przeprowadzi poprawne rozumowanie, od razu widać, że można tu wyciągnąć tylko jeden wniosek. Opisz mi raz jeszcze ten kominek, żebym lepiej go sobie przedstawił.

– Na podłożu suchych gałązek leżało drewno, były tam gałęzie z wonnymi jagodami, a także kawałki ciemnej substancji, zdaje się węgla, ale pokryte czymś oleistym...

– To *naphta* albo *bitumen*, który można znaleźć w dużych ilościach na przykład w Palestynie, w morzu zwanym Martwym, gdzie to, co bierze się za wodę, jest tak gęste i ciężkie, że jeśli wejdziesz do tego morza, wcale nie pójdziesz na dno, ale będziesz się unosił jak łódź. Pliniusz opisuje, iż ta substancja jest tak spokrewniona z ogniem, że kiedy się doń zbliża, ten się rozpłomienia. Jeśli chodzi o węgiel, wszyscy wiemy, czym jest, kiedy uzyskuje się go, jak pisze Pliniusz, z dębu, spalając świeże gałęzie na stosie w kształcie stożka, obłożonego mokrą gliną, w której wykonano otwory, żeby podczas spalania mogła wyjść cała wilgoć. Czasem jednak robi się węgiel z innego drewna, którego przymioty nie zawsze są znane. Wielu medyków obserwowało, co się dzieje z kimś, kto wdycha wapory złego węgla, tym niebezpieczniejszego, jeśli połączonego z pewnego typu bitumenem. Uwalniają się zeń trujące wyziewy znacznie subtelniejsze i mniej widoczne niż dym, który zwykle unosi się z ognia i którego próbujemy się pozbyć, otwierając okno. Tych wyziewów nie widać, ale przenikają wszędzie i jeżeli miejsce jest zamknięte, stoją w powietrzu. Możesz to zauważyć, ponieważ te wydzieliny w zetknięciu z płomieniem lampki zabarwiają go na kolor błękitny. Zwykle jednak, kiedy człowiek to spostrzega, jest już za późno, szkodliwe tchnienie pożarło już wszędzie dokoła czyste powietrze. Nieszczęśnik, który wdycha to smrodliwe powietrze, czuje wielką ociężałość w głowie, słyszy dzwonienie w uszach, z trudem oddycha i wzrok się mu zaćmiewa... Wystarczy tego, by uznać, że jest się otrutym, i wypić odtrutkę, jak to uczynił twój cesarz. Jeśli jednak, spostrzegłszy te złe zjawiska, nie opuścisz zaraz zatrutego miejsca albo ktoś cię z niego nie wyciągnie, dochodzi do najgorszego. Czujesz, jak ogarnia cię straszliwa senność, padasz na ziemię i w oczach tego, kto cię odnajdzie, będziesz martwy, bez tchu bowiem, ciepła, bicia serca, twe członki zesztywnieją, twarz zaś pokryje niezwykła bladość... Nawet najbardziej doświadczony medyk uzna, że patrzy na trupa. Wiadomo, że byli tacy, których pogrzebano w tym stanie żywcem, choć można byłoby ich

uzdrowić, okładając głowę zimnymi szmatami, stosując kąpiel stóp i nacieranie całego ciała olejami ożywiającymi humory.

– Chcesz mi powiedzieć – rzekł Baudolino blady jak twarz Fryderyka tamtego ranka – że uznaliśmy za martwego cesarza, który żył?

– Prawie na pewno tak właśnie było, mój biedny przyjacielu. Umarł, kiedy został rzucony do rzeki. Lodowata woda zaczęła w pewnym sensie przywracać go do życia, i to byłaby dobra kuracja, ponieważ jednak był jeszcze bez zmysłów, to kiedy jął oddychać, nabrał w usta wody i utonął. A gdy wyciągnęliście go na brzeg, pewnie zobaczyliście, że wygląda jak topielec...

– Był nabrzmiały. Wiedziałem, że to niemożliwe, i patrząc na te biedne człowiecze szczątki poobijane o rzeczne kamienie, pomyślałem, że tylko mi się tak zdaje...

– Zmarły nie puchnie od przebywania w wodzie. Tak się dzieje wyłącznie z żywym, który umiera pod wodą.

– Tak zatem Fryderyk padł ofiarą niezwykłej i nieznanej choroby, nie zginął zamordowany?

– Odebrano mu życie, to pewne, ale uczynił to ten, który wrzucił go do wody

– Ależ ja to uczyniłem!

– Źle się stało. Czuję, że jesteś wzburzony. Uspokój się. Uczyniłeś to, sądząc, że czynisz dobrze, a z pewnością nie po to, by doprowadzić do jego śmierci.

– A jednak właśnie przeze mnie umarł!

– Ja nie nazywam tego zabójstwem.

– Lecz ja tak! – wykrzyknął Baudolino. – To ja rzuciłem mojego umiłowanego ojca do rzeki, kiedy jeszcze żył! To ja...

Zbladł jak płótno, wymamrotał kilka słów bez żadnego związku i zemdlał.

Gdy odzyskał przytomność, Niketas kładł mu na głowę zmoczone szmaty. Pafnucy już poszedł, może poczuł się winny, że chcąc pokazać, jak doskonale widzi bieg rzeczy, ujawnił Baudolinowi straszliwą prawdę.

– Postaraj się teraz zachować spokój – powiedział Niketas. – Zdaję sobie sprawę, jaki wstrząs przeżyłeś, lecz takie było przeznaczenie, słyszałeś wszak, co rzekł Pafnucy: że każdy uznałby tego człowieka za martwego. Ja też słyszałem o wypadkach, kiedy pozorna śmierć zmyliła medyka.

– Zabiłem mego ojca – powtarzał Baudolino, którym wstrząsały teraz dreszcze gorączki. – Nienawidziłem go, sam o tym nie wiedząc, gdyż pożądałem jego małżonki, mej przybranej matki. Najpierw stałem się cudzołożnikiem, potem ojcobójcą, a wreszcie, niosąc na sobie piętno tego trądu, pohańbiłem mym kazirodczym nasieniem najczystszą z dziewic, wmawiając jej, że jest to ekstaza, którą jej obiecywano. Jestem mordercą, bo zabiłem Poetę, który był niewinny...

– Nie był niewinny, gdyż owładnęła nim niepowstrzymana żądza. Chciał cię zabić, a ty się broniłeś.

– Oskarżyłem go niesłusznie o zabójstwo, które sam popełniłem, zabiłem go, by nie przyznać, że powinienem ukarać siebie, całe życie tkwiłem w kłamstwie, chcę umrzeć, spaść w otchłań piekielną i cierpieć przez całą wieczność...

Na nic zdałyby się próby uspokojenia Baudolina i nic nie można było zrobić, żeby przywrócić mu zdrowie. Niketas poprosił Teofilata o przygotowanie naparu z usypiających ziół i podał go biedakowi do wypicia. Kilka minut później Baudolino spał najniespokojniejszym ze swych snów.

Kiedy obudził się następnego dnia, odmówił wypicia filiżanki rosołu, który mu przyniesiono, wyszedł z domu, usiadł pod drzewem i przez cały dzień, ukrywszy twarz w dłoniach, milczał, a i następnego ranka zobaczono

go w tym samym miejscu. Niketas uznał, że w takich razach najlepszym remedium jest wino, i namówił go na wypicie znacznej ilości, jakby to była jakaś driakiew. Baudolino pozostał w stanie oszołomienia trzy dni i trzy noce w tym samym miejscu pod drzewem.

O świcie czwartego dnia Niketas przyszedł pod drzewo, ale Baudolina tam nie było. Przeszukał ogród i dom – daremnie. Lękając się, że Baudolino chce popełnić jakiś desperacki czyn, posłał Teofilata i jego synów, by szukali go w całej Selymbrii i wokół miasta. Wrócili dwie godziny później i krzyknęli na Niketasa, żeby poszedł i sam zobaczył. Zaprowadzili go na tę samą łąkę tuż za miastem, na której, wjeżdżając, widzieli słup dawnych eremitów.

U stóp słupa zebrał się tłum gapiów, którzy pokazywali sobie palcami szczyt kolumny. Słup był z białego kamienia i wysoki prawie jak dwupiętrowy dom. Na górze rozszerzał się w kwadratowy podest otoczony balustradą z rzadko rozmieszczonych kamiennych kolumienek i także kamiennej poręczy. Na samym środku wznosiła się mała jakby buda. Wszystko to niewiele wystawało poza słup i kiedy chciało się usiąść na podeście, trzeba było zwiesić nogi, buda zaś z trudem mieściła skulonego człowieka. Na podeście siedział, opuściwszy nogi, Baudolino i wszyscy widzieli, że jest całkowicie obnażony.

Niketas zawołał go, krzyknął, żeby złaził, spróbował otworzyć drzwiczki u stóp słupa, które jak we wszystkich tego rodzaju budowlach prowadziły spiralnymi schodami na podest. Lecz drzwiczki, choć bardzo już zniszczone, były zaryglowane od środka.

– Złaźże, Baudolino, co zamierzasz tam robić?

Baudolino coś odkrzyknął, lecz Niketas nie dosłyszał.

Zażądał więc, by przyniesiono dostatecznie długą drabinę. Wspiął się na nią z trudem, aż jego głowa znalazła się przy stopach Baudolina.

– Co zamierzasz robić? – spytał znowu.

– Pozostać tu. Zaczyna się moja pokuta. Będę się modlił, medytował, roztopię się w milczeniu. Postaram się dojść do samotności odległej od wszelkiego poglądu i wszelkiego wyobrażenia, nie odczuwać już ni gniewu, ni pragnienia, nie używać rozumu i nie myśleć, wyzbyć się wszelkich więzów, wrócić do absolutnej prostoty, by nic nie widzieć poza chwałą mroku. Opróżnię duszę i umysł, dotrę poza granice rozumu, w ciemności przebędę szlak drogami ognia...

Niketas spostrzegł, że Baudolino powtarza rzeczy zasłyszane od Hypatii. Widzę, że teraz ten nieszczęśnik pragnie uciec od wszelkiej namiętności – pomyślał – niechaj więc siedzi tu samotnie i dąży do tego, by stać się jak ta, którą nadal miłuje. Nie powiedział jednak tego. Spytał tylko, czym chce żyć na tym słupie.

– Opowiadano mi, że eremici spuszczali na sznurku koszyk – wyjaśnił Baudolino – a wierni wkładali weń jako jałmużnę jadło, które zaoszczędzili, a najlepiej to, którego nie zjadły ich bydlęta. I trochę wody, aczkolwiek można też cierpieć pragnienie i czekać, aż spadnie deszcz.

Niketas westchnął, zszedł z drabiny, kazał poszukać koszyka ze sznurkiem, włożyć do niego chleb, gotowane jarzyny, oliwki i parę kawałków mięsiwa; jeden z synów Teofilata podrzucił sznurek, Baudolino go chwycił i wciągnął koszyk.

– A teraz pozostaw mnie, proszę! – krzyknął do Niketasa. – To, co chciałem zrozumieć, opowiadając ci moją historię, zrozumiałem. Nic więcej nie mamy sobie do powiedzenia. Dziękuję, żeś pomógł mi dojść do miejsca, w którym jestem.

Niketas odwiedzał go codziennie, Baudolino zaś pozdrawiał go gestem i milczał. Po jakimś czasie Niketas spostrzegł, że nie trzeba już przynosić mu jadła, ponieważ w Selymbrii rozeszła się wieść, że po wielu stuleciach znowu święty mąż żyje samotnie na słupie, i wszyscy chodzili przeżegnać się u stóp kolumny znakiem krzyża i włożyć do koszyka coś do jedzenia i picia. Baudolino ciągnął za sznurek, zatrzymywał dla siebie tyle, ile

potrzebował na cały dzień, a resztę rozdrabniał dla ptasząt, które przyzwyczaiły się siadać na balustradzie. Tylko one go obchodziły.

Baudolino tkwił na górze przez całe lato, nie wypowiadając słowa, palony słońcem, udręczony skwarem, choć często chował się do swojej budki. Kał i mocz oddawał oczywiście w nocy, przez balustradę, i u stóp słupa widać było jego odchody – maleńkie jak kozie bobki. Wyrosły mu długie włosy i broda i był brudny, a nadto cuchnął tak, że widać i czuć go było z daleka.

Niketas musiał opuścić Selymbrię dwa razy. W Konstantynopolu bazyleusem został Baldwin z Flandrii i łacinnicy stopniowo pojawiali się w całym cesarstwie, lecz Niketas musiał zająć się swoimi posiadłościami. Jednocześnie w Nicei tworzył się ostatni bastion cesarstwa bizantyjskiego i Niketas myślał o tym, że powinien się tam przenieść, bo będą przecież potrzebowali doradcy z jego doświadczeniem. W tym celu należało nawiązać kontakty i poczynić przygotowania do tej nowej, nader niebezpiecznej podróży.

Za każdym razem, kiedy zjawiał się pod słupem, widział tam coraz gęstszy tłum. Co jakiś czas przychodziło komuś do głowy, że taki stylita, oczyszczony wskutek nieprzerwanego udręczania ciała, musiał posiąść głęboką wiedzę, wspinał się więc na drabinę, by prosić o radę i pociechę. Opowiadał o swoich nieszczęściach, a Baudolino odpowiadał na przykład: „Jesteś pyszny, jesteś diabłem. Jeśli dręczy cię smutek, jesteś jego synem. A jeśli troszczysz się o tysiąc spraw, jesteś bezustannie na jego służbie”.

Inny prosił o sąd w sporze z sąsiadem. Baudolino zaś: „Bądź jako wielbłąd: dźwigaj brzemię swych grzechów i idź śladem tego, który zna ścieżki Pana”.

Jeszcze inny powiedział, że synowa nie może mieć dziecka. Baudolino zaś: Wszystko, co pomyśli człowiek o tym, co jest pod niebem i w niebie,

jest marnością. Tylko ten, który trwa we wspominaniu Chrystusa, żyje w prawdzie”.

„Jakiż on napełniony mądrością” – mówili i zostawiali mu kilka monet, nim odeszli z pociechą w sercach.

Nadeszła zima i Baudolino prawie cały czas siedział skulony w budce. Żeby nie słuchać długich opowieści tych, którzy doń przychodzili, zaczął uprzedzać ich słowa. „Miłujesz kogoś całym sercem, ale czasem nachodzi cię wątpliwość, czy ta osoba miłuje cię równie gorąco” – mówił. Jego gość na to: „To szczera prawda! Czytałeś w mym sercu jak w otwartej księdze! Cóż mam czynić?” Na to Baudolino: „Milcz i zaprzestań roztrząsać samego siebie”.

Pewnemu otyłemu mężczyźnie, który wspiął się do niego z wielkim trudem, rzekł: „Budzisz się każdego ranka z bólem karku i trudno ci wzuć obuwie”. „Tak jest” – odparł z podziwem tamten. A Baudolino: „Masz nic nie jeść przez trzy dni. Lecz nie wpadaj w pychę z powodu tego postu. Zamiast wbijać się w dumę, jedz mięso. Lepiej spożywać mięso, niż się chełpić. I przyjmij bóle jako zadośćuczynienie za swoje grzechy”.

Przyszedł pewien ojciec i rzekł, że jego syn jest pokryty bolesnymi ranami. Odpowiedział: „Obmywaj go trzy razy dziennie wodą z solą i za każdym razem wypowiadaj te słowa: Dziewico Hypatio, miej pieczę nad swoim synem”. Ojciec odszedł, a po tygodniu wrócił i rzekł, że rany się goją. Dał Baudolinowi monetę, gołębia i flaszkę wina. Wszyscy zakrzyknęli, że stał się cud, a kogo męczyła choroba, szedł do kościoła i modlił się: „Dziewico Hypatio, miej pieczę nad swoim synem”.

Wspiął się na drabinę mężczyzna ubogo odziany i o mrocznym obliczu.

Powiedział Baudolino:

– Wiem, co ci jest. Nosisz w sercu urazę do kogoś.

– Wiesz wszystko – odparł mężczyzna.

Powiedział Baudolino:

– Kiedy ktoś chce płacić złem za zło, może zranić swego brata jednym ruchem ręki. Zawsze więc trzymaj ręce za plecami.

Przybył inny, z oczami pełnymi smutku, i rzekł mu:

– Nie wiem, co mi dolega.

– Lecz ja wiem – odpowiedział mu Baudolino. – To gnuśność.

– Jak się z niej uleczyć?

– Gnuśność objawia się po raz pierwszy, kiedy człowiek widzi, że słońce przesuwa się niezwykle powoli.

– Co zatem?

– Nie patrzeć na słońce.

– Nic się przed nim nie ukryje – powiadali mieszkańcy Selymbrii.

– Skąd masz taką mądrość? – spytał któryś.

Na to Baudolino:

– Stąd, że się ukrywam.

– Co robisz, żeby się ukryć?

Baudolino wyciągnął rękę i pokazał mu wnętrze dłoni.

– Co masz przed sobą?

– Dłoń.

– Widzisz, że umiem dobrze się ukryć – rzekł Baudolino.

Znowu nastała wiosna. Baudolino był coraz brudniejszy i coraz bardziej kudłaty. Obsiadały go ptaszęta, które przylatywały stadami, by wydziobywać robactwo, które zalęgło się w jego ciele. Ponieważ musiał wykarmić wszystkie te fruwające stworzenia, ludzie wiele razy dziennie napełniali jego koszyk.

Pewnego razu przybył konno zadyszany i okryty kurzem mężczyzna. Powiedział, że podczas polowania jeden z panów źle wystrzelił i przeszył

strzałą syna swej siostry. Grot wszedł okiem i wyszedł karkiem. Chłopiec jeszcze dycha i możny pan prosi Baudolina, by zrobił wszystko, co może zrobić człowiek świątobliwy.

Baudolino powiedział:

– Powinnością stylity jest widzieć, jak nadciągają z daleka jego własne myśli. Wiedziałem, że przybędziesz, lecz potrzebowałeś za dużo czasu, a tyle samo będziesz potrzebował na powrót. Sprawy tego świata biegną tak, jak biec powinny. Wiedz, że chłopiec w tej chwili już umiera, a nawet umarł, oby Bóg się nad nim zmiłował.

Jeździec wrócił i zastał chłopca martwego. Kiedy rozeszła się wieść o tym wydarzeniu, wielu w Selymbrii krzyknęło, że Baudolino ma dar jasnowidzenia i dostrzegł to, co działo się w odległości mili. Był jednak niezbyt daleko od słupa kościół Świętego Mardoniusza i kapłan sprawujący posługę w tym kościele nienawidził Baudolina, który od miesięcy uszczuplał ofiary, jakie składali mu ludzie. Zaczął mówić: ładny mi cud, takich cudów umie dokonać każdy. Poszedł pod słup i krzyknął, że skoro stylita nie umie nawet wyciągnąć strzały z oka, to jest to tak, jakby on sam zabił chłopca.

Baudolino odpowiedział:

– Troska o przypodobanie się ludziom niweczy rozkwit duchowy.

Ksiądz rzucił w niego kamieniem i zaraz kilku zapaleńców dołączyło do niego, atakując podest kamieniami i grudami ziemi. Rzucali kamienie przez cały dzień, a Baudolino siedział skulony w budce, zakrywając twarz dłońmi. Odeszli dopiero, kiedy zapadła noc.

Rankiem Niketas poszedł zobaczyć, czy coś się nie stało przyjacielowi, i nie zobaczył go już na słupie. Słup był znowu niezamieszkany. Zaniepokojony wrócił do domu i zastał Baudolina w stajni. Ten napełnił wodą beczkę i zeskrobywał nożem z grzbietu cały nagromadzony brud. Podciął sobie włosy i brodę. Był ogorzały od słońca i wiatru, nie wyglądał

na zbytnio wychudzonego, tyle że trudno mu było przyjąć pozycję wyprostowaną i poruszał ramionami i łopatkami, żeby rozluźnić mięśnie pleców.

– Widziałeś coś takiego? Po raz pierwszy w życiu powiedziałem prawdę i tylko prawdę, a oni chcieli mnie ukamienować.

– To samo przytrafiało się apostołom. Zostałeś świętym mężem i zniechęciłeś się z powodu takiego głupstwa?

– Może czekałem na jakiś znak z nieba. W ciągu tych miesięcy zgromadziłem niemało monet. Posłałem jednego z synów Teofilata, żeby kupił mi odzienie, konia i muła. Gdzieś tutaj musi być nadal mój oręż.

– A zatem wyjeżdżasz? – spytał Niketas.

– Tak, podczas pobytu na słupie niejedno zrozumiałem. Zrozumiałem, że grzeszyłem, lecz nigdy nie po to, by zyskać władzę i bogactwo. Zrozumiałem, że jeśli pragnę wybaczenia, muszę spłacić trzy długi. Dług pierwszy: raz jeszcze przysiągłem sobie, że wystawię płytę nagrobną Abdulowi, i w tym celu zachowałem jego głowę Jana Chrzciciela. Pieniądze napłynęły skądinąd i tak jest lepiej, bo nie pochodzą ze świętokupstwa, lecz z darów zacnych chrześcijan. Odnajdę miejsce, gdzie pogrzebaliśmy Abdula, i każę zbudować tam kaplicę.

– Przecież nie pamiętasz nawet, gdzie go zabito!

– Bóg mnie poprowadzi, a poza tym mam w pamięci mapę Kosmasa. Dług drugi: mojemu dobremu ojcu Fryderykowi, nie mówiąc już o Ottonie, złożyłem świętą przysięgę i dotychczas jej nie spełniłem. Muszę dotrzeć do królestwa księdza Jana. W przeciwnym razie moje życie będzie daremne.

– Sprawdziliście wszak namacalnie, że tego królestwa nie ma!

– Sprawdziliśmy to tylko, że do niego nie dotarliśmy. To co innego.

– Spostrzegliście jednak, że eunuchowie kłamią.

– Że być może kłamią. Lecz nie mógł kłamać biskup Otton ani tradycja, która mówi, że ksiądz ma gdzieś swoje królestwo.

– Nie jesteś już taki młody jak za pierwszym razem.

– Za to jestem mądrzejszy. Dług trzeci: mam tam syna albo córkę. I tam też jest Hypatia. Chcę ich odnaleźć i chronić, jak nakazuje mi powinność.

– Przecież minęło ponad siedem lat!

– Dziecko będzie miało nie więcej jak sześć. Czyżby sześcioletnie dziecko nie było już twoim dzieckiem?

– A jeśli jest chłopcem, a więc satyrem-niewidkiem?

– Lecz równie dobrze może być małą hypatią. Tak czy inaczej, będę je kochał.

– Nie wiesz, gdzie są góry, w których skryły się hypatie.

– Poszukam.

– Hypatia może nie być już do ciebie przywiązana. Może nie zechce widzieć tego, który zniweczył jej apatię.

– Nie znasz Hypatii. Czeka na mnie.

– Byłeś już dość stary, kiedy ją miłowałeś, teraz wydasz się jej starcem!

– Nie widziała żadnego młodszego mężczyzny.

– Miną lata, zanim tam dotrzesz, a chcesz przecież powędrować dalej.

– My, z Fraschety, mamy głowy twardsze niż głaz.

– Skąd wiesz, że dożyjesz do końca podróży?

– Podróżowanie przywraca młodość.

Nie było rady. Następnego dnia Baudolino uścisnął Niketasa, całą jego rodzinę i swoich gospodarzy. Dosiadł z pewnym trudem konia, z mieczem przytroczonym do siodła, i ujął wodze, na których miał prowadzić muła z dostatkiem prowiantu.

Niketas patrzył, jak znika w oddali i macha jeszcze na pożegnanie ręką, nie odwracając się jednak i kierując prościutko ku królestwu księdza Jana.

40

Baudolina nie masz już

Niketas poszedł odwiedzić Pafnucego. Opowiedział mu wszystko od początku do końca, czyli od spotkania z Baudolinem w Hagia Sofia – wraz ze wszystkim, co sam Baudolino mu opowiedział.

– Co mogę zrobić? – spytał.

– Dla niego? Nic, wyruszył na spotkanie ze swym przeznaczeniem.

– Nie dla niego, dla siebie. Piszę Historie, prędzej czy później będę musiał wziąć się do spisywania rejestru ostatnich dni Bizancjum. Gdzie znajdę miejsce na to, co opowiedział mi Baudolino?

– Nigdzie. To wyłącznie jego historia. A poza tym, czy masz pewność, że jest prawdziwa?

– Nie, wszystkiego, co wiem w tej sprawie, dowiedziałem się od niego, podobnie jak od niego dowiedziałem się, że jest kłamcą.

– Widzisz więc – powiedział mądry Pafnucy – że piszący Historie nie może dać wiary świadectwu tak niepewnemu. Wykreśl ze swej opowieści Baudolina.

– Lecz przynajmniej ostatnie dni to nasza wspólna historia, pobyt w domu genueńczyków.

– Wykreśl też genueńczyków, bo inaczej będziesz musiał napisać o tym, że sporządzają relikwie, i twoi czytelnicy utraciliby wiarę w rzeczy najświętsze. Niewiele będziesz potrzebował, by nieco odmienić bieg wydarzeń, napiszesz, że pomogli ci wenecjanie. Tak, wiem, nie taka jest

prawda, lecz w wielkiej Historii można zmienić maleńkie prawdy, by tym lepiej ukazać prawdę większą. Musisz opisać prawdziwą historię cesarstwa Rzymian, nie zaś drobną sprawę, która ma swój początek gdzieś wśród odległych bagien, w barbarzyńskich krajach, między barbarzyńskimi ludźmi. Czyżbyś zresztą chciał przekonać przyszłych czytelników, że daleko w krainie śniegu i mrozu istnieje gdzieś Gradalis, a na jałowych ziemiach królestwo księdza Jana? Kto wie, jacy szaleńcy wędrowaliby całymi wiekami w jego poszukiwaniu.

– To była piękna historia. Szkoda, że nikt jej nie pozna.

– Nie myśl, żeś na tym świecie jedynym spisującym historie. Prędzej czy później jedną z nich zapragnie opowiedzieć jakiś łgarz, większy nawet niż Baudolino.